



OLGA GROMYKO

WIEDŹMA NACZELNA

PAPIER  WYKSIEZYC

Olga Gromyko

Wiedźma Naczelną

Stojąca przy ganku czarna kobyła ma podejrzenie niewinny wyraz pyska i leniwie macha wspaniałym ogonem. Ktoś osiodłał i podprowadził ją stanowczo zbyt wcześnie, czy raczej to oni zbyt długo się zegnali...? Znając to bezczelne i nadaktywne stworzenie, nie można mieć nadziei, że przez godzinę będzie spokojnie czekała w jednym miejscu, co oznacza, że zdążyła już pójść na spacer i wrócić. Dopiero świta, okryta kołdrą ze zbyt zimnej i gęstej jak na wiosnę mgły dolina nadal śpi. Nawet jeśli kobyłka coś zbroiła, nikt nie wykryje tego zbyt prędko, więc to ON będzie musiał odpowiadać, gdyż pani karej rozbójnicy potrząsa głową, odrzucając włosy na plecy, i przymierza się do strzemięcia.

– Nie jedź.

Ona opuszcza już podniesioną nogę, odwraca się. Patrzy na niego z wyrzutem, ale też i zrozumieniem. Prosto w oczy, nie próbując ukrywać spojrzenia za rzęsami ani prawdziwych myśli pod ulotnymi bzdurkami na błahe tematy. Mało kto ma na to odwagę. Wiatr czochra jej długie złocistorude włosy, jedyną jasną plamę wśród szarego, rzeńskiego poranka.

– Dlaczego?

– Mam złe przeczucie.

– Daj spokój! – Kobieta uśmiecha się niedbale i klepie kobyłę po karku. – Już dawno wszystko przedyskutowaliśmy. Muszę zebrać materiały do pracy i zdobyć tytuł bakałarza trzeciego stopnia, a na tak odpowiedzialnym stanowisku po prostu nie mam innego wyjścia. Przecież jestem twoją naczelną wiedźmą, pamiętasz?

– Tak, ale pamiętam również, że jesteś moją narzeczoną. – W tym żarcie brakuje wesołości.

– Wrócę, przecież wiesz.

Mężczyzna delikatnie przesuwa koniuszkami palców od jej skroni do podbródka, po drodze chowając za ucho niesforny kosmyk. Ona żartobliwie wykręca się, wkłada stopę w strzemień i wskakuje na siodło.

– Wiem.

Czarna kobyłka chętnie rusza z miejsca. Zbyt chętnie, czyli zapewne wkrótce należy oczekiwać niespodziewanych gości, rozgniewanych równie niespodziewaną wizytą psotnicy na ich dopiero co zasianych grządkach, w sadzie czy nawet na stryszku z nieostrożnie pozostawioną u wejścia drabiną.

Jeżeli on zawoła, zrobi krok do przodu czy nawet opuści głowę, zdradzając, jaki ciężar leży mu na sercu, ona natychmiast zawróci. On również to wie. I milczy.

Rozdział pierwszy

*Żywot świętego Fenduła
Jaki dajń, taka świętynia.*

Stare belorskie powiedzenie

Wiosną nawet najgęstszego, wypełnionego dzikimi zwierzętami i strzygami lasu nie można nazwać mrocznym i złowieszczym. Posępne skrzypienie omszałych pni tonęło w szczebiotaniu ptaków, a na ziemi rozciągały się całe dywany z kwiatów, nadające starej puszczy wygląd niezwykle radosny, czarowny i tajemniczy. Tylko patrzeć, a z pobliskiej kupy gałęzi wyskoczy śliczna driada na białym jednorożcu (albo chociaż jedno z tych dwojga) lub dobra wróżka, nadal pod urokiem słonecznej kąpieli i w związku z tym chętna, by bez żadnych opłat uszczęśliwić pierwszą napotkaną osobę, spełniając jej trzy największe życzenia (albo przynajmniej jedno, to naj-naj!). Zresztą od biedy starczy też wredna wiedźma na czarnej kobyle. – No tak, Smółko... co my tu mamy?

Kobyłka położyła uszy po sobie i cicho brzęknęła sprzączkami ogłowia. W chwili obecnej jej pani miała wyjątkowo paskudny nastrój – nie licząc innych problemów, parę minut temu odpadła jej podeszwa od prawie nowego buta. Strzemię nieprzyjemnie chłodziło bosą stopę, a ja puściłam wodze i obracałam pechowy kawałek obuwia w rękę, zastanawiając się, czy olać sprawę i podkleić go przy użyciu magii, czy może wrócić do wsi i od serca porozmawiać sobie z szewcem oszustem, miłośnikiem zgniłej dratwy. Mimo że powrotna droga nie była daleka, nie miałam szczególnej ochoty na jej pokonywanie. Pieniądzy również było mi szkoda, a zakłęcie naprawcze wymagało codziennego odnawiania. Ale nic to, zawsze mogłam wpaść do tego brakoroba później, w drodze powrotnej. Pamiętam, jak z pianą na ustach dowodził, że niby „będzie panna sto lat nosiła!”, więc do końca okresu gwarancyjnego miałam jeszcze daleko.

Ze wstrętem poszeptałam nad butem i naciągnęłam go na nogę. Podeszwa trzymała, a but nawet zrobił się wygodniejszy, przestał cisnąć w palcach. Humor mi się nieco poprawił i w końcu raczyłam rozejrzeć się uważniej dookoła, ale w tym momencie było już trochę za późno na podziwianie budzącej się do życia przyrody – wyjechałam z lasu, a trawa na jego skraju dopiero co zaczęła nieśmiało przeziierać spod suchych zeszlórocznych kępek.

– I oto, co mamy – stwierdziłam w zamyśleniu, nie doczekawszy się odpowiedzi od kobyły.

W odległości około pięciu sążni od skraju lasu ktoś przybił wprost do pnia rosnącej samotnie brzoźki popękany drogowskaz z ułamanym nosem. Mimo prób nie udało mi się odczytać prawie startych przez deszcze i czas run – ni to „Maliniki”, ni to „Małe Lipki”... Nie widziałam dookoła ani malin, ani lipek, na mapie również nie mogłam znaleźć nic podobnego. Dziwne, mało prawdopodobne, by moja mapa była starsza niż ten szyldzik. Trzeba zapytać miejscowych, gdzie też mnie przywiało – wczoraj wieczorem dla hecy wybrałam zupełnie nieznaną drogę, logicznie zakładając, że raczej nie skończy się w szczerym polu, a pracę dla wiedźmy można znaleźć wszędzie. Lub prawie wszędzie.

Pod pierwszą tabliczką wisiała druga, nowiutka, z wymyślnym napisem „Czary, wróżby oraz pozostałe konszachty z diabłem zabronione są pod groźbą kaźni”.

– Nie to nie – burknęłam półgłosem.

Prawdopodobnie gdzieś w okolicy znajdowała się jakaś większa świątynia, która tym oto prostym

sposobem zwalczała konkurencję. I to mimo królewskiego rozporządzenia, które zrównywało w prawach magię oraz religię! Niestety, tylko na papierze. O ile w stolicy i miastach magowie ze słodkimi uśmiechami wymieniali powitania z dajnymi, o tyle w dalszych rejonach kraju wpływ Konwentu Magów zauważalnie spadał i przechodził w ręce kleru. Nic w tym dziwnego, praktycznie każdy mógł zostać dajnem, a była to praca łatwa i dochodowa, więc chętnych mieli dosyć, by zapełnić swoimi przedstawicielami wszystkie wsie, nawet te najmniejsze. Tymczasem magiczne zdolności wykazywał nie każdy, zaś jedyna na całą Belorię Szkoła Magii, Wróżbiarstwa i Zielarstwa znajdowała się w stolicy, gdzie też pozostawała przeważająca część jej absolwentów.

Na razie miałam dosyć pieniędzy, a doświadczenie podpowiadało, że wystarczy minąć dwie czy trzy niegościnnie wsie i w czwartej wiedźma powitana zostanie ze wszystkimi honorami, po czym potajemnie przybiegną tam mieszkańcy z trzech poprzednich. Bo magii, owszem, można zabronić, lecz modlitwy są słabym substytutem zaklęć, a słowa „Bogowie tak chcieli” niezbyt pocieszają młodego wdowca, którego żona miała pecha napotkać strzygę czy też zmarła w połogu.

Uniosłam się w strzemionach i rozejrzałam. Aha, Lipki-Maliniki były całkiem sporą wsią, mającą nawet plac targowy – w chwili obecnej pusty. Żadnej świątyni nie dostrzegłam. Po lewej stronie, za brzozowym gajem, w dolince lśniło malutkie jezioro, po prawej rozciągały się przecięte jakąś rzeczką ugory, po których małymi stadkami wałęsały się krowy i owce, ze smutkiem kontemplujące burą ziemię z niewielkimi plamkami zieleni. A dalej, za siołem, na porośniętym lasem pagórku... oho!

Zamek był ogromny. Nadal miałam do niego co najmniej pięć wiorst, ale czubki wszystkich ośmiu wież już dumnie wznosiły się nad lasem, przyciągając spojrzenia jaskrawym wzorem z cegieł. Na iglicach tańczyły ostre jęczyczki flag. Nie chciało mi się wierzyć, że wszystkie te wieże otoczone były jednym murem – pomiędzy nimi spokojnie zmieściłoby się nawet osiem zamków. Ale kto wpadłby na to, by stawiać je obok siebie?!

Natychmiast zrozumiałam też, gdzie mnie zaniósł. Żadne tam Maliniki, tylko Maeline-kirren. W języku krasnoludów Krucze Szpony to nazwa największego w Belorii zamku. A wieś najpewniej nazywała się Rozdroże – na słupie przy pierwszych domach wisiała kolejna tablica.

Podjechałam bliżej i przekonałam się o słuszności moich podejrzeń. Rozdroże było jedną z tych wsi, które zaczynają się rozrastać od karczmy stojącej na skrzyżowaniu dróg. Z jednej (tej właśnie, którą przyjechałam) obecnie już prawie nikt widać nie korzystał, gdyż zmieniła się w zwykłą wiejską uliczkę. Druga natomiast w międzyczasie rozszerzyła się prawie do rozmiarów traktu i prowadziła wzwyż, w kierunku zamku.

Mieszkańcy gapili się na mnie nieprzyjaźnie, nie wychodząc z przydomowych podwórek, ale też nie oddalając się od furtek. Wielu demonstracyjnie czyniło znak krzyża i pluło przez ramię, któryś nawet pokazał figę, która jakoby chroniła przed złym okiem (nie pozostałam dłużna i zademonstrowałam delikwentowi inny, nie mniej symboliczny palec). Nawet nie przyszło mi do głowy, by skrywać swój zawód, wręcz przeciwnie, odrzuciłam kaptur kurtki i dumnie wyprostowałam się w siodle, by wszyscy mieli okazję obejrzeć trzepoczące na wietrze rude włosy i rękojeść miecza wiszącego na plecach. W końcu nikt nie bronił mi tędy jechać ani reklamować „konszachtów z diabłem”. Zauważyłam parę zaciekawionych spojrzeń i uśmiechnęłam się z zadowoleniem.

Może powinnam wyjechać za granice wsi, zatrzymać się w najbliższym lasku i poczekać na klientów?

Ale w następnej chwili zauważyłam gospodę i natychmiast zmieniłam plany. Miałam już powyżej uszu wytrząsania sobie flaków w siodle i czerstwych kanapek – wypadałoby dla odmiany trochę dopieścić żołądek, a przy okazji rozprostować nogi oraz część ciała znajdującą się nad nimi.

Lokal nie mógł poszczycić się ani czystością, ani nadmiarem gości. Po moim wejściu opustoszał ostatecznie, a karczmarz, nawet nie spytawszy, czego gość sobie życzy, postawił przede mną wypełniony

jedzeniem talerz.

Ziemniaki były przesolone, ogórki miękkie, a kotlet schabowy podejrzanie przypominał moją oderwaną podeszwę. Jakimś cudem udało mi się nabić to dzieło sztuki kulinarnej na widelec, ale zdjęcie go z powrotem okazało się niewykonalne. Ugryzienia również nie zaryzykowałam, wyobraziwszy sobie dwa szeregi własnych zębów tkwiące tuż obok widelca. Poza tym ktoś chyba wcześniej próbował dobrać się do niego z drugiej strony, ale również bez powodzenia. Ponownie potrząsnęłam widelcem i nieoczekiwanie schabowy ustąpił. Ze złowieszczym szumem rozciął powietrze, lotem koszącym pokonał całą długość karczmy i ostatecznie wylądował w wiadrze z pomyjami, gdzie majestatycznie zatonął. Na twarzy karczmarza pojawił się tęskny grymas – najwidoczniej owo unikalne danie wędrowało ze stołu na stół od samego rana i wchodziło nie tylko do menu obiadowego, ale też do kolacyjnego. Oswobodzonym widelcem zaczęłam ponuro rozmazywać po talerzu ziemniaki. Byłam coraz bardziej głodna, ale nadal nie do tego stopnia, by zmusić się do przełknięcia choćby kęsa tej brei, szkalującej dobre imię jedzenia.

Odłożyłam widelec i spojrzałam przez okno. Dokoła karczmy niemrawo kręcili się jacyś chłopci, którzy co rusz spoglądali na drzwi i wymieniali między sobą jakieś uwagi. Chyba nie mieliby nic przeciwko możliwości wypicia kufelka piwa, ale Smółka, przywiązana koło drzwi, swoimi żółtymi oczyma odstraszała spragnionych, a w środku na dodatek siedziała wiedźma...

Karczmarz już kilka razy przespacerował się koło mojego stołu, a za ostatnim podejściem po prostu stanął obok, znacząco sapiąc mi nad uchem. Odchyliłam się na oparcie krzesła i udawałam, że nic nie zauważam. I w ogóle starałam się robić wrażenie, że mam w planach krótką drzemkę.

– Hej, szanowna pani! – karczmarz nie wytrzymał i podjął inicjatywę. Jakoś nie zauważyłam w jego głosie specjalnego szacunku, lecz wyłącznie pretensję, zaledwie trochę hamowaną lękiem przed wiedźmą. – Zamierza pani płacić czy jak?

– Zamierzam – potwierdziłam chętnie i dla dodania wagi swoim słowom pokręciłam w palcach srebrną monetę. Gospodarz wyciągnął rękę, ale pieniędzy zniknął tak samo niespodziewanie, jak się pojawił. – Ale czy nie robi się tego przed samym wyjściem? Chłop niechętnie skinął głową.

– W takim razie niech szanowny gospodarz idzie i zajmie się swoimi sprawami, bo mnie się nigdzie nie spieszy – zapewniłam uprzejmie, wygodniejsze lokując się na krześle.

– Ma pan tu tak wspaniałe miejsce i doskonałe jedzenie, że człowiek ma ochotę rozciągnąć przyjemność na dłużej. Powiedzmy, do wieczora. A może nawet spędzę tutaj noc. Przecież nie będzie pan miał nic przeciwko, prawda? Karczmarz sapnął jak smok, który porwał księżniczkę i dopiero w jaskini odkrył, że pomylił ją z dziewięćdziesięcioletnią służącą. Przy czym pozbycie się mile połączanej babci wcale nie było łatwiejsze niż bezczelnej wiedźmy, która przeszkadzała mu truć bardziej uległych klientów. Nie wiem, jak w tej sytuacji poradził sobie smok, ale przede mną już po kwadransie stał talerz ze smakowitą kurzą pierśią w gęstym sosie, świeżutką i jeszcze parującą.

– Mam nadzieję, że tym pani wiedźma naje się szybciej – burknął karczmarz chmurnie. Delikatna pierś faktycznie rozpływała się w ustach. Chciałam z czystej złośliwości rozciągnąć sobie przyjemność jeszcze na pół godziny, ale z kretesem przegrałam ze zdrowym apetytem, zmiotłam wszystko w parę minut i ze smutkiem wrzuciłam do pustego talerza monetę.

Odwiązałam kobyłę, z pewnym trudem ulokowałam swoje syte ciało w siodle i wyjechałam za bramę, mając szczerzy zamiar postąpić zgodnie z ułożonym wcześniej planem, ale napotkałam niespodziewaną przeszkodę.

Okazało się, że żądni piwa chłopci nie marnowali czasu. Kiedy ja siedziałam w karczmie, oni zebrali się i wysłali gońca. Nawet gorzej – zdążył on wrócić ze wsparciem.

W moim kierunku zmierzało przynajmniej pięć pudów żelaza – pod dwoma z nich skrywał się rycerz,

pod kolejnymi trzema – jego wierny koń, powoli i majestatycznie przestawiający nogi. Spod długiego srebrzysto-szarego czapraka widać było tylko kudłate pęciny z masywnymi kopytami. Górna część bojowego wierzchowca została zapakowana w hełm z wycięciami na ślepia, uszy i nozdrza, od którego do samego łęku siodła ciągnął się kołnierz z wypolerowanych do blasku plastyn. Jego grzbiet okrywała zbroja ze stalowych pasów, więc jedynym niechronionym miejscem był poruszający się z irytacją ogon.

Jeździec był opancerzony jeszcze solidniej – łatwiej było go spłaszczyc, niż zranić. W lukach między płytami zbroi widoczne były fragmenty kolczugi, przy siodle wisiał wielgachny dwuręczny miecz, który prawie zaczepiał o ziemię. Cały ten majdan wesoło podzwaniał i szczekał przy najlżejszym ruchu, straszył kury i doprowadzał do szału psy.

Za rycerzem w pełnej szacunku odległości truchtał giermek na niewielkim myszaty koniku. Był to ciemnowłosy chłopaczek mniej więcej piętnastoletni, o radosnej i jeszcze pozbawionej zarostu twarzy. Warto zauważyć, że nie niósł ani nie wiózł żadnej broni, a w charakterze zbroi miał na sobie tylko lekką kolczugę do połowy uda, ze zwykłym skórzanym pasem.

Kawalkadę zamykało ze dwadzieścia wiejskich kundli, bezskutecznie usiłujących przeschekać czyniony przez rycerza hałas.

Na widok złotego znaku na srebrnym łańcuchu, wygodnie ulokowanego w zagłębieniu napierśnika, mruknęłam z szacunkiem. Tak samo jak u magów, rycerzy zakonnych najwyższej rangi nazywano mistrzami. Ale nie było się co łudzić – rycerze ci byli ślepo oddani świątyni i nie znali innego określenia na magię niż „paskudne czary” czy „wstrętne sztuczki”. Do wiedźm mieli identyczny stosunek. Spróbowałam cofnąć się na pobocze, ale obaj jeźdźcy skręcili mi naprzeciw i zatrzymali się, niedwuznacznie zagrządzając drogę. Mistrz, wyraźnie się popisując, zmusił swoje „gorącokrwiste” konisko do stanięcia dęba i leniwego pomachania przednimi kopytami. Na ziemię spadły one z takim łomotem, że nabrałam poważnych obaw co do tego, czy jeździec i koń przypadkiem nie rozsypią się na osobne segmenty.

Chyba nie warto dodawać, że ani ja, ani Smółka nawet nie drgnęłyśmy, patrząc na rycerza z tak szczerym zdumieniem, że zawstydzony giermek uciekł spojrzeniem. – Uaa em oaiac z oana wiewea! – dźwięcznie i z przeciąganiem samogłosek doleciało spod przyłbicy.

Moje zdumienie przerodziło się w nie mniej szczerze niezrozumienie, a kobyłka nawet lekko nadstawiła uszu, nasłuchując odbijającego się we wnętrzu zbroi echa.

– Prawdopodobnie szanowny mistrz miał na myśli, że chce rozmawiać z wiedźmą – giermek przyszedł swojemu panu w sukurs.

– Oana? – spytałam podejrzliwie.

– Zaiste tak! – Rycerz w końcu wpadł na to, by podnieść przyłbicę. – Bo wiedźma jest z natury swojej nasieniem mroku, źródłem zła i skupiskiem siły przeklętej na grzesznej ziemi naszej, więc niedopuszczalne jest nazywanie jej inaczej niż „skalana”!

– Schlebia mi pan – mruknęłam. – Ale co dalej? Macie zamiar urozmaicić nudne życie tej porządnej wsi jedynie słuszną i właściwą akcją spalenia mojej skromnej osoby?

– Niestety nie – przyznał mistrz ze smutkiem. – Ja, czyli zakon Białego Kruka w mojej osobie, chcemy cię wynająć.

Uważniej spojrzałam na złotą blaszkę z wyżej wymienionym Białym Krukiem. Ptaszek przypominał raczej kurczaka, i to niebędącego u szczytu formy. Sprawiał wrażenie, jakby biedaczek zakończył żywot na własne życzenie metodą powieszenia się na srebrnym łańcuchu, na którym po dziś dzień dyndał z rozłożonymi skrzydłami, wyciągniętymi łapami i nienaturalnie wygiętą szyją. Sens wypowiedzi rycerza dotarł do mnie dopiero po chwili.

– Wynająć? Mnie?! Raczy pan żartować?

Z chmurnej fizjonomii mistrza dawało się wyczytać, że też wolałby wybrać tę opcję, ale, niestety, nie może.

– Bardzo nie chcę pana zasmucać – zaczęłam delikatnie – ale na skraju lasu wisi pewna tabliczka...

– Wiem... – Rycerz machnął ręką. – Osobiście ją tam przybiłem.

– To ma pan oryginalną metodę informowania przejeżdżających magów o pojawieniu się wolnego etatu! – prychnęłam. Kobyła ochoczo poparła mnie analogicznym, ale znacznie bardziej złośliwym i głośniejszym dźwiękiem.

– Niech nas Bogowie uchowają przed waszym biesowskim plemieniem! – mistrz z irytacją podniósł głos. – Potrzebujemy JEDNEJ wiedźmy do wykonania JEDNEGO zadania. A potem, mimo że jest to sprzeczne z naszymi zasadami, puścimy ją wolno... Rycerz i giermek z niepewnymi minami spojrzeli po sobie, nie rozumiejąc, co mnie tak śmieszy. Zgięta wpół nad łękiem siodła z trudem zdołałam wykrztusić:

– Czy chce mi pan powiedzieć... że pan mnie... złapał?! No ja nie mogę... – No, prawie złapaliśmy – poprawił giermek, zapadając się w sobie pod ciężkim spojrzeniem starszego towarzysza. – Można powiedzieć, że jesteśmy w trakcie...

– Aha... – Lekko klepnęłam się w pierś, przeganiając resztki kipiącego tam śmiechu. – Ale jeżeli się nie przesłyszałam, początkowo padło słowo „wynająć”, a ono chyba zakłada opłatę za moją działalność, czyż nie?

– Owszem – potwierdził mistrz z godnością. – Ty wyświadczasz nam pewną usługę, a my darujemy ci życie i wolność. Moim zdaniem, jest to godna zapłata za twoją wstrętną Bogu działalność.

– Czyli chce pan zapłacić mi, używając w tym celu odebranej mi sakiewki? Nic z tego. Niech pan najpierw spróbuje ją odebrać.

Na policzku rycerza nerwowo drgnął mięsień. Pewnie do tej pory spotykał się wyłącznie z wiejskimi znachorkami, niezdolnymi do utworzenia nawet prościutkiego pulsaru. I chyba nie bardzo miał ochotę sprawdzać, do czego zdolny jest mag bojowy z dyplomem wyższej uczelni. Niestety, było za późno, by mógł się wycofać. Mistrz opuścił przyłbicę i z brzękiem wbił ostrogi w stalowe końskie boki. Wierny rumak zareagował na znany dźwięk i ruszył do przodu.

– Drzyj, siło nieczysta, jako że w rękojeści mojego miecza umieszczono paznokiec z lewej nogi świętego Fenduła i samo dotknięcie go obróci cię w proch!

– Drzę – przyznałam uczciwie. – Straszne paskudztwo i nie mam najmniejszej ochoty go dotykać!

Rycerz ryknął z oburzeniem.

Mój miecz nie zawierał żadnych Fendułów, a poza tym nie miałam zamiaru go wyciągać. Po pierwsze, uczciwa walka (przynajmniej w moim rozumieniu) winna być toczona z użyciem broni, do której każda ze stron przyzwyczajona jest najbardziej. W moim przypadku zdecydowanie nie był to miecz. Po drugie, z pochwy wystawała wyłącznie rękojeść z odłamkiem głowni, której nadal nie udało mi się zastąpić. Przez półtora roku pracy na drogach wymieniłam przynajmniej tuzin wszelakich mieczy – od krasnoludzkich po elfie. Złośliwe klingi uparcie odmawiały współpracy: gubiły się, łamały, gięły albo topiły w trującej krwi potworów. Poza tym pozwalały się ukraść, przypadkiem pomylić w gospodzie, pożyczyć (i zapomnieć o oddaniu) albo zabrać komuś do grobu, a ja „z rozpaczą” zgrzytałam zębami i ponownie sięgałam do sakiewki.

Tak więc po prostu pstryknęłam palcami i rycerz ze swoim Fendulem przeleciał obok, bez sensu machnąwszy mieczem nad czubkiem mojej głowy. Oszukanie ludzkich oczu to najprostsza sztuczka, którą opanowaliśmy na piątym roku, kradnąc jabłka skąpym handlarkom. Mistrz dogalopował do końca ulicy, ściągnął wodze, dezorientowany potrząsnął głową, wycelował miecz jak kopię i zaszarżował po raz drugi... trzeci... i czwarty...

Nad ulicą unosił się tuman kurzu. Chłopi, podzieleni na dwie kibicujące drużyny, witali każdą rundę okrzykami zachwytu lub rozczarowania. Ja i Smółka z zaciekawieniem tylko obracałyśmy głowy to w jedną, to w drugą stronę, nie ruszając się z miejsca.

Ostatecznie mistrz uznał, że zmieni taktykę, i ruszył w naszym kierunku z powolnością ciężkiej balisty załadowanej mieczem o długości dwóch arszynów .

Wyglądało to dosyć efektownie i nawet się leciutko zaniepokoiłam, ale w tym momencie Smółka kokieteryjnie wygięła szyję i cienko zarżała, jakby pytająco.

Polowanie na wiedźmę zostało tymczasowo przerwane – rumak bojowy okazał się ogierem, który przejawiał spore zainteresowanie moją towarzyszką i zatańczył tak, że rycerzowi zadzwoniły wszystkie złączki. Mistrz z wściekłością ściągnął wodze, ale jego wierzchowiec uznał, że zademonstruje charakter, i zaczął kręcić się w miejscu, próbując ponownie stanąć dęba, tym razem z własnej inicjatywy. Osobiście byłam bardzo ciekawa tutejszych metod polowania na wiedźmy, więc nie śpieszyłam się w dalszą drogę, że to niby mam jakieś niecierpiące zwłoki sprawy. Giermek podjechał bliżej i razem z westchnieniami oraz jękami witaliśmy każdy podskok ogiera. Mistrz ostatecznie zrezygnował z prób uspokojenia wierzchowca, rzucił wodze i miecz, przytulił się do końskiej szyi i desperacko trzymał jej obiema rękami.

– Ehem... pani wiedźmo – zaczął chłopak niepewnie, nie odrywając spojrzenia od zachwycającego widowiska. – A może się pani podda dobrowolnie?

– Za nic – odparłam nieuważnie, z zadowoleniem obserwując, jak rycerz zaczyna powoli zwisać na lewą stronę. – Będę walczyć do ostatniej kropli krwi...

– A jeżeli wyznaczmy jakąś kwotę za pani złapanie i pani zgłosi się po nią jako pierwsza?

Spojrzałam na giermka ze znacznie większym zainteresowaniem i uwagą niż początkowo. Prosta, dobrodusznna i otwarta twarz, ale z podbródkiem zwiastującym siłę woli. Brązowe oczy, patrzące zbyt poważnie na tak młody wiek. Z takich dzieciaków po jakimś czasie wyrastają albo wierni sojusznicy, albo groźni wrogowie. Ale tak czy siak chwilowo nie miał nawet prawa do własnego miecza, a myszaty konik przyzwyczajony był raczej do ciągnięcia wózka, a nie noszenia siodła.

– Zależy od wielkości sumy – powiedziałam ostrożnie.

Chłopak skwapliwie odczepił od pasa sakiewkę i rzucił ją w moim kierunku. Woreczek nieoczekiwanie przyjemnie ciążył w rękę. Rozwiązałam, zajrzałam. Oho! Wyglądało na to, że w środku było nie mniej niż pięćdziesiąt kładni w złocie. Oczywiście należało sprawdzić, jaką robotę próbowali mi wcisnąć, ale w razie czego zawsze można zażądać dodatku za ryzyko. Bo właśnie się okazało, że złapanie wiedźmy to praca dosyć niebezpieczna, skomplikowana i niewdzięczna... Łup! Mistrz rąbnął o ziemię, zagłębiając się w niej prawie na pół piędzi . Koń natychmiast zastygł nieruchomo, podziwiając rezultat swoich popisów.

– No dobra – stwierdziłam krótko, chowając sakiewkę do torby podróźnej koło ziół. – Niczego nie obiecuję, ale spróbuję wam tę paskudę złapać.

Giermek rzucił mi wdzięczne i przeprasające spojrzenie, po czym zeskoczył z konia, podbiegł do leżącego na wznak rycerza, kucnął przy nim i z szacunkiem uniósł mu przyłbicę.

– Panie, zwycięstwo, ona się poddaje!

– Bardzo dobrze – burknął mistrz, poruszając kończynami jak leżący na grzbiecie żuk.

– Tiwał, pomóż mi się podnieść!

Chłopak złapał rycerza pod pachy i cały czerwony z wysiłku ustawił go na powrót do pionu. Mistrz nawet nie spojrzał na wiedźmę, którą z takim trudem pojmał, tylko zaczął z sapaniem włązić na zastygłego jak słup konia. Najtrudniejsze okazało się podniesienie nogi do rzemienia, a już do jej usunięcia niezbędny okazał się Giermek – na szczęście metalowy czubek buta był wygodnie spiczasty.

Mistrz chwilę chwiał się na jednej nodze, po czym jednak ulokował się w siodle i dopiero wtedy raczył zwrócić na mnie uwagę.

Posłałam mu czarujący uśmiech. Poczerwieniał, ale nie dał się sprowokować.

– I jeszcze jedno – dodał sucho. – Skoro już po modlitwie i z krwawiącym sercem zdecydowaliśmy się uciec do pomocy sił nieczystych, to powinny być to siły najwyższej próby, a nie jakieś żalosne sztuczki wędrownych szarlatanów! Wzruszyłam ramionami. Takie wymagania były całkiem zasadne, choć wolałabym, aby wypowiedziano je innym tonem. Pogrzebałam w torbie i wyciągnęłam z niej obszarpany zwój z tłustymi plamami i przyklejonymi okruchami – świadectwo ukończenia Szkoły Magii z następującą po tym listą zajmowanych stanowisk – który podałam mistrzowi. Rycerz ze wstrętem dwoma palcami złapał zwój za róg, potrząsnął, by rozwinąć, i zaczął czytać. Po pierwszym wierszu jego oczy ze zdumienia wyszły z orbit, po drugim pergamin wyślizgnął się ze słabnących palców, zwinął w locie i wskoczył do mojej nadstawionej dłoni.

– No więc, szanowny mistrzu, czy moje rekomendacje są dla pana wystarczające? – spytałam możliwie niewinnym tonem.

– Tttak, skala... pani wiedźmo, bardziej niż.

– Doskonale. – Ujęłam wodze, trąciłam Smółkę obcasem i zszokowany mistrz bez słowa sprzeciwu pozwolił mi stanąć na czele oddziału „łapaczy”.

* * *

Z bliska zamek wręcz oszałamiał rozmiarami, górując nade mną jak skała. Niezdobyta oczywiście. Wzdłuż wokół murów obronnych ciągnęła się szeroka fosa z wkopanymi w dno palami. Ponieważ w najbliższym okresie nie spodziewano się wrogów, fosa była w remoncie i wody w niej było akurat tyle, by kura przeszła ją w bród. Zgarnięci z Rozdroża chłopci sprawnie machali szerokimi łopatami, wyczerpując zebrany przez lata muł. Obok fosy stał wóz z zaciosanymi kołkami, mającymi zastąpić te nadgniłe. Po hałdach wyrzuconego na brzeg mułu skakały wielkie oburzone żaby. Jakoś nie rzucały się w oczy zardzewiałe zbroje, czaszki czy inne świadectwa sławnych bitew. Wrogowie (zwykle stepowi orkowie, chociaż czasami zdarzało się, że na belorskie ziemie wybierali i się też najbliżsi sąsiedzi – Winessa i Wolmenia) zbliżali się do zamku, tak samo jak ja podnosili głowy, gwizdali, mówili „Poszukajcie sobie innych durniów!” i szli walczyć gdzie indziej, nawet nie próbując rozpocząć oblężenia. Rycerze kłęli, wyłazili zza wysokich murów i doganiali niesumiennego przeciwnika w szczerym polu I tudzież maszerowali bezpośrednio na miejsce spotkania z regularnym wojskiem.

Zamek zbudowany został przez krasnoludy – powoli, ale bardzo solidnie. Przez całe sto trzydzieści lat, dopóki kolejny król nie wpadł na to, by wprowadzić opłatę za całość zamiast czasowej. Nie minęły trzy miesiące i Krucze Szpony zostały uroczyście oddane do użytku. Ale ponieważ wrogowie nie docenili pracy, która została wykonana na ich cześć, twierdzą obronną przekształcono w szkołę rycerską, która regularnie dostarczała dzielnych wojaków do belorskiego legionu.

Na tamten brzeg można było się przedostać, wyłączając przekraczając jeden jedyny zwodzony most (oczywiście nie wliczając wszelakich tajemnych przejść, których każda szanująca się twierdza powinna mieć aż nadto). Oprócz masywnej bramy, wzmocnionej stalowymi okuciami, wejście bronione było przez kratę ze sterczącymi na zewnątrz kokami długości dłoni. Ale to nie koniec – za kratą zaczynał się długi, stosunkowo wąski korytarz z bramkami wypadowymi po bokach. Pod stropem czerniały prostokątne okienka, przez które łucznicy mogli bez przeszkód rozstrzelać napastników nierozmyślnie wkraczających do korytarza. Bronienie się tutaj byłoby prawdziwą przyjemnością. Szkoda tylko, że wrogowie nigdy nie sprezentowali twierdzy prawdziwego oblężenia.

W tej chwili most był opuszczony, wszystkie bramy otwarte, a kratownica podniesiona. Obok wejścia, zabijając czas niespieszną rozmową, stało dwóch wartowników, opartych leniwie o mur. Na nasz widok błyskawicznie się wyprostowali, chrzęszcząc kolczugami.

Niespodziewanie zorientowałam się, że już nie słyszę tupotu kopyt i szczękania zbroi za plecami. Zatrzymałam kobyłę i spojrzałam do tyłu. Rycerz i jego giermek stali w odległości pięciu kroków od mostu, obserwując mnie z dziwnie zachłanną ciekawością.

– Ale o co chodzi? – spytałam podejrzliwie. – Tylko nie mówcie, że specjalnie w oczekiwaniu na moją skromną osobę podpiłowaliście most!

– Ależ, panno wiedźmo, co też pani mówi! – obruszył się chłopak, objechał Smolkę i jako pierwszy pokonał most. Zatrzymał się koło bramy, zawrócił konia i znowu się zagapił.

O dziwo, na twarzach strażników widziałam ten sam wyczekujący wyraz, a nawet wymienili szeptany komentarz, a następnie uścisnęli sobie ręce, zawierając jakiś zakład.

Koło mnie, demonstracyjnie nie śpiesząc się ani nie oglądając do tyłu, przejechał mistrz.

Dalsze oczekiwanie było głupie. Zwykły most, szeroki, solidny, na dwóch grubych łańcuchach. Swobodnie mogły przemaszerować po nim cztery kolumny w ciężkich zbrojach, nie powodując nawet zachwiania. Wzruszyłam ramionami, po czym władczo cmoknęłam i potrząsnęłam wodzami. Praca to praca i dziwactwa klientów nie powinny mnie obchodzić.

Gdy tylko Smółka postawiła kopyto na drugim brzegu, wszyscy odetchnęli z ulgą, wymieniając porozumiewawcze spojrzenia. Mistrz dał znak, bym jechała za nim, i skierował konia pod łukowaty strop mrocznej galerii.

– Może mi to jednak wyjaśnisz? – szeptem spytałam giermka, który został w tyle i zrównał się ze mną. Chłopak zerknął na swojego pana i również zniżonym głosem odparł:

– Wieść niesie, że ten most został przeklęty i każda wkraczająca na niego kobieta natychmiast pada trupem.

– Co?! – Z oburzenia nawet się zatrzymałam. – A wcześniej nie mogłeś tego powiedzieć?!

– Ale przecież pani jest wiedźmą – wymamrotał chłopak zawstydzony.

– No właśnie! Wiedźmą, a nie czarownikiem! Czy wszystkie „skupiska zła” dla was wyglądają tak samo?

– Oczywiście, że nie – błyskawicznie poprawił się Tiwal. – Rozumiem doskonale, że poza tym jest pani czarującą kobietą, ale czy wiedźmie może zaszkodzić jakieś tam przekleństwo?

„I to jak!” – omal mi się nie wyrwało, ale w ostatniej chwili ugryzłam się w język. Nie należy podkopywać własnej reputacji, tym bardziej że przekleństwo nie zadziałało, a ja nie poczułam żadnej magii na moście. Pewnie plotka ta została rozpuszczona przez mistrzów i miała na celu wspomoczenie pozostałych braci w dochowaniu świętych ślubów celibatu – przynajmniej w obrębie zamkowych murów.

– A gdybym z zaskoczenia odbiła przekleństwo na kogoś z was? – znalazłam właściwą odpowiedź.

Z jakiegoś powodu ta kusząca perspektywa rycerzom się nie spodobała. Chłopak pośpiesznie cofnął się pod ścianę, a mistrz opuścił przyłbicę. Korytarz się skończył, a zamek nadal nie zaczął. Mur obronny łączył osiem wież strażniczych – Szponów, a na przestrzeni pomiędzy nim a właściwym zamkiem bez problemu mieściły się stajnie, kuźnia, ogrodzone szranki oraz niziutka piekarnia z dwoma kominami, skąd dolatywał smakowity zapach świeżego chleba. Dotarliśmy do bramy zamku, która nie była w niczym gorsza od zewnętrznej, i zsiadliśmy z koni. Od strony stajni już biegła dwójka koniuchów, którzy odebrali od nas wierzchowce. Kolejny długi korytarz (tym razem bez okienek strzelniczych, za to z trzema zakratowanymi drzwiami) i znalazłam się w samym sercu Kruczych Szponów – na dziedzińcu wewnętrznym.

Było tu cicho i chłodno, z góry dobiegało ciche gruchanie gołębi. Rozłożyste całoroczne bluszcze

zarzucały pęta aż do samego gzymsu. Pośrodku dziedzińca stała niewielka kryta dachówką sześciokątna altanka, udekorowana na szczycie drewnianą podobizną kruka. Przyjrzałam się lepiej i stwierdziłam, że to studnia z wysoką cembrowiną.

Środkowy dziedziniec czterema arkadami otwierał się na mniejsze podwórce. Do wnętrza prowadziło szesnaście jednakowych wejść z niskimi gankami (natychmiast powzięłam podejrzenie, że połowa z nich jest fałszywa i zamurowana cegłą w celu zmylenia wroga). Właśnie do jednego z nich skierował się mistrz.

Wydawałoby się, że tak gigantyczny zamek powinien mieć również szerokie korytarze – ale nic z tego! Owszem, były wysokie, na trzykrotność mojego wzrostu, ale musieliśmy iść po nich gęsiego. Co prawda często rozszerzały się w tak samo niewielkie pokoje ze strzelistymi sufitami i drzwiami w bocznych ścianach. Niektóre były otwarte, a za nimi widniały identyczne korytarze, różniące się wyłącznie sposobem oświetlenia – pochodniami na ścianach lub promieniami słońca wpadającymi przez zakratowane okna. Sama zablądziłabym tu w ciągu kilku minut i nie miałam pojęcia, czy tego losu wcześniej nie dostąpiło parę tuzinów rycerzy i czy ich smętne szczątki...

– A gdzie są wszyscy? – spytałam, dziwiąc się panującej na korytarzach ciszy.

– Pora obiadu – wyjaśnił giermek. – Bracia znajdują się w jadalni i my również się tam udajemy.

„Udawanie” prowadziło po kręconych schodach, które zwijały się w kamienny korkociąg. Ni to krasnoludy zapomniały się i zbudowały je na swoje gabaryty, ni to w planach oznaczono je jako pułapkę na szczególnie grubych przeciwników. Przynajmniej ja już po pierwszym kółku miałam okazję doświadczyć wszystkich uroków klaustrofobii. Lewej ściany dotykałam lekko odstawionym łokciem, a centralnego słupa bokiem, gdy instynktownie pochylałam się, by nie walnąć głową o niski sufit. Mistrz chyba o tym zapominał, ponieważ z przodu regularnie dolatywały niemelodyjne metaliczne brzdęknięcia i tak samo niemelodyjne przekleństwa.

– Czy to jest jedyna droga na górę? – wysapałam, gdy po dziesiątym tuzinie stopni w końcu trafiliśmy na drzwi i zatrzymaliśmy się, by złapać oddech.

– Nie, panno wiédźmo. To przejście tajemne. Korzystają z niego wyłącznie mistrzowie albo specjalni goście. Cała reszta wchodzi na piętro po czterech zwykłych schodach. Ale na drugie piętro, gdzie mieszkają mistrzowie, prowadzą tylko kręcone.

– A macie tu trzecie piętro?

– Tak jest, wieżę. Właśnie w niej pani zamieszka... znaczy zostanie zamknięta – szybko poprawił się chłopaczek, zerkając na mistrza.

Jęknęłam w myśli, wyobrażając sobie trzy kolejne ciągi schodów. Ponownie ruszyliśmy, a giermek kontynuował z zapalem:

– Mamy legendę o sławnym rycerzu, który jako pierwszy zauważył wrogie wojsko, złodziejsko przekradające się przez las dookoła zamku. Aby szybciej donieść tę ważną nowinę do modlących się w wieży mistrzów, ten odważny mąż bez zatrzymywania się przebiegł wszystkie trzysta osiemdziesiąt siedem stopni i padł bez tchu!

– A nie macie przypadkiem pokoju... czy znaczy celi... gdzieś w piwnicy? – poprosiłam żałośnie. – Jakiejś sali tortur czy czegoś w tym stylu?

– Mamy, ale upiór chodzi tylko po górnych piętrach, więc i tak będzie pani musiała... – chłopak urwał, pojmując, że się wygadał.

– Jaki up... – zaczęłam, ale mistrz bez zatrzymywania się, z irytacją pchnął ciężkie dwuskrzydłowe drzwi.

Otworzyły się nieoczekiwanie lekko i łupnęły o ściany, a następnie odbiły się i pomknęły z powrotem. Nie zdążyłam przemknąć śladem rycerza, więc podniosłam ręce, jak zawsze zastępując zwykłe pchnięcie

magicznym. Albo źle oszacowałam moc, albo drzwi były lekko nadpróchniałe, ale niespodziewanie dla mnie samej rozleciały się z trzaskiem na spore odłamki, które zasypały podłogę w promieniu dwudziestu łokci.

Oczywiście tak efektowne wejście nie przeszło niezauważone. Patrzyły na mnie przynajmniej cztery setki oczu, z czego dwie dziesiątki – spod najbliższego stołu. Ich właściciele musieli zapewne siedzieć tam w zasadzce, bo w końcu pojęcia rycerz i tchórz są wewnętrznie sprzeczne, przynajmniej jeżeli wierzyć kodeksowi rycerskiemu, który miał identyczną moc jak królewski rozkaz o magach i dajnach. Odchrząknęłam.

– Przepraszam – mruknęłam w zapadłej ciszy. – To był wypadek... Wyraz twarzy wszystkich zebranych osób demonstrował bardzo głębokie zwątpienie w tej materii.

– Oto wiedźma! – Mistrz ze wstrętem pokazał mi palcem.

W odpowiedzi spojrzałam na ów palec tak znacząco, że rycerz cofnął go spiesźnie, po czym ściągnął metalową rękawicę i obejrzał dłoń w celu oszacowania ewentualnych strat.

Oświadczenie nie wywołało szczególnego zdziwienia. Chyba wszyscy doskonale wiedzieli, gdzie i w jakim celu się udawał. Młodzież oglądała mnie z bojaźliwą ciekawością, starsi rycerze bezskutecznie próbowali ukryć identyczne uczucie za pełną wyższości pogardą. Zresztą zauważyłam również kilka bezpośrednich, spokojnych i oceniających spojrzeń. Ich autorzy nawet lekko się skłonili, witając damę. Sala jadalna była ogromna, większa nawet niż królewska sala posłuchań. Przy stołach najbliżej ścian siedzieli giermkowie, w kolejnym rzędzie młodzi rycerze, a w trzecim – starzy wyjadacze, wygodnie rozparci na krzesłach. Na samym środku znajdował się stół mistrzów. Pięć krzeseł z dziewięciu było pustych, zaś jedno wyróżniało się wyższym i bardziej masywnym oparciem, zdobionym kamieniami szlachetnymi. „Mój” mistrz ruszył w kierunku skromniejszego siedziska, a jego giermek z szacunkiem podsunął mi sąsiednie i stanął za jego oparciem.

Nieoczekiwanie gwar w sali ucichł. Nawet mistrzowie zerwali się ze swoich miejsc i wyciągnęli na baczność, odprowadzając spojrzeniem siwego mężczyznę około sześćdziesiątki, który powoli zmierzał w kierunku środkowego stołu. Nie miał przy sobie broni, a ubrany był w długą białą szatę ze złocistym haftem na piersi. Oczywiście przedstawiał on kruka. Spojrzałam pytająco na Tiwala.

– To przywódca zakonu, wielki mistrz – szepnął z nabożnym szacunkiem. – Przez ostatnie dwa tygodnie umartwiał swe ciało głodem i samobiczowaniem, błagając świętego Fenduła, by ochronił nas przed złem!

Wielki mistrz istotnie miał na sobie trochę za dużo tego ciała, wystarczyłoby jeszcze na jakieś pół roku umartwiania. Ot, taki dobroduszny grubasek, który już dawno zrezygnował z machania mieczem i spoczął na zasłużonych laurach. Krocząc przez salę, mimochodem rozczochrał włosy zawstydzonego nastolatka, zamienił kilka słów z rycerzem, który natychmiast zrobił się cały czerwony, i – o dziwo – całkiem przyjaźnie skinął głową w kierunku mojej skromnej osoby. Naturalnie bezczelnie siedzącej. Przed zajęciem miejsca wielki mistrz złożył ręce na piersi i pochylił głowę.

– Bracia, pomódlmy się i podziękujmy świętemu Fendułowi za zesłaną nam strawę! Rzuciłam okiem na stół. Chyba święty był dosyć bliskim krewnym karczmarza z Rozdroża: na większości półmisków leżały ćwiartki cebuli, grubo pokrojony chleb i ser wątpliwej świeżości, a rozstawione pomiędzy talerzami karafki zawierały zwykłą wodę (bez skrępowania przechyliłam jedną i powąchałam).

Tu i ówdzie w samotności leżały kadłubki smażonych kurcząt, przywodzące na myśl ptasi pomór, w trakcie którego jako pierwsi zdychają pisklęta i szacowni starcy. Samotny szczupak z prerażeniem spoglądał na tłum głodnych rycerzy, którzy już zabrali się do organizowania turnieju o prawo do jego zimnego trupa. Rycerze, również mając świadomość stanu rzeczy, nie przeciągali modłów dziękczynnych. Ale gdy tylko opuścili ręce, celując w najbliższe kurczęta, wielki mistrz jeszcze bardziej uroczystym

tonem ogłosił:

– Bracia! Patrzę na ten przepych, który równocześnie cieszy mnie i smuci, bo pogrzęźliśmy w grzechu obżarstwa...

Na wszelki wypadek jeszcze raz zerknęłam na stół, nadaremno próbując wykryć na nim ten przepych.

– ... który ciężkim kamieniem pada do już i tak przepełnionej czary naszych występków, dając mieszkającemu w zamku złu dodatkową moc. Tak więc proponuję, byśmy ogłosili trzydniowy nieplanowy post ku czci świętego Fenduła i na pohybel upiora. Oczywiście jest to rzecz całkowicie dobrowolna i w żadnym razie nie będziemy osądzać tych wątlej wiary...

Wątlą wiarą nie wykazał się nikt z zebranych, mimo że aprobujący uśmiech mistrza był słabym substytutem uciekających sprzed nosa kalorii. Usługujący w sali chłopcy błyskawicznie zebrali i odnieśli do kuchni podstępne kury, oskarżone o wspomaganie upiora. Rycerze posępnie chrzęścili cebulą, próbując nie patrzeć ani nie oddychać w kierunku towarzyszy. Ja jeszcze nie zdążyłam zgłodnieć, a wielki mistrz usilnie się umartwiał, więc nic nie stało na przeszkodzie, byśmy rozpoczęli rozmowę o interesach. Oczywiście po kwiecistym wstępie na temat mojego wyjątkowo paskudnego zawodu. Pamiętając, że klient ma zawsze rację, wysłuchałam go z uwagą, ale uprzejmie odmówiłam przekwalifikowania się na dajnę. Zresztą mistrz zbyt nie nalegał, w końcu akurat teraz znacznie bardziej potrzebował wiedzy. Okazało się, że wspomniany już upiór spacerował po zamku bynajmniej nie w celach zdrowotnych czy rozrywkowych. Chociaż z jego punktu widzenia mogła to być rozrywka, tylko dosyć osobliwa. Zakon stracił siedmiu ludzi w ciągu trzech miesięcy! Szczególnego pecha mieli mistrzowie i rycerze, giermek trafił mu się wyłącznie jeden, a i ten w towarzystwie swego pana.

– A czy jest pan całkowicie pewien, że to upiór, a nie, powiedzmy, strzyga? – sprecyzowałam.

– Strzyga, upiór, duch, tego nie wiemy – westchnął wielki mistrz. – Ale pojawia się w nocy, w zardzewiałej zbroi, siedząc na rozkładającym się koniu, i przenika nawet do zamkowych wież, po czym znika bez śladu, przechodząc przez ściany. Zamyśliłam się na dłuższą chwilę. Z jednej strony przez ściany... ale z drugiej – na wpół rozłożony trup konia... którego można podnieść z mogiły, wyłącznie używając magii, bo zwierzęta nie mają paskudnego zwyczaju wracania z tamtego świata w celu polowania na rycerzy. Nie, musiałam sama obejrzeć ten cud natury. Najlepiej zza węgła, by następnie w spokoju zastanowić się, czy nie zażądać podwyżki z uwagi na szkodliwe warunki pracy.

– Zjada ich? – spytałam rzeczowo. – Albo przynajmniej nadgryza? Połowa rycerzy odłożyła łyżki, dziękując świętemu Fendułowi, że nie skusili się na bardziej sycącą strawę, która próbowałaby teraz z wielkim entuzjazmem wydostać się na zewnątrz. Wielki mistrz powoli pokręcił głową.

– Tylko zabija. Zatrutą klingą wprost w serce, ale cios jest zadawany w plecy.

„Wygląda jednak na upiora. Czyli chodzącego trupa, który z nieznanego powodu wyszedł ze swojej wygodnej mogiłki. Strzyga by nie wytrzymała i choć odrobinę nadgryzła, a duchy nie używają materialnej broni, pomyślałam.

– A czy przed wynajęciem... znaczy się złapaniem mnie, próbowaliście sami znaleźć na niego jakiś sposób?

– Oczywiście, wypróbowaliśmy wszystkie możliwe i niemożliwe metody: trzy po trzydzieści razy przeczytaliśmy modlitwy oczyszczające, skropiliśmy zamek święconą wodą i paliliśmy antybiesowe kadzidła, jak również złożyliśmy wiele słuszych ślubów, ale bez skutku...

– A czy próbowaliście może stawiać pułapki pod drzwiami? Mistrzowie poczęli szemrać z oburzeniem, ale wielki mistrz uciszył ich jednym ruchem dłoni i uśmiechnął się nieoczekiwanie.

– Przyznam, że miałem podobne myśli. Ale ponieważ mamy w zamku jednego upiora i tysiąc razy więcej żywych braci, działająca pułapka wpędzałaby ich w grzech przeklinania i mam wrażenie, że niewielu potrafiłoby uchronić się przed pokusą. Po sali przetoczyła się fala śmiechu potwierdzająca, że

wrażenie to jest jak najbardziej słuszne.

– No dobrze, a jeśli po prostu zamknąć drzwi od wewnątrz?

– Zasuwy nie chronią przed upiorem. Może pojawiać się na samym środku komnaty, kilka razy musieliśmy wyważać drzwi zamknięte od wewnątrz. A czasami mimo srogiego zakazu bracia otwierali mu sami! I tego kompletnie nie rozumiem... Skłonna byłam się zgodzić, że było to bardzo osobliwe. Wszystkie upiory, jakie napotkałam na swojej drodze, nie zachęcały do nawiązywania bliższej znajomości i przyjacielskich objęć. Miały one tylko jedną pożyteczną cechę – były wyjątkowo tępe, co pozwalało bez większego trudu wpakować je z powrotem do mogiły. Jednak żaden z nich nie potrafiłby przejść przez ścianę, o ile oczywiście nie było w niej magicznego portalu czy jakiegoś zwykłego tajemnego przejścia. Bardziej skłaniałam się ku tej drugiej możliwości – wniosując ze zbroi, że życia upiór siadywał przy jednym z tych stołów, więc znał Krucze Szpony jak swoje dwieście sześć kości.

– Dostanę mapę zamku?

Wielki mistrz ze smutkiem rozłożył ręce:

– Niestety, takowej nie posiadamy. Krasnoludy przekazały nam jeden jedyny egzemplarz, ale podczas fałszywego alarmu bojowego został on wraz z mapą okolicznych terenów dobrowolnie zjedzony przez jednego z naszych braci, który pragnął uchronić go przed dostaniem się w ręce wroga. Mimo wszelkich prób nie udało nam się odtworzyć mapy, ponieważ zamek jest ogromny, a jego korytarze niezbadane.

– Zauważyłam.

Pomyślałam ironicznie, że przy tutejszym wikcie mapa mogłaby uchodzić nawet za delikates. Czyli o pomyśle z tajemnym przejściem należało zapomnieć. Znałam krasnoludy na tyle dobrze, by wiedzieć, że mogłabym go szukać do samej śmierci – a raczej do momentu, gdy zaintrygowany upiór poklepie mnie po ramieniu od tyłu. Sprawdzenie zamku pod kątem śladów magii było wiele prostsze i właśnie od tego należało zacząć. W każdym razie czekało mnie spanie w dzień, żeby wszechobecny szkielet nie mógł mi zakłócić nocnego odpoczynku. Większość rycerzy chyba robiła to samo, bo zauważyłam, jak ukradkiem ziewają w kułak.

– Ale damy pani coś lepszego – uroczyście obiecał mistrz, lśniąc przeciwionym na „braciach” uśmiechem. – Tiwal! Podczas pobytu panny wiedźmy w zamku będziesz jej wszędzie towarzyszył.

Szczęki moja i giermka opadły równocześnie.

– On?! Po co?! – Ja?! Za co?!

– Dla bezpieczeństwa – wyjaśnił wielki mistrz mgliście.

Nie sprecyzował, czyje bezpieczeństwo miał na myśli, ale chyba raczej nie moje. Sprzeciw z góry skazany był na porażkę. Swoją drogą, i tak bardzo mnie dziwiło, że odważyli się wpuścić lisicę do kurnika, czyli wiedźmę do zamku. Tiwal skinął głową z wyjątkowo nieszczęśliwym wyrazem twarzy, przyjmując rozkaz. No dobrze, w razie czego i tak nie zdoła mi przeszkodzić, a jeżeli będzie co godzinę biegał do mistrza z meldunkami, to proszę bardzo, ja nie mam nic przeciwko. Szczególnie pamiętając o...

* * *

– ... dwieście dziewięćdziesiąt jeden... dwieście dziewięćdziesiąt dwa... Giermek pokornie włókł się z tyłu, podzwaniając kolczugą i sapiąc.

– A niech to leszy! – Potknęłam się i zgubiłam watek. – Ile ich tam było?

– Trzysta siedem, panno wiedźmo.

– Jesteś pewien?

– Chce pani wrócić i przeliczyć wszystkie od początku?

Byłam do tego stopnia wykończona, że puściłam docinek płazem. Na trzecie piętro wpełzałam już niemal na czworakach. Czy nie prościej było zamiast tego wężyka dookoła słupa zbudować normalne schody? Przecież byłyby pięć albo i dziesięć razy krótsze! Sufity na pierwszym i drugim piętrze były niżej niż na parterze, tak na dwie moje wysokości z podskokiem, ale sądząc z odczuć, wspięłam się już na jakieś sto sążni. Nawet nie to, że straszliwie zmęczyły mi się nogi, ale zwyczajnie miałam zawroty głowy. Chłopak coś mamrotał, że „do tarasu obserwacyjnego pozostało ledwo cztery tuziny stopni, a stamtąd ma pani niesamowity widok na okolice...” – ale nie okazałam cienia zainteresowania widoczkami, więc zamilkł. Na ostatnim piętrze, płynnie przechodzącym we właściwą wieżę, było tylko pięć komnat, a raczej cel o wymiarach półtora na dwa sążnie. Mogłam wybrać sobie dowolną z nich, przy czym różnica była mniej więcej taka sama jak między przysłowiovym diabłem a demonem. Smętnie obejrzałam mniej niż skromne umeblowanie w postaci ławy z brzoźowym polanem po jednej stronie, które po dłuższej chwili zidentyfikowałam jako łóżko i poduszkę.

– Brakuje mi tylko deski zamiast kołdry! I to ma być pokój dla gości?! Specjalnie, żeby się nie zasiedzieli, czy raczej nie zaleźeli?

– No co też pani, panno więdźmo, mistrzowie wyświadczyli pani ogromny honor! – odparł Tiwał. – Do tych cel bracia udają się, kiedy pragną uciec od pełnego pokus świata, pograć się w modlitwie oraz rozmyślaniach o wieczności.

– A jeśli ja mam inne wartości życiowe?

– No dobrze, zaraz przyniosę pani poduszkę i siennik – westchnął giermek z rezygnacją, odwracając się w kierunku trzystustopniowej dziury.

Metodą losowania wybrałam jedną z cel, podniosłam z podłogi torby (jedna zawierała mój dobytek, a druga eliksiry, kilka książek i niespójne strzępy notatek podróźnych, które w przyszłości miały zmienić się w dysertację) i wciągnęłam je do środka. Z pojedynczego okna rozciągał się dosyć smętny widok na wewnętrzne dziedzińce, plac do ćwiczeń oraz mury obronne z kawałkiem nieba. Dziwne, skoro do wierzchołka wieży rzekomo pozostało tylko pięćdziesiąt schodków, to jakim cudem miałabym zobaczyć stamtąd coś ciekawszego? A może każdy stopień był wysokości człowieka?! Zaczęłam od opukania ścian – oczywiście nie wszystkich, lecz tylko najbardziej podejrzanych kamyczków. Z niezadowoleniem podmuchałam na bolące kostki i zdecydowałam, że nie ma sensu marnować czasu i palców, po czym nałożyłam na ściany zakłęcie cementujące. Niechaj ten ich upiór postoi teraz w tym swoim tajemnym przejściu, próbując otworzyć zaklinowane drzwi! Giermek wrócił podejrzanie szybko, jak gdyby leciał na dół galopem, a na górę towarzyszył mu depczący po piętach upiór. Pościeliłam łóżko i szczodrym gestem zaproponowałam chłopakowi polano („Podłóżysz pod głowę dwa naraz, będzie bardziej międko!”), ale on ze skrępowaniem przyznał, że z niewiadomego powodu na razie nie nawiedzały go myśli o wieczności, więc dla siebie również przyniósł koc.

– Panno więdźmo, a co będziemy teraz robić? – nie wytrzymał, widząc brak jakichkolwiek śladów przygotowań do łapania upiora.

Ja tymczasem zdążyłam zrzucić buty oraz rozciągnąć się na leżącym na łóżku kocu, więc teraz tylko z niezadowoleniem spojrzałam na Tiwala jednym okiem.

– Osobiście mam zamiar się przespać. Więc bądź tak miły i idź sobie stąd, tylko nie zapomnij zamknąć drzwi.

– A co z upiorem?! – Chłopak zdębiał.

– Jeśli na niego wpadniesz, to poproś, żeby zgłosił się do mnie za parę godzin.

– Ale...

– Słuchaj – powiedziała, starając się zachować cierpliwość. – Wczoraj miałam bardzo ciężki dzień we wsi ogarniętej krowim pomorem. W nocy z jakiegoś powodu nie spodobałam się stadu leśnych

raskwyrów, a do obiadu trzęsłam się w siodle, tak więc w chwili obecnej absolutnie nie mam nastroju na uganianie się za waszym beczelnym szkieletem. Więc do rana masz wolne.

– Do rana?! Przecież do zmroku jeszcze daleko!

– Cieszy mnie to bardzo, akurat zdążę odespać obie noce, tę i poprzednią. Giermek pokręcił się dookoła łóżka, powzdychał z wyrzutem, ale nie zdecydował się nalegać.

* * *

Koło północy cichutko otworzyłam drzwi i rozejrzałam się. Aha, uwierzył! I chrapie w sąsiedniej celi tak, że nawet przez ścianę słysząc. Pod żadnym pozorem nie miałam w planach zabierania dzieciaka na polowanie – osłanianie go wymagałoby znacznie więcej wysiłku, niż wyniosłyby ewentualne korzyści, a na dodatek mógł wrzasnąć w jakiejś nieodpowiedniej chwili.

Wzięłam ze sobą wyłącznie parę amuletów. Co prawda przydałby się też miecz... ale czego nie ma, tego nie ma. Zresztą przeciwko duchowi i tak by niewiele pomógł. Oczywiście upirowi nawet do głowy nie przyszło kręcić się pod moimi drzwiami. Po skonstatowaniu tego smutnego faktu zesłam na drugie piętro. Niekończący się korytarz wiódł na prawo i na lewo, widziałam czarne dziury bocznych odnóg na przemian z plamami światła dookoła pochodni na ścianach. Syczenie ognia nadawało i bez tego przytłaczającej nocnej ciszy szczególnie złowieszczy posmak. Uznałam, że na początek po prostu przespaceruję się po korytarzu tam i z powrotem, nigdzie nie skręcając. Jeżeli biegł on po obwodzie całego zamku, zamykając się w pierścień, to tym lepiej. Gdzieś na tym piętrze powinny chodzić dwa pięcioosobowe patrole rycerskie, ale biorąc pod uwagę rozmiary Kruczych Szponów, przez całą noc mogli nie spotkać ani mnie, ani siebie nawzajem. Jak widać, upirowi również zupełnie nie przeszkadzali.

Buty na skórzanej podeszwie pozwalały mi poruszać się po kamiennej podłodze praktycznie bezgłośnie i wyraźnie słyszeć każdy obcy dźwięk. W cieniach szurały i popiskiwały niewidoczne szczury, wył wiatr wpadający przez nieszczęsne okna. Raz usłyszałam tak samo ostrożne kroki gdzieś za plecami, nawet zatrzymałam się i zaczęłam nasłuchiwać, ale chyba było to złudzenie.

Za to po lewej stronie zauważyłam drzwi z prostą runą, zrozumiałą nawet dla niepiśmiennych. Napis pod nią, wykonany znanym mi schludnym pismem, głosił: „Wyłącznie dla mistrzów”.

No patrz, jak znalazł, pomyślałam złośliwie. Tytuł bakałarza iv stopnia z magii bojowej otrzymałam niedawno, poprzedniej zimy, i jeszcze nie zdążyłam do końca wypróbować wszystkich należnych z tego tytułu korzyści. W szczególności takich jak możliwość skorzystania z wewnętrznego szaletu zamku rycerskiego. Zresztą kto powiedział, że w przeciwnym wypadku bym z niego nie skorzystała?! Poszukiwania upiora (szczególnie zakończone powodzeniem) to sprawa nerwowa i skomplikowana, więc nie zaszkodzi przedtem...

Otworzyłam drzwi i rozejrzałam się, stwierdzając, że pomieszczenie jest do mojej wyłącznej dyspozycji – upiór pewnie wymusił na mistrzach pośpieszne nabycie nocników. Wewnątrz dostrzegłam cztery drewniane kabinki wzdłuż dalszej ściany, umywalkę ze stojącym pod nią wiadrem i dwa na wpół wypalone łuczywa w podstawkach. Poczułam się roztkliwiona tak niesłychanym komfortem i ruszyłam w kierunku najbliższej kabinki. Jednak nie zdążyłam zrobić nawet dziesięciu kroków, gdy ze zdumieniem stwierdziłam, że już nie idę, tylko lecę, i to gdzieś w dół, z przerażającą prędkością.

Zakłęcie lewitacji zastosowałam zupełnie odruchowo, tak jak kot wykręca się w powietrzu, kiedy ześlizgnie się z dachu. Problem polegał na tym, że w nocy działało ono wyłącznie nekromantom, a magowie żywiołów tacy jak ja... ale nie skończyłam tej myśli. Podziałało.

Zawisłam w powietrzu w pozycji na wpół leżącej z nogami w górze i z kołującym sercem

wyciągnęłam rękę, by pomacać zimne kocie łby. Do ziemi zostało nie więcej niż półtora łokcia. Mmmamusiu... Desperacko przełknęłam ślinę, wyszłam ze stanu skupienia i solidnie grzmotnęłam łopatkami o kamienie. No cóż, mogło być gorzej... Powietrze powoli wracało do płuc, a oczy stopniowo przyzwyczajały się do mroku. Chyba spadłam na jeden z wewnętrznych dziedzińców zamkowych – malutki zakątek między wysokimi ścianami i pojedynczymi drzwiami, wzmocnionymi okuciami z żelaza. Na środeczku dziedzińca bujnie i aromatycznie kwitła karmazynowa elfia śliwa, a obok niej pluskała malutka fontanna, przy której stała ławeczka. Zamkową ścianę jak wszędzie oplatał wszędobyłski bluszcz.

Nade mną – jakieś pięć sążni, nie mniej – czerniała prostokątna dziura o wymiarach ze dwa na trzy arszyny. Podziwiałam ją około minuty, nijak nie mogąc zebrać się w sobie i chociażby usiąść, nie wspominając nawet o przyjęciu godniejszej pozycji. Trzeba przyznać, że do kabinki szłam dosyć beztrasko – w końcu kto spodziewałby się pułapki w takim miejscu? – ale jednak nie aż tak, by w świetle pochodni nie zauważyć gigantycznej dziury w podłodze. Może nadepnęłam na jakąś ukrytą sprężynę? Nagle z góry doleciał paskudny zgrzyt. Dziura zaczęła powoli się zamykać, jak gdyby z niemałym wysiłkiem zasłaniana ciężką pokrywą. Sprężyna sprężyną, ale ktoś tam właśnie przywracał podłogę do poprzedniego stanu, nie śpiesząc się do składania wyrazów współczucia pod adresem leżącego na dole ciała. Wręcz przeciwnie, na górze coś podejrzanie załomotało, głucho i złowieszczo, jak gdyby w kierunku dziury toczył się gigantyczny kamień. Myśl ta momentalnie postawiła mnie na nogi, a raczej na czworaki. Nie próbując osiągnąć nic ponad to, rześko odpełzłam na środek dziedzińca. I w samą porę – na miejsce, gdzie przed chwilą leżałam, zleciała... nie, żaden głąz, tylko płonąca pochodnia, która dokładnie oświetliła ziemię pod dziurą. Wstrzymałam oddech, ale tajemniczy zamachowiec zachował swoje emocje dla siebie. Płyta ze szczękiem wpasowała się we właściwe miejsce i zapanowała cisza.

Po paru minutach wahania zawróciłam i podniosłam pochodnię. Wyglądała na całkiem świeżą i płomień radośnie otulał ją ze wszystkich stron. Pewnie zapalono ją od płonącego w wychodku łuczywa i natychmiast zrzucano na dół. Ciekawe, kto wpadł na to, by chodzić po zamku z zapasową, jeżeli na każdym rogu można było wziąć którąś z miejscowych?

Zerknęłam w górę i ponownie wymruczałam zaklęcie lewitacji. Bez skutku. Strach to potężna siła, innego wytłumaczenia nie widziałam. Ale tak czy siak nikt nie wpuściłby mnie z powrotem. Nie żebym nie chciała z oburzonym okrzykiem: „Hej, no co to za głupie dowcipy?!” załomotać w kamienną płytę pięścią, a rano posłuchać, który z rycerzy się jąka.

Opuściłam pochodnię i ruszyłam w kierunku furki, gdzie czekało mnie kolejne rozczarowanie. Drzwi były zamknięte. Pociągnęłam za pierścień, ale na zewnątrz nieprzekupnie brzęknęła żelazna zasuwka. Dobrze radziłam sobie z haczykami, lekkimi zatrzaskami, a nawet z zamkami, ale ten ciężki kawałek metalu coś blokowało i nawet magia nie mogła sobie z tym poradzić, musiałabym chyba wyważyć całe drzwi.

Nie bardzo mi się uśmiechało rozwiązywać problem w tak radykalny sposób, a już tym bardziej wyjaśniać rycerzom, którzy niechybnie zbiegliby się na hałas, jak tu trafiłam.

Oczywiście mogłabym otworzyć teleport, ale kto mógł zaręczyć, że po drugiej stronie tego muru nie ma kolejnego identycznego dziedzińca, również z furtą zamkniętą na głucho? Teleportacja zresztą też była zaklęciem raczej dziennym i w nocy mogłam mieć z nią trudności. Z goryczą spojrzałam w górę, gdzie na trzecim piętrze kusząco kiwało do mnie otwarte okno.

W sumie to nawet nie tak wysoko, jakieś osiem sążni. Na pewno bliżej niż tymi przeklętymi schodami.

Pociągnęłam bluszcz obiema rękami. Wydawał się mocny. Wężlasty pień u nasady nie był dużo cieńszy od młodego drzewa, składał się z kilku zrosniętych ze sobą pnączy, które na wysokości około arszyna rozchodziły się na różne strony.

Zastanowiłam się, czy nie zabrać pochodni ze sobą na górę, ale musiałabym ją chyba nieść w zębach, ryzykując wywichnięcie szczęki – do włożenia potrzebowałam wszystkich czterech kończyn. Po chwili namysłu zgasiłam płomień w fontannie, wcisnęłam drzewce w kąt pod ławeczkę i rozpoczęłam wspinaczkę. Szło całkiem nieźle, choć miałam duszę na ramieniu. Bluszcz wydawał się solidnie wrośnięty w ceglany mur, a giętkie gałązki przeplatały się tak mocno i gęsto, że z trudem udawało mi się wsadzić pomiędzy nie czubek buta. Ale jak już znalazłam miejsce na stopę, stałam równie pewnie jak na drabinie. Najważniejsze: nie patrzeć w dół. Do pierwszego piętra dotarłam szybko i bez przygód. Pozostawało drugie, najkrótsze, czy raczej najniższe. Przeniosłam się bliżej ciągu okien, wygodnie postawiłam nogę na brzegu parapetu drugiego piętra i zatrzymałam się, by trochę odpocząć, gdy nagle w głębi pokoju dostrzegłam słaby płomyk – chyba świecy albo łuczywa. Pisk, który usłyszałam natychmiast potem, prawie wysłał mnie z powrotem na dół. Mocniej chwyciłam pnącza, zajrzałam przez okno i zobaczyłam grubą babę w białej nocnej koszuli, zastygłą na środku pokoju z nadgryzionym baranim udźcem we włochatej ręce. Baba chyba dostrzegła mnie nieco wcześniej...

Nawet nie zdążyłam się zdziwić, że widzę w zamku inną kobietę, kiedy udało mi się rozpoznać w babsku wielkiego mistrza – przykład świętości, ascetyzmu i wierności ślubom – który, jak widać na załączonym obrazku, pracowicie umartwiał ciało nie tylko swoje, ale również baranie.

Z braku lepszych pomysłów uprzejmie pomachałam mu ręką i ruszyłam dalej. Pisk rozbrzmiał ponownie, na korytarzu załomotały czyjeś kroki, ale brzuchem już leżałam na parapecie, po czym ciężko spadłam na podłogę w moim pokoju. Czym prędzej się pozbierałam, złapałam oddech i cicho zamknęłam okno. Oj, psi ghyr, lepiej bym faktycznie zrobiła, nie wyłażąc z łóżka!

Panika trwała przez jeszcze przynajmniej dwie godziny, a nawet po jej ustaniu w całym zamku do rana trzaskały drzwi. Oczywiście w tak nerwowej atmosferze upiór odmówił ukazania się. Na wszelki wypadek poczekałam do rana, a następnie z czystym sumieniem padłam na łóżko i spróbowałam kontemplować wieczność. Niestety, skandalicznie szybko zasnęłam.

* * *

Śniadanie w przybytku gościnnego Fenduła składało się z chleba i soli, przy czym kromki wyglądały, jakby święty własnoręcznie ukroił je za czasów swojej młodości. Ale za to strawa duchowa była na poziomie! Wielki mistrz stał na środku jadalni z rękoma wzniesionymi ku sufitowi i z natchnieniem prawił:

– Bracia moi, słuchajcie i drzyjcie, bo w nocy odwiedził mnie upiór! Unosił się za oknem, ale nie miał mocy, by przekroczyć stojący na parapecie relikwiarz z zębem świętego Fenduła, i tylko pozostawił na nim odcisk swojego kopyta! Rycerze z okrzykami zdumienia przekazywali z rąk do rąk wspomniany relikwiarz. Hm, a ja w ciemności wzięłam go za skrzynkę na kwiaty...

– Panno wiedźmo... – Tiwał z widocznym wysiłkiem przeżuł i przełknął kawałek suchego chleba, możliwie szybko popijając go wodą. – Czy pani naprawdę nic nie słyszała?

Nieznacznie wzruszyłam ramionami, zawijając swoją porcję w chustkę i pakując do kieszeni. Miałam nadzieję, że Smółka będzie mogła spożyć szczodry dar Fenduła z mniejszą szkodą dla zębów i żołądka.

– I nigdzie pani nie wychodziła? – ostrożnie ciągnął chłopak, nie spuszczając oczu z mojej twarzy.

– Tylko do toalety – przyznałam uczciwie. – Czemu pytasz?

– Przecież gdyby miała pani pójść gdzieś jeszcze, toby mnie pani ze sobą zabrała, prawda? – kontynuował namolnie.

– Oczywiście. – Podniosłam się z miejsca. – I uprzedzam, właśnie wybieram się na cmentarz.

– Po co?! – zachłysnął się giermek.

– Pogrzebać swoje marzenia o śniadaniu – odparłam, ruszając do drzwi. – Możesz zebrać jego smętne resztki i dołączyć do konduktu!

* * *

– Właśnie tak, nic się pan nie pomylił, to ja, pańska stała i ulubiona klientka! – krzyknęłam radośnie, pakując czubek buta w szczelinę pomiędzy futryną a drzwiami, które gospodarz najpewniej przypadkiem próbował zamknąć mi przed nosem. Jeśli idzie o umiejętności w dziedzinie fałszywych uśmiechów, naprawdę nie mógł się ze mną równać. Z takim grymasem co najwyżej można iść rwać zęby do cyrulika.

– Jak to miło, że pan na mnie poczekał! – Promieniejąc nie gorzej od królewskiej łysiny w pełnym słońcu, niedbałym gestem odwróciłam wiszącą na drzwiach tabliczkę „Zamknięte”.

Gospodarz niechętnie puścił bezużyteczną zasuwę i pozwolił nam wejść do swojego przybytku. Ruszyłam wprost do mojego zwyczajowego stolika przy oknie i usiadłam przy nim, półobrócona w kierunku pustej sali. Tiwal skromnie przycupnął na brzeжку krzesła i złożył ręce na kolanach.

– No więc, szanowny, jakimiż to wspaniałościami dziś mnie pan poczęstuje? Z chmurnego sapania należało wnioskować, że trutką na szczury, ale na podanym półmisku piętrzyła się górka smażonej ryby.

– Częstuj się. – Przesunęłam naczynie na środek stołu.

Chłopak przełknął ślinę.

– Ale wielki mistrz powiedział...

– Nie martw się, dla ciebie uczynił wyjątek. Z powodu pracy szkodliwej dla zdrowia.

– Naprawdę?! – ożywił się Tiwal.

– Najprawdziwsza prawda, możesz go sam zapytać. Tylko najpierw przekaż, że tak w ogóle to chciałam się upewnić, czy post dotyczy również baraniny po zmroku. Przez następne dziesięć minut przy stole rozlegało się pośpieszne mlaskanie i łakome cmokanie. W ciągu minionych pięciu godzin zdążyłam obejrzeć w całości dwa cmentarze – rycerski i wiejski, jak również znaną w lesie końską czaszkę – ale nie znalazłam śladu upiора ani jego wiernego wierzchowca. Za to oboje z giermkim zgłodnieliśmy do tego stopnia, że gdyby z krzaków wyskoczył jakiś nieostrożny ghouł czy inny trupojad, to jeszcze nie wiadomo kto i kogo by ponadgryzał.

– Dlaczego właśnie kruk? – Nasyciłam pierwszy głód i bez ceremonii dźgnęłam palcem znak zakonny przymocowany do kolczugi Tiwala. – Wydaje mi się, że znacznie bardziej pasowałaby wam nazwa „Zakon Świętego Fenduła”.

– Ale, panno wiedźmo, Fenduł osobiście założył zakon! Przecież nie mógł nazwać go własnym imieniem.

– No to mógł otworzyć drogę do wieczności ukochanemu koniowi czy damie serca. W najgorszym wypadku jakiejś róży. Na co mu był akurat ten przyplaśnięty tarczą albinos?

– Kruk symbolizuje mądrość, a biały kolor dobro. – Chłopak próbował odtworzyć natchnione spojrzenie i głos mistrza, który szkolił go w zakresie kodeksu zakonnego, jednak usta wypchane rybą wybitnie temu nie sprzyjały. – Fenduł był pierwszym wielkim mistrzem, który stoi na czele całego zakonu, a mistrzowie są szponami, czyli wsparciem i groźną bronią.

– A skrzydła? – dopytywałam się z ciekawością.

– Jak pióra w skrzydłach, wielkie i małe, zwykli rycerze i giermkowie niosą Białego Kruka ku zwycięstwu nad wrogami.

– Genialne. Zakładam, że nie ma co pytać o ogon i pozostałe części ciała. Fenduł na pewno wymyślił jakąś natchnioną definicję również dla nich. Odchyliłam się na oparcie krzesła, głaszcząc się po wypchanym brzuchu. Mimo wszystkich starań i szczerego entuzjazmu nie udało nam się zjeść całej

porcji. Tymczasem karczmarz działał zgodnie z zasadą: „A weź się, przekłeta, udław!” i bez najmniejszej żenady zażądał ode mnie zapłaty za całe sześć funtów ryby.

Zapłaciłam i postawiłam na wpół pusty półmisek na parapecie, gdzie natychmiast wzbudził zainteresowanie czarnego końskiego pyska o wszystkożernym usposobieniu. Gospodarz zrobił taką minę, jak gdybym pozbawiła kolacji nie parę prosiaków, a co najmniej jego ukochaną mamusię.

– Dokąd teraz? – Widząc, że wstaję, Tiwał prawie przewrócił krzesło, śpiesząc, by otworzyć drzwi przed damą.

– Do zamku. Skoro nie znaleźliśmy fizycznych śladów upiora, to należy rozejrzeć się za magicznymi. – Odwróciłam się w progu. – Do widzenia szanownemu panu! Bardzo przyjemnie robi się z panem interesy.

Wyraźne zgrzytanie zębów sugerowało, że karczmarz nie podzielał mojego zachwyty ani w kwestii naszej znajomości, ani następnego spotkania.

* * *

Do wieczora zdążyłam zbadać zaledwie parter. Ale za to bardzo dokładnie: korytarze cały czas kluczyły, rozgałęziały się i ponownie łączyły, więc niektóre przeszłam dwa albo nawet i trzy razy, nie widząc między nimi żadnych różnic. Do pewnej ogromnej sali z prowadzącymi do góry schodami trafiłam aż dziesięciokrotnie i ostatecznie doszłam do wniosku, że znajduje się ona na środku kondygnacji. Tiwał uznał, że wszystko jest dokładnie tak, jak być powinno, i w milczeniu dreptał moim śladem. Co prawda w pewnej odległości, by nikt nie podejrzewał go o współudział w magicznych gestach i słowach, które co jakiś czas uciekały z moich warg, mieszając się ze znacznie bardziej prozaicznymi i soczystymi. Faktycznie znalazłam magiczne ślady, i to w wielu miejscach. Po pierwsze, na przeklętych kręconych schodach. Krasnoludy, które ostatecznie musiały oddać zamek klientowi (i to po tym jak kilka ich pokoleń utrzymywało się z budowy!), mściwie nałożyły na wewnętrzne słupy zakłęcie potrojenia. W rzeczywistości na każdym piętrze było trzydzieści, może czterdzieści schodków. Mało tego, schody na wieży po zdjęciu czaru zmniejszyłyby się prawie pięciokrotnie – czyli słusznie dziwiła mnie niezgodność pomiędzy jej wysokością a liczbą stopni. Ale ponieważ ze schodów na piętra korzystano znacznie częściej, budowniczym udało się małym kosztem zrobić mieszkańcom naprawdę wielkie świństwo. Niestety, zdjęcie zaklęcia wymagałoby zbyt wiele wysiłku i czasu (może potem i za dodatkową opłatą...), więc ograniczyłam się do jednoosobowego portalu.

Po drugie, magią promieniował każdy mijający mnie członek zakonu. Zgodnie ze słuszną zasadą. „Jak się człowiek nie przyłoży, to mu Fenduł nie pomoże” rycerze na wszelki wypadek kupowali czary przeciwko tępieniu się mieczy i chroniące przed rdzą oraz ciosami ślizgającymi się (z bezpośrednimi sprawa wyglądała nieco gorzej, bo jak wiadomo, wszystko jest kwestią posiadania odpowiednio dużego młotka). Oczywiście o swoich wizytach do „jaskini zła”, czyli kramu maga, skromnie milczeli. Po trzecie – i to już było znacznie bardziej ciekawe! – po całym zamku, miejscami ledwo zauważalnie, ale chwilami całkiem wyraźnie, dawało się odczuć wiele magicznych zakłóceń kompletnie dla mnie niezrozumiałego pochodzenia i przeznaczenia. Wyglądało to na czystą magię żywiołu, ale już obrobioną przez jakiegoś maga i przez to nienadającą się dla innego.

W zamyśleniu zatrzymałam się przed wysokimi dębowymi drzwiami otoczonymi rzeźbioną futryną. W skupieniu przygryzłam wargę i przeciągnęłam po odrzwiach wrażliwymi koniuszkami palców.

– Panno więdźmo, nie może pani tu wejść! – mój przewodnik niepewnie próbował protestować.

– A to dlaczego?

– Znaczy się... znajdują się tu święte prochy ojców założycieli zakonu, w tym samego Fenduła!

– I co w związku z tym? – rzuciłam obojętnie, obiema rękami ciągnąc za odlany pierścień, przedstawiający kruka ze skrzydłami złożonymi nad głową. Drzwi zaskrzypiały i poddały się, ze środka powiało mogilnym chłodem. – Będą mieli coś przeciwko mojej wizycie?

– Nie wiem, jak oni, ale mistrzom na pewno się nie spodoba! Uznają, że bezcześci pani relikwie!

– Co to za relikwie, jeśli można je zbeczczyć jednym spojrzeniem? – prychnęłam, sceptycznie patrząc na rząd pięciu sarkofagów.

Nad każdym z nich wisiało malowidło w pozłacanej ramie, przedstawiające świętego w najbardziej odpowiedzialnej chwili jego życia. Jeden starannie ulecał cały tłum beznogich i bezrękich żebraków, drugi z surowym obliczem i wyjątkowo dobrymi i miłującymi oczyma na wskroś przeszywał smoka świecącą lancą, inny w natchnieniu czytał księgę modlitw strzydze, po której policzkach płynęły krwawe łzy...

– To pani ma zamiar ich oglądać?! – Dzieciak przeraził się jeszcze bardziej. Ale warto nadmienić, że nie zapomniał zamknąć za sobą drzwi.

– A masz jakiś inny sposób, żeby się dowiedzieć, czy któryś z nich przypadkiem nie odsuwa w nocy pokrywy? – Bez najmniejszego szacunku puknęłam kostkami palców w marmurową płytę.

Świętego Fenduła przechowywano w centralnym sarkofagu, zamkniętym na wielką kłódkę w rodzaju tych, jakie widywałam na wrotach magazynów (czyżby po to, by rycerze nie przerobili szczątków biedaka na amulety?). Portret wiszący nad nim wyszedł spod pędzla innego malarza, wcześniejszego i bardziej realistycznego: Fenduł po prostu pozował mu z rękoma złożonymi na głowicy pionowo ustawionego miecza. Żadnych aureolek, skrzydełek i dzieł ku pożytkowi społeczeństwa – ciemnowłosa mężczyzna w prostej kolczudze uśmiechał się ze zmęczeniem, a jego oczy były ironicznie zmrużone, jak gdyby widział mnie na wskroś.

Nie mogłam przysiąc, że dziwna moc magiczna pochodziła właśnie od niego, ale koło sarkofagu ślady były znacznie bardziej wyraźne.

– Co też pani mówi, panno wiedźmo! – Giermek wyglądał na przerażonego. – Święci strzegą spokoju mieszkańców zamku, a nie jeżdżą po nim we wstydlivej, na wpół rozłożonej postaci!

– I to właśnie mam zamiar sprawdzić – ogłosiłam tonem nieuznającym sprzeciwu i zdjęłam z sarkofagu srebrny wazonik z pierwiosnkami.

Postawiłam naczynie na podłodze, po czym pochyliłam się i uważnie obejrzałam kłódkę. Miała dziurkę, ale została ona zalana pomarańczowym woskiem, na którym odbito zakonną pieczęć. Ostrożnie poruszałam kłódką, pociągnęłam za skoble, zastanawiając się, jakiego zaklęcia użyć. Chyba najprościej... moment, co jest? Dolny skobelek jakoś podejrzanie bujał się na boki. Nacisnęłam trochę mocniej i ze zdumieniem odkryłam, że albo ktoś zapomniał go przymocować, albo odkręcił później.

– Weź no się cofnij – powiedziałam do Tiwala, podkasałam rękawy i szerzej rozstawiłam nogi, jak gdyby planując otwieranie sarkofagu gołymi rękoma.

– Ojej, panno wiedźmo, a może jednak nie? – rozpaczliwie pisnął giermek. – Bo jeszcze święty Fenduł się rozżłości, że niepokoi go pani bez zaproszenia?

– To przeproszę i powiem, że pomyliłam pokrywki. Jeśli się boisz, to wyjdź na korytarz.

Tiwal zmrużył oczy i odwrócił się. Po kilku wykonanych przeze mnie gestach płyta bezszelestnie odsunęła się na bok, a ja zbliżyłam do sarkofagu pochodnię i z ciekawością pochyliłam się nad szczeliną szerokości dwóch i pół dłoni.

– Nic dziwnego, że wam po zamku potwory grasują – mruknęłam, patrząc do środka głębokiego pudła z marmuru. – Fenduł chyba wyszedł na spacer... Giermek podskoczył, jakby go kto ugryzł, i wbił w sarkofag do tego stopnia wytrzeszczone oczy, że poważnie zaczęłam się martwić, czy nie wpadną do środka.

– Jak to?! To gdzie on jest? Wzruszyłam ramionami.

– Zakładam, że pojechał na spacer. Nie macie tu gdzieś przypadkiem sarkofagu ze świętym koniem?

Ale Tiwal chwilowo nie miał cierpliwości do moich dowcipów.

– Koszmar! Musimy natychmiast powiadomić wielkiego mistrza!

– I przyznać, że włamaliśmy się do sypialni Fenduła? Nie radzę. – Dla pewności jeszcze raz zajrzałam do sarkofagu. Oczywiście żaden święty się tam nie zmateriałizował.

– My?! Przecież to pani tu weszła!

– A dlaczego mnie nie powstrzymałeś?

Na tak bezczelne stwierdzenie chłopak stracił dar mowy. Może po paru minutach znalazłby dla mnie jakąś godną odpowiedź, ale nagle na korytarzu rozległy się czyjeś ożywione głosy. Twarz giermka, który i bez tego nie mógł się poszczycić rumieńcami, przybrała kolor delikatnie zielonkawy.

– O Bogowie, to mistrz Teren! Rano mówił, że przyprowadzi do grobowca kilku pielgrzymów, którzy pokornie prosili o pozwolenie na odbycie modłów w świętym miejscu! Jeżeli nas tu znajdzie, to mnie zabije!

Westchnęłam. Wiedźmy mistrz raczej nie ruszy, ale dzieciak faktycznie może zdrowo oberwać. Grobowiec nie miał drugiego wyjścia, a rozstawione wszędzie świece oświetlały każdy kącik. Gorzej, w tym miejscu korytarz nie miał ani jednego zakrętu, więc gdybym wyszła tą samą drogą, mistrz na pewno by mnie zauważył. Nie miałam dość czasu na zakłęcie niewidzialności, ale na co innego starczało go w zupełności. Nigdy nie zwlekałam z podejmowaniem decyzji, więc odważnie przerzuciłam nogę przez krawędź sarkofagu.

Giermek wydał z siebie przerażony jęk, który brzmiał zupełnie jak przedśmiertny. Nie sprawdzałam, czy przypadkiem nie dostał zawału na widok takich herezji. Za prawą nogą podążyła lewa, a za nimi całe moje trzy pudy żywej wagi, które spadły na brzuch. Pokrywa ze szczęknięciem wróciła na miejsce.

Ku mojemu zdumieniu w sarkofagu było całkiem wygodnie. Żyłki marmuru, które z zewnątrz wyglądały na absolutnie czarne, wpuszczały do grobu słabe niebieskawe światło. Przez dyskretnie wywiercone u wezłowania dziury przenikało powietrze i dźwięki. Odwróciłam się na bok i zaczęłam nasłuchiwać.

Akurat w tejże chwili do środka grobowca wdarł się żądny kości Fenduła tłum pielgrzymów.

– Tiwal, a co ty tu robisz? – zapytał Teren z pewnym zdziwieniem, ale bez irytacji. Rozpoznałam go po głosie – był to wysoki, kościsty mężczyzna koło czterdziestki, o czarnych, obwisłych wąsach, które nadawały jego twarzy smętny wygląd.

– Ja... ja... przyniosłem świeże kwiaty dla świętego Fenduła! – wypalił chłopak pospiesznie, odstawiając wazonik na miejsce.

– Jest to naprawdę godne pochwały – oznajmił mistrz z zadowoleniem. – Z tego młodzieńca wyrośnie godny mąż, odważny i wielkoduszny!

Pielgrzymi odpowiedzieli przychylnymi pomrukami. Sądząc z głosów, zebrało się ich przy sarkofagu co najmniej tuzin. Chłopak postanowił nie czekać, aż mistrz przypomni sobie o powierzonej jego opiece wiedźmie, pożegnał się i wyskoczył z mauzoleum.

Sądząc z dźwięków, pątnicy otoczyli sarkofag ze wszystkich stron. Mistrz zajął zaszczytne miejsce w nogach mojej skromnej... znaczy się Fenduła, odkaslnął z pokorą, by przyciągnąć uwagę zebranych, po czym zaczął natchnioną przemowę:

– Bracia moi! Widzicie przed sobą największą relikwię i świętość. W tym skromnym grobie z czarnego marmuru spoczywa założyciel zakonu Białego Kruka święty Fenduł...

Na kilka chwil jego głos zgubił się w zachwyconych westchnieniach i szeptach. Cały czas korciło mnie, by go poprawić, że w tej chwili spoczywam tu ja i wcale nie jestem gorsza od założyciela, a do

tego młoda i ładna.

Swoją drogą, w Starminie czarny marmur sprzedawano na wagę srebra, więc święty faktycznie nie miał na co narzekać.

– ... wzór dobroci, skromności, spokoju i pokory... – Mistrz sam natchnął się przemową i gadał z coraz większym podekscytowaniem. – Jak również reszty cnót, niezliczonych i niezmiernych, których z nadmiarem starczyłoby dla wszystkich naszych braci! I nawet kiedy tak po prostu stoję koło miejsca jego ostatniego spoczynku, to czuję, jak spływa na mnie łaska, a dusza wypełnia się nieziemską radością!

– Tak, bracie, tak, my również to czujemy! – z zachwytem wtórował mu niezgodny chór.

– Czasem nawet wydaje mi się – urywanym głosem ciągnął mistrz, wyraźnie próbując roztkliwić zebranych – że słyszę jego oddech...

Do pokrywy równocześnie przywarło siedem uszu. Instynktownie zamarłam na wdechu mimo całkowitej świadomości tego, że przez ciężką marmurową płytę mogliby usłyszeć jedynie głośnie chrapanie.

– Tak właśnie! Słyszę go!!! – rozległ się po chwili czyjś egzaltowany wrzask, który prawie poderwał mnie z miejsca.

– Ja też! I ja! – darli się pielgrzymi. Któryś załkał ze szczęścia, po czym padł na kolana i zaczął walić czołem o bok sarkofagu, jak wywnioskowałam z tańczących na zewnątrz cieni. Bracia rzucili się odciągać towarzysza (raczej w trosce o święty grób niż o czoło) i korzystając z okazji, również puknęli raz czy drugi...

– A teraz – głos mistrza nabrał rzeczowych nut – prosimy o złożenie Fendułowi datków, co łaska i niech jego błogosławieństwo na zawsze pozostanie z wami! Pielgrzymi chętnie sięgnęli do sakiewek. Pieniądze do przekazania świętemu zbierał mistrz a ja miałam niejasne wrażenie, że procent za pośrednictwo w tym wypadku niezbyt odbiegał od zebranej sumy.

Zachwycona wymiana wrażeń powoli przeniosła się na korytarz. Mistrz pochwalnie poklepał Fenduła po pokrywie, dziękując za współpracę, po czym wyszedł za gośćmi. Dla pewności odczekałam parę minut i wylazłam z sarkofagu.

– Czy tu w ogóle był jakiś Fenduł? – spytałam portretu z namysłem. Kogoś mi przypominał, ale kogo...? A jeśli idzie o „bycie”, to leszy go wie, może nawet i był, ale na pewno nie tutaj. W sarkofagu nie wyczułam zapachu rozkładu, a sądząc z idealnej czystości jego ścianek, nie przebywali w nim żadni martwi goście. Czyli najpewniej święte prochy Fenduła były wyłącznie wabikiem na łatwowiernych pielgrzymów o wypchanych sakiewkach. A o całej sprawie wiedziało tylko kilka wtajemniczonych osób, najpewniej mistrzów. Zapewne ktoś raz na jakiś czas leżał w „zamkniętym” sarkofagu, starannie sapiąc, wieszcząc to i owo albo po prostu podglądając przez dziurkę. Tiwał kręcił się pod drzwiami, ze zdenerwowania nie mogąc znaleźć sobie miejsca.

– Panno wiedźmo, i co?!

– Jeśli chodzi ci o Fenduła, to w końcu się go nie doczekałam. Może trzeba było zostawić liścik? – odpowiedziałam.

– To nie on!!!

– Nie uwierzę, póki nie porozmawiam z nim osobiście.

Chłopak naburmuszył się. Nawet otworzył usta, ale się rozmyślił i ostatecznie nic nie powiedział.

– Już, już, starczy tego boczenia – rzuciłam ugodowo, wymierzając mu lekkiego kuksańca w bok. – Chodź, znajdziemy tego waszego świętego i przekonamy go, by wrócił na miejsce, a dopiero potem opowiemy o wszystkim wielkiemu mistrzowi. Chwilowo mam wrażenie, że nawet bez Fenduła ma dosyć powodów do zmartwień. Giermek jeszcze przez chwilę milczał, w roztargnieniu ściskając w rękę swój wisiołek z krukiem, ale ostatecznie skinął głową i spróbował się uśmiechnąć.

Elfia śliwa zaczynała kwitnąć kilka tygodni przed zwykłą, pamiętając ciepłą wiosnę swojej ojczyzny – Jesionowego Grodu. Niewysokie, rozłożyste drzewa, całkowicie pokryte karmazynowymi kwiatami wielkości mojej pięści, tradycyjnie zdobiły parki pałaców i świątyń, ale przez zdradliwe belorskie mrozy nie dawały owoców. Prawdziwa szkoda – elfy robiły z karmazynowych śliw doskonałą nalewkę, którą spożywały w czasie jakiegoś rytualnego święta, którego sensem i celem było spożycie właśnie.

Stałam koło szerokiego okna galerii i w zamyśleniu podziwiałam ogniste drzewo. Promienie zachodzącego słońca rozlewały się po bruku i tworzyły bajeczne tło z odcieni czerwieni i oranżowych, jak gdyby dookoła ogromnego ogniska. Oględziny pierwszego i drugiego piętra odłożyliśmy na jutro. Tiwal wyciągnął ze mnie rycerskie słowo honoru (ha ha!), że za dziesięć minut zastanie mnie w tym samym miejscu, po czym gdzieś poleciał. Zresztą nigdzie się nie śpieszyłam. Mogłam postać chwilę, poukładać w głowie dzisiejsze wrażenia i wrócić do swojego pokoju. Miałam nawet szansę na godzinę czy dwie snu przed drugą próbą zapoznania się z zagadkowym upiorem.

Giermka gdzieś wcięło, więc uznałam się za zwolnioną z obietnicy, odsunęłam od okna i ruszyłam w kierunku schodów.

– Panno wiedźmo, proszę zaczekać! – zawołał mnie czyjś głos. Ze zdziwieniem obróciłam głowę i zauważyłam przyczajonego w kąciку malarza, na poły ukrytego za sztalugami. Pewnie stał tam od dłuższego czasu, jeszcze zanim się pojawiłam, i w przypływie natchnienia ubrudził farbami nie tylko rękę, ale i twarz. – Czy nie mogłaby pani jeszcze przez chwilę postać w takiej pozycji? Tylko niech pani przekręci głowę na lewo, żeby światło padało na twarz! Dokładnie tak, doskonale! Rycerz ze zdwojonym entuzjazmem zamachał pędzlem. Pochlebiona zastygłam na parę minut. Niestety, nie miałam więcej czasu, który mogłabym poświęcić na uwiecznianie mojej niezrównanej twarzy, więc obeszałam sztalugi i z ciekawością zajrzałam malarzowi przez ramię. Prawdziwa moc sztuki spowodowała, że zastygłam z otwartymi ustami.

Na górze, jak przybity pinezkami, rozkładał skrzydła biały kruk. Po bokach unosiło się dwóch skrzydlatych świętych, w natchnieniu brzdąkających na harfach. Pośrodku pstrej polany klęczał wianuszek mistrzów, którzy z zachwytem podziwiali płonący stos. Na twarzy przywiązanej do słupa wiedźmy zastygł okrutny, złośliwy, ale jednocześnie marzycielski wyraz, którego nijak nie potrafiłam do siebie dopasować.

– Proszę się nie martwić, to tylko szkic! – pospiesznie wyjaśnił malarz. – A poza tym to tylko wizja autorska!

– Znaczy się szkic? – Ton mego głosu spowodował, że artysta zrobił się mniejszy i smutniejszy i nie ośmielił się przeszkadzać mi w odrywaniu płótna od ramy. – Znaczy się wizja?!

Rycerz zrozumiał, że nie potrafię docenić prawdziwej sztuki, złapał pędzle i nawiał, póki nie podarłam go na kawałki razem z obrazem, który tymczasem starannie zwinęłam i wpakowałam za pazuchę. Namalowany farbą wodną, był już prawie suchy. Podaruję go Szkole Magii, na pewno się uśmieją! Szczególnie jeśli w końcu zgodzę się na wygłoszenie tej serii wykładów z magii praktycznej i osobiście oprowadzę studentów po muzeum.

Wnioskując z ubytku dopalającej się świecy, obudziłam się koło północy. Ubrałam się bezgłośnie, wpakowałam do kieszeni zawczasu wystawione na stół flakoniki i amulety, zwinęłam włosy w węzeł na potylicy. Odruchowo sięgnęłam po miecz, ale już dotykając pochwy, z niezadowoleniem cofnęłam

rękę.

Gdy ostrożnie uchyliłam drzwi, po drugiej stronie coś zadzwoniło i załomotało, a ja z irytacją zobaczyłam leżącą na podłodze konstrukcję z pancernego rycerskiego buta nadzianego na przystawiony do drzwi patyk. Tiwał wyskoczył z sąsiedniej celi jak kamień z orkowej procy.

– Aha! Wiedziałem! No nie, panno wiedźmo, dwa razy mnie pani nie oszuka, dziś idę z panią!

– To chodź – zgodziłam się chętnie. – A nie chce ci się przypadkiem spać?

– Nie, ani tro... – Pod moim skupionym spojrzeniem giermek zmarkotniał, ziewnął, zrobił krok do tyłu i powoli usiadł na łóżku.

– A mnie się wydaje, że jednak chce – skonkludowałam z uśmiechem, przykrywając go kocem. – Też mi się znalazł bohater! Jak gdybym bez ciebie miała sobie nie poradzić... Z upiorem może bym sobie poradziła, ale tutejsze korytarze okazały się ponad moje siły. Zeszłam na drugie piętro, beztrudno skręciłam w którąś odnogę i oczywiście już po dziesięciu minutach kompletnie się zgubiłam. Pokręciłam się tam jeszcze jakieś pół godziny, po czym poddałam się i usiadłam na brzeżku jednej ze ściennych nisz, pod płonąca pochodnią. Oczywiście nie groziła mi śmierć z głodu i pragnienia, ale czułam pewne opory na myśl, że mam pukać do cudzych drzwi, a następnie długo i namiętnie udowodniać, że nie jestem upiorem. Ostatecznie co to za różnica, gdzie urządzić zasadzkę? A nuż potwór zdecyduje się zabrać swoje bezcielesne zwierzątko na spacer właśnie tym korytarzem?

Zgasiłam pochodnię, by pozbyć się zdradliwego cienia, po czym w całości, z nogami, wlałam do niszy. Zbudowane pod skosem boczne ścianki skrywały przede mną sporą część korytarza, ale za to nie mniej skutecznie chroniły przed cudzym spojrzeniem, pozwalając zobaczyć przechodnia z niewielkim wyprzedzeniem. Nie ryzykowałam użycia maskujących zaklęć – zdarzają się potwory wyczuwające magię znacznie lepiej niż zapach żywych istot.

Dopiero co zdążyłam pogodzić się z myślą o długim i nudnym czekaniu, gdy najbliższa pochodnia prychnęła jakby z irytacją, kichnęła dymem i zgasła. Błyskawicznie wystawiłam rękę. No właśnie! Ślady prościutkiego, ale skutecznego zaklęcia, które zanikły, nim zdążyłam określić poziom i podstawową specjalizację maga. Rzucił je skądś z daleka, po mojej lewej stronie, i dosłownie w ciągu sekundy pograżył korytarz w mroku.

Zamarłam jak mysz pod miotłą, zmieniając się w słuch. I prawie natychmiast usłyszałam powolne stukanie kopyt. Dźwięk dziwny, dosyć niezwykły, ale równocześnie jakby znajomy. Zbyt głośny dla ducha, ale zbyt cichy i zaświatowy, jak na zwykłego rycerza. Wydawało się, że koń chodzi na palcach – czy raczej na czubkach kopyt, i to niepodkutych. Natomiast cichego dzwonienia przeplatane go stukaniem w żaden sposób nie mogłam dopasować do opancerzonego konia bojowego. I nic poza tym! Ani parskania, ani sapania, ani skrzypienia siodła... i ani śladu magii! Nie zdzierżyłam i wyjrzałam z niszy. Na karku poczułam paskudne zimno, które mrówkami ruszyło w dół pleców. Nawet kot miałby problem z zobaczeniem czegokolwiek w tej ciemności. Drżącą ręką stworzyłam impuls poszukiwawczy, wysłałam go wzdłuż korytarza... i dopiero wtedy przeraziłam się naprawdę! W pobliżu nikogo nie było. W takim razie co to za paskudztwo, które nie jest ani owocem magii, ani żywą istotą?!

Stukot kopyt nasilił się, jak gdybym zagwizdała, zdradzając swoją pozycję. Koń pewnym truchtem zdażał w moim kierunku!

Źródło dźwięku było już mniej niż sążeń ode mnie, gdy w końcu nie wytrzymałam nerwowo. Pochodnie buchnęły płomieniem prawie do sufitu, dokładnie oświetlając korytarz, po którym dreptała... Smółka. Chyba szła moim śladem, a czując znajome zaklęcie, bez najmniejszego wahania ruszyła w jego kierunku. W dodatku kilka dni wcześniej sama wplotłam w jej ogon magiczną wstążkę, żeby ochronić paskudnicę przed magią poszukiwawczą!

Wydostałam się z niszy i złapałam kobyłkę za ogłowie, po czym odruchowo podrapałam ją za uchem:

– A ty, kochana, jak się tu dostałaś?

Smolka zagadkowo zmrużyła żółte ślepie. Z rzemiennej uzdy zwisał fragment łańcucha, który wydawał się na końcu spłaszczony młotem. I to właśnie on dzwonił do wtóru stukania kopyt. Ponieważ rycerze używali wyłącznie ogierów, kobyły nie wpuszczono do ogólnej stajni, a zamiast tego przywiązano w zakątku koło kuźni. Zerwanie łańcucha i wybranie się na nocny spacer jak najbardziej leżało w jej charakterze, jak również wejście po schodach. Ale kto jej otworzył bramę? Kraty? Drzwi wejściowe? I jakim cudem udało jej się wcisnąć na kręcone schody?! Ale teraz przynajmniej w ogólnych zarysach wiedziałam, gdzie owe schody się znajdowały. Ponowne pakowanie się do niszy nie miało sensu. Tajemniczy mag zostawił pochodnie w spokoju – pewnie go wystraszyłam. W zasadzce na upiora brakowało mi tylko kręcącej się obok kobyły! Musiałam w miarę szybko pozbyć się tej paskudy z zamku, pytanie tylko w jaki sposób?

Pokonałyśmy już ze czterdzieści sążni, ale korytarz nie chciał się skończyć. A schody zacząć. W końcu ku mojemu wielkiemu niezadowoleniu znalazłyśmy się w galerii z oknami wychodzącymi na wewnętrzny dziedziniec. Dokładnie pamiętałam, że w pobliżu nie było żadnych schodów. Żebym jeszcze pamiętała, gdzie były... Podczas gdy ja próbowałam połapać się w sytuacji, kobyła odeszła na bok, bezdźwięcznie stanęła dęba i sięgnęła do świerkowego wianka przybitego nad bocznymi drzwiami. Szybko syknęłam na złodziejkę, a ona z urażonym parsknięciem opadła z powrotem na cztery kopyta, mimo wszystko zgarniając wianek kłami.

Przez chwilę bawiłyśmy się w przeciąganie zdobyczy. W końcu nie tyle zwyciężył mój autorytet, co raczej ozdóbka przegrała, rozdzielając się na dwie nierówne części.

Mniejsza natychmiast znikła w żołądku kobyły, większą po czwartej próbie zarzuciłam na dawne miejsce, gdzie krzywo zawisła na gwoździu.

A tak przy okazji, dokąd prowadziły te drzwi? Nie wyglądały na zamieszkały pokój, tym bardziej że zasuwa znajdowała się na zewnątrz. A wewnątrz... Błyskawicznie, ale całkiem niepotrzebnie odskoczyłam do tyłu. W dużej celi znajdowała się tylko pusta zbroja na stojaku.

Na wszelki wypadek uniosłam przyłbicę, ale nie stwierdziłam pod nią obecności upiora.

– „To zbroja jest i broń świętego Fenduła i jego błogosławionego konia” – przeczytałam, zbliżając trzaskającą pochodnię do stojącej obok tabliczki. – No kto by pomyślał, nawet jego koń zdążył się wsławić. Smolko, nie chcesz przypadkiem pójść za jego przykładem?

Kobyła sceptycznie prychnęła, dając do zrozumienia, że z taką panią i tak nie załapie się na żadne „błogosławieństwo”.

– Weź no chociaż przymierz. – Zdjęłam z podstawki metalowy koński hełm ze sterczącym długim rogiem i założyłam go Smółce. – Wiesz co, nawet ci pasuje! Kobyła chmurnie zerknęła na mnie przez trójkątne wycięcia. W przyływie natchnienia założyłam na nią również kolczy czaprak i siodło z szerokimi strzemionami na łańcuchach. Do tylnego łęku przylutowano wygięty pasek stali z grzebieniem w rodzaju smoczego, który dochodził do jednej trzeciej ogona. Smółka z oburzeniem machnęła jego pozostałą częścią, odwróciła się i niezgrabnie unosząc nogi, ruszyła w kierunku drzwi.

Moja uwaga przeniosła się na kolejny unikatowy eksponat. Na poduszce z frędzlami obok rycerskiej zbroi leżał ogromny miecz. Fenduł musiał mieć przynajmniej trzech giermków – dwójka po prostu nabawiłaby się przepukliny przy przenoszeniu tego monstrum, a jeden w ogóle by go nie uniosł. Zarówno zbroja, jak i miecz wyglądały na nowiuteńkie, jak gdyby dopiero co przyniesione z kuźni. Albo z pracowni złotnika – same kamienie szlachetne ważyły co najmniej funt, do tego złota rękojeść... Pewnie wrogowie ustawiali się w kolejce, by stoczyć pojedynkę właśnie z Fendułem i mieć szansę na tak kuszące trofeum. Chwila moment... a co to za symbol? Zwinięty w kłębek bazyliszek – znak słynnego krasnoludzkiego płatnerza, który, o ile się nie myliłam, żył po dziś dzień. A przynajmniej trzy miesiące

temu cieszył się doskonałym zdrowiem i zdarł ze mnie trzykrotność ceny za jakoby „wieczny” miecz ze „specjalnego” stopu. Celowo nie wyrzuciłam rękojeści, by przy następnym wizycie w jego kuźni wpakować ją przed nos gospodarza, żądając zniżki. Fenduł miał więcej szczęścia: umarł jakieś sto lat przed narodzeniem krasnoluda. Bo całkiem prawdopodobne, że w przeciwnym razie bohaterska śmierć stałaby się jego udziałem dużo wcześniej.

– Cóż, Smółko, to wszystko wygląda tak samo fałszywie jak sarkofag. Kolejny wabik na naiwnych pielgrzymów. – W zamyśleniu obróciłam w rękach hełm z dwoma srebrnymi skrzydełkami po bokach. Ostatecznie nie wytrzymałam, założyłam go i spróbowałam się przejrzeć w wypolerowanej do połysku tarczy. – Hm... z drugiej strony rzecz jest po prostu bezcenna ze względu na wpływ psychologiczny. O fryzurę też można się nie martwić... Smolko, a co ty sądzisz? Smółko! Hej! Kobyła znikła. Szybko wyjrzałam na korytarz. Nic! Niepewnie gwizdnęłam. Cisza! Jak, gdzie ona mogła bezgłośnie uciec w takiej kupie żelastwa? I co będzie, jak kogoś napotka?!

– Smółka!!! – wrzasnęłam, zapominając o konspiracji. – Chodź tu natychmiast, bo będzie gorzej!

Korytarze jeszcze nie zdążyły przetrawić hulającego po nich echa, gdy jakby w odpowiedzi rozległ się i zaczął szybko narastać znajomy metaliczny łomot.

– A więc to tam je... – dalsze słowa utknęły mi w gardle. Coś miękko spadło mi na czubek głowy, ale limit zdziwienia na dziś już wyczerpałam i nawet nie sięgnęłam, by sprawdzić, kto i czym mnie w ten sposób poczęstował.

To nie była Smółka! W moim kierunku, potrząsając ogromnym mieczem, na gigantycznym koniu i w wysadzonej kolcami zbroi galopował długo wyczekiwany upiór, niewyraźnie świecąc wszystkimi kośćmi, w tym końskimi. Oczy jeźdźca pałały czerwonym ogniem, a konia – zielonym. Szczękanie zbroi mieszało się z głuchym stukotem kości.

Powinłam była pozwolić tej słodkiej dwójce podbiec bliżej i uderzyć raz a pewnie, ale udało im się zrobić na mnie tak wielkie wrażenie, że rzuciłam zaklęcie bez namysłu i prawie nie celując.

Pulsary odbiły się od zbroi i zrykoszetowały wzdłuż korytarza, krzesząc skry z kamieni. Upiór ryknął z triumfem, który okazał się nieco przedwczesny – i bez tego wystarczająco przestraszony koń z desperackim rzeniem stanął dęba, po czym odwrócił się i poniosł w przeciwnym kierunku. Ku wyraźnemu niezadowoleniu jeźdźca, który z hukiem runął na posadzkę.

Przez kilka chwil patrzyliśmy na siebie w oszołomieniu, a następnie upiór (który chyba również wyrobił sobie o mnie nie najlepsze zdanie) zwinnie zerwał się na nogi, złapał miecz, po czym rzucił się do ucieczki w stronę okna i bez chwili namysłu wyskoczył na zewnątrz, nim zdążyłam podjąć jakieś dalsze działania. Ja zaś błyskawicznie dopadłam bliższego i niebezpiecznie przechyliłam się przez parapet. Upiór celował całkiem nieźle, jak zawodowiec, ale chyba spodziewał się, że na dole stoi jego kościsty wierzchowiec. Niestety, nic z tych rzeczy. Podejrzanie znajoma kobyłka w rogowym hełmie w ostatniej chwili zrobiła wredny krok do przodu i truposz wylądował nieco za tylnym łukiem, na kolczastym grzebieniu. Szkielet to szkielet, zbroja to zbroja, ale od wrzasku, który rozległ się dosłownie sekundę później, z wrażliwej elfiej śliwy osypała się połowa kwiatów. Smółka, która najpierw przysiadła na tylnych nogach, teraz gwałtownie je wyprostowała, potężnie rzucając zadem. Upiór zakreślił śliczny łuk i głową naprzód pofrunął pod arkadę, gdzie sądząc z dźwięków, rozleciał się na osobne kości. Nie zdążyłam dołożyć mu pulsarem. Wyzywając truposza od najgorszych, wciągnęłam się z powrotem na korytarz i najszybciej jak mogłam pobiegłam w stronę, gdzie moim zdaniem powinny znajdować się schody. Ku mojej uldze tym razem dobrze odgadłam. Przeskakując co trzy stopnie, w pewnym momencie straciłam równowagę i jednym susem pokonałam całe siedem – uratowała mnie poręcz, choć prawie zwichnęłam wczepioną w nią rękę. Ale za to pokonałam całe piętro w jakieś pięć sekund. Na parterze orientowałam się już jako tako, więc bez wahania skręciłam w lewo, potem w prawo

i przebiegłam przez paradne drzwi.

Oczywiście pod arkadą nie znalazłam upiora ani w stanie nieprzytomnym, ani żadnym innym. Pod ścianą leżał tylko wygięty kawałek zardzewiałego metalu, w którym po dłuższej chwili rozpoznałam nałokietnik. Trochę dalej snem sprawiedliwych spała dwójka przytulonych do siebie strażników w towarzystwie pustej flaszki. Pęk kluczy do trzech drzwi-krat na korytarzu sterczał w zamku ostatniej z nich. Naturalnie wszystkie były otwarte na przestrzał. Zawołałam Smółkę, wskoczyłam na siodło, zawczasu pochyliłam się i uderzeniem pięt zmusiłam ją do galopu. Co tchu pokonałyśmy korytarz, po czym wyhamowałam i pokręciłam głową. Nic! Zewnętrzny dziedziniec tonął w mroku, na tle murów obronnych jaśniał wyłącznie otwór zewnętrznej bramy, również zapraszająco otwartej. Leżący koło mostu strażnicy także przeprowadzili degustację tajemniczego napoju wysokowego. Ich niezgodne chrapanie uspokoiło mnie, więc nie zatrzymywałam się i ściągnęłam wodze dopiero po drugiej stronie fosy. Rozgrzana kobyła tańczyła w miejscu, mając ochotę na dłuższą przebieżkę. Pytanie brzmiało: dokąd?

I nagle w dali mignęła oddalająca się od zamku postać jeźdźca. Co prawda jechał od strony lasu, ale możliwe, że szukał tam zapasowego końskiego szkieletu. Pokręciłam głową, próbując pozbyć się sprzed oczu idiotycznej wizji: zziązany upiór w pośpiechu wykopuje swojego wiernego wierzchowca zardzewiałą łopatą, którą zawczasu schował w krzakach.

Kobyła również zauważyła uciekiniera i gdy tylko szarpnęłam wodze, zerwała się do galopu. Zbroja hałasowała wprost niewyobrażalnie i niemal ogłuchłam. Żelazne siodło, obliczone na opancerzony tyłek rycerski, bez najmniejszej litości masakrowało mój. W dodatku nie znałam się na końskiej zbroi, więc nie umocowałam kolczej narzuty na grzbiecie jak należało i teraz majtała się w tę i z powrotem.

Zresztą Smółce to tylko dodawało prędkości. Zwykłego konia już dawno byśmy dogoniły, ale mimo że ten nie wyglądał nawet, jakby się śpieszył, odległość pomiędzy nami prawie się nie zmniejszała. Kilka minut temu gotowa byłam przysiąc, że to taki sam duch czy upiór jak i ja sama, ale teraz znowu nabrałam wątpliwości. Poruszał się dziwnie płynnie i chyba również bezgłośnie, chociaż tego ostatniego nie byłam do końca pewna, gdyż sama Smółka hałasowała jak ruchomy skład złomu.

Przed nami pojawiło się znajome jezioro. Doskonale, po prawej miałam las, a po lewej drogę w kierunku wsi, co pozostawiało upiorowi nikłe szanse na ucieczkę. Leśne potwory nie przepadały za obcymi, a wiejskie psy z chęcią przyłączyłyby się do pogoni za chodzącymi kośćmi.

Upiór chyba również doskonale to rozumiał, więc z pełną prędkością wjechał w jezioro i... zniknął. Bez najmniejszego nawet plusku, jak gdyby po prostu w jednej chwili rozpląnął się w wodzie.

Nie miałam potrzeby ściągać wodzy – kobyła sama wyczuła, że coś jest nie tak, i natychmiast zwolniła do ostrożnego stępa. Podeszła prawie do samego brzegu, parsknęła i zrobiła krok w tył. Bez szczególnej obawy, ale dając do zrozumienia, że najpierw jej pani ma sprawdzić sytuację, a potem w razie czego wierna kobyła zanieśie smutne wieści przyjacielom i rodzinie.

Zrozumiałam aluzję, więc zesłam na ziemię, zrobiłam krok... i odskoczyłam do tyłu.

To nie było żadne jezioro, tylko... mgła. Biała i solidna jak mleko, w ciemności łatwa do pomylenia z powierzchnią prawdziwej wody, od czasu do czasu obmacywała brzegi dolinki widmowymi jęczyczkami. Tak samo jak nad wodą, nad powierzchnią kłębiły się lekkie opary, wiało ciepłem. I magią. Identyczną jak w zamku przy grobowcu Fenduła.

Tyle że tu było jej dużo – tak dużo, że zaczęło ścisnąć mnie w dołku od skupionej w dolince mocy.

Spróbowałam jej zaczerpnąć i wchłonąć, ale nieoczekiwanie mgła zgęściła się jeszcze bardziej, stając się prawie namacalna, i łagodnie, acz stanowczo uchyliła się przed moją ręką. To nie dla ciebie. Przepraszamy.

W takim razie dla kogo? Upiora? Nie, ta magia nie miała nic wspólnego z nekromancją. Nie

wyglądała również na źródło naturalne. Istniała jak gdyby sama z siebie, jak żywa istota, z wyższością spoglądająca na skonfundowaną wiedźmę. Chyba upiór po prostu schował się w środku jak w zwykłej mgłę. Wjechał gdzieś głębiej i zatrzymał się, złośliwie chichocząc pod nosem, o ile go jeszcze ma. Owinęłam dookoła nadgarstka sznurek amuletu i zdecydowanie zrobiłam krok w mgłę. Ale kiedy zakryła mnie z głową, zrozumiałam, że to bez sensu. Nie mogłam dojrzeć nawet własnych kolan, a co dopiero upiora!

No dobrze, kochany, pomyślałam chmurnie, cofając się. Dolinka jest niewielka i widać stąd wszystkie jej brzegi. Zobaczymy, ile tam wytrwasz. Mnie osobiście nigdzie się nie śpieszy, ale gdy nadejdzie świt, ty będziesz miał duuuże problemy!

* * *

Poranek okazał się jasny i bezwietrzny. Po nocnych przymrozkach, które sumiennie wybieliły trawę, wyglądające zza horyzontu słońeczko wydawało się kiepskim żartem ze skostniałej wiedźmy.

Czy warto dodawać, że upiór nie ruszył się ani krokiem ze swej kryjówki? Dalsze sterczenie koło jeziora nie miało sensu. Jeżeli umarłak nie wylażł z niego w nocy, to w dzień tym bardziej się nie odważy. Ani żywe trupy, ani duchy nie przepadają za bezpośrednimi promieniami słońca, a nigdzie dookoła nie było cienia, pod którego osłoną mógłby się przekraść z powrotem do zamku. Niedługo w Kruczych Szponach zatrąbią pobudkę, ktoś wykryje moją nieobecność i mało prawdopodobne, by ucieszono się z samowolnego wypożyczenia zbroi Fenduła.

Zastanowiłam się chwilę, ściągnęłam z głowy hełm i wpakowałam go pod pachę. Na jednym ze skrzydełek wisiał nadgryziony wianek – pewnie to właśnie on spadł na mnie w chwili pojawienia się potwora. Wzięłam zamach i ze złością rzuciłam go w mgłę, mając nadzieję, że trafię upiora prosto w czachę. No dobrze, zawsze mogłam wrócić tam wieczorem i wtedy nic nie stanie mi na drodze!

Wskoczyłam na kobyłkę i ruszyliśmy z powrotem, łomocząc jak cały sznur skazańców w łańcuchach na nogach.

A niech to leszy porwie! Koło gaju w połowie drogi do zamku majaczyła samotna figura, w skupieniu wypatrująca czegoś w szczerym polu. Nawet nie musiałam zgadywać czego.

– Panno wiedźmo, to nieuczciwe! – poskarżył się Tiwal już z daleka i potykając się na kretowiskach, ruszył w moim kierunku. – Znowu mnie pani oszukała!

– Zaczarowałam – poprawiłam spokojnie, podjeżdżając bliżej. – W zamku wszystko w porządku? Strażnicy się ocknęli?

– A co im było? – Zaskoczony chłopak na chwilę zapomniał o swoich pretensjach.

– Gdybym wiedziała, tobym nie pytała.

– Pół godziny temu pilnowali jak należy! Za to pani... – Tiwal w końcu zauważył oporządzenie Smolki. – Ale to przecież...

– Dokładnie tak – przerwałam mu obcesowo. – Czy mógłbyś pobiec do wsi i zdobyć jakiś worek?

– Po co?

– Żeby wpakować tam te rupiecie i odnieść na miejsce.

– To nie żadne rupiecie! To...

– Wiem, co to jest! I wcale nie czuję się jakoś szczególnie wypełniona świętą łaską! A, i poprosz o jakiś brudniejszy worek, po ziemniakach, żeby strażnikom przy bramie nie przyszło do głowy go sprawdzać.

– Wprost niesłychane bluźnierstwo! A poza tym i tak się nie zmieszczą!

– Mogę zmniejszyć te blachy około pięciokrotnie, ale nie zrobią się przez to lżejsze. Tak więc

pośpiesz się, nim któremuś z rycerzy wpadnie do głowy pomodlić się o świcie do tego skrzydlatego wiadra.

– To nie żadne wiadro!!!

– No dobrze, przekonałeś mnie. – Niedbale rzuciłam hełm wprost w jego ręce. – Siadaj na moje miejsce i jedź do zamku. Nie wątpię, że mistrzowie będą zachwyceni! Tiwał jednak nie żywił złudzeń w tej materii.

– Panno wiedźmo, dokąd pani idzie?! – krzyknął z wyrzutem za mymi plecami.

– Kupię worek, a przy okazji zjem śniadanie. Jeżeli raczysz na mnie poczekać, to przyniosę ci kilka kanapek. Giermek pozwolił mi przejść kolejne trzydzieści sążni i wydarł się jeszcze głośniej:

– Z kiełbasą!!! Uśmiechnęłam się tylko i przyspieszyłam kroku.

* * *

– Czego pani sobie życzy, panno wiedźmo? Ze zdumieniem spojrzałam na karczmarza, który z szacunkiem przestępował z nogi na nogę koło mojego stolika. Kto by pomyślał, nawet narzucił ręcznik na łokieć! Co prawda atrybut ów bardziej przypominał szmatę do podłogi, ale jednak była to niesłychana tutaj wykwinność. Natomiast gospodarz wyraźnie się denerwował, a oczy mu biegały jak karaluchy po pustym talerzu.

– Dziwne – zastanowiłam się głośno, nie spuszczając z delikwenta wzroku. – Kiedy rano jechałam przez las, to nie zauważyłam, by zdechło w nim coś aż tak dużego... Karczmarz zachichotał sztucznie. Może zobaczył nocne gonitwy z upiorem i w końcu nabrał do mnie szacunku? Cóż, żal byłoby nie skorzystać.

– Cóż... w takim razie poproszę kaczkę z jabłkami.

– Chwila moment! – Gospodarz zniknął prawie jak za dotknięciem magicznej różdżki. I tak samo szybko pojawił się z powrotem.

Z jeszcze większym zdziwieniem ujrzałam na półmisku ogromny kawał kaczki w otoczeniu kruchych plastrów jabłka. Tak szybko?! Chyba musiał ją smażyć na smoczym płomieniu! Czy może odebrał któremuś z klientów, by jak najszybciej się mnie pozbyć? Co prawda tym razem danie wyglądało na nienaruszone i pachniało całkiem zachęcająco.

Po chwili wahania zabrałam się do jedzenia. Karczmarz dalej sterczał obok jak wbita w podłogę żerdź i odprowadzał spojrzeniem każdy kęs.

– Szanowny, o co chodzi? – nie wytrzymałam. – Jeżeli jest pan tak bardzo głodny, to proszę wziąć drugi widelec i się przyłączyć!

Zapytany zaczął kręcić głową jak niemy w odpowiedzi na groźne pytanie strażnika: „Czy to nie ciebie przypadkiem widziałem w nocy z zakrwawionym toporem nad trupem zarąbanego kupca?!”.

– W takim razie niech pan lepiej idzie i zrobi mi na drogę kanapkę z kiełbasą – przypominałam sobie zamówienie Tiwala.

Wykonane zostało w równie rekordowym czasie i robiło nie mniejsze wrażenie: całe pęto kiełbasy w przekrojonym na pół bochenku białego chleba, nawet sznurek dyndał z boku.

– Nna koszt ffirmy! – wykrztusił karczmarz z krzywym uśmiechem. Ostatecznie przestałam cokolwiek rozumieć, więc szybko dokończyłam kaczkę i spiesznie uciekałam z nadmiernie gościnnego przybytku. Niech go leszy, kupię worek u jakiegoś chłopca, bo ten świr przyniesie mi pokrowiec na wialnię o wielkości dwóch sążni! Ale ciekawe, co go do tego stopnia przestraszyło?! Nawet wyszedł na ganek mnie odprowadzić, omal ręcznikiem nie pomachał...

Podrzucenie zbroi na miejsce okazało się zadziwiająco łatwe. Spóźniliśmy się na apel, ale podczas śniadania zamek wyglądał na wymarły. Co prawda strażnicy przy bramie próbowali żartować: czy może panna wiedźma wzięła sobie pracę z cmentarza do domu? Udałam, że ich przenikliwość straszliwie mnie zdziwiła, co natychmiast ucięło wszystkie żarty.

Złapaliśmy przyciężki worek za rogi i pociągnęliśmy po kręconych schodach, co jakiś czas utykając na zakrętach i wspominając świętego Fenduła bynajmniej nie w modlitwach. To znaczy ja wzywałam go pełnym głosem, a giermek sapał w milczeniu, wyrażając swoją solidarność.

Przy samych drzwiach Tiwal nieoczekiwanie zaparł się, do głębi duszy urażony moim kolejnym poleceniem.

– Nie, panno wiedźmo, niech mnie pani nawet nie prosi! Stanie na czatach jest niegodne prawdziwego rycerza!

– To wyobraź sobie, że stoisz na warcie honorowej. – Puściłam do niego oczko i z wysiłkiem wciągnęłam worek do komnaty.

Rozwiesiłam zbroję (w ostatniej chwili połapałam się, że coś jest nie tak, i zamieniłam miejscami hełm rycerski z końskim), po czym szybko wyskoczyłam z powrotem i zatrzęsłam drzwiami. Następnie ja i Tiwal identycznym ruchem oparliśmy się o ścianę po obu stronach futryny i odetchnęliśmy z ulgą. Spojrzeliśmy po sobie ze śmiechem i ruszyliśmy w kierunku jadalni, nim mistrzowie zauważą naszą nieobecność na kolejnej dietetycznej imprezie Fenduła.

Ale towarzystwo nie nudziło się również bez nas. Tym razem w centrum uwagi znalazło się pryszczate rycerzątko, na oko dziewiętnastoletnie.

– Bracia moi! – nawijało przenikliwie z wysokości ławy, pewnie w celu wzmocnienia przekazu. – Dziś w nocy nie mogłem spać, gnębiony myślami o niedoskonałości tego świata. Do północy bez skutku wierciłem się na łóżku, po czym wyszedłem z zamku na spacer, mając nadzieję, że nocne powietrze będzie miało na mnie uspokajający wpływ...

Na policzku chłopaka widziałam całkiem wyraźną smugę domowej roboty szminki z buraków, z czego wywnioskowałam, że w procesie uspokajania brało udział nie tylko powietrze, a biedaka gnębiło coś zupełnie innego.

– No więc leżąc w krzakach koło gaju, zobaczyliśmy, znaczy się ja i mój wierny koń, który z jakiegoś powodu również nie mógł spać, jak z bramy zamkowej wyjechał święty Fenduł goniący upiora!

Rycerze słuchali go z zachwytem pasującym raczej do dzieciaków na jarmarcznym przedstawieniu. Nawet Tiwal otworzył usta z zachwytem, ale potem spojrzał na mnie i z urazą je zamknął.

– Przecięli pole – z natchnieniem produkowała się ofiara młodzieńczej bezsenności – i zniknęli w dolince!

Pomyślałam, że chyba nadszedł czas, by dodać do moich referencji kolejny zapis: „Mael-ine-Kirren – Pel. Ob. Św. Fenduła”.

– I patrzcie, co znalazłem, wracając do zamku! – Rycerz uroczyście potrząsnął pechowym grzebieniem.

Ozdóbka natychmiast ruszyła z rąk do rąk, tak jak wczorajsza domniemana skrzynka na kwiaty. Zszokowani rycerze z zachwytem, a niektórzy nawet namiętnie na całej długości całowali świętą relikwię, sypiąc ślubami jak grochem z dziurawego wora. O dziwo, wielki mistrz jakoś nie wykazywał ochoty na kontakt z relikwią, a reszta mistrzów również podeszła do całej sprawy bez szczególnego entuzjazmu, dźwięcznie cmokając powietrze nad kawałkiem żelaza.

Naczelnik zakonu z wyraźną ulgą pozbył się świadectwa kolejnego cudu Fenduła, po czym skinął

na mnie palcem:

– Panno wiedźmo, czy dziś w nocy wyjeżdżała pani poza teren zamku?

– Owszem. – Strażnicy i tak mu wszystko opowiedzą.

– Chłopiec był z panią?

– Tak. – Nawet nie ruszyłam brwią, ale za to Tiwał zrobił się czerwony jak rak aż do samego kołnierza. Mistrz nadal próbował przedziurawić mnie spojrzeniem.

– Dziwne, ale straż przy bramie pani nie zauważyła.

– Nic w tym dziwnego, nie była w stanie zauważyć w ogóle czegokolwiek.

– Bezczelne oszczerstwa! – Zza sąsiedniego stołu poderwał się rycerz, który widocznie w kluczowym czasie pełnił wartę. – Ja i moi towarzysze nie zmrużyliśmy oka! Kajam się, wypiliśmy butelkę lekkiego czerwonego wina, ale wyłącznie w celach leczniczych, dla podniesienia pilności! Klnę się na świętego Fenduła!

Trochę mnie korciło, by rzucić, że, niestety, święty nie poświadczy jego przysięgi z powodu nieobecności w miejscu pracy, ale się powstrzymałam. Faktycznie, raczej nie byli aż tak głupi, by upić się na warcie. Nie mówiąc już o tym, że jedna butelka stanowczo nie wystarczyłaby do zmorzenia snem czterech mężczyzn, nawet gdyby zawierała mocną winesską gorzałkę. Ktoś musiał coś domieszać do trunku. Ograniczyłam się do niedbałego wzruszenia ramionami, nie zamierzając niczego dowodzić ani się tłumaczyć. Rycerz jeszcze chwilę pomarudził, ale również nie miał ochoty na kłótnie z wiedźmą, więc w końcu wrócił na swoje miejsce.

– Czyli wygląda na to, że święty Fenduł już uwolnił nas od upiora? – skojarzył tymczasem któryś z jego kolegów. – W takim razie po licho nam ta... „Ta” odwróciła się i rzuciła impertynentowi takie spojrzenie, że postanowił zachować swoją prywatną opinię dla siebie. Niestety, ziarno padło na żyzną glebę i dało obfite plony od razu w kilku miejscach, więc dowiedziałam się o sobie wielu ciekawych rzeczy, choć niezbyt oryginalnych. Oczywiście nie było to nic niezwykłego w takim miejscu, ale nie czułam się wcale przyjemniej.

– Może jednak poczekajmy do nocy i sprawdźmy. – Wielki mistrz powiedział to cicho i bez nacisku, ale narastający hałas od razu ucichł. – Panno wiedźmo, czy byłaby pani tak miła i odwiedziła mnie natychmiast po śniadaniu?

Ponuro skinęłam głową, odwróciłam się na pięcie i wyszłam z jadalni. Dlaczegoż by nie? Dla mnie problem z głowy. Niechaj sami łapią tego swojego upiora, ale potem proszę się nie skarżyć, że on ma jeszcze większe opory przed schwytaniem niż obrażona wiedźma!

* * *

– Proszę wejść. – Wielki mistrz osobiście otworzył przede mną drzwi. – Tiwał, idź i póki co poćwicz z mieczem. A ja i panna wiedźma sobie porozmawiamy.

Miałam zamiar usiąść na krzywym stołku, jedynym towarzyszem sławetnej ławy z polanem, ale wielki mistrz odciągnął wiszący na ścianie gobelin przedstawiający jeszcze jedną scenę z wielkich dziejów tutejszych świętych, po czym gestem zaprosił mnie do drugiej komnaty.

– Przytulnie tu – mruknęłam, przestępując próg. Na podłodze leżał dywan, w rogu stało wielkie łóżko z baldachimem, a na ścianie wisiało malowidło z kształtną syreną, kokieteryjnie przykrywającą pierś ogonem. Co prawda ogon pozostawał w tyle o co najmniej dwa rozmiary, więc w sumie niewiele zasłaniał.

Wielki mistrz z zadowoleniem wyciągnął się w fotelu, sięgnął pod stół po butelkę z winem i nalał szczerą porcję do srebrnego kielicha. Upił łyk, przez chwilę z zadowoleniem smakował go, patrząc

wprost na mnie, i nieoczekiwanie zapytał:

– Mam nadzieję, że zwróciłaś zbroję na miejsce?

– Zwróciłam... – potwierdziłam ze zdumieniem. – Jak się pan domyślił?!

– Kochana! – Wyraźnie był w dobrym nastroju. – Oboje doskonale zdajemy sobie sprawę, że Fenduł nie ma z tą zbroją nic wspólnego. Więc po licha jego duch miałby ją zakładać? Nasi bracia nie odważą się na takie bluźnierstwo, upiór posiada własną, więc pozostajesz tylko ty!

– I co? – spytałam wyzywającym tonem. – Mam zacząć zbierać chrust czy sam się pan tym zajmie?

– Ile ty masz lat, wiedźmiątko? – zapytał wielki mistrz, zamiast odpowiedzieć. – Dwadzieścia?

Dwadzieścia pięć?

– Dwadzieścia dwa – zaokrągliłam odruchowo.

– No cóż, w twoim wieku również byłem święcie przekonany, że świat dzieli się wyłącznie na czarne i białe. Ale w miarę upływu lat człowiek zaczyna rozumieć, że nadmiar świętości jest, niestety, bliższy temu pierwszemu. – Namiestnik lenna świętego Fenduła w zamyśleniu obrócił kielich w palcach. – Tak więc pomysł zaproszenia cię do zamku wyszedł właśnie ode mnie i doskonale przewidywałem skutki tej decyzji. I teraz chciałbym prosić, byś zachowywała się nieco... hmmmm... ostrożniej. Czyli nie wchodziła nikomu w oczy przebrana czy to za Fenduła, czy za...

upiora. Bo bynajmniej nie wszyscy mistrzowie podzielają mój punkt widzenia, a częste nocne alarmy mają nie najlepszy wpływ na mój autorytet. Poczułam, że się czerwienię. Odkasznęłam skrzepowana.

– Postaram się. Ale czynie mógłby pan opowiedzieć mi więcej o tym przek... znaczy świętym Fendule? Wielki mistrz westchnął i po krótkiej chwili wahania dolał sobie wina.

– W zasadzie sam chciałbym dowiedzieć się o nim czegoś więcej. Niestety, nasze informacje są poplątane i czasem nawet sprzeczne, ponieważ posiadamy zaledwie parę oryginalnych rękopisów z tamtego okresu, a opisane w nich szlachetne czyny zostały ubarwione do tego stopnia, że budzą wątpliwości. Ktoś pisze, że Fenduł mógł położyć smoka jednym ciosem pięści, ktoś inny, że wygrywał mądrością i sprytem, potrafił przepowiadać przyszłość, jak również uwielbiał wszelakie dowcipy i sztuczki. Istnieje również legenda, że jego duch po dziś dzień chodzi po zamku pod postacią jednego z braci i tego, kto go spotka, czeka nieopisana łaska. Khm... pamiętam, że w młodości sam czepiałem się napotkanych rycerzy z pytaniem, czy nie są przypadkiem Fendulem... Kronikarze zgadzają się w zasadzie co do jednego: był godnym człowiekiem, odważnym wojownikiem i założył zakon Białego Kruka, powołany w celu obrony zwykłych mieszkańców Belorii przed złem i niesprawiedliwością. Ale nawet my nie wiemy, gdzie znajduje się jego mogiła, ponieważ pewnego wieczoru wyszedł z zamku na swój zwyczajowy spacer i nie wrócił. Być może trafił na jakiś orczy patrol i zginął w nierównej walce – kilka godzin później rycerze musieli w trybie pilnym ruszyć na wyprawę przeciwko całej armii tych stworów, które zniecka przekroczyły granicę Belorii. Poranione ciało Fenduła mogło przedwcześnie ich zdradzić, więc najpewniej po prostu gdzieś je zakopali. W panującym rozgardiaszu nie było czasu go szukać, potem spadł pierwszy śnieg, a na wiosnę wyrosła młoda trawa, ostatecznie skrywając wszystkie ślady.

– Co nie stanowiło najmniejszej przeszkody do postawienia w zamku skarbonki z czarnego marmuru – wtrąciłam, nie mogąc się powstrzymać.

– Cóż zrobić?! – uśmiechnął się wielki mistrz. – Rycerze również od czasu do czasu muszą jeść. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak czasem trzeba kombinować, by nakarmić cały tłum zdrowych mężczyzn choćby i czarnym chlebem! Zamek wymaga remontu, a krasnoludy nie dadzą nam za darmo żelaza do kuźni. Poza tym potrzebowaliśmy symbolu, relikwii, która połączyłaby ze sobą braci zakonnych. Fenduł doskonale się do tego celu nadał. Dziecko, kierowanie tak ogromnym zamkiem wcale nie jest łatwe... Oczywiście mistrzowie w miarę swych sił pomagają, ale w ostatnich czasach nawet pomiędzy

nimi zaczęły się spory. Niestety, jakkolwiek bym się starał, nie dam rady dogodzić wszystkim – i akurat to powinnaś wiedzieć lepiej niż ktokolwiek inny! – a na tak wysokim stanowisku nawet najmniejszy błąd zmienia się w katastrofę... Tak więc, wiedźmiatko, nie rozczaruj mnie.

– Postaram się – powtórzyłam znacznie bardziej szczerze.

– W takim razie nie będę cię już dłużej zatrzymywał. Idź, moje dziecko, i niech łaska świętego Fenduła będzie z tobą! – odruchowo dodał wielki mistrz i zaraz się roześmiał.

* * *

– Tiwał, powinieneś był się z nią targować! – dobiegający zza drzwi głos wydał mi się znajomy. Aha, to ten odważny poskramiacz wiedźm z komitetu powitalnego! – Wiedźmy są zachłanne i w żadnym razie nie należało od razu proponować jej całej sumy przyznanej przez zakon. Bo teraz ona chyba uważa, że może nam tańczyć po głowach! I za to masz...

Szybciutko otworzyłam drzwi. Mistrz z wyraźnym żalem zamknął usta, nim powiedział coś paskudnego.

– Czy nie chowa się tu przypadkiem mój wartownik? – spytałam bezczelnie. Tiwał błyskawicznie prześlizgnął się przez szparę i schował za moimi plecami. – No i dobrze, bo właśnie chciałam zorganizować ucieczkę, a nie ma mi kto przeszkodzić. Mistrz odpowiedział wściekłym spojrzeniem, ale nie zgłosił zastrzeżeń. Uznałam rozmowę za skończoną i zamknęłam drzwi.

– Naprawdę mnie pani szukała? – zapytał giermek z nadzieją.

– Nie, akurat przechodziłam obok. Ty chyba miałeś ćwiczyć?

Dzieciak ponownie zaczął się czerwienić jak dojrzewający pomidorek. Wszystko jasne, znalazł wolną chwilę i poszedł do pana z najświeższą informacją. Oczywiście w wersji skróconej, bo w przeciwnym razie mistrz by dostał udaru.

– No dobrze – zlitowałam się i nie nalegałam na odpowiedź. – Jeszcze będziesz miał czas, padam z nóg i przed obiadem w ogóle nie wyjdę z pokoju.

– Rycerskie słowo honoru? – zapytał z niedowierzaniem.

– Wiedźmie słowo honoru – poprawiłam z uśmiechem.

* * *

Przekartkowałam książkę do końca, prychnęłam z rozczarowaniem i rzuciłam ją na łóżko, na stosik już przejrzanych. Sama doskonale wiedziałam, jak rozwiać zwykłą mgłę. Ale o magicznej nie było ani słowa.

W zamku mieszkał przynajmniej jeden mag – tego byłam pewna. Ale jego zaklęcie nie miało nic wspólnego z mgłą. Po kiego w ogóle gasił te pochodnie? Bawił się i chciał postraszyć wartowników? Czy znalazł sobie ciche miejsce i nocną porą szlifował umiejętności? W końcu na terenie zamku obowiązywał zakaz czarowania.

I jeszcze ten rozpadający się na kawałki upiór... Uważnie obejrzałam nałokietnik. Miał jakieś trzysta lat, nie mniej, ale zardzewiał wyłącznie po stronie zewnętrznej. Od środka stał błyszcząca jak gdyby wypolerowana przez kurtkę. Czyli niby jak – przed atakiem potwór specjalnie rozebrał się do gołych kości?

A jeśli był to człowiek o tak oryginalnym poczuciu humoru, to jakim cudem udało mu się zeskoczyć z wysokości prawie czterech sążni i nie rozciąć na pół na kolczastym grzebieniu? A potem lecieć szybciej niż Smolka, zamiast wlec się na rozstawionych nogach z głośnymi jękami? Konia na dworze nie było, a do lasu miał dobre parę wiorst...

Jeśli idzie o moją kobyłę, to pewna rzecz również była zastanawiająca. Albo Smółka przejęła od upiora niedobry nawyk przechodzenia przez ściany, albo plan zamku nie został zjedzony aż tak sumiennie, jak mnie zapewniano. I ktoś bezczelnie z niego korzystał.

Ze zmęczeniem potarłam czoło. Mózg odmawiał współpracy, domagając się, bym wynagrodziła mu bezsenność. Niech ich wszystkich leszy, zobaczymy, co będzie wieczorem. Postawiłam torbę na kolanach i zaczęłam wpychać książki z powrotem, zwalniając łóżko.

I właśnie to mnie uratowało. W przeciwnym razie po prostu nie zdążyłabym jej rozwiązać. Ból w brzuchu pojawił się nieoczekiwanie i był tak mocny, że nie zdążyłam nawet jęknąć – jakby ktoś zacisnął mi na gardle arkan, nie przepuszczając powietrza ani krzyku.

Głupia nadzieja na niestrawność czy nieplanowaną kobiecą niedyspozycję przemknęła mi przez myśl i natychmiast znikła. Zamiast niej przed oczami pojawił mi się rozdział „Trucizny” z podręcznika zielarstwa.

„Najważniejsze to nie panikować” – pouczał bakałarz Goralt, na naszych oczach wypijając łyk z flakonika ze skrzyżowanymi kośćmi i tak samo powoli wyciągając korek z drugiego, z zieloną koniczyną na etykietce. (Na przerwie, gdy wykładowca wyszedł na korytarz, założyłam się z kolegami, że powtórzę niebezpieczną degustację, i z oburzeniem wykryłam, że w obu flakonikach znajdowała się czysta woda. Co prawda w ramach dowcipu odegrałam tak realistyczne konwulsje, że bakałarz, który przybiegł z powrotem, słysząc przerażone wrzaski mojej paczki, na zawsze zrezygnował z tego rodzaju żartów).

Ale tym razem zawartość pierwszej buteleczki okazała się jak najbardziej uczciwa, więc nie miałam prawa pomylić tej drugiej.

Myśl, wiedźmo, myśl... trucizna podziałała po około trzech godzinach – po powrocie z karczmy nic nie jadłam ani nie piłam... bez smaku, bez zapachu, bobym zauważyła... prawie nieustanne ataki tnącego bólu... Wywar ze szponów nietoperza albo „Eliksir krótkowieczności”, jak ironicznie nazywały elfy wyciąg z pąków rudej mandragory, która rosła wyłącznie w gąszczach Jesionowego Grodu?

Miałam w torbie środki na obie trucizny, ale w żadnym razie nie można ich było ze sobą mieszać. Śmierć od „Eliksiru” następowała jakieś półtorej minuty po pojawieniu się symptomów, w przypadku wywaru – pięć do sześciu minut. No cóż, niedługo dowiem się na pewno... albo nie dowiem. Jeżeli ktoś zdecydował się na otrucie wiedźmy, to powinien był działać szybko, by nie zdążyła nawet pisnąć. A raczej wypowiedzieć zaklęcia czy sięgnąć po torbę z ziołami.

Czyli „Eliksir”. Gdzie ja mam to przeklęte antidotum?! Sztywniejącymi palcami przegrzebałam zawartość torby, która wyslizgnęła mi się z rąk, upadła na podłogę, a flakoniki poturlały się na wszystkie strony.

Zaszlochałam, schyliłam się i krzywo, bokiem, spelzłam z łóżka. Ostatkiem sił wyciągnęłam rękę w kierunku buteleczki, wirującej jakiś łokieć ode mnie, ale już dotykając zimnego szkła, zrozumiałam, że czas się skończył...

* * *

Obudziło mnie zimno. Obok mojej wyciągniętej ręki leżał pusty flakonik. Dookoła nie było zacieków, więc zawartość musiała znajdować się w moim żołądku. Poza tym żyłam, co też stanowiło jakiś dowód... Czyli zgadłam. Mimo że za leszego nie potrafiłam sobie przypomnieć, jak udało mi się otworzyć buteleczkę i wypić antidotum.

Moje biodro było coraz mniej zachwycone kontaktem z kamienną podłogą. Z jękiem przekręciłam się na brzuch i spróbowałam przyjąć przynajmniej pozycję siedzącą. Mięśnie jako tako słuchały, ale tak powoli i nieruchawo, że zaczęłam podejrzewać, iż w zamku zamieszkał właśnie kolejny upiór. Zresztą,

jeśli wnioskować z narastającego bólu i mrowienia, to ciało po prostu zdrętwiało mi od długiego leżenia.

Ktoś zapukał do drzwi. Powiedziałam parę nieprzyjemnych słów pod adresem swojego zaklęcia, które nie pozwalało upiorowi bez większych ceregieli przejść przez ścianę i radykalnie uwolnić mnie od cierpień. Musiałam osobiście pokuśtykać do wejścia, trzymając się ściany.

– Czego ci trzeba, młody wysłanniku Fenduła?

– Panno wiedźmo, już mamy zmierzch! – wypalił Tiwal. – Nie wyszła pani na wieczorny posiłek, więc zacząłem się niepokoić, czy pani...

– Starczyło mi porannego – skrzywiłam się, wpuszczając go do celi. – A teraz na chwilę się zamknij, dobrze?

Giermek posłusznie przysiadł na skraju łóżka, patrząc, jak mieszam w kubku dokładnie odmierzone krople z rozmaitych buteleczek. Mieszanka była paskudna jak mało co, ale za to natychmiastowo skuteczna – ponownie poczułam, że żyję, choć nadal trochę zazdrościłam umarłym, spoczywającym w spokoju i tak dalej...

– Dobrze się pani czuje? – nieco poniewczasie zorientował się giermek, rzucając jakieś dziwne spojrzenia na moją twarz. Pewnie byłam blada. Może nawet biała jak płótno, z rozszerzonymi źrenicami i odciskiem kamiennych płytek posadzki na policzku. Jak najbardziej odpowiedni wygląd, by dokładnie o północy zaskrobać w okienko karczmy, a następnie obnażyć sztuczne kły i uprzejmie zapytać gospodarza, gdzie zdobył tak wspaniałe przyprawy. Byłam pewna, że opowie wszystko jak na spowiedzi!

– Nie – ucięłam, chowając flakoniki z powrotem do torby. Do karczmy zawsze zdążę, a teraz musiałam szybko ruszać w kierunku mglistego jeziora. Upiór nie odważy się wychylić nosa przy świetle dnia, zmierzchało, a to oznaczało, że niebawem wylezie. Maga i wszędobyłską kobyłę również odłożyłam na później. Cały ten węzeł miał zbyt wiele końców. A nuż pociągnięcie za jeden wystarczy do rozwikłania całości? Giermek wydawał się czytać moje myśli.

– Panno wiedźmo, a gdzie teraz idziemy?

– My? – sprecyzowałam ironicznie, zwracając się w jego kierunku.

Na wszelki wypadek Tiwal zmrużył oczy. Naiwny! Wiedźma wcale nie musiała patrzeć w oczy swojej ofiary, potrafiłam uspić człowieka nawet na odległość. Ale przecież nie w moim pokoju! A potem jeszcze ciągnąć go do jego własnej celi... Musiałam wymyślić jakiś pretekst, by sam stąd wyszedł.

Uśmiechnęłam się, odwróciłam i podniosłam z podłogi flakonik po antidotum. I zastygłam, nadal ściskając go w garści. Magia... Znowu ta mglista magia! Owijała flakonik jak odcisk czyjejś dłoni, lekko pulsując pod moimi palcami. Wykonałam szybki gest drugą ręką. Nie wyczuwałam dookoła innych śladów cudzego zaklęcia, ale też nie mogłam założyć, że nie było ich w ogóle. W powietrzu wisiało coś niewyraźnego i ulotnego, jak aromat robionych przez driady perfum z liści. Jeśli wdychać spokojnie, to dawał się wyczuć, ale przy próbie powąchania zanikał. W zamyśleniu zakorkowałam flakonik i wrzuciłam do torby. Tiwal nie doczekał się uspienia i nieśmiało otworzył jedno oko.

– Ale wielki mistrz rozkazał mi...

– Nic podobnego – prychnęłam, gwałtownie ściągając sznurki torby. – Jeżeli się nie mylę, to odpowiadasz za to, bym nie nabroiła w zamku? Chłopak umilkł zmieszany, a ja bezlitośnie dokończyłam myśl:

– Czyli możesz z czystym sumieniem poczekać na mnie przy bramie. Tylko znajdź mi normalny miecz, bo sam widzisz... – Wyciągnęłam z pochwy odłamek. Tiwal przestąpił z nogi na nogę.

– Wątpię, by któryś z rycerzy zgodził się powierzyć pani swoją klingę, a w zbrojowni przechowujemy wyłącznie miecze treningowe i bojowe dwuręczne. Ale... – Ale?

– Mam miecz, który odziedziczyłem po przodkach. Co prawda nie mam prawa go dotykać, zanim zostanie pasowany na rycerza, ale jeśli weźmie mnie pani ze sobą, to mogę go pani pożyczyć!

– Pokaż – poleciłam z ciekawością.

Tiwal czmychnął i wrócił po krótkiej chwili z długim pakunkiem, owiniętym kawałkiem poźółkłej szmaty, którą delikatnie rozwinął i wyciągnął w moim kierunku jak weselny chleb na ręczniku.

– Mam nadzieję, że nie zawiera żadnych paznokci? – mruknęłam, patrząc na głowicę. Ostrożnie uniosłam miecz, drugą ręką trzymając go w połowie ostrza. Dziwne, wyraźnie zrobiony na zamówienie mężczyzny – prosty trzpień, opleciony wąskimi paskami skóry, głownia bez grawerunku, wyłącznie ze srebrnym znakiem przy samej podstawie. Niemniej, jednak miecz przeznaczony był raczej dla kobiecej ręki – lekki, delikatny, doskonale wyważony. Chłopak pokręcił głową.

– Jego ochroną jest ręka trzymająca!

– Tym razem masz wyjątkowego pecha – chmurnie poinformowałam miecz, wykonując próbny zamach.

Srebrzyste ostrze bezgłośnie przecięło powietrze. Klinga podobała mi się coraz bardziej. Gdybym trafiła na nią na targu, to chyba kupiłabym bez chwili wahania. Poza tym weszła do pochwy za moimi plecami jak do ukochanego domu. Odwróciłam się w kierunku Tiwala i łaskawie oznajmiłam:

– No dobra, przekonałeś mnie. Ale żebyś nawet kichnąć nie próbował bez polecenia! Chłopak rozjaśnił się, skutecznie puszczając drugą połowę mojej wypowiedzi mimo uszu.

– Panno wiédźmo, a jaki ma pani plan?

– Wrócimy do jeziora, schowamy się w krzakach i będziemy czekać. – Sprawdziłam sznurowadła w butach, złapałam kurtkę z łóżka i narzuciłam ją na ramiona. – Biegnij osiodłaj tę swoją szkapinę. Bo na ciebie w odróżnieniu od upiora czekać nie będę. A w razie czego zawsze możesz pospać sobie w tych krzaczkach.

* * *

Znalezienie krzaków nadających się na zasadzkę okazało się wcale nie takie proste. Na skraju dolinki rośło pełno leszczyn, ale na razie były to żalosne, ledwo przyprószone zielenią patyczki i chowanie się za nimi było wyraźnym brakiem szacunku wobec wroga.

– Ech, szkoda, że do lasu mamy za daleko... – rozmarzył się chłopak, zachłannie patrząc na młode drzewka rosnące na jego skraju. – Bo tam toby się całe wojsko mogło schować, nawet i konnica.

– A w sumie czemu nie... – ożywiłam się i wyciągnęłam miecz. W ciągu pół godziny pośród leszczyn wyrosły trzy dokładnie przytulone do siebie kosmate świerki. Wyglądały bardzo sympatycznie, choć nieco obco.

– Panno wiédźmo, a jest pani pewna, że to zadziała? – giermek wyraził na głos nasze wspólne wątpliwości.

– No cóż, przynajmniej zobaczy świerki, a nie nas – stwierdziłam rozsądnie. – Może będzie chciał je sobie obejrzeć z bliska, podjedzie, a my go cap!

– A co, jeśli domyśli się, że ktoś się za nimi chowa?

– Czy na przykład tobie by przyszło do głowy, że ktoś będzie próbował schować się za świerkami wkopanymi w środku szczerzego pola?

– Nie – uczciwie przyznał chłopak. – W życiu bym nie uwierzył, że Bogowie zesłali mi aż tak głupiego przeciwnika!

– No i dobrze. – Pozwoliłam sobie na krzywy uśmiech. – Będziemy mieli nadzieję, że wszyscy członkowie waszego zakonu rozumują w identyczny sposób. Nawet jeżeli temu konkretnemu do myślenia została wyłącznie czaszka pod rogatym hełmem!

Przez następne dwie godziny sumiennie dokarmiłam wszystkie okoliczne komary. Na szczęście późną wiosną nie było ich jeszcze wiele, ale jakość wygłodzonych przez zimę krwio pijców skutecznie nadrabiała braki ilościowe, a głodne bzykanie to nad jednym, to nad drugim uchem co rusz skutecznie mnie rozpraszało, zmuszając do wściekłego klepania po odkrytych częściach ciała (zakryte również gryzły, ale trochę mniej).

– Panno wiedźmo – mój towarzysz nieśmiało zakłócił ciszę – mamy teraz chwilę czasu, pozwoli pani, że odmówię modlitwę i może pani serce zmięknie, a dusza zwróci się ku światłu! Bo w pani oczach widzę, że mrok jeszcze nie zdążył pochłonąć pani do reszty, a droga szczerzej skruchy może doprowadzić do nieba nawet najbardziej zatwardziałego grzesznika...

– A może ja wypowiem zakłęcie i poczekam na upiora w samotności, dokładnie tak, jak planowałam? – przerwałam mu z irytacją, zabijając kolejnego komara. Młodzieniec pokornie westchnął, wznosił oczy ku niebu i zaczął bezdźwięcznie poruszać wargami. Chyba uznał, że skomunikuje się z Bogami bez mojego udziału, ale przy okazji i tak się za mną wstawi. Daleko we wsi namiętnie wrzeszczały koty, dołączając do jego modlitwy.

Z rezygnacją podparłam policzek ręką i smętnie gapiłam się na kotłującą mgłę. Dziś było trochę cieplej, poza tym Tiwal grzał mi lewy bok, ale nie pałałam przez to ani odrobinę większą sympatią do spóźniającego się upiora. A jeśli dziś również się nie pokaże? Zagrzebał się tam do lepszych czasów, czeka na polepszenie ogólnego klimatu...? Może powinnam iść szukać go po omacku? Co prawda może się to dla mnie dosyć parszywie skończyć... Wypatrywałam upiora tak intensywnie, że jako pierwszy zauważył go Tiwal.

– Panno wiedźmo! – pisnął na granicy ultradźwięku. – Patrzy pani! Popatrzyłam i poczułam, że zdrowe zmysły odbiegają ode mnie truchcikiem. We wskazanym miejscu faktycznie obecny był upiór sztuk jedna, tyle że udawał się... w kierunku mgły! W której znikł przy braku jakiegokolwiek sprzeciwu z mojej strony.

– Ano żeż ghyr! – wyrwało mi się.

– Worra ta kyndyk – odruchowo przytaknął giermek, po czym obiema rękami zatkał sobie usta.

Poszłam w jego ślady, wyłącznie po to, żeby się nie roześmiać. Cóż, sprawa nie była beznadziejna, z dzieciaka jeszcze mogło wyrosnąć coś sensownego!

Nie pozostało nam nic innego, jak tylko kontynuować obserwację zza świerków. Co prawda teraz nie było co skarżyć się na nudę – słyszeliśmy, jak upiór chodzi po dolince, podzwaniając zbroją. Bliżej, potem dalej. Nad nim jak płetwa grzbietowa krążącego pod wodą rekina unosił się garb z mgły.

Mogłam zaryzykować i na oślep strzelić pulsarem, ale nie miałam pojęcia, czym zaskutkuje zetknięcie się dwóch rodzajów magii. Ale nic to, skoro zamierzałam wartować całą noc, to na pół godziny cierpliwości mi starczy. Poczekamy.

Garbik zamarł i powoli opadł jak chleb w zbyt wcześnie otwartym piecu. Złowieszczy jeździec wyłonił się z niecki wprost przed naszym nosem i zatrzymał na jej skraju, powoli kręcąc głową.

Tiwal wcisnął się w ziemię, chyba mając nadzieję się z nią scalić, ale odważnie milczał.

Mnie również obserwacja upiora nie sprawiała przyjemności. W blasku księżyca wydawał się czarny i ogromny, tylko oczy świeciły mu jak dwa rozżarzone węgielki.

Koń z głuchym parskaniem gryzł wędzidło, potrząsając ciężkim łbem.

Ale za to celowanie w tej sytuacji było wyjątkowo wygodne. I właśnie tym się zajęłam, łącząc palce obu rąk w „kuszę” – małe i serdeczne zwinięte razem, środkowe odstawione na boki, kciuki i wskazujące wyprostowane jak celownik i łożysko dla bełtu. Jedno zakłęcie i z takiej konstrukcji można wypuścić

do dwunastu szybkich pulsarów za jednym zamachem. Życzymy wielu miłych wrażeń przy uchylaniu się!
Mój towarzysz podskoczył, jakby go kto ugryzł, i szturchnął mnie w ramię.

– Panno wiedźmo, co pani takiego mamrocze? Rozproszyłam się, zakłęłam w myślach i przez zęby, żeby przypadkiem nie wyrwało mi się nic niepotrzebnego, syknęłam:

– Czaruję, nie widać? I nie waż się jeszcze raz mi przerwać, bo nie ręczę za skutki!

– Ojej, to proszę poczekać, odpełznę na bok, by nie beczceścić słuchu dźwiękiem piekielnych słów!

– Zatkaj uszy! – ucięłam.

Giermek faktycznie przycisnął dłonie do głowy, na wszelki wypadek jeszcze mrużąc oczy. Ale nie na długo. Akurat zdążyłam pozbierać myśli i przygotować się do powtórzenia „słów”, kiedy ponownie mi przerwał:

– A co chce pani z nim zrobić?

– Wysłać do nieba nieco okrężną drogą – rzuciłam ze złością. – Mam co prawda wątpliwości, czy go tam wpuszczą, ale do bramy na pewno doleci...

– Ale to wbrew honorowi rycerskiemu! – wyszeptał chłopak gorączkowo, próbując zerwać się na nogi. – Powinniśmy wyzwać go na pojedynek i pokonać w uczciwej walce, po czym ulżyć duszy modlitwą i zapewnić przeciwnikowi godny pochówek... W ostatniej chwili zdążyłam złapać go za rękaw i z całej siły pociągnąć w dół, zmuszając, by ponownie się położył.

– A czy atakowanie na końskim szkielecie bezbronnych kobiet jest zgodne? Poza tym jeden raz już go pochowali i nic to nie pomogło!

W tejże chwili wspomniany szkielet zadarł ogon i wyprodukował porcję „jabłek”. Sądząc z dźwięku i zapachu – bardzo dobrej jakości i solidnych rozmiarów. W jednej chwili przerwaliśmy kłótnię, by w oszołomieniu podziwiać ów proces.

– Panno wiedźmo, a jest pani pewna, że to nasz upiór?

– Powiedziałybym, że raczej nie jest to przypadkowy przechodzień – szepnęłam w odpowiedzi, próbując dojrzeć, gdzie w końskim szkielecie mogło pomieścić się tyle nawozu. Kości kośćmi, ale za nimi ciemniała jakaś solidna masa, jak gdyby... zostały po prostu nałożone? – A nasz czy nie, najpierw utrupimy do właściwego stanu, a potem się sprawdzi.

Mówiąc to, bezczelnie wyprostowałam się na pełną wysokość, niedbale skupiając pomiędzy dłońmi bojowy pulsar, i z sarkazmem spytałam:

– Cóż to, cierpimy na bezsenność? Może zaśpiewać kołysankę? Ale upiór nie miał najmniejszej ochoty na stawanie ze mną w szranki. Gwałtownie popędził konia i bez zbędnych słów (nie to żeby całkiem w milczeniu, ale „ghyr” pasuje do każdej sytuacji) rzucił się do ucieczki, mijając świerki tak blisko mnie, że poczułam nawet cierpki zapach męskiego potu, nie wspominając o końskim.

Odwróciłam się i drapieźnie szczerząc zęby, gwałtownie rozłożyłam ręce, rozdzielając i równocześnie rzucając w ślad za upiorem lśniące kłębki ognia. Pulsary zgodnie uderzyły w opancerzony koński zad, po czym odbiły się. Chyba to jednak nie był zwykły rykoszet, tylko nałożone na zbroję zakłęcia. Z „kuszy” przy tak małej odległości prawie na pewno przebiłabym zwykły metal, więc nie było nawet sensu próbować. Koń zadarł żarzący się ogon i ze zdwojoną prędkością pomknął w kierunku zamku, pozostawiając za sobą czarny pas dymu, niczym ranny smok. Błyskawicznie odwróciłam się w stronę gaju i co sił gwizdnęłam w dwa palce. Szybki czarny cień przemknął po polu i zatrzymał się tuż obok mnie, niecierpliwie przebierając kopytami. Skoczyłam na siodło, nie marnując czasu na poszukiwanie drugiego strzemienia i zbieranie wodzy, uczepliłam się przedniego łęku i natychmiast poleciałam:

– Smółka, za nim!

Kobyła warknęła jak wilk i wyrwała do przodu.

Upiór zdążył uciec dosyć daleko i był ledwo widoczną ciemną plamką w połowie drogi do zamku. Doganiałyśmy go, ale zniknął w bramie jakieś dziesięć sążni przed nami, a krata natychmiast zaczęła opadać. Smolka ledwo zdążyła wyhamować, by nie nadziać się na sterzące kolce.

– Zaraza! – Zeskoczyłam na ziemię i ze złością kopnęłam gruby stalowy pręt. Mam wołać na pomoc czy jak? Może usłyszą mnie jacyś wielbiciele świeżego powietrza śpiący przy otwartych oknach? Pytanie tylko, czy wyjdą? A może uznają, że to tylko pijany troll rozrabia pod bramą? Poza tym od czego w końcu jest straż? Nieco delikatniej niż kratownicę kopnęłam chrapiących w pobliżu wartowników. Bez skutku. Nie, tu stanowczo nie chodziło o wino – chłopaków uspiono zaklęciem. Pewnie gdybym straciła kwadrans na dobór właściwego czarownika, to powinno mi się udać ich obudzić, tylko po co? Kołowrót otwierający bramę i tak znajdował się po drugiej stronie kraty. Tyle tylko, że będziemy mogli krzyczeć trzykrotnie głośniej. Upiór ze sto razy zdąży schować się w zamku albo w ogóle bez przeszkód wyruszy na polowanie, złośliwie podśmiewając się z oszukanej wiedzy.

Warknęłam tak, że jakiś mały psiak desperacko ujadający po tamtej stronie muru gwałtownie zamilkł, jak gdyby zdechł na miejscu. Skoro tego ghyrowego zamku nie zdobyto przez tyle lat, to jakie miałam szanse poradzić sobie w parę sekund?! Tymczasem Smolka odwróciła się i niespiesznie potruchtała brzegiem fosy wzdłuż zamkowej ściany. Z roztargnieniem obserwowałam jej ruchy, póki nie weszła wprost w kamienny mur! Moja kobyła odwróciła się pyskiem w jego kierunku, po czym... weszła wprost w kamienie.

Rzuciłam się jej śladem i zdążyłam zauważyć jedynie szybko zbliżające się ku sobie ściany. Bez namysłu wepchnęłam pomiędzy nie wyciągnięty w biegu miecz. Kamienne wrota ze szczęknięciem zwały się na ostrzu, za ścianą coś chrupnęło i urwało się z klekotem, miecz jednak chyba wytrzymał. Nacisnęłam rękojeść, próbując rozewrzeć ukryte drzwi. Poczułam ciepło pod palcami i ściana zaczęła powoli rozsuwać się na boki. Nogą wepchnęłam w dziurę parę leżących obok kamieni, gwałtownie wyrwałam broń i wślizgnęłam się do środka. Kamienie nie utrzymały mechanizmu na długo – odrzwia z łoskotem zwały się wprost za moimi plecami, ostrzeliwując mi łydki odłamkami granitu.

Wstrzymałam oddech i przez chwilę stałam nieruchomo, przyzwyczajając wzrok do ciemności. Powoli wyłaniające się z mroku mury tchnęły zimnem i zapachem pleśni. Skądś z daleka dolatywał stukot kopyt, ale Smolka stała tuż obok i świeciła żółtymi oczami jak kot. Stałyśmy w wąskim, lecz dosyć wysokim korytarzu, akurat na wymiar konia z jeźdźcem. W ścianach tkwiły puste pierścienie na pochodnie. Stukot ucichł i natychmiast trzasnęły gdzieś drzwi, a pod ścianą przemknął wystraszony szczur.

W końcu zebrałam się w sobie, pokazałam kobyle przyciśnięty do ust palec i ostrożnie ruszyłam korytarzem. Chyba ciągnął się na całą długość zamku i bardzo szybko zrozumiałam, dlaczego nikomu nie udało się ponownie wykonać dokładnego planu Kruczych Szponów.

Fizycznie w jednym miejscu istniały dwa zamki. Wewnątrz murów jednego znajdował się drugi. Identyczne korytarze, schody i cele (przeważnie bez drzwi albo ze spróchniałymi i otwartymi na oścież), wilgotne, nieoświetlone i nieotynkowane. Ale za to ze szkieletami, które malowniczo leżały wzdłuż ścian jak psy podwórzowe na łańcuchach.

Zrobiło mi się trochę nieswojo. Jak gdybym na minutkę wyszła z zamku i po powrocie zastała go niespodziewanie wyludniony i postarzały o paręset lat. Co prawda drzwi po tej stronie było mniej, a cele całkiem malutkie. Pewnie była to ostatnia linia obrony Kruczych Szponów – znając tajemne wejścia i wyjścia, rycerze mogli siedzieć w obrębie murów przez wiele lat po jego zajęciu przez wroga, ale korytarze okazały się nieprzydatne, więc porzucono je i po prostu zapomniano. A może tajemnicę od początku znali wyłącznie budowniczowie oraz Fenduł, który na wszelki wypadek z nikiem się nie podzielił cenną wiedzą i ostatecznie zabrał ją ze sobą do grobu. I nagle zza kolejnych drzwi doleciały

mnie przytłumione głosy:

– Przecież zapewniałaś mnie, że wiedźma nie żyje!

– Tak, panie. Słyszałem, jak jęknęła i upadła na podłogę, a potem w komnacie przez całą godzinę panowała cisza jak w grobie. A dalsze podsłuchiwanie było zbyt niebezpieczne, kręcił się tam ten przeklęty dzieciak.

– W takim razie kto twoim zdaniem podpalił ogon mojemu koniowi?! Upiór?

– Może Fenduł? – zasugerowano nieśmiało. Pogardliwe prychnięcie wyraźnie dało do zrozumienia, że nie byłam osamotniona w mojej opinii co do szacownego świętego. Po chwili milczenia przy wtórze jakichś metalicznych dźwięków „pan” ciągnął dalej:

– Ze też mnie podkusiło, by pchać się w tę przeklętą mgłę! Ale koniecznie chciałem sprawdzić, po jakiego ghyra wiedźma sterczała tam całą noc.

– I co, panie?

– I nic! Pobłądziłem po omacku, trawa się czepia butów, jakieś pagórki, na jednym prawie skręciłem nogę... Ledwo żem się stamtąd wydostał, własnej dłoni człowiek nie widzi! A ta przeklęta baba jakby czekała, i szczeniak z nią. Gdyby jej nie przeszkodził, to jako żywo zostałyby ze mnie węgielek! Ale starczy już tego dobrego. Niech nasz czarownik sam za nią biega, ja tej ryżej paskudy mam po dziurki w nosie!

– Sam jesteś czarownik – leniwie odezwał się trzeci głos. – A ja posiadam dar boski tworzenia cudów ku sławie i chwale zakonu. Lepiej podziękuj za amulety, bo bez nich ghyr, a nie uciekłybyś wczoraj z zamku!

– To moja wina, że się na mnie gapiła z okna? Przecież nie mogłem na jej oczach otwierać ukrytych drzwi, musiałem uciekać za ścianę, do bocznego wejścia. Ledwo zdążyłem zanurkować w korytarz, patrzę, a ona leci obok, do dolinki. Nawet trucizna na nią, hwybrę ryżą, nie działa... Czy może to karczmarz coś skopał? Pieniądze zgarnął, a potem stchórzył w ostatniej chwili?

– Zaklinał się na Bogów, że wysypał wszystko do ostatniego okruszka. Ale pewnie po tym jego żarciu zemdlilo ją, zanim trucizna zdążyła się wchłonąć.

– Ale mogła zacząć coś podejrzewać. Nie wygada się?

– Chyba że go nekromanta odpyta – zachichotał paskudnie „boski” czarownik. – No dobrze, kończ już i wracamy do siebie. Za chwilę uda jej się ocucić gwardzistów i znowu podniosą raban na cały zamek.

– To co robimy ze staruchem?

– Zajmę się nim bliżej świtu, kiedy rejwach nieco się uspokoi i wszyscy wrócą do cel. Jak zwykle zapukam, powiem, że mam ważną wiadomość, wręcę jakiś zwój, a kiedy odwróci się do światła, żeby przeczytać, wpakuję mu sztylet między żebra i ucieknę do ukrytego przejścia. Upiór znowu jest w zamku, wiedźma to potwierdzi. Dobrze by było, żeby jeszcze ktoś go dziś zobaczył, ale nie będziemy ryzykować. Skrzypnęły krzesła, a ja uznałam, że nie ma na co czekać. Jeżeli zaraz rozejdą się do cel, a potem będę musiała łapać każdego z osobna i jeszcze dowodzić, że się nie pomyliłam! Mało prawdopodobne, by ten ich mag naturszczyk miał na tyle wysoki poziom, by się ze mną mierzyć. A z trzema przeciwnikami jakoś sobie poradzę, chociaż będzie przy tym trochę roboty.

Złapałam za pierścień w drzwiach i ze wszystkich sił pociągnęłam. Dokładnie tak jak się spodziewałam, zasuwa od wewnątrz była zasunięta, ale śruby ją mocujące wyszły ze zbutwiałych desek jak szpilki z poduszki. Efektownie otworzyłam drzwi na całą szerokość i zamarłam w progu, krztusząc się tekstem powitalnym w rodzaju: „No i co, kochani?!”.

W pokoju siedziała nie trójka rycerzy, ale przynajmniej tuzin! Jeden z nich akurat ściągał zbroję z wykonanym świecą farbą rysunkiem kości, poznany wczoraj malarz spiesznie zmywał podobne wzory z konia, którego ogon nadal leciutko dymił. Smagły, długowłose brunet, którego przelotnie widziałam

w jadalni, leniwie przerzucał z ręki do ręki pulsar bojowy w trupio zielonym kolorze. Dojrzałam też mistrza, który „złapał”

mnie w Rozdrożu.

Zarówno oniemiała na widok takiej bezczelności rycerze, jak i ja, zszokowana ich liczbą, przez chwilę trwaliśmy bez ruchu. Nawet koń znieruchomiał i ze zdziwieniem nadstawił uszu.

Kasznęłam ze skrzepowaniem, „przepraszam, jeśli przeszkadzam, i na pewno wpadnę później”, zatrzasnęłam drzwi i zamknęłam zewnętrzną zasuwę. Po krótkiej chwili zdumionego milczenia uwięzieni podjęli tak burzliwą aktywność, że mogłam wyobrazić ją sobie ze wszystkimi szczegółami na podstawie samych odgłosów.

Wszyscy rycerze skoczyli na nogi i cała ta oburzona masa rzuciła się do szturmu na drzwi, wybijając je za pierwszym podejściem, ale za to blokując kupą sprasowanych ciał. Po chwili wierzgania wydostali się na korytarz, ale ja byłam już przy kręconych schodach. Dolatujące krzyki nie brzmiały przyjaźnie. „Gołymi rękoma zarazę rozerwę na małe kawałeczki!” – był najbardziej przyzwoitym.

Schody ukrytego zamku owijały się dookoła zwykłych (a ja się zastanawiałam, po cholere krasnoludy zbudowały tam tak szeroką klatkę schodową?!), co oznaczało szersze zakręty i odpowiednio dwa razy więcej schodków. Krasnoludzkie zakłączenia działały i tutaj, ale również moje portale, więc udało mi się nieco oderwać od prześladowców.

Ghyr wie, albo po prostu przegapiłam wyjście na pierwsze piętro, albo schody nieprzerwanie ciągnęły się do drugiego, ale ostatecznie wylądowałam właśnie tam.

Rozejrzałam się, bezskutecznie próbując znaleźć coś do zabarykadowania drzwi, uznałam, że nie będę się zatrzymywać, by poszukać dokładniej, i kontynuowałam wyścig już w linii prostej.

Niestety, okazało się, że z kręconych schodów skorzystała wyłącznie część rycerzy.

Pozostali rzucili się do zwykłych, krótszych, i teraz rozwścieczoną gromadą wypadli na korytarz jakieś dziesięć sążni przede mną.

Bez chwili wahania odwróciłam się i rzuciłam w przeciwnym kierunku, mijając wyjście na kręcone schody, z którego z jękami i na czworakach wyłoniły się właśnie ofiary krasnoludzkiego budownictwa. Balansując mieczem w wyciągniętej ręce, przebiegłam im po plecach, do reszty wbijając biedaków w grunt. Nad głową z paskudnym wrzynającym się w uszy szumem przeleciał mi pulsar i rozplaskał się na ścianie.

Kamienie bezdźwięcznie zawrzały, a pod miejscem trafienia pojawiły się zastygające zacieki.

Uznałam, że wolę tego doświadczenia nie powtarzać, i szybko skręciłam w najbliższy boczny korytarz, tak samo ciemny i zatechły jak poprzedni. Zresztą nie można było mówić o absolutnym mroku, bo do tajemnego zamku mimo wszystko dostawało się światło, przenikające przez otwory pomiędzy kamieniami, które od drugiej strony wyglądały jak zwykłe szczeliny w rozeschniętej zaprawie. Rozciągniętego nad podłogą sznurka bym nie dojrzała, ale bez trudu unikałam wpadania na ściany.

Gdy tylko dostosowałam wzrok do otoczenia i ruszyłam biegiem, w poprzek korytarza śmignął ogromny biały ptak, który wyleciał wprost z kamiennego muru i zniknął po przeciwnej stronie przejścia.

Gwałtownie wyhamowałam i w tejsze sekundzie przed moim nosem zgodnie gwizdnęły i uderzyły w przeciwną ścianę długie bełty z kuszy w liczbie około tuzina. Kilka utknęło w szczelinach pomiędzy kamieniami, reszta odskoczyła i z brzękiem spadła na podłogę.

Otrząsnęłam się z chwilowego szoku i rzuciłam dalej. Ta pułapka już się rozładowała i mało prawdopodobne, by za nią czekała kolejna, ale jak najbardziej mogła ona znajdować się w sąsiednim korytarzu. Gdyby nie ten ptaszek... chwila moment, ale co tu robił ptak? Kolejny upiór z umiejętnością latania przez ściany? Czy może pułapka magiczna, która uruchomiła się chwilę przed kuszami? Ale jak to trolle mawiają, „i na postojach bez suszonego muchomora nie da rady”, co dopiero w biegu. Chwilowo

wyrzuciłam ptaka z głowy i kontynuowałam swoją chwalebłą ucieczkę. Co też mnie podkusiło, żeby pchać się do tego gniazda szerszeni?! „Staruch” to najpewniej wielki mistrz, którego osoba w jakiś sposób przeszkadzała spiskowcom. Ech, głowo moja durna, znacznie prościej było złapać ich na gorącym uczynku, urządzając zasadzkę w pokoju z syreną! Czułam się jak zając, którego zatrudniono jako zaganiacza w polowaniu na wilki.

Wkrótce okazało się, że nie ja jedna źle orientowałam się w tych korytarzach. Prześladowcy rozbili się na niezależnie biegające po piętze grupki, które co jakiś czas wpadały na mnie oraz na siebie nawzajem. Za każdym razem takie spotkanie było dużym zaskoczeniem – Przed swoją męczeńską śmiercią pragnę pomodlić się do świętego Fendula – wyjaśniłam, pokornie składając ręce i wznosząc oczy ku niebu. – Mam nadzieję, że nie odmówicie mojej skromnej prośbie?

– Odmówimy! – jednogłośnie ryknęli mistrzowie, ale zagłuszyło ich przychyłne mruczenie pozostałych rycerzy.

– Módl się, wiedźmo! – rozkazał jeden z nich, opuszczając miecz. – Gdyż naszym świętym obowiązkiem nie jest zabicie ciała wroga, tylko uratowanie jego duszy!

– O święty Fendule! – zaczęłam przenikliwie i śpiewnie, naśladując wspaniałe wystąpienie Terena przed pielgrzymami. – Usłysz swą niegodną córę, która przypomniała sobie o tobie w godzinie bólu i próby! Wybacz mi! Byłam złą wiedźmą! Znaczą się dobrą, więc ściągnęłam wiele zła i cierpienia na niewinnych ludzi, kusząc ich paskudnymi czarami i wykonując przy ich pomocy najprzeróżniejsze świństwa! Przeżyłam swoje życie, popełniając paskudne czyny i lubując się w grzesznych rozkoszach, ale teraz, gdy grozi mi niechybna śmierć, oglądam się do tyłu i moje serce pęka ze wstydu i bólu! O, gdybym tylko mogła naprawić popełnione przez siebie zło! Modliłabym się przez cały dzień bez przerwy, nosiła łachmany utkane z pokrzywy i jadała wyłącznie lebiodę, bicząc się we wszystkie dostępne miejsca rano i wieczorem, a w święta również po obiedzie!

Rycerze trwali wyraźnie zasłuchani. Jeden i drugi nawet opadł na kolano, czyniąc znaki krzyża do wtóru mojego namiętnego wycia. Jakiś szczególnie wrażliwy chłopaczek ścisnął miecz między kolanami, wyciągnął z rękawa kolczugi ogromną chustę w kratkę i zaczął głośno łkać i smarkać.

– Kretyni, przecież ona sobie z was kpi! Żadnego Fendula nie ma i nie było, a ona o tym doskonale wie! – Mistrz nie wytrzymał i wystąpił, zasłaniając moją natchnioną postać. Bez chwili wahania patetycznym gestem wzniosłam ręce ku niebu.

– Jak to nie ma?! – zakrzyknęłam zdjęta świętym oburzeniem. – Bracia moi, czy słyszycie, co mówi ten człowiek?! On waży się wątpić w naszego świętego! W naszą duchową nadzieję i opokę!

Rycerze mruknęli z niezadowoleniem, kierując nieprzychylnie spojrzenia w stronę mistrza.

– Kogo wy słuchacie?! – zachrypiał, zdając sobie sprawę, że koledzy bynajmniej nie żartują. – Nie, absolutnie źle mnie zrozumieliście! Miałem na myśli to, że Fendul nigdy nie istniał dla tej wiedźmy, bo ona niegodna jest, by bezcześcić jego światłe imię swoimi kłamliwymi ustami! Zabijcie ją! Rycerze ponownie zwrócili się w moim kierunku.

– O święty Fendule, czy widzisz, co tu się dzieje? Słaba kobieta nie ma nawet prawa ulżyć swej duszy spełnioną z czystego serca pokutą!

Chłopcy ostatecznie się pogubili, zdecydowali zostawić nas oboje w spokoju i zebrali się w szepczącej grupce, pozwalając, byśmy samodzielnie załatwili sprawy pomiędzy sobą i z Bogu ducha winnym świętym.

– Wiedźmo, starczy już tego cyrku! – syknął mistrz przez zęby.

Od drugiej strony zbliżał się czarodziej, który wyraziście gimnastykował palce. No cóż, jednak nie doceniłam jego „boskiej mocy”. Taki sam jak ja mag żywiołu, tyle że specjalizujący się w powietrzu. Z jednej strony daleko mu było do zawodowca i sam na sam poradziłabym sobie z nim jednym palcem,

ale mało prawdopodobne, by tamci smutni chłopcy zechcieli w spokoju podziwiać nasz pojedynek. Tymczasem mistrz podszedł do mnie na długość miecza...

Ponownie zerknęłam za barierkę. Niestety, wysokość nic się nie zmniejszyła.

– Mistrzu, proszę nie mówić, że ściągnął mnie pan do tego zamku tylko po to, by sprawdzić, jak latam?

– Wykonywałem rozkaz głowy zakonu. – Rycerz skrzywił się, ale natychmiast rozchmurzył. – Ale za to obecne wydarzenia to moja osobista inicjatywa!

– No dobrze, ja się panu nie spodobałam, ale czym zawinili inni?

– Dokładnie tym samym. Pakowali się w nie swoje sprawy i nie słuchali dobrych rad... aż było za późno.

– Mam wrażenie, że panu bardzo się podoba udzielanie rad. A znacznie przyjemniej robić to w białej szacie z wzorem kruka, zawczasu pozbywszy się pozostałych chętnych do jej założenia?

– Widzisz, wiedzmo... – Mistrz powoli i wyraźnie ciesząc się każdą chwilą, wyciągnął zza pleców swój dwuręczny miecz. Szerzej rozstawił nogi, wygodniej złapał rękojeść. – Jesteś nie tylko bardzo natrętna, ale też zbyt domyślna. Niestety, tacy ludzie długo nie żyją...

– Mam wrażenie, że widzieliśmy i słyszeliśmy już dosyć – spokojny, przychylny głos wywołał efekt nie gorszy od uderzenia pioruna. – Wiedzmiatko, złaż z tego parapetu, bo się jeszcze przeziębisz!

Spiskowcy spojrzeli po sobie, cofając się i rozstępując przed gęstym płótem z wyciągniętych mieczy. Ja natomiast szybko skorzystałam z uprzejmej sugestii wielkiego mistrza, zeskoczyłam na podłogę i oparłam się o jeden ze słupów, próbując złapać oddech. Tiwał bez ceregieli przepchnął się pomiędzy zapełniającymi wieżę rycerzami i rzucił do mnie:

– Panno wiedzmo, wszystko w porządku? Mój Chaberek nie dał rady dogonić pani kobyły, straciłem panią z oczu i pobiegłem wprost do wielkiego mistrza!

– Chłopiec powiedział, że udało się pani znaleźć leże upiora – rzekł tamten, obdarzając mnie miłym uśmiechem, jakbyśmy nadal rozmawiali w jego przytulnie urządzonej celi, a nie na szczycie wieży, pełnym przeciągów i coraz obficiej zalewanym deszczem.

– Więc pomyślałem sobie, że odrobina pomocy pani nie zaszkodzi. Co prawda do głowy by mi nie przyszło, że upiorów jest aż tyle... Gęsie, jak mogłeś? Przecież sam dałem ci rekomendację do zakonu pięć lat temu. Jeden z rycerzy opuścił spojrzenie, a następnie miecz.

– A ty, Toraku, czy roczne opóźnienie święceń było warte... tego?

Chusta w kratkę ponownie znalazła się w użyciu. Wielki mistrz w milczeniu przenosił spojrzenie z jednej twarzy na drugą – przestraszoną, zagubioną, nienawistną... lub w przypadku maga bez wyrazu.

– Skoro aż tak bardzo nie odpowiadały wam moje rządy, to dlaczego nie zgłosiliście swoich zastrzeżeń mnie osobiście podczas rady, gdzie oprócz mistrzów może swobodnie wejść każdy z braci? Gdyby były one sprawiedliwe, nie przetrwałbym na tym zaszczytnym, ale, niestety, też bardzo odpowiedzialnym stanowisku nawet dodatkowej minuty. Ale wy wybraliście cios w plecy, podły, w tajemnicy, niegodny prawdziwych rycerzy... i powiem wam tylko tyle: póki żyję, tym zakonem nie będzie rządził upiór! Brać ich!

Towarzyszący mu rycerze w chmurnym milczeniu zrobili krok do przodu i w tym momencie czarodziej nie wytrzymał i jednym zwierzęcym skokiem pokonał odległość dzielącą go od skraju tarasu. Zgodnie uniosły się kusze w rękach pięciu czy sześciu rycerzy, trzy bełty z głuchym cmoknięciem trafiły w cel. Mag rozrzucił ręce, zachwiał się, powoli przechylił przez barierkę i spadł w dół. Odruchowo chciałam spojrzeć za nim, ale w następnej sekundzie lunęło tak, że za krawędzią dachu powstały ściany wody, a potężny grzmot zabrzmiał, jakby runęła cała wieża. Niczym akompaniament do grzmotu rozległ się łoskot upadających na podłogę mieczy spiskowców. Tylko mistrz zdrajca wziął zamach i z wściekłością rzucił swoją broń przez barierkę, po czym dumnie skrzyżował ręce na piersi i nie ruszył z miejsca, póki

dwóch chmurnych rycerzy nie złapało go pod łokcie, bez ceregieli ciągnąc w kierunku wyjścia.

* * *

– Panno wiedźmo!

Obejrzałam się i zatrzymałam kobyłę. Myszaty konik truchtał za nami z pełną prędkością, jaką mogły rozwinąć jego krótkie nóżki.

– Proszę poczekać, odprowadzę panią przynajmniej do skrzyżowania! – Tiwał zrównał się ze mną. – Do zachodu słońca pozostała mniej niż godzina, dlaczego nie zgodziła się pani zanocować w zamku?

– A co, ktoś mnie zapraszał?

– Znaczy...

Prychnęłam sceptycznie i trąciłam Smółkę obcasem. Owszem, mowa dziękczynna wielkiego mistrza była odpowiednio natchniona, rycerze uprzejmie opadli na jedno kolano, ale przez to bynajmniej nie przestałam być paskudną wiedźmą. Słowa to słowa, a myśli to myśli. Zresztą czy było mi to potrzebne? "... akurat to powinnaś wiedzieć lepiej niż ktokolwiek inny..."

– To nic, w dzień się wyspałam, teraz przejadę się po nocnym trakcie. A jak wam poszło?

Giermek tylko czekał na to pytanie, wiercąc się w siodle z nadmiaru rozsadzających go wiadomości.

– Spiskowcy do wszystkiego się przyznali. Wielki mistrz i jego pomocnicy teraz badają drugi zamek... a raczej przez ścianę na drugim piętrze już którąś godzinę dolatują rozpaczliwe okrzyki, więc ich śladem wyruszył drugi oddział, zaopatrzone w kłęb sznura i kawał kredy do robienia oznaczeń na rozwidleniach korytarzy. Potrafi pani sobie wyobrazić, tajemne przejście w murze otwiera się wyłącznie pod ciężarem konia, który nadeptuje na przysypaną piaskiem płytę! A strażnicy codziennie chodzili tam i z powrotem i kompletnie nic nie zauważyli!

– A w końcu i tak nikt go nie znalazł... – wtrąciłam nie na temat, zastanawiając się nad czymś zupełnie innym. – Trzydzieści sążni, równiutka pionowa ściana i brukowane podwórze u jej stóp... Gdzie on się, do licha, mógł podziać?! Przecież nie lewitował ani nie transgressował, sprawdzałam. Chyba nie wywiało go do lasu... Chłopak zamilkł w poczuciu winy, jak gdyby to on był w zamku odpowiedzialny za cały inwentarz i musiał jakoś tego zaginionego trupa przepchnąć przez rachunkowość.

– A, prawie bym zapomniała! Dziękuję. – Wyciągnęłam miecz i rękojeścią do przodu podałam Tiwałowi. – Doskonała klinga. Chyba najlepsza ze wszystkich, jakie kiedykolwiek trzymałam w ręku. Tylko mi jeszcze wyjaśnij, skąd wiedziałeś, że pobiegnę właśnie do wieży? Też mi się święty Fenduł znalazł!

Giermek drgnął ledwo zauważalnie. Przez chwilę wahał się, po czym prychnął z ironią i podniósł na mnie spojrzenie.

– Zgadła pani.

Rysy jego twarzy zrobiły się ostrzejsze, włosy wyciągnęły do szerszych już ramion i nieco pojaśniały, nie tracąc przy tym soczystego kasztanowego odcienia. I tylko spojrzenie pozostało to samo – zbyt poważne dla nastolatka, ale zbyt bezpośrednie i otwarte dla stojącego przede mną dojrzałego mężczyzny. A ja w końcu uświadomiłam sobie, kogo przypominał mi wiszący w kaplicy portret.

– To ja dziękuję, panno wiedźmo. – Rycerz uroczystym, ale zarazem niewymuszonym gestem, jak gdyby miał okazję robić to już setki razy, opadł przede mną na kolano i lekko dotknął wargami mojej bezwolnie wiszącej ręki. Poczułam wyłącznie lekkie ciepło i znajome ukłucie magii.

– O rety... czy pan jest tym... jak tam pana... yyy... świętym upiorem, ojej, znaczy się Fendułem? – wydukałam w oszołomieniu.

– Daleko mi do świętości. – Na wargach rycerza pojawił się lekki uśmiech. – Tak samo zresztą jak

pani. Ale to nam nie przeszkadza w sumiennym wykonywaniu swojej pracy, w cokolwiek byśmy wierzyli.

– Mnie nie. – Narastające oburzenie pomogło mi wziąć się w garść i przejść do ataku. – Ale pan coś kombinuje! Zamek jest pański, zakon pański, czyli ten upiór też był pański! Po co było mnie wciągać w tę całą historię? Żeby sobie zakpić z głupiej wiedźmy?!

– Niestety, ja mimo wszystko jestem... – Fenduł przygryzł wargę, powstrzymując gorzki uśmiech – świętym, a nie upiorem. I nie mogę mieszać się do wydarzeń aż tak radykalnie. Tylko lekko wpływać, nadając im pożądany kierunek.

– Proponując wiedźmie dość złota, by nie potrafiła odmówić przyjęcia zlecenia? Czy ściągając ją do jeziora mgły, by sterczała tam przez całą noc? Czy może ciągle płacząc się pod nogami, by nie mogła czarować? A ta pańska durna magia, której ślady potrafiłam znaleźć wyłącznie tam, gdzie chciał pan, bym je widziała...? – przerwałam, przypomniawszy sobie, że wyczułam ją również na flakoniku z antidotum. Ech, szkoda, że nie wpadłam na to, by sprawdzić toaletę... – Czy może mojej kobyle też pan pokazał to tajemne przejście? Zresztą jakie tam „może”, na pewno! Rycerz położył rękę na karku myszatego konika... Nie, szarego, jabłkowitego bojowego rumaka, który z miłością szturchnął nosem ramię swojego pana.

– Kajam się, nieco przeszarżowałam. Ale jeśli idzie o „jezioro”, to pani nadinterpretuje, raz na jakiś czas muszę wrócić do niego, by odzyskać siły. I zbieżność tego wydarzenia w czasie z pani gonitwą za upiorem była kompletnie przypadkowa. A gdybym pani nie powstrzymał i upiór zginąłby na miejscu, to cała reszta spiskowców pozostałaby nieukarana i kontynuowała swoje nieczne praktyki.

– Na tym świecie nawet świętym nie można wierzyć – burknęłam. – Człowiek się zagapi, a już próbują jego rękoma wyciągać kasztany z ognia!

– No co za bezczelność! – przytaknął rycerz. – Co to za świat, w którym wiedźmy nie chcą przyłożyć ręki do zwycięstwa dobra nad złem nawet za sześćdziesiąt kładni! Odruchowo dotknęłam suto wypchanej sakiewki. Tu się wszystko zgadzało, ale... Fenduł owinął mnie sobie dookoła palca jak jakąś smarkulę... i jeszcze zeżarł kanapkę na mój koszt! Naburmuszyłam się, nie potrafiąc pogodzić się z prawdą, ale wyczerpałam już wszystkie argumenty.

– Niestety, nie mogę pani zaoferować dodatku za szkodliwe warunki pracy – ciągnął bezczelny święty, który wydawał się czytać moje myśli. – Ale mam nadzieję, że ten skromny prezent przynajmniej częściowo okupi moją winę? Nie zdążyłam nawet zapytać, jaki prezent, gdy rycerz lekko wskoczył na konia, zasalutował mi uniesioną ręką i ledwo zauważalnym ruchem kolan skierował wierzchowca w stronę dolinki. Rumak bezgłośnie potruchtał w dół niewysokiej skarpy. Mgła szybko pochłonęła jeźdźca i już z jej środka doleciał mnie drżący z rozbawienia głos:

– A modli się pani znacznie lepiej, niż czaruje! Może jednak zastanowi się pani nad zawodem kaznodziejki?

Pokazałam mgłę figę i w tejże chwili biaława zasłona zaczęła topnieć, w oczach opadając i zanikając. Po paru minutach zostało po niej ledwo wspomnienie, nie zauważyłam również nawet śladu kopyt zjawiskowego konia.

Na środku dolinki wznosił się porośnięty trawą kopczyk – nie zwróciłabym na niego uwagi, gdyby nie sterczący z niego miecz.

Powoli zbliżyłam się, przeciągnęłam palcami po paskach skóry na rękojeści, które nadal zachowały lekkie ciepło. W końcu podjęłam decyzję, zacisnęłam palce i miecz jak żywy ruszył do góry. Pod jelcem ostrze było nieco ściemniałe, ale schowana w ziemi część jasno lśniła w świetle księżyca jak świeżo polerowana.

Srebrna pajęczyna znaku mignęła i splotła się na nowo. Zamiast kruka pojawił się tam pulsar o sześciu promieniach, a dwie runy zamieniły się miejscami. Uśmiechnęłam się i niebezpiecznie niedbałym ruchem

przerzuciłam miecz za plecy, trafiając do pochwy za pierwszą próbą. „Niech chroni on rękę trzymającą!”

Rozdział drugi

Solidny wypoczynek

Smok to nie tylko cenna, skóra, ale też dwa albo trzy pudy kłów wysokiej jakości!

Ściągawka z warzenia eliksirów

Topielec majestatycznie kołysał się na płytkich falach, unosząc koło piaszczystej płycizny jakieś dziesięć sążni od brzegu.

– By trza wyciongać – już któryś raz niepewnie powtórzył Gdynio, czochrając jasną czuprynę.

W kolczudze było mu na pewno gorąco, ale emerytowany setnik uparcie nosił ją nawet w męczący letni skwar, by sąsiedzi ze wsi nie zapomnieli przypadkiem, kto w okolicy jest najważniejszym wojownikiem. Rzeczywiście nie zapominali, ale za to śmiali się w kułak.

– Noć trza – zawtórował sołtys, wysoki, kościsty mężczyzna o wąsach i brodzie mimo podeszłego wieku nadal czarnych jak węgiel. Słuchał Gdynia półuchem, od czasu do czasu wtrącając słówko czy dwa dla świętego spokoju.

– I to szybko – ciągnął setnik, przestępując z nogi na nogę, a raczej wyciosany kołek, który zastępował mu lewą goleń. – Wiatr się podnosi, zara go woda odciągnie od brzegu i tyle!

– No i niechaj tyle – cynicznie skomentował barczysty chłop w czerwonej koszuli i wysmarowanych gnojem portkach. – Bo jemu to już wszystko jedno, a nam on też na nic, gdzieś ta przybije i niechaj miejscowi zakopią.

– A ty skąd wiesz, że na nic? – podskoczył Gdynio, wyszukując impertynenta spojrzeniem. – Ty to se myśl, co chcesz, ale za wszystkich nie gadaj!

– Masz przecie na brzegu łódkę – zauważył chłop kpiąco. – Siadaj i wiosłuj, nawet mogę popchnąć, coby ci się szybciej płynęło!

Setnik niechętnie zamilkł, bojąc się, że ktoś naprawdę zleci mu pracę ku pożytkowi wsi.

Dziesięć par oczu dalej chmurnie obserwowało niedostępną mieliznę. – Ni, nie odciągnie – z przekonaniem stwierdził kowal, opuszczając zaśliniony palec i wycierając go o połę koszuli. – Na odwrót, dalej wepchnie na piasek. A gorąc jest, przed wieczorem śmierdzieć zacznie... i jeszcze wiatr do wsi... Prawdę mówiąc, jakieś podejrzane zapaszki unosiły się w powietrzu nawet teraz. Niestety, wyciąganie topielców z naturalnych zbiorników wodnych nie zaliczało się do ulubionych rozrywek żadnego z zebranych.

Tym bardziej w przypadku tego konkretnego zbiornika – szerokiej rzeki o prozaicznej nazwie Pstrocza. Na płaskich brzegach, które łagodnie przeradzały się w zalewowe łąki, kiwała czubkami pożółkła w słońcu trawa, tu i ówdzie zieleniało rzadkie sitowie, na płyciznach kręciły się stadka rybek, a nad nimi tańczyły meszki. Ale ani jednego pływaka, praczki, rybaka czy nawet pluskających się przy brzegu gęsi. Niestety, dziewięć dowolnie ciężkich spojrzeń nie zastąpi jednego skutecznego pchnięcia. Trup ze stoickim spokojem wylegiwał się na mieliznie, nie mając najmniejszego zamiaru podpłynąć w kierunku skonfundowanego komitetu powitalnego.

– A tam wiedźma jedzie traktem – zauważył ktoś. – Może ją poprosimy? Pomysł wykonania pracy cudzimi rękoma spodobał się wszystkim. Zebrani odbyli szeptaną naradę i wydelegowali na rozmowy sołtysa oraz Gdynia. Pierwszego w celu odbycia rozmowy jako takiej, a drugiego po to, by przynajmniej na chwilę się go pozbyć (wersja oficjalna brzmiała: dla udzielenia wsparcia moralnego). Czarna kobyła

włokła się noga za nogą i chłopci zdążyli wyskoczyć na trakt przed samym jej pyskiem. Niestety, ich radość ze spotkania okazała się jednostronna: oburzona klacz kłapnęła kłami nie gorzej od wilka, mało nie odgryzając sołtysowi nosa. Drzemiąca w siodle wiedźma natychmiast wyprostowała się i skierowała na chłopów szare zaspane oczy.

Całkiem młodziutka, ze zdziwieniem odnotował Gdynio. Pewnie nawet trzeciego krzyżyka nie niesie.

Chociaż kto ją tam wie, może nałykała się jakichś swoich dekoktów, to i odmłodziła pół wieku.

Ubrana wiedźma była niebogato, podróżnie, po rękojeści widać, że miecz też prosty.

Długie rude włosy niedbale rozsypały jej się po plecach, a grzywkę dla wygody zaplotła w dwa cienkie warkoczyki założone za uszy.

– Pogodny dziś mamy dzionek, pani wiedźmo – zaczął sołtys z szacunkiem. – Pogoda jak malowanie i pani tego też z całego serca życzę. Nie pomoże nam pani z topielcem?

– A kogo mam utopić? – spytała rudowłosa spokojnie.

Gdynio na wszelki wypadek cofnął się, ale sołtys dostrzegł, jak kąciki warg posmarowanych srebrzystą elfią szminką lekko drżą w uśmiechu, i już odważniej ciągnął:

– My już mamy jednego swojego, może raczy nam pani popchnąć go do brzegu? Wiedźma zmrużyła oczy, oceniając zebranych nieopodal ludzi i obiekt ich wspólnego zainteresowania. Bez emocji wzruszyła ramionami, po czym w milczeniu skierowała klacz na brzeg rzeki. Niezwykła dekoracja mielizny nie robiła na wiedźmie kobyle żadnego wrażenia – wręcz przeciwnie, powęszyła, oblizła się, pochyliła łeb i zaczęła zachłannie pić. Właścicielka poczochnęła ją po karku i zeszła na ziemię.

– A szanownym panom on po co?

– Przyda się w gospodarstwie – uparcie powtórzył Gdynio, nadał trzymając się możliwie daleko zarówno od wiedźmy, jak i od wody.

* * *

Uszyte przez driady buty pozwalały wejść do wody po kolana, ale żywiłam uzasadnione obawy, że przy którymś kolejnym kroku mogę niespodzianie zanurzyć się po czubek głowy. Pstroczka niby na całej długości była dość płytka, ale zdradliwa i o dnie pełnym dołów. Jeden z nich znajdował się akurat u przeciwległego brzegu – czarna rozmyta plama wyraźnie odcinała się od ogólnego przejrzystego błękitu z tu i ówdzie prześwitującymi przez wodę zatopionymi konarami.

Znalazłam dobre oparcie dla nóg przy samej wodzie, wyciągnęłam rękę i wykonałam kolisty gest nadgarstkiem, jak gdyby próbując nawinąć na niego sznur. Trup poruszył się i zaczął powoli spełzać z mielizny. Tłum sapnął z zachwytem. Ciekawe, co zamierzają z nim zrobić? Przecież wystarczyłoby zepchnąć do nurtu i problem z głowy. Czy może boją się, że mieszkający w dole rzeki sąsiedzi uznają trupa splawionego w ich kierunku za obrazę?

Tymczasem powód całego zamieszania majestatycznie dryfował do brzegu. Opuściłam ręce, kucnęłam i za drugą próbą złapałam łeb za koniec lewego rogu. Podciągnęłam bliżej, złapałam za prawy i przygotowałam się do ostatecznego pociągnięcia, gdy nagle woda zakotłowała się i topielec w całości – z wyjątkiem właśnie łba – zniknął w zębatej paszczy, która płynnie przechodziła w czarny śliski tułów. Małe, czerwone, głęboko osadzone oczka świdrowały mnie spojrzeniem dalekim od przychylnego. Zaskoczony człowiek może nie tylko zmienić się w słup soli, ale też zrobić bezczelny. Szczególnie że paszcza potwora była zajęta, a łap ani macek nie dostrzegłam.

– Won, cholero jedna! – ryknęłam wściekle, zapierając się obcasami w piasek. Stwór sapnął z oburzeniem i mocniej ścisnął szczęki, przegryzając kark zdobyczy. Po czym z zadowolonym wyrazem pyska zniknął pod wodą, a ja, nadal trzymając w objęciach łeb, potoczyłam się po ziemi. Czarny ogon

uderzył o wodę, fundując mi solidny prysznic i dekorację w postaci malowniczego kłębu czarnych wodorostów na czubku głowy.

– Co to było?! – rzuciłam w oszołomieniu, patrząc na kręgi rozchodzące się po powierzchni.

O dziwo, chłopci nie panikowali. Ich jedyną reakcją na pojawienie się stwora było oddalenie się o kilka kroków od wody, by uniknąć kąpieli, która stała się moim udziałem, więc teraz pokładali się ze śmiechu na widok na wskroś przemokniętej wiedźmy i jej ciężko zdobytego trofeum.

– Znaczy się mieszka w tej okolicy cosik – flegmatycznie zauważył sołtys, po czym zastanowił się chwilę i dodał: – Niezbyt wredne, tylko nerwowe troszku i nie lubi, jak mu czarują. Pewnie specjalnie zeżarło, coby się pani nie dostało. Bo tak to padliny nie i w ogóle prędzej na ptaki poluje... Zachłysnęłam się z oburzenia:

– I co, nie mogliście uprzedzić?!

– A czego tam uprzedzać? – Teraz gdy sprawa była już załatwiona, chłop w kolczudze chyba odczuł nagły przypływ odwagi. – Za dnia siedzi w jamie, nikogo nie rusza, ino łódek nie lubi, a żeby pływać, to nikomu się rozbierać nie chce, bo tu pijawek mrowie. A kozioł był wielki, solidny, szkoda zostawiać. Pewnie by się jeszcze do czego przydał...

– Mówisz, że by się przydał? – Wstałam i z irytacją wpakowałam mu w objęcia czarny rogaty łeb. – To weź sobie na zapas! Wcale niegorszy!

Obróciłam się na pięcie, ze złością pociągnęłam uzdę złośliwie szczerzącej zęby kobyły i pociągnęłam ją ku wierzbowym zaroślom. Goniły mnie stłumione śmiechy.

* * *

– Nie odjechała – tajemniczo poinformował Gdynio, bez pytania łapiąc za drugi kufel, po którym ściekała obfita piana. – Poszła w krzaki ciuchy wyźmnać, a kobyła, piekielnica, jak stanęła w poprzek drogi, ani przejść ani przejechać!

– A która droga, ta na Padź czy na Hakowice? – naiwnie spytał karczmarz, nie zapominając jednak strzelić kostkami liczydła.

– Do krzaków! – Gdynio zaczerpnął garść słonych sucharków z miski i zaczął po jednym wrzucać je do ust. Czujny karczmarz ponownie przerzucił kostkę. – Mawiają, że każda wiedźma ma z tyłu taki maluuutki ogonek, to żem chciał sprawdzić!

– A tak cię kobyła wzięła i samego w zad ugryzła – dodał sołtys ze śmiechem, upijając łyk ze swojego kufła. Oberżysta tylko westchnął – sołtys cieszył się we wsi szacunkiem, a nawet budził pewien postrach. Nie nadużywał jednak swojej pozycji i choć wpadał codziennie, to nigdy nie wyciągał ręki po drugi kufel. – Znaczy się nie tyle ugryzła, co tak troszku przytrzymała. Gdyby on się sam nie rzucił z wrzaskiem, to te portki by może i wytrzymały...

– A potem wyszła, to myśmy prawie siedli, jak stali! – ciągnął nieco skępowany Gdynio, próbując przycisnąć plecy do szynkwasu. – Przyodziewek suchy, jakby godzinę wisiał w słońcu, włosy dęba, mina jak u teściowej, co nad ranem czeka na kochanego zięcia z żeliwną patelnią w ręku. „Gdzie tu – pyta – macie zajazd?” No tośmy jej pokazali, kędy do „Smoczego Leża”. I jeszcze powiedzieliśmy o twojej karczmie jedno i drugie dobre słowo... choć nie powinniśmy – dodał były setnik, na dźwięk bezlitosnego liczydła krzywiąc się i cofając rękę od trzeciego kufła. Karczmarz flegmatycznie przesunął kostkę z powrotem. Interes w „Rybaku i Piwku” całkiem nieźle kręcił się również bez wiedźmy. Co prawda męczące kołosięńskie upały nieco pohamowały apetyty stałych bywalców, ale za to zwiększyły pragnienie. A żeby drogocenny płyn nie parował z kufli jeszcze w drodze do stolików, dwa tygodnie temu pomysłowy karczmarz przeniósł swój przybytek na dół, do przestronnej piwnicy. Powietrze w niej było

na wskroś przesiąknięte mocnym zapachem kiszonych ogórków, za to panował tu też wspaniały chłód i można było nalewać piwo wprost z ogromnej beczki, w której stało od wiosny. Tak więc wdzięczni klienci pili i zawąchivali, doskonale radząc sobie bez zakąski.

Po stromych schodkach pewnie zastukały obcasy driadzkich butów. Miejscowe modnisie specjalnie mocowały na nich dźwięczne stalowe podkówki, ale właścicielka tej konkretnej pary wolała nie przyciągać nadmiernej uwagi. W końcu i tak nie narzekała na jej brak.

– O wilku mowa – półgłosem skostatował uprzednio milczący chłop w czerwonej koszuli, chowając nos w swoim kuflu.

– Też mi wiedźma! – z rozczarowaniem mruknął karczmarz, przyglądając się delikatnej dziewczęcej postaci, która wzduż ściany przemknęła do dalszego stołu. Gdynio, korzystając z okazji, złapał jeszcze kilka sucharków i błyskawicznie wpakował za policzek. – Z uroka wybawi, dzieckom bajki prawi! No dobrze, pójdę obsłużyć. Ku wielkiemu niezadowoleniu setnika karczmarz ustawił na tacy wszystkie wypełnione kufle, na środku umieścił miseczkę z sucharkami i powoli ruszył w kierunku nowej klientki, po drodze rozstawiając piwo przed starymi.

* * *

Niech mi ktoś powie, dlaczego nie mogę urządzić sobie urlopu jak wszyscy normalni ludzie i nieludzie?! Oczywiście nikt nie zmusza mnie do pracy od świtu do zmierzchu, ale wystarczy, bym znalazła sobie jakieś sympatyczne miejsce i energicznie przystąpiła do odpoczynku, a od razu zaczyna się: „Ojej, panno wiedźmo, skoro już jest pani w okolicy, to może posiedzi pani nockę w tamtych krzaczorach? Prawdę mówię, tam jest lecznicze powietrze, lepiej się pani uzdrowi niż w Okmeńskich Źródłach, a przy okazji pogoni tamtejsze strzygi przez pokrzywy, bo paskudy już trzech ludziów zagryzły na śmierć!”

A ja jak ta kretyńka, która nigdy nie nauczyła się odmawiać, najpierw uzdrawiam się pokrzywami, potem upiększam mułem z mokradeł i wieńczę dzieło świeżą mogiłą na środku cmentarza.

W ponurym nastroju oparłam policzek na dłoni, czekając na zamówiony chłodnik na kwasie – w taki upał człowiek zupełnie nie ma ochoty na nic solidniejszego. Może powinnam znaleźć sobie jakąś pustelnię? Miałam jednak podejrzenia, że również tam odnajdzie mnie jakiś zmyślny chłop i pochlebstwami spróbuje namówić, żeby „trochu pomóc z kudłakiem, to tutaj całkiem niedaleko, nawet dwadzieścia wiorst nie ma”... A wystarczy, bym pogodziła się z faktem, że mój urlop jest równie dostępny co uszy widzialne i łokieć gryzalny, i ponownie wyjechała na trakt, by wszyscy potencjalni pracodawcy znikali bez śladu! I jeszcze śmiali się zza płotów, że wiedźmie chce się w te upały robić.

Podając do stołu, karczmarz nie zdołał się powstrzymać, pochylił się i krztusząc ze śmiechu, szepnął:

– Chłopi bajają, że pani wiedźma dziś niezłą rybkę złapała? Mogłam tylko pogardliwie prychnąć. Powinnam raz na zawsze zapamiętać: nieodpłatne dobre uczynki szkodzą zdrowiu! I przekonanie to wcale nie wynika z mojej zachłanności czy wrednego charakteru, po prostu z własnego doświadczenia wiem, iż ludzie nie cenią darmowych przysług. Gdybym zażądała za tamtego ghyrowego kozła choćby jednego srebrniczka, to trzy razy by się zastanowili, czy aby na pewno jest im potrzebny!

– Dokładnie tak – odparłam powoli i wymownie zmrużyłam oczy, patrząc na chłopca, po czym dodałam: – Mam dziś wyjątkowe szczęście do kozłów!

Oberżycie w jednej chwili zszedł z twarzy złośliwy uśmiech, zakasłał ze zmieszaniem i szybko wrócił za szynkwias.

Ale i tak nie udało mi się spokojnie zjeść. Nie zdążyłam nawet wymieszać śmietanowej wysepki, samotnie dryfującej wśród zielonego szczypiorku, pietruszki i desperacko rzucającej się muchy, gdy

kątem oka dostrzegłam w prawie pustej karczmie pewne ożywienie i podniosłam głowę.

Do mojego stolika pewnym krokiem kierowała się znajoma trójka ze wspólnoty wielbicieli zdechłych kozłów: spokojny sołtys leniwym krokiem, z rękami w kieszeniach, kędzierzawy chłop z gatunku „bary jak kopary, łeb jak pieniek” oraz jednonogi blondyn w kolczudze setnika, ale bez blachy legionu. Dotarli, stanęli w rzędku, poszturchali się łokciami, po czym zabrał głos sołtys.

– Pani wiedźmo...! – Przerwał na moment i zdjął czapkę. – Znaczy się, tego... myśmy podziękować chcieli. Nam toby nie każdy sąsiad tak chętnie i z dobrego serca pomógł, a pani przyjezdna i nie pogardziła. I to jeszcze przecie pani taka blada, chuda i zmęczona, że serce się kraje!

Dopiero co wyłowiona mucha ponownie wylądowała w talerzu razem z łyżką, a ja gapiłam się na sołtysa, nie wierząc własnym uszom. Oczywiście jeśli idzie o bladą i chudą, to było się o co spierać, bo prażące od samego traworodu słońce pracowicie zamalowało każdy nieosłonięty skrawek skóry, a moja figura jak najbardziej mi odpowiadała. Ale w żadnym razie nie miałam zamiaru się wyklócać, mile połączana pochlebny współczuciem w głosie rozmówcy.

– To myśmy chcieli pani zaproponować. – Sołtys, podbudowany moim aprobującym mruknięciem, ponownie założył czapkę i usiadł na sąsiednim krześle. – Niechże pani pomieszka tydzień u nas we wsi, odpocznie sobie. Pójdzie do lasu na jagody, opali się, pójdzie na ryby, akurat posmołowałem na nowo łódkę, to może pani korzystać kiedy ochota, nie szkoda mi. Obiadować to pani może tutaj, porozmawiam z karczmarzem, żeby pani liczył jak dla bywalca.

W sumie dlaczego nie? – pomyślałam poniesiona na duchu. Okolica była całkiem malownicza, pogoda wspaniała, a ja od dzieciństwa kochałam rybaczenie. Do tego jeszcze ludzie przyjaźni i mili – kto by pomyślał, tak dbać o nieznaną kobietę, i to jeszcze wiedźmę!

– Jeszcze mamy tutaj wyspę na środku rzeki – dalej kusił sołtys. – A na niej zniszczoną pustelnię. Prawią, że kiedyś tam dajnowie mieszkali, znaczy ci, co od pokus świata uciekli w samotnię. Jedni na zawsze, a inni to tak, żeby tydzień odetchnąć i znowu nurknąć w te pokusy z nowymi siłami. Modlili się troszku, łowili ryby, mieli swój ogródek, studiowali sztuki walki, znaczy żeby na szatański pomiot nie tylko kadzidłem machać, a jeszcze dla pewności dołożyć ręką czy nogą. Poza tym jakby co, to miejscowych chowali, żenili czy tam spowiadali. Leczyli od chorób nałożeniem rąk, a jak sam na sam, to z bezpłodności też... I wszystko dobrze, tyle że na Marinej Padzi – to takie pustkowie z parowami, jakieś pięć wiorst na północ – smok był zamieszkał i zaczął na wyspę latać do wodopoju. Rudy taki, ogromny, całe podwórko cieniem zakrywał i znaczy się zachowywał jak należy: wypił, to zakąsić trzeba! W jednej wsi owcę połknął, w drugiej krowa szczała. Chłopi na niego iść chcieli z kłonicami, tylko im się nijak nie udawało do Padzi wybrać, bo najpierw siewy, potem żniwa, a w ogóle to strach. I tak się męczyli, póki ten smok dajnowskiej kozy nie zeżarł był i nie napaskudził na ichnią świątynię, jak przelatywał. To pustelnicy się za niego zabrali. Szkoda tylko, że nas się nie poradzili, bobyśmy im wyjaśnili dokładnie, czemu trza iść na te całe pustkowia, a nie czekać, aż gad się do nich osobiście pofatyguje. Znaczy się więc z początku pomodlili się na tego smoka, życzyli mu chorób wszelakich zewnętrznych i wewnętrznych, ale z całej listy to paskuda tyle co ich okichała. No to dajnowie zobaczyli, że na potwora święte słowo nie działa, więc zaczęli mu do sumienia z łuków przemawiać! Tyle że gadzina najpierw trwała w grzechu, nad wyspą krążyła i ogniem pluła, a potem jednak wyraziła skruchę: zdechła była i spadła prościutko na pustelnię. Tego, co wcześniej nie spaliła, to potrzaskała i na dobre przygniotła swoim tłustym cielskiem. I pustelnicy uznali, że łatwiej będzie nową samotnię postawić, niżli tę odkopywać spod smoka. Tym bardziej że on to większy od kozła jest i prędko się zakopać nie da, a lato było gorętsze. No to znaczy się dajnowie zebrali tyle, co mieli, wsiedli do łódek, spieszenie błogosławili wszystkich z drugiego brzegu i szybko do wiosła się wzięli, bo nasze chłopaki, taki obrót spraw widząc, też się do wiosłowania rzucili. Odprawiliśmy ich do Rusałkowej mielizny, żegnając

różnymi słowami, ale jednak nie dogoniliśmy. Chyba był jakiś sens w tym, że pustelnicy co rano dookoła samotni truchtem biegali i podnosili w każdym ręku po kamieniu na dziesięć funtów... A dalej to wiadomo, że smok nie miał ochoty się długo na świeżym powietrzu przechowywać i zaczął na znak protestu rzucać powietrze psuć. Długo, miesiąc jakiś... i od tamtej pory nasza wieś się Smrodziskiem nazywa, bo kiedyś to na nią Wędkowo wołali... Ale to stare sprawy, a dziś to tam klimaty wspaniałe! Cisza, spokój święty, ptaszki śpiewają, koło brzegu ryby biorą jak szalone, a przy okazji może pani jeszcze wyciągnąć jeden czy drugi smoczy kieł na swoje dekokty. To jak? Zostanie pani?

Udałam, że się zastanawiam, mimo że najbardziej ze wszystkiego chciałam z radosnym piskiem rzucić się sołtysowi na szyję i soczyście ucałować go w oba policzki. Że też się zdarza takie szczęście! Wytekniona samotnia, do tego na wyspie i z elementami krajobrazu w postaci smoka!

Z trudem wytrzymałam odpowiednią pauzę, uśmiechnęłam się i skinęłam głową:

– No cóż, dziękuję za propozycję i z wdzięcznością przyjmuję!

– Doskonale! – Sołtys zaśnił jak nowiutki miedziak. – To przy okazji pani sprawdzi, co tam takiego w nocy wyje i łomocze, że uczciwe ludzie spać nie mogą! Jęknęłam i schowałam twarz w dłoniach.

* * *

– Pewnie ta cała wiedźma stchórzyła była – po dłuższym milczeniu stwierdził chłop, z obawą obmacując czubek głowy. Jego czub już nie dymił, ale nadał śmierdział spalenizną.

– I po co się rzucała tymi pieronami? – Sołtys podniósł z ziemi czapkę, która wyleciała z karczmy tuż za nim, po czym powoli i dokładnie wytrzepał kurz o łokieć. – No powiedziałem jej, że jak tak sprawę stawia, to nie żadna z niej wiedźma, a... żem przecie nie prosił, żeby pokazywała, co tam jeszcze prócz kozłów umie!

– Baba, czego od niej chcesz... – chmurnie odrzekł Gdynio i oparł się o płot. Na wszelki wypadek od drugiej strony, żeby na widok wściekłej wiedźmy móc szybko się za nim schować.

Wieśniacy jeszcze chwilę stali, wymieniając komentarze i z obawą zerkając w kierunku na oścież otwartych drzwi karczmy, ale ostatecznie żaden nie zdecydował się na powrót do środka. Na powrót do domu również.

* * *

Dokończyłam posiłek, nieco ochłonełam w półmroku piwniczki, uspokoiłam się do reszty i nawet trochę pośmiałam z pechowych „litościwców”. Ale sobie wymyślili! Przecież mogli uczciwie powiedzieć: znaczy się tak i tak, na środku pobliskiego rozlewiska zanotowaliśmy pewną anomalię dźwiękową i pragniemy pozbyć się jej metodą wynajęcia bakałarza magii praktycznej z wypłatą rzeczonemu bakałarzowi umówionej sumy. Bo ja naprawdę nie mam w zwyczaju głupiego „okazyjnego” zwiedzania wyjących po nocach wysp. Tym bardziej mając w pamięci smutne doświadczenia w zakresie pozyskiwania zdechłych kozłów. Może ktoś tam po nocach bimber pędzi, a sołtys uznał, że w ramach dowcipu poszczuje mnie na miejscowych pijusów, żeby im się raz na zawsze odechciało?

Natomiast przyrodę faktycznie mieli tu wspaniałą – akurat pod siołem Pstrocza rozlewała się w niewielkie jezioro, co prawda płytkie i zamulone, ale nadal całkiem imponujące. Na drugim brzegu ciemniał świerkowy las, którym porośnięta była również wspomniana wysepka. We wsi można było znaleźć parę kramów i gdybym zatrzymała się w Smrodzisku na trzy czy cztery dni, miejscowy krawiec na pewno miałby czas, by uszyć mi nową kurtkę. Co prawda w takim upale nawet nie chciało mi się o tym myśleć, ale mus to mus. Parę dni temu obejrzałam swoją starą pod światło i zobaczyłam przez nią owo

światło w wielkiej obfitości, więc nawet nie założyłam tego łachmana z powrotem a tylko wrzuciłam do najbliższego kompostownika (bo żebracy uznaliby taki prezent za kiepski żart). A lata w Belorii bywały bardzo zdradliwe – w tej chwili panował upał, ale za pół godziny jak najbardziej mógł spaść deszcz, więc bez kurtki po prostu nie mogłam się obejść.

Poza tym kończyły mi się zioła, więc warto było rozpytać o zielarza w okolicy i dokupić tego i owego. Niektóre eliksiry miały dosyć krótki okres przydatności, a kosztowały sporo, więc robiono je wyłącznie na zamówienie, co zajmowało niewiele mniej czasu niż uszycie kurtki. Oczywiście potrafiłam niektóre przygotować sama, ale uczciwie mówiąc, nie byłam gotowa zakładać się o wynik. Dokładnie na tej samej zasadzie, na której zielarz nie mógł ręczyć za rezultat swej walki ze strzygą, mimo że oboje z dumą nosiliśmy tytuły dyplomowanych magów.

Chwilowo moje rzeczy leżały w jednym z pokoików „Smoczego Leża”, a kobyła raczyła się owsem w stajni. Przybytek ów rzeczywiście bardziej przypominał leże niż zajazd – i to nawet nie smocze, tylko niedźwiedzie, bo za nocleg chcieli tam tyle, że potem nic tylko łapę ssać. Przydałoby się znaleźć coś tańszego, czystsze i cichszego – powiedzmy, chatę jakiejś samotnej babinki, najchętniej na skraju wsi i tuż koło rzeki, żeby bez przeszkód kąpać się i wylegiwać na słońcu, a może nawet wynając od kogoś łódkę. Ale na wyspę nie popłynę! Niech szukają innej frajerki... Zapłaciłam karczmarzowi i niechętnie zanurkowałam w upał, który w międzyczasie jeszcze się nasilił. Słońce stało w zenicie i miałam wrażenie, że jeśli zatrzymam się w jednym miejscu, to moja koszula zacznie dymić. Pomajstrowałam przy kołnierzu, z trudem powstrzymując chęć rozluźnienia sznurówki jeszcze bardziej, i ruszyłam ulicą, bezskutecznie próbując wypatrzeć choć skrawek cienia. Nawet psy nie miały ochoty szczekać i leżały w kurzu przy bramach jak zdechłe, tak że musiałam je wymijać albo przestępować nad nimi. Rzadko napotykanii przechodnie patrzyli na mnie jak na wariatkę: sądząc z błyszczącej głowicy, klinga za moimi plecami powinna być rozżarzona do białości (w rzeczywistości przyjemnie chłodziła łopatki). Ulica dokładnie odwzorowywała linię brzegową Pstroczki, płynnie wyginając się to w prawo, to w lewo. Po jednej stronie drogi znajdowały się domy, a po drugiej ogródki, ciągnące się aż do samej wody. Drobne falki kusząco skrzyły się w słońcu. Niesamowitym wysiłkiem woli zmusiłam się, by uciec spojrzeniem od utęsknionej rzeczki, i zaczęłam szukać krawieckiego kramu, który widziałam w przelocie, wjeżdżając do wsi. Najpierw interesy, a potem będzie można się wykąpać. Zmordowany upałem krawiec nawet nie próbował się targować i tylko leniwie machnął ręką, gdy zaproponowałam, by zszedł trochę z ceny. Znacznie więcej czasu zajęło zdjęcie wymiarów. Niejeden raz wydawało mi się, że biedak zaraz zaśnie na stojąco z miarką w rękę, zgięty nad moją mierzoną talią i z czołem przyciśniętym do moich pleców. Fason wybrałam najprostszy, dopasowany, z kapturem, prosząc mistrza, by umieścił srebrne ćwieki na stójce i łokciach i trzy paski ćwieków wzdłuż przedramion, dla ochrony przed stworami mroku, którym uda się podejść bliżej, niżbym tego chciała. Nie każdy z nich bał się srebra, ale cios w oko ozdobionym kilkoma ćwiekami łokciem mógł na dobre odebrać apetyt. Krawiec obiecał, że poradzi sobie w pięć dni, więc wpłaciłam zadatek i ruszyłam na poszukiwanie godniejszego miejsca zamieszkania.

Niestety, samotne babinki z pokojem do wynajęcia były tu chyba towarem deficytowym. Dotarłam prawie do skraju wsi, dalej droga gwałtownie nurkowała w dół, zmieniając się w upstrzoną śladami owczych kopyt ścieżkę i znikając w gęstym trzcinowisku, za którym przebłyskiwała błękitna woda. Ostatni dom okazał się chatką zielarza, o czym informował wiszący na drzwiach znak – liść paproci z kwiatem o ostrych płatkach na środku.

Wchodzenie na wysoki ganek w taki upał było ponad moje siły. Pomyślałam, że jeśli gospodarza nie ma w domu, musiałabym pokonać te wszystkie schodki nadaremnie i jeszcze zejść z powrotem. O nie! Podeszłam z boku, wyciągnęłam rękę i delikatnie zapukałam do drzwi kostkami palców.

– Wynocha! – z wnętrza nieprzyjaźnie ozwał się młody kobiecy głos. – Już ze sto razy mówiłam, nie

handluję lubczykiem!

Nieco skonsternowana, zdecydowałam się jednak powtórzyć próbę zawarcia znajomości. W odpowiedzi zabrzmiał przytłumiony ryk i drzwi otworzyły się tak gwałtownie, że gdybym stała na ganku, zostałabym po prostu z niego zmieciona. Zresztą w progu pojawiło się coś tak koszmarnego, że nagle odczułam niebывały przypływ energii i z wrzaskiem odskoczyłam przynajmniej na sześć, potknęłam się i klapnęłam na tyłek, nie mogąc odwrócić oczu od miejscowej zielarki. A było na co popatrzeć! Nie wyróżniała się wysokim wzrostem, ale skutecznie nadrabiała to stojącymi dęba włosami, które jako żywo przypominały sople ulepione z błota. W pozbawionej brwi twarzy o karmazynowej, gruzłowato-ziarnistej skórze tkwiły gigantyczne jasnozielone ślepie z ciemną obwódką. Nogi potwora lśniły w słońcu niebieskimi plamami, a pokryte krostami ręce ścisnęły gigantyczny, zakrwawiony nóż. Przy tym zielarka miała na sobie tylko stareńki, okropnie połatany szlafrok, byle jak związany w talii źle dobranym paskiem.

Zaczęłam powoli odpełzać do tyłu w nadziei, że uda mi się sturlać z górki i ukryć w trzcinach. Tymczasem gospodyni odkaszlnęła z zakłopotaniem, namacała oczy, odlepiła je, wpakowała do ust i schrupała ze smakiem.

– Ojej, przepraszam, myślałam, że to znowu te łązęgi... Wolha?!

Dopiero wtedy sobie uświadomiłam, że były to tylko plastry ogórka z wyciętymi w środku dziurami. Zebrałam resztki odwagi i spojrzałam w uwolnione spod nich oczy soczystego brązowego koloru.

– Welka?! Na Bogów, co ci się stało?!

– Oż leszy, na śmierć zapomniałam... Właż szybciotko, póki jeszcze ktoś mnie nie zobaczył! – w pośpiechu rzuciła zielarka, z obawą rozglądając się na boki. – Upał, klientów nie ma, więc postanowiłam, że się nieco odmłodzę. Żadnej alchemii, sto procent natury, maseczka z ogórków i malin, białko z jajek, krem z borówek... Chcesz spróbować?

– Nie masz przypadkiem waleriany? – Na drżących nogach ruszyłam z powrotem do ganku.

– Trochę nudno tak siedzieć w miejscu przez całe pół godziny, to pomyślałam, że przy okazji zrobię barszcz – wyjaśniła Welka z zawstydzieniem, rzucając nóż na stół, obok przeciętego na pół buraka. – Zaczęłam, a tu nagle ty pukasz... Zaczekaj chwilę, zaraz to wszystko zmyję i się przebiorę!

Przyjaciółka złapała wiadro z wodą i zniknęła za zasłonką, po czym usłyszałam, jak w pośpiechu pluska się i parska. Tymczasem skorzystałam z okazji do obejrzenia niewielkiej, ale bardzo przytulnej kuchni, na wskroś przesiąkniętej kręcącym w nosie aromatem, znanym mi jeszcze z praktyk z zielarstwa. Wzdłuż ścian ciągnęły się półki z rzędami różnorodnych flakoników, butelek, drewnianych antałek zawierających eliksiry i plecionych z brzozy kory koszyczków z ingrediencjami. Pośrodku kuchenki na okrągłej kamiennej płycie stał niezbędny w gospodarstwie każdego zielarza trójnóg z niewielkim kociołkiem. Z sufitu, wyłącznie w celach reklamowych, zwisał wypchany nietoperz z rozczapierzonymi skrzydłami.

Umyta i upiększona Welka w końcu ukazała się zza zasłonki, zaplatając warkocz. Zakłęcie natychmiastowego suszenia włosów zawsze wychodziło jej o wiele lepiej niż mnie, tak samo zresztą jak i cała reszta czarów użytkowych. Nie wspominając o nazwach tysięcy roślin z ich podstawowymi cechami i sposobami użycia, które bez trudu mieściły się w jej pamięci, a z mojej ulotniły się w większości już rok po skończeniu Szkoły Magii. Zresztą dla każdego coś miłego – Welka z takim samym szacunkiem zerkała na mój miecz.

Nie widziałyśmy się już ze dwa lata, ale dawna koleżanka z roku praktycznie się nie zmieniła – te same gęste kasztanowe kędziory, zadziorny uśmiech, pulchniutka figura, opierająca się wszystkim dietetycznym pomysłom, i zdumiewająco równa opalenizna, którą Welka mogła się poszczycić od wczesnej wiosny do późnej jesieni. Zielarka patrzyła na mnie z nie mniejszym zainteresowaniem

i zachwytem.

– Wolho, wspaniale wyglądasz! I jakie masz teraz długie włosy, bardzo ci do twarzy... Co tu robisz?

– Zbieram materiał na doktorat. A co ty robisz w Smrodzisku? Przecież cię chyba oddelegowali do głównego szpitala w Starminie?

– A ciebie do pałacu królewskiego! – prychnęła Welka. – Okazało się, że ten mój przybytek był podobnie prestiżowy jak ten twój i wcale nie lepszej jakości. Co prawda wytrzymałam dłużej, bo całe trzy tygodnie. Potem znudziło mi się udawanie, że podbarwiona woda to eliksir odchudzający, więc wlałam tam trochę środka na przeczyszczenie. Skuteczność bardzo się zwiększyła, ale z jakiegoś powodu klientom się nie spodobało, więc dostałam wymówienie. Gdzie się zatrzymałaś? W „Smoczym Leżu”?! No nie mów, kiedy w zeszłym roku jakiś przyjezdny mag przeczytał tam egzorcyzm antypluskwowy, to pluskwy maszerowały kolumną na szerokość trzech sążni ulicą i do lasu, a po jego wyjeździe z powrotem! Natychmiast się przenoś do mnie!

Z wielką przyjemnością zatwierdziłam Welkę w roli nieuchwytnej babinki, po czym ruszyłam po swoje rzeczy i Smółkę.

* * *

Do asortymentu usług proponowanych przez „Smocze Leże” należały nie tylko pluskwy, ale też „darmowa” kromka chleba (wliczona w trzykrotnie większą niż gdziekolwiek indziej cenę postoj), jak również nocleg w osobnym pokoju, który dawał się zamknąć od wewnątrz, ale miał tak kruche drzwi, że przy pukaniu do nich należało zachowywać szczególną ostrożność. Co biedniejsi goście musieli się zadowolić wspólną izbą, gdzie kładli się pokotem wprost na podłodze. W zimie rozpalano tu w kominie, a przejezdni gęslarze i bajarze zapewniali program rozrywkowy, dzieląc się później honorarium z właścicielem. Obecnie w gospodzie było pustawo – w taką pogodę nawet w polu pod krzakiem trudno zamarznąć... o ile oczywiście człowiek bał się wyłącznie mrozów. Za Mariną Padzią zaczynały się oficjalne tereny orków – Wilcze Stepy. Problem polegał na tym, że orki nie były tego faktu świadome i regularnie przecinały istniejące wyłącznie na mapie granice w celach bynajmniej nie turystycznych (i dobrze, jak kierowani miłością do bliźniego zostawiali ofierze grabieży przynajmniej gacie). Lekkonogie stepowe wilki srebrzystopiaszkowego koloru również wykazywały podwyższone zainteresowanie podróżnymi, którzy z oszczędności decydowali się na nocleg w krzakach. „Ażebyś na Marinej Padzi nocował!” – życzyli miejscowi w porywach złości, a wkraczając na niebezpieczny teren w celu wypasania bydła, pilnowali się, by wrócić przed zmrokiem. A i tak najciekawsze zaczynało się dopiero za Padzią... Gospodarz, który raczej dla zmyłki szorował po podłodze startą niemal do samego trzonka miotłą, z braku innych rozrywek podsłuchiwał rozmowę krasnoluda nieokreślonego wieku i zawodu, obdartego starego pielgrzyma, chłopca z sąsiednich Hakowic, leżących przy wschodnim skraju Marinej Padzi, chudego kupca rybnego, który właśnie przeżuwał „darmową” kromkę, oraz jasnowłosego chłopaka strojącego lutnię. (Grubej handlarki z przygłupią twarzą, na przemian wtrącającej do rozmowy: „Ojejkujejk!” oraz „O Panie miłościwy!”, można było do tej listy nie zaliczać). Wiedźma, która przed chwilą opłacała rachunek, z zaciekawieniem zatrzymała się w progu i opuściła torby na podłogę.

– ... i jeszcze gadają – tak samo tajemniczym tonem ciągnął chłop – że o północy wyłazi ze swojego grobowca i chodzi po okolicy, no i jak jej się kto trafi, to ręce rozrzuca... – chłop sugestywnie zademonstrował szeroki zamach upiora, zmuszając sąsiadów do odchylenia się – obejmie i zacznie wygryzać środek, aż zostaną same buty! Objęcia robiły nie mniejsze wrażenie. Zupełnym przypadkiem trafiła w nie handlarka, której piski i gwałtowne ruchy wyglądały tak naturalnie, jak gdyby ktoś faktycznie próbował ją skonsumować.

– ... gryzła jej rączki, gryzła jej nóżki... – dobrze ustawionym barytonem zanucił chłopak, przygrywając sobie na lutni. Opowiadający spieszenie wypuścił „ofiara”, ale nie zdążył uchylić się przed policzkiem.

– Oj tam... – Krasnolud pogardliwie machnął ręką. – Dziadowe bajki. Nie ma co po nocy łązić po pustkowiach, a babę o długich rękach to można bliżej znaleźć, w domu na piecu... Zebrani zareagowali głośnym śmiechem.

– Młody człowieku, i tu się pan bardzo myli. – Staruszek ze srogim wyrazem twarzy splótł ręce na czubku łaski. Brodaty krasnolud wbił w niego zdziwione spojrzenie, ale pielgrzym chyba był cokolwiek ślepowy i nie dostrzegł swojej pomyłki. – Przyszedłem z południa i tam również opowiadano bajki o pewnym, niech damy mi wybaczą (staruszek wykonał pełen szacunku gest w stronę długowłosego lutnisty), cmentarnym ghyrze, który jakoby zaciągał spóźnionych podróżnych do swojej mogiły i objadał do czystych kości, tak że nikt więcej już ich nie widział... Pielgrzym przemawiał cicho i poważnie, więc jego opowieść zrobiła na słuchaczach znacznie większe wrażenie niż malownicza demonstracja hakowiczana. Zapadła ciężka cisza. Zęby kupca ugrzęzły w chlebie, baba przeżegnała się szybko, krasnolud prychnął z niedowierzaniem, a chłopak po chwili namysłu wyciągnął z lutni niski, wyjący dźwięk, który sprawił, że wszyscy zebrani podskoczyli, a następnie rzucili się na młody talent z przekleństwami. Wiedźma zebrała torby i wyszła. Gospodarz pogardliwie splunął na dopiero co „zamiecioną” podłogę. Czego to ludzie nie wymyślą i nie naplotą. Nic tylko się śmiać. Dzięki Bogom, że u nich w Smrodzisku święty spokój... no, prawie.

* * *

Koło stajni odruchowo zaczęłam nasłuchiwać, ale w środku panowała cisza. Może Smółka dla odmiany uznała, że podaje porządnego konika i nie będzie ganiać stajennego, który okaże się dość nieostrożny, by do niej podejść. Możliwe też, że biedak już siedział na belce stropowej, bojąc się poruszyć, a nawet zdradzić głosem. Na progu stajni leżał duży pies, czarny, z rudymi plamami i uciętym ogonem. W odróżnieniu od całej reszty jakoś niespecjalnie przejmował się upałem – nie ziajał, pysk miał zamknięty, a jego boki wydawały się w ogóle nie ruszać. Zagwizdałam niedbale. Pies uniósł tępy pysk z toporkami uszu i wbił we mnie żółte niemrugające spojrzenie. Brakło w nim wrogości, przychylności również, a ja z jakiegoś powodu poczułam się nieswojo.

– Hej, szanowny, czyj to pies? – zawołałam do jakiegoś chłopca, który drzemał w wąskim pasku cienia pod ścianą stajni.

– Który? – Zapytany leniwie podniósł znad oczu rondo kapelusza.

– O ten... – Wróciłam spojrzeniem do progu i wzdrygnęłam się mimowolnie. Pies znikł. Na zakurzonej ziemi pozostało kilka odcisków dużych łap i kłaczek sierści. – Ot, leszy, gdzie on się podział? Dopiero co tu był! No dobrze, przepraszam, że niepokoiłam...

– Nic strasznego, w taki gorąc to nie tylko pies się przywidzi – zauważył chłopak dobrodusznie, ponownie chowając się pod szerokim słomianym rondem. – Ja to wczoraj widziałem, jak krowa po niebie leciała! Leżę sobie znaczy się w polu, tym na północ ode wsi, bo iść to już sił nie mam – u swojaka byłem na pogrzebie, to się poczęstowałem winkiem domowym za jego zdrowie i mnie trochę zmorzyło. I słyszę, że muczy skądś. Patrzę w niebo, a tam – leci, kochanieńka! Nogami przebiera, jakby w powietrzu skakała, a ogonem znaczy się, tego, kierunek ustala... Ciekawe co to i po co? Może znak jakiś?

– Ano znak, że nie należy zapominać o zakasce – burknęłam półgłosem, wchodząc do stajni.

Przywiązałam kobyłę na polance za domem. Smółka obserwowała te z góry skazane na porażkę wysiłki z wymownym wyrazem pyska. Rozłożyłam swój niewielki bagaż.

Welka zdążyła tymczasem nastawić w kotle jakiś eliksir, a teraz w skupieniu mieszała go dębową łopatką, uważnie śledząc unoszące się z dna pęcherzyki powietrza.

Zawartość kociołka słabo lśniła i twarz pochylonej nad nim zielarki nabierała trupiozielonego odcienia. Odrywanie przyjaciółki od tego poważnego zajęcia było niezalecane i mogło poskutkować okrzykami w stylu:

„Ratuj się kto może!” i ucieczki z gęsto zadymionego pomieszczenia, tak jak to miało miejsce na ósmym roku w sali lekcyjnej, pod której sufitem ryczało i hałaśliwie machało skrzydłami coś niezaplanowanego.

Tak więc włożyłam lekkie kapcie z brzoźowego łyka i wyciągnęłam z torby ręcznik.

– Weluś, pójdę i w międzyczasie się wykąpię.

– Yhy... – odparła moja przyjaciółka z lekkim roztargnieniem, nawet się nie odwracając.

– Masz tam w trzcinach pomościk z desek, ale od razu za nim dno opada, płycizny prawie nie ma.

– Doskonale. – Pływałam całkiem nieźle i lubiłam czuć na dole głębię. – Macie tu jakieś wirniki czy jeziornice?

– Nie... Co prawda w zapadlisku mieszka jakaś paskuda, ale nie atakuje ludzi i nie oddala się od swojego terytorium. Tam od dna biją źródła, więc woda jest zimniejsza i czystsza, pewnie właśnie to ją przyciąga.

– Już ja widziałam, co ją przyciąga! – prychnęłam i zarzuciłam ręcznik na ramię. Ścieżkę znalazłam od razu – kilka krzywo dopasowanych desek, przybitych do półzatopionych czółen. W trzcinach pachniało wodą i mułem, wypaczone drewno poskrzypywało pod nogami, a przyjaźnie bzyczące końskie muchy cały czas próbowały przystąpić do degustacji mojego apetycznie spoconego ciała, przy czym ciało wyrażało kategoryczny sprzeciw, klęło i machało ręczniczkiem.

Rozsypująca się ścieżka zmieniała się w szeroki pomost i słońce ponownie lunęło na mnie z mocą smoczego płomienia. Z tej perspektywy Pstroczka jeszcze bardziej przypominała jezioro – po lewej i prawej koryto ginęło w trzcinach, a do przeciwnego brzegu miałam nie mniej niż wiorstę. Przez zielonkawą, ale przezroczystą wodę prześwitywały wszystkie kamyczki na dalekim dnie. Przy powierzchni kręciły się wielkie ławice drobnych rybek, które z daleka wyglądały na jedną wielką srebrzystą rybę.

Nie mogąc już dłużej wytrzymać, w biegu rzuciłam ręcznik, dodałam sobie odwagi piskiem i skoczyłam z brzegu pomostu, podnosząc fontannę bryzgów.

Dno okazało się nieoczekiwanie głęboko – całkowicie zniknęłam pod wodą i dopiero po chwili dotknęłam go stopami. Odepchnęłam się, wynurzyłam głowę nad powierzchnię, parskając, odrzuciłam włosy z twarzy i popłynęłam. Pierwsze wrażenie zimna szybko minęło, zastąpione wspaniałym chłodem i magiczną lekkością w całym ciele.

Po półgodzinie, gdy już napluskałam się, ile dusza zapagnie, doszłam do wniosku, że życie jest zaghyrzyście przyjemne. Odwróciłam się na plecy, rozrzuciłam ręce i zaczęłam w spokoju dryfować w dół rzeki, delektując się cichym szelestem trzciny i delikatnym bujaniem na falach.

Zdążyłam przepłynąć może jakieś pięćdziesiąt sążni, gdy w otaczającą mnie harmonię wciął się jakiś podejrzany plusk. Wiedźmi refleks natychmiast ustawił mnie do pionu.

Usilnie pracując rękoma i nogami, błyskawicznie rozejrzałam się dokoła i mój zachwyt z czarownych okoliczności przyrody natychmiast wyparował.

W moim kierunku płynęła łódka. A raczej podejmowała desperackie wysiłki w tym kierunku. Trójka wiosłarzy, którzy nie wiadomo jak zmieścili się na jednej ławce, bez skutku próbowała zapanować nad dwoma wyszczerbionymi wiosłami, które na przemian próbowały to skierować łódkę na dno, to zabrać do gwiazd. Przy lewym siedział Gdynio, przy prawym znany mi milczący chłop, a na środku, obejmując swoich kołesi za ramiona, zasiadł sołtys, kiwający się w takt melodyjnego wycia w stylu: „On niewart jednej łzy!”. Za rufą wlokła się sieć, a za nią długi ogon zapętanych w jej oczkach wodorostów.

Z rezultatów rybołówstwa w oczy rzucała się przede wszystkim zatkana kiszonym ogórkiem gigantyczna butla bimbru (lub raczej po bimbrze) z pluskającymi na dnie resztkami. Stała na dziobie niczym latarnia przewodnia dla wiosłujących, ponieważ pozostałe nieistotne elementy krajobrazu w rodzaju brzegów były przez nich pogardliwie ignorowane. Skutkiem tego jednostka pływająca rysowała na wodnej tafli skomplikowane precle i ustawiała się do przodu wszystkimi stronami po kolei. Ogólny kierunek nadawał jej słaby prąd Pstroczki, który powoli, acz nieuchronnie ciągnął łódkę ze sobą.

– Paaaanno wieeeeeedźmo!!! – Gdynio bez namysłu rzucił wiosło i zerwał się na nogi. Łódka niebezpiecznie przechyliła się na lewo, a ponieważ chłop dalej wiosłował, zaczęła majestatycznie obracać się dookoła własnej osi. – Rany koguta, a gdzie ona? Chyba nie utonęła?! – Łódka wykonała kolejny obrót... – Aha! I jak woda?

– Doskonała – wycedziłam kwaśno, przechodząc z rozluźnionego pluskania na szybką „elflą klingę”. Czy warto dodawać, że kierowałam się bynajmniej nie w stronę łódki?

– Gdzie pani płynie? – z rozczarowaniem wrzasnął sołtys w kierunku moich pleców. – Tu do wyspy zostało tyle co nic, nawet sto sążni nie ma! A za parę godzin zacznie się ściemniać!

Ale ja już wymacałam nogami dno i bez oglądania się do tyłu zniknęłam w trzcinach. Ścieżka została daleko z boku, więc na brzeg dotarłam podrapana, pogryziona przez meszki i po pas umazana śmierdzącym mułem. Moja opinia o pewnych osobnikach i o życiu w ogóle spadła z „zaghyrzystego” do „ghyrowego”.

Jako tako opłukałam się we wpadającym do jeziora strumyczku i przez krzaki, by nie przyciągać niezdrowej uwagi tubylców, dotarłam do domu Welki... i ze zdumieniem zastygłam przy furtce.

Koło ganku siedział czarno-rudy pies. Na mój widok pogardliwie wypluł mój ręcznik, zostawiony na pomoście, odwrócił się i ruszył w kierunku trzcin, które zastępowały czwartą stronę płotu. Niepewnie gwizdnęłam, ale zwierzak nawet nie ruszył uchem i jakby rozplynał się w szeleszczących patyczkach.

– Co tam? – Przez okno wyjrzała Welka.

– Nic. – Schyliłam się i podniosłam ręcznik. – Nie wiesz przypadkiem, do kogo należy taki ogromny rudawy kundel z obciętym ogonem? Chyba rasowy, ale nigdy takich nie widziałam.

– Nie. Może do kogoś z przyjezdnych? – obojętnie zasugerowała przyjaciółka. – Słuchaj, Wolha, mam doskonały pomysł: może urządzimy sobie wieczór paniński z okazji spotkania?! Znam doskonale miejsce niedaleko: ciche, malownicze, chłodne, jezioro dookoła. Rozpalimy ognisko, upieczemy ziemniaki, pogadamy, a przy okazji...

– Welka...!!! Zielarka zamilkła i popatrzyła na mnie z zaskoczeniem.

– Powiedz, że nie masz na myśli wyspy! – poprosiłam błagalnie.

– Znaczy... w zasadzie...

– I ty również? Zmówiliście się czy co?! – wrzasnęłam oburzona tą zdradą do głębi duszy. – Nie będę wam nic „przy okazji” robiła!

– A kto mówi o tobie? – teraz obraziła się Welka, kompletnie nierozumiejąca, o co te wrzaski. – Chciałam powiedzieć, że przy okazji nabieram tam pewnych ziół... Tak w zasadzie to do twoich eliksirów!

– Przepraszam – zawstydziłam się. – Miałam ciężki dzień, jestem bardzo zmęczona i nie mam ochoty

płynąć na żadną wyspę.

– No dobrze – uspokoiła się. – To urządzimy wieczór paniński w najbliższym lasku, a jutro sama popłynę. Mimo że wioślarka ze mnie kiepska, a łódkę też mam nie najlepszą...

– Poproś któregoś rybaka – poradziłam. – Słyszałam, że kolo wyspy dobrze bierze ryba, więc na pewno stawiają tam sieci. Rano wysadzi cię na brzegu, a wieczorem przyplynie po połów i zabierze.

– Gdzie tam. Miejscowi nie zbliżają się do wyspy nawet na pięćdziesiąt sążni – chmurnie burknęła zielarka. – Uważają, że spoczywa na niej straszliwe przekleństwo i w nocy jakoby spaceruje tam niespokojna dusza smoka...

– A co, naprawdę wyje? – zaciekawiałam się, w myśli kierując parę soczystych słów do starosty i jego „wspaniałych klimatów”. Zresztą w jednej sprawie nie skłamał: na pewno by mnie tam nikt nie niepokoił!

– Coś tam czasem wyje. – Welka wzruszyła ramionami. – Ale osobiście uważam, że to czyjeś durne dowcipy. Po pierwsze, ani trochę niepodobne do ryku smoka, chyba żeby patrzeć tylko na głośność. Po drugie, nikt tego ducha na oczy nie widział. A co to za duch, jeśli ani razu nie udało mu się zakłócić odpoczynku nikomu z miejscowych? Przecież parę miesięcy bez doładowania emocjami, a on sam się zdestabilizuje i rozplynie!

– A do czego to podobne? – nie wytrzymałam, mimo że zarzekałam się, iż nawet palcem nie kiwnę w imię spokojnego snu sołtysa.

– Jakiś dziwny hałas... ni to szlochy, ni to pluski, jakby kto batem bił po wodzie. Nad wodą daleko się niesie, a może też być, że na wyspie ocalały jakieś jaskinie po pustelni, dźwięk rezonuje i bardzo mocno się zniekształca.

– Czy oni w tej okolicy nie mają ani jednego sensownego maga praktyka? – rzuciłam z pretensją. – Po kie licho im ja?

Nieoczekiwanie Welka roześmiała się pełnym głosem.

– A więc o to chodzi! Sołtys i jego pomocnicy już się do ciebie zgłosili i stąd te nerwy. Widzisz, historia jest taka: miejscowi się przyzwyczaili, lepiej lub gorzej, tylko krowy nijak nie chcą: nerwowe, chude, mało mleka dają, więc chłopci w końcu zdecydowali, że zrzucą się na maga. Zebrali się w karczmie, puścili czapkę dookoła i wynik, dwadzieścia trzy kładnie, uroczyście wręczyli sołtysowi. Ten sprawiedliwie uznał, że trzy kładnie wiele nie zmienia, i zaproponował przepić je za sukces planowanego przedsięwzięcia. Ludzie się chętnie zgodzili, każdy dostał po kuflu, a sołtys jako autor genialnego pomysłu nawet dwa, po których zaczął się chwalić, że niby żaden mag niepotrzebny, ja sam tego ducha gołymi rękoma złapię! No więc zebrani za to również wypili. Tak z pięć razy, żeby już na pewno. Oczywiście do rana w czapce nie zostało nic prócz chrapiącego na niej sołtysa. Gdy chłopci go obudzili i poinformowali o czekającym szlachetnym czynie, niedoszły bohater z jakiegoś powodu nie pobiął dokonywać żadnych bohaterstw i ogólnie postarał się ten temat omijać z dala. I tak sprawa się ciągnie do dziś. Przecież pili wszyscy, więc sołtys teraz nie ma ochoty płacić z własnej kieszeni, a z drugiej strony jakoś to niesolidnie, przecież obiecał! I teraz łązi dookoła, szuka entuzjastycznych ochotników, tylko jakoś bez skutku. Miejscowi magowie już przed nim uciekają, a przejezdni otwartym tekstem informują, gdzie ma iść i dokąd sobie wsadzić tego smoka...

Zielarka przypadkiem spojrzała na moją prawą rękę i gwałtownie zmieniła temat: – Wolha!!! Czy ty, ten...?!

– Nie, to zaręczynowy. Wesele na jesieni, a ty będziesz druhną i tylko spróbuj odmówić! Ale chyba ja faktycznie ten...

Welka, która już się zbierała, by z zachwyconym piskiem rzucić się do odpytywania, gratulacji i dyskusji na temat nadchodzącej uroczystości, cofnęła się i spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

– A o co chodzi?

– Wesele! Koszmar! Horror! – Zerwałam się z miejsca i zaczęłam nerwowo krążyć po izbie. – Jak tylko słyszę samo słowo, to mi się niedobrze robi... To przecież już na zawsze, jak mogiła!

– Ale jaka! – zauważyła Welka.

– Tylko że ja chcę jeszcze pożyć!

– A ja nie rozumiem, czemu się tak denerwujesz. – Przyjaciółka wzruszyła ramionami. – Oddaj mu pierścionek, powiedz, że się rozmyśliłaś i w ogóle nigdy ci się nie podobał!

– Kiedy on mi się podoba!

– W takim razie za niego wyjdź!

– Nie chcę!

– Dlaczego?

– Boję się. – Przygryzłam wargę i odwróciłam się do okna.

– Czego?

– Że zbyt się różnimy. On jest wampirem, władcą Dogewy, a ja zwykłą ludzką wiedźmą w podartej kurtce. On widzi mnie na wskroś, a ja mogę tylko zgadywać, co mu po głowie chodzi. I w ogóle za jakieś pięćdziesiąt lat się zestarzeję i on mnie przestanie kochać!

– O Bogowie... – jęknęła Welka. – Dziewczyno, przecież ty dopiero na jesieni kończysz dwadzieścia dwa lata! Jak możesz planować coś pół wieku do przodu? Przecież może się okazać, że nawet tyle nie przeżyjesz!

– Dzięki ci wielkie za pocieszenie! A moja praca? Przecież ja od rozpoczęcia szkoły marzyłam, żeby zostać arcy magiem!

– No to zostań, kto ci stoi na drodze? – zielarka wyraźnie nie rozumiała problemu.

– Czy ty kiedykolwiek widziałaś męża, który pozwalałby swojej żonie jeździć po drogach w towarzystwie przygodnie poznanych strzyg?!
– Przecież na razie pozwala – słusznie zauważyła przyjaciółka.

– No właśnie, na razie! A potem schowa mnie w kociołku pod przykrywką i z zadowoleniem usiądzie na szczycie!

– A może położy się obok? – Zielarka chytrze zmrużyła oczy. – Wolho, małżeństwo ma również swoje jasne strony! Lepiej wyobraź sobie, jak efektownie będziesz wyglądać w sukni ślubnej...

– Całun pogrzebowy!

– A wesele?

– Stypa!!

– Yyyy... Pierwsza noc poślubna?

– Uroczyste wniesienie trumny do grobowca i oddanie do użytku! Zamiast okazać współczucie umierającej przyjaciółce, Welka spojrzała na moją wykrzywioną smutkiem twarz, po czym dostała nagłego ataku śmiechu. Z wyrzutem zacisnęłam wargi.

Propozycję „mogiły” otrzymałam już rok temu, po powrocie z Arlissu, ale z jakiegoś powodu Len nie nalegał na szybki ślub. Ja również nie robiłam żadnych aluzji i wolałam omijać temat z daleka, więc gdyby Kella wprost nie spytała, co sobie właściwie myślimy, sprawa nie ruszyłaby z martwego punktu. A tak trochę niepewnie spojrzeliśmy po sobie i stwierdziliśmy, że w zasadzie to nam wszystko jedno, po czym zostaliśmy natychmiast postawieni przed faktem ślubu na jesieni.

Po kolejnym tygodniu podstępnie uciekałam z Dogewy pod pretekstem zbierania materiałów do dysertacji. Bo o ile dumne demonstrowanie znajomym złotego pierścionka z pieczęcią o zawitym wzorze i niedbałe nazywanie Lena narzeczoną było całkiem przyjemne, o tyle faktyczne otrzymanie go w charakterze małżonka to zupełnie co innego. Ten przeklęty ślub wyrósł między nami jak ściana i o

ile przedtem spokojnie leżeliśmy w jednym łóżku, omawiając sprawy na jutro czy radośnie śmiejąc się z czyjegós dowcipu, o tyle teraz jakoś dziko patrzyliśmy po sobie i baliśmy się napotkać wzrok tego drugiego! W takim razie co będzie dalej?!

– Wolha, uspokój się. To normalne. – Gdy Welka w końcu przestała się śmiać, spróbowała mnie pocieszyć. – Wszyscy narzeczeni przed ślubem się denerwują. Najważniejsze, żebyś zdecydowała sama dla siebie, czy to właściwy człowiek... tfu, wampir, z którym chcesz spędzić resztę życia? Czy może już za pół roku będziesz miała ochotę udusić go poduszką za nadmiernie głośne chrapanie?

W odpowiedzi mogłam tylko westchnąć. Len nie chrapał. A niektóre jego złe nawyki w rodzaju rzucania odzieży gdzie popadnie, żywienia się suchym prowiantem i unikania zawodowych obowiązków (obecność władcy i naczelnej wiedźmy na codziennych naradach miała charakter wyłącznie symboliczny, starsi doskonale radzili sobie z bieżącymi sprawami, a o poważnych problemach dowiadywaliśmy się bez konieczności uprzedniego wysłuchania nudnego trzygodzinnego raportu) gorąco wspierałam i podzielałam, ku świętemu oburzeniu Kelli. Ale mąż... brrr! Przecież ja zostałam wiedźmą właśnie po to, by uniknąć tego godnego pożałowania losu! I kto by mógł pomyśleć, że nadal znajdzie się jakiś chętny?!

– No dobrze. Przebierz się, a ja póki co przygotuję koszyk – Welka zmieniła temat. – Akurat nalewka wiśniowa zdążyła naciągnąć, więc szybciotko wyleczymy cię z tej depresji!

* * *

Batem po wodzie?! Podrzuciło mnie na łóżku i wbiło z powrotem, i to tak, że deski się wygięły! Przez kilka sekund w oszołomieniu gapiałam się w nieprzebity mrok, próbując dojść, na jakim jestem świecie, po czym błyskawicznie zerwałam się z łóżka, złapałam leżący obok miecz i pędem rzuciłam się do okna.

To nie było podobne kompletnie do niczego – desperacki wrzask, przechodzący w stłumiony chlupotrzask, jak gdyby ktoś podniósł całe jezioro i rzucił je z powrotem. I cichnący, oddalający się gwizd.

Dźwięczne echo przetoczyło się nad powierzchnią rzeki i zgubiło w szeleście trzcin.

Zamiast niego pojawiło się coś bardziej zrozumiałego, ale równie złowieszczego.

Welkę, która spokojnie przespała dobrze jej znany smrodziskowy fenomen, obudził dźwięk flakonika, który przypadkowo trąciłam łokciem.

– Wolha, czego tam łazisz?

– Psy, Weluś... – Stałam koło uchylonego okna, żeby w razie czego wziąć zamach i z całej siły przygrzać w łeb nieproszonemu gościowi, który zdecydował się zignorować drzwi. – Słyszysz? W całej wsi wyją.

– I co z tego? – sennie mruknęła zielarka. – One często hałasują, ledwo gdzie co zastuka i już można chować głowę pod poduszką...

– Na zwykłe stukanie toby po prostu czekały. Welka, one wyją na siły nieczyste. Welka podeszła do okna, chwilę nasłuchiwała, po czym ziewnęła i sennie przytuliła się do mojego ramienia.

– Dziewczyno, to skaza zawodowa. Chodź spać, nie ma tu żadnych umarlaków. Mamy dziś pełnię księżycy, a kundle po prostu korzystają z okazji, by drzeć mordę. Nie odpowiedziałam. Psie głosy były ochryple i przygłuszone, jak gdyby dochodziły z głębi bud albo spod ganków, skąd trudno podziwiać księżyc. Ostrożnie wyciągnęłam miecz z pochwy i sztychem pchnęłam skrzydło okienne. To chętnie kiwnęło się tam i z powrotem i przez chwilę miałam wrażenie, że widzę w czarnej ścianie sterczących naprzeciwko chatki trzcin żółte ślepie. Ten pies nie wył. Na razie nie wydał nawet jednego dźwięku.

– Co ty robisz? O rety... – Welka otworzyła szeroko oczy i zobaczyła pod swoim nosem słabo

połyskujące ostrze.

– Stawiam kontur ochronny. – Uniosłam miecz ostrzem do góry i wolną ręką nakreśliłam parę znaków.

– Nie rób z siebie idiotki! – Przyjaciółka spróbowała złapać mnie za łokieć i odciągnąć od okna, ale wyrwałam się z irytacją.

– Weluś, ja ci się przecież nie wtrącam do eliksirów? No to nie przeszkadzaj mi w pracy!

Przyjaciółka machnęła ręką i wróciła do łóżka. Psy również powoli się uspokoiły. Cokolwiek by to było, ominęło wieś bokiem, bo w przeciwnym razie na jednym jej końcu panowałyby martwa cisza, a na drugim – masowa psia histeria. W odróżnieniu od wilków psy panicznie bały się nocnych stworzeń i wyły na nie wyłącznie z daleka. Cichutko otworzyłam drzwi, wyszłam na dwór i usiadłam na ganku, kładąc miecz na kolanach. Raczej dla uspokojenia sumienia wypuściłam kilka impulsów poszukiwawczych i chrząknęłam ze skrępowaniem, wykrywszy, że w sąsiednim ogrodzie ktoś doskonale radzi sobie bez welkowych lubczyków. No dobra, można posiedzieć i zaczerpnąć świeżego powietrza. W końcu mam urlop. I doczekałam się – przed samym świtem wszystko się powtórzyło, ale w odwrotnej kolejności. Wpierw z niewiadomego powodu rozjazgotały się psy, następnie ponownie ryknęło i załomotało, a nad wodą poszło echo. Miecz zauważalnie się nagrzał, a znak u nasady głowni zaślnił i powoli zgasł. Na miejscu sołtysa nie oszczędzałabym na magach.

* * *

Udało mi się zasnąć dopiero po wschodzie słońca, gdy w smrodziskowych kurnikach kolejno wydarły się koguty, wrzaskliwe stadko kawek zerwało się do odbycia porannego patrolu, a na dworze zaskrzypiały koła wozów. I już po dwóch godzinach obudziła mnie aktywacja konturu ochronnego oraz dosadna opinia Welki na jego temat. Chyba faktycznie nieco przesadziłam, czyniąc go dwustronnym i dodatkowo przywiązując do siebie, na skutek czego zielarka nieco dymiała i pałała żądzą zemsty.

Bitwa dwóch magów mniej więcej podobnego poziomu to dosyć widowiskowe wydarzenie, więc gdy po wyczerpaniu rezerw i osiągnięciu remisu padłyśmy na trawę, za płotem zabrzmiały gorące oklaski, a na podwórzu wylądowało kilka srebrniaczków. Zawstydzona Welka uciekła do domu, a ja ze spokojem zebrałam pieniądze. Gdyby zielarka była nieco odważniejsza, byłaby wiele warta jako mag praktyk. Często ćwiczyłyśmy, a nawet pozbywałyśmy się nadmiarowej energii, zarzucając przeciwniczkę zaklęciami bojowymi nastawionymi na ćwierć mocy. Niestety, po jednym spojrzeniu na cokolwiek mającego kły i pazury – nawet jeżeli sięgało Welce po kolana albo właśnie wydawało ostatnie tchnienie – wszystkie jej bojowe odruchy zwiewały w niewiadomym kierunku, zostawiając wyłącznie te zawiadujące piskiem oraz ucieczką.

Wśród gapiów znalazło się kilku klientów Welki, przyjaciółka przyjęła parę zamówień i ponownie zabrała się do warzenia. Paskudny smród wygonił mnie z domu, więc spędziłam dzień, leżąc na trawie koło rzeki w towarzystwie kufła kwasu oraz zakupionego na targu wędzonego lina i doprowadzając do porządku swoje notatki, które w chwili obecnej wyglądały raczej na zbiór opowieści humorystycznych, a nie materiały naukowe. Kiedy promienie słońca nabrały przyjemnego pomarańczowego koloru, a upał zaczął opadać, przyszła Welka.

– Masz. – Przyjaciółka poprawiła na ramieniu dwa długie wiosła, zwolniła prawą rękę i nakreśliła w powietrzu świecący znak, który zaraz znikł. – Runa klucz do zaklęcia na drzwiach wejściowych. Ja wracam za parę godzin, przygotuj sobie coś na kolację, dobrze? Mnie możesz nie zostawiać, po wczorajszym jestem na diecie. Osobiście „po wczorajszym” ukradkiem spożyłam ponieważ się w torbie kawał suchego chleba, ponieważ pięć pieczonych ziemniaków na dwie osoby nawet z dodatkiem trzech liści sałaty zostało przez mój żołądek ocenione jako wymyślne okrucieństwo, więc dosyć głośno

domagał się on dalszego ciągu imprezy. Niestety, kłótnie z Welką na ten temat były pozbawione sensu.

– No dobra. A ty dokąd?

– Na wyspę.

– Czekaj. – Zaczęłam szybko upychać pergaminy do torby. – Płynę z tobą.

– Dopiero się sołtys ucieszy! – złośliwie przypomniała mi zielarka.

– Niedoczekanie jego, nawet nie będę wychodzić z łódki. Po prostu popilnuję, żeby nic ci się nie stało.

– Woolho... – westchnęła Welka z pretensją. – A ty znowu swoje? Czy nie wydaje ci się, że gdyby mieszkało tu coś niebezpiecznego, to zostałoby już dawno dostrzeżone? Nawet ja byłam już na wyspie kilka razy!

– Kilka razy? I co?

– I nic. Pochodziłam po brzegu, napchałam ziół do torby i odpłynęłam. I teraz mam zamiar zrobić dokładnie to samo. Przecież masz urlop, nie zwracaj sobie głowy i opalaj się dalej.

– W łódce się poopalam. – Zrzuciłam na jedno ramię pasek torby, a na drugie miecz. Sądząc z zadowolonego wyrazu twarzy przyjaciółki, przekonywała mnie po prostu dla przyzwoitości, w cichości ducha mając nadzieję, że jednak się z nią wybiorę. Dlatego też nic więcej już nie powiedziała.

* * *

Łódka Welki tkwiła w trzcinach koło znanej mi już drewnianej ścieżki. Nic dziwnego, że wczoraj nie zwróciłam na nią uwagi, ten wrak bardziej nadawał się do nurkowania niż opalania. Była niemal do połowy wypełniona wodą i praktycznie leżała na dnie.

Łańcuch z wiszącą kłódką miał raczej uchronić łódkę przed ostatecznym zatonięciem, niż przed kradzieżą. Zresztą dno okazało się całe i póki moja przyjaciółka męczyła się z kluczem, zrzuciłam rzeczy na pomost, podkasalam rękawy i skupiłam się na formule szybkiego osuszenia.

– Wolha, nie! – Welka przypadkiem obejrzała się do tyłu i wrzasnęła tak przenikliwie, że straciłam równowagę, całkiem sugestywnie zaprezentowałam rękoma wiatrak i zleciałam z pomostu. – Żadnej magii koło mojej łódki! Zaczarowałam ją, ale zaklęcie jest bardzo niestabilne i znika przy najśłabszym rozbłysku obcej magii. Pod ławką jest garnek, możesz go wziąć i zacząć czerpać.

– Mogłabyś mi jeszcze nad uchem zadać w trąbę – burknęłam, włączając do podwodnej łodzi. No dobrze, w takim upale dodatkowa kąpiel nie zaszkodzi, ale nie miałabym nic przeciwko możliwości chociażby zdjęcia butów.

Po dziesięciu minutach wspólnych wysiłków łódka wypłynęła na powierzchnię i z wyraźną niechęcią zaprezentowała nam gotowość do startu, samoistnie odwracając się dziobem w kierunku otwartej wody. Do wiosła musiałam usiąść ja – wynik starań Welki niezbyt różnił się od zygzakowatego dryfu pamiętnej trójcy.

– A jeśli to nie tajemnica, to przed czym ją zaczarowałaś? Zielarka z zawstydzeniem podrapała się po nosie.

– Przed przeciekaniem. Ale powinnaś była ją zobaczyć wcześniej!

Zabrakło mi słów.

* * *

Po drodze Welka co rusz musiała sięgać po czerpak, ale generalnie sprawy nie miały się źle. Łódka była może stareńka, ale posłuszna wiosłom. Słaby wiaterek dmuchał w stronę wyspy, pomagając

w wiosłowaniu. Mokra koszula przylepiła się do ciała i przyjemnie chłodziła, zdjęte buty schły na rufie. Do brzegu zostawało nie więcej jak pięćdziesiąt sążni, kiedy postanowiłam zrobić sobie przerwę, ułożyłam wiosła na burtach i z rozkoszą wygięłam się do tyłu, masując krzyż.

– Weluś, a czemu nie popłynęłaś rano? Przecież chcieliśmy iść do karczmy, miał tam wieczorem występować jakiś minstrel. Jeśli to ten lutnista z wczoraj, to będzie wesoło! Przyjaciółka spojrzała na tę część swojego ciała, którą wszyscy mężczyźni jednogłośnie uznawali za najbardziej pociągającą, a ona sama – za najbardziej wymagającą diety, a ja żywo sobie wyobraziłam, jak ku niezadowoleniu karczmarza będzie przez cały wieczór smętnie siedziała nad pęczkiem przyniesionej z domu pietruszki.

– Jeszcze zdążymy. Potrzebna mi pewna rzadka trawka, którą należy zbierać o zachodzie słońca.

W zasadzie już nie musiałam sięgać po wiosła – prąd i wiatr powoli spychały nas w odpowiednim kierunku, ale chciałam możliwie szybko zakończyć wszystkie sprawy i wrócić na drugi brzeg. Oszczędny sołtys osiągnął efekt wprost przeciwny do zamierzonego: gdyby nie on, to z czystej ciekawości zanocowałabym na wyspie, ale teraz po prostu jemu na złość nie miałam najmniejszego zamiaru. Nie chce płacić, to niech śpi z poduszką na uchu – jego problem!

– Weluś, przecież nie będziesz się tam grzebać do zmroku, prawda?

– Poradzę sobie w pół godziny! – uroczyście obiecała zielarka, biorąc do ręki żelazną łopatkę przeznaczoną do dłubania w ziemi.

Odwrociłam się, próbując znaleźć możliwie wygodne miejsce do przybicia, i właśnie dostrzegłam ładną lukę wśród trzciny, kiedy nagle przed samym dziobem łódki z pełnym samozadowolenia wyrazem pyska czujnego stróża, który złapał przy dziurze w płocie dwójkę złodziei, wynurzył się i zawisł nad nami znany mi czarny potwór. Przeklęte odruchy!!! Jakbym nie mogła pisnąć i przygrzać mu wiosłem jak normalny człowiek!

Łódka po prostu rozpadła się na części, i to tak efektownie, jak gdyby pod jej dnem wybuchł właśnie pulsar bojowy. Nasze rzeczy wymieszane z deskami, wiosłami i pasażerami poleciały na różne strony, a buty wystartowały pionowo w górę, jak gdyby wezwało je do siebie jakieś bosonogie bóstwo.

Stwór chyba nie spodziewał się po nas takiej podłej akcji samodestrukcyjnej, gdyż rzucił się na bok i pospiesznie zniknął pod wodą.

– Nie umiem pływać... – tragicznie zabalgotała Welka, idąc za jego przykładem. Widzę, pomyślałam z sarkazmem, nurkując za nią. Wymacałam coś na oślep w zmaczonej wodzie (miałam szczerą nadzieję, że nie ogon potwora ani nie jakiegoś obcego topielca), desperackim szarpnięciem wyrzuciłam to na powierzchnię, sama ponownie zanurzając się z głową. Zgadłam. Welka zaczęła kaszleć, wlaźła mi na plecy i uczepiła się mojej szyi z taką desperacją, że omal mnie nie zadusiła. Woda szczypała mnie w oczy, wlewała się do ust – mogłam co najwyżej zabalgotać, jakie tam wyraziste deklamowanie zaklęć! Oczywiście najszuszniesze w tej sytuacji byłoby oderwanie od siebie przyjaciółki, zaczerpnięcie oddechu i nałożenie na nią zaklęcia niezatapialności, ale nie mogłam zagwarantować, że zdążę je dokończyć, nim obiekt ostatecznie pójdzie na dno. I że zdołam ponownie go tam wymacać. Tak więc zacisnęłam zęby i bohatercko tonęłam Welce do towarzystwa, póki niespodzianie nie rozluźniła rąk. Myśląc, że straciła przytomność, błyskawicznie się odwróciłam... i uderzyłam nosem w sprzączkę jej paska.

– Chyba już nie tonę... – powiedziała Welka w oszołomieniu, ocierając oczy. Z zaskoczenia przestałam się miotać i... usiadłam na dnie. Okazało się, że łódka rozpadła się u samego skraju głębiny, skąd wyłowiłam Welkę, i wystarczyło parę ruchów, by wydostać się na płyciznę. A my zamiast tego przez kolejne pięć sążni odważnie walczyłyśmy z żywiołem na głębokości niecałego arsyzyna.

– Doskonale – mruknęłam i nie mając siły się podnieść, na czworakach popęzłam w kierunku brzegu. Welka, potykając się, ruszyła moim śladem.

Padłyśmy na trawę i przez kolejne dwadzieścia minut leżałyśmy na wznak, tępo gapiąc się w ciemniejące niebo, po czym Welka ze skrucną pociągnęła nosem.

– Wolha, wiesz... ja też nie wytrzymałam i przygrzałam mu zaklęciem Arwarden... A właściwie właśnie zaczęłam je splatać...

Roześmiałam się i usiadłam. Nawiasem mówiąc, zachód słońca był wyjątkowo malowniczy – szczególnie jeśli wziąć pod uwagę, że nie okazał się ostatnim w naszym życiu. Woda wtórowała niebu i zabarwiła się na wszystkie odcienie złota i miedzi, między które już zaczęły się wplatać karmazyn, róż i purpura. Moje nieprzemakalne buty stały sobie gdzieś na dnie rzeki, a płotki z zaciekawieniem zapoznawały się z moją pracą. Ale za to miecz nadal wisiał w pochwie za plecami. Z niewysłowioną ulgą namacałam rękojeść, wzniosłam oczy ku niebu, by odmówić modły dziękczynne do świętego Fendula, ale przypomniałam sobie kpiący wyraz jego twarzy i się wstrzymałam.

Welka ucierpiła znacznie mniej – nie zdejmowała butów, a podręczną torbę zielarską, w której między innymi przechowywała parę flakoników z eliksirami pierwszej potrzeby, jeszcze na pomoście przywiązała zapobiegliwie do paska. Wysuszenie się zajęło jej zaledwie kilka sekund.

– I co teraz zrobimy? – spytała z rozpaczą. – Łódka się rozleciała, a w okolicy nie widać żadnego rybaka... Co prawda wątpię, by któryś przyplłynął tu dobrowolnie, ale dla dobra sprawy można go i zmusić.

– Będziemy musiały tu zanocować – stwierdziłam z westchnieniem. – Rano powinnam dać radę dopłynąć do tamtego brzegu i wypożyczyć łódkę, ale w tej chwili raczej się na podobny wyczyn nie zdobędę.

– Nocować? Tutaj?! – Welka była przerażona. Za szkolnych czasów nie dawała się wyciągnąć nawet na dwudniową wycieczkę, daleka od zachwyty wobec uroków romantycznych nocy w szalasie z komarami do kompletu.

– Niekoniecznie tutaj, w tym miejscu. Póki jest w miarę jasno, można poszukać ruin pustelni, będziemy miały dach nad głową. A przy okazji...

– Wolha!!!

– No dobra, milczę już. – Wstałam i wyciągnęłam rękę do przyjaciółki. – Miejmy nadzieję, że dziś nic nie zawyje.

* * *

Gdybym na własne uszy nie słyszała (zresztą co tam uszy, ten dźwięk wwiercał się wprost do wnętrza mózgu!), co dzieje się tu w nocy, to naprawdę trudno znaleźć lepsze miejsce na wypoczynek. Za płaskim brzegiem, który idealnie nadawał się na urządzenie ogniska z pieczeniem kiełbasek i towarzyszącą temu zabawę, zaczynał się rzadki las brzozy, przechodzący w gęsty świerkowy. Welka dostrzegła jakąś wybujałą florę i z upojeniem wygrzebywała ją z ziemi, a ja zagłębiłam się między drzewa, by zbadać teren. Niezauważalnie dla przyjaciółki wysłałam kilka impulsów poszukiwawczych oraz splotłam standardowe zaklęcie prowokujące mroczne stwory do bliższego zapoznania się z bezczelną wiedźmą, które zostało kompletnie zlekceważone. Zresztą akurat to jeszcze nic nie znaczyło – potwór mógł spać w swoim legowisku pod ziemią albo po prostu być odporny na magię poszukiwawczą. Ale przynajmniej mogłyśmy przestać się bać zwykłych strzyg czy harpii, jak również wilków i niedźwiedzi.

W zamyśleniu przespacerowałam się wzdłuż świerków, szukając prześwitu, ale bez skutku. Drzewa tak dokładnie splotły się kłującymi gałęziami, że nawet zając by nie przeskoczył. Czyżby cały środek wyspy tak beznadziejnie zarósł?

Impuls poszukiwawczy twierdził coś zupełnie przeciwnego. Trzy sążnie wyjątkowo solidnego płotu

z choinek, a dalej pustka. Chyba dajnowie z pełną premedytacją siali nie tylko „ziarna prawdziwej wiary”, ale też zwyczajne szyszki. A przecież sami musieli jakoś dostawać się do środka!

Dołączyła do mnie zadowolona Welka ze zdobyczą. Zerknęłam i jęknęłam z oburzeniem:

– I to właśnie jest twoje rzadkie zioło?!

– Aha... – Zielarka z zachwyconym wyrazem twarzy młodej matki przyciskała do piersi ogromny krzak łopianu z długim korzeniem w kształcie lancy.

– Weluś, na ugorze za wsią masz go całe zarośla, ledwośmy się ze Smółką przedostały! Potem przez pół godziny obierałam spodnie z rzepów!

– Tak? – Przyjaciółka nieco się zawstydziała. – Co ty powiesz, a ja nie miałam pojęcia... Po mojej stronie wsi nie rośnie. Ale zobacz, jaki śliczny! Pokornie obejrzałam unikalny egzemplarz, usłużnie podsunęty pod sam nos.

– A świerka czasem nie potrzebujesz?

– Cóż, żywica i nasiona są używane do pewnych specyfików... – zamyśliła się zielarka.

– To wykop parę sztuk, przy okazji oczyścisz nam drogę. Welka demonstracyjnie pogroziła mi pięścią, przy okazji badając nieprzebyte zarośla.

– A jeśli spróbujemy rozsunąć je zakłębem?

– Nic z tego, są zbyt solidnie posplatane. Poza tym zobacz, jakie grube pnie, złamią się. Trzeba szukać przejścia.

– A może lepiej zanocujemy pod brzozaami? – zaproponowała nieśmiało. – Te świerki jakoś mi się nie podobają...

– Mnie również. I właśnie dlatego trzeba sprawdzić, co takiego się za nimi chowa. Zanim ono wyjdzie, by obejrzeć sobie nas.

Welka tęsknie zerknęła na rzekę. Niestety, nie widać było na niej odważnych rybaków, na wyścigi śpieszących nam na ratunek. Przyjaciółce nie pozostawało nic innego, jak dogonić mnie i ruszyć obok, wzdrygając się na każdy dźwięk.

Albo dzisiejsze pasmo pecha w końcu się skończyło, albo wręcz przeciwnie, zaczęło nabierać mocy, a my jeszcze się tego nie domyślałyśmy. Po jakichś stu krokach trafiłam w tym żywopłocie na dziurę wysokości łokcia i szerokości około dziesięciu werszków. Przy samej ziemi, równiutką, jak gdyby przebił ją pocisk z trebusza. Dokładnie splecione gałęzie nie pozwalały pozbawionym podstaw pniom upaść, ale igły pożółkły, przyciągając uwagę. Dziwna dziura spodobała nam się jeszcze mniej niż sam płot.

– Jesteś pewna, że to paradne wejście dla dajnow? – Welka spróbowała zazartować, ale głos jej drżał.

– Chyba tylko dla tych, którzy nadużyli słynnego wina mszalnego. – Puknęłam gałązkę palcem, a ona natychmiast wyłysiała. – Nie ma jeszcze roku, bo igły opadłyby same, a pień zaczął próchnieć. Ale co najmniej miesiąc.

– A wycie zaczęło się jakieś pół roku temu – Welka połączyła fakty. – Sądysz, że to jest jakoś ze sobą powiązane?

Aleja nie lubiłam budowania hipotez z niczego, więc już zawłaszczyłam sobie wątpliwy honor bycia pierwszą odważną badaczką, na wszelki wypadek wystawiając przed sobą miecz.

Po drugiej stronie świerkowego muru ponownie wrócił do pochwy. Zobaczyłam ogromną polanę, zarośniętą trawą sięgającą wyżej kolan, jak to czasem zdarza się w przypadku porzuconych ogrodów. Na środku znajdował się naturalny niewysoki wzgórek, ale pracownicy pustelnicy obgryźli go dookoła, zmieniając łagodnie nachylone zbocza w strome ściany na wysokość człowieka i umacniając je kawałkami granitu. Pomiędzy dużymi kamieniami wmurowano mniejsze odłamki, które układały się

w wymyślne wzory, szczególnie dookoła niskich – akurat na wzrost krasnoluda – przejść. W jednym miejscu nawet zachowały się drzwi, a bezpośrednio przy nich przystawiona do dachu drabina w postaci kłody z wykonanymi toporem nacięciami. Na oko smok nie wyrządził tu specjalnych szkód, pustelnia zapadła się ledwo w dwóch czy trzech miejscach. Chyba dajnowie najbardziej rozpaczali z powodu zniszczenia świątyni, która z trudem dawała się rozpoznać w malowniczym stosie zwęglonych belek, poprzerastanych trawą i krzakami.

Sprawdziłam impulsem jedno z wejść, schyliłam się i zanurkowałam do środka. Krótki korytarzyk doprowadził mnie do niewielkiego, ale całkiem przytulnego pokoju z kominkiem, resztkami zbutwiałego dywanika na glinianej polepie, szerokim stołem, na którym stał zapomniany lichtarzyk, oraz drewnianym łóżkiem z neoheblowanymi deskami. Oba meble od dołu do góry porośnięte były bladymi psimi grzybkami na cienkich, krzywych nóżkach. Miejscówka jak najbardziej nadawała się na nocleg. Przy wyjściu zderzyłam się z Welką.

– I co?

– Chwilowo nic.

– Dlaczego nie możesz się ograniczyć do tego drugiego słowa? – westchnęła. W odpowiedzi mogłam wyłącznie się uśmiechnąć, po czym łapiąc równowagę za pomocą rozstawionych rąk, lekko wbiegłam po baludrabince.

– Oho! Welka, chodź tu szybko!

Zielarka podeszła do ściany, zamknęła oczy i powoli wzniosła się w górę, nie rozstając się ze swoim ukochanym łopianem.

– Za daleko – poinformowałam złośliwie, podziwiając jej pięty. Przyjaciółka błyskawicznie skorygowała zakłęcie i wylądowała na trawie u mego boku. Wzgórze nie miało szczytu. Wewnętrzne zbocza płynnie opadały w dół, do idealnie okrągłego jeziora pośrodku. Było niewielkie, może z pięć sążni średnicy, wydawało się nie mieć dna, a dzięki blaskom zachodzącego słońca wyglądało jak wypełnione gryczanym miodem, ciemnym, grząskim i nieruchomym. Pomiędzy brzegiem wody a zboczami pozostawał pasek równej ziemi, porośnięty brzożami.

– Jak tu ślicznie... – Welka z zachwytem przespacerowała się dookoła jeziora, nie mogąc oderwać od niego oczu.

Ja tymczasem znalazłam jeszcze coś ciekawego. Padłam na kolana, obmacując ziemię koniuszkami palców, które natychmiast zaczęły swędzieć. Dokładnie tak! W dole brzucha przetoczyła się znajoma, słodka, ale równocześnie bolesna fala. Zresztą nic w tym dziwnego – dajnowie specjalnie wybierają tego typu miejsca pod świątynie. Tu zarówno ich modlitwy, jak i nasze zakłęcia są znacznie skuteczniejsze. – Weluś, tu jest punkt energetyczny. I to bardzo mocny;

– Tutaj również! – ze zdziwieniem odezwała się moja przyjaciółka. – Akurat na nim stoję!

Uniosłam głowę, oeniłam odległość i szybko machnęłam Welce ręką. Właśnie przyszła mi do głowy niesamowita hipoteza.

– Przejdź jeszcze kawałek do przodu i policz kroki!

– Po co? Rety, kolejny...! Siedemnaście, ale skąd wiedziałaś?!

– Zgadłam. A teraz do mnie.

– Siedemnaście i pół. – Welka zatrzymała się tuż obok i zrozumiała. – Naturalny trójkąt! Marzenie każdego maga, trzy symetryczne źródła mocy, żadnych wydatków własnych, stawaj na środku i czaruj!

– A jak ty to sobie wyobrażasz? – Z irytacją spojrzałam na ciemną wodę. – W środku trójkąta nie powinno być żadnej obcej magii, dokładnie tak samo jak z tą twoją łódką, a tratwa, nawet jeśli użyjesz dwóch kotwic, zacznie się kołysać, więc zakłęcie zdestabilizuje się albo wymknie spod kontroli.

– Ale przecież jezioro można osuszyć. Welka poddała mi doskonały pomysł.

– Albo też wykopać. Zobacz, jak gwałtownie urywa się dno. Albo ktoś już tu czarował i nieco przesadził, albo jezioro zostało stworzone celowo, by nikt nie skorzystał z trójkąta.

– Przez dajnow?

– Może. Pustelnia to nie świątynia, gdzie klerycy gadają o duchowości, ale wolą rzeczy materialne, czyli sakiewki ufnych owieczek. Na pewno byli tu jacyś doświadczeni dajnowie, posiadający moc na... daną przez Bogów. Mało prawdopodobne, by sami przeprowadzali jakiś rytuał magiczny, ale przeczytanie tuzina modlitw i zatopienie „biesowej pokusy”, żeby nie napytała biedy, to akurat coś w ich stylu. Żeby się nie dostała konkurencji, czyli nam. Welka ze smutkiem przespacerowała się wzdłuż brzegu i machnęła ręką.

– A może to i lepiej. Mało prawdopodobne, by ktoś na niego trafił, a wśród magów też się zdarzają idioci.

Zresztą ze źródła i tak miałyśmy pożytek, szybko odnowiłyśmy rezerwę magiczną i wróciłyśmy na polanę znacznie bardziej pewne własnych sił.

Nim zapadła noc, zdążyłyśmy obejrzeć całą pustelnię – a raczej to ja po kolei wchodziłam do każdej celi, natomiast Welka stała przy wejściu i co jakiś czas pytała, czy coś już zjadło, czy jeszcze nie. Niestety, niezmiennie ją rozczarowywałam, a kiedy za którymś razem dla hecy zawyłam w odpowiedzi, przy wyjściu z całego serca oberwałam łopianem po głowie. Od środka wszystkie cele wyglądały tak samo, różniły się tylko ilością kurzu i pleśni. Najlepiej zachowała się ta z drzwiami i właśnie ją zajęłyśmy, naściągawszy do środka świerkowych gałęzi.

Powietrze, ziemia i woda tak bardzo nagrzały się w ciągu dnia, że nawet zmrok nie przyniósł ochłody. Zanim skończyłam mościć sobie posłanie, moja koszula przemokła od potu, bosa stopy dotkliwie poparzyłam pokrzywami, a za kołnierz powpadały mi świerkowe igły. Szczęśliwie nie brakowało nam wody, było nawet dokładnie na odwrót. Zdecydowałam się nie wracać na brzeg wyspy – daleko, a poza tym nie miałam ochoty ponownie przełazić przez dziurę, a następnie szukać jej po ciemku. Znacznie szybciej i wygodniej było umyć się w pobliskim jezioru. Welka ruszyła za mną, wołając nie kusić losu. Żadne potwory nadal nie przyszły z wizytą, ale w każdej chwili któryś mógł jednak zdecydować się na opuszczenie swojego wygodnego legowiska i znaleźć na polanie zachwycająco pulchną zielarkę. Księżyc schował się za postrzępionymi chmurami i w bladym świetle gwiazd jezioro wydawało się czarną bezdenną dziurą. Tchnęło od niego takim źródlanym zimnem, że natychmiast zmieniłam zdanie w kwestii kąpieli i zdecydowałam się ograniczyć do szybkiego ochlapania. Ale gdy tylko pociągnęłam przez głowę koszulę, przyjaciółka pisnęła:

– Wolha, tylko popatrz na to!

Koszula prędko wróciła na miejsce, a ja straciłam do reszty ochotę na kąpiel: przez wodę prześwitywały na wpół przezroczyste smocze kości, które słabo lśniły od wewnątrz. Mimo ogromnej głębokości każdy krąg był doskonale widoczny – od długiej szyi do kolczastego ogona, owiniętego dookoła ciała, starannie złożonych po bokach skrzydeł i długiego pyska, spoczywającego na przednich łapach.

– Popatrz, jakie to dziwne – szepnęła Welka. – Zwinął się w kłębek, jak gdyby drzemał.

– Powinien leżeć na pustelni... – z jakiegoś powodu również zniżyłam głos. – A raczej już dawno temu rozlecieć się na poszczególne kosteczki. Mam wrażenie, że zdechł już pod wodą.

– Może dajnowie mimo wszystko oddali wsi przysługę i zepchnęli ciało do jeziora?

– W takim razie nadal nazywałyby się Wędkowo. A poza tym sama spróbuj przesunąć tego olbrzyma, same kości byśmy nosiły przez cały dzień!

– Wiesz no, mag by sobie w parę godzin poradził. O, popatrz, nawet wszystkie kły ocalały! A mnie akurat parę dni temu ostatni kawałek wyszedł... Smocze kły, tak samo jak kości, pazury i grzebienie,

wchodziły w skład mnóstwa preparatów, używane były przy hartowaniu mieczy i jako podstawa przy wyrabianiu amuletów. Popyt na nie znacznie przewyższał podaż, ponieważ żywe smoki miały wyjątkowo negatywny stosunek do wyjmowania z nich cennych składników, więc magowie musieli zadowalać się tymi, które wypadły, zostały zdobyte jako trofeum, albo tkwiącymi w wyplutych zbrojach pechowych smokobójców. W związku z tym koszt jednego kła był całkiem spory i nie każdy zielarz mógł sobie na niego pozwolić.

– Spróbuję kilka wyciągnąć – zdecydowała się Welka, podkasując rękawy i szeroko rozstawiając nogi. Zmarszczyła czoło i nie mrugając, zagapiła się w wodę, dla lepszego wrażenia wyciągnąwszy ku niej rękę ze zgiętymi palcami. Po paru sekundach jej dłoń zaczęła lekko drżeć, opuszczając się coraz niżej i niżej, póki nie opadła bez sił.

– Nie daje się – westchnęła zielarka, ocierając pot z czoła. – Chyba żeby razem ze szczęką, ale sama nie dam rady unieść czegoś tak ciężkiego. Pomożesz?

– Oczywiście.

Woda ma to do siebie, że silnie pochłania energię magiczną (choć potem równie łatwo ją oddaje), ale ostatecznie udało mi się „zahaczyć” smoka za górny kieł oczny.

– I raz, i dwa, i ciągnij!!!

Kły faktycznie siedziały jak wmurowane, za życia smok na pewno spotykał się z cyrulikami wyłącznie w celach gastronomicznych. Nasze wspólne z Welką wysiłki jedynie trochę uniosły czaszkę, która zaraz upadła z powrotem, wznosząc mętłą chmurkę mułu.

– Zaraza... – Potrząsnęłam dymiącym nadgarstkiem. W takim upale czarowanie wcale nie było łatwiejsze od ciągnięcia worków z ziemniakami.

– Nie rozumiem, co go trzyma. – Welka chwyciła za pień brzoźki i niebezpiecznie zwiisała nad wodą, próbując lepiej dojrzeć tak bardzo potrzebne jej składniki. Znałam to drapieżne spojrzenie aż za dobrze – dokładnie taką samą minę miała panicznie bojąca się wysokości Kella, gdy włąziła na czubek wysokiego dębu po jakąś szalenię rzadką jemiolę. (A potem oboje z Lenem musieliśmy ją zdejmować – on przez pół godziny namawiał, by zeskoczyła na rozciągnięte pod drzewem prześcieradło, a ja tymczasem podstępnie nadłamywałam za pomocą magii gałąź, w którą wczepiona była zielarka). Natomiast Welka wyglądała, jakby zaraz miała zanurkować.

– Może spróbujemy jeszcze raz? Wzmocnimy przez równanie Szess, mamy dwie stałe, a wektor można ustalić na oko...

– Nie rozmieniaj się na drobne, możemy przecież od razu osuszyć jezioro – zażartowałam. – I dostaniesz swojego smoka w całości!

Nagle w pustych oczodołach zapłonęły zielone ogniki, szkielet poruszył się, gwałtownie zamachał skrzydłami i nabierając prędkości, ruszył w górę, ku powierzchni.

* * *

Ledwo zdążyliśmy odskoczyć, gdy woda z jeziora wytrysnęła w górę wysoką fontanną, po czym lunęła na nasze głowy, ogłuszając i wciskając w ziemię.

„Całość” smoka z wyciem uniosła się w niebo, zatoczyła koło, złożyła skrzydła na grzbiecie i z podwojoną prędkością ruszyła w kierunku ziemi, w locie otwierając paszczę.

Jako pierwsza zrozumiałam, że bynajmniej nie ma zamiaru nurkować z powrotem. – Welka, uważaj!!!

Jęzor bezbarwnej drżącej mgiełki trafił akurat pomiędzy nasze ciała – ledwo zdążyliśmy odskoczyć w przeciwnych kierunkach. Woda zawrzała i wszystko zniknęło w obłoku pary.

W ostatniej chwili smok rozprostował skrzydła i poszybował nad wzgórzem. Woda, która wystąpiła

z brzegów, ruszyła z powrotem do jeziora, zgarniając mnie ze sobą.

Wykręciłam się i pomagając sobie kolanami, spróbowałam złapać się rzadkich pęczków trawy, ale prąd był zbyt mocny. Lodowata woda nakryła mnie z głową, pod nogami otwarła się pustka. Rozluźniłam pełne trawy pięści, poruszyłam rękoma i nogami, płynąc do srebrzystego lustra powierzchni. Złapałam haust powietrza, ale nie zdążyłam się dobrze rozejrzeć, kiedy usłyszałam desperacki wrzask Welki: – Wolha, nurkuj!!!

Zastosowałam się do przyjacielskiej rady i już spod wody zobaczyłam, jak unosząca się na powierzchni trawa zajmuje się ogniem, jakby była suchym sianem. Przez moment czułam się, jakby oblał mnie wrzątek, lecz to przerażające wrażenie zostało szybko zmyte przez źródlane zimno jeziora. Ogółem temperatura wody stała się znacznie przyjemniejsza, ale nie miałam najmniejszej ochoty na przeciąganie kąpieli. Za drugim razem miałam więcej szczęścia: smok spróbował wykonać kolejne podejście, ale nie zdążył unieść się dostatecznie wysoko i teraz wodował jak kaczką, podskakując na krótkich, krzywych łapach i hamując za pomocą skrzydeł. Kilka ruchów pływackich starczyło, żebym dotarła do brzegu. Welka kurczowo trzymała się brzoźki, nie mogąc rozgiąć palców, więc podała mi nogę. Złapałam ją za kostkę i wyczołgałam się na twardy grunt. Dopiero widok zwracającego się w naszym kierunku smoczego łba zmusił Welkę do ruszenia się z miejsca. W samą porę. Gałęzie drzewka zaczęły trzeszczeć z gorąca, a potem nagle całe zajęło się płomieniem, od korzeni po sam czubek. Na polanie zrobiło się jasno. W końcu mogłyśmy lepiej obejrzeć atakującego nas potwora i dopiero wtedy ścierpła nam skóra. Smok był półtora raza większy od naszego Lewarka (co prawda chudy i długi jak podwórzowy kot) i składał się bynajmniej nie z samych kości. Na powietrzu przestały one świecić, prawie znikając za przezroczystym jak górski kryształ ciałem, które rzucało niewyraźny cień. Spróbowałam zastosować czar nocnego widzenia i zaklęłam – smok zniknął zupełnie. Szybka dezaktywacja zaklęcia była jeszcze mniej przyjemna, ponieważ paskuda nie marnowała czasu i już radośnie otwierała pysk w odległości zaledwie sążnia ode mnie, prezentując dwa rzędy drogocennych składników magicznych do wyboru. Bez namysłu wyrzuciłam do przodu rękę, wkładając w cios czystą, nieskupioną w zaklęcie moc. Smok potrząsnął łbem, jakby otrzymał policzek. Zakrztusił się płomieniem i zaczął kaszleć kłębami czarnego dymu. Pochyliłam głowę i zanurkowałam pomiędzy jego łapami, przemknęłam pod brzuchem i właśnie zaczęłam wspinać się na krawędź niecki... gdy nagle zauważyłam Welkę, która udawała posąg z bladozielonego marmuru wkopany na brzegu jeziora.

Tymczasem gad złapał oddech, ryknął wściekle i skierował uwagę na łatwiejszą zdobycz. Welka z zimną krwią poczekała, aż bestia odwróci łeb w jej kierunku, i celnie plusnęła mu w oko zawartością jakiegoś flakonika, po czym z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku zaczęła osuwać się na ziemię. Przeszkodziłam jej w zakończeniu procesu omdlenia, za kark wyciągając spod nowej fali płomieni – szczęśliwie wypuszczonej na ślepo. Klepnęłam ją raz i drugi w policzki, doszła do siebie natychmiast i obie w te pędy rzuciłyśmy się do ucieczki ze szczytu wzgórza. Za nami niosło się przerażające wycie, łoskot bijących skrzydeł i uderzeń ogona o ziemię, która aż drżała pod naszymi nogami. Radykalne metody uzdrawiania zastosowane przez moją przyjaciółkę chyba smoka nie zachwyciły. Naturalnie w tym przypadku nie miała co liczyć na honorarium. Po dotarciu do krawędzi bez namysłu skoczyłyśmy w dół. Ja rzuciłam się w kierunku miecza, który głupio wetknęłam w ziemię koło „drabiny”, a Welka (chyba odruchowo) do leżącego obok łopianu. Na pomysł atakowania smoka mieczem jednoręcznym wpadłby tylko kretyn, który w swoim życiu przeczytał za dużo bajek. W tym wypadku mój oręż był tyleż samo wart co łopuch Welki.

Tymczasem potwór doszedł do siebie znacznie szybciej, niż się spodziewałam. Na skrzydłach wiatru przeleciał nad naszymi głowami, głucho łupnął o ziemię i widząc, że zdobycz zaraz zniknie w wąskiej jaskini pustelni, rzucił się za nami, w pośpiechu ślizgając łapami po ziemi.

W progę wyhamowałam, wyrwałam Welce leczniczy łopian, odwróciłam się i w całości wrzuciłam go w smoczy pysk, otwarty do kolejnego strzału płomieniem. Zielarka jęknęła z rozpaczą, gad odruchowo zacisnął szczęki i natychmiast zaczął dziko pluć. Popchnęłam zastygłą przyjaciółkę w plecy, zaganiając w kierunku drzwi, po czym zanurkowałam jej śladem.

Ledwie zdążyliśmy przebiec długość korytarzyka, wpaść do izby i przytulić się do ścian po obu stronach wejścia, gdy do środka wpadła gorąca mgła, która sięgnęła prawie połowy jaskini. Poczułam żar na boku, leżanka zajęła się wysokim, trzaskającym płomieniem, dokładnie oświetlając celę.

– W sam czas... – odetchnęła Welka i spełzła po ścianie na podłogę.

– Yhym. Cofam to, co mówiłam, to faktycznie rzadkie zioło i ogromnie przydatne! Zielarka zerknęła na mnie wilkiem, ale nic nie odpowiedziała. Na zewnątrz wściekle ryknął smok, którego również obraziłam do głębi duszy.

– Panno bakałarzu magii praktycznej, czy możesz wyjaśnić mi, co to za paskudztwo? Również usiadłam, obejmując rękoma kolana.

– Sądząc z oznak, ghyr cmentarny na spółkę ze złodziejską strzygą.

– Że co?

Złapałam oddech, uporządkowałam myśli i spróbowałam wyjaśnić bardziej przystępnie:

– Po wsi chodzą pogłoski, że w okolicy coś źle się dzieje, ludzie giną bez śladu, zwierzęta hodowlane odlatują w siną dal... a ja mam takie paskudne podejrzenia, że wszystkie te dowcipy ma na sumieniu o tamta miła jaszczurka, która właśnie bawi się pod samotnią. W ciągu dnia siedzi w oczku wodnym, a w nocy dodaje skrzydeł krowom oraz pechowym przechodniom. Poluje daleko od swojego leża, żeby nikt nic nie podejrzewał, a zauważenie jej w locie jest praktycznie niemoż... Urwałam, pozwalając włączyć się do naszej rozmowy trzeciemu uczestnikowi. Po ścianach korytarza zaczęła skrobać pazurzasta łapa, następnie usłyszałyśmy wyraźne sapanie, a nad podłogą zakłębił się wzniesiony kurz. Ku wielkiej rozpaczy smoka na tym jego możliwości się kończyły. Zdaje się, że nie potrafił pluć kłębkami ognia, które po napotkaniu przeszkody rozpryskiwały się na wszystkie strony, i w ogóle nie odznaczał się intelektem – nasz Lewark nie zniżyłby się do prób wydłubania ludzików z wąskich dziur i już na pewno nie rzuciłby się z wściekłości w taki chaotyczny sposób. Smok jest istotą chytrą, zdradliwą i cierpliwą, więc znajdzie tysiąc innych sposobów, by zatruć wam życie.

– Ech, dajcie mi tu naszego sołtysa – ze złością rzuciła Welka. Nie gorzej ode mnie wiedziała, że smoki są prawie całkowicie odporne na magię, a przez warstwy łusek może się przebić wyłącznie ciężki dwuręczny miecz albo harpun z balisty. Zwykłe strzały i miecze mogły je urazić tylko w parę miejsc o niewielkiej powierzchni – pod dolną szczęką oraz u nasady skrzydeł i łap – których smoki oczywiście wolały nie demonstrować agresywnie nastawionym rycerzom oraz magom. – Niechby ponamawiał tego gada, by zdechł „przy okazji”... Słuchaj, a może urządzimy stworowi rozstrój żołądka ze skutkiem śmiertelnym? Mam w torbie parę eliksirów, jeśli je ze sobą wymieszać i wzmocnić paroma zaklęciami...

– Weluś, jest jeszcze jeden problem – przerwałam jej z westchnieniem.

– Jaki?

– On już zdechł.

* * *

– A wy mówiliście, że się nie nada! – Gdynio uroczyście odczepił od głowy kozła kolejnego raka i wrzucił go do łódki.

Sołtys mógł w odpowiedzi tylko westchnąć. To zdanie setnik powtarzał przy każdym trofeum z wyjątkiem jednego razu, gdy kolejny rak zdołał się wywinąć, capnąć Gdynia szczypcami za palec

i zdezerterować z powrotem do wody. Co prawda przy tamtej okazji padły inne słowa...

Księżyc w pełni wysrebrzył wodę, wiatr o północy się uspokoił i fale się wygładziły. Mielizna zawałona była różnymi przyniesionymi przez wodę śmieciami – kłującymi pękami wodorostów, gałęziami, nadgniłą trzcina oraz dumnie sterczącym na środku pniem. Zaś na pniu z wyrazem ogromnej rozpacz na twarzy siedział chłop w czerwonej koszuli, który desperacko próbował odpowiedzieć sobie na pytanie, czy dwa tuziny raków będą miały pozytywny wpływ na nastrój jego małżonki, która pewnie już dawno temu wróciła z odwiedzin u przyjaciółki i odkryła, że wykonane przez męża pod jej nieobecność prace domowe ograniczyły się do wyszperania, a następnie niecnego zagarnięcia dokładnie przez nią schowanej butli bimbru.

* * *

– A wy mówiliście...!

Na dnie łódki zachrobotał kolejny rak. Sołtys podciągnął nogi i rzucił spojrzenie na wyspę, która z daleka wydawała się czarną zębatą skałą, zalaną od góry srebrzystozielonym fosforem. Do brzegu przy wsi było jeszcze dalej, ale wyglądał znacznie bardziej przytulnie – rozsypana garść rozświetlonych okienek oraz ognisko – latarnia na przystani, specjalnie dla wielbicieli nocnego rybaczenia.

W końcu wszystkie raki, które dały się skusić na wiedźmie trofeum, przemigrowały do łódki i Gdynio zaczął się nudzić.

– Może zmienimy miejsce? – zaproponował, wyciągając i krytycznie oceniając swój lekko nadgryziony wabik. – Koło tamtej mielizny też się dobrze łapią, jak zajść od nawietrznej.

Chłop w milczeniu usiadł na ławce dla wiosłarza, a setnik zajął tylną udając, że kompletnie nie jest świadom przeznaczenia wiosła i nie ma pojęcia, jak należy się nimi posługiwać. Sołtys zaczął wyciągać kotwicę – na krzyż przewiązany sznurem kawał kamienia. Ale nie zdążył nawet raz przesunąć rąk po mokrym sznurze, którego drugi koniec przywiązany był do białego w dziób pierścienia, kiedy ten jak wąż szarpnął się w jego pięści i wystrzelił z powrotem. W następnej chwili łódka zanurzyła się dziobem, równocześnie wierzgając rufą nie gorzej niż wiedźmia kobyła, strząsnęła jeźdźców na dno i rzuciła do przodu, na przemian wyskakując z wody i rozcinając ją głęboką bruzdą z rozchodzącymi się wąsami piany. Naciągnięty sznur wibrował jak struna. Jeżeli któryś z Bogów nawet i usłyszał, jak na dole wołają jego imię, to nie śpieszył z pomocą, wyraźnie nie wierząc w podejrzenie szczodre obietnice rzucenia picia czy niechodzenia po babach, zreperowania żonie wszystkich kadzi i wypłacenia pierwszemu napotkanemu magowi nawet nie dwudziestu kładni, tylko od razu stu. Chłop sumiennie udawał monotony róg myśliwski, przerywając wyłącznie w celu zaczerpnięcia oddechu, setnik nie porzucał nadziei, że uda mu się namówić kapryśne bóstwo (które pewnie jeszcze nie miało pojęcia, że łatwiej jest wypełnić prośbę Gdynia, aniżeli się go pozbyć), sołtys cichutko leżał na samym dnie wśród mściwie szczypiących go raków i z zimną krwią (bo ów płyn zastygł w żyłach całej trójki) rozmyślał nad zaistniałą sytuacją. Rusałki, nawet jeśli do Pstroczi przyplływały, to ograniczały się do robienia interesów z miejscowymi kupcami i nie pozwalały sobie na takie dowcipy. Wodnik, niewielki potworek podobny do kopki bagiennej trawy, który od czasu do czasu wypełzał na płyciznę i nagabywał rybaków o ćwiartkę siwuchy, nie był zdolny do uciągnięcia łódki z trzema dorosłymi mężczyznami. Jama miejscowego kozłojada została wiorstę za nimi, a poza tym jego nigdy nie interesowały podobne gierki. Co prawda zdarzało mu się czasami przewrócić łódkę, a potem złośliwie ryknąć raz czy drugi na pechowych pływaków, żeby szybciej ruszali rękoma i nogami. Ale w takim razie co? Sołtys kiedyś słyszał, że w morzu za Elgarem mieszka okrutna rybazwierz z tysiącem kłów, ale ona chyba wołała spożywać rybaków, a nie urządzać im przejażdżki krajoznawcze wzdłuż rzeki. Czyżby jakiś głupi sum skusił się na kawał skały na sznurze?!

No to może porzuca się trochę i zdechnie. A oni przy okazji zdobędą ogromną rybkę, przyniosą do domu, zasolą, uwędzą... Sołtys nawet się oblizał, złapał burty i zmrużył oczy. W takim wypadku sprawa faktycznie była warta wyrzeczeń!

Wyrzeczenia nie potrwały długo. Spód łódki zaszurał po kamienistym dnie, po czym pojazd z rozpędu uderzył o coś twardego, zadrżał i zatrzymał się z chrzęstem. Tło wokalne natychmiast ustało, a pasażerowie, którzy duchowo już przygotowali się do podróży w niebiosa, teraz desperacko próbowali ustalić, czy właśnie się tam wybierają, czy może jednak nie.

Ostatecznie Gdynio nieśmiało uniosł głowę nad burtą i czknął ze zdziwieniem. Łódka stała na ziemi w odległości jakichś pięciu sążni od brzegu. W roli hamulca wystąpił rozłożysty dąb. „Sum”, który odegrał rolę konia pociągowego... przeskoczył przez pień, zostawiając w nim ogromną dziurę, w której łódka mimo wszystko się nie zmieściła, więc jej dziób rozbił się w drobny mak. Po drugiej stronie dziury leżał kamień, który wypadł z pętli. Widniały na nim cztery wyraźne wgłębienia, od których na boki uciekały pęknięcia. Dąb zaś stał na brzegu wyspy.

* * *

– I właśnie dlatego – jęknęła zielarka – nie zostałam magiem praktykiem! Tylko wy w sytuacji pod tytułem „gorzej być nie może” potraficie radośnie zapewnić, że owszem, może, i mało tego, zaraz będzie! A następnie barwnie i ze szczegółami to opisać!

Istotnie nie mogłam się powstrzymać, by nie podzielić się swoimi myślami.

– Przypomnij sobie klasyfikację, potwory dzielą się na względnie żywe: zdolne do rozmnażania, mające istotne dla życia organy i mniej lub bardziej typową przemianę materii, oraz właściwie martwe: zombie i upiory. Sama przyznasz, że ten tu nie wygląda na ducha, a nocne widzenie oparte o aurę żywych komórek na niego nie podziałało!

Co jak co, ale na pamięć Welka nie narzekała.

– Ale co w takim razie z aksjomatem Oleszera? Upiór o takich gabarytach jest niestabilny i oprócz jedzenia dla podtrzymania ciała wymaga ciągłego doładowania magicznego. A jeszcze żaden mag nie dał rady ulepić zombie ze smoka!

– Wyłącznie dlatego, że nie miał do dyspozycji trójkąta – zaprzeczyłam szybko, bojąc się, że zgubię myśl. – A magiczny węzeł znajduje się akurat na środku jeziora, więc czego więcej upiór może potrzebować do szczęścia?!

– Paru panienek na deser – westchnęła zielarka, nieoczekiwanie uniosła głowę i zauważyła: – Ten spokój jest cokolwiek podejrzany!

Smok rzeczywiście przestał, jak by to powiedział pewien mój znajomy troll, „wiercić się pod klientem”. Na zewnątrz zapanowała niezwykła i dlatego złowieszcza cisza. Prycza wypaliła się już do słabo lśniących węgielków, w gardle drapało mnie od dymu, który bez pośpiechu pełzał w kierunku czarnej dziury przejścia. Kompletnie nie było widać, co dzieje się na zewnątrz.

– Myślisz, że jeszcze tam jest? – Welka kiwnęła głową w stronę wyjścia. Sapanie ucichło, ale to jeszcze o niczym nie świadczyło – umarlaki nie potrzebowały powietrza, więc smok używał aparatu oddechowego wyłącznie do ziania ogniem, wachania tudzież wyrażania nieprzychylniej opinii na temat za bardzo zwinnej zdobyczy.

Niepewnie wzruszyłam ramionami. Z jednej strony umarlaki były tępe jak klocki, z drugiej – wyjątkowo uparte i nie rezygnowały ze zdobyczy tak po prostu, chyba że trafiłaby im się jakaś inna. A w połączeniu ze smoczą pamiętliwością... Zielarka podjęła decyzję, złapała głęboki oddech, zmrużyła oczy i przebiegła na moją stronę celi.

Ze strony smoka nie wpłynęły żadne zastrzeżenia. Albo faktycznie gdzieś sobie poleciał, albo czekał na wygodniejszą i pewniejszą okazję do upieczenia nas. Smoczy płomień nie dawał się ugasić nawet na metalowej zbroi, nie wspominając już o zwykłym ubraniu, więc Welka sporo ryzykowała, ale szczerkanie zębami w pojedynkę było jeszcze straszniejsze.

– Mamy dwie opcje – stwierdziłam zdecydowanie, by dodać odwagi przyjaciółce, a przy okazji (żeby tego sołtysa leszy!) również sobie. – Pierwsza to poczekać do rana. Możliwe, że promienie słońca zagonią go z powrotem do wody.

– Możliwe?

– Nie mogę tego zagwarantować. Nie wszystkie nocne stworzenia boją się światła. Strzygoń może się zagalopować i kontynuować polowanie nawet za dnia, mimo że upiór o świcie oślepnie i odejdzie w swoją stronę.

– A druga możliwość?

– Wyjść i skopać smokowi tyłek, żeby go nauczyć moresu.

– Bardzo śmieszne – burknęła Welka.

– Nie żartuję. Gdybym miała dwuręczny miecz i ognioodporną zbroję, tobym nawet zaryzykowała.

– Mam w torbie maść przeciw oparzeniom – przypomniała sobie zielarka. – Wczoraj używałam jej do wyciągania ziemniaków z ogniska, a przy okazji... tfu, już mi się niedobrze robi na sam dźwięk tego zwrotu! A w ogóle to ma ona lekki wpływ odmładzający.

– „Salamandra”? Wspaniale, dawaj. Zaraz pokażę temu gadowi!

– Chyba sobie żartujesz?! – przeraziła się Welka.

– Nie, po prostu pójdę na zwiady – uspokoiłam ją, odkręcając szczelną pokrywkę. Ze smrodkiem spalenizny zmieszała się ostra woń mięty. – W najgorszym razie wytrzyma jedno smocze tchnienie, któregoś razu nie mieliśmy z Lewarkiem nic do roboty i sprawdziliśmy. Potem przez dwa tygodnie po lekcjach przebierałam pęczak, bo wpadłam na to, by przeprowadzać ten efektowny eksperyment przy ścianie toalety, więc potem cała szkoła przez kilka dni wstydliwie korzystała z okolicznych krzaczków... Nadal nie znoszę tej kaszy!

Szczodrze posmarowałam twarz i włosy szczypiącą mazią, po czym rozejrzałam się w poszukiwaniu jakiejś półeczki czy występu, na których mogłabym położyć słoik w czasie nacierania rąk. I moje spojrzenie padło na ścianę celi, na której dopiero teraz dostrzegłam dekoracyjny relief. Nic szczególnego, topornie wylepiony z gliny, solidnie odbarwiony i popękany. Widziałam takie również w innych izbach. W rogach umieszczono symboliczne oznaczenia czterech bóstw – gałąź klonu, wyskakującą z wody rybę, błyskawicę oraz ptaka z rozłożonymi skrzydłami. Ale na środku zamiast kolejnej pouczającej sceny z życia świętych widniał dokładny plan świątyni. Ja i Welka równocześnie pstryknęłyśmy palcami i po bokach dekoracji zalśniły dwa pulsary – złocisty i zielony.

– O, patrz, wcześniej nie było tu żadnych świerków, tylko zwykły płot i brama – zauważyłam ze zdumieniem.

– Ale jezioro jest zaznaczone, i to razem ze źródłami! – Pulsar Welki zbliżył się do ściany. – Czekaj, a co to jest?

– Wygląda na runę. – Pośliniłam palec i przetałam budzącą wątpliwości plamkę na środku ryciny. – Tylko jaką?

– „Polowanie”? – zasugerowała Welka, zaglądając mi przez ramię.

– Chyba nie, w tym miejscu była jakby kreska, poniżej została z niej kropka. – „Tchnienie”?

– Warto nadmienić, że dosyć specyficzne – prychnęła moja przyjaciółka. – Czekaj, a jeśli to nie łuk, tylko koło, i do tego przekreślone? W takim wypadku mamy tu...

– „Odźwiernego”? A to już wygląda całkiem prawdopodobnie! O ile pamiętam z wykładów z teologii,

dajnowie nakładają zaklęcia... tfu, modlitwy do Odźwiernego na cenne relikwie. A on jest duchem strażnikiem czterech niebiańskich tablic. W większości przypadków to tylko widowiskowa ceremonia. Ale jeżeli bojowi pustelnicy wpadli na pomysł, by zatopić pentagram, to jak najbardziej mogli zdobyć się na wezwanie dla pewności prawdziwego demona, który zamieszkał w smoczych kościach.

– Odźwiernego – odruchowo poprawiła mnie Welka. – Ale po grzyba był im taki wściekły smok? Przecież on w ogóle nikogo nie dopuszcza do jeziora! Coś przealchemikowali z tymi swoimi modlitwami... W zamyśleniu podrapałam palcem brzeżek płaskorzeźby.

– Zobacz, ile tu jest warstw farby. Ona ma nie mniej niż trzydzieści lat. A to „wycie i grzmienie” zaczęło się całkiem niedawno.

– Odchodząc, pustelnicy mogli nałożyć na Odźwiernego zaklęcie hamujące – podsunęła Welka – które z upływem czasu osłabło albo w ogóle znikło.

– Możliwe. Ale tak aktywnie czuwający umarłak nie może długo istnieć bez jedzenia, w przeciwnym razie jego ciało zacznie się rozpadać. Mało prawdopodobne, by dajnowie codziennie wrzucali do jeziora krowę albo kogoś na ochotnika, a Odźwierny nieprzerwanie śpiący na dnie jest do niczego. Nie wspominając o tym, że to właśnie zdechły smok był powodem ich... hm... pośpiesznego wyjazdu.

Pustelnia zadrżała z takim hukiem jak pod wpływem trzęsienia ziemi, które nigdy się w tych okolicach nie zdarzały. Z sufitu spadło kilka desek akurat w miejsce, gdzie jeszcze chwilę temu stała Welka, po czym natychmiast zniknęły pod wysokim kopcem ziemi. Płaskorzeźba w jednej chwili pokryła się pęknięciami i z cichym szelestem osypała na podłogę w drobnych kawałkach.

Spojrzałyśmy po sobie z przerażeniem.

Smok przypominał sobie zdobyte za życia doświadczenia w kwestii obcowania ze zdradliwymi pustelnikami, albo może w końcu wysilił umysł i doszedł do tego, że przekopanie się przez ziemny strop pustelni jest znacznie łatwiejsze niż rozdzieranie wzmocnionego kamieniami i belkami wejścia.

* * *

Sapiący Gdynio wyciągał wiosło, które utknęło w rozłupanym drzewie. Setnik sam nie potrafił wyjaśnić, po co mu to wiosło, ale zasada „nada się” jeszcze nigdy go nie zawiodła. Dwaj towarzysze obserwowali go smętnie. W zasadzie łódź należała do sołtysa, który bez namysłu rzucił, że nie chce już nigdy w życiu patrzeć na to koryto, a jego zachłanny kompan nie mógł wszak przepuścić tak wspaniałej możliwości.

– Żeby tylko było wiosło, a łódka się znajdzie! – wysapał z zadowoleniem, wrzucając na ramię kawał drewna, który ostatecznie udało mu się przekonać do współpracy. – No to co, idziemy?

– A gdzie? – chmurnie burknął chłop. – My tera tu będziemy do świtu siedzieli, póki rybaki świtaniem nie wypłyną! Bo po nocy to se możemy gardło zdzierać, nikt nie podpłynie. Tyle dobrego, jak rano przekonamy którego odważniejszego.

– Możemy chociażby w tamtym lasku chrustu nazbierać, ognisko zapalić i ubranie wysusz... – Gdynio optymistycznie machnął wiosłem w kierunku brzoź i nagle urwał. Pomiędzy lasem a chłopami, po pańsku rozstawiwszy muskularne łapy, stał ogromny czarny pies ze słabo świecącymi w mroku oczyma, który pojawił się dosłownie znikąd.

– Dddobry piesek – z krzywym uśmiechem wykrztusił setnik, oglądając się w poszukiwaniu wsparcia, ale kumple tchórzliwie schowali się za jego plecami, rozsądnie zakładając, że zwierzak zeżre najbliższego nieproszonego gościa i może się nim nasyci.

Pies zachłannie wyszczerzył się wszystkimi trzema setkami kłów (sołtys mógł się pomylić w rachunkach o tuzin albo dwa, ale nie miało to wpływu na ogólne wrażenie) i nadal w milczeniu ruszył

z miejsca, okrążając chłopów z boku. Do głębi duszy oburzeni taką podstępnością, zgodnie wrzasnęli, czując niewymowną chęć natychmiastowego znalezienia się gdzieś bardzo daleko, i natychmiast zaczęli ją realizować. Pies rzucał się to z prawej, to z lewej strony. Choć już ze sto razy mógł dziabnąć kogoś za łydkę, nie uległ pokusie, a jedynie sumiennie zaganiał chłopów do dziury w świerkach. A kiedy w końcu szczęśliwie się w niej zmieścili, gwałtownie wyhamował, przysiadł na krótkim ogonie i całkiem po ludzku odetchnął z ulgą.

* * *

Smok przez chwilę skakał po wzgórzu, po czym zrobił przerwę i zaległ naprzeciwko wejścia do celi jak kot przy mysiej dziurze, z irytacją ruszając ogonem i co jakiś czas profilaktycznie dezynfekując korytarz ogniem. Szczyt wzgórza zmienił się w czarną rozpadlinę, ale przekłete ludziki wbiły się w ocalały kącik przy samym wejściu, desperacko kaszlały, ale za nic nie chciały wyjść na świeże powietrze, co złościło smoka jeszcze bardziej.

Zew, który go obudził, stawał się coraz głośniejszy i bardziej wymagający i to właśnie on żądał, by najpierw zniszczyć nieproszonych gości. Wiedźmy znalazły się w niewłaściwym miejscu i czasie i miały za to zapłacić. Za wszelką cenę. Smok rozłożył skrzydła, wygiął szyję i niczym bocian odchylił głowę do samych pleców, po czym wydał z siebie bezdźwięczny pisk, który poruszył liśćmi i został usłyszany wyłącznie przez tego, dla kogo był przeznaczony.

I dokładnie w tej samej chwili na sterzący smoczy tyłek wpadła z rozpędu trójka desperacko wrzeszczących chłopów. Uczestnicy karambolu nie od razu połapali się w sytuacji i przez chwilę tępo patrzyli po sobie, przy czym szokowany taką bezczelnością smok wleciał na prawie zniszczoną samotnię jak panna na widok myszy, a krzyki Gdynia wręcz weszły w tony naddźwiękowe.

Po chwili stwór zrozumiał, że to tylko kolejni włóczędzy sięgają po to, co dla niego najświętsze, z irytacją szcękając zębami i syknąc na nowo przybyłych. Na szczęście wstrząs nerwowy przeszkodził mu w dokładnym celowaniu i ogień przeszedł górą, skupiając się na szczycie pionowo uniesionego wiosła. Przez dobre pół minuty Gdynio i jego towarzysze z powodzeniem imitowali słynny złotolity gobelin „Święty Kanary i dwaj jego uczniowie przynoszą ludziom boski ogień”, zdobiący ścianę głównej świątyni w Starminie, ale już po chwili święty z hukiem oblał zadanie dostarczenia ognia wdzięcznemu pospólstwu, upuszczając wiosło i razem z „uczniami” wiejąc gdzie oczy poniosą.

Shczęśliwie oczy całą trójkę poniosły w różnych kierunkach, więc póki smok szaleńczo kombinował nad kolejnością celów, z pustelni wyskoczyły na wpół uduszone, wymazane ziemią i sadzą dziewczyny. Ruda, kaszląc w zgięcie łokcia, mieczem wskazała przyjaciółce przejście w płocie. Innej drogi ucieczki nie było, ale ta istniejąca niezbyt się zielarce podobała – przed nimi szalał smok, kręcący się dokoła własnej osi jak bąk. Tu i tam mrok już rozświetlały wysokie jężory ognia, ale chłopci biegali znacznie lepiej, niż wiosłowali, więc ucierpiał przeważnie świerkowy żywopłot. Ostatecznie ciemnowłosa zdecydowała się, schyliła i zaczęła na paluszkach obchodzić gada, który wydawał się skupiony na nowo przybyłych. Ruda czujnie go obserwowała, z jakiegoś powodu nie śpiesząc się, by pójść śladem przyjaciółki i wysunąć się na niebezpiecznie otwartą przestrzeń.

Do dziury było już niedaleko, gdy smok gwałtownie, jak gdyby ktoś dał mu kuksańca w bok, zwrócił się ku zielarce długim, wąskim pyskiem z paskudnym grymasem sugerującym, że całe to przedstawienie odbywało się wyłącznie w jednym celu – wywabienia dziewczyn z pustelni.

Zielarka cofnęła się, potknęła i z krótkim okrzykiem upadła na ziemię. Gad tryumfalnie zamachał skrzydłami, rzucił się w jej kierunku... i z przenikliwym rykiem przebiegł obok. Zdumiona wiedźma opuściła rękę, a otoczka niebieskawego światła wchłonęła się z powrotem w jej delikatne palce.

Za smokiem, bez skutku zapierając się wszystkimi czterema łapami, włókł się czarno-rudy pies, który wbił kły w niewielką przerwę między końcówką łuskowatego ogona a jego kolczastym czubkiem. Wyglądało na to, że zarówno strona gryząca, jak i tym bardziej gryziona dalekie były od zachwyty.

Po zatoczeniu dwóch pełnych kręgów dookoła pustelni smok w końcu wpadł na to, by zmienić taktykę, zatrzymał się i wściekle uderzył ogonem o najbliższą brzozę. Pień rozleciał się w pół, szczerze zasypując otoczenie odłamkami. Liściasta korona zdradliwie pochyliła się i z szelestem wylądowała na ziemi. Pies, który teoretycznie powinien dekorować pozostałą część pnia jako malownicza rozgnieciona plama, jakimś cudem utrzymał się na smoczym ogonie, ale po kolejnym wymachu uznał, że starczy tego dobrego. Rozwarł szczęki i z kocią zwinnością wylądował na czterech łapach, po czym z obrzydzeniem potrząsnął łbem, podkulił resztkę ogona i zanurkował w najbliższy korytarzyk.

Sekundę później wpadło tam również trzech pechowych chłopów, którzy ze strachu nie byli w stanie odnaleźć dziury w świerkach, trochę pomiotali się po polanie i ponownie zbili w grupkę.

Smok szczęknął za nimi zębami i tym razem raczej nie chybił – rozległ się chrzęst, rozdzierający duszę wrzask, po czym całe towarzystwo w kupie wylądowało na ziemi.

– Moja noga! – jęczał Gdynio, który znalazł się na górze. – Ten cholernik odgryzł mi nogę! I to jaką! Sam żem ją strugał, dziesięć lat, a jak nowa była!

– Żeby się tak nią udławił... – marzycielsko mruknął sołtys spod chłopca w czerwonej koszuli.

Smok faktycznie niezbyt docenił smak kawałka drewna – z oburzonym rykiem kręcił się w miejscu i drapał pazurami pysk, wyciągając odłamki spomiędzy zębów. Kiedy Gdynio z płaczem oceniał poniesiony uszczerbek, chłop spostrzegł, że straty nie ograniczyły się do nogi – razem z tą mało pożywną kończyną w smoczym żołądku zakończył swoją bytność na ziemskim padole tak bardzo przydatny w gospodarstwie kozi łeb. Po worku, w którym dyndał przy pasie setnika, pozostał tylko nierówno odgryziony wierzch. Chłop nie odważył się jednak o tym głośno poinformować, żywiąc uzasadnione obawy, że setnik urządzi z miejsca prawdziwe piekło na ziemi. Zresztą w tej chwili znacznie więcej obaw budził czarny pies, który jak milczący posąg zastygł przy wejściu. Ale, dzięki Bogom, chwilowo nie zwracał żadnej uwagi na nieproszonych gości, wbijając niemrugające ślepia w panujący w przejściu mrok. Ciemnowłosa zielarka jakoś zdołała się podnieść i utykając, dotarła do płotu, po czym zniknęła w dziurze.

A ruda zdecydowanie wyprostowała się, wysunęła rękę z mieczem i ruszyła smokowi naprzeciw.

* * *

Kolejna, i to znacznie bardziej istotna różnica pomiędzy zielarzem a praktykiem jest taka, że ten drugi nie tylko korzysta z mocy, ale też bezbłędnie wyczuwa wszystkie jej rozbrłoski. Niestety.

Gdy tępy umarłak, który do tej pory radził sobie przy użyciu topornej siły, nagle promieniuje wyjątkowo mocnym, nie wiadomo na co nakierowanym magicznym impulsem, to nie jest to wyłącznie powód do zastanowienia. Jest to powód, by porozmyślać sobie o czymś wyjątkowo paskudnym!

O Welkę mogłam się już nie martwić, nierozłączna trójka schowała się w pustelni... (Jaki leszy ich tu przyniósł?! Czyżby sołtys odnalazł swoje sumienie i zdecydował, że w końcu odpracuje przepite kładnie? No cóż, nie na długo mu starczyło tej chęci do pracy...) Mogłam ruszyć ich śladem, ale, Niestety, pierwotny plan „kto kogo przetrzyma” właśnie stracił na aktualności. Bo jedna rzecz to wzmocnić zakłębieniem sufit i złośliwie śmiać się z bezskutecznie skaczącego po pustelni smoka, a zupełnie inna – co chwilę spodziewać się po nim jakiegoś magicznego świństwa w zamian. Znacznie lepiej było otrzymać je wszystkie hurtem i raz na zawsze zdecydować, kto na tej całej wyspie jest panem. Albo przynajmniej ustalić, co ten pan właśnie przed chwilą zrobił.

Smok z wyraźnym wysiłkiem coś przełknął, odwrócił się w moim kierunku i zamarł ze zdumieniem, czekając na jakąś sztuczkę.

Zbliżałam się. Bezdźwięcznym, ślizgającym się krokiem, którego bezskutecznie próbował nauczyć mnie Len. Oczywiście bezskutecznie na skalę wampira. Ludzie, nawet jeżeli krytykowali moje osiągnięcia, to wyłącznie za lata życia, które odjęło im moje niespodziewane pojawienie się pod samym nosem. Trzydzieści kroków.

Miecz zaczął wyraźnie ciążyć w prawej ręce, ale przerzucenie go do drugiej oznaczało natychmiastowe przerwanie delikatnej, prawie magicznej pajęczyny ciszy w samym sercu burzy. Prawie mogłam słyszeć, jak naciągają się i jedna po drugiej kryształowo pękają jej nici, nie potrafiąc wytrzymać wzrastającego napięcia. Dwadzieścia.

Zresztą mądrzejsze w tej sytuacji byłoby upuszczenie broni. Potrzebowałam wolnej lewej ręki.

Śpiewne słowa układały się w formułę, a ona porastała ciałem zaklęcia, wchłaniając dokładnie odmierzoną moc. W identyczny sposób łucznik wykonuje strzałę – wycina drzewce, przymocowuje ząbkowany grot, dokładnie rozprostowuje pierzysko...

naciąga i zwalnia cięciwę.

Dziesięć.

Mało prawdopodobne, by smok zrozumiał, co dokładnie zrobiłam, ale nawet martwej bestii starczyło zdolności, by poczuć skierowaną przeciwko niej magię. Stwór przypadł do ziemi, rozdziawił pysk i zobaczyłam, jak w jego wilgotnej głębi wrze i rozrasta się w moim kierunku kłębiąca się chmura mgły.

Ale chwilę wcześniej moja strzała znalazła swój cel. A raczej cel przyciągnął strzałę, na moment lśniąco zielonkawym płomyczkiem koło smoczej potylicy.

Opuściłam głowę, zacerpnęłam do płuc tyle powietrza, ile mogłam, i rzuciłam się do przodu. Dookoła mojego ciała karmazynowym kokonem zawrzał smoczy płomień.

Jeżeli on zdąży zrobić drugi wydech, to ja nie zdążę w ogóle nic.

Nie miałam żadnej możliwości dojrzeć, gdzie kończy się ten nieprzenikniony potok ognia i zaczyna właściwy smok, więc mogłam tylko na oko ocenić ilość kroków, by z rozpędu nie przeskoczyć potwora na wylot.

W ostatniej chwili gwałtownie skręciłam w bok, obiema rękoma złapałam rogowe narośle na smoczym policzku, po czym jednym desperackim ruchem wskoczyłam na łuskowatą szyję. „Salamandra” zmieniła się w dymiący popiół, który równą warstwą pokrywał mnie od stóp do głów. O dziwo, wybrane miejsce okazało się dosyć wygodne, a nawet przytulne – jednej z plastyn grzebienia brakło, dwie sąsiednie pełniły rolę przedniego i tylnego łęku, stopy natrafiły na sterczące łuski, które imitowały strzemiona. Stwór promieniował ledwie zauważalnym tchnieniem rozkładu, już dawno powinien albo coś przekąsić, albo wrócić do jeziora i nasiąknąć mocą magiczną.

Tymczasem ze zdumieniem patrzył na puste miejsce przed swoim pyskiem, a nawet na wszelki wypadek pacnął je przednią łapą. Potem poczuł, że coś nie gra, wykręcił szyję i podskoczył z oburzeniem. Ze złośliwie rozbawionym wyrazem twarzy pomachałam do niego w odpowiedzi. Smoka to bynajmniej nie ucieszyło. Podskoczył na wysokość sążnia i zaczął miotać się po polanie jak mysz na rozżarzonej patelni. Nie mógł złapać mnie łapami, nie sięgał ogonem ani nie mógł pluć ogniem pod takim kątem. Ale kto powiedział, że nie próbował?!

Nie zwracałam sobie głowy takimi drobiazgami i w pośpiechu oglądałam jego potylicę. Gdzieś tutaj, może trochę wyżej i na lewo... Aha!

Cztery spore kryształy wielkości małego palca, zebrane przy użyciu oprawki w coś w rodzaju kwiatu z brakującym jednym płatkim. Prawie zlewały się z łuskami, ale od czasu do czasu nienatrętnie pulsowały niebieskawym światłem. Szafiry? Turkusy? Uniosłam się w „strzemionach” i prawie mogłam

sięgnąć ich ręką. Ale w tym momencie smok trzepnął skrzydłami i uniosł się w powietrze. Nie zaskoczył mnie specjalnie. Parę razy miałam okazję przejechać się na smoku – co prawda tamten zabierał mnie na przejażdżkę z własnej woli i nie próbował strząsnąć. Siedząc wierzchem na czymś tak dużym, człowiek czuje się znacznie bezpieczniejszy niż na przykład w czasie lotu na miotle. Poza tym wykluczone są wszystkie manewry z jaskółczą szybkością. Tak więc wstrząsy w locie wręcz się zmniejszyły, a rozmyte skrzydła i mrok skryły przed moim wzrokiem uciekającą ziemię.

Ale moja ręka zamarła, nie dotykając celu. Leszy go wie co to za amulet! Może zostało na niego nałożone zaklęcie chroniące przed podobnymi mnie mądralami?

Albo, co gorsza, to właśnie on nie pozwalał smokowi w pokoju spoczywać na dnie jeziora zgodnie z aksjomatem Oleszera? I gad natychmiast skorzysta z okazji, by zanurkować tam z niewiadomo jakiej wysokości?

Jeszcze jeden rozbłysk energii. Ale dochodzący skądś z zewnątrz. Zewnątrz krawędzie kamieni załśniły jaskrawo, świetliste prążki zbiegły się i zostały wessane do środka amuletu.

Smok zadrżał. Wstrząsy ustały, stwór zawisł w powietrzu, miarowo unosząc i opuszczając skrzydła. Powoli odwrócił głowę w moim kierunku, po czym z zimną pogardą zmrużył koszmarne inteligentne oczy.

„Wiedzmo, to znowu ty! Jak ja mam cię dosyć...”

Nawet nie zdążyłam się zdziwić, czując, jak pomiędzy nami zaczyna zagęszczać się magia – potężna, mroczna i zła. Smoki z definicji były odporne na czary, więc równie dobrze mogłam w tej chwili machać na niego ręką z okrzykiem: „A kysz!”.

Bez większego namysłu złapałam amulet i szarpnęłam z całej siły. Ozdóbka wyszła nadspodziewanie lekko, po pierwszym pociągnięciu – cienka szpila z czarnego metalu, długa na jakieś dwie piędzi. Oparzyła mi dłoń, a w następnej sekundzie zrobiła się zimniejsza niż lód.

Zapach rozkładu gwałtownie się nasilił.

Cudzy rozum z nienawiścią i desperacją miotał się w martwym ciele, ale nie potrafił utrzymać go wyłącznie siłą woli.

Ślepią smoka zgasły. Wygiął się w konwulsjach, prawie zginając wpool, po czym sflaczał i runął w dół, równocześnie przewracając się na grzbiet. Uznałam, że nie mam ochoty dłużej dotrzymywać mu towarzystwa, ani tym bardziej dawać powodu do ubolewań w stylu: „A tutaj to nam smok wiedźmę rozgniół na placek, tak że jej w końcu nie odkopaliśmy!”. Zaparłam się nogami, po czym z całych sił odepchnęłam i skoczyłam gdzieś w bok. Cios trafił mnie w lewą skroń. Gdyby zadała go ziemia, a nie woda, kwestia mego ślubu rozwiązałyby się samoistnie. A tak to „tylko” pociemniało mi w oczach, chrupnęło w szyi i z przerażeniem poczułam, że tracę przytomność.

Nie pamiętam, jak wypłynęłam i dotarłam do brzegu, ale ostatecznie doszłam do siebie już na lądzie. Tuż obok siedział czarny przysadzisty pies. Z jego podbródka i oklapłych koniuszków uszu kapąca woda. Zwierzak złapał moje względnie sensowne spojrzenie, po czym niespodziewanie otworzył pysk w wypełnionym językiem uśmiechu, zerwał się na łapy i z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku ruszył w kierunku wody. Zatrzymał się na brzegu jeziora, westchnął z rozkoszą, opuścił pysk do wody i... zaczął bezdźwięcznie ściekać do niej, przeistaczając się w czarnego śliskiego stwora.

Odźwierny powrócił na swoje właściwe miejsce.

Uniosłam do oczu rękę z nadal zaciśniętym w pięści amuletem i przyjrzałam mu się z nerwowym śmiechem. Jednego kamienia brakowało, w oprawie pozostało puste miejsce z rozgiętymi ząbkami i mogłam przysiąc, że to właśnie zagubiony kamień odpowiadał za bezdźwięczny wylot smoka z jeziora. Mag miał sporo szczęścia, że miejscowi byli tak bardzo skąpi, bo w przeciwnym wypadku jego twór już dawno zostałby znaleziony i zniszczony.

– Jesteś cała?! – Welka padła na kolana koło mojego prawdopodobnie żywego ciała.

– Tttak – potwierdziłam niepewnie, niespecjalnie śpiesząc się z tym, by poruszyć się i przekonać, że nie mam racji. Smok nie trafił do jeziora i rozplasnął się na krawędzi wzgórze, z jednym skrzydłem podwiniętym, a drugim bezwolnie zwisającym z brzegu pustelni. – Weluś, obiecaj mi coś...

– Co? – odezwała się zielarka gorliwie, pomagając mi usiąść.

– Gdy następnym razem będziesz miała ochotę na wykopywanie tych swoich łopianów, pójdziemy po nie na głuchy, bezludny i wypełniony strzygami cmentarz... tęsknię do łatwej i spokojnej pracy!

* * *

Sołtys pewnie i po gospodarsku obszedł smoka dookoła. Z namysłem kopnął butem oklapły bok, uprzednio upewniwszy się, że pomiędzy nim a smoczym łbem znajdują się inni kandydaci do usmażenia – zielarka z solidnym kamieniem w ręku, która przyklękała przy rozdziawionym pysku, i ruda wiedźma, w świetle magicznego ognika badająca jakiś klejnocik z kamyczkami. Pewnie ukradła ze smoczych zapasów pomyślał sołtys z zazdrością. Trzeba się ich stąd możliwie szybko pozbyć, póki jeszcze czego nie zabrali. Smoki są bardzo gospodarne, ale wiedźmy jeszcze zachłanniej! Zielarka odłożyła kamień, wyprostowała się i z wysiłkiem zarzuciła na ramię tego wypchaną torbę.

– Cóż, Wolho, zawiązką zapracowałaś na swoje dwadzieścia kładni! Prawda, panie sołtysie?

– Jakie kładnie? – sztucznie zdziwił się chłop. – A poza tym to co do tego ma wiedźma? Tak trochę nam pomogła... przy okazji. Czyż nie, chłopcy? Gdynio i chłop w czerwonym niezgodnie zaczęli kiwać głowami i mrużyć. Zielarka zachłusnęła się z oburzeniem.

– A w takim razie co wy do tego macie, hę?

– Znaczą się przecież smok, tego, no... – Sołtys w skupieniu poruszył szarymi komórkami i załsnął z radości. – Zeżarł kozi łeb, a ten mu rogami stanął w poprzek gardła i znaczą się gad umarł był!

– A wy mówiliście, że się nie nada... – dodał Gdynio. Zielarka rzuciła mu tak „kochające” spojrzenie, że setnik, skacząc na jednej nodze, pośpiesznie schował się za szerokimi plecami okrytymi czerwoną koszulą.

– Ach, wy oszuści jedni! Już ja wam...

Ale wiedźma bez najmniejszego wahania wsadziła błyskotkę do kieszeni, pociągnęła przyjaciółkę za rękaw i pokręciła głową.

– Weluś, daj spokój, nawet nie bardzo miałam ochotę za jakieś marne dwadzieścia kładni... Jakby mi dawali sześćdziesiąt, tobym się jeszcze zastanowiła! Zielarkę i chłopów jednakowo zatkało. Jako żywo bzika dostała, z przestachem, ale równocześnie ulgą pomyślał sołtys.

– Czyli, znaczą się... tego... my pójdziemy wiązać tratwę – Gdynio spróbował rozładować napiętą atmosferę. – Akurat przed świtem zdążymy... – I prosząco dodał: – Szczególnie jak jej wiedźmia mość trochę poczaruje... przy okazji.

– Nie ma problemu. – Wiedźma ze stoickim spokojem wzruszyła ramionami.

Zielarka dalej patrzyła na nią z otwartymi ustami.

– Może trzeba jej było dać chociaż parę monet? – niepewnie wymruczał pod nosem sumienny chłop, boczkim przełaząc przez wypaloną przez smoka dziurę w zaroślach.

– Przecie łeb to ona zdobyła, a poza tym patrzcie, jak ją smok podpiekł, gorzej od mrakobiesa wygląda!

– Może damy – miłościwie zgodził się sołtys. – A wy we wsi nie mielcie jęzorami za bardzo, jutro rano tu wrócimy, pogrzebiemy bosakami po dnie, to pewnie wyciągniemy smocze dziedzictwo. I wtedy to możemy być szczerzy i wiedźmie odżałować jakiego srebrnika! Woda w jeziorze uniosła się

i połaskotała brzegi falami. Ale jak zawsze milczała.

* * *

– Wolha, co cię naszło?! – wsiadła na mnie Welka, gdy trójka chłopów znikła z pola widzenia.

W zamyśleniu oglądałam swoje dłonie, krwawiące i podrapane smoczą łuską. Szyja mnie bolała, w skaleczonej skroni pulsowała krew... Pewnie będzie siniak na cały policzek.

– Weluś, możesz to zaleczyć? Głowa mnie boli koszmarnie, nijak nie mogę się skupić...

– Oczywiście – zawstydziła się zielarka, sięgając po torbę. – Ale... Wolha, czy ty im tak po prostu darujesz?!

Przecież oni teraz przez cały rok będą chodzić po wsi jak bohaterowie i opowiadać wszystkim, jak to gołymi rękoma pokonali smoka i oszukali wiedźmę!

– Welko... – W końcu podniosłam oczy na przyjaciółkę i rozplynęłam się w szerokim uśmiechu, który z trudem powstrzymywałam przez ostatnie pięć minut. – Dwadzieścia kładni nie jest warte tego, by brać na siebie odpowiedzialność za przemianowanie wsi na Wielkie Smrodzisko. A sześćdziesiąt sami nam przyniosą jeszcze przed jutrzejszym wieczorem albo ja nie jestem naczelną wiedźmą Dogewy! Gwarantuję ci, że tak „sprzyjającego” wiatru i aromatycznego smoka ta wieś jeszcze nie widziała ani nie wahała...

Rozdział trzeci

Wiedźmosprzedawcy

Czasem prościej jest zabić człowieka, niż wyjaśnić, dlaczego ci się nie podoba!

Powiedzenie przypisywane świętemu Fendułowi

Shadaelle zanurzyła pióro w kałamarzu, przez chwilę patrzyła na zbierającą się na czubku kroplę i nie strząsaając jej, poczekała, aż sama spadnie z powrotem. Skrupulatnie, delektując się samym procesem, narysowała ostatnią runę i zakończyła ją delikatnym podkreśleniem, przypominającym rysunek wstęgi driadzkiej tancerki. Przysypała pergamin drobnym rzeczonym piaskiem. Po chwili strząsnęła go i jeszcze pomachała arkuszem w powietrzu, trzymając za narożnik dwoma paznokietkami z doskonałym manicure, by niesamowicie ważny rachunek zaświadczejący o sprzedaży imć Zagłydze Klucikowi dwóch wozów mąki i worka cukru klonowego w całości i bezpiecznie dotarł do grubej księgi przychodów i rozchodów, po czym spoczął w niej do skończenia świata.

Elfka zupełnie się nie śpieszyła, a księgowością zajęła się po prostu z nudów. Wynajęto ją w całkiem innym celu.

Dziewczyna odchyliła się na oparcie krzesła i prowokująco położyła na biurku idealne nogi w pantoflach na tak wysokich obcasach, że przy odrobinie chęci można ich było użyć w charakterze mieczy. By chodzić w takim czymś po bruku, trzeba było być elfką, driadą lub ewentualnie wampirzycą. Wielbicielki mody z rasy ludzkiej ku radości gawiedzi klinowały się w pierwszej napotkanej szczelinie pomiędzy kocimi łbami, a kuszące falowanie biodrami powodowało, że upodabniały się do żab skaczących z kopczyka na kopczyk.

Biuro zajmowało się handlem niewielkich partii wszystkiego po trochu, zaczynając od węgla drzewnego i kończąc na elgarskich diamentach. Co prawda z tymi ostatnimi pojawił się niewielki problem: szef wziął zadatek, obiecał, że już przed końcem zeszłego miesiąca obsypie klienta klejnotami, ale z powodu kiepskiej pogody wysłana w góry karawana dopiero co ruszyła w drogę powrotną. I już od dwóch tygodni jakieś ponure typki z owiniętymi skórą lagami regularnie wpadały do biura bynajmniej nie w sprawie zakupu gryczanej kaszy. Wyjątkowo „miłymi” (tak, że po grzbiecie ciarki latały) głosami pytali o właściciela, który przewidująco przeniósł się do rodziny. Shadaelle niewinnie mrugała ogromnymi szmaragdowymi oczyma, bezradnie rozkładała ręce i delikatnym gardłowym głosem pytała, w czym może panom klientom pomóc. „Panowie” patrzyli na czarującą srebrnowłosą ślicznotkę, rozpaczliwie przełykali ślinę, zniżali głos i obiecywali, że „wpadną później”. Za głos i oczy dopłacano jej dodatkowo, ponieważ Shadaelle tak samo wspaniale potrafiła miotać z nich błyskawice i wrzeszczeć nie gorzej od harpii, domagając się od szefa podwyżki.

Ciche, ale natarczywe brzęknięcie przypomniało dziewczynie o jej właściwych obowiązkach. Elfka bez wstawania, z gracją przeciągającej się kotki wyjęła lewą nogę z buta i przesunęła nią nad telepatofonem. Błogo zmrużyła oczy, odbierając napływające obrazy, po czym skinęła głową z zadowoleniem. No, w końcu! Pełnomocnik właściciela, który towarzyszył karawanie, obiecał, że połączy się z biurem, gdy tylko dotrą do Witiagu. Może Shadaelle i nie miała specjalnie dobrych wyników w magii, ale posiadała dyplom ukończenia Szkoły Magii (Wydział Wróżbiarstwa, kierunek Telepatia), więc nawet nie dotykając przyrządu, mogła bez trudu określić, od kogo pochodził sygnał. A doskonale znała telepatę z Witiagu – ostatecznie kiedyś uczyli się na jednym roku.

No i co dobrego mi powiesz? Jednym płynnym ruchem elfka zabrała nogi z biurka i sięgnęła po obręcz komunikacyjną.

* * *

Mimo wczesnej godziny i paskudnej zawilgłej pogody tłum gapiów koło ratusza nie chciał się rozproszyć. Trzech posępnych czarodziejów – bezbarwny typek o nieprzyjemnym rybim spojrzeniu i dwóch chłopaczków pomocników zbierali talizmany, które kompletnie do niczego się nie przydały, i dokładnie zacierali nakreślony na ziemi pentagram, żeby jakiś kretyn nie wpadł przypadkiem na to, by powtórzyć dopiero co przeprowadzony przez nich rytuał. Żarty żartami, ale w pentagramie mogły zachować się resztki mocy, w zupełności wystarczające do zrobienia jakiegoś głupiego kawału. Na przykład wysadzenia ratusza.

Niestety, rozebranie wieży po kamyczku było prostsze niż wyjaśnienie, co zaszło w niej dwie godziny temu.

Rozczochrana i zaryczana gruba gospodyni już po raz dziesiąty i ciesząc się tak samo wielkim powodzeniem u słuchaczy, powtarzała swoją opowieść, „przypominając sobie” kolejne koszmarnie szczegóły, jak zachlapany krwią sufit, złowieszczo skrzypiące okiennice I przemykający za oknem cień („i to na drugim piętrze!”).

Mag tylko krzywił się z pogardą. Tak naprawdę baba nie widziała nic a nic – od chwili gdy jego kolega otrzymał wywołanie telepoczty (sądząc z niedbale rzuconych słów, bardzo ważne i długo wyczekiwane) i wysłał ją po herbatę, do chwili gdy wróciła z ową herbatą i znalazła na podłodze nienaturalnie skrzyżowanego trupa. Dwóch strażników, groźnie pokrzykujących na szybko rozstępujących się ludzi, wyniosło na noszach przykryte derką ciało. Na bezwładnie zwisającej ręce, przekreślonej karmazynowym paskiem krwi, połyskiwał srebrny pierścień z jaspisem. A raczej tym, co zostało po kamieniu – zielonkawą obwódka z zakopconą dziurą na środku.

– Panowie poczekają.

Strażnicy posłusznie się zatrzymali. Mag podszedł do noszy, schylił się i ściągnął pierścień. W zamyśleniu obrócił go w rękach i rzucił do pomocnika: – To również.

Chłopak skinął głową, otworzył inkrustowaną bursztynem szkatułkę i rzucił zepsuty amulet na kupkę zebranych wcześniej przedmiotów.

Może to jakoś pomoże Konwentowi Magów. Ale nie warto było żywić większych nadziei. Jeżeli psu stróżującemu nie udało się złapać świeżego śladu, to mało prawdopodobne, by nawet specjalnie wyuczony tropiciel zdołał wykryć stary.

* * *

Ptak o ostrym dziobie i purpurowych oczach prześlizgnął się nad wierzchołkami drzew jak nóż rzucony ręką zawodowca. Wąskie skrzydła trzepotały jak u ważki, rozmyte w mgiełkę po bokach ciała. Jakiś jastrząb nastroszył się, ale ograniczył do odprowadzenia gościa spojrzeniem, bez ruszania się z własnej gałęzi. Takiego to ghyr dogonisz. A nawet jeśli, to co dalej?

Ptak nie przejął się wzorem z dziwnych wież i budowli za wysokim ogrodzeniem, który wyrósł na jego drodze. Nie zmniejszając prędkości, posłaniec przeleciał wprost przez kolorowy witraż w strzelistym oknie i zanim Ksander zdołał dokładnie go obejrzeć, rozpląnął się w siwy kłęb dymu o zapachu liliowych perfum.

Na biurku wylądował malutki zwój z pieczęcią w kolorze czekolady.

Arcymag skrzywił się z niezadowoleniem. Burknął:

– Pozerka... przecież telepoczta jest o tyle szybsza. – I wyciągnął rękę po zwój, który posłusznie poturlał się w jego kierunku.

Od razu rozpoznał drobne pismo Gatiany, bakałarza trzeciego stopnia. Ale wbrew jej zwyczajom rządki run podskakiwały i nerwowo zaginały się do dołu, jak gdyby zwykle chorobliwie wręcz pedantyczna czarodziejka pisała w ogromnym pośpiechu, położywszy arkusz na pierwszej lepszej powierzchni. Po drugiej stronie pergaminu jaśniały kredowe plamy.

W miarę czytania krzaczaste brwi arcymaga powoli pełzły do góry, póki prawie nie zetknęły się z włosami. Zapominając o godności, stary mag poderwał się z miejsca, z łoskotem przewracając krzesło. Szybko, obiema rękoma nakreślił w powietrzu skomplikowany znak.

Nie minęło nawet pięć sekund, gdy powietrze na środku pokoju zwinęło się w lśniący lej, który chwilę później falą iskier opadł do stóp Almita.

– ... raz wróć i tylko spróbujcie ściągać! – zakończył lekko dymiący bakałarz już w gabinecie dyrektora. Pytając spojrzął na szefa, a ten bez słowa podał mu list. Bardziej emocjonalny Almit nie ograniczył się wyłącznie do uniesionych brwi.

– Że co?! Ale to po prostu nie może być! A co z polami ochronnymi? Wbudowanymi talizmanami? W ostateczności własnymi blokadami?!

– Promień rażenia wynosi dwadzieścia wiorst – bezlitośnie powtórzył dyrektor Szkoły Magii, Wróżbiarstwa i Zielarstwa, jak gdyby próbując przekonać samego siebie, że nie jest to jakiś zły sen. – Siła oddziaływania zwiększała się od obrzeży ku środkowi, dwóch telepatów z Kamieńca zginęło na miejscu, jeden bezpowrotnie utracił moc, elfka z Herynu i jeszcze kilka osób pomdłało lub dostało krwotoków z nosa. I to wszyscy równocześnie. Szczęście w nieszczęściu, że dookoła są lasy i pustkowia, bo ofiar mogłoby być znacznie więcej.

– Ale przecież to oznacza...

– Dokładnie tak. Gatiana próbuje się z nimi połączyć, ale na razie bez skutku. Dolina jest zamknięta dla odwiedzających i na skutek anomalii naturalnych nie możemy wysłać tam posłańca. Naczelną wiedźmą już od kilku miesięcy nie jest obecna w miejscu pracy i nie mamy pojęcia, gdzie się znajduje.

– Myśli pan, że to znowu... – Arcymag i bakałarz rozumieli się w pół słowa, co bynajmniej ich nie cieszyło.

– Na to wygląda. – Ksander westchnął i gwałtownie polecił: – Natychmiast zwołujemy Radę Konwentu!

* * *

– I oto tamoj właśnie ono siedzi, skarbenku! – kategorycznie ogłosiła babinka, końcem krzywej laski wskazując dziurę w ziemi o szerokości dłoni. – Niech się pochyli i spojrzysz lepiej!

Ze zmęczeniem schyliłam się, mimo że z poprzedniej pozycji również doskonale widziałam na wpół zasypaną norę, otoczoną kolorowym kurzem pierzem.

– Niżej, niżej! – Laska wymagająco stuknęła o moje plecy, prawie że rzucając mnie na kolana przed tylną ścianą kurnika. – I co? Siedzi?

– Niczego tam nie ma – zameldowałam zmęczonym głosem.

Znalezienie pokoju dzień przed Świętem Ostatniego Kłosa, na które zjeżdżają się tłumy ludzi z całej Belorii i Winessy, bynajmniej nie było łatwe. I jeśli już umówiłaś się, że zapłacisz za nocleg swoją wiedźmią pracą, to, niestety, musisz prezentować aktywną działalność. A przynajmniej nie ziewać aż tak ostentacyjnie.

– A jak ręką pomaca?

– Dlaczego w takim razie pani sama nie włoży tam ręki? – odgryzłam się, nie wytrzymując.

– No przecie wkładałam! – Babinka dumnie okazała mi zabandażowany palec, rozmiarem i kształtem jako żywo przypominający dorodną gruszkę. – A ono mnie jak nie dziabnie! Spiesznie cofnęłam rękę i wyprostowałam się.

– Oj, nie, uwierzę pani na słowo... znaczy się na palec. I czym w takim razie pani zdaniem jest owo „coś”?

– Stryg to jest! – uroczyście ogłosiła babinka.

Westchnęłam. Wiejska klasyfikacja potworów nieco się różniła od ogólnie przyjętej magicznej i składała się z trzech gatunków: „stryg”, „wąpierz” oraz „cusik takie zębate”.

– Widziała go pani chociaż?

– A co ja mam na niego patrzeć?! – z oburzeniem zaskrzeczała starowina. – Otoć one biedaczki już się naoglądały!

Z diagnozą trudno było się nie zgodzić. Piętnaście zimnych tuszek ułożonych w rzędki na trawie bezgłośnie żądało pomsty. Nastroszony kogut smętnie kontemplował umarłe z dachu niskiej, pochylonej szopki. Jedyne pióro w jego ogonie chyliło się ze smutkiem. Wyraźnie nie zamierzał natomiast robić za świadka w obecności wiedźmy. Nie żebym takowego potrzebowała. Kuna albo fretka – zabawiły się, udusiły wszystkie kury, po czym odgryzły i zabrały wyłącznie głowy. W nocy zwierzak na pewno wróci po coś świeżego. Przy innej okazji na pewno poradziłabym babce, by postawiła przy dziurze myśliwskie wnyki i nie robiła z siebie idiotki, ale robiło się ciemno, kapał deszcz i wiał przenikliwy wiatr, a w gospodzie żądali za nocleg pięciu kładni z trzech, które miałam przy sobie.

Tak więc z namysłem pokręciłam głową, cmoknęłam ze smutkiem i wlałam do kurnika w celu odbycia nocnego dyżuru, a babka uroczyście zamknęła za mną drzwi na zewnętrzny haczyk.

Skrzywiłam nos, odruchowym gestem wyczarowałam pulsar i rozejrzałam się. Od wewnątrz kurnik okazał się nieoczekiwanie spory, pewnie przerobiony z chlewu albo stajni. Do sufitu drabinką wznosiły się oblepione kurzem pomiotem grzędy, obok nich stało wymoszczone świeżą słomą koryto – dla niosek. Za przepierzeniem przyjacielsko chrząkały uszate świny, pchające ryjki w szczeliny pomiędzy deskami. Solidnie pachniało kurami i jeszcze solidniej – cennym naturalnym nawozem. No cóż, nie do końca o takim noclegu marzyłam przez ostatni tydzień podróży po lasach, w nieprzerwanym deszczu, którego nie było nawet sensu odpędzać czarami, bo chmury zakryły całe niebo na dziesiątki wiorst dookoła. No dobrze, ale to tak czy siak jedna noc, a potem trzy dni święta i całe tegoroczne siano do mojej dyspozycji! Mogłam nawet urządzić orgię w towarzystwie Smółki!

Usiadłam na korycie, dokładniej owijając się skórzaną kurtką. Z przeciwległego kąta chmurnie łytał kogut, nieprzekonany, że nadaje się na nioskę. Po słomianym dachu szurały krople – to mocniej, to słabiej, ale nie cichnąc nawet na chwilę. Jeżeli tak dalej pójdzie, to sołtys z Opadyszcz będzie musiał nurkować po ten swój Ostatni Kłos – bo to właśnie do niego należał honor ucięcia ostatniego ździebełka, specjalnie zostawionego w tym celu na środku pola.

„Trzy tygodnie po Aernatenna!” – groźnie powiedziała naczelna zielarka Dogewy na pożegnanie. Wampiry również obchodziły to święto, mimo że nazywały je inaczej. W zamyśleniu spojrzałam na zaręczynowy pierścionek. Złoty, ciężki, piękny... bezduszny. Rodowy pierścień rodziny Shaeonell, który przede mną nosiły dziesiątki szlachetnych i niesamowicie pięknych wampirzyc wysokiego rodu. Znacznie bardziej na miejscu wyglądałby na Lereenie. Dlaczego Len mi go oddał? Dlaczego go wzięłam?! Kompletnie nie nadawałam się na królewską małżonkę i kiedyś to zrozumie... o ile już nie zrozumiał.

– Tak, oświadczył mi się – oficjalnie, uroczyście i arcyuprzejmie, w obecności Kelli i starszych,

po czym oboje odetchnęliśmy z ulgą i spokojnie wróciliśmy do zwykłych przyjacielskich stosunków. Len zajmował się swoimi obowiązkami władcy, a ja wiedźmami, czasami znikając na drogach albo w Starminie na całe tygodnie i pod kierunkiem mistrza pisząc i broniąc prace w celu uzyskania tytułu bakałarza czwartego, a teraz już trzeciego stopnia. W Dogewie również nie miałam czasu się nudzić – czasem dziwiło mnie, jakim cudem dolina przez tyle lat obydwała się bez magii?! Co rano pod gankiem ustawiała się kolejka cierpiących z bolącymi zębami, brzuchami i krzyżami, na której czele niezmiennie znajdował się Kaiel. Następnie przychodziła kolej na problemy dnia codziennego, takie jak wygnanie bezczelnych myszy ze spiżarni, zaczarowanie dachu przed przeciekaniem, wywołanie deszczu nad wędną rzepą czy utworzenie zjawiskowego stracha na wróble na polu pszenicy (ten ostatni okazał się na tyle skuteczny, że bez oglądania się do tyłu uciekały przed nim nie tylko wrony, ale też przypadkowi przechodnie). Nawet stroniąca od ludzi Kella nabrała zwyczaju wciągania mnie do pracy przy przygotowywaniu wywarów, które przy magicznej pomocy naciągały kilka razy szybciej.

Zostawały nam nieliczne wolne wieczory i w ich trakcie z trudem mogliśmy, jak to mawiała zielarka, „kalać się wyczynami niegodnymi władcy i naczelnej wiedźmy”, czyli na wyścigi z dzikimi wrzaskami przegalopować po nocnej Dogewie i do świtu siedzieć koło ogniska, wymieniając się opowieściami, podziwiając gwiazdy i zajadając się pieczonymi ziemniakami, które bez pytania wykopaliśmy na najbliższym polu. I wszystko było wprost doskonale, póki nie spadł na nas ten po trzykroć przeklęty ślub...

Potrząsnęłam głową, odganiając chmurne myśli. Trzeba przyznać, że wyjątkowo pomocne w tym zajęciu okazało się zwierzątko, które bezgłośnie wychynęło z dziury i zastygło zaledwie krok od niej.

Nie, nie była to fretka. Zresztą kunę wielbiciel kur również przypominał wyłącznie rozmiarami – był wielkości dużego kota. Poza tym kompletnie nie przejmował się unoszącym się pod sufitem pulsarem. Po bokach zaostrego pyszczka drżały pęki wibrysów, które na przemian wydłużały się do kilku werszków, po czym w jednej chwili wciągały z powrotem. Na uniesionej przedniej łapce z namysłem szczękały pazurki.

Zdarzało się, że w czasie szczególnie mroźnej i głodnej zimy stwory te łączyły się w stada liczące setki osobników – i wtedy nawet wilki schodziły im z drogi. Ale samotny, dobrze odżywiony egzemplarz był niebezpieczny może dla dwuletniego dziecka, tak więc nie śpieszyłam się z reakcją, podpuszczając go bliżej. Niestety, nie istniały żadne sensowne zaklęcia przeciwko temu paskudztwu – dokładnie tak samo jak nie istniały żadne stuprocentowo skuteczne trucizny przeciwko ich pośledniejszym krewnikom. Oba gatunki natychmiast dostosowywały się do dowolnych warunków, jadły wszystko, co się trafiło, i psuły resztę, co jak łatwo zgadnąć, nie zachwycało ludzi.

Chytre koraliki oczu prześliznęły się po mnie szybkim spojrzeniem, ale szczurołak chyba nie uznał mojej skromnej osoby za godnego przeciwnika, ponieważ szczęknął zębami i rzucił się wprost na koguta.

Nie spodziewałam się takiej bezczelności i musiałam błyskawicznie skoczyć na nogi, w trakcie wyciągając miecz. Niestety, pośliznęłam się na kurzych odchodach i z zadartymi nogami spadłam z powrotem w koryto, utykając w nim na dobre. Biedny ptak z wyciągniętą szyją rzucił się do ucieczki wzdłuż ściany, hałaśliwie trzepocząc skrzydłami, na przemian podskakując i podlatując na wysokość łokcia czy dwóch.

Zawyłam ze złości i rzuciłam się tak, że koryto pękło na dwie połówki, a słoma poleciała do samej powały. Szczurołak chyba nie był specjalnie głodny i z zachwytem dołączył do zabawy, poszczekując zębami przy łysawym kuprze ofiary, zmuszając, by z desperackim gdakaniem podfrunęła o kolejny łokieć, a następnie zostając z tyłu. Za nim, potrząsając wyciągniętym mieczem, biegłam ja, ale, niestety, nie byłam dość szybka – po piątym czy szóstym okrążeniu zostałam dogoniona przez koguta, który próbował schować się na mojej głowie, ale się ześlizgnął, z szokującą dokładnością zamienił moją fryzurę

w brudne i pokryte pierzem gniazdo, po czym sturlał się po plecach. Stwór bez większego namysłu skoczył za nim, jak wiewiórka rozczapierzając łapy w locie i wyciągając w strunę długi, pokryty łuskami ogon.

Odrzuciłam włosy z twarzy, wyplułam pióro i poczęstowałam nieproszonego gościa łokciem w nos. Uszyta w Smrodzisku kurtka z honorem wytrzymała próbę. W kwestii srebrnych ćwieków krawiec również nie oszukał. Oczywiście mało prawdopodobne, by użył metalu wysokiej próby, ale dla moich celów w zupełności wystarczał również techniczny.

Srebrne kolce równocześnie ukłuły i oparzyły drapieżnika, który z piskiem obrócił się w powietrzu i upadł na grzbiet. Niestety, nie zdążyłam sięgnąć go butem – paskuda podskoczyła jak na sprężynie, wbiegła po pionowej ścianie, na chwilę zawisała na suficie, obnażając ostre przednie zęby w przenikliwym syku, po czym z miejsca, na ukos przez połowę kurnika skoczyła do dziury. Odruchowo machnęłam za nią mieczem, ale oczywiście nie zdążyłam. Ostrze z rozczarowaniem zawibrowało i zgasło.

– No przepraszam – rzuciłam. – W końcu nie jestem świętą. A gdzie ten parszywy ptak?!

Kogut odnalazł się nad moją głową, na najwyższej grzędzie. Tak nastroszony i nieszczęśliwy, że cała moja złość wyparowała w jednej chwili.

A niech to leszy, przecież się ani razu nawet nie całowaliśmy... – pomyślałam smętnie, z irytacją pakując miecz do pochwy. Narzeczona władcy Dogewy powinna w oczekiwaniu na ślub skakać z radości, mierzyć suknię, wybierać fryzurę, rozsyłać osobiście wypisane zaproszenia i nie zajmować się niczym cięższym od haftowania rytualnych gaci dla narzeczonego na noc poślubną, żeby nie daj Boże nie złamać paznokcia przed uroczystością czy nie zafundować sobie siniaka pod okiem... A ja zamiast tego siedzę tutaj po kolana w... Rzuciłam kogutowi mordercze spojrzenie. On odpowiedział mi tak samo nieprzyjawnym. Najgorsze było to, że cała ta sytuacja jak najbardziej mnie urządziła!

* * *

Święto Ostatniego Kłosa obchodzono pod koniec lata, gdy akurat przypadał wolny tydzień po zakończeniu żniw, a jeszcze przed rozpoczęciem zbierania ziemniaków. Nie miało dokładnej daty, w trakcie gorącego lata odbywało się wcześniej, a w razie deszczowego – później. W Winessie i w Belorii świętowano je równocześnie, z towarzyszeniem powszechnych festynów i zabaw.

Wieś Opadyszcz leżała równiutko na granicy owych sławetnych państw, tak więc na jej wschodnim krańcu mieszkańcy jeszcze mówili po belorsku, ale na zachodnim już na całego sypali winesskimi słówkami. Szybko zrozumiałam też, że kompletnie nie zależało to od miejsca zamieszkania – wystarczyło, by którykolwiek chłop przeciął niewidoczną linię naprzeciwko studni i już odruchowo przechodził na odpowiedni język.

W okolicach studni znajdowała się również karczma, celnie nazwana „Złotym Środkiem”. Określenie języka, w którym mówiono wewnątrz, okazało się kompletnie niemożliwe: belorski, winesski, trolli, orczy i elfi splatały się w jeden dziwaczny dialekt, który – o dziwo! – był zrozumiały dla wszystkich. A przynajmniej karczmarz potrafił prawidłowo zinterpretować nawet niewyraźne muczenie i palec wskazujący kufel – o ile oczywiście w drugiej ręce klienta połyskiwała moneta.

I to właśnie tam się kierowałam. Zła, niewyspana, głodna, brudna i śmierdząca kurzem gnojem. Prawdziwa wiedźma! Szczurołak nie ponowił próby dostania się do kurnika, ale czatował gdzieś w pobliżu (o czym sumiennie meldował mi impuls poszukiwawczy). Przeczekiwał, aż się wyniosę, żeby bez problemów kontynuować imprezę. Zabezpieczyłam przejście, ale wygryzienie nowego, mając do dyspozycji jego zęby i pazury, wymagało ledwo co paru godzin. A wbiegnięcie po zewnętrznej ścianie

do dziury pod dachem było jeszcze prostsze. I byłam pewna, że stwór nie uspokoi się, póki z czystej złościwosci tudziez zamiłowania do polowań nie wykończy całej tutejszej kurzej populacji, w tej chwili reprezentowanej przez osobę (a nawet osobistość) samotnego koguta.

Gdyby moja babinka posiadała złego psa, to problem dawałby się rozwiązać bardzo łatwo: wystarczyło zamknąć go w kurniku i szcurołak miałby zapewnione radosne powitanie. Nawet jeśli udałoby mu się wyrwać, to już nigdy więcej by nie wrócił. Ale ludźmi te stwory po prostu gardziły. Przed świtem w końcu zniknął, ale każdy głupi by zrozumiał, że o zmroku wróci, by ponownie spróbować szczęścia. Deszcz, który nad ranem wydawał się uspokajać, ponownie zawisł w powietrzu siwym obłokiem tylko trochę grubszym od zwykłej mgły. Narzuciłam kaptur i wsadziłam ręce do kieszeni. Niestety, radzenie sobie bez dachu nad głową odpadało, a póki nie zademonstruję babce zimnego trupa „stryga”, nie miałam nawet co liczyć na wygodne siano. Oczywiście mogłam bez pytania przenocować w jakimś stogu, ale byłam pewna, że wszystkie zostały już wynajęte przyjezdnym za odpowiednią opłatą. Poza tym nie bardzo chciałam się przyznawać, że ja, wiedźma, nie poradziłam sobie z jakimś drobnym ogoniastym paskudztwem.

Drogę przecięło mi psie wesele: mała, nastroszona ruda kundlica o czarującym pyszczku, obwisłych uszach i z kudłatą miotełką ogona, za którą podążało z pół tuzina przerażających psisk różnych kolorów i gabarytów. „Narzeczona” co rusz nerwowo zerknęła do tyłu, wzdrygała się niepewnie: „Oni wszyscy do mnie?!”, ale z jakiegoś powodu nie zamierzała salwować się ucieczką. Psy łapały jej oceniające spojrzenia, szczyrzyły się z zachwytem i zawzięcie machały ogonami, próbując zrobić na damie jak najlepsze wrażenie.

Niech to leszy, a ja uciekałam na złamanie karku przed jednym narzeczonym! Z zazdrością spojrzałam za psami. One nie musiały porzucić ukochanej pracy w imię „ogniska domowego”, a nawet nie przejmowały się szczegółami w rodzaju „rasowy” – „kundel”.

Mimo kiepskiej pogody ulica wypełniona była ludźmi w nastroju znacznie lepszym od mojego. Pierwszy dzień Święta Ostatniego Kłosa był jedynie wprowadzeniem do jego głównych wydarzeń, które następowały dnia drugiego. I miałam kilka przyczyn, by chcieć spędzić go właśnie w Opadyszczach: po pierwsze, od setek lat, jeszcze nawet przed powstaniem Winessy i Belorii, w dniu Święta Ostatniego Kłosa odbywały się tu ogromne jarmarki. Po drugie, handlowano na nich bez uwzględnienia opłat celnych. „A za co niby mam płacić? – oburzali się kupcy demonstracyjnie. – Za to, że przewiozłem z jednego krańca wsi na drugi wóz z marchewką?!” Zresztą podatek za handel uiszczali w pełnej wysokości, więc monarchowie obu krajów krzywili się, ale patrzyli na jarmarki w Opadyszczach przez palce – tak czy siak, wносиły one do skarbcza zauważalne dochody.

A prosty lud mawiał, że jeżeli nie udało ci się kupić czegoś na jarmarku w Opadyszczach, to znaczy, że owo coś po prostu nie istnieje. Po trzecie natomiast (ale bynajmniej nie był to powód ostatni!), miałam ochotę obejrzeć, jak wschodnia i zachodnia część wsi tradycyjnie spróbują ustalić, kto w nadchodzącym roku będzie wypasał krowy na łące pomiędzy dwoma lasami. Owa delikatna kwestia rozwiązywana była w sposób bardzo prosty – „my” kontra „oni”, przy czym udział w owym szlachetnym przedsięwzięciu mógł wziąć każdy chętny. Mało tego, mieszkańcy wsi składali się, by wynająć prawdziwych wojowników, którzy stali w pierwszych szeregach w na wszelki wypadek głębiej nasuniętych hełmach, potrzęsali tępyimi mieczami i rozgrywali zacieklą bitwę, malowniczo kładąc wrogów pokotem jednym ciosem lub przeciwnie – artystycznie umierając.

Sporna łąka nie miała żadnych szczególnych właściwości, mało tego, stado w Opadyszczach również od dawna było wspólne, ale o tradycje trzeba dbać, a poza tym to wielka przyjemność – spotkać przy studni sąsiadkę z drugiej części wsi i uroczyście poinformować ją: „A łączka w tym roku znowu nasza!”

Zamyśliłam się, przyspieszyłam kroku, nie patrząc przed siebie, i natychmiast wpadłam na ogromnego

trolla, który z zaskoczenia wypuścił nadgryzioną gruszkę.

– Ty patrz, gdzie leziesz, ślepa chwybo! – ryknął z wściekłością, odwracając się w moim kierunku. I już znacznie bardziej przyjaźnie dodał: – Foczko, czy tobie kto lagą przyłożył po łbie? Nie chcesz przypadkiem, żeby klin klinem?

– A zaryzykujesz zdrowiem? – Uśmiechnęłam się, wyciągając rękę z kieszeni. Wal z całego serca chrupnął moimi kostkami i wyszczerzył się z zadowoleniem, kiedy z jękiem zaczęłam nią machać. To po to wojownicy przed walką wymieniają uścisk dłoni – chcą pozbawić przeciwnika możliwości trzymania miecza w ogóle, nie wspominając już o aktywnym machaniu!

– Foczko, wiesz mi dwa miedziaki. – Troll ze smutkiem spojrzał do rynsztoku z brudną wodą, którym powoli odpływała jego gruszka.

– Nie ma problemu. Zaraz wypiszę ci weksel, pójdziesz do władcy Dogewy i dostaniesz gotówkę z mojej przyszłej wypłaty.

Wal chyba wyobraził sobie wyraz twarzy Lena na widok takiego rachunku, bo wyraz jego własnej zrobił się znacznie mniej radosny. Wyciągnięcie od samego trolla nawet miedziaka było zadaniem niewykonalnym. Z drugiej strony bardzo szanował też podobną cechę u innych istot, więc skomplikowanego życzenia, bym udławiła się ową niesamowitą sumą, wysłuchałam z niemałym zainteresowaniem i przyjemnością.

– A co powiesz na coś solidniejszego? – zaproponowałam, wskazując pobliską karczmę.

– Ano chodźmy – zgodnie kiwnął głową najemnik. – Mają tu całkiem porządne piwo, z Warokczy. Wczoraj próbowałem, chyba nawet nie rozcieńczają!

– Wolę kwas – rzuciłam szybko.

Ja i Wal często mieliśmy okazję trafić na siebie na drogach, a nawet pracować w duecie, więc przypadkowe spotkanie niezbyt mnie zdziwiło. To właśnie on skusił mnie na wizytę w Opadyszczach. Sam regularnie brał udział w bojach z okazji święta po stronie Winessan lub Belorczyków – zależnie od tego, która strona więcej płaciła. Dziwne tylko, że tym razem był sam, bo zwykle najemnicy przyjeżdżali na tak gościnne imprezy w hałaśliwych grupach, które zresztą tak samo łatwo kłóciły się pomiędzy sobą i rozpadały.

Otworzyłam drzwi i odskoczyłam do tyłu. Karczma wypełniona była ludźmi, a do stolików ledwo co dawało się dotrzeć, nie wspominając już o siadaniu. Chyba większość przyjezdnych akurat uznała, że zje tu śniadanie, a patrząc na pogodę, również obiad, zabijając czas rozmowami i napitkiem.

– Foczka, czego tam, śpisz? – Wal bez ceregieli szturchnął mnie w plecy, zmuszając do przestąpienia progu.

– Tylko po co? I tak nie ma wolnych miejsc.

– Jak to nie ma? – szczerze zdumiał się troll. Zrobił krok w kierunku najbliższego stolika, złapał siedzącego tam krasnoluda za kołnierz, uniósł go w powietrze, wskazał palcem zwolnione krzesło, po czym całkiem uprzejmie zapytał – Te, broda, czy to miejsce jest wolne? Niziołek skwapliwie pokiwał głową, machając nogami w powietrzu.

– Widzisz, foczko, nie trzeba się krępować, tylko pytać! – opiekuńczo podsumował troll, uwalniając krasnoluda. Jego towarzysze zgodnie doszli do wniosku, że już dość czasu spędzili w tym gościnnym przybytku, więc stolik dla czterech osób znalazł się do naszej pełnej dyspozycji.

W karczmie wesoło płonął kominek, tak więc zaczęłam od zdjęcia i wytrząśnięcia kurtki, a potem rzuciłam ją razem z torbą na sąsiednie krzesło.

– Foczko, kto cię tak urządził? – ze zdumieniem gwizdnął troll, oceniając długie zadrapania na skórze kurtki, które miejscami przechodziły w dziury sięgające do podszewki.

– Kogut mnie podeptał – odpowiedziałam bez namysłu.

Przez kilka chwil Wal bez zrozumienia gapił się na mnie, a następnie wybuchnął takim rechotem, że ponieważ zrozumiałam swój błąd. Dlaczego nie przyszło mi do głowy, by zwalić to na coś bardziej krwiożerczego?!

– No, foczka, dawaj szczegóły! Chyba nie mam do Dogewy aż tak daleko, a myślę, że tamtejszy władca będzie bardzo ciekaw, co to za koguty tak tańczą po jego narzeczonej!

– Nie mów, że wynajęli cię do śledzenia mojej skromnej osoby – nie wytrzymałam i odgryzłam się trochę zbyt chamsko.

– Yhym – ze stoickim spokojem potwierdził troll. – I tak się przywlokłem za tobą przez pół Belorii!

Koło nas w pytającym półukłonie pochylił się właściciel karczmy. Przyjęte było płacenie awansem, więc odliczyłam mu pięć monet, a przy okazji wysypałam na stół całą zawartość swojej sakiewki w celu dokonania rewizji. No cóż, niewiele tego było – miedź na połę ze srebrem i jeden złoty kładzień.

– Coś, foczko, kiepsko czarujesz – złośliwie zauważył troll, dokładając swoją dolę.

– Ostatnimi czasy ciężko o pracę – przyznałam z westchnieniem. – Co prawda wczoraj jacyś chłopcy za dużo wypili na stypie i próbowali mi wepchnąć dziesięć kładni za podniesienie z mogiły powodu imprezy, czyli teścia niedoszłych klientów. Niby „coby z nami posiedział był dla towarzystwa, popatrzył, jak my tu po nim rozpaczamy...”, ale takimi bzdurami się nie zajmuję.

– U mnie też nic. Co prawda wczoraj mnie najęli, żeby posiekał jedną taką parszywą babę... – Przyjaźnie uśmiechnięta dziewczyna przyniosła nasze zamówienie i głos trolla, który w końcu dostał do ręki piwo, utonął w zachwyconym bulgotaniu.

– Kogo? – spytałam z roztargnieniem, rzucając się na smażone grzyby w śmietanie. O ile Wal od wczorajszego wieczora nie miał w ustach nawet kropli, o tyle ja nawet okruszka.

Troll, z zadowoleniem mrużąc oczy, odstawił do połowy pusty kufel i bez ceregieli beknął wprost w moją twarz.

– Ciebie.

Borowiczek okazał się wcale nie gorszy od niejednego psiego grzyba i trafił nie w to gardło. Wal podniósł się, przechylił przez stół i usłużnie poklepał mnie po plecach. – Że coo?! – wychrypiałam w końcu, uciekając spod łapy najemnika, który właśnie się rozkręcał. – I ty się zgodziłeś?!

– Foczko, no coś ty?! – obraził się. – Oczywiście, że nie!

Pozwoliłam sobie na westchnienie ulgi. Troll przysunął bliżej talerz z parującymi ziemniakami i z oburzeniem dodał:

– To dopiero trzeba bezczelności, żeby proponować mi głupie czterdzieści kładni za maga bojowego! Ale tak czy siak, powiedziałem, że się zastanowię...

– Wal, zaraz sama cię zabiję – poinformowałam go z pasją. – Za darmo i w imię starej przyjaźni!

Najemnik spokojnie odłamał kawałek wspólnego, leżącego na środku stołu bochenka i zabrał się do jedzenia, uprzednio wykonawszy konieczne czynności sanitarno-higieniczne, czyli wytarłszy ręce o spodnie.

– Wiesz no, pomyślałem sobie – zagadnął z pełnymi ustami – że może razem pociągniemy tę sprawę?

– Ja dostarczam trupa, a ty pośrednictwo? – wyzłościłam się.

– Można przecież nie całego – „pocieszył” mnie troll. – Wystarczy jakaś charakterystyczna część!

Popukałam się w czoło palcem, ale Wal zinterpretował ten gest opacznie, z ciekawością zerkając na moją głowę. Spiesznie opuściłam rękę.

– Ręka też się nada! – zapewnił mnie zachłannie. – Szczególnie tamta, z pierścionkiem. A tak przy okazji, jego też mi bardzo dokładnie opisali...

– Kto? – Odruchowo przekręciłam pierścionek na rękę, odwracając go pieczętką do wewnątrz.

– Kusiło mnie, żeby odsunąć mu kaptur, ale obawiam się, że to oznaczałoby natychmiastowe zerwanie

negocjacji – prychnął troll. – Foczko, czego ty się tak rzucasz? Pożyczysz mi pierścionek, wykopiemy na cmentarzu jakąś w miarę świeżą babę, odetniemy jej rękę, oddamy klientowi, podzielimy się kasą, a potem sprawdzimy, gdzie ją wyrzuci, i zgarniemy z powrotem!

W chwili obecnej grzybki wydawały się już znacznie mniej kuszące. Demonstracyjnie zacisnęłam rękę z pierścionkiem w pięść i z chmurnym wyrazem twarzy wpakowałam ją pod nos trolla, żeby nawet nie marzył.

– Jak on wyglądał, chociażby z grubsza?

– Facet, średniego wzrostu, w długim płaszczu z pasem, jak dajnowie mają, tylko że czarnym. Bardzo mi wyglądał na czarodzieja i zwyczajnie też miał odpowiednio paskudne – głos cichy, przenikliwy, ruchy płynne, ale ghyr, a nie dają się prześledzić. – Wal w zamyśleniu pobektał resztki piwa w kuflu i dodał: – I chyba się z nim kręciła jeszcze dwójka typków, tylko tak bardziej z dala. Udawali, że gadają pomiędzy sobą, a cały czas zerkali w naszym kierunku.

– Poznasz ich, jak jeszcze raz zobaczysz?

– Też pytanie! – prychnął obrażony najemnik. – Co ja twoim zdaniem robię od samego rana? Próbuję znaleźć tych dhurów, tyle że chwilowo bez skutku. Pewnie gdzieś się schowali, nie chcą się pojawiać przy ludziach...

– Chcesz ich poinformować, że się zgadzasz? – rzuciłam z ironią.

– Poinformować ich to mogę i tak, zrobili aluzję, że jutro sami do mnie podejda. Nie, chciałem sprawdzić, gdzie się zatrzymali. Nie lubię pracować na ślepo: załatwisz delikwenta, a klient znika, jakby go nigdy nie było! I co miałbym wtedy robić z tą twoją głową?! Chyba tylko wysłać do niedoszedłego narzeczonego, dołożywszy do niej wszelakie kondolencje, niechaj se przywiesi na pamiątkę w salonie nad kominkiem...

– Wal!!!

– Oj, daj spokój, już zażartować nie można? – Troll ze stoickim spokojem na przemian korzystał z uroków napitku i zakąski. – Foczko, luzik, ja nie sprzedaję partnerów!

– Chyba że ci kto zapłaci – stwierdziłam z rezygnacją. – Ale dlaczego od razu za nimi nie poszedłeś?

– Nie dali mi – przyznał najemnik. – Zawodowcy, ghyr hatt ich w dropkę! Póki czarodziej nie zniknął mi z oczu, nie ruszyli z miejsca, a potem się rozeszli w różne strony. Ja też nie jestem jakiś smarkaty gblich, żeby iść za kimś jednym – na bank po pięciu minutach bym oberwał po łbie od tyłu. Jestem pewien, że pilnowali się nawzajem i ponownie zebrali. A poza tym do tych wampirów i tak się nie podkradniesz...

Tego tylko brakowało! Czyżby znowu udajce?! Nie było żadnych gwarancji, że wyłapaliśmy w Arlissie wszystkie metamorfy, a one miały na mnie nawet nie długie zęby, tylko trzy szeregi kłów! Ale po wydarzeniach sprzed dwóch lat wszystkie belorskie wsie zostały obwieszane amuletami ochronnymi, więc udajce nie odważą się zbliżyć do nich na odległość wiorsty. Poza tym co to za głupia historia z czterdziestoma kładniami?! Znacznie prostsze było przejęcie ciała mojego dobrego znajomego, wywabienie mnie gdzieś na ugór i niespodziewane poczęstowanie sztyletem pod żebro.

– Wampiry?! Jesteś pewien?

– Jeden na pewno. Wpakował się w krzaczory, a tam nawet gałązka nie drgnęła! – zauważył troll z mieszanką pretensji i zachwyty.

– Może elf? – zasugerowałam z nieśmiałą nadzieją.

– A po grzyba by ci elf brodę kleił? Tym bardziej że brązowych oczu wśród nich też nie za dużo znajdziesz. – Wal na chwilę zamilkł, a potem dodał już całkiem poważnie: – Foczko, a jesteś pewna, że biała suknia, w której pragną cię zobaczyć w Dogewie, ma być właśnie ślubna?

– Co ty sugerujesz?! Troll skrzywił się:

– Foczko, ty to masz przez ten cały ślub coś z głową. Nie mam na myśli twojej kochanej strzygi, mimo że na jego miejscu to nie marnowałbym kasy na najemników, tylko osobiście cię udusił. Ale komuś solidnie zalazłaś za skórę. Jestem pewien, że te typki wiedzą, czyją narzeczoną jesteś. I nadal są gotowe wyskoczyć z kasy za powód do otarcia skąpej wampirzej łzy.

– Ale przecież to wcale nie oznacza, że są z Dogewy! – oburzyłam się. – Mało to komu pokrzyżowałaś plany?! Poza tym przecież im do ust nie zaglądałeś. Może to żadne wampiry! Albo półwampiry, które w ogóle robią sobie, co chcą. Słuchaj, skoro mają tak wielką ochotę na moją głowę, to chyba nie będą mieli nic przeciwko, jak dostaną resztę do kompletu? Bo w takim razie mogę osobiście im doręczyć! Troll z powątpiewaniem pokręcił głową, ale mimo wszystko obiecał:

– Gdy tylko się pojawią, od razu na ciebie zagwiżdżę. Ale honorarium dzielimy na pół!

– Możesz nawet zabrać całe! – rzuciłam ze złością, dopijając kwas.

Wal zajrzał do swojego próżnego już kufła, mruknął pochlebnie i pokazał mi wypalony na dnie napis „Wypij jeszcze!”. Nie mieliśmy się gdzie śpieszyć, więc skorzystaliśmy z dobrej rady. Najemnik jako pierwszy rzucił monetę karczmarzowi i ten bez wchodzenia w szczegóły odliczył mu resztę z dwóch kufli, mimo że przedtem płaciliśmy każde za siebie. Troll sapnął z pretensją, ale, o dziwo, nie skomentował. W zamyśleniu włożyłam do ust ostatni grzybek, prawie nie czując jego smaku. Odrzuciłam głowę do tyłu, dopijając resztki kwasu, ale natychmiast zakrztusiłam się i spiesznie odstawiłam kufel na bok. Po belce stropowej (w karczmie brakowało strychu) powoli, lecz pewnie kroczył szary ogoniasty stwór, głodnym wzrokiem popatrując na wiszący pod sufitem warkocz z czosnku i kłosów pszenicy. Mało prawdopodobne, by miał ochotę na coś pikantnego czy mącznego, więc jego ostatecznym celem najpewniej był półmisek z pasztecikami, który służąca bezmyślnie postawiła na ladzie pod samym warkoczem.

Wal prześledził spojrzenie moich drapieżnie zmrużonych oczu i bez zrozumienia prychnął. Co w tym dziwnego, w dzielnicach biedoty te stwory jak koty kręciły się pod nogami nawet w biały dzień!

– A to jest mój klient! – wyjaśniłam z ponurą satysfakcją.

Szczurołak dotarł do krzyża belek z pionową podporą, spróbował obejść ją brzegiem, ale nie utrzymał się i ześlizgnął po drewnie. Niestety, nie spadł, ale tak samo spokojnie kontynuował podróż spodnią stroną belki.

Co prawda w karczmie nie było przyjęte ni z gruszki, ni z pietruszki walić bojowymi pulsarami, ale grzech rezygnować z takiej możliwości! Spróbowałam ukształtować minimalny zlepek mocy, nie pozwalając jej zmienić się w światło. Jeszcze tylko brakowało podpalić albo w ogóle zrzucić dach tego szacownego przybytku! Samonaprowadzający przy takiej odległości nie miał szans, ale cel był spory, a ja nie miałam powodów, by skarżyć się na wzrok.

Wal wstrzymał oddech i odchylony na oparcie krzesła z ciekawością podziwiał proces.

Sam bez najmniejszego problemu zdjąłby szczurołaka jednym rzutem noża albo nawet i kufła, ale nie miał najmniejszego zamiaru pomagać wiedźmie bez jej prośby (a raczej obietnicy podzielenia się honorarium).

Położyłam łokieć na stole i poruszyłam ręką, celując. Gwałtownie, jak gdyby wypuszczając na wolność trzepoczącego w połączonych palcach motyla, otworzyłam pięść.

Albo szczurołak coś wyczuł, albo po prostu znudziło mu się wiszenie głową w dół, w każdym razie jednym skokiem przeniósł się na czosnkowy warkocz, który zakołysał się gwałtownie. Zakląłam półgłosem. Pulsar, nie znalazłszy celu, prześlizgnął się wzdłuż belki, ścinając ozdóbkę z czosnku u nasady, więc wraz z wiszącym szczurołakiem wylądowała wprost na pasztecikach.

Gdy w karczmie ni z tego, ni z owego zaczynają gwizdać pulsary, przynajmniej połowa zebranych przestaje melancholijnie poruszać szczękami i wykaże zainteresowanie. Ale gdy następnie z góry spada

wielki szary stwór i rozlega się desperacki pisk służącej, która akurat złapała za półmisek, jest to sposób na zapewnienie sobie uwagi wszystkich zebranych!

Szczurołak położył uszy po sobie, wbił zęby w najbliższy pasztecik i długim susem przeniósł się na ścianę, przewracając półmisek. Tam również długo nie posiedział, bo na widok takiej bezczelności nie tylko wiedźma zapomniała o przyzwoitości. W belki z łoskotem uderzyło koło tuzina wszelakich noży – od delikatnej elfiej „pszczołki”

długości dłoni do ciężkiego orczego jataganu. Drugie tyle sromotnie spadło na podłogę. Stwór majtnął ogonem, zwinnie prześlizgnął się pomiędzy płotem z ostrzy, zeskoczył na ziemię, chwilę pokręcił się pomiędzy bezsensownie tupiącymi nogami, po czym zniknął w kocim przejściu pod drzwiami i tyle go widzieliśmy.

– Cóż, foczko, czterdzieści kładni może wcale nie być aż tak obraźliwą sumą – wyszczerzył się troll.

– Ty również nie trafiłeś – odgryzłam się.

– A płacili mi za to? – odbił piłeczkę najemnik i poszedł wyciągać sztylet. W karczmie powoli wracał spokój. Służąca zebrała leżące na podłodze paszteciki i podmiotła resztki półmiska. Gospodarz z sapaniem wlaź na szynkwias – zawiesić skróconą ozdobę. Troll wdał się w pogawędkę z jakimś znajomym, a ja nie czekałam na jego powrót – machnęłam ręką na pożegnanie, narzuciłam kurtkę i wyszłam na zewnątrz. Niebo nadal było równomiernie szare, ale chyba lekko pojaśniało. Przynajmniej deszcz ustał.

W głowie cały czas kręciły mi się rzucone przez Wala słowa. Co rusz wyobrażałam sobie starszych, Kellę czy z jakiegoś powodu Kaiela, którzy ukryci w mroku, pod kapturami i zmieniwszy głos do nosowego szeptu, zgadywali się z jakimiś zbirami. Nie no, doprawdy, co za bzdury, przecież to właśnie oni nie chcieli, bym wyjeżdżała z Dogewy! Ale w takim razie kto? I za co?! Za plecami usłyszałam delikatne kasłanie.

– Panna widzma, ja tak rozumię?

Nie odpowiadając, gwałtownie obróciłam się na pięcie, zmuszając mówiącego do cofnięcia się z przestrachem i udzielenia nieco mętnego wyjaśnienia:

– Ja to sam jestem głowa w Opadyszczach, Ołdej Pochlebatko. A dokładniej, to winesskiej ich części. Porządku w ij baczę, więc honory też na mene. Widziałem, jak pani w karczmie czaruwała, to pomyślałam, że trzebać podejść, poznać się... W zamyśleniu obejrzałam szczupłego, wąsatego chłopinę, próbując ustalić, gdzie dokładnie trzyma ów honor – w łapciach, wysokiej czapce, zwężonych ku dołowi spodniach, czy może długiej koszuli, przepasanej tradycyjnym szerokim czerwonym winesskim pasem z frędzlami.

– Wolha. No to już się znamy. Bardzo mi miło. Co dalej?

Chłop ponownie zakasłał i widząc, że nie jestem w nastroju do długiej i namiętnej rozmowy o pogodzie, od razu złapał byka za rogi:

– Mene wirni ludzie doniosły, że Belorczy się znaczy maga do sebe do drużyny zabewbuwały. Ta win, pis jeden, za dziesięć kładni obiecał, że taką zabawę winesskim urządzi, że my niby i w trzydzień portków nie odpierzem. No to ja pomyślał: a my w czym gorsze?! Czy może dziesięć kładni na tak garną sprawę nie naskrobiemy? Co? – Sołtys prosząco zajrzał mi w oczy.

– W zasadzie to ja również jestem Belorką.

Tak naprawdę potrzebowałam wyłącznie dobrego powodu do odmowy. Jakoś nie wypada, by bakałarz magii praktycznej rozdrabniał się na jarmarczne sztuczki. Ale z drugiej strony... gdy człowiek nie ma w kieszeni nawet dwóch kładni, nie ma też specjalnego wyboru. Oczywiście mogłam wrócić do Dogewy – szczęśliwie miałam do niej półtora dnia jazdy – i zażądać swojej wiedźmiej wypłaty za trzy miesiące (krępowałam się tak po prostu prosić Lena o pieniądze, nawet bez tego żyłam w dolinie na piękne oczy

i to nie licząc podarunków od wdzięcznych klientów!). Oczywiście natychmiast ją otrzymam, ale zostanę, również w trybie natychmiastowym, zmuszona do odpracowania zaległych spraw. A potem Kella wciągnie mnie do przygotowań przedślubnych i żegnajcie ostatnie trzy tygodnie wolnego życia. O nie, lepsze dziesięć kładni tutaj niż setka tam!

– Nu ta czo? – zdumiał się Ołdej i niespodziewanie kontynuował w czystym belorskim:

– Mój rodzony brat to w ogóle mieszka na tej połowie wsi, a zrzuca się na naszą, o ile się oczywiście dzień przed nie pokłócimy. I pozostali też tak robią, w końcu wieś jedna i każdy każdemu swojak!

Obejrzałam się i pojęłam, że zostawiliśmy z tyłu stojącą na środku wsi studnię, mijając potrzebną mi uliczkę. Musiałam się cofnąć.

– A czego konkretnie chcecie ode mnie?

– To panna wiedźma sama lepiej wie. Niech ich postraszy jakoś tak straszniej, pobłyska piorunami, jaką iluzję rzuci... cob się znakuje zasyczało, zajękało ta zagwyzdało! – Witnessanin mimiką i gestami zademonstrował wymagany zakres koszmarów, który miał zmusić wojsko nieprzyjaciela do wstydlivej ucieczki.

Zasłuchałam się, ponownie minęłam przecznicę ze studnią, po czym uznałam, że już nie będę ryzykować, i zatrzymałam się. Omówiliśmy pewne sprawy organizacyjne i rozstaliśmy się, oboje całkiem zadowoleni.

Ołdej nie skąpił, dał mi trzy kładnie awansem i nawet zrobił aluzję co do możliwej premii. Ja z kolei obiecałam, że zapewnię Belorczykom przynajmniej miesiąc prania gaci.

No dobra, teraz mogłam zabrać się do spraw poważnych. W końcu trafiłam na właściwą drogę i wraz z hałaśliwym tłumem minęłam bramę jarmarku.

* * *

Targ w Opadyszczach istotnie robił wrażenie. Nieskończone rzędy straganów zdawały się ciągnąć po horyzont, dookoła stały wozy hurtowników. Bliżej wejścia handlowano owocami i warzywami, dalej widziałam ostre czubki namiotów z wyrobami rzemieślniczymi.

Miałam zamiar wyminąć rzędy z jedzeniem, ale zatrzymałam się oczarowana stosami jaskrawoczerwonych wineskich jabłek. Jak to zwykle bywa, najtańsze i najładniejsze owoce miała handlarka wyglądająca na najmniej uczciwą. Przez kilka minut, niewinnie patrząc sobie w oczy i przy wtórce oburzonego skrzywienia wagi, ustalałyśmy, co zwycięży – magia czy przywiązany do szali wagi sznurek. Zwyciężyła zgoda, czyli zapłaciłam za rzeczywistą wagę. Wrzuciłam jabłka do torby i ruszyłam dalej, ale nagle idący przede mną tragarz potknął się o psa i z barwnymi komentarzami rozciągnął na środku drogi, zasiewając ją brzoskwiniami z upuszczonego kosza. Oczywiście ludzie w te pędy ruszyli do zbierania, po czym wtrącił się właściciel owoców, a chwilę potem – dwaj pilnujący porządku strażnicy, którzy jeszcze wzmogli ogólny zamęt.

Nie czekając, aż droga się zwolni, boczkiem precyzyjnie przesuwałam się pomiędzy dwoma straganami i ruszyłam sąsiednim przejściem. Pod nogami chrzęściły skorupy orzechów, nad głową z ćwierkaniem przefrunęło stadko wróbli. Tłum kupujących powoli pełznął wzdłuż kramów, ciągnąc mnie ze sobą. Wszyscy oglądali towary, prócz jednej dziewczyny, która jak słup zastygła na środku przejścia i dlatego mocno wyróżniała się z otoczenia. Wydawała się nie zauważać szturchańców i przekleństw, w skupieniu wypatrując kogoś na sąsiedniej uliczce. Nawet stanęła na czubkach palców, na chwilę odwracając się do mnie zadziwiająco znajomym profilem. Rozpłynęłam się w radosnym uśmiechu i zaczęłam intensywnie przepychać do przodu, wywołując tym nie mniejsze oburzenie otoczenia, aż w końcu znalazłam się wprost za jej plecami.

– Cześć, Orsana!

Jej reakcja była, łagodnie mówiąc, osobliwa. Przyjaciółka wzdrygnęła się i przysiadła w kucki, jakbym nie pociągnęła jej lekko i żartobliwie za warkocz, tylko niespodziewanie wydarła się do ucha, waląc po głowie wypchanym workiem. Ostatecznie odwróciła się z wyrazem tak nieudawanego przerażenia na twarzy, że spiesznie obejrzałam się przez ramię, nie rozumiejąc, co ją tak wystraszyło.

– W-wolha...? – z trudem wykrztusiła Orsana, krzywiąc wargi w wymuszonym uśmiechu. – Szo ty tu robisz?!

W tym momencie zrozumiałam, że to „gorące” powitanie przeznaczone było właśnie dla mnie. Wojowniczką dostrzegła zagubiony i zachmurzony wyraz mojej twarzy i pośpiesznie, jak gdyby bojąc się, że sobie pójdę, złapała mnie za rękaw, z wysiłkiem spróbowała uśmiechnąć się bardziej przyjaźnie i zaczęła nieskładnie tłumaczyć:

– Wolho, przepraszam, wcale nie chciałam cię obrazić! Po prostu nie oczekiwałam, że cię tu zobaczę, myślałam... – Orsana urwała i zmieszała się jeszcze bardziej. – Co?

– Ze cię tu nie zobaczę! – dokończyła całkiem bez sensu, po czym nagle rozpląnęła się w uśmiechu i z radosnym wrzaskiem złapała mnie w objęcia. – Wolho, jak ja się cieszę, że cię widzę!

Przestałam rozumieć cokolwiek i odruchowo zamknęłam ją w objęciach. O ile wiedziałam, mając dopiero dwadzieścia cztery lata, Orsana zdołała już awansować na setnika i dopiero się rozkręcała, zachwycając tym tak samo wojowniczego ojca. Co w takim razie robiła w Opadyszczach, skoro w liście sprzed miesiąca chwaliła się, że właśnie jej setce powierzono ochronę pałacu królewskiego na czas balu z okazji święta?! No dobrze, była to całkiem wątpliwa przyjemność, ale za to jaki honor!

– Orsano, co się stało? – Zdecydowanie się uwolniłam, złapałam przyjaciółkę za ramiona i pytająco zajrzałam jej w oczy. A raczej spróbowałam.

– Nic – zaprzeczyła szybko, umykając wzrokiem. W tym momencie zrozumiałam, że się nie przyzna, nawet gdybym pocięła ją na kawałeczki.

Kolejna nieprzyjemna niespodzianka – na szyi setniczki wisiał jakiś amulet chroniący ją przed telepatią. I to całkiem niezły, szpiegowski. Oczywiście przy odrobinie wysiłku spokojnie bym go pokonała, fundując solidny ból głowy sobie i jej, ale z niezauważalnego czytania w myślach nici. Zareagował nawet na próbę sondowania – lekko zawibrował, zmuszając dziewczynę, by odruchowo przycisnęła go ręką przez kurtkę.

– Orsano, czy ty dołączyłaś do tajnego wywiadu?!

– Nie, coś ty! – oburzyła się przyjaciółka ucieszona z faktu, że może uczciwie odpowiedzieć przynajmniej na jedno pytanie. – Jestem tu... w sprawach osobistych.

– Rozumiem. – Wzruszyłam ramionami i udałam, że mam zamiar ją wyminąć. – Szkoda, że jesteś taka zajęta... sprawami osobistymi. Ale to nic, innym razem sobie porozmawiamy...

– Nie no, coś ty! – Orsana uczepiła się mojego łokcia z taką samą gorącą szczerością, z jaką pięć minut temu marzyła, by znaleźć się ode mnie możliwie jak najdalej. – Przyjechałam na świętowanie, bawić się i tylko ucieszę się z towarzystwa, tym bliższy twojego!

Nie mam pojęcia, co konkretnie miała na myśli jako „zabawę”, ale na nierzucającym się w oczy podróznym ubraniu miała srebrzystą kolczugę, potem i krwią... tfu, miotłą i szmatą zdobytą w smoczym legowisku. Zza lewego ramienia wyglądała rękojeść miecza o identycznym pochodzeniu, a zza prawego – kołczan wypełniony strzałami. Wzdłuż biodra dwiema delikatnymi krzywiznami rysował się przypięty do pasa łuk ze zdjętą cięciwą.

Z dziewczyną wyraźnie źle się działo i oczywiście nie miałam najmniejszego zamiaru porzucać jej w tym stanie. No dobrze, jak będzie chciała, to opowie, a jak nie, to wcześniej czy później sprawa sama wypłynie.

- Czekasz na kogoś? – spytałam na wszelki wypadek.
- Nie. – Znowu zrobiła się czujniejsza. – Tak... rozglądałam się dookoła.
- Coś ciekawego dojrzałaś?
- Nie. I wszystko mi jedno, gdzie iść, jeśli to masz na myśli.

Powoli rozmowa zaczęła się kleić. Orsana starannie omijała temat swojej obecności w Opadyszczach, ale na pozostałe pytania odpowiadała chętnie. Zjadłyśmy po drożdżówce ze śliwkami, wymieniliśmy tradycyjne plotki o królach, ona opowiedziała kilka historyjek z legionu, a ja wiedźmich. Oczywiście ostatecznie rozmowa i tak skręciła w kierunku nadchodzącego ślubu.

– Wolho, do wesela masz tylko trzy tygodnie, może powinnaś wrócić do Dogewy i sama zająć się przygotowaniami? – powiedziała Orsana nieoczekiwanie poważnie i troskliwie. – Pewnie Len też się martwi, gdzie się podziewasz... Teraz nadeszła moja kolej, by milczeć.

– Nie kochasz go?

Z pretensją kopnęłam ogryzek, który akurat trafił się na drodze, i z westchnieniem przyznałam:

– Kocham, naprawdę. Wydaje mi się, że coraz bardziej z każdym mijającym dniem... I właśnie o to chodzi. Nie chcę wszystkiego zepsuć tym durnym ślubem!

– Głupoty! – oburzyła się Orsana. – Mój tatko to mamę nadal na rękach nosi! Znaczy nosiłby, gdyby mógł podnieść...

Chociaż w Winessie pulchne kształty uznawano za ideał urody, obrazek, który podsunęła mi wyobraźnia, nie budził zachwyty: zamężna ja za jakieś pięć pudów i nadal młody, szczupły Len, który z przerażeniem przymierza się do tego, by przenieść swój „skarb” przez strumień, co wcześniej robił bez chwili namysłu. Przy malowniczej scenie wielkiego plusku wydałam z siebie cichy jęk. Orsana spojrzała ze zdziwieniem, ale, co oczywiste, nie doczekała się wyjaśnień.

– Moment! – W końcu dostrzegłam to, dla czego w ogóle pojawiłam się na targu. – Poczekasz na mnie tutaj?

Przyjaciółka niechętnie skinęła głową i z niewiadomego powodu położyła rękę na głowicy miecza.

W założeniu karmazynowy półmrok i świecący kryształ na wysokim trójnogu, otoczony wijącą się pajęczynką błyskawic miały dodać kramowi tajemniczości. Ale mnie osobiście taki wystrój wydał się całkiem powszedni, dokładnie jak na wydziale magii teoretycznej, gdzie kształcono wykładowców, wynalazców zaklęć i mistrzów amuletów. I właśnie tego ostatniego szukałam.

Pomarszczony staruszek w ciemnoniebieskiej szacie zamknął książkę i pytająco spojrzał znad lady na klientkę. Bezbłędnie rozpoznał koleżankę po fachu, więc darował sobie hasła reklamowe w stylu: „Podejdź bliżej, o piękna panno, znajdź to, czego tak długo szukałaś całą moc magii w tym oto amulecie chroniącym przed zaporciami za trzy i pół kładnia”. Krótco skinęłam głową na powitanie i natychmiast przesłam do rzeczy:

– Jak się panu wydaje, co to jest?

Mag, nie wykazując najmniejszego zdumienia, ostrożnie wziął z moich rąk „stokrotkę” z kryształów na zaostrej metalowej łodydze. Schował ją w łódeczkach dłoni i przymknął oczy, wsłuchując się. Następnie miarowym tonem, jak gdyby czytając z kartki, zaczął:

– Samorodki ametystowe. Nieszlifowane, wprost ze szczotki. Chyba pochodzenia belgarskiego, tylko tam można napotkać tak nasycony fioletowy kolor. Komponent magiczny... hmm... resztki śladów zaklęć, po jednym na kamień. Zbyt słabe, więc nie mam możliwości ustalić ich przeznaczenia. Całość zrobiona ręcznie, po amatorsku – dosyć topornie, ale z zachowaniem wszelkich zasad, przy użyciu kontaktu bezpośredniego ze źródłem mocy.

– Nekromancja czy źródło naturalne? – sprecyzowałam na wszelki wypadek.

– Raczej... hm... magia krwi. Oddanej dobrowolnie, najpewniej własnej. Nie gwarantuję z całą

pewnością. Amulet został niedawno zdezaktywowany i nie nadaje się do ponownego użycia, ale bez problemu może pani zaproponować kamienie złotnikowi. To będzie trzeci kram w siódmej uliczce.

– Dziękuję. – Położyłam na ladzie monetę.

Mistrz ze spokojem zmiotł ją do szuflady i lekko się ukłonił, zapraszając ponownie. W zamyśleniu przytrzymałam trzaskające drzwi. No cóż, ślepy zaułek. Właściciel smoka nie zwracał się po pomoc do rzemieślników i zrobił wszystko sam. A miałam nadzieję, że uda mi się namierzyć go za pośrednictwem sprzedawcy, który mógł przypomnieć sobie klienta.

Zresztą w ogóle wątpiłam, że szukam we właściwym kierunku. Minął już ponad miesiąc, dawno zdążyłam wydać wszystkie zarobione na smrodziskowym smoku kładnie. Ale z braku innych możliwości uznałam, że sprawdzę przynajmniej tę. „Wiedzmo, to znowu ty! Jak ja mam cię dosyć...”

Ciekawe, kiedy i komu zdążyłam się do tego stopnia narazić? Bo wychodziłoby, że spotkaliśmy się przynajmniej dwa razy i zawsze z jakiegoś powodu niezbyt fortunnie. Ot, leszy, że też musiałam utopić torbę z brudnopisem pracy! Oczywiście przeważającą część treści zdołam odtworzyć z pamięci, ale to i owo już zdążyło z niej wyparować. Szczególnie drobiazgi, które w tamtej chwili wydawały się mało istotne, ale rzeczywistości mogły skrywać w sobie rozwiązanie.

W myśli zlustrowałam wszystkich znanych sobie magów. Właśnie „znanych”, bo przyjaciół wśród nich mogłam podliczyć na palcach. Zresztą wrogów również. Większość zachowywała w stosunku do konkurentki pełną szacunku neutralność. Wrogowie woleli pozbawioną szacunku. Dlaczego choćby taki Karrek Czarny miałby z powodu jakiegoś drobiazgu szukać kontaktów z miejscowymi zbirami i składać zamówienia na moją głowę?! Co prawda sprzątnęłam mu sprzed nosa dochodowe zlecenie, polegające na ochronie spławianego Wiluką drewna przed wodnikami, którzy nabrali brzydkiego zwyczaju stawiania w poprzek rzeki zapór z wodorostów, żądając haraczu za przejazd. Flisacy uznali, że wynajęcie maga, by raz a dobrze ich pogonił, wyjdzie taniej. Raz już próbował urwać mi głowę własnoręcznie i od tamtego czasu starannie schodziliśmy sobie z drogi.

Komuś musiałam nieświadomie zrobić znacznie większe świństwo. Ale jeśli był to stary wróg, to dlaczego rozwinął tak aktywną, a równocześnie głupią działalność właśnie teraz?! To nawet nie wyglądało na zemstę, raczej ktoś po prostu chciał się mnie pozbyć, bo mu przeszkadzałam. W dowolny sposób. Żebym się nie plątała pod nogami. I jeszcze te wampiry...

– Wolho, możesz nie odpowiadać – nie wytrzymała przyjaciółka. – Ale zdaje mi się, że masz jakieś problemy!

– Mogę nie odpowiadać – potwierdziłam z roztargnieniem, zatrzymując się i rozglądając dookoła. Zamyślona szłam przed siebie, nie patrząc właściwie dokąd. Gdzie też mnie wywiało? Dookoła piętrzyły się stopy spleśniałych owoców, resztki liści kapusty, połamane skrzynki, wszelakie kości, pęknięte koła od wozów i kupy rozmaitych targowych śmieci, nad którymi fruwały wrony. Uliczki handlowe zostały z tyłu i z boku, przed nami ciągnęło się urwisko. No cóż, tędy nie wyjdziemy, trzeba wracać do bramy...

Dziewczyna prychnęła z irytacją, splatając ręce na piersi, ale w odpowiedzi posłałam jej tylko złośliwy uśmiech. Nie miałam najmniejszego zamiaru wplątywać przyjaciółki w swoje magiczne wojenki. Jeżeli ten typ zniżył się do tego, by korzystać z usług najemnika, to nic go nie powstrzyma przed...

– Padnij!!! – ryknęła Orsana, równocześnie z całej siły pchając mnie w bok. Jeden bełt z młaśnięciem utonął w kupie półzgniłych jabłek, drugi odleciał gdzieś daleko. Wrony z krakaniem wzniosły się w powietrze, jednym okiem wypatrując zakłócaczy spokoju, a drugim zezując w naszym kierunku – czy na kolację nie trafi się przypadkiem coś bardziej treściwego od zapleśniałego sera? Ku ich ogromnemu rozczarowaniu szybko odpełzyliśmy pod osłonę najbliższej hałdy śmieci, zostawiając za sobą czerwony ślad ze zgniecionych pomidorów. Podczas gdy ja ze wstrętem strząsałam z piersi kawałki zgniłej cukinii,

Orsana szybko i sprawnie złożyła łuk.

Trąciła palcem cięciwę, założyła na niej strzałę, a na kolana jeszcze kilka, ale nie śpieszyła się z podnoszeniem głowy i wypatrywaniem celu. Ponieważ ów cel w chwili obecnej najpewniej wypatrywał nas.

– Jak w ogóle udało ci się go zauważyć?!

– Wypadkowo się obejrzałam i wglądziłam wystającą z chłamu kuszę. Akurat na czas wrzasnęłam, nie zdążył dobrze wycelować, strzelił dubletem w pośpiechu i chybił.

– Czyli w tej chwili desperacko przeładowuje i można go podejść i złapać gołymi rękoma? – ożywiłam się, próbując ostrożnie wyrzeć ponad hałdą. Bez większych sukcesów. Wszystko, co zobaczyłam, to kilka innych, prawie identycznych, przy czym za niektórymi można było wyprostować się na pełną wysokość.

– Jakszo ce „on”, a nie „oni” – Orsana pohamowała moje zapędy. – Poza tym w jednym z kramów widziałam ostatni pisk mody, trzybełtowe orcze kusze. Celowność mają taką sobie, ale z dwudziestu sążni trafi nawet dziecko. I ja osobiście bym prędko zmieniła pozycję, zaszłabym ofiarę od tyłu, a już tam bez pośpiechu przeładowała. Po podzieleniu się tą opinią zawodowca Orsana zasmęciła się, a ja razem z nią. W pobliżu takiego skupiska ludzi impuls poszukiwawczy był bezużyteczny. Po prostu nie dało się go wysłać w stronę targu, bo rozpraszał się pod wpływem emanacji tłumu. Parów na skraju wysypiska z kolei powodował tak silne zniekształcenia, że zdołałam tylko ustalić, iż typek, który przed chwilą do nas strzelał, nigdzie sobie nie poszedł, tylko przyczaił się gdzieś w pobliżu. Dolatujący z jarmarku hałas mógł zagłuszyć maszerujące wojsko, a co dopiero kilku skradających się w naszym kierunku bandytów. Nawet gdyby demonstracyjnie tupali.

Oczywiście mogłam postawić tarczę magiczną (i to właśnie zrobiłam), ale tak samo jak zwykła chroniła nas tylko z jednej strony. Pólsfera wymagała zbyt dużej ilości mocy, a poza tym nie współpracowała z większością zaklęć bojowych. A ja nawet zwykłej nie mogłam utrzymać więcej niż godzinę. W dodatku używanie czegokolwiek tak niszczącego jak na przykład płomienny grad, spopielający wszystko w promieniu stu sążni, w odległości mniej niż wiorsta od ludzkiej osady było zakazane przez kodeks magiczny. Tak więc najpierw musiałam wywabić drania na pustkowie albo choćby na otwarty teren.

– Może wysuniemy but na kiju i sprawdzimy, skąd strzeli? Orsana przewróciła oczami.

– Wolha, gdzie ty baczyłaś człowieka, który wyłazi z za góry nogą do przodu?!

– Można wysunąć z boku.

– Jeden ghyr. Jeśli ten złoczyńca nie jest kompletnym idiotą, to nie będzie strzelał do podejrzanie sterczących butów. Oś po głowie – ce dilo...

Nadeszła moja kolej, by zerkać na przyjaciółkę z oburzeniem. Chyba moja głowa awansowała na najbardziej chodliwy towar tegorocznego jarmarku. Właściwie dlaczego nie wpadłam na to, że mało prawdopodobne, by Wal był jedynym najemnikiem, któremu zlecono zadanie oddzielenia jej od reszty ciała?! Jeden zawiedzie, ale a nuż, widelec drugiemu poszczęści się bardziej. Póki co czarodziej wolał nie pokazywać się osobiście – czy to nie chciał zostawić śladu mocy, po którym Konwent potrafiłby go odnaleźć, czy to po prostu bał się spotkania ze mną twarzą w twarz.

– No dobra, zaryzykujemy – zdecydowałam. – Trzymaj łuk w pogotowiu. Zdjęłam wadzącą tarczę i kilkoma natchnionymi gestami wyczarowałam rudowłosy fantom w czarnej kurtce. Wyobrażenie własnej osoby z boku jest dosyć trudne i wynik stanowczo mi nie schlebiał, ale miałam nadzieję, że strzelec nie będzie marnował czasu na drobiazgowo badanie tego paskudnego pyska, tylko ucieszy się i szybciotko zwolni cięciwę.

Miałam rację. Fantom nie zdążył nawet do połowy wypełznąć z za hałdy śmieci, gdy podwójny świst

poinformował nas, że przynęta została połączona razem z haczykiem i szałwikiem. Orsana też nie marnowała czasu. Bełty i strzała raz za razem przebiły iluzję, lecąc w przeciwnych kierunkach, a ta, nie wytrzymawszy takiego traktowania, znikła. Zza dalekiej hałdy rozległ się stłumiony krzyk, ale nie nastąpiło po nim przedśmiertne rżenie ani odgłos upadku. Przynajmniej teraz znałyśmy kierunek i miałyśmy pewność, że zabójca był sam. Więc zdecydowanie wyrównałyśmy szeregi i pod ochroną tarczy rzuciłyśmy się do szturm na wrogi pagórek.

Niestety, strzelec nie raczył poczekać, zostawiając nam w charakterze trofeum jedynie kilka śladów butów oraz plamę krwi wielkości dłoni, za którą ciągnął się coraz rzadszy łańcuszek rozbrzydów. Schyliłam się i w zamyśleniu poruszyłam nad nią palcami. Mężczyzna, elf, nieznajomy. Ten, którego Wal wziął za wampira, czy przypadkowy najemnik?

– Czy on mógł się znowu gdzieś przyczaić?

– Wątpię. Chyba przestrzeliłam mu ramię. – Orsana ponownie rozłożyła łuk i przypięła go do pasa. – Ale proponuję, żebyśmy szybko wróciły na targ, w tłumie jest bezpieczniej. I może jednak wyjaśnisz mi, co się dzieje?!

Jeszcze raz spojrzałam na plamę i wzdrygnęłam się. Plotki o tym, jacy to magowie są niezwyciężeni, są mocno przesadzone. Fakt, bez trwogi ruszę samotnie przeciwko strzydze, która uprzednio zeżarła tuzin rycerzy w zbrojach i nawet się nie zakrzuszyła. Ale podczas polowania na potwora w głuchym lesie wszystkie moje zmysły są wyczulone do granic możliwości, a czasem nawet wzmocnione przy użyciu odpowiednich zaklęć i eliksirów. Przecież nie mogę do skończenia świata chodzić po ulicach na paluszkach, nerwowo rozglądać się na boki i nasłuchiwać, a przy najmniejszym niebezpieczeństwie rzucać pulsarami czy nurkować w łopuchy! I kiedy miałabym spać?! Może tajemniczy czarodziej liczy właśnie na to? Zmęczyć mnie, używając najemników, a po paru dniach osobiście wpaść w odwiedzin i zgarnąć gołymi rękoma?! Nie, wyglądało na to, że bez pomocy jednak sobie nie poradzę...

– Ktoś na mnie poluje – przyznałam niechętnie, gdy już zbliżyłyśmy się do pierwszych straganów.

– Nie no, w życiu bym się nie domyśliła! – Przyjaciółka zacmokała z udawanym zdumieniem. – Jesteś pewna?

Skinęłam głową, patrząc pod nogi. Na środku drogi leżały dwie połówki zakrwawionej strzały.

– Trzeba było wziąć ząbioną – mściwie mruknęła Orsana, schylając się po grot. – Czym mu tak dopiekłaś?

– Nie mam pojęcia. Ale jak złapię, to jeszcze i dogotuję! – Rozpostarłam i sceptycznie obejrzałam kurtkę, usmarowaną od góry do dołu.

– Absolutnie żadnych pomysłów?

Powoli pokręciłam głową, przygryzając dolną wargę. Orsana chyba uwierzyła i rzeczowo spytała:

– Gdzie się zatrzymałaś?

– W kurniku z perspektywą zamiany na stodołę. A ty?

– Dopiero przyjechałam. Poszłam do gospody, ale tam zajęte są nawet ławeczki na ganku. Tyle dobrego, że pozwolili mi przywiązać konia na parę godzin.

– To chodźmy do mnie – zaproponowałam. – Może uda się dogadać z moją gospodynią. Ona się co prawda boi wpuszczać obcych na nocleg, ale coś wymyślę...

* * *

– Hym?! – Babka z rękoma złożonymi na czubku łaski podejrzliwie świdrowała Orsanę malutkimi oczyma.

– Mówię, że ten wasz stryg jest taki wredny i niebezpieczny, że sama nijak nie dam z nim rady! –

ryknęłam, tracąc cierpliwość. – Więc zawołałam sobie znajomą do pomocy! Potrzyma stryga, póki ja go będę zaczarowywać:

Orsana wzdrygnęła się, ale natychmiast opanowała i całą sobą zademonstrowała gorącą chęć współdziałania w tak słusznej i niebezpiecznej sprawie.

– No skoro tak... – w końcu zmiłowała się staruszka. Zaskrzypiały drzwi, szczęknął haczyk, po czym znalazłyśmy się w mroku kurnika już we trójkę. Kogut spojrzał na powiększony harem jeszcze smętniej, mając solidne podejrzenia, że jego pani z wiekiem zaczęło odbijać, skoro zamiast kur podsuwa mu te paskudne baby. Zresztą obowiązek nade wszystko – biedak otrząsnął się, spojrzał na mnie okrągłym okiem i niepewnie zapytał:

– Ko-ko-ko?

– Przepraszam, ale jestem zaręczona z kim innym. Czy możemy pozostać przyjaciółmi? – zaproponowałam ze śmiechem.

Po obiedzie się zdrzemnęłam, a Orsana trzymała straż. Teraz nadeszła moja kolej.

Zmęczona w ciągu dnia przyjaciółka z zadowoleniem wyciągnęła się na naręczu słomy, które zawczasu przyniosłyśmy z najbliższego stogu. Wianek i Smółka stały w przylegającej do kurnika stajni. Przez znajdujący się pod dachem otwór słychać było, jak chrupią owies ze wspólnego żłobu, zazdrośnie parskając jedno na drugie. Kogut zagrzał się na moich kolanach, nastroszył pióra i zasnął. Orsana również odpłynęła prawie natychmiast.

Dziś przygotowałam się do wizyty szczurołaka znacznie lepiej: postawiłam odwrotny kontur ochronny, czyli taki, który wpuszczał do środka, ale nie pozwalał wyjść. Do tego kilka magicznych pułapek i – bo leszy go tam wie – jedna zwykła, pożyczona od miejscowego kowala. Nie miałam zamiaru spędzać tu kolejnej nocy, więc przepełniała mnie determinacja, by zniszczyć paskudnika za wszelką cenę. Nawet jeśli z kurnika zostaną same drzazgi.

Zdążyłam zjeść trzy jabłka, kiedy widziany tylko przeze mnie kontur zamigał i leciutko zafalował, prawie natychmiast wracając do normy. Nie, nikt go nie przekraczał ani nie próbował niezauważalnie złamać, najpewniej była to reakcja na ogólną zmianę magicznego tła.

W okolicy ktoś czarował.

Szybko zgasiał pulsar, szepcząc zamiast niego zakłęcie nocnego widzenia.

Bezgłośnie zaczęłam wyciągać miecz z pochwy i wzdrygnęłam się, zatrzymując w pół ruchu. Znak przy jelcu lśnił jaskrawo i natarczywie, tak samo jak kiedyś w Smrodzisku. O co w tym wszystkim chodziło?! Ani nigdy wcześniej, ani nigdy później klinga Fenduła nie robiła mi takich dowcipów. Czasem lśniła albo lekko się nagrzewała, ale tak zachowywał się każdy aktywujący się artefakt.

Nagle poczułam, że po plecach płynie mi zimny pot. Czy ten znak mógł uprzedzać o tym samym?! O ile pamiętałam ze szkolnych wykładów, każdy artefakt miał podstawowe przeznaczenie i (ale niekoniecznie) kilka innych jako uboczne. Na przykład posiadany przez mistrza złoty pierścień pozwalał mu szybko i z minimalnym wysiłkiem otwierać teleporty, ale przy tym był solidnym zbiornikiem na energię magiczną, tak samo jak moja bransoletka z agatów. Rear Lena między innymi chronił przed telepatią, a za pomocą kryształu dwóch żywiołów magowie w Starminie nie tylko sterowali pogodą, ale też skutecznie leczyli reumatyzm. A co, jeśli odbijanie zaklęć i skuteczność przeciw umarłakom były wyłącznie ubocznymi działaniami klingi? Ale w takim razie jaką podstawową funkcję wyznaczył swojemu mieczowi ten święty oszust?! Ech, szkoda, że nie przyszło mi do głowy, by pokazać go mistrzowi amuletów... a teraz będę musiała sprawdzać doświadczalnie. Zdecydowanym ruchem wyciągnęłam miecz do końca, kładąc pochwę koło Orsany. Na wszelki wypadek wepchnęłam pogodzonego z losem koguta do torby i nie budząc przyjaciółki, wyszłam z kurnika.

Na niebie poraz pierwszy od tygodnia widać było gwiazdy. Z głównej ulicy jeszcze dolatywały

rzadkie okrzyki, śpiewy i śmiech rozchodzących się do domów świętujących. Dopiero co minęła północ.

Wyciągnęłam rękę otwartą dłonią do przodu i przesunęłam nią od lewej do prawej i z powrotem. Zakłęcie rzucano całkiem daleko stąd, tuż za granicą wsi. To nieco uspokajało, ale z drugiej strony budziło też obawy. Kto i czego szukał tam o tej porze?! Kiedy to wszystko się skończy, wrócę do Kruczych Szponów i napluję mu do świętego sarkofagu, pomyślałam chmurnie. Nie chciałam iść oświetloną pochodniami ulicą, która nadal pełna była ludzi, więc musiałam przemykać ogródkami i przez płoty. Psy, spuszczone na noc z łańcuchów, co rusz podejmowały próby poczęstowania się moją szyneczką, ale wystarczyło, bym ryknęła przez zęby, by cofały się z piskiem. Poza tym krew byłej opiekunki pozwalała mi w miarę pewnie poruszać się w mroku na nierównym terenie.

Mniej więcej na dziesiątym płocie usłyszałam ciche trzaśnięcie i poczułam niepokojącą swobodę ruchów poniżej pasa. Fenduł, a przy okazji wszyscy znani mi Bogowie, słysząc tak płomienne i szczere wezwanie pod swoim adresem, powinni byli zawstydzić się i zesłać mi nowe spodnie. Szczęśliwie ten ogródek okazał się ostatni – dotarłam do wiejskiej bramy, która z okazji święta otwarta była na oścież. Za nią ciągnęło się szczere pole, nad którym smętnie wył wiatr. Ponownie sprawdziłam kierunek. Zakłęcie tworzono nieco po lewej, na łące przeznaczonej pod jutrzejszą zabawę. Sumiennie, powoli, ciągnąc moc z przyniesionego ze sobą zbiornika – w okolicy Opadyszcz nie było naturalnych źródeł, bo potrafiłabym je wyczuć. Niestety, z takiej odległości (ćwierć wiorsty) nie potrafiłam ustalić, co konkretnie się tam działo. Ale, o dziwo, czar ten nie promieniował niebezpieczeństwem. Jakieś rutynowe zakłęcie, nieskierowane przeciwko żadnej konkretnej osobie. Może to tylko miejscowy mag zaczarowywał pogodę przed jutrzejszym świętem. Czyżbym się pomyliła i miecz zareagował na coś innego, nie tak oczywistego? A Orsana została tam sama i śpi!

Niespokojnie odwróciłam się w kierunku wsi i prawie wrzasnęłam z przerażenia: wprost przed moim nosem bezdźwięcznie trzepotał skrzydłami nietoperz, a jego oczy fosforyzowały w mroku. Nie zdążyłam machnąć ręką i odskoczyć, gdy uciekł w bok i jak gdyby rozpląnął się w mroku.

Mimo wszystko wrzasnęłam: nader barwne i piętrowe życzenia na podróż pod jego adresem. Poczułam się nieco lepiej, mimo że serce nadal waliło mi jak oszałałe. Nie no, ja jestem jakimś chodzącym zlepkim pecha! Szczurołak, kogut, ślub, wynajęty morderca, wampiry, spodnie – a teraz jeszcze nietoperz!

Gdy echo na dobre znikło w mrocznej oddali, a ja się opamiętałam, tajemniczy mag już zakończył pracę i dokładnie zatarł wszystkie ślady. Nic w tym dziwnego, sama też tak robię, choć zwykle po paru godzinach rozwiewają się same. Ale lepiej wykazać się ostrożnością, czasami echo magiczne samowolnie się kondensuje i powoduje leszy wie co: od zakrzywień przestrzeni do pojawienia się potworów.

Dalsze łożenie nie miało sensu. Szanse, że uda mi się znaleźć miejsce, z którego rzucano czar, i że jeszcze da się określić, kto i po co to robił, były praktycznie bliskie zeru.

Z powrotem wracałam środkiem ulicy, odprowadzana śmiechem i złośliwymi komentarzami późnych przechodniów. Wiatr złośliwie dął mi w dziurę w spodniach, ale tym bardziej nie zaryzykowałam zdejmowania ich w połowie drogi i łatania przy użyciu magii.

Orsana już nie spała. Z ponurym wyrazem twarzy stała w progu kurnika, opierając się o futrynę otwartych na oścież drzwi.

– Gdzie cię nosi?! – krzyknęła z kiepsko ukrywaną ulgą, nerwowo bawiąc się jakimś dziwnym toporem na długiej, zakrzywionej rękojeści.

– Tak coś mi się wydawało, wyszłam, żeby sprawdzić – przyznałam się ze skrucą. – Coś się stało?

Orsana demonstracyjnie odsunęła się na bok. W jednej z pułapek kulił się szczurołak, w dwóch pozostałych – dwaj wyjątkowo zasmuceni tym faktem osobnicy: krasnolud i człowiek.

– Najemnicy? – spytałam z ubolewaniem. Spojrzeli po sobie i z rezygnacją skinęli głowami.

– Po głowę?

Zgodne przepełnione poczuciem winy westchnienie. Gwałtownie rozłożyłam ręce, pomiędzy którymi przemknął złocisty ładunek.

– Wynocha stąd!

Najemnicy, mrużąc pod nosem przeprosiny i wyrazy wdzięczności, pośpiesznie uciekli z niegościnniej przybudówki.

– Może odda szanowna pani mój toporek? – zapytał krasnolud prosząco, oglądając się w połowie drogi. – W końcu narzędzie pracy, bez niego to nie mam jak...

– Won!!!

Mordercy westchnęli z jeszcze większym smutkiem i kulejąc na różne nogi, ruszyli w kierunku furtki. Gdy zrozumiałam, że ze złości wyłączyłam wszystkie pułapki i kontur razem z nimi, było już za późno – szczurołak przekroczył próg. Za to kogut poczuł niespodziewany przypływ odwagi, wyfrunął z torby i ze zwycięskim okrzykiem rzucił się na szarego stwora, z rozpędem dziobiąc go w potylicę. Szczurołak skulił się i nawet nie rozważając stawiania oporu, rzucił się precz z podwórka, na chwilę utykając pomiędzy sztachetkami płotu i obrywając jeszcze kilka ciosów dziobem w ogoniasty tyłek.

Niesamowicie dumny z siebie kogut, wysoko podnosząc nogi, wrócił do nas, wyciągnął szyję i wydał z siebie przenikliwe wołanie, po którym z całego sioła nadeszły zgodne odpowiedzi.

– Wolho, jak ci nie wstyd?! – rzuciła się na mnie Orsana. – Budzę się w środku nocy z żaływych wrzasków niecenzuralnych, kurnik pełen ubiwców ta weliczeźnych pacuków, drzwi na oścież, ciebie nigdzie nie ma...

– Przepraszam. – Zawstydziałam się. – Myślałam, że szybko spojrzę i wrócę...

– No i jak? – spytała nieco spokojniej.

Mogłam tylko westchnąć, czując się jak ostatnia kretynka.

Orsana z pogardliwym prychnięciem wepchnęła mi w ręce zabrany mordercy toporek i zeskoczyła z wysokiego progu, stając dokładnie naprzeciw mnie.

– Wolho, zbyt dobrze cię znam, żeby do czegoś namawiać czy prosić, byś była ostrożniejsza – zaczęła z przekonaniem, starannie dobierając słowa. – Ale będę ci bardzo wdzięczna, jeśli następnym razem, gdy przyjdzie ci do głowy, by coś sprawdzać, raczysz mnie przynajmniej uprzedzić. Bo jak nie... jak nie... to przestanę uważać cię za przyjaciółkę! Zrozumiano?

– Zrozumiano – potwierdziłam skwapliwie, ciesząc się, że łatwo się wywinęłam. Gdyby mi jeszcze ktoś powiedział, skąd w niej tyle dobrej woli...

* * *

Resztę nocy spędziłyśmy w uczciwie zarobionej stodole (mam wrażenie, że szczurołak już do końca życia nie skusi się na tak agresywnie nastawiony drób!), znacząco wetknąwszy w drzwi toporek (uprzednio zaczarowany tak, że ghyr go wyciągniesz!) i powiesiwszy na zasuwie pas z mieczem, który Orsana zabrała drugiemu pechowemu zabójcy. Chyba podziałało, albo też członkowie gildii idiotów się skończyli, bo do rana nie pojawili się żadni inni chętni, by wzbogacić się o czterdzieści kładni. W nocy pogoda poprawiła się (a może to miejscowy mag się postarał) i poranne słońce szybko wymiotło poranną mgłę. Zrobiło się gorąco i duszno, ponieważ cała woda z nasiąkniętej długotrwałym deszczem ziemi teraz parowała, kłębiąc się lekką mgiełką w powietrzu. Ludzie zrzucili kurtki, przebrali się w jaskrawe koszule i suknie. Zewsząd dolatywała muzyka, piosenki i radosne zawołania. Święto dawało się odczuć prawie namacalnie, poprawiając i nasz nastrój.

– No więc jaki mamy plan? – rześko spytała Orsana.

– Teraz pójdziemy na pole za wsią, właśnie, zaczyna się tam festyn. Mało prawdopodobne, żebyśmy się wcześniej czegokolwiek dowiedziały, tym bardziej że biorę udział w wielkiej bitwie o łąkę.

– Dlaczego w takim razie nie zgarnęłaś tego toporka? – zachichotała Orsana, zerknęła na studnię i szybko się poprawiła: – Szo ż ty todi sekirki nie przyhopyłaś?

– Mój toporek jest zawsze ze mną. – Stanowczo złapałam ją pod łokieć i odwróciłam w przeciwną stronę, uznając, że dotrzemy na pole okrężną drogą. – W końcu jestem wiedźmą, a nie jakimś tam najemnikiem polegającym na kawałku żelaza!

– A jednak tym kawałkiem żelaza można skutecznie zatruć życie również wiedźmie – beztrudno kontynuowała dziewczyna, która tak bardzo wciągnęła się w rozmowę, że nie zauważyła mojego manewru. – No dobrze, na pole to na pole. Ale teraz muszę cię zostawić na pół godziny. – I ze skrzepowaniem dodała: – W sprawach osobistych. Prychnęłam z pretensją, ale powiedziałam:

– Nie martw się, za dnia sama mogę o siebie zadbać. Jak chcesz, to możemy spotkać się przy wiejskiej bramie tuż po ceremonii ucięcia Ostatniego Kłosa?

– Doskonale – zgodziła się z wyraźną ulgą i na rozstajach została z tyłu. Za wsią już się zebrał gigantyczny i cały czas powiększający się tłum, w miarę po równo podzielony między dwa skraje łąki. Pomiędzy nimi co rusz biegali zdrajcy, którzy właśnie pożarli się z jedną stroną lub też odczuli nagły przypływ patriotyzmu w stosunku do drugiej. Widzowie siadali w półkolu na niskim i dosyć płaskim zboczu. Pokręciłam głową w poszukiwaniu Ołdeja, ale bez skutku. Udało mi się ustalić wyłącznie tyle, że po lewej zebrani byli „nasi” Winessanie.

Przy stodole rozdawano odświętną broń dla najemników – rozsypujące się miecze i ciężkie starożytne kolczugi, żeby Bogowie uchowajcie, kogoś przypadkiem nie skaleczyć naprawdę. Nieco z boku stał blady, jasnowłosy elf o chmurnej twarzy, którego paskudny humor bez trudu dawał się wyjaśnić ręką wiszącą na temblaku. Spod ciemnoszarego płaszcza wyzierało łączysko podwójnej kuszy.

Posłałam mu złośliwy uśmiech. Elf użył zdrowej ręki do wykonania nieprzyzwoitego gestu. O ile znałam kodeks najemników, jego już się mogłam nie obawiać. Obok mnie, wyłuskując nasiona z jednego słonecznika, głośno wymieniało plotki dwóch chłopów. Przysłuchiwałam się mimowolnie: „Grasio, słyszał? Jakies to gady, szob ich kolka sparła, po żniwach w nocy łazili i Ostatni Kłos do reszty zdeptali, musieliśmy prędko drugi wtykać i podwiązywać, szob święta nie psuć”. Najpewniej krzywdę biednemu symbolowi święta wyrządzili miejscowi pijacy, ale po moich plecach przemknęło nieprzyjemne zimno, zmuszając, bym obrzuciła pole uważnym spojrzeniem. Sołtys nadal gdzieś się chował, ale za to dostrzegłam niedbale zbliżającego się Wala. Ku mojemu wielkiemu zdumieniu troll włókł na ramieniu nie ukochany jednoręczny miecz, lecz ogromną, tępą i zardzewiałą halabardę na długim drzewcu.

– Mieczami to tylko durnie walczą w pierwszym szeregu. – Pogardliwie machnął ręką na moje niewypowiedziane pytanie. – A ty zza ich pleców wrogów halabardą przez łeb stuk, puk! I nie ma problemu.

Znałam Wala na tyle dobrze, by w odpowiedzi jedynie prychnąć. W prawdziwej walce nie chował się za cudzymi plecami, ale nie miał zamiaru nadstawiać własnego łba dla cudzej zabawy. W końcu potrzebował go również do spraw poważnych.

– No więc, foczko, z klientem się dogadałem – niespodziewanie troll zmienił temat. – Spotykam się z nim po zmroku w „Złotym Środku”. Przekazuję trofeum i żądam pieniążków, po czym pojawiaasz się ty i urządzasz awanturę. Tylko odczekaj, aż zapłaci, bo w przeciwnym razie faktycznie cię załatwię!

– Najpierw na nie zapracuj – rzuciłam jadowicie.

– Już. Masz, popilnuj, póki ja tu stukam. – Troll wpakował mi w ręce jakiś przybrudzony worek.

– Co tam masz?

– Twój łeb – prychnął najemnik, w ramach rozgrzewki biorąc zamach halabardą. – Jak chcesz, to se obejrzyj...

– Co?! – Z obawą otworzyłam worek. Na dnie leżała niedojrzała żółtozielona dynia z nierówną skórką – chyba wydrążona, bo w przeciwnym razie ważyłaby o wiele więcej. W zasadzie można było się do tego ograniczyć, ale Wal chyba zdecydował, że wyjdzie nieco naprzeciw wymagań klienta. Dynia miała więc parę gigantycznych skośnych oczu, namalowanych węglem i posiadających do kompletu bezsensownie długie rzęsy, nos z krzywej marchewki, wyszczerzony kłami uśmiech i białą chustkę, zawiązaną pod brodą jak u staruszki. Spod niej sterczała słomiana grzywka.

– Podobna, co nie? – zarechotał troll, zwinnie łapiąc worek, który wypadł z moich słabnących palców. – Z daleka to w ogóle nie idzie odróżnić!

– Kpisz sobie?! Co za koszmar!

– Nie koszmar, tylko element zaskoczenia – protekcyjnie wyjaśnił najemnik, zawiązując worek i ponownie wkładając go w moje ręce. – Ciebie zdrowo dziabło, więc jak Bogowie pozwolą, to jego na miejscu szlag trafi! A jak nie, to przynajmniej na parę sekund go zatka, zawsze to mniej problemów!

– Po co ty w ogóle kombinujesz z tym workiem?

– Przecież nie pójde do niego z pustymi rękoma. – Wal wzruszył ramionami. – Jeszcze zacnie coś podejrzewać i ucieknie przed czasem.

– Ale przecież on jest magiem, a może nawet telepatą! Troll tylko się roześmiał:

– Foczko, pamiętasz może, jak po moim cynku razem z twoją strzygą jeździliśmy do Moltudiru? Ghyr by on mi cokolwiek zapłacił, jakby mógł za darmo podejrzeć w głowie! A tamta historia z arlisskim porwaniem? Przecież po coś mu był do okupu troll pośrednik, wampira czy człowieka tamta blond chwyba by rozgryzła po jednym spojrzeniu!

Na środku łąki odezwały się trąby, przerywając naszą dyskusję. Wal zarzucił halabardę na ramię, opuścił przyłbicę hełmu i szybkim krokiem ruszył na swój kraniec łąki. Czyli również mój. Magowie tradycyjnie powinni znajdować się na tyłach wojska i atakować jako pierwsi, więc ulokowałam się nieco z boku, by mieć widok na całe pole. Ruchy pomiędzy „wojskami” ustały i w końcu dostrzegłam Ołdeja i jego belorskiego kolegę, którzy wyszli na środek pola. Wysoki chłop o mocarnych barach i wąsach koloru pszenicy z wyższością spoglądał na nastroszonego Ołdeja, który obok niego wydawał się jeszcze mniejszy. Winessa połowa przegrywała już trzy lata z rzędu, więc honor wygłoszenia mowy powitalnej należał do Belorczyka. Radośnie potrząsnął nad głową splecionymi rękoma, wywołując pochlebny ryk tłumy w odpowiedzi, po czym wrzasnął:

– Cóż, znaczy się znowu zebraliśmy się tutaj z tak pożytecznego powodu jak skopanie zadków Winessanom, czyli w szlachetnej walce pokazać im leszego mać i rakowe zimowisko! A skoro tak, to nie ma co się na mnie gapić z rozwieszonymi uszami, wcześniej zacniemy, to wcześniej wypijemy! I sołtysowie szybciotko wycofali się z niebezpiecznej strefy.

Mimo że miałam do powierzonego zadania stosunek sceptyczny, nie zamierzałam się lenić. Poza tym zawsze lubiłam pracować z iluzjami.

Oczywiście jako pierwszy na myśl przyszedł mi smok, ale ten fantom był zbyt duży, by podtrzymywać go długo. Jeszcze zacnie migać czy znikać po kawałku w trakcie bitwy, wywołując niezdrowe rozbawienie publiczności... Gryfon zbyt oklepany, żerpaga za mała...

Po chwili namysłu zdecydowałam się na górskiego mraskana. Jest to bliski krewny bazyliszka, tyle że dziesięć razy większy i wyglądający całkiem solidnie: kolczaste łuski, długi ogon o zębatym czubku, który na wylot przebijał pancerz zbroi, drapieżny wąski pysk z jaskrawo-czerwonymi ślepiami i dwie pary skórzastych skrzydeł. U siebie w górach porywał przeważnie kozy, ale pastuchem też nie wzgardził. Co prawda, o ile go nie podrażnić, to nigdy nie atakował pierwszy.

Oczywiście nawet do głowy mi nie przyszło, by łązić po elgarskich górach w poszukiwaniu legowiska mraskana i stawiać tam teleport, by w odpowiedniej chwili aktywować go za pomocą talizmanu, tak jak robiono to w prawdziwych walkach. Ale postarałam się, by fantom wyglądał jak najbardziej malowniczo, i nawet stworzyłam iluzję portalu.

I skrzywiłam się z irytacją: nad przeciwległym krańcem łąki otworzył się dokładnie identyczny wir, z którego wyrwał się drugi mraskan. Było już za późno, by cokolwiek zmieniać: stwory, wydając z siebie zamówione „huki ta wizgi”, rzuciły się na siebie. Ludzie z jękami kucali, łapali za czapki, a dzieciaki podskakiwały i wrzeszczały z zachwytem. Co mniejsze z piskiem chowały się w spódnicach matek, a czasem nawet ryczały ze strachu. Chyba niesłusznie się martwiłam, wyszło jak najbardziej widowiskowo i realistycznie: dwa prawie jednakowe skrzydlate stwory, stalowoszary i piaskowożółty, które na polecenie magów bojowych starły się w powietrzu. Prawie. Poza jednym drobnym szczegółem. Belorski mraskan był prawdziwy.

Przeszedł przez mój fantom niczym jastrząb przez chmurkę i jak kamień runął w dół, rozczapierzając szponiaste łapy i wywijając tylne skrzydła stroną usianą kolcami. Tłum dookoła jak najbardziej mógł pożądać widowisk, ale wołał podziwiać je na odległość, więc błyskawicznie rozprysnął się na boki, zostawiając mnie we właściwej dla bohatera samotności. Po czym chóralnie jęknął z zachwytem: w jednej chwili przyjęłam klasyczną postawę bojową maga praktyka, z pulsarem w jednej ręce i odbijającym jego światło mieczem w drugiej.

Stwór zbliżał się szybko, machając skrzydłami jak ogromny nietoperz. Ośloniłam oczy wąskim paskiem ostrza – dla orientowania się w otoczeniu z powodzeniem wystarczały mi fragmenty powyżej i poniżej. Mraskan to nie bazyliszek, nie potrafi dekorować otoczenia posągami, ale jego bezpośrednie spojrzenie mogło oślepić na kilka godzin. Mało tego, z niewiadomego powodu stwór bez wahania wybrał z liczącego tysiąc osób tłum właśnie mnie.

W ostatniej chwili odskoczyłam do tyłu, robiąc jednocześnie zamach mieczem. Przed oczami przemknęło mi kolczaste skrzydło, gwałtownie zacisnęły się pazury. Poczułam mdlący gadzi zapach. Zaczepiłam potwora samym końcem klingi, zostawiając na piaskowej łusce kreskę długości dłoni, która natychmiast napęczniała czarnymi kroplami krwi. Przyjęłam na klingę uderzenie ogona, któremu niewiele zabrakło, by sięgnąć mojego oka, ale siła ciosu posłała mnie plecami na wydeptaną ziemię. Nie miałam czasu na wstawanie, więc wypuściłam miecz i wystawiłam przed siebie obie ręce, akurat w samą porę, by złapać mraskana w obrocie, grzbietem do mnie. Stwór z piskiem zaczął się rzucać w mglistej spirali, tnąc ją pazurami i głośno tłukąc skrzydłami. Z wysiłkiem odrzuciłam go do tyłu, gdzie pulsował zamykający się i widoczny tylko dla mnie kanał portalu. Kolejny wysiłek, wir załśnił dodatkową mocą, po czym łapczywie połąkł wrzeszczącego gada.

Podniosłam miecz i opierając się na nim, stanęłam na nogach, po czym z pewnym zdumieniem rozejrzałam się dookoła. Widzowie klaskali z zachwytem, gwizdali i wrzeszczeli, a do moich stóp leciał srebrzysty deszcz monet. Całkiem żywo wyobraziłam sobie nie mniej zdumioną minę na pysku mraskana, który z irytacją krążył nad górskimi szczytami i bez skutku próbował zrozumieć, skąd to wszystko się wzięło i gdzie ponownie znikło. Niech no tylko dorwiemy tego czarownika!!! Ale właśnie w tej chwili potrząsający mieczami i halabardami najemnicy rzucili się do ataku, a na łące zapanował taki rejewach i ścisk, że mogłabym przedostać się przez niego, chyba wyłączając depcąc ludziom po głowach. Najpewniej ten drań dokładnie tak samo jak ja stał z tyłu za swoim „wojskiem”, na czas skojarzył, że sprawa śmierdzi, i spiesznie się pożegnał. A nim wyminę cały ten tłum, po czarowniku nie zostanie nawet ślad. Mogłam tylko tupnąć i wściekle zakląć. Niech toleszy, przecież w nocy wyczułam, jak stroił teleport! Gdyby nie ten przeklęty nietoperz i mój wrzask, który drania przestraszył!

Stop. Nietoperz! Gdybym była w Dogewie, to pomyślałabym...

Tłum ryknął jeszcze głośniejsze niż poprzednio, widzowie zerwali się z miejsc. Zwyciężyli Winessanie. Osobiście nie miałam pojęcia, w jaki sposób to ustalali, bo „szlachetna walka” bardzo szybko zmieniała się w gigantyczny tumult, owiany honorem i kurzem.

Ale gdy ten pierwszy sięgnął apogeum, a ten drugi nieco osiadł, Belorczycy ze złością rzucali czapki na ziemię, a ich sąsiedzi z radosnymi okrzykami zabrali się do podrzucania Ołdeja. Próbowali złapać również mnie, ale spiesznie skryłam się za iluzją i zniknęłam w tłumie.

Na dokładkę do łąki sołtys zwycięskiej połowy otrzymywał ogromny honor ucięcia Ostatniego Kłosa, więc zebrani zgodnie ruszyli na wspólne pole, na środku którego samotnie sterczało pojedyncze źdźbło (w celu uniknięcia powtórki z nocnych wypadków było pilnowane przez kilku uzbrojonych w widły chłopów).

Uroczyście opuszczony na ziemię Ołdej dźwięcznie szczękął nożyczkami i zbliżył się do kłosa. Niestety, miejscowi młodzi zdolni przesadzili z mocowaniem go, dowiązując do delikatnego kłoska – „szob na pewno!” – gruby stalowy pręt. Przez kilka minut sołtys ucziwie sapał i szorował nożyczkami o unikalną roślinkę, krzesząc skry, ale ostatecznie rzucił szybkie spojrzenie na zebranych i – e tam! raz kozie śmierć! – wyciągnął kłos razem z prętem.

Święto się udało. Po dłuższym aplauzie zebrani rozleźli się po łące, gdzie już kręciły się handlarki z najróżniejszymi smakołykami, wołali na przedstawienie właściciele wędrownych cyrków, zapraszali do zmierzenia się siłą przyjezdni siłacze i brzdąkali, strojąc struny gęślarze-bajarze. Nic z powyższego mnie nie ciekawiło, ale za to przypomniałam sobie umowę z Orsaną i zaczęłam powoli wydostawać się z tłumu.

Przyjaciółka już czekała przy bramie, niecierpliwie spacerując tam i z powrotem.

– I kto zwyciężył?

– Nasi – odparłam lakonicznie. – Aha, Wał też już jest.

Obok trolla kroczył jakiś brodaty mężczyzna w zardzewiałej kolczudze – wyraźnie z opadyszczowych zapasów, wyposażony w tak samo antyczny miecz z czasów dziewiątej wojny. Z nadmiernie ożywionej dyskusji łatwo szło się domyślić, w kogo trafiło pukanie Wala.

– Hej, Wolha! – Przybysz radośnie zamachał ręką w moim kierunku i ze zdumieniem rozpoznałam w nim Rolara, który chyba nie strzygł się od naszego ostatniego spotkania. Zebrane w kucyk włosy i kilka rzadkich kosmyków na czole nadawały mu jeszcze bardziej nicponiowaty wygląd niż zwykle. Nawet ja nie chciałam wierzyć, że ten zadziornie uśmiechnięty facet koło trzydziestki to półtorasetletni arlisski doradca. Tymczasem Rolar zauważył Orsanę i nadeszła jego kolej, żeby się dziwić. Zresztą nie na długo. Oboje rozjaśnili się i rzucili ku sobie, ale w ostatniej chwili rozmyślili, zatrzymali w odległości kroku i statecznie wyciągnęli ręce. Co prawda wampir nie ograniczył się do wymiany uścisków, a po jej zakończeniu zwinnie przekręcił łapkę Orsany i soczyście cmoknął najemniczkę w nadgarstek. Panna zaczerwieniła się, co i tak nie przeszkodziło jej w wyrwaniu ręki z oburzonym piskiem, bo po zakończeniu pocałunku wampir zaczął znacząco się oblizywać w kierunku niebieskawych nitek żył pod opaloną skórą.

– Foczko, doskonała robota! – Troll radośnie walnął mnie w ramię z taką siłą, że kolana się pode mną ugięły. Prawdopodobnie za zwycięstwo należała się tak samo solidna premia. – Mówią, że belorski czarodziej jak zobaczył cię w akcji, to natychmiast rzucił się do ucieczki i zabrał ze sobą całego bojowego ducha, więc położyliśmy ich lewą ręką!

– No tak, popracowałam sobie... – burknęłam, nie wdając się w szczegóły. – Rolar?! Wampir wyprostował się.

– Jestem tu...

– W sprawach osobistych – dokończyłam z sarkazmem.

- Jak na to wpadłaś? – zdumienie arlisskiego doradcy było znacznie bardziej naturalne niż Orsany. – A ty dlaczego nie jesteś w Dogewie? Przy okazji, kiedy ostatni raz się z nimi kontaktowałaś?
- Miesiąć temu. A co? – zaniepokoiłam się.
- Nic, tak tylko pytam. – Rolar przez głowę ściągnął kolczugę i rzucił ją pod płót, koło miecza i halabardy Wala. – Len się martwi. Jutro akurat będę tam jechał, może się ze mną zabierzesz?
- Nie, dziękuję, mam tu jeszcze pewne sprawy – odmówiłam pośpiesznie.
- Spadamy stąd, póki nas kto razem nie zobaczył – przerwał nam troll bez ceregieli. – Trzeba znaleźć jakieś spokojne miejsce i się zgadać, jak będziemy sprzedawać foczkowy łeb.
- Wal mi wszystko opowiedział – wyjaśnił wampir. I jestem w drużynie, o ile nie masz nic przeciwko temu... a nawet jeśli coś masz!
- Ja również – zdecydowanie rzuciła Orsana, która jeszcze nie miała pojęcia, o czym mowa, ale bezwzględnie ufała intuicji.
- No dobra, chodźcie za mną – westchnęłam, wyobrażając sobie, jak tłumaczę babce, że przyprowadziłam ze sobą największe światowe autorytety w dziedzinie łapania strygów, z którymi mam zamiar urządzić konsylium naukowe w jej stodole...

* * *

Krzaki bzu, które w mroku wyglądały całkiem kusząco, dołem okazały się obficie wymieszane z pokrzywami. Wściekłe syczenie oraz nie mniej wściekłe drapanie się nie ustawało nawet na chwilę, ale nikt nie miał ochoty przyznawać się do taktycznego błędu. Tym bardziej że była to jedyna metoda na niezauważalne podkradnięcie się do karczmy.

– Postaraj się maksymalnie osłonić – pouczał mnie Rolar. – Hamuj emocje, osłoń się przed telepatią, nie patrz na nich wprost. W karczmie jest w tej chwili pełno ludzi, więc masz szansę zgubić się pomiędzy nimi, ale pamiętaj: jeżeli faktycznie jest tam wampir, i to taki, który bez przerwy cię śledzi, wystarczy jeden błąd i cię złapie.

– Pamiętam, wszystko pamiętam – burknęłam z pretensją. – Nie ucz naczelnej więdźmy, jak się czaruje, bo zaraz zacznę tobie doradzać!

– No dobra, przepraszam. To jak, wszyscy gotowi?

– Yhm. Tak jak się umawialiśmy, czekacie, aż klient zaczyna się drzeć, a następnie rzucamy się wszyscy naraz!

Rolar i Orsana bezgłośnie okrążyli karczmę z różnych stron i przyczaili się koło okien. Ja przekradłam się do wejścia i przytuliłam do ściany obok na oścież otwartych drzwi, jak gdybym po prostu chciała zaczerpnąć świeżego powietrza. Natomiast Wal ruszył wprost przez próg, demonstracyjnie machając workiem. Nie ryzykowałam podglądania przez szparę, tym bardziej że wszystko i tak było doskonale zrozumiałe. Czarodziej i jego kumple zasiedli w najdalszym rogu, w osobnym boksie, gdzie jeszcze za dnia zapobiegliwie podłożyłam kawałek kryształu górskiego (który bardzo dobrze pomaga przy podsłuchach, szczególnie jeśli próbujesz być jak najmniej zauważalny magicznie), uznając, że trudno o lepsze miejsce do zмовy przestępczej.

Chwilowo wszystko rozwijało się zgodnie z planem. Zdobywcę głowy przyjęto bez zwłoki i z kiepsko ukrywaną niecierpliwością. Głos „klienta” wydał mi się mgliście znajomy, mimo że delikwent celowo zniekształcał go i w ogóle próbował ograniczyć się do słów typu „tak”, „nie” albo niewyraźnego mrużenia.

– Wpierw kasa! – bezczelnie zażądał najemnik. Coś głucho brzęknęło. Potem w odpowiedzi plasnęło. Element zaskoczenia zadziałał w pełni. Niestety, klient nie dostał zawału, mimo że chrypienie, które

usłyszałam po oględzinach trofeum, bardzo przypominało przedśmiertne.

– Najemniku, drwisz sobie ze mnie? – zapytał czarodziej przepełnionym wściekłością głosem.

– Bo co? – zdumiał się Wal, zgrywając głupa. – No trochę się uszkodziła, póki niosłem...

– Uszkodziła?! Kretynie jeden, to przecież dynia!

Chyba klient wyciągnął „zamówienie” z worka i rzucił w kierunku Wala. Troll nie odmówił sobie przyjemności i przez kilka chwil podziwiał swoje dzieło.

– Te, patrz, faktycznie dynia! A podobna, pewnie po ciemku pomyliłem... Natychmiast po tej pełnej namysłu uwadze rozległ się soczysty chrzęst i wściekły wrzask, który przeszedł w niezadowolone bulgotanie. Rolar i Orsana jednocześnie wskoczyli przez okna, a ja przez drzwi. I na wyścigi rzuciliśmy się do boksu, z którego akurat tyłem wyskakiwał Wal, dobywający miecza. Lekkie rzeźbione drzwiczki otworzyły się na oścież, wypuszczając za trollem czterech niesamowicie wściekłych facetów z obnażonymi klingami. Za nimi majaczyła ślaniająca się postać w czarnym, długim prawie do podłogi płaszczu. Postać miała moją głowę. To znaczy tę z dyni. W następnej chwili drzwiczki zamknęły się z powrotem, a kiedy znów stanęły otworem, na podłodze leżały szczątki dyni, zaś spod kaptura widać było jedynie podbródek niezadowolonego klienta.

– Za tych po kolejne dziesięć! – wrzasnął. Nadal nie mogłam drania rozpoznać. Ponieważ gest, jaki wykonał w kierunku moich przyjaciół, wyglądał niezbyt precyzyjnie, cała reszta gości uznała, że nie będzie ryzykować, i opuściła karczmę w pośpiechu, używając w tym celu wszystkich dostępnych dróg. Na posterunku pozostał tylko właściciel „Złotego Środka”, który pewnie miał zamiar wystawić każdemu z awanturników (albo ich niepokieszonym krewnym) słony rachunek za poniesione straty.

Które wystąpiły praktycznie natychmiast. Sądząc z wrzasków czarownika, przynajmniej jeden z jego kompanów był kolejnym najemnikiem, którego właśnie namawiano do powiększenia osobistego majątku o czterdzieści kładni. W praktyce okazało się, że było ich nawet dwóch. Możliwe, że w innych okolicznościach zaczęliby się wahać, domagając podwyżki, ale bijatyka już się zaczęła, a dziesięć sztuk złota jest zawsze lepsze niż nic.

Jako pierwsze ucierpiało jedno z krzesel, z irytacją zostało odrzucone z drogi przez mężczyznę zbliżającego się do Orsany. Sądząc z mrocznego blasku w oczach, akurat on nie był najemnikiem i chyba sam gotów byłby dopłacić za przyjemność poderżnięcia komuś gardła.

Dziewczyna cofnęła się, powodując, że przeciwnik nieco stracił czujność, po czym niespodziewanie zanurkowała pod stół i pojawiła się na jego drugim końcu. Podskoczyła, jak gdyby miała zamiar na nim wylądować, ale zamiast tego z całej siły uderzyła w skraj. Stół stanął dęba, a przeciwnym krańcem blatu zafundował delikwentowi potężnego haka w szczękę. Orsana obróciła się w powietrzu jak kotka i wylądowała w bezpiecznej odległości od biednego mebla, który z hałasem runął z powrotem na ziemię. Po przeciwnej stronie nie mniej efektownie runął bandyta. Nie miałam czasu, by dalej obserwować bójkę: mag już mruczał coś pod nosem, a pomiędzy jego palcami skrzyła kształtująca się kłątwa. Przyjrzałam się i prychnęłam z oburzeniem. Chciał atakować mnie, maga ognia, banalnym „lodowym wichrem”?! Ha! Uniosłam rękę, po czym niedbale i na pierwszy rzut oka chaotycznie potrząsnęłam nimi w powietrzu, tworząc odbijającą tarczę Weresa. Jedno z moich ukochanych zaklęć, które już dawno stało się odruchem i wymagało wyłącznie wzmocnionego mocą gestu, który też miałam wyćwiczony do tego stopnia, że mógł mi przeszkodzić wyłącznie arcyomag.

Poczułam się, jakbym skrzyżowała delikatny elfi miecz z żeliwnym pogrzebaczem. Odrzuciło mnie do tyłu i wszystkie moje wypukłości zapoznały się ze ścianą. W zostaniu wklęsłościami przeszkodziła im wyłącznie tarcza, która nieco zamortyzowała cios. Czarodziej wydawał się nie mniej zdziwiony, ale znacznie bardziej zadowolony. Zanim jego uśmiech zrobił się kompletnie nie do wytrzymania, wyprostowałam palce w formule Dekka. Wynik znowu okazał się kompletnie nie do przewidzenia: mag,

który przed chwilą prawie rozsmarował mnie po balach, zgiął się wpół po najprostszy zakłęciu. Kiedy oboje desperacko próbowaliśmy złapać oddech i poczęstować przeciwnika czymś równie serdecznym, walka w karczmie nabierała tempa. Najemnicy palili się, by odpracować obiecane kładnie, we dwójkę atakując Wala. Troll miał do tego pomysłu stosunek dość negatywny i tak samo zwinnie pracował obiema rękami – mieczem i ciężkim nożem myśliwskim. Zadrapanie w poprzek szczęki tylko dodało mu animuszu.

Orsana ganiała swojego przeciwnika dookoła lady jak kozła witką. Biorąc pod uwagę, że „witka” miała sześć piędzi długości i dwie zaostrome strony, szło jej całkiem nieźle – bandyta jeszcze nie doszedł do siebie po ataku stołem i tylko słabo parował. Rolar radził sobie znacznie gorzej. Jego przeciwnik okazał się wampirem, który wyszczerzył kły i z szelestem rozwinął skrzydła. Arlisski doradca mógł wyłącznie blokować ataki i cofać się. W wykonaniu wampirów wyglądało to całkiem malowniczo – rycząca drapieżnie i machająca skrzydłami dwójka jak wichur przeleciała po karczmie, zmieniając stoły i krzesła w drzazgi. Oberwało się nawet belce stropowej, którą prawie rozłupali na pół.

Karczmarz co chwila wyglądał zza szynkwasu jak strachliwa wiewiórka z dziupli i notował z prędkością ubijaczki do masła.

Po chwili udało mi się stanąć na nogach. Mag również się wyprostował i chyba zaczął pleść zakłęcie z pewnym wyprzedzeniem. Nie zobaczyłam tego – po prostu poczułam, że coś nadciąga, oklejając zęby i odbijając się echem w piersi, jak wibracja ziemi pod nogami na minutę, zanim przebiegnie po niej tabun dzikich koni. Niespodziewanie zauważyłam, że przeciwnik patrzy na mnie z tak samo napiętą uwagą i podejrzliwością.

Hałas, który teraz przebijał się nawet przed odgłosy walki, docierał skądś z zewnątrz, narastając z każdym uderzeniem serca. Ni to stukanie kulek gradu, ni to szelest liści, ni to... trzepot tysięcy skrzydeł.

Nietoperze wdarły się do karczmy wszystkimi szczelinami równocześnie. Kominiek wyglądał, jakby zaczął dymić w przeciwnym kierunku, a z okien i drzwi lał się jednolity skłębiony czarnoszary potok, jak mgła rozpełzając się po pokoju. Sądząc z reakcji czarownika, taka masowa wizyta „towarzyska” okazała się niespodzianką również dla niego. Podobne zakłęcia odbiły się od siebie i zachwiały karczmą w posadach do tego stopnia, że właściciel musiał sięgnąć po drugi zwój, a wynik okazał się daleki od zamierzonego. Zwierzątka straciły orientację i zaczęły miotać się po izbie, uderzając we wszystkie i wszystko, co tylko napotkały. Jeden ostrymi pazurkami uczepił się moich włosów, kolejna piątka, nadal trzepocząc skrzydłami, zawisła na kurtce. Orsana, która panicznie bała się nawet zwykłych myszy, z przenikliwym dziewczęcym piskiem wyskoczyła z karczmy. W jej ślady poszli obaj najemnicy, do których w końcu dotarło, że pieniądze nie są w życiu najważniejsze. Najbardziej oberwał Wal (chyba z powodu okazałych gabarytów albo nadmiernej włochatości). Troll nawet rzucił miecz i cofnął się pod ścianę, zakrywając twarz rękoma. Strząsnęłam z kurtki jednego nietoperza, ale natychmiast na jego miejscu uwiesiły się dwa kolejne. Od wrzasków i pisków zatykało uszy. Już zamierzałam olać to całe zamieszanie i pójść za przykładem Orsany, gdy czarodziej gwałtownie uniósł ręce do sufitu i na środku karczmy wyrósł słup błękitnego ognia. Kapturek płaszcza ześlizgnął mu się na ramiona, ale, niestety, mało mi to pomogło – w całej tej nietoperzowej zawierusze widziałam tylko niejasne zarysy postaci w niebieskawych przebłyskach. Zanim zdążyłam zrozumieć, co za paskudztwo tym razem wymyślił, uderzony stołem złoczyńca obejrzał się i bez wahania skoczył w ogień. Jego przyjaciel wampir jednym zwierzęcym sussem przez połowę karczmy ruszył jego śladem, zostawiając swój miecz w Rolarze. A właściwie pod pachą Rolara, gdyż arlisski doradca w ostatniej chwili uchylił się przed sztychem w podżebrze i klinga przeciwnika tylko przedziurawiła mu koszulę, utykając głęboko w ścianie. Jako ostatni do ognia wkroczył czarodziej, po czym słup skrami rozleciał się na wszystkie strony, zostawiając po sobie gryzący smród spalonej sierści. Dokładnie w tejże chwili nietoperze jak gdyby opamiętały się,

przez chwilę w szoku zawisły nieruchomo lub zamarły tam, gdzie akurat siedziały, a następnie zgodnie rzuciły się do ucieczki. Po chwili w karczmie pozostało tylko kilka leżących na podłodze martwych ciałek.

Oboje z Walem wyprostowaliśmy się z niedowierzaniem, ostrożnie nasłuchując i rozglądając się dookoła.

– I co? Rozpoznałaś chwybnika? – spokojnie zapytał troll, z niewinnym wyrazem twarzy stukając czubkiem buta w nadłamaną nogę jedyne ocalałego stołu. Mebel z łoskotem runął i w zdemolowanej karczmie zapanował idealny chaos.

– Tylko zauważyłam, że podobny do mnie – burknęłam chmurnie, masując nadgarstek.

Rolar w zamyśleniu strzelił palcami po głowicy miecza, który jęknął w proteście, a następnie złapał obiema rękoma za jelec i pociągnął. Przeciwnik naprawdę się postarał, wampir zdołał się uwolnić dopiero za drugą próbą.

Przez drzwi nieśmiało zajrzała Orsana, bardzo przestraszona i skrępowana. Ale nawet nie zdążyła westchnąć z ulgą, widząc nas żywych (choć trochę sfatygowanych), gdy wampir natychmiast wykorzystał sytuację, z łkaniem osunął się na kolana, przytrzymując wraży miecz łokciem. Tępo popatrzył na sterczącą „z piersi” rękojeść, odrzucił głowę do tyłu i rozpaczliwie jęknął:

– I oto wybiła moja ostatnia godzina... Okrągłe jak spodki oczy panny były nagrodą godną umierającego bohatera.

– Jak chcesz, to cię dobijemy, co byś się nie męczył – wielkodusznie zaproponował troll. Rolar wykonał słaby gest przeczący i cichnym głosem kontynuował:

– I tylko łyk krwi z gardła niewinnej panny może uratować mnie przed niechybną śmiercią...

Orsana bez wahania rzuciła się w jego kierunku, z trzaskiem rozdzierając kołnierz koszuli. Wampir chętnie otworzył objęcia i miecz z łoskotem poleciał na podłogę. Okazało się, że zwykły policzek ratuje przed niechybną śmiercią równie dobrze. Na wszelki wypadek przyjaciółka zaaplikowała Rolarowi podwójną porcję tego cudownego specyfiku, w jednej chwili stawiając go na nogi. Następnie dla wzmocnienia efektu poczęstowała uciekającego wampira kopniakiem w tyłek. Prawdopodobnie solidny wkład w tak szybkie ozdrowienie wniosło również kilka słów, których niewinne panny nie powinny nawet znać.

– Ot, mahabr parszywy! – obruszył się Wal, który tymczasem przeliczał honorarium. – Trzech brakuje! I jak tu wierzyć ludziom?

Ja schyliłam się i podniosłam z podłogi malutki zwęglony pierścionek. Nie bardzo chciałam wierzyć, że mógł dać taki słup płomienia, ale jednak... Czarodziej tylko aktywował amulet natychmiastowej teleportacji. Rzecz niesamowicie niebezpieczną i niepewną, o promieniu działania góra pół wiorsty, ale za to szybką i skuteczną. I niedającą się prześledzić. Teraz szukaj wiatru w polu! Pewnie nawet wylądowali w różnych miejscach.

Wampir przekonał się, że Orsana już nie domaga się jego natychmiastowej dekapitacji, i oparł się o parapet, na wszelki wypadek nie wracając jednak do środka karczmy.

– Gdzieś ja już widziałem tego typka... – Z chmurnym grymasem pokręcił w rękach zdobyczny miecz. – Ale nawet jakby mnie mieli pokroić, to nie pamiętam kiedy i w jakich okolicznościach...

Jeżeli to choć odrobinę pomoże, jestem do usług – złośliwie zaproponowała Orsana, bawiąc się swoim ostrzem. – Wolho, a jak tobie idzie?

– Tak samo.

Ale pierścienia nie wyrzuciłam. Jutro odwiedzę mistrza amuletów, poproszę, żeby porównał jego magię do tej w ametystach.

Orsana ze wstrętem kopnęła któregoś nietoperza i z piskiem odskoczyła do tyłu, gdy niespodziewanie

poruszył się i uniósł w powietrze. Wal machnął mieczem, ale zwierzątko wykonało zwinny unik. Rolar cofnął się, zwalniając mu drogę.

– Chyba poczekam na was na zewnątrz – burknęła dziewczyna, złapawszy oddech. I wyskoczyła z izby, tym razem starannie omijając leżące truchelka. Rolar został w karczmie (a raczej jej żalosnej ruinie), by wszystko pozafatwiać. Gospodarz kategorycznie odmówił wyłączenia spod lady, ale w sprawach finansowych wykazał się godną pozazdroszczenia twardością, grobowym głosem dyktując ze swojego schronu: "... jak również kaftan roboczy, przez nietoperze ubrudzony do stanu kompletnej bezużyteczności – jedna sztuka...". Wal i Orsana aktywnie dowodzili pięciu strażnikom i obu sołtysom, że w karczmie odbyła się wyłącznie przyjacielska bójka, a właściciel nie ma kompletnie nic przeciwko obsuniętemu dachowi i rozjechanym balom. Tłum ciekawskich rósł jak na drożdżach. Wyszłam z karczmy jako ostatnia i nie ściągnęłam na siebie specjalnej uwagi. Przepychanie się przez gapiów chyba nie miało sensu, a przyjaciele wiedzieli, gdzie mnie szukać.

Do domu mojej babki pozostało może ze trzy podwórza, gdy zawołał mnie solidny z wyglądu kupiec około czterdziestki, o krągłych policzkach i ściskający w rękach malutkiego siwego gołębia.

– O, panno wiedźmo, jak to dobrze, że na panią wpadłem! Mam do pani niewielką sprawę.

– Jaką?

– Ot, potrzebuję pilnie wysłać list gołębiem, a ten leń nie chce w nocy lecieć! – poskarżył się mężczyzna żartobliwie. – Nie przemówi pani ptaszynce do rozumu? Taka prośba mnie nie zdziwiła. W mroku gołębie jak wszystkie aktywne za dnia ptaki widziały kiepsko, więc po przeleceniu paru wiorst próbowały prznocować gdzieś w lesie na gałęzi. Więc o ile sprawa była naprawdę pilna, na ptaka nakładano specjalne czary, które pozwalały mu bez zatrzymania mknąć do celu nawet w kompletnej ciemności.

Odeszliśmy na bok, szybko rzuciłam potrzebne zaklęcie, zwróciłam ptaka klientowi i raczej dla podtrzymania rozmowy niż z ciekawości spytałam:

– Czy wy naprawdę nie macie we wsi telepatofonu? Przecież jest całkiem duża. Czy może to jakieś tajemne informacje?

– Jakie tam tajemnice! – Kupiec ze śmiechem machnął ręką. – Pomocnik mój jutro rano ma zamiar jechać z karawaną do Witiagu, a ja już tutaj tanio kupiłem dwadzieścia wiązek lisich futer, więc nie ma co. Telepatią to pewnie by wyszło szybciej i solidniej, tylko przecie zakazana teraz, więc sobie radzimy jak możemy.

– Jak to zakazana? Przez kogo? – zdziwiłam się jeszcze bardziej.

– Przez was przecie – chętnie oświecił mnie gadatliwy rozmówca. – Magów z Konwentu. Że niby przez tę całą sprawę jakiś czar straszliwy rzucili, jedni rozum stracili, inni padli na miejscu, nawet słowa powiedzieć nie zdążyli. Gadają, że w Kamieńcu żaden telepata nie ocalał. Więc póki magowie ze Starminu nie sprawdzą, kto to, co i skąd, to żeby żadnych telegramów. Więc oni sobie tam sprawdzają, a mnie handel stoi! Przecież nie mogę co dzień dziesięciu gołębi wysyłać i jeszcze potem siedzieć i się zastanawiać: dolecą czy nie... Same straty przez was!

Kupiec żartobliwie puścił do mnie oczko, wyciągając obiecaną sztukę srebra. Odruchowo ścisnęłam monetę w garści i natychmiast o niej zapomniałam.

– Kiedy to się stało?!

– Już ponad dwa tygodnie minęły. – Mężczyzna podrzucił gołębia w powietrze, otrzepał ręce i spokojnie kontynuował: – Ale nie ma tego złego, co by na dobre... W stolicy to się o tym oficjalnie nie gada, ale ludzie nadal plotkują, we wstrętnej Bogom wampirzej dolinie, Dogewie, też straty. Następnego dnia stamtąd z gwizdem wyrzucili królewskich posłów, że niby nie mamy na was czasu, dość własnych problemów. Arcymag ze Starminu osobiście do strzyg chodził się kłaniać, pewnie zapewniać, że ichni

Kowen bez winy i takie, ale jego też nie wpuścili. Tyle dobrego, że nie zjedli na miejscu... A może i zjedli, tylko kto by się tam przyznał.

– Jak tam dojechać?! – przerwałam mu.

– A pani to po co? – zdziwił się facet.

– Po to!!! – ryknęłam i przerażony kupiec wydukał:

– Znaczący jest trakt na Zaboryszcza, który naprzeciwko Gierinu przechodzi w Witiagski. Przejedź pani po nim z dziesięć wiorst i na drugim rozwidleniu skręci na Strzygowy. Tam jest dobra droga, ubita. A jest jeszcze krótka, Mrakobiesie Parowy. Chłopi po niej ganiają owce i wozy ciągną. Ona kluczy po lesie, ale jakieś sześć godzin pani oszczędzi... Hej, panno więdźmo, dokąd pani?!

Tam, skąd w ogóle nie powinnam była wyjechać.

* * *

Dopiero gdy kobyła skoczyła, zrozumiałam, że była tam jama głęboka na sążeń, a nie cień od wzgórza. Smółka nie miała humoru jej omijać, mimo że już od ponad godziny pędziła w szaleńczym galopie. Zwykła kobyła dawno byłaby cała spieniona, ale moja tylko odrobinę głośniejsz oddychała, ale tak samo półzartem unosiła się nad przeszkodami.

Mrakobiesie Parowy w całości odpowiadały swojej nazwie. Wiejska dróżka, która desperacko próbowała zmieścić się pomiędzy mnogością lasków, zawałów, zagajników, stęchłych oczek wodnych i wzgórz, w jednym miejscu rozszerzając się, a w innym zwężając do góra trzech łokci. Widoczność z przodu i z tyłu była mocno ograniczona, gdyż trasa zdawała się składać z niemal samych zakrętów. Dopiero w odległości pięciu wiorst od Opadyszcz dotarło do mnie, że porzuceni bez słowa wyjaśnienia przyjaciele na pewno będą się martwić i zaczną mnie szukać. Siodłając Smółkę, myślałam tylko o jednym: k'iarda, nawet półkrwi, nie dogonią nawet najlepsze konie. A oni na pewno będą chcieli jechać ze mną i tylko spowolnią. Poza tym jak niby mieliby pomóc?!

Ale przecież mogłam przynajmniej zostawić liścik! Oj, oberwie mi się... Myśl przemknęła i natychmiast schowała się pod górka znacznie bardziej poważnych. Leszy z nimi, niech mnie nawet na kawałeczki porwą, tylko żeby te plotki okazały się wyłącznie plotkami! A jak nie... to będzie mi już wszystko jedno. Odruchowo popędziłam kobyłę. Smółka prychnęła i z irytacją podrzuciła zadem: ja przecież nie uczę cię jeździć, to ty nie ucz mnie biegać! „Nie jedź”.

Bogowie, jaka ja byłam głupia! Dlaczego go nie posłuchałam? Ostatecznie małżeństwo z wampirem jeszcze nikogo nie zabiło! Co, magia bojowa jest niby pępkiem świata?! No napisałabym pracę z zaklęcia pogody w warunkach „efektu brudnopisu” – unikalny temat, do obrony z palcem w nosie! Ale za to cały czas byłabym obok i w razie czego stanęłabym ramię przy ramieniu, do ostatniego tchnienia... a nie fałszywie przewracała oczami przed przyjaciółkami: „Ojejku, jak ja go kocham!” W końcu co takiego w tym ślubie?! Mogę wyjść za mąż nawet jutro! Jeśli nadal mam za kogo...

Do reszty obrażona kobyła spróbowała ugryźć mnie w nogę. – Już, już, więcej nie będę! Ty patrz pod kopyta!

Droga zanurkowała do piaszczystego wąwozu. Albo kiedyś faktycznie prowadzono tu wydobywanie, albo szczelina w gigantycznym wzgórzu pojawiła się dzięki trzęsieniu ziemi, ale wyglądała całkiem imponująco: pół wiorsty ciągnących się wzdłuż drogi zboczy, do połowy płaskich, a dalej pionowych, z twardszej gliny upstrzonej gniazdami jaskółek brzegówek. Szczelina nie otwierała się dalej dzięki grubej warstwie darni i rosnącym na brzegu drzewkom, które sumiennie poprzecinały korzeniami górny płat ziemi.

Dźwięczny tupot zmienił się w szeleszczące mlaskanie. Kobyła po pęciny grzęzła w osypanym

ze zboczy piasku, gwałtownie zmniejszając prędkość. „Krótsza droga”, żeby to! Zresztą nie brakowało tu śladów – od szerokich kopyt wiejskich zimnokrwistych konisk, włók i psich łap. Oraz wilczych. Nawet przechyliłam się w siodle, żeby się upewnić. Faktycznie były wilcze – odciski przednich łap większe i płytsze, szerokie poduszeczki dobrze trzymają zwierza nawet na miękkim śniegu. Tylko wilków mi brakowało do pełni szczęścia, przecież las był tuż obok.

Pełnia bez jednej chmurki zalewała wąwóz trupioblady światłem, mocno podkreślając wszystkie załamania zboczy. Rzucane przez krzaki cienie wydawały się wąskimi okienkami w murach obronnych. Wzdrygnęłam się. Miałam poczucie, że zaraz polecą stamtąd strzały, z przenikliwym gwizdem rozcinając zimne jesienne powietrze.

Zmrużyłam oczy, obrzuciłam spojrzeniem brzegi urwiska i drgnęłam. Po lewej coś przemknęło. Zadrżała gałąź, ktoś – albo coś? – na chwilę wyjrzało z krzaków i schowało się z powrotem.

– Widziałaś? – spytałam szeptem, pochylając się nad przednim łękiem.

Smółka parsknęła twierdząco i przyśpieszyła kroku.

Nie mogłam użyć impulsu poszukiwawczego – urwisko było zbyt wysokie, by zakłęcie po osiągnięciu krawędzi pokonało ją i ruszyło dalej. Najlepiej sprawdzało się ono na równym terenie, omijając wzgórza u podstawy – i właśnie na tym często potykali się niedoświadczeni magowie, gdy na głowę „ni stąd, ni zowąd” skakał im przyczajony na szczycie wysokiego kamienia potwór.

Kolejne ledwo dostrzegalne poruszenie. Po zboczu z przenikliwym szelestem pociekł cienki strumyczek piasku.

Nie popędzałam konia, co zrobiłby na moim miejscu każdy normalny człowiek. Na odwrót, lekko wstrzymałam Smółkę, krzepiąco klepiąc ją po karku. Klacz z niezadowoleniem położyła po sobie uszy, ale posłuchała. Czarowanie na mknącym co sił koniu to żadna przyjemność, a jeśli nieoczekiwanie wyrwiemy do przodu, to tylko sprowokujemy drapieżnika. Istniała możliwość, że moja bezczelność zbije go z tropu – może uzna, że nie nadają się na późną kolację, i mnie przepuści. Ale za to za wąwozem należało zwiększyć prędkość, tam przynajmniej będziemy miały miejsce na manewry. Bo ściganie się po piasku było z góry skazane na porażkę, tak samo jak próby wspinania się na zbocze. Za to zeskoczyć również nie można – zdecydowanie za wysoko.

Może zwierzę również czekało, aż wyjedziemy na otwartą przestrzeń? Dalej ciągnęły się wzgórza porośnięte rzadkim lasem, w którym chętnie polowały zarówno stworzenia leśne, jak i te ze stepu. Chociażby wilki. Ale ścigająca zdobycz wataha zwykle wyła, a z góry nie dolatywał żaden dźwięk. Zwyczajne strzygi? Na wszelki wypadek sięgnęłam, żeby sprawdzić, jak porusza się miecz w pochwie. I wyczułam nienaturalne ciepło rękojeści.

Przeliczyłam się – stworzenie jednak skoczyło, szybko i zwinnie szybując na krótkich, niedorozwiniętych skrzydłach, przeznaczonych właśnie do takiego ataku, a nie do lotu. Długie pazury wszystkich czterech łap wbiły się w koński kark, nad moim uchem szczęknęły zęby. Smółka kwiknęła i bez namysłu potoczyła się po ziemi, przygniatając stwora. W ostatniej chwili zdążyłam zeskoczyć i nawet w miarę przyzwoicie wylądować. Gdyby droga była twardsza, miałabym na pamiątkę parę siniaków, a tak prawa noga zapadła się w przeklętym piasku i trafiła w szczelinę pomiędzy schowanymi pod nim kamieniami, podczas gdy siła pędu nadal pchała ciało do przodu.

Rozległ się głośny chrzęst, który natychmiast zmienił się w palący ból prawej nogi. Nigdy przedtem nie udało mi się złamać nogi i nowe wrażenia wyraziłam przeraźliwym wrzaskiem, wielokrotnie wzmocnionym przez urwiska i nagrodzonym piaskową lawinką. Zresztą pochlebiałam sobie – dźwięk nie miał nic do rzeczy. W dół ześlizgnęło się kilka następnych stworów, niektóre skakały ze zbocza, inne z głośnym łopotem skrzydeł zjeżdżały po piasku. Trójka z różnych stron atakowała Smółkę, która właśnie zerwała się na nogi. Pierwszy napastnik, bezsilnie szczękając zębami, rzucał się na ziemi z przetrąconym

grzbietem. Piąty skoczył wprost na mnie. Nigdy w życiu nie miałam okazji widzieć niczego podobnego – kudłate ciało na długich, sprężystych łapach, ogromna paszcza złożona z samych kłów i nieruchome, jak u zombie, lśniące w mroku ślepie. Zza tej całej wstrząsającej kompozycji sterczały przeurocze kudłate uszy, które aż się prosiły, by je poczochrąć. Kobyła energicznie kopnęła jednego ze stworów uzbrojonymi w pazury kopytami, szczęknęła kłami przed nosem drugiego, a gdy cofnął się z piskiem, przeskoczyła obok i rzuciła się do wyjścia z wąwozu, więc trzeci wylądował już na pustym miejscu. I z rykiem ruszył w pogoń razem z resztą, powoli, lecz pewnie doganiając zdobycz. Zacisnęłam zęby, z trudem podniosłam się na zdrowe kolano i niezgrabnie wyciągnęłam miecz z pochwy. Pod takim kątem powinien był utknąć w połowie drogi, ale miałam wrażenie, jakby w ostatniej chwili wykręcił się, pragnąc szybciej wyjść na wolność. Lśnienie znaku zmusiło stwora do cofnięcia się, ale natychmiast atakował z boku, rozrywając mi zębami rękaw. Srebrne kolce nie zrobiły na nim żadnego wrażenia, chyba tylko przeszkodziły odpowiednio głęboko zatopić kły, które prześlizgnęły się po łokciu, zdzierając kawałki skóry kurtki i mojej. Nie miałam czasu, by odwrócić miecz dla zadania ciosu, więc po prostu walnęłam potwora głowicą w łeb. Paskuda cienko pisnęła, zupełnie jak szczeniak, po czym odskoczyła, kręcąc łbem i drapiąc go pazurami jak użądłona przez szerszenia.

W samą porę obejrzałam się, słysząc odgłos skrzydeł. Pulsar wylądował wprost w otwartej paszczy, odrzucając kolejnego gościa na dobre sto łokci. Jeszcze jeden zwinnie odwrócił się w powietrzu, lądując dwa sążnie dalej, za moimi plecami, i natychmiast skoczył, celując w szyję. Miecz, prawie nie napotykając oporu, rozciął go od klatki piersiowej do pachwiny. Krew ciężkimi kroplami posypała się z ostrza jak kulki rtęci, nie zostawiając na zimno połyskującej stali nawet plamki. Stwór upadł na bok tuż koło mnie, gwałtownie skrobął łapami piasek i znieruchomiał.

Tymczasem uszaty ocknął się i zaatakował ponownie. Tym razem mądrzej – krótkimi, szybkimi wypadami, natychmiast odskakując, jak pies myśliwski tańczący dookoła osaczonego wilka. Trzymając go do pojawienia się myśliwego i równocześnie kombinując, czy nie nadarzy się okazja, by samemu zatopić kły w przypadkowo odsłoniętym gardle.

Płynnie kreśliłam sztychem miecza ósemki, nie pozwalając mu podejść bliżej i nie dając się sprowokować. Lewa ręka z rozdartym rękawem drżała coraz mocniej, paskuda z łatwością uciekła przed słabiutkim pulsarem. Więcej nie ryzykowałam. Na skonstruowanie zakłęcia potrzebowałam kilku sekund. Do skoku z odległości trzech łokci pod nieruchomy miecz wystarczała jedna.

Pomyliliśmy się oboje równocześnie – ja, kiedy usłyszałam dochodzący gdzieś z daleka desperacki koński kwik, drgnęłam i nieco odwróciłam głowę, i on – kiedy zdecydował, że zdąży.

Nie zdążył.

Po chwili wahania rozluźniłam palce i uszaty stwór z gardłowym jękiem upadł na ziemię, razem z wpakowanym po samą rękę mieczem.

I nastała cisza. Ciężka, niedobra, dzwoniąca w uszach pulsującą krwią.

Coś było nie tak. Znacznie bardziej nie tak, niż może być o północy na zalanym krwią piasku, ze złamaną nogą, w otoczeniu martwych i zdychających potworów.

Od zadrapanego łokcia rozpełzały się lodowate strzały, które kłuły już pod pachą. A potem sięgnęły jeszcze głębiej.

Księżyc gwałtownie zbladł, odpłynął na bok. Zachwiałam się i runęłam na piasek twarzą tuż obok paskudnego pyska z błyszczącymi wilgocią trującymi kłami.

Dolna szczeka powoli pełzła w dół, jak gdyby próbując coś powiedzieć. Świeące oczy również ożyły i skupiły się na mnie, ale nie ze ślepą zwierzęcą wściekłością, tylko całkowicie rozumnie, z triumfem, wyraźnie rozkoszując się widokiem.

„Wiedzmo, jednak cię dostałem!”

Jeszcze usłyszałam głośny oddalający się śmiech i wrażenie cudzej obecności znikło.

– A ja jednak cię pamiętam.

Pełznące ze wschodu chmury urwały się nad rzeką, czując pokrewną duszę w jej szerokim, mulistym rozlewisku. Krople deszczu szeleściły po słomianych dachach, stukały po nowych dachówkach, zdobiły przeplatającymi się kręgami malutkie jezioro na środku wyspy.

Wyrwał się z wody przy piątym czy szóstym uderzeniu gromu, wziął zamach mocnymi skrzydłami, wyciągnął szyję i w potoku lejącej się z nieba wody razem z chmurami ruszył na zachód, w kierunku ośmiu rozrywających niebo pazurów wież. Półprzezroczystym cieniem mignął przy samych murach, zatoczył szeroki łuk i ruszył z powrotem. Już z jeźdźcem...

* * *

Mimo wszystko paszcza się nie zamknęła. Oczy zgasty, powoli zaciągnęły się półprzezroczystymi trzecimi powiekami... i prawie natychmiast skrzydła i pazury zaczęły topnieć, a ciało maleć jak garść rzuconego na węgle śniegu. Po paru sekundach leżał przede mną zwykły kundelek – rudy, kudłaty, z czarującą uszată mordką, na której zastygły zdumienie i ból. Dalej wyciągnął się płowy psiak, jeszcze za nim – nadal dymiący psi szkielet.

– Cóż, nieźleśmy sobie popsuły wesela... – szepnęłam.

Jakże bez znaczenia wydają się wszystkie nasze problemy w obliczu tego najbardziej ostatecznego. Gdy zaczyna się liczyć wyłącznie to, czego człowiek nie zrobił i nie powiedział...

W tym przerażającym, wyniszczającym i nieubłagalnie nadchodzącym mroku odczułam czyjąś niewidoczną obecność – i przerażenie uciekło, zastąpione niewysłowioną ulgą, pewnością, że nie będę tam sama.

Już rozpływając się w pustce, resztkami świadomości rozwarłam odmawiające posłuszeństwa wargi – albo tak mi się tylko wydawało – i wyrzuciłam z siebie to jedyne, najważniejsze w życiu słowo: – Len...

* * *

– Ce ja w usim winna! – po urywającym się, pełnym rozpaczy głosie i częstych szlochach można było łatwo zgadnąć, że Orsana przełyka słowa na pół ze łzami. I chyba u kogoś na piersi, odrywając się od niej tylko od czasu do czasu – chlipnięcia brzmiały raz ciszej, raz głośniej. – Przecie obicałam, szo nie spuszczę z ii oczy! Lewa połowa wsi, pomyślałam obojętnie.

Zabrzmiało głucho dzwonięcie, jak gdyby pokrzepiająco klepano kogoś po osłoniętych kolczugą plecach. Potem usłyszałam pełen skrępowania kaszel Rolara. Mojego czoła dotknęła chłodna ręka i Welka przesadnie optymistycznie ogłosiła:

– Chyba antidotum zadziałało. Ma lekką gorączkę, ale to nic strasznego. Wydaje mi się, że wszystko będzie dobrze. Mam rację, koleżanko?

Lakoniczne mruczenie Kelli nie dawało się pomylić z niczym. Dogewska zielarka potrafiła doprowadzić chorych o szczególnie wybujałej wyobraźni do stanu bliskiego omdleniu, patrząc na ofiarę zwykłego przeziębienia tak sceptycznie, jakby brała wymiary na trumnę.

– A jeśli mimo wszystko zejdzie, to nawet zwrócę ci zadatek. – Wal chwilę się zastanowił i dodał: – Połowę, bo przecież muszę odliczyć przynajmniej wydatki na przejazd! Poza tym wczoraj wypła całe sześć kufli kwasu na mój rachunek, a to też pieniążek...

Że co?! – oburzyłam się, powoli rozumiejąc, że te natchnione przemowy nie brzmiały jak z okazji

stypy. Chociaż po takim „pożegnaniu” to nawet trup wyskoczy z grobu, żeby nauczyć moresu przedwcześnie ucieszonych krewnych i znajomych. Więc chyba ja również powinnam się wtrącić...

Ostatnią kroplą był cichy i lekko zmęczony baryton nad samym uchem:

– Dajcie spokój, przecież nikogo nie obwiniam. Najważniejsze, że wszystko dobrze się skończyło.

Poznałam go od razu, ale żeby uwierzyć, musiałam otworzyć oczy i gwałtownie usiąść na łóżku. Noga odpowiedziała atakiem bólu, ale takie drobiazgi mnie nie obchodziły.

– I jak się czujesz? – najspokojniej w świecie zapytał Len, ulokowany wygodnie, z rękami pod głową, na szerokim łóżku obok mnie.

Patrzyłam na niego z góry i myślałam, że zaraz albo rzucę się go całować gdzie popadnie, albo uduszę, żeby mnie następnym razem tak nie straszyl. To jeszcze pytanie, kto kogo bardziej nastraszył! – odciął się on i usiadł. – Dwa tygodnie temu dostaję wiadomość telepoczta, jakoby od ciebie, na szczęście rzuciłem się do telepatofonu z taką prędkością, że zleciał na podłogę i rozbił się na kawałki. Następnie okazuje się, że wszyscy co lepsi telepacji odbyli ekspresową podróż na tamten świat! I co ja mogłem pomyśleć?! Oczywiście, że zakopali cię pod jakimś krzaczkiem, skoro ośmielili się tak otwarcie wystąpić w twoim imieniu! No to rzucam wszystkie sprawy... Kella prychnęła z niezadowoleniem i złożyła ręce na piersi. Wampir, jak zwykle nie zwracając na nią uwagi, ciągnął:

– ... wołam na poszukiwania naszych wspólnych przyjaciół i zaczynamy przeczesywać Belorię z czterech stron, w każdej wsi po drodze rozpytując o rudą wiedźmę na czarnej kobyle, aż...

– Ciche Rosochy – przerwał mu uśmiechnięty Rolar. – Tamtejszy dajń wydawał się bardzo zasmucony twoim brakiem współpracy przy uszczęśliwianiu nabożnych chłopów występami na wesoło strzelającym ognisku pośrodku placu.

– A ja szłam twoim śladem od samego Rozdroża! – pochwaliła się Orsana. – Ale dogoniłam dopiero w Opadyszczach. Miałam wrażenie, że widzę cię w tłumie na jarmarku, ale kiedy się rozglądałam, sama do mnie podeszłaś. Tak bardzo się pogubiłam, że nawet nie uwierzyłam od razu!

– Od Smrodziska goniłyśmy razem – zazdrośnie poprawiła ją Welka. – Przecież nie mogłam tylko siedzieć i patrzeć, kiedy jakaś uzbrojona po zęby nieznajoma panna rozpytuje o moją najlepszą przyjaciółkę, której grozi śmiertelne niebezpieczeństwo! Wal nie śpieszył się do barwnego odmalowywania przeprowadzonych poszukiwań, ale tak znacząco szczyrzył zęby, że chyba faktycznie przejechał za mną przez połowę Belorii.

– Czekaście! – Złapałam się za głowę, próbując połapać w potoku lejącej się na mnie informacji. – Dlaczego uważacie, że zamachy na mnie i Lena są jakoś ze sobą powiązane? Naprawdę wątpię, żeby parszywy czarownik z Kruczyc Szponów odważył się atakować władcę Dogewy tylko po to, by zepsuć mi humor! Oczywiście chętnie by go zepsuł, ale nie za taką cenę!

– I właśnie tego chcieliśmy się dowiedzieć, idąc z tobą do tej karczmy – westchnął Rolar.

– Mimo mojego... prośby – wtrącił się Len, wyraźnie nie mogąc się pohamować. Doradca ze skrucą schylił głowę.

– I co?

– Wcale nie jest aż taki parszywy – Rolar uniknął odpowiedzi.

– Obwiesił się paroma tuzinami amuletów i tyle – obruszyłam się. – Ale nic to, teraz wiem, kim jest, i znalezienie go w Opadyszczach przy użyciu magii to pestka!

– Już nie jesteśmy w Opadyszczach – rzuciła Welka. – To Świty, niewielka wieś niedaleko od wąwozu. Moja daleka ciotka tu mieszka, ale akurat nie ma jej w domu. Znają mnie tu, więc sąsiadka bez zbędnych pytań wpuściła mnie do jej izby.

– A tych pogańców nawet śladu – zameldowała Orsana z rozczarowaniem. – Do wsi nie wrócili, nawet konie zostawili pod karczmą...

– Nic to, przed nami nie uciekną – obiecał Len ponuro. – Wolho, przecież kiedyś marzyłeś, żeby mieć wiernych przyjaciół i niepokieszonego ukochanego, którzy pomszczą twoją śmierć? No więc zafundujemy ci tę przyjemność jeszcze za życia!

Ponownie odwróciłam się do niego, zagubiona, skrępowana, zszokowana, ale też niesamowicie szczęśliwa i oburzona:

– A po co ci był ten spektakl z wyganianiem ambasadorów?

– Nie wyganianiem, tylko uprzejmą prośbą, żeby odwiedzili nas innym razem – poprawił mnie władca Dogewy. – Ambasador zawsze jest równocześnie szpiegiem, a ja nie chciałem, by ktoś zauważył moją nieobecność w dolinie. Albo wiedział, że żyję. Lepiej niech się gubią w domysłach i rozpuszczają plotki o mojej śmierci, nam to tylko na rękę.

– Ale jeśli czarodziej jest pewien, że oboje nie żyjemy, to dlaczego w takim pośpiechu uciekł ze wsi?

– Zdradziłem się – niechętnie przyznał wampir. – Wczoraj w karczmie.

– Czyli to były twoje nietoperze?! – zrozumiałam. Len chmurnie kiwnął głową.

– Zbliżałem się już do Opadyszcz i nie wytrzymałem. Najpierw chciałem się po prostu przekonać, że wszystko z tobą w porządku, ale zobaczyłem, co się dzieje, i uznałem, że czas się wtrącić...

– Po co?! Prawie wygraliśmy, a ty pomogłeś im uciec!

– Prawie przegraliście, a ja ich przegoniłem! – odgryzł się władca Dogewy. – Wolho, nie poradziłabyś sobie z nim!

– A to dlaczego? Czy ty wątpisz w moje umiejętności?!

– Raczej nie wątpię w jego!

– Czyli go znasz?!

– Nie. Ale niedługo poznam. – Len gwałtownie wstał z łóżka. – No dobra, zbieramy się! I tak straciliśmy masę czasu, więc teraz czeka nas jazda po zmroku.

– Czeka, czyli wczoraj w nocy to ty mnie szpiegowałeś?! Ten nietoperz, który przeszkodził mi w wyjściu za wieś i złapaniu tego padalca? Po twarzy wampira przemknął jakiś cień, ale nic nie powiedział. Rolar również spochmurniał.

– A dokąd jedziemy? – spytałam nieco poniewczasie.

– Właśnie, my jedziemy – podkreślił Len. – A ty ze swoją nogą, a raczej bez niej, zostajesz tutaj!

– Że coooo?! – Usiłowałam przeprowadzić wściekle zrywanie się na nogi, ale natychmiast z jękiem opadłam z powrotem. Przeklęta noga ledwo się poruszyła, ale czułam się, jakbym złamała ją na nowo.

– Że to – spokojnie odparł wampir. – Weleena i Kella cię przypilnują.

– Ale mogę zaleczyć kości, używając magii!

– Żeby po paru dniach ponownie rozleciały się na kawałki jak twoja podarta i byle jak zaczarowana kurtka?

Skrzywiłam się. A żeby tego ghyrowego telepatę – dobrze wie, że tak naprawdę noga uzdrowi się w najlepszym razie za tydzień, a zaklęcie po prostu przytrzyma ją we właściwej pozycji jak zwykła szyna. Bardzo dobra, pozwalająca poruszać się po domu bez użycia kul czy siedzieć w siodle, ale o wspinaniu się na zbocza czy walce na miecze mogłam zapomnieć. Z drugiej strony czy przyjaciołom naprawdę nie przyda się magiczne wsparcie siedzącej gdzieś w cieniu wiedźmy? Przecież nie czaruję nogami, a Smółka wejdzie wszędzie...

Niespodziewanie Len zgubił wątek, zakaszłał i spojrzał w podłogę, jak gdyby zastanawiając się, od czego zacząć nieprzyjemną, ale ważną rozmowę.

– O co chodzi? – spytałam ostrożnie.

– Wolho, obawiam się, że już nie masz konia. Wnioskując ze śladów, uciekła do lasu, a my nie mieliśmy czasu, żeby jej szukać. Poza tym... ją chyba również parę razy drasnęły.

– K'iardy są odporne na większość trucizn, więc może wszystko będzie dobrze – szybko dodała Kella, widząc wyraz mojej twarzy.

– Ale w lesie jest pełno wilków, a ona jest ranna i nie da rady walczyć! Jak mogliście ją tam zostawić?!

– Wolho, nie mieliśmy dość czasu, by ratować was obie, i wybraliśmy ciebie – zimno uciął Len. – Przepraszam. Czasami po prostu nienawidzę tego wampira. Szczególnie kiedy ma rację.

– No dobrze. – Przełknęłam tkwiącą w gardle kulę i ciągnęłam z nienaturalnym spokojem: – Mogę wziąć... innego konia. Innego! Po mojej wrednej, upartej, bezczelnej i bezcennej Smolce!

– Mamy tylko cztery. Dwie osoby nie wysiedzą w jednym siodle zbyt długo, a tak obładowany wierzchowiec nie będzie poruszać się szybko, szczególnie jeśli ktoś będzie nas gonił albo trzeba będzie skakać przez przeszkody. Poza tym w twoim obecnym stanie potrzebujesz raczej wozu. A nawet gdybyśmy takowy mieli, to i tak byśmy cię nie zabrali.

– Dlaczego?!

– Ponieważ ja tak mówię – uciął Len, zwracając się w kierunku Kelli: – Tha werrin dou sha?

– Fessp tkerr. – Zielarka poważnie skinęła głową.

– Z jakiej racji decydujesz za mnie?! – Druga próba przyjęcia bardziej godnej pozycji zakończyła się tak samo parszywie.

– Może powinniśmy ją przywiązać? – z namysłem spytała Welka. Rzuciłam zdrajczyńi tak gorące spojrzenie, że gdyby przyjaciółka na czas nie pstryknęła palcami, po jej wspaniałym warkoczu zostałby tylko osmalony ogonek.

– Ponieważ nie mam ochoty na zostanie wdowcem z pominięciem etapu męża. – Len nie zwrócił uwagi na mój słuszny gniew i teraz w skupieniu oklepywał kieszenie – na piersiach oraz na spodniach – sprawdzając, czy wszystkie potrzebne w terenie drobiazgi, jak to krzesiwo i składany nóż, są na miejscu.

– Foczko, jeśli to poprawi ci humor, to przywieziemy ci łeb tego labarra – obiecał mi troll z uśmiechem, naciągając skórzane rękawice z obciętymi palcami.

– Czekaście no – opamiętałam się niespodziewanie. – A dlaczego wcześniej nic mi nie powiedzieliście? Ani o zamachu na Lena, ani o tym, że już od dwóch tygodni szukaliście mnie po całej Belorii?

Zapanowała paskudna cisza. Orsana i Wał zerknęli na Rolara, on razem z Kellą i Welką – na władcę Dogewy. Ponieważ Len zagryzł wargę i dalej szybko zapinał kurtkę, znałam już winnego.

– Len? Leeen!! – Gwałtownie pociągnęłam dłonią z góry na dół.

– Właśnie dlatego nie powiedzieliśmy – burknął troll, ponieważ wampir w szoku przyglądał się spadającym na podłogę guzikom – że koniecznie musiałybyś pchać w to swój nos. Więc ktoś zapobiegliwie zapła... znaczy się poprosił nas o trzymanie języka za zębami.

– Czyli po prostu mnie sprzedaliście – szepnęłam. – Sprzedaliście temu podłemu typowi! No dobrze, u Wała to jeszcze zwykła rzecz, o Rolarze z Kellą nie wspomnę, bo w końcu są wampirami i czego można od nich wymagać! Ale wy, Orsano, Welko! Moje najlepsze przyjaciółki! Jak mogliście?!

„Wiedźmosprzedawcy” zgodnie sapnęli i zaczęli pociągać nosami. Ale za to Len, który przedtem jeszcze jakoś utrzymywał pełny winy i skruchy wyraz twarzy, co jakoś mnie pocieszało, nie wytrzymał:

– Tak między nami, to ten podły typ jest twoim mężem i chroni cię jak może!

– Nic z tych rzeczy, ślub dopiero za trzy tygodnie!

– Pamiętam – potwierdził wampir sarkastycznie. – Ja również! Ale co to zmienia?

– To zmienia wszystko! Wszystkie moje plany, całe moje życie! I co, po ślubie również będziesz mnie cały czas „chronić”?!

– Jeśli będę musiał – potwierdził bez mrugnięcia okiem.

– No nie, za takie coś to podziękuję, takie szczęście nawet za darmo mi niepotrzebne! – wściekłam się ostatecznie. – W takim razie zabieraj swój pierścionek i szukaj dla niego jakiejś bardziej zgodnej ręki. Mojej, przepraszam bardzo! potrzebuję do pracy, a nie do cerowania twoich skarpet!

– A zabiorę – nieoczekiwanie zimno stwierdził Len, wyciągając dłoń. – Oddawaj. Ja, Arrakktur Torard Weist Shaeonell, zrywam zaręczyny. Wszyscy słyszeli? Mam nadzieję, że teraz jesteś zadowolona?

Coś zadrżało i urwało się w środku. W oczach mi pociemniało i powoli, na oślep ściągnęłam zdzierający skórę pierścionek. Z trudem, tylko cudem unikając załamania głosu, wykrztusiłam:

– Jak najbardziej. I nie oddając, wzięłam zamach i wyrzuciłam błyskotkę przez otwarte okno.

– Doskonale. – Len nawet nie spojrzał, gdzie poleciała, tylko odwrócił się i wyszedł z izby. Przyjaciele, z poczuciem winy uciekając spojrzeniami i spiesznie rzucając pozostawione bez odpowiedzi słowa pożegnania, wyszli za nim. Chyba belorskie strzygi i kudlaki nie pozbędą się mnie po dysertacji i egzaminie na tytuł bakałarza trzeciego stopnia. Ponieważ następnie będę broniła drugiego oraz pierwszego, a może nawet pokuszę się o habilitację na arcymaga na czterdzieści zwojów, od których już nic nie będzie mnie odrywało.

Ale jeszcze tydzień temu nie przyszłoby mi do głowy, że będę z tego powodu tak płakać...

Rozdział czwarty

Sezon pogoni

Lepsze niż góry są tylko góry!

Wers z krasnoludzkiego hymnu

Okolica robiła się coraz bardziej pagórkowata. Trzy dni temu ze wszystkich czterech stron widniała smętna równina, porośnięta miarowo falującą pożółkłą trawą, ale niebawem ziemia zaczęła kipieć, wyszczerzyła się lasami i rozciekła płytkimi rzeczками, akurat koniom do kolan. Z każdą kolejną wiorstą te „fale” rosły wzwyż i wszecz, więc ostatecznie droga, zmęczona wspinaczką, zaczęła je omijać. Lasy iglaste zmieniły się w liściaste, porośnięte nieznanymi Orsanie drzewami – rozłożystymi, o ogromnych liściach wielkości dłoni. Wał nazwał je „wagurcnymi żbyrami”, Rolar złagodził to określenie do „wilczych orzechów” – nietrujących, ale niezbyt jadalnych. Tu i ówdzie pnie całkowicie chowały się pod bluszczem, usianym gronami drobnych kwiatów. Po nastaniu zmroku zaczynały one ociekać nektarem i tak słodko pachniały, że aż łupało w skroniach. Któregoś razu Orsana nie wytrzymała, podstawiała dłoń i zlizwała kilka słodkich kropli. Nie zatrąła się, ale za to pokryła tak malowniczymi jaskrawoniebieskimi plamami, że widząc ją rano, Rolar i Wał z przerażeniem złapali za miecze, a Len – za brzuch. Dziewczyna obraziła się na całą trójkę i udawała, że nie zauważa rozbawionych spojrzeń ani stłumionych śmiezków.

U podnóży wzgórz często trafiały się wsie – gęsto skupione malutkie domki i ciągnące się w górę po zboczach wstęgi zaoranych pól i sadów, na których widok człowieka miał wrażenie, iż miejscowi przywiązywali każde jabłko osobnym sznurkiem, by potem nie szukać go w pokrzywach rosnących wiorstę niżej. Mieszkały tu przeważnie krasnoludy, ale też osiadli orkowie, którzy woleli pracę na roli od stad desperacko beczących owiec, potrafiących zagrozić drogę nawet i na kwadrans. Zresztą trafiały się też ludzkie oraz mieszane osady. Dawało się je odróżnić na podstawie wszechobecnych sadów i bydła – krasnoludy sadiły drzewa owocowe długimi, wąskimi pasmami, a same jabłonie przypominały raczej krzaki, które ledwo zrównywały się wysokością z człowiekiem. Małe ciemnorude kozy łakomie zerkały na nie zza solidnych płotów. Ludzie woleli zwierzęta o większych gabarytach, takie jak krowy i owce, które pasły się bezpośrednio pomiędzy drzewami o grubych pniach. A potem horyzont zniknął za siwą mgiełką, która po kolejnych dziesięciu wiorstach ścięła się we wstęgę o zębatym szczycie. – Elgar.

Rolar uniósł się w strzemionach, mimo że dodatkowa para werszków nic nie zmieniała – i tak znajdowali się na szczycie wyjątkowo wysokiego wzgórza. Len siedział na Wolcie, a Rolar na Powilice – smukłej kobyle – k’iardzie o oryginalnym żółtym umaszczeniu z ciemno-rudymi przebarwieniami na pęcinach i pysku. Czekali na Wianka Orsany, który z uparcie pochylonym łbem włąził na zbocze, oraz szkapinę Wala, oglądającą je ze wstrętem, nie mając ochoty na wspinaczkę nawet pod groźbą przeróbki na kiełbasę, którą w szczegółach odmalowywał troll.

– Daleko jeszcze?

– Odległość jest myląca. Jeśli w linii prostej, to dwa dni. Ale nas czekają nie mniej niż trzy. Może zrobimy postój i coś przegryziemy?

Len obejrzał się na zziąbaną, ale zadowoloną Orsanę, która na ostatnim etapie wciągała konia za ogłowie, i po raz kolejny z trudem powstrzymał śmiech. Plamy już nieco zbladły, ale dziewczyna nadal robiła niesamowite wrażenie.

– Czemu nie. Potem zjedziemy po przeciwnym zboczach, Wal akurat zdąży objechać. Troll zrezygnował z prób obudzenia w swoim wierzchowcu duszy górskiej kozicy i skierował go na lewą drogę. Niepokątna klacz brudnoburej maści w praktyce okazała się niesamowicie wytrzymała, zostając w tyle za k'iardami i Wiankiem w galopie, ale niezmiennie doganiając ich, gdy męczyły się i przechodziły w kłus. Orsana padła na trawę, wymacała i odwiązała od pasa flaszkę, po czym napiła się łapczywie.

– Ufff... dobrze, że Wolha z nami nie pojechała, tutaj to nawet zdrowy człowiek nogi połamie! Chyba faktycznie udało ci się ją nieźle wkurzyć... Len tylko westchnął i również zsiadł z wierzchowca.

– Ale, ale... – ciągnęła dziewczyna, zatykając flaszkę. – Czy jesteś pewien, że wkurzyłeś ją wystarczająco?

– Znając Wolhę? – Władca Dogewy podrapał łaszącego się rumaka za uchem, rzucił kolejne spojrzenie na góry i ze smutkiem pokręcił głową. – Nie.

* * *

Posępnie spojrzałam na kubek, po sam wierzch wypełniony zielonkawym płynem o konsystencji kisielu, woniejącym absolutnie z niczym nieporównywalnym aromatem kubła ze śmieciami.

– Malutka, pij już – gruchała Kella z wyrazem twarzy doświadczonej trucicielki. – Od razu ci ulży!

– W sensie: dostanę rozwolnienia? Wampirzyca prychnęła z urazą i już bez szczególnych ceregieli wepchnęła mi kubek do ręki.

Smak nie był wiele lepszy od zapachu, ale znając Kellę, dalsze kaprysy mogły okazać się niebezpieczne. Obandażowana noga, ulokowana na wysokiej poduszce, zachowywała się poprawnie – póki nie próbowałam użyć jej zgodnie z przeznaczeniem. Ale do dekorowania łóżka nadawała się jak najbardziej. Welka patrzyła na grubaśne dzieło swoich rąk z kiepsko ukrywaną dumą. Nie nałożyła magicznej szyny i mnie również nie pozwoliła – niby po to, żebym odczuła całą powagę swojego stanu. Kella sprawdziła, że kubek jest pusty, i z uśmiechem pstryknęła mnie w podbródek, z zaskoczenia zmuszając do przełknięcia pozostającego w ustach eliksiru (akurat zastanawiałam się, gdzie mogę go niezauważalnie wypluć). Ignorując oburzone sapanie pacjentki, zielarka złapała świecę i wyszła do kuchni, zamykając za sobą drzwi.

Ze zmęczeniem opadłam na poduszkę, gapiąc się w szary kwadrat okna. Od chwili wyjazdu przyjaciół na dworze nie cichły burze. Wiatr zrywał z drzew resztki liści i z wilczym wyciem gonił na zachód niskie kudłate chmury, które co rusz na znak protestu wybuchały deszczem. Głowa ciążyła mi na ramionach, miałam dreszcze, ale nawet nie zastanawiałam się nad snem.

Gdzie ich mogło wywiać?! Pierwsza dzika wściekłość na Lena (żeby cię, draniu, szlag trafił!) zmieniła się w zwykłą (już ja ci pokażę!), następnie w obawę (a jeśli go faktycznie trafi?), a potem prawdziwą panikę (może już trafił?!). Do lepszego z tymi zaręczynami, przecież sama ich nie chciałam! Ale gdzieś tam moi przyjaciele przedzierali się przez huragan, mokli w deszczu, walczyli o mnie i może nawet ginęli, a ja leżałam sobie w łóżku, obrażona o jakiś durny pierścionek! Niedoczekanie!

Zielarki cichutko szeptały w kuchni, od czasu do czasu wybuchając wstrzymywanym chichotem i dzwoniąc flakonikami – pewnie wymieniały doświadczenia, nie podejrzewając nawet, jak koszmarną niewdzięcznością wykazuje się ich podopieczna. Co prawda chwilowo nie miałam żadnego przyzwoitego planu. Próby wyjścia z domu tak, by nie zauważyła tego Kella, były z góry skazane na porażkę, wampirzyca złapie mnie już w progu. Oczywiście mogłam ją uspić zaklęciem, ale w takim razie natychmiast miałabym na karku Welkę. Przecież nie będę do niej rzucać pulsarami bojowymi! Nie żebym się specjalnie wstydziła (w końcu to moja najlepsza przyjaciółka!), ale jeśli odpowie, to będzie moja

kolej płakać! Poza tym co dalej? Torba leżała na krześle, miecz wisiał na jego oparciu, ubranie najpewniej było w szafie, ale co z koniem? Na piechotę daleko nie zajdę, a wioska była maluteńka, mało prawdopodobne, bym znalazła tu konia pod wierzch, tym bardziej w nocy. Żywo sobie wyobraziłam, jak siedząc na pękatej klaczy, w tempie orki posuwam się przez rzadki W las, a po obu stronach lekkim truchtem biegną zielarki i na przemian tłumaczą mi cały bezsens takiego zachowania. Brrr... Wzdrygnęłam się i wyżej naciągnęłam kołdrę. Nie, musiałam wszystko dokładnie przemyśleć! Będę miała tylko jedną próbę, a jeśli się nie powiedzie, te harpie nie zawahają się przykuć mnie do łóżka w sensie jak najbardziej dosłownym – łańcuchem studziennym, na który Kella zachłannie zerkała przy słowach Lena, ale chyba ostatecznie uznała, że skorzysta z tej radykalnej metody w ostateczności.

Nagle ktoś załomotał do drzwi, tak głośno i desperacko, jak gdyby pragnął przebić je na wylot, o ile gospodarze się nie pospieszą. Rozmowa natychmiast się urwała. Skrzypnęło krzesło, a po nim zasuwka. Hałas deszczu wyraźnie się nasilił, spod drzwi powiało wilgocią i zapachem mokrej ziemi.

– Panny kochane, ratujta! – błagalnie zajęczał męski głos, który co rusz urywał się łkaniem. – Żona mi tam rodzi, już pełna doba minęła i nic, już się cała wymęczyła... Czy może panny raczą obejrzeć? Zapłacę, nie ma obawy!

Usłyszałam przygłuszone brzęknięcie. Pewnie któraś monetka wypadła z trzęsących się rąk na podłogę, tocząc się przez całą kuchnię.

– Gdzie znajduje się „tam”? – chłodnym, rzeczowym tonem sprecyzowała Kella.

– Na drugim końcu wsi, jakieś dwadzieścia chałup! Ciotka mi powiedziała, że u jej sąsiadki mieszkają teraz dwie znachorki, może i młode, ale sprawne, wyleczyły ją od jęczmienia w pięć minut. To pomyślałem sobie, że może raczą...

– Rozumiem – przerwała mu trzechsetletnia dogewska zielarka. – Proszę chwilę poczekać na zewnątrz, naradzimy się.

Chłop bez słowa sprzeciwu wyniósł się za drzwi. Moneta chyba pozostała gdzieś pod stołem. Sądząc z panującej ciszy, narada polegała na wymianie znaczących spojrzeń.

– Pójdę – w końcu zdecydowała Kella. – Miałam już okazję odbierać porody u ludzkich kobiet, to trochę bardziej skomplikowane, ale zasady są identyczne. A ty nie spuszczaaj oczu z naszej rudej wredoty. (W myśli pogroziłam zielarce pięścią). Mam przeczucie, że coś kombinuje.

– Po dziesięciu kroplach „miodowego nasennika”? – sceptycznie prychnęła Welka.

– Była opiekunką, a na wampiry ludzkie eliksiry działają słabiej. Ja potrzebowałabym przynajmniej czterdziestu. Zapamiętam to sobie, pomyślałam mściwie.

– Przynajmniej w tej chwili jeszcze nie śpi – ciągnęła Kella, umacniając mnie w przekonaniu, że z takimi przyjaciółmi nie potrzebuję wrogów. – Więc na wszelki wypadek do mojego powrotu nie wychodź z izby.

– Dobrze. Weź parę ręczników i to tutaj, w ciemnym flakoniku masz wyciąg... – Zielarki wymieniły jeszcze kilka zawodowych komentarzy i szybko się pożegnały. Drzwi wejściowe i wewnętrzne trzasnęły równocześnie.

Natychmiast przymknęłam oczy i wyrównałam oddech. Welka zbliżyła się do łóżka. Schyliła się, przyglądając podejrzenie spokojnemu wyrazowi mojej twarzy. Chciałam dla dodania jej pewności jeszcze zachrapać, ale uznałam, że to będzie przesada. Zadowolona z oględzin zielarka ulokowała się na krześle koło okna, plecami do niego, podstawiła na parapecie spodek z zapaloną świeczką i ułożyła na kolanach grubaśne tomiszczce.

Podstępnie śledziłam przyjaciółkę spod opuszczonych rzęs. Kella nie wróci wcześniej niż za godzinę, a może nawet utknie tam na całą noc. Zobaczymy, ile Welka wytrzyma! Pamiętam, że w czasie nocnego zakuwania do egzaminów co rusz musiałyśmy szturchać się nawzajem – sam tylko widok zapisanych

drobnym maczkiem stron wywoływał niepowstrzymalne ziewanie.

– Wolha...! – cicho zawołała dziewczyna, odrywając się od książki i patrząc wprost na mnie.

Kolosalnym wysiłkiem woli powstrzymałam się, by nie drgnąć. Ale za to zielarka poczekała chwilę, westchnęła z ulgą i rozluźniła się, zakładając nogę na nogę. Uniosła książkę trochę wyżej, a ja prawie jęknęłam ze złości – Welka trzymała w rękach elfie romansidło, i to z rycinami. Nad takim czymś spokojnie mogła przesiedzieć do świtu.

Minęło około pół godziny. Elixir zaczął działać, ale dokładnie tak jak podejrzewała Kella – niezbyt mocno, więc uparcie walczyłam ze snem. Zielarka cichutko łkała w chusteczkę, z której od czasu do czasu wynurzała się, by przeczytać jeszcze kilka rozrywających serce linijek i ponownie wybuchnąć płaczem. Zakładając, że wszystkie porządne historie miłosne kończyły się ślubem albo pogrzebem, rzecz stanowczo zmierzała w kierunku tego drugiego.

Deszcz zmienił się we wściekle młócacą po dachu ulewę. Niebo przeciął rozłożysty piorun i gdzieś na zachodzie burkliwie odezwał się grom. Welka wzdrygnęła się i nie odrywając spojrzenia od książki, odsunęła od okna. Nie minęło nawet pięć minut, gdy ponownie plusnęło stamtąd chłodnym białym światłem, w którym pojawił się i natychmiast ponownie rozpląnął w mroku czarny paskudny pysk o wyszczerzonych zębach i gorzejących oczach.

Chyba nawet wiadro lodowatej wody nie miałyby na mnie tak orzeźwiającego wpływu. Senność ulotniła się jak ręką odjął, a ja gwałtownie wbiłam palce w materac. Idź sobie!!! A przynajmniej zrób krok w bok, za róg domu, póki ona cię nie zauważyła! Świeca zaskwierczała, płomyk zatańczył, wprawiając w ruch światłocien na ścianach. Zielarka rzuciła szybkie spojrzenie za okno, uspokoiła się i kontynuowała lekturę. Teraz pozostawało najważniejsze – wziąć się w garść i skupić. Nie była to nawet kwestia tego, czy dam radę, ale czy uda mi się zrobić wszystko tak, by Welka nie powzięła podejrzeń. Choć przyjaciółka doskonale potrafiła korzystać z magii praktycznej, to jako zielarka nie miała mojego wężu... więc jeśli powooli i ostrożnie skupiłabym na dachu o tamtej szopki za ogródkiem ładunek o wystarczającej mocy... Wnętrze chmury zalśniło brudną czerwienią. W następnej chwili wystrzelił z niego zygzakowaty, rozdwojony ku dołowi piorun, który jak wściekła żmija z hukiem I trzaskiem wbił oba zęby w szopę. Nad drzewami strzelił snop iskier, a na wszystkie strony poleciała płonąca słoma. Mimo deszczu ogień ogarnął budynek od góry do dołu. Wewnątrz rozpaczliwie zamuczała krowa i zawtórowały jej owce. Gdyby Welka nie była do tego stopnia oszołomiona, to powinna zrozumieć, że sąsiadka uprzedziłaby ją o zamkniętym w oborze bydło. Poza tym kto trzymałby krowy w drewnianej przybudówce na środku ogrodu?! Ale zielarka upuściła książkę, rzuciła się w kierunku drzwi i zaraz z powrotem, patrząc na mnie w rozterce. Nie otwierając oczu, mruknełam niewyraźnie coś płaczliwego i odwróciłam się do ściany, naciągając kołdrę na głowę.

Zasuwka jeszcze nie zdążyła szczęknąć, a ja już siedziałam na łóżku, w pośpiechu szepcząc zaklęcie. Jednym ruchem miecza, który sam wślizgnął się do mej dłoni, rozprułam i zdjęłam kupę bandaży razem z szyną, postawiłam nogi na podłogę i sięgnęłam w kierunku krzesła z ubraniami. Zaraza!!!

Dodałam komponent znieczulający. Dotknęłam przegryzionej wargi, zlizalam z palców krew, następnie uczepliłam się oparcia łóżka i jako tako stanęłam na nogach. Opuchnięta kończyna w milusim niebieskawym kolorze ledwo zmieściła się w nogawce, zdecydowanie odmawiając zginania się. Dokuśtykałam do okna i otworzyłam okiennice. Niesione wiatrem krople deszczu waliły po twarzy jak mokra miotła. Mimo pośpiechu Welka prawdopodobnie zaczarowała drzwi, a ja nie miałam czasu, by sprawdzić w jaki sposób. Zielarka szybko zrozumie, że przeważająca część ognia to iluzja, a w szopie nie ma nawet śladu po wołających o pomoc krówkach. Zacisnęłam zęby i zaczęłam przeciskać się przez okno. Do połowy szło całkiem nieźle, ale potem zdrowa część mnie dobiegła końca, a zamiast niej zaczęła się ta niezginająca. Myśl o tym, że ucieczka spali na panewce wyłącznie dlatego, że tu utknę,

dodała mi sił, by wyłądować na jakichś kwiatach pod parapetem, które nawet bez mojej pomocy wyglądały na deczko sfatygowane.

– Smółka!!! – ryknęłam desperackim szeptem.

Nic. Szum deszczu w liściach i daleki trzask cichnącego pożaru. Zastygłam, czując, że ponownie ogarnia mnie fala desperacji. Czyżby mi się wydawało? Czego Kella mogła dodać do tego eliksiru?! I co ja miałam teraz począć?!

A potem kobyła bezgłośnie wyłoniła się z mroku i ufnie szturchnęła mój policzek aksamitnym nosem. Mokra, rozczochrana, z wydartym kłakiem grzywy, ale żywa i taka kochana, że prawie się rozpłakałam.

– Maleńka, wybacz mi – mruknęłam, wymacując drżącą ręką koński kark. – Też nie jestem w najlepszej formie, ale musimy to zrobić... Ghyr epp kurat!!! Smółko, czy raczyłabyś przykucnąć? Nawet mając dwie zdrowe nogi, ledwo mogłam doskoczyć do twojego grzbietu...

Czarnulka hałaśliwie westchnęła, ale po chwili wahania zgięła kolana. Z trudem wspięłam się na siodło, złapałam przedniego łęku i lekko szturchnęłam ją lewą piętą. Kobyłka wyprostowała się z wysiłkiem i prawdziwie starczym stęknieniem, ale mimo wszystko ruszyła z miejsca. Wymacałam lewe strzemię i ze smutkiem popatrzyłam na prawe. Trzeba było od razu włożyć tam nogę, bo zwisając, ledwie się ruszała. Ale nic to, niech będzie, i tak jej prawie nie czułam...

Już prawie wyjechałyśmy z bramy, gdy kolejna błyskawica na chwilę rozjaśniła otoczenie i oświetliła w furtce ogrodowej postać, która była straszniejsza od wampira, wścieklejsza od bazyliuszka i niebezpieczniejsza od smoka.

– Wolha!!!

Wzdrygnęłam się i wtuliłam w koński kark jak przyłapany na szkodzie kot. Zresztą pojawienie się rozgniewanej zielarki miało też swoje pozytywne strony: ze strachu jakimś cudem udało mi się podciągnąć złamaną nogę i wsadzić ją w strzemię. Smółka wyczuła, że mało prawdopodobne, by jej pani w tak oryginalny sposób demonstrowała swoją radość ze spotkania z fascynującym zjawiskiem, i gwałtownie przyśpieszyła kroku – w dół ulicy, bo tam łatwiej było uciekać. Kilka razy się potknęła, ale potem wyrównała krok i ruszyła ciężkim galopem.

Grom zabrzmiał po dłuższej chwili gdzieś daleko za lasem. Burza odchodziła. W chmurach pojawiły się prześwity, ale nadal padał drobny deszcz. Wieś tonęła w mroku. Okna świeciły się tylko w naszej chacie i w jeszcze jednej, do której bramy właśnie się zbliżyłyśmy. Przyciągnięta przez skrzywienie drzwi nie mogłam się powstrzymać i rzuciłam spojrzenie na podwórko, po czym po raz pierwszy w życiu zaczęłam poważnie rozważać, za co Bogowie mnie tak nie lubią: na ganku pojawiła się Kella. Za nią, nieprzerwanie kłaniając się i mamrocząc: „Dziecko, niech ci Bogowie błogosławią”, włókł się słyszany wcześniej chłop, który uparcie próbował wręczyć wampirzycy płócienny worek, z którego sterczały dwie sztywne kacze łapy. Gdzieś w tle na dwa głosy wydzierały się noworodki. Kella sucho dziękowała, ale wyglądała na zadowoloną.

I czas przeszły był jak najbardziej na miejscu. Ponieważ potem dostrzegła mnie i Smolkę.

Niestety, wzdłuż przydługiej ulicy ciągnął się lity mur z wysokachnych parkanów. W innej sytuacji moja kobyła bez najmniejszego trudu pokonałaby ten problem, ale dziś był stanowczo nie nasz dzień (a nawet powiedziałabym, że miesiąc). Drogę powrotną zagradzała Welka i całkiem logicznie uznałam, że „jak nie kijem go, to pałką”... Ale z drugiej strony... – Wolhooo!!! – głos Kelli przeszedł niemalże w ultradźwięki.

Niestety, akurat te objawy znałam aż nazbyt dobrze i nie miałam najmniejszej ochoty na podziwianie dalszego rozwoju wydarzeń. Lękliwie nasunęłam kaptur po sam nos i co sił uderzyłam kobyłę zdrową nogą.

Możliwe, że przegapiłam najciekawszą część widowiska – na przykład to, jak ojciec znacznie

powiększonej rodziny malowniczo mdleje bynajmniej nie ze szczęścia – ale nie żałowałam nic a nic. Ledwo zdążyliśmy minąć bramę, gdy hałaśliwie uderzając skrzydłami, wyrwał się z niej (a raczej już znad niej) pędzący w naszym kierunku zębaty kłęb mroku. Ale nie zdążył, przeleciał mi za plecami, smagając je wiatrem, po czym z rozczarowanym wyciem zawrócił do drugiego podejścia, do góry i w lewo. Na Smółce to również zrobiło wrażenie. Przed chwilą deski płotu migają mi w oczach, ale teraz zwały się w jednolite pasmo, w którym jak ciemne plamy przeskakiwały bramy pod szerokimi daszkami. Jakiś włóczący się pies w ostatniej chwili ze skowytem uciekł spod końskich kopyt, kobyła potknęła się i skręciła w bok, a nad nami gwizdnął i ostatecznie daleko na przedzie uderzył w drzewo jaskrawozielony pulsar. Nie wybuchnął, tylko rozpląszczył się na pniu, w ciągu paru sekund oplatając go lśniącymi nićmi sieci łowieckiej.

Potrząsnęłam głową i kaptur opadł mi na ramiona. Kolejny pulsar wykonał zgrabną pętelkę i wrócił, skąd przyleciał. Oczywiście nie trafił, ale przynajmniej przeszkodził Welce w rzuceniu jeszcze jednego. Kiedy ta ulica w końcu skręci albo się skończy?! Byłyśmy tu widoczne jak na dłoni, zielarka nawet nie musiała nas widzieć, by rzucać zaklęcia!

Pisk nieubłagalnie się zbliżał. Moje włosy nie wytrzymały walki pomiędzy nim a wiejącym w przeciwnym kierunku wiatrem i stanęły dęba. Z trudem przezwyciężyłam pokusę puszczenia wodzy i przyciśnięcia dłoni do uszu i nie słysząc własnego głosu, wykrzyczałam kilka słów. Wampirzyce odrzuciło na bok, kilka razy przekreśliło w powietrzu, ale nie zrezygnowała z pościgu. Przed nami w końcu pojawiło się zewnętrzne ogrodzenie wsi, a za nim – pole okraszone czarnymi plamami zagajników. Brama powoli zaczęła się otwierać, ciężko skrzypiąc schowanymi we mgle zawiasami.

Dotarła gdzieś do jednej trzeciej, drgnęła, zamarła i po chwili wahania ruszyła z powrotem. Zacisnęłam zęby. Mimo nocnego chłodu po skroni ściekała mi kropla potu. Brama gwałtownym ruchem otworzyła się na oścież i tak samo chętnie zatrzęsnęła. No w mordę jeża, która z nas jest bakałarzem magii praktycznej?!

Zwiększyłam nacisk. Welka również się nie poddawała. Płot zbliżał się z zastraszającą prędkością, szcękając bramą jak smok paszczą. Smółka z rezygnacją położyła po sobie uszy, nie zwalniając, bo za nami znowu narastał obiecujący wrzask. Ostatni desperacki rozbłysk mocy i wrota zatrzęsnęły się na samym koniuszku końskiego ogona, zostawiając sobie na pamiątkę kłęb włosów. Wrzask urwał się na głuchym łupnięciu. Drewno wygięło się i ponownie odzyskało kształt. Teraz już słychać było, jak w całej wsi ujadają psy. W oknach jedno po drugim zapalały się światła. Kobyła jak bełt z kuszy wleciała do lasku, na przełaj przecwałowała przez krzaki i dopiero gdy za nami znalazło się ze trzysta sążni gęstwiny, zwolniła do kłusa, a potem do stępa. Nad głową w prześwitach między liśćmi i strzępkami chmur lśniły gwiazdy. Mokro chrzęściły gałęzie pod kopytami, w głębi lasu smętnie obwoływały się sowy. Spadające z góry krople stukały po kurtce i chłodziły odsłonięty czubek głowy. Kaptur wydawał się czymś dalekim i niedostępnym. Bez sił osunęłam się na końską szyję i zamknęłam oczy.

* * *

– Nie było tutaj takich, szanowny panie. – Chłop nerwowo oblizał wargi. – Już ze dwa tygodnie tą drogą nikt nie jechał znaczy się!

– Bresze – bezlitośnie skomentowała dziewczyna, która wydawała się całkowicie pochłonięta zaplataniem długiego jasnego warkocza.

– I chałupa pewnie się spaliła sama przez się? – Drugi rozbójnik skinął głową w kierunku nadal dymiących resztek na środku wsi.

Z sąsiednich domów rozległy się jakieś przygłuszone dźwięki, ale nikt oprócz trzęsącego się ze strachu miejscowego pijaka nie miał dość odwagi, by wyjść na zewnątrz. Ba, nawet jego najpewniej po prostu wykopano złemu na pożarcie.

– Yhy... – Pijaczyna jak zaczarowany wgapił się w jasnowłosego herszta bandy. Nie miał wielkiego wyboru, ale możliwości robiły wrażenie: troll z roztargnieniem bawiący się nożem, otwarcie szczerzący się wampir i naburmuszona, plamiasta panna, uzbrojona nie gorzej od niejednego najemnika. – Nie domknęli pieca na noc, no to węgielek wypadł...

– I wprost na słomę – z fałszywym współczuciem dopowiedział wampir.

– Yhy... znaczy na jutrzejszą rozpałkę. No to ono wszystko zapłonęło było...

– No co za nieszczęście – rzuciła dziewczyna z kamiennym wyrazem twarzy.

– Nie – spokojnie stwierdził jasnowłosy, tak samo uważnie patrząc na chłopca, ale zwracając się chyba do samego siebie. – Przez Zajęczy Gaj nie pojedziemy, możecie nawet nie prosić. Tam parów na parowie i na pewno mieszka coś ludożernego. Zresztą hak na wschodnim trakcie też nam na nic.

Biedny „rozmówca” poczuł, a cała reszta zebranych usłyszała, jak szczękają mu zęby. Ciemnowłosy nadal patrzył na pogorzeliśko. Dookoła całkowicie wypalonych bali nie było nawet otoczki żółkniętej trawy, a na sąsiednich dachach ani jednej czarnej kropki po skrach, jak gdyby zgliszcza zostały skądś przyniesione i położone na środku nieruszonego ogródka. I nikt nie próbował gasić. Pewnie nawet nie zdążyli mrugnąć, zanim magiczny ogień pochłonął wszystko, co mogło się spalić.

– To co nam, biednym, pozostaje? – w zamyśleniu ciągnął nieznajomy, cicho klepiąc się dłonią po udzie. Wyglądało to jakoś tak zwyczajnie i dlatego niesamowicie przerażająco. Czarny rumak pod nim trwał w miejscu jak posąg i paskudnie połyskiwał węzowymi oczyma. – Najwygodniejsza i najszybsza droga prowadzi przez łąkę z koniczyną i właśnie tam byśmy pojechali, gdyby nie wasza przyjacielska rada. Którą, jako ten paskudny bękart i wstrętny pomiot mroku żebym zdechł, chyba zignoruję...

– Ppprzeczynam... – zdołał wykrztusić chłop, czując, że jego dusza zaraz opuści zastygłe ciało z własnej inicjatywy, nie czekając na zakończenie „rozmowy”.

– Za co? – Jasnowłosy w zdumieniu uniósł brwi.

– Przecież nic podobnego mi pan nie powiedział. Zdrowia życzę, dobry człowieku! I dziękujemy za pomoc.

W powietrzu błysnęła spadająca w kurz srebrna moneta. Czarny rumak parsknął i gwałtownie obrócił się na tylnych nogach. Jeździec nawet się nie poruszył, jak gdyby tworzył z wierzchowcem jedną całość. Złocista kobyła na ledwo zauważalny sygnał swojego jeźdźca, bez jednego dźwięku i z kocią gracją powtórzyła półobrót. Reszta zwyczajnie zawołała na swoje konie i ściągnęła wodze.

– Zzza nic – wydukał chłop i ledwo goście zniknęli za wzgórzem, usiadł wprost na drodze, tępo gapiąc się na połyskujący krążek metalu z wybitą podobizną króla. Tak dobrego powodu, by się upić, nie miał już od dawna. Chyba starczy na cały miesiąc, i nie tylko dla niego...

* * *

– Orsano, czekaj. Skręcasz w złą stronę. Dziewczyna powstrzymała konia, który z rozpędu wyminął rozwidlenie, i zawróciła. Ponownie spojrzała na drogowskaz, po czym przeniosła zdumiony wzrok na wampira.

– Ale przecież powiedziałeś... Len przecząco pokręcił głową i skinął na przyjaciół, prosząc, by podjechali bliżej.

– Wie, że go gonimy. W przeciwnym razie nie próbowałyby tak demonstracyjnie straszyć chłopów, by z wprost wypisanym na twarzach łgarstwem wskazali nam niewłaściwy kierunek. A poza tym ta chałupa.

Każdy duren się domyśli, że coś z nią nie tak, nawet telepata niepotrzebny. I na to właśnie liczył. I jeszcze na to, że żaden normalny człowiek nie będzie się pchał w do reszty zarośnięte parowy.

– Ze też musiałam tu trafić w towarzystwie nienormalnych wampirów – westchnęła Orsana, śladem przyjaciół kierując konia w kierunku Zajęczego Gaju. – Ale po co im takie problemy? Nie mogli po prostu ominąć wsi lasem?

– Nie wyszło im „po prostu”. Jeden z wierzchowców padł, więc zabrali konia pod wierzch tutejszemu staroście, a kiedy ten próbował protestować, spalili mu dom. – Len zerknął na siwą nitkę dymu, która wydawała się unosić z samego czubka wzgórza, i po chwili milczenia niechętnie dodał: – Razem z nim i jego żoną. Dziewczyna zauważalnie się wzdrygnęła. Wampir ciągnął:

– A ponieważ takiego czegoś nie da się ukryć, dranie uznali, że wyciągną z sytuacji dodatkową korzyść, skierują nas na fałszywy trop... albo urzadzą zasadzkę. Są tu dwie sensowne drogi, prosta i okrężna. Pewnie nie udało im się obstawić obu, więc chcieli być pewni, że wybierzemy pierwszą.

– Ale dlaczego w takim razie nie możemy wybrać drugiej? – błagalnie spytała Orsana, gdy Wianek potknął się na pierwszej dziurze, a ona szcęknęła zębami, prawie zostając bez języka.

– Ponieważ jest trzy razy dłuższa, chociaż mniej niebezpieczna, a nam się śpieszy. Zresztą... – Władca Dogewy rzucił badawcze spojrzenie na Winessankę, a przy okazji na pozostałych. – Czy ja kogoś zmuszam, by mi towarzyszył?

– Ale przegonić nas też nie możesz! – bezczelnie odcięła się setniczka. Rolar i Wał ograniczyli się do uśmiechów – że niby nawet o tym nie myśl, kochany, nas się nie pozbędziesz. Na to Len nie miał żadnego argumentu, dokładnie tak jak i poprzednie sto trzydzieści dwa razy. Nalegając na przestrzeganie starożytnego zwyczaju, sam złapał się w pułapkę i teraz mógł tylko z irytacją poganiać swojego wierzchowca obcasami.

Zajęczy Gaj okazał się ciemnym świerkowym lasem, otoczonym bitą drogą noszącą dumną nazwę obwodnicy. Pod kątem prostym odchodziła od niej prowadząca w gęstwinę ścieżka, nie żeby specjalnie wydeptana, ale całkiem zauważalna. Pewnie często bywali tu drwale i myśliwi, przyciągnięci obiecującą nazwą. Orsana nie lubiła takich lasów. Niby niespecjalnie gęste, ale ciemne i nieprzyjazne, a człowiek cały czas czuje na plecach czyjeś nieprzychylnie spojrzenie. Pod koniec lata z ptasich głosów w koronach drzew pozostało tylko rzadkie wronie krakanie, które jeśli idzie o radość życia, wyprzedzało może tylko wycie wilków.

Przyjaciele uprzejmiem udawali, że Wianek „przypadkiem” przeniósł się z końca kawalkady na jej środek.

Do pierwszego parowu dotarli po kwadransie. Zejście po płaskim zboczu okazało się dosyć proste, Len i Rolar nawet nie musieli zsiadać z koni. Za szerokim omszałym zjazdem wznosiła się praktycznie pionowa ściana z groźnie wysuniętymi pazurami rudych świerkowych korzeni. Ścieżka nawet nie próbowała się do niej zbliżyć i zdecydowanie skręcała na prawo. Podróżni uznali, że nie będą się z nią spierać.

– Żeby tylko nie wyprowadziła nas na moczary – zaniepokoił się Rolar na widok drobnolistnych łodyżek zaczynającej różowieć borówki na wzgórkach.

– To zwykła nizina. Nie ma tu prawdziwych grzędzawisk. – Len nie wytrzymał, ryzykownie przechylił się w siodle i wyciągnął z puchatego mchu solidnego, pękatego borowika. Droga zdążyła pod górkę, ale zbocze nie podnosiło się, tylko powoli wygładzało, więc wkrótce Woltowi udało się na nie wskoczyć. Rumak dumnie kroczył samym skrajem, póki nie dołączyła do niego Powilika, a za nią pozostałe konie. Ścieżka prowadziła w gęstwinę, wracając na poprzedni kurs. Orsana zaciekle walczyła z kleszczem, który wykazał podwyższone zainteresowanie jej szyją. Rolarowi, który zająknął się, że „to ja powinienem być na jego miejscu...”, z dumą zademonstrowano wymierzoną krwiopijcy zemstę.

Powilika zrównała się z Woltem i spróbowała dla zabawy hapnąć go za kark.

– Wiesz, co martwi mnie najbardziej? On cały czas nas wyprzedza. I nie chodzi mi o odległość. – Rolar pociągnął za wodze i kły kobyły szczęknęły piędz od celu. Rumak prychnął złośliwie, ale nawet nie odwrócił pyska w kierunku bezczelnej pannicy, doskonale świadom, że w razie czego skończy tak samo.

Len ponuro skinął głową. Jeszcze ani razu nie udało im się uprzedzić ciosu, tylko łagodzili do minimum jego skutki. Nawet teraz, przedzierając się przez parowy i ciesząc z własnej dalekowzroczności, grali na cudzych zasadach i na wrogim polu.

– Dokładnie. I mam poczucie, iż nie tylko wiedzą, że ich gonimy... ale również na to liczą.

– Sugerujesz, byśmy zawrócili?

– Sugeruję. Wam. Arlissczyk pokornie pochylił głowę i z zaiste dworską uprzejmością zapytał:

– Mości władco, czy nie raczylibyście... spadać na drzewo?

– Chciałbym – uśmiechnął się Len, kierując Wolta do wylotu z następnego parowu, po którego dnie powoli płynął szeroki, ciemny strumień. – Rolarze, nie mam wyboru. Nie mogę siedzieć i czekać na kolejny cios w plecy. I to jeszcze żeby w moje. Ale jej nie oddam. Nawet jeśli dla mnie jest na zawsze stracona.

Kopyta poślizgnęły się na opadłych igłach, a Wolt wyorał szeroką bruzdę w rozmiękłym brzegu i wleciał do strumienia po sam brzuch. Len błyskawicznie podciągnął nogi, ale w tym momencie koń poślizgnął się ponownie, już na mule, i zanurzył zad, mocząc siodło. Zebrani na górze zachichotali i nie mniej złośliwie zarzeli. Władca Dogewy bohatersko powstrzymał się przed wygłoszeniem pierwszego przychodzącego na myśl komentarza w języku trollim i tylko pogroził złośliwcom pięścią, a Wolt, parskając z irytacją, wyskoczył z wody, zbijając fontannę bryzgów. Zanim przyjaciółom udało się znaleźć pewniejsze i bardziej płaskie zejście, a następnie sprowadzić konie oraz wepchnąć je z powrotem na przeciwległy brzeg, wszyscy zmęczeni się do tego stopnia, że na widok polanki ze śladami ogniska zdecydowali się urządzić postój. Wyczyścili i zsykali do wspólnego kotła zebrane po drodze grzyby, Len wylał wodę z butów i usiadł przy ognisku, by pilnować obiadu, a przy okazji się wysuszyć. Wał, który zgodnie z żołnierskimi przyzwyczajeniami wykorzystywał każdą spokojną minutę na odpoczynek, wyciągnął się po drugiej stronie ogniska i natychmiast zaczął nosowo chrapać. Rolar ruszył na zwiady, z trudem zostawiając za sobą Powilikę, która koniecznie chciała towarzyszyć ukochanemu panu i odpowiadała prychnaniem oraz gryzieniem na każdą próbę zawrócenia jej z powrotem w kierunku miejsca postoju.

Orsana podwiązała Wiankowi torbę z owsem i spróbowała niezauważalnie zniknąć w krzakach, ale Len, nie odwracając się, machnął ręką w przeciwnym kierunku.

– Tamte są lepsze. Dziewczyna oblała się rumieńcem po same uszy, niemniej jednak wyzywająco spytała:

– A te już są zarezerwowane dla ciebie?

– Nie, w tych siedzi strzyga – najspokojniej w świecie wyjaśnił wampir, nadgryzając wyłowionego z kipiącego wywaru borowika. Grzyby mocno skurczyły się przy gotowaniu, ale wsypana do kociołka kasza poprawiła sytuację.

– Ze szooo? – Orsana odskoczyła od tak kusząco wyglądającej leszczyny. Rozejrzała się dookoła, zgarnęła z ziemi ciężki kawał gałęzi i rzuciła nim w gąszcz. Krzaki warknęły z niezadowoleniem, a w prześwicie mignęło coś szarego i bezwłosego.

– Po kłopotcie – ogłosił Len po chwili nasłuchiwania. – Możesz iść, uciekła!

– Dziękuję, szos wże się nie chce – burknęła dziewczyna, podejrzliwie przypatrując się poruszonym przez wiatr liściom. – A wcześniej nie mogłeś uprzedzić?!

– Po co? Ona jest jedna, nas wielu, a poza tym potwory zwykle nie ryzykują występowania przeciwko

wampirom. Nie chciałem niepokoić cię takim drobiazgiem.

– Też prawda, jaka dribnica, zwykła strzyga, która tylko się ślini, czekając na pierwszego, kto będzie musiał... pójść na spacer! – wkurzyła się Winessanka. – A... na pewno sobie poszła?

– Na pewno. Władcy słowo honoru.

Naczelna wiedźma, słysząc to zdanie, natychmiast zdawiała czujność, ale Orsana miała znacznie mniej doświadczenia w obcowaniu z władcami i po chwili wahania jednak zdecydowała się opuścić polankę. Niezbyt daleko i na bardzo krótko. Len w milczeniu cieszył się, że nie powiedział jej o głodnej wywernie, która już od pewnego czasu podążała śladem podróżnych, ale nie mogła się zdecydować by spróbować któregoś nadgryźć. W porównaniu z tym, co czekało na nich na krótszej drodze, były to naprawdę drobiazgi. Rolar wrócił z krzepiącymi wiadomościami: do skraju lasu zostało mniej niż ćwierć wiorsty i jeden parów, a i ten niezbyt głęboki. Nos doświadczonego najemnika obudził trolla sekundę przed tym, jak Len spróbował kaszy i uznał ją za gotową. Z braku misek wątpliwej jakości ciemnobrązowe coś zostało rozłożone do kubków i zjedzone, zanim zdążyło wystygnąć, mimo poparzonych warg i języków. Następnie przyjaciele w pośpiechu zebrali się, zalali ognisko i ponownie ruszyli w drogę. W porównaniu z dwoma poprzednimi trzeci parów okazał się drobnym kanałkiem. Bez większych sprzeciwów raczyła do niego zejść nawet uparta kłacz Wala, by następnie przy wejściu z powrotem zaledwie kilka razy kopnąć pchającego ją w zad Rolara. Orsana osobiście odkryła wywernę, przy czym tajemnicą pozostało, która z pań przestraszyła się bardziej. W każdym razie potwór rzucił się do ucieczki ile sił we wszystkich ośmiu łapach, z całego serca żałując, że nie ma czym zatkać uszu. Z lasu akurat jak na zamówienie wydostali się w miejscu, gdzie od idącej dookoła drogi odbiegała ścieżka prowadząca na południowy wschód. Żartobliwie pogratulowali sobie sukcesu, wytrząsnęli igły z włosów i ponownie skierowali konie lekko na ukos, w stronę błękitnawej wstęgi na horyzoncie.

Nie przejechali nawet połowy wiorsty, gdy Orsana przypadkiem obejrzała się do tyłu i pisnęła: – Wy tylko podywytes!

Nad zostającym z tyłu laskiem unosił się wysoki słup płomienia, czerwonopurpurowymi plamami rozbryzgujący się po wewnętrznej stronie obłoków. Z takiej odległości nie bardzo dawało się ustalić, na której drodze powstał – prostej czy objazdowej. Tak samo nie można było sobie wyobrazić, co pozostało po nieostrożnym podróżnym. Kimkolwiek był. Przyjaciele bez słowa popędzili konie.

* * *

Sprawy nie stały tak źle, jak wydawało się na początku. Kobyłka w oczach odżywała pod dotykiem moich palców, delikatnie obmacujących ją od stóp do głów i po drodze leczących drobne rozcięcia i skaleczenia. Głębokie rany miała ledwo trzy albo cztery – na karku, za który potwór chyba złapał zębami. Lekko ropiały, ale nie znalazłam żadnych poważniejszych skutków ugryzienia. Co prawda Smolka miała jakiś dziki wyraz oczu o nienaturalnie rozszerzonych źrenicach, ale sądząc z podwyższonego zainteresowania, które wykazała na widok mojego śniadania, składającego się z obeschniętego kawałka chleba, nie groziła jej nagła i niespodziewana śmierć. Świt zastał nas w pobliżu jakiejś wsi. Ze smutkiem spojrzałam w kierunku dymiących kominów, kuszących ciepłem i gorącym śniadaniem, ale nie zdecydowałam się wjechać między chaty. W końcu mogli tam na mnie czekać z otwartymi ramionami albo, co gorsza, skrzydłami. W związku z tym jakoś spełzłam z kobyły przy najdalszym stogu na skoszonym polu poza granicą wsi i zagrzebałam się głęboko w słomie, by ni to obudzić się, ni to ocknąć bliżej południa.

Smółka z wdzięcznością szturchnęła mnie pyskiem w ucho, prawie zbijając z nóg. A raczej z jednej nogi, bo starałam się nie opierać zbyt mocno na tej złamanej, trzymając ją lekko wyciągniętą w bok.

Magia skutecznie hamowała ból i zapalenie, opuchlizna zmniejszyła się o połowę, więc czułam się może nie najlepiej, ale znośnie. W każdym razie nie miałam czasu na uzalanie się nad sobą, należało brać się do roboty. Przez ten eliksir Kelli I tak straciłam zbyt wiele czasu.

Puściłam koński kark i siadłam wprost na ziemi koło stogu. Podciągnęłam bliżej torbę, wyczyściłam kawałek ziemi i zaczęłam w skupieniu skrobać po nim ostrzem krótkiego rytualnego noża.

Smółka pochyliła głowę, powąchała dzieło moich rąk i kichnęła. Z pretensją szturchnęłam ją łokciem. Też się krytyk znalazł! Gwiazda o czterech promieniach faktycznie wyszła nieco krzywa, ale poprawnie ją oznaczyłam i podpisałam: północ – wschód – południe – zachód.

Splotłam palce na rękojeści noża i uniosłam go nad środkiem rysunku. Kogo powinnam „łapać”? Lena mogłam skreślić od razu, jego nie widział nawet impuls poszukiwawczy. Z Rolarem sprawy pewnie wyglądały identycznie. Wala nie znałam dostatecznie dobrze, ale za to Orsana... o ile się nie myliłam, nadal nosiła mój prezent – wisiorek—kropelkę z kocim okiem? Ot, taka dobra rada: jeżeli nie jesteś magiem, to nigdy nie bierz rzeczy należących do nas, ani nawet takich, które przez parę godzin mieliśmy w rękach! A jeśli już weźmiesz, to śpiesz, by oddalić się na odległość przynajmniej trzydziestu wiorst. Wątpliwe, by przyjaciele zdążyli przebyć aż tyle – w końcu również potrzebowali odpoczynku.

Oczywiście podarowałam Orsanie wisiorek, nie mając żadnych niecnych zamiarów, na urodziny, ale w tej chwili był jak znalazł. Zamknęłam oczy i spróbowałam możliwie wyraźnie wyobrazić sobie na wpół przezroczysty dwubarwny kamyk, który faktycznie przypominał żółtozielone oko bezczelnego ulicznego kota. Oprawka ze srebra, łańcuszek zawilego krasnoludzkiego splotu, „wężyk”. Utworzyłam w myśli dokładny wizerunek ozdóbki, po czym przełączyłam się na jego właścicielkę. Co jak co, ale przypomnienie sobie bojowej Winessanki nie było trudne – nawet miałam wrażenie, że stoi obok.

Wyrzuciłam z głowy wszystkie obce myśli i odczucia, po czym śpiewnie wyszeptłam zaklęcie poszukiwania. Ostrze drgnęło i ciągnąc za sobą posłusznie rozluźnione ręce, uciekło w dół.

W zamyśleniu wyciągnęłam nóż. Wsadziłam do powstałej szczeliny słomkę z wymłóconym kłosem. Przez chwilę siedziałam, patrząc w niebo. Teraz pozostało mieć nadzieję, że już wyruszyli, a nie śpią przy ognisku. Dzień niespecjalnie zachęcał do spacerów, ale też nic nie zapowiadało deszczu. Może za jakąś chwilę nawet pokaże się słońce. Niestety, lato w tym roku było kompletnie bezsensowne, na przemian upały i ulewy! Żeby tylko jesień się trafiła przyzwoita. Tak wyraźnie wyobraziłam sobie na wskroś przemokniętych gości, ociekający deszczem tort i pierwszą noc poślubną przy nieprzerwanym akompaniamencie kichania, że nie od razu przypominałam sobie, że już mi to wszystko nie grozi. I niech mu będzie, chłop z wozu, narzeczonej lżej! W końcu ze stanowiska naczelnej więdźmy nikt mnie nie usuwał, a chronienie władcy Dogewy to obowiązek znacznie ważniejszy od małżeńskiego. Jak niby mogłam powierzyć go przyjacielom, niechby nawet najwierniejszym i najpewniejszym?! Poza tym nadal nie miałam zielonego pojęcia, jak mieli zamiar łapać czarodzieja bez pomocy więdźmy! Bo skoro mnie prawie rozsmarował po ścianie, to ich w ogóle powinien zetrzeć na proszek!

A przy okazji, co ja o nim wiedziałam? Mag samouk, specjalizujący się w żywiole powietrza. Doskonale znał się na truciznach i amuletach, walił ogromną mocą, ale wyraźnie ustępował mi w obronie i zaklęciach bojowych, wymagających natychmiastowej reakcji. Całkiem prawdopodobne, że króciutko uczył się w Szkole Magii, a potem z jakiegoś powodu z niej wyleciał. Był starszy ode mnie o jakieś dziesięć lat, więc mało prawdopodobne, byśmy wpadali na siebie w korytarzu. Dyrektorem szkoły był wtedy Pitrim, ale kwestie skreślenia adeptów zawsze rozpatrywano na ogólnej naradzie, więc mistrz jak najbardziej miał prawo delikwenta pamiętać. Niestety, telepoczta nie działała, a ja nie miałam czasu, by czekać na posłańca, mimo że magiczne stworzenia latają dwa razy szybciej od gołębi i w odróżnieniu od nich nie są przywiązane do gołębnika – wystarczy z grubsza wiedzieć, gdzie znajduje się adresat. Ale w zasadzie to i tak bez znaczenia, mistrz mógł rozpoznać go również potem, po – jak to nazwał Wal –

„części charakterystycznej”. Najważniejsze to dogonić przyjaciół, zanim oni dorwą tego drania. Ponownie złapałam za nóż. Wspaniale! Dwa werszki od ździebełka, wynik bardziej niż pewny. Poruszają się do przodu, na południowy wschód, i to dosyć szybko, a wyprzedzają mnie co najwyżej o dwadzieścia wiorst. Cóż, miałyśmy ze Smółką szczęście, obierając dobry kierunek ucieczki, przynajmniej nie będę musiała zawracać. Wystarczy tylko nieco zboczyć na wschód.

Rozłożyłam koło rysunku mapę, ustawiając strzałkę w jej lewym górnym rogu, na północy mojej gwiazdy.

No i co też tu było na północnym wschodzie? Żadnych dużych miast, nieliczne wsie rozrzucone po stepie. Trochę na południe znajdował się Witiagski Trakt, ale chyba moi przyjaciele go zignorowali. Oczywiście podróż utwardzoną drogą była szybsza i bezpieczniejsza, ale akurat o tej porze roku trakt zapchany był wozami kupieckimi, więc nie dawało się na nim rozwinąć sensownej prędkości – o ile oczywiście ktoś nie chciał przyciągać uwagi owych kupców, owiewając ich kurzem i zmuszając do rzucania wściekłych przekleństw. A wampiry oczywiście nie miały najmniejszej ochoty na przyciąganie nadmiernej uwagi... Ale dokąd było im tak spieszo?

W myśli pociągnęłam linię jeszcze dalej i ku mojej wielkiej radości trafiła ona na schematyczny rysunek dwóch połączonych łukiem wież, które jak brama wbudowane zostały w mur górskich szczytów, odgradzających Belorię od morza. Czyli Kort-ogl-Elgar, słynny krasnoludzki tunel, jedyna droga do portu i stoczni na brzegu Srebrnowodnego Morza. Cóż, kochani, i tu was mam! Bardzo wątpię, byście dążyli po gorących śladach czarodzieja (wnioskując z budzącej szacunek demonstracji siły fi... tfu, magicznej, zdolny był teleportować się wraz z końmi i towarzyszami o dziesięć wiorst w dowolnym kierunku), czyli najpewniej w jakiś sposób udało wam się dowiedzieć, gdzie znajduje się jego legowisko, i udajecie się wprost tam. A nadmorskie miasteczko Włastok było wprost stworzone dla wszelakich rozbójników i awanturników. Praktycznie nie miało stałych mieszkańców, a ulice zapełnione były przez przyjezdnych, czy raczej „przypląniętych” handlarzy z wysp oraz żeglarzy ze statków handlowych, przemysłowych, okrętów wojskowych i pirackich (a niech im ktoś to udowodni!) oraz na odwrót – właśnie przygotowujących się do wypłynięcia kupców belorskich oraz pragnących zaciągnąć się na statek awanturników, którzy na pożegnanie używali sobie w portowych tawernach. Zgubienie się wśród nich to pestka!

Czyli wszystko jasne. Ruszam w kierunku Elgarskiego Tunelu. Droga zajmie mi nie mniej niż pięć dni, ale mało prawdopodobne, by oni poradzili sobie szybciej. Nie miałam ochoty ryzykować teleportacji na nieznanym terenie, tym bardziej że kompletnie nie miałam do niej szczęścia – zawsze lądowałam albo za blisko, albo za daleko. Ale nic to, poradzimy sobie. Kilka zaklęć wzmacniających i można galopować przez całą dobę, potem znajdziemy dość czasu, by się wypaść. No nie, co im szkodził mag w drużynie?! O ile jeszcze mieli jakąś drużynę... W trakcie pracy na stanowisku naczelnej wiedźmy wystarczająco poznałam wampirzą etykietę, by wiedzieć, że poza granicami doliny władcy powinno towarzyszyć minimum dwóch strażników z elitarnej sotni.

Dlaczego więc wyruszył w drogę wyłącznie w kompanii Kelli, która po starszych zaliczała się do najgorętszych wielbicielek wspomnianej etykiety? Nie wydawała się specjalnie zadowolona z obrotu spraw, ale też nie protestowała. I jeszcze podejrzenie łatwo puściła go całkowicie samego leszy wie gdzie. Troll, człowiek i zwykły wampir się nie liczyli, w końcu nie mogli obronić go przed niczym, z czym nie dalby sobie rady sam.

Ale w takim razie po co ich ze sobą brał? Dla towarzystwa, żeby nie nudzić się po drodze? Znajac Lena...

Gwałtownym ruchem dłoni zatarłam rysunek.

Nie.

Kort-ogl-Elgar powitał ich dymem, wiatrem, hałasem i kotami. Najbardziej ze wszystkich rzeczy góra (a raczej jeden z setki szczytów Elgaru, ciągnących się łańcuchem na zachód i wschód) przypominała gigantyczne mrowisko, które powoli żarzyło się od wewnątrz i miało lada chwila zapłonąć z pełną mocą. Z wielu otworów, służących za wyciągi dla krasnoludzkich kuźni i hut, uciekały czarne strumyki dymu, które zbierały się w pierścień dookoła górskiego szczytu. Od czasu do czasu czepiał się on niskich chmur i dla towarzystwa ruszał z nimi, ale na jego miejscu natychmiast zaczynał kształtować się nowy.

Grubość Elgaru w tym miejscu nie przekraczała sześciuset sążni, podczas gdy niektóre płaskowyzę ciągnęły się na dziesiątki wiorst wszcz. Najlepsze miejsce dla tunelu na wylot – gigantycznej półokrągłej arkady o wysokości dwudziestu łokci i szerokości około czterdziestu. Z Kort-ogl-Elgaru wiecznie wiał wiatr – silny i porywisty – zmuszając miejscowych, by całkiem odruchowym gestem przytrzymywali kapelusze, a przyjezdnych – by z przekleństwami uganiał się za swoimi nakryciami głowy. W oficjalnych papierach Kort-ogl-Elgar występował jako „gest dobrej woli, przyjaźni i porozumienia pomiędzy naszymi bratnimi narodami”. Ale złe języki plotły, że „bratnie” krasnoludy nie potrzebowały tego tunelu za ghyra, tyle że zapadło im się parę szybów wzdłuż złotej żyły, które z czystej zachłanności wykopali zbyt blisko. Z jednej strony nie było żadnej możliwości, by kontynuować wydobywanie bez rozebrania zawału do ostatniego kamyczka, a z drugiej wzmocnienie chybliwego gruzowiska było marnowaniem belek i wysiłku. Tak więc znacznie szybsze i pewniejsze okazało się przedłużenie szybów na obie strony, a przy tej okazji rozwiązał się problem odpadów: po tej stronie wyrzucony przez krasnoludy kamień został użyty do wybrukowania dróg i budowy zamków, a po tamtej – do postawienia miasta, mola i falochronów oraz jako balast do statków. Tak czy siak, krasnoludy bardzo szybko połapały się w korzyściach z tego „niewielkiego problemu”. Przez setki lat doskonale radziły sobie bez tunelu, a w razie konieczności pokonywały górę swoimi pokręconymi przejściami z przynajmniej tysiącem wyjść po każdej stronie.

Miały też niewielki port z jakimś pół tuzinem statków. Więcej nie potrzebowały, bo w końcu nie należały do wielbicieli morskich podróży i odważały się na nie wyłącznie w celach handlowych. A wyspiarzom mogły zaproponować wyłącznie kamienie szlachetne i broń – towary, które nie zajmowały wiele miejsca. I nagle pojawili się ludzie. Biedni chłopcy, którzy zdecydowali się zostać rybakami. Kupcy, którzy byli żywioowymi rybakami zainteresowani. Mieszkańcy wysp, którzy zaczęli zawijać do portu już na własnych statkach, załadowanych owocami tropikalnymi, bo w końcu bezpośrednie przejście do Belorii doskonale rozwiązywało problemy dostawy tak delikatnej i łatwo psującej się produkcji...

Przez kilka miesięcy krasnoludy w zamyśleniu drapały się w potylice, podziwiając ciągle rosnący tłum gości zmierzających w jednym i drugim kierunku. Potem, naturalnie wyłącznie w celach dalszego zacieśniania współpracy międzyrasowej, przegrodziły „porozumiewawczą”

dziurę ustawioną na rogatkach żerdzią i zaczęły rozmowy z przyjezdnymi na temat dobrowolnej darowizny w wysokości paru miedziaków. Po jakimś czasie zamiast żerdzi pojawiła się kuta brama na wysokość trzech sążni, która ze złowieszczym skrzypieniem skomplikowanego mechanizmu zamykała się na noc i otwierała z pierwszymi promieniami słońca. Oczywiście polepszenie wystroju musiało znaleźć odbicie w cenie świadczonych usług i bratni naród ostatecznie się rozbawił, żądając kładnia od pieszego, dwóch od jeźdźca i od trzech do dziesięciu za wóz. Zresztą i tak było to tańsze niż wiezienie towaru dookoła gór czy przez przełęcze, a w dodatku znacznie łatwiejsze i szybsze, więc podróżnicy płakali, ale płacili. A w chwili gdy król belorski zapragnął morskiego portu i floty (oficjalnie wybrzeże cały czas należało do niego, tyle że trzeba było najpierw tam dotrzeć!), krasnoludy ostatecznie uznały, że pomysł budowy tunelu został zesłany z niebios. W tej chwili dziennie korzystało z niego do tysiąca

przedstawiciele wszystkich ras, sumiennie udowadniając mieszkańcom gór swoją przyjaźń.

Oczywiście najpopularniejszym towarem w tych okolicach były owoce morza – od delikatesowych małży i pikantnych wodorostów po praktycznie darmowe szproty, którymi w lecie karmiono świnie i kaczki, a w zimie, korzystając z mrozów, dowożono saniami do samego Starminu i sprzedawano na wagę, żądając dziesięciokrotnie wyższej ceny. Zresztą handel kwitł tu o każdej porze roku. A ponieważ znacznie prościej i taniej było zapłacić krasnoludom za wwiezienie kupieckiego wozu niż za wejście i wyjście setki klientów, na wprost wejścia do tunelu hałasował i pachniał targ. Oprócz ludzi całkiem nieźle czuły się tu elfy, orki, trolle, lesze, gobliny, driady i nawet – oj, strach! – wampiry, które bezczelnie jeździły wzdłuż przejść na k'iardach, demonstracyjnie machając skrzydłami i szczerząc kły. Zresztą kupcy nie byliby kupcami, gdyby nie potrafili dogadać się z kimkolwiek, i mimo że pod ładą na wszelki wypadek leżała jedna czy druga główka czosnku, nie miało to żadnego wpływu na aktywność i wynik handlu.

Poza tym w okolicy mieszkała taka ilość kotów, że każda mysz wystarczająco głupia, by wyrzeć ze swojej nory, powinna dostać udaru na sam widok tej armii we wszystkich kolorach, która z mruzeniem grzebała w hałdach śmieci, w trzech czwartych składających się z resztek ryb. Przenikliwe wrzaski kotów zastępowały zwykle dla miejskich targów krakanie i ćwierkanie. Orsana w ogóle nie zauważyła tu nic skrzydlatego prócz krążącego daleko orła oraz smoka, gimnastykującego skrzydła nad górskim szczytem.

Len narzucił na głowę kaptur i celowo się przygarbił. Mimo że wampiry spotykało się tu na każdym kroku – tuż obok akurat dyskutowało dwóch kupców, dogewski i arlisski, obaj z ożywieniem gestykułujący rękoma i skrzydłami – władca, tym bardziej w złotym diademie, przyciągnąłby do siebie kompletnie niechcianą uwagę. Przy bramie zbiegało się pięć dużych dróg i niezliczona ilość ścieżek, na których nawet teraz, chłodną wieczorową porą, wśród zatapiających przedgórza cieni trwał ożywiony ruch – podróżni śpieszyli się, by dotrzeć do portu lub Belorii przed zmrokiem. Wał bez zsiadania z konia kupił od którejś wrzaskliwej handlarki gigantyczną suszoną rybę i teraz energicznie walił nią w przedni łęk siodła, na co klacz nerwowo się wzdrygała i kładła uszy po sobie. Orsana nie wytrzymała i ukradkiem gryzła wyciągnięty z torby suchar. Pokonując ostatni odcinek drogi, przyjaciele zdecydowali nie marnować czasu na obiad, a nie bardzo wiedzieli, kiedy uda im się zjeść kolację. I czy w ogóle się uda.

Przy wejściu do Kort-ogl-Elgar Rolar bardziej dla zasady potargował się z flegmatycznym, ale stanowczym strażnikiem, uparcie odmawiającym uznania sumy, której żądał od podróżnych, za „bezczelną grabież i wymuszenie”, po czym razem z Lenem (który w milczeniu stał obok) wrócił do niecierpliwie czekających w pobliżu przyjaciół.

– Nu i szo? – spytała Orsana, krztusząc się w pośpiechu przełkniętym kęsem.

– Przejechali przez bramę. Wszyscy. Wczoraj wieczorem. – Len obiema rękami przytrzymał kaptur, który cały czas wiatr próbował zwać mu z głowy. Jego towarzysze nie potrafili pohamować rozczarowanego westchnienia. Chyba ziściły się najgorsze obawy – czarodziej jednak skorzystał z teleportu i wyprzedził ich o całą dobę.

– Myślisz, że jeszcze są we Włastoku? – Rolar zerknął na Kort-ogl-Elgar. Kolejny kupiec z karawaną cieniutkich elfich tkanin próbował jeśli nie obudzić w strażniku sumienie, to przynajmniej oświecić go w kwestii istnienia tego uczucia, tak potrzebnego i przydatnego bliźnim. Krasnolud słuchał owej natchnionej przemowy z filozoficzną obojętnością, doskonale świadom faktu, iż jedynym godnym szacunku powodem obniżenia ceny była zdrowa konkurencja, która po prostu nie istniała.

– Mamy tylko jeden sposób, by się dowiedzieć.

Len złapał Wolta za uzdę. – Za kilka godzin zamkną tunel, a przez Elgar nie można się teleportować,

więc jeśli ukrywają się gdzieś w porcie, to będziemy mieli całą noc na poszukiwania.

Strażnik patrzył na zbliżających się podróżnych z sympatią, jak dojarka na wracające z pastwiska krowy.

– Dziesięć kładni – rzucił leniwie, wzmacniając swoje słowa szerokim ziewnięciem.

– Jak to dziesięć?! – zatkąło Rolara. – Jest nas czworo, po dwie monety od osoby, wychodzi osiem!

– Wychodzi osiem – flegmatycznie potwierdził krasnolud. – A do zapłacenia jest dziesięć, bo dwie od jeźdźca i osobno za import koniny!

Wolt prychnął z oburzeniem, a Powilika nawet wyszczerzyła zęby, ale nawykły do wszystkiego strażnik celnie stuknął ją po nosie czubkiem kopii, zmuszając do cofnięcia się. Rolar, którego dusza doradcy nie mogła I wytrzymać takiej ekonomicznej bezczelności, zaczął dopytywać się o wysokość kary za uduszonego krasnoluda, ale Len powstrzymał go władczy ruchem dłoni i sięgnął do kieszeni. Na oczach strażnika odliczył dziesięć kładni w srebrze i złocie, po czym niespodziewanie przerzucił część monet do drugiej dłoni i wyciągnął obie w kierunku strażnika.

– To żeby nie musiał pan wysilać się przy dzieleniu – wyjaśnił uprzejmie. – Jak to panowie zwykle robią: osiem do tamtej skrzyni z pieczęcią krasnoludzkiej kasy i dwa do woreczka przy pańskim pasie. Przy okazji, dobry strażniku, czy mogę zapytać o imię? Koniecznie postaram się pochwalić pana w rozmowie z pańskim naczelnikiem, szanownym Agorem-e-Nokiem. Mam nadzieję, że odpowiednio wynagrodzi on pańskie zasługi i ciężką pracę ku chwale Elgaru!

Chyba oficjalne wynagradzanie „ciężkiej pracy” odbywało się w jakiś inny, nie tak skuteczny i produktywny sposób. Krasnolud natychmiast stracił na ważności bo uciekł od pieniędzy jak dajn od kuszącego go mrakobiesa, zabrakło tylko czynionych znaków krzyża.

– No co też szanowny pan mówi, jaki ze mnie strażnik?! Ja tu tylko... eee... poprosili mnie, żebym kopię potrzymał, jak właściciel pobiegł do kancelarii! Więc jedźcie sobie, póki nie wrócił, i niech to zostanie między nami!

– Umowa stoi – uśmiechnął się Len, chowając pieniądze.

Co jak co, ale krasnoludy były doskonałymi mistrzami. Czasem wycięte w skale figury wydawały się żywe, a człowiek miał wrażenie, że idzie przez zastygły czas. I wystarczy tylko uwolnić go jednym nieostrożnym słowem, jak zapadkę w naciągniętej kuszy, by zerwał się do gwałtownego lotu, kończąc złapane przez znakomitych rzeźbiarzy ruchy: koń zatańczy na tylnych kopytach, z parsaniem gryząc wędzidło, rozlegnie się smętne wycie wilczycy o wypełnionych tęsknotą ludzkich oczach, a wypuszczony przez maga pulsar uniesie się karmazynowa poświata nad krenelazem muru obronnego. Len prawie spadł z konia, próbując dokładniej obejrzeć wyłaniającą się z warstwy granitu kobiecą sylwetkę z uniesionymi rękoma i długimi, powiewającymi włosami, która wydała mu się smutno znajoma. Ale uznał, że nie będzie wracał i badał sprawy dokładniej. To jednak było zbyt nieprawdopodobne.

Większość płaskorzeźb poświęcona była Starciu, największej bitwie zeszłego stulecia. O dziwo, odbyła się ona nie między państwami, ani nawet nie między rasami, tylko – w ramach wyjątku – naprawdę pomiędzy Dobrem a Złem, jak to lubią śpiewać minstrele. Mało tego, chyba w ramach potwierdzenia odwrotnej reguły zwyciężyło w niej Dobro – za cenę ogromnych strat i nie mniejszego bohaterstwa. W tym również ze strony krasnoludów, co ostatecznie utwierdziło ich w mniemaniu o własnej wielkości (nie to żeby wcześniej miały jakieś wątpliwości).

Konie uspokoiły się i ostrożnie stąpały po kamiennej drodze, oświetlonej upiornie błękitnym lśnieniem specjalnie hodowanych w sztolniach grzybów w doniczkach na cienkich łańcuchach, wiszących pomiędzy płaskorzeźbami. Sądząc z wyraźnych nadgryzień na brzegach kapeluszy, nie tylko Orsanie przypominały one stosiki pulchnych naleśników. Dziewczyna rozsądnie wstrzymała się od degustacji – sławetne plamy i bez tego nabrały delikatnego trupiego koloru, który powodował, że napotkane wozy

spiesznie ustępowały jeźdźcom z drogi, choć powinny być dokładnie na odwrót. A jeśli na dokładkę zaczną świecić... Winessanka wzdygnęła się i zmusiła do odwrócenia oczu od najbardziej apetycznie wyglądającego grzybka. W miarę jak z przodu rosła biała plamka, powoli rozdzielająca się na błękit i turkus, grzyby blakły, aż w końcu zgasły ostatecznie. Jeszcze kilka sążni i podróżni zachłannie wciągnęli do płuc świeże powietrze o posmaku soli i wodorostów. Czuli się jak po wyjściu z grobowca.

Niebieskie okazało się niebem, turkusowe – morzem, a granica pomiędzy gubiła się w zasnuwającej horyzont mgiełce z białymi piórkami żagli. Od osiadającego daleko po prawej słońca rozpełzała się jaskrawa plama zachodu, na której tle port stawał się całkowicie czarny, a stojące przy nadbrzeżu statki przypominały ostre cienie. Po lewej znajdowała się stocznia, przypominająca gigantyczną pajęczynę ułożonych z desek przejść, rusztowań i lin, w której zaplątało się kilka kadłubów statków. Dookoła nich jak małe zapracowane pajęczki kręcili się robotnicy, słychać było stukanie młotków, skrzypienie lewarów, jazgot pił i rzeczowe przekleństwa budujących. Włastok półkołem tulił się do gór, próbując wspiąć się możliwie wysoko, by umknąć przed pożądanymi łapskami sztormów. Przy samym brzegu stała wyłącznie gigantyczna kamienna latarnia, nad którą z krzykiem krążyły mewy. W tej chwili morze ledwo poruszało fałdami i nie próbowało zagarnąć nawet ćwierci wymytej przez nie plaży. Piasek już zdążył przeschnąć i jak na całym morskim wybrzeżu miał delikatny srebrzysty odcień bez najmniejszego śladu żółci.

– I gdzie teraz? – Troll, który nie raz miał okazję odwiedzać miasto, zaszczycił je wyłącznie szybkim spojrzeniem i solidnym splunięciem. I sam natychmiast zaproponował: – Możemy wpaść do gospody. Tamtejsi ludzie kręcą się wszędzie, więc może ktoś coś i słyszał. A możemy się przeszwyrknąć po porcie, powinienem tam znaleźć paru znajomych.

Obie możliwości wywołały gwałtowną dyskusję na temat „za” i „przeciw”, która zakończyła się decyzją o rozdzieleniu grupy. Jak to określił troll, „najgłodniejszy”, czyli Orsana i Rolar, zabrali ze sobą wszystkie konie i ruszyli na zwiady, a przy okazji zakupić prowiant w gospodzie, gdzie w razie braku problemów powinni do zmroku czekać na powrót przyjaciół z portu.

– A jeśli nie wrócicie? – z niepokojem spytała dziewczyna.

– Znaczący się nie doczekacie. – Len filozoficznie wzruszył ramionami, szepnął coś w ucho Wolta i przekazał wodze zasmuconego rumaka Rolarowi.

– Tylko spróbuj... bez nas – przygroził mu czarnowłosy wampir. Władca Dogewy skrzywił się, ale zamilczał.

* * *

Zrozumiałam, że jeśli zaraz się nie zatrzymamy, nie zjemy czegoś i się nie wyspimy, to po prostu padniemy ze zmęczenia.

Zrozumiałam to w sposób bardzo prosty – padłyśmy. Co prawda kobyła natychmiast zerwała się z powrotem na nogi i z irytacją uderzyła ogonem po spoconych bokach, ale spojrzałyśmy po sobie i jednogłośnie uznałyśmy gałąź, która trafiła jej pod kopyta, za palec losu, który jednoznacznie wskazywał na leżącą w pobliżu wieś.

Dokładnie tak jak gałąź palec okazał się dosyć krzywy. A na dokładkę – złośliwie odstawiony i środkowy.

Gdybym nie była tak zmęczona drogą i nieprzerwanym ćmiącym bólem w nodze, która przestała reagować na zaklęcia, to za nic bym się nie skusiła, aby uderzyć w dzwon przy ciężkiej, okutej żelazem bramie, od której na kilka sążni zalaływało mocną magią obronną. Poza tym z daleka zauważyłabym też, że na dwie dziesiątki domów za solidnym, równym jak grzebyk ostrokołem mają tam tylko pięć albo

sześć ogródków, a na samym środku sterczy wieża strażnicza.

Ale było już za późno, poruszony dzwon zabrzmiał nisko i przenikliwie jak orczy gong. Fort legionu? Trochę mały, zresztą po grzyba on potrzebny w tej głuszy? Do najbliższej granicy miałam kilkaset wiorst, a krasnoludy i tak nie przepuściłyby wrogiego wojska przez Kort-ogl-Elgar – przy ich cenach każdemu agresorowi zwyczajnie zabraknie środków.

Wrota uchyliły się dokładnie na tyle, bym zobaczyła stojącego w nich rosnącego faceta w zakurzonej zbroi.

– Ścieżka i żywioł? – zapytał raczej pro forma, opuszczając halabardę.

– Klinga i płomień – zameldowałam odruchowo, okazując przypięty po wewnętrznej stronie kołnierza znak cechowy maga praktyka.

Brama otworzyła się na całą szerokość, a czyjaś usługowa ręka bez pytania złapała kobyłę za uzdę, wciągając do środka. Strażnik, który i bez tego był podejrzanie uprzejmy, zaczął wyraźnie się płaszczyć:

– Zapraszam, panno bakałarz, zapraszam, od wczorajszego wieczora na panią czekamy! Pewnie z samego Starminu pani do nas?

– Tttak – potwierdziłam z zająknięciem, nie precyzując, że ostatni raz byłam w stolicy zimą.

– A to przecież widzę, że kobyłka cała spieniona... i jaka śliczna, akurat pasuje do właścicielki! Ale nic to, zaraz ją obetrzemy, nasypiemy czystego owsa... Pani pozwoli nóżkę!

Do reszty oszołomiona pozwoliłam, by strażnik pomógł mi zsiąść z konia. Smolka była zbyt zmęczona, by szczekać kłami na tak bezczelne traktowanie, a słysząc o owsie i ślicznotce, bez najmniejszego sprzeciwu ruszyła za stajennym. Nie legionowy, tylko magiczny! – olśniło mnie. Po Starciu Konwent wybudował podobne forty w całej Belorii, żeby uniknąć powtórnej inwazji. Zwykle kwaterowano w nich trzech albo czterech magów praktyków różnych stopni, jednego, dwóch teoretyków i około tuzina legionistów jako ochronę.

Jeszcze nie wiedziałam, czy to dobrze, czy źle. Z jednej strony zawsze mogłam liczyć na to, że koledzy mi pomogą, jak również zapewnią bezpłatne jedzenie i nocleg, co było całkiem na miejscu, mając na uwadze moją smętnie oklapniętą sakiewkę. Z drugiej – wyraźnie wzięli mnie za jakąś ważną osobistość. Ale nic to, zobaczymy na miejscu!

Na zewnątrz „miejsce” wyglądało jak zwykła chłopska chata, a wewnątrz okazało się trzypiętrowym kamiennym gmachem. Chętnie potwierdziłam pochylonemu w ukłonie kamerdynerowi, że życzę sobie wszystko – kolację, łóżko oraz kąpiel i czystą bieliznę. Koniec końców regularnie opłacałam składki na Konwent, więc dlaczego choć raz nie miałabym otrzymać czegoś w zamian? Nawet jeśli na skutek błędu. Pokój otrzymałam natychmiast, a z nim wannę w postaci kadzi na trzydzieści wiader z gorącą wodą. Kolację obiecano za chwilę, w towarzystwie komendanta fortu. Łaskawie wyraziłam zgodę na tę łyżkę dziegciu, odesłałam służącą i pojękując z bólu i rozkoszy, wlałam do kadzi. Po sam nos zanurzyłam się w pachnącej różami i jałowcem wodzie, ostrożnie zgięłam i obejrzałam złamaną nogę. Nie wyglądała dobrze. Oczywiście nie odpadała, ale też nie zamierzała się goić, wyrażając zdecydowany protest przeciwko tak nieludzkiemu traktowaniu jak całodobowa jazda konna z przerwami w najlepszym razie na godzinę, a i to tylko na odnowienie zaklęć.

Zamknęłam oczy i z westchnieniem oparłam głowę o brzeg kadzi. Unosząca się nad wodą para przyjemnie łaskotała twarz, cały gmach był nienachalnie otulony naturalną magią – forty budowano na jej źródłach, by w razie czego magowie nie musieli się hamować przy rzucaniu zaklęć. Tutaj nie musiałam nawet wchłaniać mocy, wystarczyło, bym się rozluźniła i pozwoliła jej swobodnie płynąć przez ciało, i samej decydować, gdzie jest bardziej potrzebna – w aurze czy w rezerwie. Po paru godzinach obudziło mnie zdecydowane pukanie do drzwi, przypominające o umierającym z głodu komendancie. Woda zdążyła ostygnąć, więc wylazłam z kadzi bez większego żalu. Czułam się względnie dobrze, ale tutaj

kwestią decydującą było „względem kogo”. Jak na zombie zachowałam się całkiem znośnie! Sądząc z demonstracyjnie zawieszzonego na szyi medalu, komendant, dokładnie tak samo jak ja, był bakałarzem czwartego stopnia magii bojowej. Ale przypominał raczej prostego chłopca, który dosłużył się do swojego stanowiska tysiącnicą ciężką pracą – przysadzisty, łysiejący (a raczej kończący łysieć) mężczyzna o okrągłej, dobronuduszej twarzy, ze zmarszczkami w kącikach warg. Mimo to w stosunku do szlachetnego gościa (żebym to jeszcze wiedziała jakiego) stanowił kwintesencję uprzejmości.

Odsunął krzesło, obsypał komplementami, napełnił kielich winem i w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku usiadł naprzeciwko, niecierpliwie wkładając za kołnierz śnieżnobiałą serwetkę.

Wyprostowałam złamaną nogę, nie mogąc powstrzymać grymasu bólu. Komendant zinterpretował go po swojemu:

– No tak, pokonanie większej części drogi konno to niewielka przyjemność. Przepraszam, że nasza „pajęczynka” sprawiła taki kłopot... ale sama pani rozumie, rozporządzenie Konwentu...

Pokiwałam głową z mądrym wyrazem twarzy. Czyli „pajęczynka”. Cienkie jak brzytwa pasma magicznej pustki, w których przerywała się każda teleportacja. To dlatego w forcie było tak mało ludzi – pozostali pewnie podtrzymywali niewidoczną „granicę” albo patrolowali ją, szukając nieprzytomnych ciał – wyjście z teleportu w całości, bez szkód i tak nie było proste. A kiedy wyrzucano cię z niego siłą... Ciekawe, na kogo ją „splatali”...

– Szanowna koleżanko... – Komendant mimo wszystko nie wypowiedział mojego sugerowanego imienia i sam nie spieszył się do przedstawiania, naiwnie zakładając, że i tak wszystko wiem. – Pozwoli pani, iż zapytam, z czym wiąże się tak przyjemna, ale nie ukrywam, że również tajemnicza wizyta? Poinformowano mnie tylko w ogólnych zarysach, dodając, że po przyjeździe wszystko pani wytłumaczy.

– Po kolacji, sam na sam – obiecałam znacząco, kierując widelec w stronę faszerowanego kalmara. Ghyr by się tak starali dla zwykłej wiedźmy, w najlepszym razie dostałabym kubek zsiadłego mleka i miskę kaszy z podrobami! Mściwie zgarnęłam na swój talerz również przynajmniej połowę czerwonego kawioru z małego spodeczka.

– Nie śmiem nalegać. – Komendant chyba również nie chciał psuć sobie apetytu rozmowami o pracy. Zresztą nie miał powodów, by na niego narzekać, i na wyścigi ze mną unicestwiał wszystkie dania po kolei.

Jednak nie dano nam możliwości, by zjeść w spokoju. Żywa, trzepocząca mglistymi skrzydłami strzała przeniknęła przez mur jak przez wodę – kamień tylko lekko zafalował w miejscu pojawienia się posłańca. Opieczętowany lakiem zwój wylądował wprost w talerzu komendanta.

– Tak-tak-tak... i fo my fu mamy? – Nadal miarowo poruszając szczękami, złamał doskonale znaną mi pieczęć ze smokiem i laską. Nierówne połówki rozpląły się w czerwony dymek, informując dalekiego nadawcę, że jego wiadomość dostarczona została właśnie do celu. – Oczywiście kolejny rozkaz! Chyba akurat odnośnie do pani przyjazdu... he-he, a mogli przecież przysłać jakąś nagrodę! Czegóż w takim razie Konwent sobie od nas życzy tym razem?

Komendant powoli rozprostował zwój, który miał długość przynajmniej łokcia, po czym krótkowzrocznie zmrużył oczy i odwrócił się bokiem do okna.

– Nie no, niech pani tylko posłucha! – Po paru sekundach zakrzuszył się i z oburzeniem ciągnął: – „Nie rozpoczynać otwartej walki, ale spróbować ich rozdzielić i złapać pojedynczo”. Genialne! Jak oni to sobie wyobrażają? Mam machać rękoma, krzyknąć: „A kysz!” i rozganiać w ten sposób bandę złożoną z wampirów, magów i najemników?! No dobrze, do tego „natychmiast powiadomić”...

Komendant zagłębił się w lekturze, coraz bardziej marszcząc brwi i czerwieniejąc w okolicach łysiny. Siedziałam jak na szpilkach, ledwo powstrzymując się przed tym, by skoczyć, wyrwać mu zwój i szybko przelecieć go wzrokiem.

– Hm... znaki szczególne... aha... Niczego sobie! Gruba rybka... ale czego on tu szuka? Imć W. Redna... cóż, odpowiednie imię dla więdźmy... Oho! Na dodatek naczelnej więdźmy Dogewy... w takim razie już wiadomo, dlaczego się ośmielił... taaak, do pełni szczęścia brakowało nam wyłącznie konfliktu z Winessą... Ale, panno bakałarz, niech pani nie zwraca na mnie uwagi i spokojnie je, bardzo proszę! – sumitował się gospodarz, patrząc na widelec, którego w końcu nie doniosłam do ust. I kontynuował lekturę w ciszy, bezgłośnie poruszając wargami.

Z ogromnym trudem zmusiłam się do przełknięcia pozostałej na talerzu sałatki, zmięłam chusteczkę i z czarującym uśmiechem poprosiłam o pozwolenie, by na kilka minut odejść od stołu. Komendant odpowiedział roztargnionym ruchem dłoni. Jak każda doświadczona i zahartowana w podróżach oraz walce z potworami więdźma doskonale wiedziałam, kiedy nadchodzi czas, by się wynieść. I przystąpiłam do tego natychmiast i z wielkim zaangażowaniem. Otworzyłam drzwi wyznaczonego mi pokoju, spiesźnie narzuciłam kurtkę, a na nią pas od pochwy, pochyliłam się po stojącą na podłodze torbę... i zamarłam, patrząc przez otwarte okno. Przy bramie, gwałtownie spierając się z marniejącym w oczach strażnikiem, harcowała na gniadym koniu kobieta w kwiecie wieku, ze wspaniałą burzą kędziorów w kolorze kasztanoworudym. A raczej we wspaniałej peruce, której poprzedniczkę jeszcze na trzecim roku szcudrze wysmarowałam klejem do butów, opuszczając w imię tej jakże słusznej czynności uroczystą kolację poświęconą zakończeniu sesji. Ostatecznie zostaliśmy (wraz ze stojącym na czujce Enką) pozbawieni również śniadania oraz obiadu, a gdyby nie wstawiennictwo mistrza, to również możliwości dalszej nauki. Ale za to otrzymaliśmy trzy prawdziwie bezcenne lekcje: 1) Lepiej nie wchodzić w drogę bakałarzowi pierwszego stopnia przed otrzymaniem chociażby drugiego; 2) klej dobrej jakości jest lepszy od wszelkiej magii oraz 3) w kramie „Dwaj Leprechauni” robią bardzo dobry klej.

Kobieta, rozdrażniona głupim sporem, po prostu zmiotła strażnika koniem, podjechała do samego ganku, zmrużyła oczy i badawczo spojrzała w górę. Wątpiłam, by potrafiła dostrzec mnie przez otaczającą budynek iluzję, ale błyskawicznie runęłam na czworaki i wciągnęłam głowę w plecy. Po Katissie Łabskiej, wykładowczyni magii bojowej i babie wyjątkowo paskudnej oraz podstępnej, można było spodziewać się wszystkiego. A poza tym akurat ona doskonale wiedziała, jak wygląda „imć W. Redna”!

Usłyszałam, jak stukają po stopniach wysokie, cienkie obcasy, które napędzały prawdziwego strachu siedzącym w auli egzaminacyjnej adeptom. Trzasnęły drzwi. Jedyne w całym budynku. Jeżeli nie wydam się z fortu, zanim Katissa zamieni parę słów z komendantem, to mogłam od razu się poddać – dla niej zaczarowanie drzwi tak, bym nie mogła ich nawet znaleźć, to pestka. Ale w tym celu musiałam wyjść na spotkanie pani bakałarz i jakoś wyminąć ją na jedynym korytarzu. Bo przepuszczenie jej obok pokoju i oczekiwanie, aż dotrze do jadalni, było niewykonalne – podniesie alarm, zanim zdążę dobiec do schodów.

Oczywiście martwiłam się bynajmniej nie o darmową wannę i zjedzony kawior. Mało prawdopodobne również, by Katissa miała zamienić mnie we wronę i oskubać po jednym piórku, tak jak obiecała to, będąc pod wrażeniem cudownie przyrośniętych włosów. Ale w żadnym razie nie mogłam pozwolić, by mnie „rozdzieliła i złapała pojedynczo”. Nie miałam zielonego pojęcia, czego chciał ode mnie Konwent, ale w tej chwili miałam ważniejsze sprawy na głowie!

Obcasy ledwo słyszalnie odliczały pierwszy odcinek zaścienionych dywanem stopni. Schody, korytarz, schody, korytarz i komendant. Na palcach, w miękkich butach (nie driadzkie, ale również niczego sobie!) ruszyłam w dół schodów, bezlitośnie męcząc złamaną nogę. Zresztą ona chyba zrozumiała powagę chwili i przestała odczuwać w ogóle cokolwiek. Na drugą kondygnację już nie zdążyłam, a korytarz pierwszego piętra na środku rozszerzał się w niewielki hall z długim stołem bankietowym. Stało na nim kilka świeczników i kosz z owocami. Koronkowy obrus zwiisał prawie do podłogi. No to teraz na bok,

przytulić się do ściany, połączyć dłonie i skupić na formule maskującej...

Ale na widok koszarnej baby, która akurat ukazała się zza zakrętu, wszystkie zaklęcia natychmiast wyparowały mi z głowy, a ja, czując się jak dziesięcioletnia świeżynka, na złamanie karku zanurkowałam pod stół i wstrzymałam oddech, czując, jak serce szaleńczo wali mi w klatce piersiowej, żądając, by ktoś wypuścił je z tego przerażającego miejsca.

Wpadłam jak śliwka w kompot! A jeszcze mówi się, że magowie głupich do siebie nie biorą! Może już zdążyła mnie zauważyć?!

Katissa zwolniła kroku. Zatrzymała się koło stołu, w zamyśleniu pobębniła po nim palcami. Obcasy znalazły się tuż koło mojej twarzy i zdołałam dostrzec, że są wycięte z czarnych kłów kościca-ścierwojada. Przy gryzłam rękaw kurтки, by nie zacząć skamleć z przerażenia. Słowo honoru, lepiej, by chodziła tam prawdziwa banshee, a nie nazwana na jej cześć bakalarz (ze słusznie należnym przymiotnikiem oznaczającym godny pożałowania brak własnych włosów), którą adepci wspominali szeptem i rozglądając się na boki! W żaden sposób nie potrafiłam przekonać samej siebie, że teraz była tylko jedną z moich koleżanek po fachu.

Kobieta schyliła się. Zdjęła lewy pantofel, wytrząsnęła z niego kamyczek. Ponownie założyła, przestąpiła z pięty na palce i z zadowolonym mruknięciem ruszyła dalej. Od gwałtownej ulgi pociemniało mi w oczach i musiałam odczekać kilka chwil, zanim mogłam wyczołgać się spod stołu i w te pędy ruszyć do drzwi. Bakalarz akurat zdążyła zniknąć za zakrętem, obcasy oddalały się, stukając po drugich schodach. Może to i lepiej, że nie próbowałam czarować. Magiczne ukrycie się przed specjalistką takiego poziomu (bo należy oddać Łysej Banshee honory) było wyjątkowo trudne, ale mimo wszystko była ona człowiekiem, a nie wilkołakiem, który mógł wyczuć mój zapach albo usłyszeć walenie serca.

Wyskoczyłam na ganek, zatrasnęłam drzwi i nie zastanawiając się długo, zagwizdałam w dwa palce, strasząc drzemiące na dachu gołębice. Gdzieś za przybudówkami zabrzmiał głośny trzask i Smolka galopem podleciała do mnie, udając, że nie zauważa wlokącego się za nią stajennego. – Dziękuję – rzuciłam uprzejmie, odbierając od niego wodze.

Chłopak burknął niewyraźnie coś nieuprzejmego, rozluźnił ręce i ostatecznie padł na ziemię. Przeniesienie się z ganku na siodło zajęło chwilę. Strażnik na widok naszego energicznego startu z godną pochwałą chyżością odskoczył na bok, w przeciwnym razie na oścież otwarta brama sprasowałaby go z płotem.

Zdążyłam odjechać dosyć daleko, gdy usłyszałam z tyłu jakieś dźwięki, podejrzenie przypominające wściekłe wrzaski. Ale nie nastąpiły po nich ani wizgi pulsarów, ani tupot pogoni. Mimo wszystko, znając Katisę, nie warto było żywić złudzeń ani zatrzymywać się do samego Kort-ogl-Elgaru, który już widniał na horyzoncie jako nieruchomy pierścień czarnej chmurki.

Darmowy kawior zdarza się tylko w pułapce na wiedźmy, pomyślałam chmurnie, wygodniej stanowiąc się w siodle, którego miałam już serdecznie dosyć.

* * *

– Aaaa! Strzyyyga!!!

Rolar cofnął się, sięgając po schowany pod płaszczem gword, ale zrozumiał, że krzyki te bynajmniej nie tyczyły się jego. Zresztą czy tu niby wampirów nie widzieli?! Dwie z dwudziestu dolin znajdowały się na wyspach i często przyływały stamtąd statki handlowe. Poza tym krasnoludy i trolle, których w znajdującej się przy zajeździe karczynie była przeważająca większość, w ogóle nie powinny mieć z nimi żadnego problemu. Chyba żeby dzielić na trzech. Oczywiście nie śliczną pannę, tylko butelkę mocnego rumu z przemytu.

Okazało się natomiast, że miejscowi bardzo rzadko widywali upiękzone w stylu „żywego trupa” Winessanki. Rolar spiesznie zasłonił dziewczynę sobą i zapewnił zrywających się z miejsc marynarzy, że to tylko nałożone przez paskudnego czarownika przekleństwo, przez zwykłych ludzi nazywane wiankiem samotnicy, ale jeśli któryś zaryzykuje i...

Wściekła „strzyga” dała wampirowi taką sójkę w bok, że potencjalni uzdrowiciele zdecydowali, że nie będą za bardzo śpieszyć się z pomocą.

Karczmę ponownie wypełnił gwar, a Rolar odbył cichą rozmowę ze słusznej posrury gospodynią, od której nie dowiedział się niczego ciekawego. Czarodziej i jego pomocnicy tu nie zawitali – boby pamiętała. A teraz gościła załogi z dwóch statków, które dopiero co dziś przycumowały, więc pytanie ich o portowe plotki miało się z celem.

Wampir z rozczarowaniem zapłacił, złapał tacę z zamówionym jedzeniem i wrócił do zajętego przez Orsanę stołu. Niestety, nie posiadał zdolności telepatycznych, ale jak wszystkie wampiry (a już tym bardziej doradcy!) doskonale czuł, gdy ktoś próbował go okłamać.

– Jeżeli nie zatrzymali się w gospodzie – w zamyśleniu rzuciła dziewczyna po zaspokojeniu pierwszego głodu – to albo mają przyjaciół w mieście, albo ruszyli wprost do portu. I już stamtąd nie wrócili.

– W mieście wcześniej czy później ich znajdziemy. Rolar pociągnął łyk z kufła, skrzywił się i odstawił go na bok. Piwo albo zostało szcudrze rozcieńczone morską wodą, albo też bez zawracania sobie głowy zaczerpnięto go wprost z morza. – Ale oni nie należą do ludzi, którzy pozwolą zagonić się do kąta, więc obawiam się, że już dawno zniknęli z portu...

– Tylko dokąd? – Orsana smętnie oparła podbródek na pięści, obserwując drzwi karczmy. Jak gdyby czekała, aż otworzą się na oścież i w progu ze złośliwym: „Witajcie, kochani!” stanie nieuchwytny czarodziej.

Drzwi faktycznie się otworzyły. Gospodyni, widząc nowego gościa, usunęła z twarzy zawodowy uśmiech i kontynuowała ruganie leniwej służącej. Stareńki dziadek bynajmniej się nie obraził, energicznie stukając laską w kierunku najbliższego hałaśliwego towarzystwa, Przysiadł na brzeжку ławy i niespodziewanie głośnym i przenikliwym głosem zaczął:

– Ech, młodzieszy, młodzieszy. Co wy wiecie o prawdziwych podroszach? Popłynęli rasz czy drugi na wyspy z karawaną handlową i myślicie, żeście się stali morskimi wilkami? Bo ja to przez całe szycie przepłynąłem mosze wzdłusz i wszesz, czego to nie widziałem! Chyba mógłbym wam opowiedzieć... tylko mi coś w gardle zaschło... Żeglarze uśmiechali się, nie zwracając na dziadka szczególnej uwagi i tym bardziej nie śpiesząc się, by fundować mu darmowe piwo, o które w całej sprawie chodziło.

– Czy wy myślicie, że ja jestem jakiś bajasz z jarmarku? – staruszek się nie poddawał. – Mnie w tym porcie to kaszdy pies zna, a ja go tym bardziej! Powiedzmy, ten poszar w zeszłym roku...

– A szo, dziaduniu – zabrzmiał na całą karczmę dziewczęcy głosik. – Pewnie nie dacie rady nazwać wszystkich statków, które wyszły z elgarskiego portu... powiedzmy, w ciągu ostatniej doby? Stawiam butelkę, że nawet połowy sobie nie przypomnicie! Staruszek zachłysnął się z oburzenia, zapomniał laski i żwawo jak młodzieniaszek ruszył w kierunku stołu bezczelnej pannicy, mając wyraźny zamiar zawstydzić ją opisem każdej łaty na wszystkich statkach – od majestatycznych elfich galer do podrzędnych orczych łódeczek – które miały okazję zawinąć do portu w ciągu ostatnich dziesięciu lat.

Przyjaciele spojrzeli na siebie z uśmiechem i przyzywająco zamachali na roznosicielkę rumu.

* * *

Ilka cichutko gwizdnął, przywołując przyjaciół, by spojrzeli na jego znalezisko. Niedbale rzucone

wprost na piasek ubranie, sakiewka, buty, a na nich jakaś laska z bursztynową rękojeścią. Na oko bardzo droga i starożytna.

– Pewnie poszedł się kąpać – podsumował rudy wysoki chłopak, najstarszy i najważniejszy w bandzie „speców od wszystkiego”, jak ironicznie określali sami siebie ulicznicy z portu. Bo czego to oni już nie ukradli! – Ilka, spojrzysz! Jego pomocnik posłusznie pobiegł do skraju przystani. Na najbliższym statku trwała ożywiona ni to dyskusja, ni to kłótnia dwóch trolli, ale w wodzie nikogo nie było.

– Cóż, topielcowi one i tak po nic, a gapiowi nauczka zawsze się przyda – rozsądnie zdecydował rudy.

Już się zabierali do radosnego dzielenia bezpiecznych rzeczy, gdy z cienia pomiędzy dokami wyłonił się ogromny pies. Szarawy, o długim pysku i wiszącym, ale bynajmniej nie tchórzliwie podkulonym ogonie. Nie mieli pojęcia, jak mu się to udało, ale dokładnie zlewał się z cieniami i wyłonił z nich dopiero po wyjściu na słońce. Jak gdyby nastroszone przez bryzę futro w jednej chwili zmieniło barwę z mglistoszarego na śnieżnobiałe.

Złodziejaszki zastygli w głupich pozycjach, nie mogąc zdecydować się ani na ucieczkę, ani na wypuszczenie skradzionych rzeczy z rąk. Pies nie miał obroży, ale z jakiegoś powodu nie mieli wątpliwości, że bardzo nie pochwała ich działalności.

Rudy spróbował zagwizdać, ale drżące wargi nie chciały słuchać. Pies zatrzymał się. W odległości sześciu łokci albo jednego skoku... kiedy uzna to za stosowne. Wygodniej rozstawił łapy, nienaturalnie nisko opuścił łeb, unosząc do góry garb karku.

Ilka nie potrafił tego wyjaśnić, ale na przystani zwierzak wydawał się zadziwiająco nie na miejscu. Znacznie bardziej odpowiednio wyglądałby w leśnej głuszy... a jeszcze lepiej, gdyby nie widzieli go nigdzie i nigdy.

– Wiiiilk! – jako pierwsza pisnęła Nastają, jedyna dziewczyna w towarzystwie.

A jeszcze mówią, że z bab to żadnego pożytku! Bez jej krzyku to ghyr by odmarzli od ziemi, puścili zdobycz i rzucili się do ucieczki!

Pies nie ruszał się z miejsca i w skupieniu patrzył w ślad za nimi. Spokojne szare spojrzenie chłodziło łopatki liki, dodając jego nogom niespodziewanej chyżości.

Jak gdyby czytał w myślach.

* * *

Len nie wchodził do środka. Przysiadł na poręczy karczmy, przerobionej z dwumasztowego stateczka, przy którego dziobie rynsztok całkiem naturalnie udawał przepływający obok strumyk. Przez dłuższą chwilę w milczeniu podziwiał ogarniający kolorami niebo i morze zachód słońca. Potem bez odwracania się zapytał, choć Rolar poruszał się naprawdę bezgłośnie:

– Coś wiecie?

– Od wczoraj z portu wyszło siedem statków. Wszystkie w różnych kierunkach, tak więc obawiam się... – Arlissczyk nie zdążył rozłożyć rąk.

– „Czarny Lis”. Dzieciaki w porcie widziały, jak już po północy wchodzili na jego pokład.

Przerwa przeciągała się. Len ze zdziwieniem spojrział na przyjaciela, domyślił się przyczyny i bez radości w głosie zażartował:

– Możesz powiedzieć na głos. I tak nie będzie gorzej, niż myślę.

– Dziś po obiedzie odpłynął... – Rolar zaciął się i w poczuciu winy uciekł spojrzeniem – do Lesku. Władca ledwo zauważalnie drgnął. Mimo że nie spodziewał się innej odpowiedzi.

– Len, może...

– Moję. Rolarze, jedziemy tam. – Len ze zmęczeniem przetarł ręką czoło, poprawiając diadem. –

Takich rzeczy się nie wybacza.

– Takich również. – Rolar znacząco spojrział na morze. – Przecież ty nadal nie masz opiekuna.

Arlisski doradca nie namawiał, tylko przypominał – taktownie, nienatrętnie. Jak gdyby dawało się o tym zapomnieć...

– Przecież i tak by mi nie pomógł. Do mojego kręgu nie zdążymy, a o leskim, co oczywiste, nie ma co nawet marzyć. – Len odruchowo dotknął piersi, wymacując rear przez cienką tkaninę koszuli. Naczelną dogewską wiedźma nie raz czyniła aluzje, że niby ma już doświadczenie, więc dlaczego by nie...? Nie. Wolał umrzeć, niż pozwolić jej jeszcze raz tak ryzykować.

– Myślisz o niej? – Rolar oparł się o poręcz obok władcy, udając, że dogłębnie fascynują go płynące rynsztokiem śmieci. Chociaż w sumie jedno jabłko było nawet całkiem niczego sobie, szkoda, że nie miał czym go zahaczyć.

– Tak widać? – Lenowi drgnął kącik ust.

– Widać. Po tobie i po niej również. Len, po kiego ghyra jeszcze się nie pobraliście?

– Ona nie chce. Boi się, nawymyślała sobie różnych strachów, a ja nie chcę jej zmuszać. Kella nie miała racji, zaczynając tę całą kołomyję ze ślubem... a teraz to... – Władca z rezygnacją machnął ręką. – A ty?

Len nie odpowiedział, patrząc na horyzont. Zachodzące słońce pomalowało piaszczysty brzeg na złoto i rudo, tak że nie mógł oderwać spojrzenia od gry barw. Dokładnie tak samo skrzyły się, lśniąc w czerwonym blasku, krótkie rozczochrane włosy, gdy zobaczył ją po raz pierwszy – osiemnastoletnią, desperacko drżącą dziewczynkę, za uzdę prowadzącą do wody białą kobyłę...

On też się bał. Ale rozumiał, że jeśli nie potrafią wykonać tego kroku razem, to dalej będą musieli iść samotnie. Do końca życia, ponieważ nic podobnego już im się nie przydarzy, a na mniej się nie zgodzą...

– Trzeba iść do naczelnika portu – zdecydowanie rzucił władca Dogewy, odwracając się plecami do morza. – To szybsze niż sprawdzanie wszystkich statków, i pytanie, kiedy i gdzie płyną. A my nie możemy sobie pozwolić, by zmarnować nawet chwilę.

* * *

– Hej no, dokąd to?! – strażnik ocknął się z opóźnieniem, gdy końskie kopyta nawet bez spowalniania kroku najspokojniej w świecie przestukały koło jego posterunku. Krasnolud jedną ręką przytrzymał nieco przyduży hełm, a drugą wystawił do przodu włócznię i co sił w nogach ruszył w pogoń za bezczelnie łamiącym zasady osobnikiem. A raczej osobniczką. – A kto zapłaci za korzystanie z tunelu?!

Rudowłosa panna bez słowa sprzeciwu zatrzymała kobyłę. Cofnęła się i z lekkim zdziwieniem odparła:

– Przecież tam jest napisane, że dla wiedźm darmowe przejście!

– Gdzie? – Strażnika aż zatchnęło.

– O tam! – Dziewczyna machnęła ręką. Z jej złożonych trzech palców wyrwał się niebieskawy strumień światła, który po napotkaniu ściany wybuchł, sypiąc okruchami granitu. Biedny krasnolud aż przysiadł z wrażenia, a kiedy z przestraczem podniósł spadający na oczy hełm, nad wejściem do tunelu widniał lekko dymiący napis, wykonany w kunsztownym elfim stylu – z zawijasami i mocnym pochyleniem ku lewej stronie.

Czarna kobyła niecierpliwie przestępowała z nogi na nogę, ale wiedźma nie puszczała naciągniętych wodzy i w spokoju czekała na odpowiedź, niewinnie mrugając kryształowo uczciwymi oczyma. Chyba od wampirów się tego uczyła, pomyślał strażnik z irytacją.

– A, tak właśnie – wydukał. – Całkiem zapomniałem! Oczywiście, że darmowe! Niech pani jedzie, przepraszam, że niepokoiłem!

Dziewczyna filozoficznie wzruszyła ramionami – że niby nie ma żadnych pretensji i lepiej być nadgorliwym, niż nie dopilnować! – i trąciła kobyłę obcasami.

Krasnolud poczekał, aż znikną w półmroku tunelu, ściągnął hełm i otarł dłonią mokre czoło. Nie, dzisiejszy dyżur stanowczo nie należał do udanych...

* * *

Kapitanat portu mieścił się na trzecim piętrze wieży strażniczej, od której wyższa była tylko latarnia. Przez skierowane w stronę morza okno – wielkie na pół ściany, sięgające od podłogi do samego sufitu – miał doskonały widok na cały port, stocznię i nawet część miasta z karczmą. Obok stał teleskop, z nieznanego powodu skierowany nie w stronę majestatycznych morskich dali czy widzących przyszłość gwiazd, tylko ku skromnej budowli z czerwoną latarnią przy wejściu. Wal bez namysłu pochylił się do okularu i uśmiechnął paskudnie, powodując, że naczelnik poczuł lekkie skrępowanie. Ale tylko lekkie. Krasnoludy nie były zbyt podatne na takie uczucia jak wstyd, więc leżące na stole nogi komendanta nawet się nie poruszyły, a ich właściciel bez sympatii spojrział na nieproszonych gości znad rozwiniętego pergaminu.

– I wam również – odburknął w odpowiedzi na uprzejme powitanie. – A czego chcecie?

– Trafić do Lesku, i to możliwie szybko. – Len niedbale bawił się złotą monetą, na którą krasnolud zwrócił znacznie więcej uwagi. – Płynie tam dziś jakiś statek?

– Nie. – Naczelnik portu zamienił nogi miejscami, znacząco popatrzył na wampira i dodał: – Ale jest statek, który tam nie płynie. Tam stoi, „Gołąbek”. Właściciel jest na pokładzie, za dnia widziałem, jak go tam załoganci wnosili, kiedy go wyrzucono z karczmy. Możecie się z nim dogadać i jutro rano nigdzie was nie zabierze...

Wal i Orsana bez zrozumienia spojrzeli po sobie, ale Len ze spokojem skinął głową, rzucił monetę na biurko i odwrócił się w kierunku wyjścia. Rolar ruszył jego śladem, również nie wyglądając na zdziwionego.

– W tej chwili w porcie nie ma statków z Lesku – wyjaśnił Len już w drodze na przystań. – Rozładowują, ładują i natychmiast odpływają. Ale jest tu pełno przemytników, którzy wychodzą z portu pod pretekstem odbycia wycieczki po morzu dla własnej przyjemności, nie podając celnikom prawdziwego celu podróży, by nie płacić cła eksportowego. Koniec końców nie ma prawa broniącego morskich przejazdów z ładownią pełną futer czy worków z ziemniakami. Bo przecież to różnie bywa – bali się, że stracą kurs i umrą z głodu i zimna, a potem zaczął się huragan, więc wyrzucili wszystko za burtę.

– A co z cłem na wyspach?

– Importowe płacą, tutaj już nie bardzo pokombinujesz – odpowiedział Rolar, który również znał miejscowe zwyczaje. – Strażnicy z Lesku nie podpuszczą do brzegu ani jednego nieznanego statku, czy to w dzień, czy w nocy. Ale i tak czysty zysk. Jeżeli opłaty za miejsce na przystani naliczono na podstawie wyglądu statku, to „Gołąbkowi” port musiał jeszcze dopłacać. Gdy zaspany majtek, przyciągnięty przez wrzaski potencjalnych klientów, w końcu raczył oprzeć się o reling, stojący na dole usłyszeli wyraźny trzask, który przeszedł w smętne zgrzyty gdzieś w głębi ładowni. Wbity w burtę pierścień i pacholek na przystani łączyła gruba wyświechtana cuma, po której roztropnie migrowały na brzeg wyliniałe szczury.

– Mam nadzieję, że zdanie właściciela o jego własnym statku różni się od mojego w lepszą stronę –

z wątpliwością w głosie szepnął Rolar, pochylając się w kierunku Orsany. – Ponieważ jako człowiek daleki od zawodu majtka widzę w nim przede wszystkim koryto z dwiema szczotkami i pięcioma wiszącymi na nich szmatami do podłogi.

– W gorszą – chmurnie burknął Len, obserwując wychodzącego na pokład kapitana. – Poza tym ma przeciek w ładowni i właśnie się zastanawia, czy należy zatkać dziurę, czy się obejdzie.

– Może usiądziemy na jakimś balu i będziemy wiosłować rękoma? – smętnie zasugerowała Orsana.

Ale na to było już za późno – przegniła balustrada wyraźnie wygięła się pod ciężarem właściciela. Majtek spiesznie przytrzymał kapitana za pas, by nie stracić go razem z częścią wyposażenia.

Właściciel „Gołąbka” przypominał równocześnie krasnoluda i orka, pewnie będąc wspólnym potomkiem obu powyższych – niski, smagły, o czarnych, wylupiastych oczach, rzadkiej rudawej brodzie i długich włosach, zebranych w kucyka na potylicy. Wśród żeglarzy, rozbójników i najemników zdarzało się wielu mieszańców, którzy nie czuli się na swoim miejscu u żadnej z ras i wybrali zawód wolnych poszukiwaczy szczęścia.

– Pasażeroowie?! – mruknął z niedowierzaniem, jak gdyby nie wierząc własnym uszom. – No nie wiem...

wcześniej mi się jakoś nie zdarzali... a macie tam jeszcze ba... znaczy się kobietę, a na statkach to one przynoszą same problemy!

– Na ziemi wcale nie jest lepiej – „pocieszył” go Rolar. – No to jak, podejmie się pan? Czterdzieści kładni. Jeśli dotrzemy na miejsce szybko, to dorzucimy jeszcze pięć. Kapitan wsadził łapę w wycięcie koszuli i w zamyśleniu poskrobał się po włochatej piersi.

– A po licha wy do Lesku? Przecież tam są... znaczy się wampiry. To ichnia dolina. Len ze spokojem odrzucił kaptur, demonstrując uśmiechnięty wyszczerz. O dziwo, na kapitanie zrobiło to wyjątkowo dobre wrażenie. Nawet odpowiedział nieuczciwie wyglądającym grymasem:

– Dobra, w takim razie to żaden problem. Wróćcie o świcie, ale miejcie na uwadze, że nie będziemy czekać dłużej niż godzinę! Pół ork, pół krasnolud odszedł od burty (marynarz rozluźnił ręce i z westchnieniem ulgi oparł się o maszt, który wydał z siebie równie podejrzane stęknienie) I chwiejnym krokiem ruszył z powrotem w kierunku swojej kabiny.

Poczekacie, i owszem, Len uśmiechnął się do siebie. Ale wrócimy nawet wcześniej.

* * *

– Odpłynął jakieś pół godziny temu – ziewnął naczelnik portu bez odrywania się od zwoju. Ależ tym ludziom się spieszy. Prawie drzwi wywalila z rozpędu. Ani dzień dobry, ani proszę, same tylko pytania: Byli? Gdzie? Kiedy?

– Na pewno?! – rzuciła rudowłosa z rozpaczą.

– Yhym. Patrzy pani, tam jest, pod samym horyzontem, nawet z okna jeszcze widać... Dziewczyna nie ograniczyła się do horyzontu – obrzuciła szybkim spojrzeniem cały port, zatrzymując się na otwartych wrotach pustego doku. Gwałtownie przełknęła ślinę, zaciskając pięści tak, że dokładnie widać było wszystkie kostki.

– Nie będzie pan miał nic przeciwko – nieznajoma z trudem dobierała słowa, miała wyraźne dreszcze – jeśli na chwilę skorzystam z tamtego miejsca?

– A dlaczego bym miał... – zaczął krasnolud, ale po niej nie było już śladu. Naczelnik portu pokręcił się na krześle, ale nie udało mu się skupić na rachunkach. Wiedziony ciekawością krasnolud podszedł do okna i odsunął zasłonę. Rudowłosa wyskoczyła przez drzwi, prawie przewracając wchodzącego po stopniach elfa, po czym kulejąc, pobiegła w stronę doków. Czarna kobyła zostawiła w spokoju

pękniętą skrzynkę z rybami i ruszyła śladem właścicielki, w biegu kończąc przeżuwać srebrzysty śledziowy ogon.

Kolo bramy do doków dziewczyna zatrzymała się i rozejrzała szybko. Rozsiodłała karą klacz i zdjęła z niej wędzidło, zrzucając rynsztunek i sakwy wprost na ziemię. Zostawiła sobie tylko miecz i jedną torbę. Złapała koński pysk w obie dłonie, na chwilę przycisnęła do niego czoło, a potem wyprostowała się i władczo machnęła ręką. Kobyłka odwróciła się i zdecydowanym kłusem ruszyła w kierunku Kortogł-Elgaru. Panna natomiast weszła do środka, z wysiłkiem zamykając za sobą ciężkie wrota. Krasnolud poczekał minutę. Drugą. Dziesiątą. Ostatecznie nie wytrzymał i zagwizdał po chłopca na posyłki.

– Biegnij i sprawdź, co ona tam robi!

Dzieciak wrócił, wyglądając na solidnie przestraszonego i zmieszanego zarazem.

– Psze pana, nie ma tam nikogo, tylko na podłodze dymią jakieś bazgrały i strasznie śmierdzi spaloną sierścią. I jeszcze czymś pochłapane... chyba krwią. Krasnolud zaklął półgłosem i wspomniał Kowrużę Mać. Chwilę się zastanowił i dla towarzystwa dodał jej Kulawego Suchoręka i Podziemnego Cmoka. Wiedźma!

– Idź tam, zbierz jej rzeczy i wyrzuć do wychodka, żeby portowy mag nie zauważył – rozkazał.

Do pełni szczęścia brakowało mu tylko problemów z Konwentem! A potem weź człowieku i udowodnij, że nikt jej w łokieć nie szturchał...

– A co jej pan powie, kiedy wróci? – nie rozumiał pomocnik. Teleportacja na płynący statek, po którym pozostała tylko niewyraźna plamka na horyzoncie? Nawet arcymag się na takie coś nie odważy – wczoraj był, pokreślił się po brzegu, potarł się ze złością za brodę i w końcu odszedł z niczym. – Nie wróci. Wyrzucaj.

* * *

Zdążyliśmy – z niewysłowioną ulgą rozumiał Len, na wszelki wypadek stojący w pewnym oddaleniu od relingu. Za burtą hałaśliwie pieniała się woda, fordewind chętnie wprzągnął się w żagle. A może jednak źle ją znam? Albo... coś się stało?! Niech to leszy, w przypadku Wolhy brak oczekiwanego świństwa przerażał jeszcze bardziej niż zostanie jego ofiarą! Wampir z rozdrażnieniem potrząsnął głową, odwrócił się i ruszył w kierunku dziobu. I tak już nie miał na co patrzeć. Port zniknął w oddali.

Rozdział piąty

Nieśmiertelna walka

Zdarza się, że nawet kobyła lata!

Chłopskie powiedzenie

Co dla wampira dobre, to dla człowieka śmierć – z przekonaniem stwierdził Rolar, patrząc na dogorywającą Orsanę.

Dziewczyna z wysiłkiem odwróciła się w jego kierunku, ale nie zdążyła wymyślić i wygłosić równie złośliwej riposty, ponieważ znowu musiała w pośpiechu wychylić się przez reling.

– Może przynieść ci wody? – zlitował się wampir. Ale za burtą było więcej niż dosyć wody. I setniczka bynajmniej nie miała ochoty sobie o tym przypominać.

– Wiadro – wychrypiała, gdy tylko udało jej się podnieść głowę. – Umoczę cię tam ta budę trymaty, póki się nie zamkniesz!

Rolar prychnął z urazą i zamilkł. Ale na wszelki wypadek nie odszedł daleko, kątem oka pilnując biednej cierpiącej (która znosiła trudności podróży nie to żeby bez skargi, ale twardo). W nocy napotkali lekki sztorm, który przyprawił o chorobę morską nie tylko Orsanę, ale też przynajmniej połowę załogi, więc statek wyglądał na wymarły. Kapitan drzemał w hamaku pomiędzy dwoma masztami, pochyleni nad mapą Len i Wal prowadzili cichą rozmowę. Do Lesku pozostało około trzech dni podróży – o ile oczywiście wiatr nie osłabnie ani nie zmieni kierunku. Pewne obawy budził wiszący w powietrzu zapach rumu, który znacząco nasilał się w okolicy podejrzenie zadowolonego z życia sternika, ale „Gołąbek” jak stary koń pociągowy pewnie płynął swoim zwykłym kursem, nie pozwalając, by zbiły go z pantafelki jakieś fantazyjne ruchy koła sterowego. Rolar miał niejasne przeczucie, że to ostatnie w ogóle nie działało. Ale nie odważył się podejść i sprawdzić.

Gdy całe zjedzone przez Orsanę śniadanie demonstracyjnie zniknęło w morskiej toni, dziewczyna poczuła się nieco lepiej. Na wszelki wypadek nie śpieszyła się z odejściem od burty, ale już potrafiła rozróżnić niebo i morze. Nic ciekawego po zawietrznej stronie po prostu nie było. Ani obłoków, ani ptaków, tylko oślepiające słońce. I tak prawie przez cały czas.

Od migotania fal ćmiło się w oczach. Dziewczyna mrugnęła, ale natrętny punkt nie zniknął. Mało tego, zaczął powoli rozrastać się w czarny trójkąt, a po kolejnym kwadransie rozdzielił się na kwadraciki żagli i jęczyczek flagi. Zmęczona setniczka obserwowała, jak się zbliża, póki nie uświadomiła sobie, że chyba wypada jakoś zareagować.

– Hej, tam jest jakiś statek! – Orsana podeszła do hamaka i potrząsnęła kapitana za ramię.

– Hym? – Do połowy otworzył lewe oko, zazezował nim w kierunku morza, szeroko ziewnął i obojętnie machnął ręką, przewracając się na drugi bok. – Chyba piraci... Witnessanka bez zrozumienia zerknęła na bujający się hamak. Potem ponownie przeniosła spojrzenie na czarny szkuner, na którego burcie już całkiem wyraźnie widniał napis „Długoręki”.

– Ale... oni chyba mają zamiar nas atakowały!

– Pewnie tak – flegmatycznie potwierdził kapitan. Piraci faktycznie wkładali wiele wysiłku w to, by nikt przypadkiem nie pomylił ich zamiarów z pokojowymi i przyjacielskimi. Oblepili wanty od nawietrznej (biedny stateczek mocno przechylił się na prawą stronę, prawie nabierając wody przez burtę), potrząsali długimi, krzywymi klingami albo wykonywali jakieś niezbyt zrozumiałe, ale za to

obraźliwe gesty. I to wszystko do wtóru gwizdów, okrzyków i pohukiwania.

Na „Gołąbku” wzbudzili zainteresowanie wyłącznie Orsany i koka, który łuskał słonecznik przy burcie (zresztą dziewczyna miała wrażenie, że do delektowania się medytacyjnym procesem jego rozbebeszania i pochłaniania nasion nadałby się również każdy inny pejzaż, byle tylko wiatr nie przeszkadzał w wypluwaniu łusek za burte).

Tymczasem statki zbliżyły się do siebie tak bardzo, że wyrzucone przez koka śmiecie z szelestem leciały na pokład wrogiej jednostki, obsypując przy okazji jej kapitana. Wyżej wymieniony wydawał się z tego powodu niezbyt zadowolony i na całe gardło ryknął: „Do abordażu!”, po czym w burty „Gołąbka” ze szczękaniem wbiło się coś z pół tuzina haków z długimi ogonami lin. Piraci łańcuszkiem złapali za ich końce i z godną pochwałą energią zaparli się nogami o pokład, przyciągając statki jeszcze bliżej. Po paru sekundach głucho zderzyły się one burtami i morscy rozbójnicy w liczbie około dwudziestu wylali się na „Gołąbka”, w niezrozumiały sposób wydając gromkie i budzące grozę dźwięki nawet przez zaciśnięte w zębach sztylety. Przemysłowcy obserwowali ich z dosyć umiarkowanym zainteresowaniem, nie odrywając się od swoich codziennych zajęć, jak to łuskanie nasion, popołudniowa drzemka czy gra w kości.

Napastnicy, nieco stremowani tak chłodnym przyjęciem, zatrzymali się. Piraci ze zmieszanyminami ustawili się w krzywym rzędku, szturchając się wzajemnie łokciami i wymieniając muczenie przez zaciśnięte w zębach klingi. W końcu przed szereg wystąpił bogato ubrany człowiek w nieokreślonym wieku, z wyraźną domieszką krwi elfa i trolla, którzy podarowali mu ogromny wąski nos i skośne oczy. Malowniczo wystawił do przodu lewą nogę, wyprostował się i nosowym głosem oznajmił:

– Panowie, poddajcie się i natychmiast wykładajcie całą gotówkę, bo my jesteśmy – tak właśnie, nie pomyliliście się! – ci właśnie piraci, koszmar i postrach tutejszych wód! Na pokładzie pojawił się chmurny majtek z wiadrem, przez którego brzegi przelewała się woda. Po chwili namysłu chłopak szerokim gestem wylał ją wprost pod nogi nowo przybyłych, po czym zaczął energicznie szorować deski szczotką na kiju. Ostatecznie skonfundowani piraci posłusznie zrobili krok do tyłu.

– A my – Len i Rolar równocześnie otworzyli skrzydła i radośnie zademonstrowali charakterystyczny zgryz – jesteśmy wampirami!

– Nie wiem, jak na tutejszych wodach – dodał Rolar – ale w naszych okolicach również opowiadają o nas wszelakie świństwa.

Herszt przekonał się, że „klienci” nie żartują, i wyraźnie zmarkotniał. Część jego załogi okazała się bardziej praktyczna i bez zbędnych pytań wróciła z powrotem na „Długorękiego”, pozostali ze skrępowaniem wypluwali sztylety, chowali je za plecami i zaczęli przestępować z nogi na nogę, z niewinnym wyrazem twarzy pogwizdując i podziwiając niebo.

– I słuchamy was bardzo uważnie! – szczerze zapewnił Len, bawiąc się gwordem jak laską. Suche szczeknięcia wyskakujących i natychmiast chowających się w rękojeści ostrzy wywoływały u piratów nerwowe wzdrygnięcia, po których następowała ucieczka na szkuner w podwójnym tempie.

– Znaczy się... eeee... – Herszt nerwowo poruszył szczęką, ale natychmiast znalazł właściwe słowa: – Miło nam poznać!

– Bardzo miło – służalczo dodał ktoś z grupy abordażowej.

Wampiry spojrzały po sobie i uśmiechnęły się jeszcze bardziej znacząco. Pirat z trudem przełknął ślinę i zmusił się do pogodnego uśmiechu.

– I kto to mógł wiedzieć, że możecie przestawać z tymi oszustami? – wyrwało mu się z głębi serca. – Przecież zwykle podróżujecie wyłącznie na leskich statkach!

– Przepraszamy, że staliśmy się źródłem nieporozumienia. – Rolar ironicznie rozłożył ręce. – Nie mieliśmy zamiaru sprawiać żadnych kłopotów.

– Żaden problem – odparł pirat skwapliwie. – Miło było was odwiedzić! Ale w takim razie my chyba popłyniemy dalej?

– A płynicie sobie! – majestatycznie zezwolił Len. – Tylko...

– Tttak jest? – z zaszczutym wyrazem twarzy wychrypiał herszt, który na chwilę obecną stanowił jedynego przedstawiciela „tych właśnie piratów” na „Gołąbku”. Czarny szkuner już postawił żagle i pas rozdzielającej statki wody rósł w oczach.

– Prosiłbym o zabranie waszego sprzętu... – Wampir wskazał palcem haki abordażowe, samotnie chwiejące się w burcie „Gołąbka”.

Nie wierząc we własne szczęście, herszt spiesznie przebiegł się wzdłuż pokładu, wyciągając piracki majątek i spiesznie zgarniając go w brzęczącą kupę. Ze służalczym uśmiechem przyglądził sterczące z desek drzazgi, przestąpił z nogi na nogę koło burty, ponownie się uklonił i mrucząc przeprosiny, przepuścił majtkę ze szcnotką, po czym „jaskółką” skoczył do wody.

W ślad za nim rozległ się dziki rechot. Len z rozmachu usiadł na pokładzie, chowając twarz w dłoniach, Rolar obejmował maszt. Nawet Orsana poczuła, że mdłości ustąpiły.

– A ja cały czas kombinowałem, czemu kapitan tak łatwo zgodził się nas zabrać – mruknął Wal. – Może powinienem zaciągnąć się na jego statek jako wampir pokładowy? W końcu ile to roboty, doczepić kły i zrobić bezczelny wyraz pyska!

– Pysk i tak masz niczego sobie – uspokoił go Rolar. – Ale przecież możesz trafić również na piratów o mocniejszych nerwach, którzy zaryzykują utratę połowy załogi, by sprawdzić, co takiego cennego przewożone jest pod ochroną wampira!

– I nie tylko piratów – dodał Len, poważniejąc, w ten sposób jak nożem uciął ogólną wesołość.

* * *

Pod wieczór wiatr ponownie się nasilił. Na początku po prostu smętnie pogwizdywał pomiędzy linami, potem żagle zaczęły jakoś podejrzanie trzeszczeć, zmuszając kapitana do wydania rozkazu zwinięcia kilku płócien. W powietrzu rozlało się nieprzyjemne wyczekujące napięcie.

Jako pierwszy zauważył je Len. Ale nic nie powiedział, pozostawiając Orsanie prawo wydania okrzyku zdumienia.

Na przemytniczym korycie zaczęło się niewidziane dotąd ożywienie. Załoga „Gołąbka”

miotła się po pokładzie jak przyłapana w pustej skrzyni dziesiątka myszy, łapiąc za liny i spiesznie przywiązując zwalony przy burtach ładunek. Krasnolud dyżurujący na bocianim gnieździe podskakiwał jak pchła na czubku masztu i niebezpiecznie przechylał się przez jego krawędź z desperackimi gestami i grymasami. Na dole nie mniej żywiołowo tańczył kapitan, kolejno wydając rozkazy i malowniczo opisując kary za ich niewykonanie, wydobywając z Wala pomruki poparcia. Morze na horyzoncie ściemniało i zmieniło barwę, jak gdyby ktoś cienką strużką wlewał do niego szybko rozchodzącą się po wodzie farbę. Nie minęło nawet pięć minut i statek już się chwiał na atakujących lewą burtę falach. Orsana przełknęła stojącą w gardle kulę i mocniej złapała się masztu. Wampiry dalej spokojnie stały przy relingu, bez widocznych wysiłków utrzymując równowagę, mimo że obok nich co rusz przetaczały się nieumocowane beczki, a za nimi (albo przed nimi) z wrzaskiem biegali (albo turlali się) żeglarze.

Następnie dostrzegli samą „strużkę” – wibrujący trzpień huraganu, który jak lejek przyssał się do nieba. Lekko zamglony na dole, gdzie słup powietrza zmieniał się w dążący mu na spotkanie wodny, przypominał Orsanie nitkę zwijaną z kądzieli niskich chmur o białych puchatych czubkach i niebieskawoczarnej dolnej części. A za nią zaczynała się tak nieprzebita kłębiąca się mgła, jak gdyby morze spadało z krańca ziemi gigantycznym wodospadem – z głębokim, nieprzerwanym jękiem, bez

skutku próbując ucześcić się powietrza grzebieniami fal.

– Idzie wprost na statek – samymi wargami powiedział Rolar.

Wśród zebranych nie znalazł się żaden ślepiec ani miłośnik zakładów o wszystko. Wir doganiał stateczek, poruszając się jak pulsar samonaprowadzający – już dwa razy zmienił kierunek, dążąc śladem celu.

– Przydałaby się tu Wolha – mimowolnie wyrwało się Orsanie.

– Uczciwie mówiąc, do ostatniej chwili byłem pewien, że nas dogoni – przyznał Rolar, widząc, że władca nie podejmuje, ale i nie przerywa rozmowy na zakazany temat. – Ale płyniemy już od ponad doby, a najbliższy statek wyjdzie z portu dopiero za dwa dni. Pytałem.

– Ano właśnie, w porcie foczka straciła swoją ostatnią szansę – przytaknął Wal. – Chociaż bardzo mnie kusiło, żeby zejść do ładowni i na wszelki wypadek opukać beczki ze słoniną!

– Oj, daj spokój. Ile tego „Gołąbka” jest? Len by ją w jednej chwili wyczuł.

– O nie! – niespodziewanie jęknął władca i reling skrzypnął, krusząc się pod jego palcami. – Nie, tylko nie to!!!

* * *

Ocknęłam się, czując, że twarz z ciekawością obwąchuje mi siedzący na mojej piersi szczur. Gdy fakt ten w pełni dotarł do mojego umysłu, biedne zwierzątko zostało po prostu zmiecione falą dźwiękową! Wyrównałam oddech, z obawą wsłuchiłam się w otoczenie i usłyszałam tyle, że mogłam się nie martwić o skutki: nawet jeżeli mój wrzask przeniknął na zewnątrz, to mało prawdopodobne, by ktokolwiek zwrócił na niego uwagę. Na zewnątrz również panował hałas. Tutaj natomiast skrzypiały sufit i przepierzenia, po podłodze turlały się jakieś beczki, a w ściany nieprzerwanie waliło coś ciężkiego, powodując, że całe pomieszczenie pojękiwało i drżało.

Jestem na statku, pomyślałam z ulgą. Chyba w ładowni, a na zewnątrz mają nie najlepszą pogodę. Ciekawe, ile minęło czasu? Dwanaście godzin, nie mniej, zdążyłam sobie nieźle odgnieść plecy na kupie twardych worków wypchanych chyba grochem. No ale nic to, tak nawet lepiej – póki byłam nieprzytomna, Len nie mógł mnie wyczuć za pomocą telepatii, a teraz powinnam możliwie szybko postawić blokadę i wydostać się stąd. Nawet jeśli coś zauważy, to uzna, że mu się wydawało. A jak nie, to przecież nie wywalą mnie za burtę!

Złapałam się jakiejś deski, spróbowałam wstać i krzyknęłam jeszcze raz. Po Teleportacji przekłęta noga wróciła do poprzedniego strzaskanego stanu. Blok również zdmuchnęło jak wiatrem. Zacisnęłam zęby i uparcie powtórzyłam wszystkie trzy zaklęcia. W skroniach zaszumiało, po całym ciele rozlało się poczucie obcości i powolności, do którego już się dawno przyzwyczaiałam, ale za to wszystkie kończyny słuchały. Jak u zombie... Zresztą do tego właśnie rzecz się sprowadzała, tylko owym zombie sterowałam ja sama.

Rozejrzałam się dookoła i dostrzegłam prowadzące na górę schodki, a nad nimi szary kwadrat otwartego włazu, przez który co rusz wpadały bryzgi wody. No dobra, jakoś sobie poradzę...

Już dotykałam ostatniego szczebla, gdy czyjaś ręka bez cienia szacunku złapała mnie za kołnierz i jednym gwałtownym pociągnięciem wydobyla z ładowni.

Spotkanie naczelnej wiedźmy i władcy Dogewy odbyło się na poziomie bardziej niż nieoficjalnym. Powyżej poziomu pokładu na pewno, bo Len nie śpieszył się z cofaniem ręki.

– Co tu, do ghyra, robisz?!

– Delektuję się leczniczym morskim powietrzem! – Spróbowałam kopnąć go zdrową nogą. Chybiłam, ale na wszelki wypadek wampir puścił wściekłą wiedźmę i zrobił krok do tyłu.

– No cóż! – ryknął, wskazując coś za moimi plecami. – To się delektuj! Obejrzałam się... i zdębiałam.

Laikom wydawało się, że widzą przed sobą wyłącznie wściekłe połączenie wody i wiatru, ale wiedźmi wzrok natychmiast wyłapał również trzeci czynnik, a raczej trzpień, który tworzył tornado i sterował nim. Magię powietrza, uplecioną w mocne, ale dosyć prymitywne zakłęcie. Nie mogłam nawet marzyć o zagłuszeniu go albo zniszczeniu.

Uciekające spod diademu włosy jak biały płomień tańczyły na wietrze. Odrzucanie ich z twarzy nie miało sensu i Len nawet nie próbował tego robić. W szarych oczach płonęła taka wściekłość i desperacja, że chyba oddałabym i zrobiła cokolwiek, byle tylko nie oglądać go w takim stanie. Oprócz głupiego rozkazu, by po prostu nie patrzeć, wylegując się w łóżku. – Cofnij się.

Chyba nie wyglądałam o wiele lepiej, ponieważ zacisnął zęby i posłuchał. Wydałam z siebie głębokie westchnienie i splotłam palce. Podniosłam je do warg i zaczęłam cichutko wymawiać posłusznie pojawiające się w pamięci słowa. Wyczone do poziomu odruchu, tak że nawet próba zastanowienia się nad nimi burzyła całe skupienie.

Huragan przyspieszył, jak idący tropem ogar, który w końcu dostrzegł zwierzynę. Z wielkim trudem pohamowałam pokusę przyspieszenia śpiewnej recytacji. W zasadzie nie istniała żadna wymagana prędkość wypowiedzania formuł magicznych, ale początkowo wybrany rytm powinien pozostać niezmienny, a splatane zakłęcie należało wyczuć od początku i do końca. Nie było tu miejsca na pośpiech. Szczególnie teraz.

Przed laty nauczycielka fechtunku wynalazła wyjątkowo skuteczny sposób segregacji adeptów i nie mogła się doczekać, by wypróbować go w praktyce. Pamiętałam, jak koledzy złośliwie chichotali za moimi plecami, kiedy niechętnie wychodziłam na środek placu treningowego, a wykładowczyni unosiła do ciosu treningowy, ale przez to wcale nie mniej groźny miecz dwuręczny, którego ciosu nie odbiłby nawet dorosły mężczyzna.

Lecz nawet adeptka piątego roku zdołała uchylić się przed nim, spuszczając wrogie ostrze po swojej klindze...

Uparcie schyliłam głowę i gwałtownie wyrzuciłam ręce do przodu, nie rozplatając palców. Rozchodzące się klinem fale zamigotały, jak gdyby przeciwko cyklonowi wyruszył lekki wiaterek. Zgrabnie prześlizgnął się po lewej pod kątem prostym... i jak gdyby przypadkiem zahaczył skośnym „boczkiem”.

Krótką drewnianą klingą ścięła się ze stalową długości dwóch arszynów.

... Nie złamać się, wytrzymać pierwszą chwilę, gdy miecz napotka na swej drodze przeszkodę i zastanawia się, czy ma prześlizgnąć się wzdłuż niej, czy rozrąbać na pół.

Gdy lekki kawałek drewna wydaje się zmieniać w ołów, wykręca się z rąk, ale jeśli wypuszczę go albo się poddam, stal bezlitośnie dokończy zamach...

„A masz, wiedźmo!”

Czarny lej wygiął się w moim kierunku. Potoki walczących sił zwarły się i splotły jak wściekłe węże, pogrążając jeden w drugim zatrute kły.

„A maaa...”

Wydawało mi się, że słyszę chrobot ścinanej warstwy drewna, ból w nadgarstkach zrobił się nie do wytrzymania... a potem w jednej chwili zniknął. Tornado zafalowało z brzegu, znalazło się daleko za statkiem i niespodziewanie wybuchło od środka. Złapana w wirze woda hałaśliwie spadła do morza, górna część trzpienia została wessana z powrotem do chmury, która zaczęła szybko jaśnieć i prawie że w oczach rozpadać się na topniejące kłęby. Fale, jak szczury złapane przy przegryzionym worku, zawstydzone uciekały na boki i wkrótce na miejscu trąby morskiej pozostała tylko rozpełzająca się plama zielonkawej piany. Tak!!!

Opuściłam ręce, każdy mięsień drżał mi niezależnie od pozostałych. Uroczyście odwróciłam się w kierunku przyjaciół przygotowana do przyjęcia zasłużonych gratulacji oraz podziękowań... i poczułam się jak tłusta mysz w obliczu czterech głodnych żmij. Nie, gdzieś w głębi wyraźnie chowała się kiepsko ukrywana radość ze spotkania... ale była jakaś taka paskudna, powiedziałabym nawet, że złowieszczą!

– I tyle – ze zmęczeniem stwierdził Len, wyciągając miecz z pochwy. – Zaraz ją sam zabiję. Przynajmniej będę miał jakąś gwarancję, że spokojnie leży w miejscu. Cofnęłam się, rozglądając dookoła w poszukiwaniu wsparcia, ale bez skutku. Przyjaciele z pełnym poparciem zainteresowaniem obserwowali scenę wiedzimobójstwa. Wal nawet wetknął swój dwuręczny miecz w pokład i oparł się o jelec, mając nadzieję na długie i malownicze widowisko.

„Gołąbek” zachwiał się. Len zwinnie przestąpił z nogi na nogę, ale moja świeżo zebrana do kupy kończyzna okazała się niezdolna do takich wyczynów i boleśnie wylądowałam na miękkiej części ciała. Obserwowanie wściekłego wampira z dołu okazało się jeszcze cięższą próbą dla nerwów.

– Ojej, ale mnie noga boli! – Chwyciłam się ostatniej deski ratunku i demonstracyjnie przewróciłam oczami.

– Kłamiesz – bezlitośnie odparł Len, ale opuścił miecz. Schylił się, złapał mnie pod pachy i postawił na nogach. Cofnął się o krok, sceptycznie obejrzał chybotliwy rezultat, bezczelnie zarzucił sobie na ramię i gdzieś poszedł. Chyba nie w kierunku burty, więc niespecjalnie klęłam i rzucałam się raczej dla przyzwoitości. Wampir zanurkował pod skraj żagla, kopniakiem otworzył niskie drzwi, schylił się i bez stawiania mnie na podłodze boczkiem precyzyjnie się do małej kabiny. Bardzo ostrożnie i obojętnie położył swój ładunek na łóżku, tak samo w milczeniu odwrócił się i wyszedł, po drodze zgarniając stojącą koło progu torbę. Zrozumiałam, że była to jego kabina. A gdzie on sam się teraz podzieje? Czyżby miał zamiar spać wprost na pokładzie?

Usiadłam i chmurnie podciągnęłam zdrowe kolano pod brodę, owijając ręce dookoła zgiętej nogi. I to mają być przyjaciele – mogli przynajmniej podziękować! I nawet słowa nie powiedzieli, kiedy ten paskudny krwiopijca zabrał mnie z pokładu! A może chciałam sobie jeszcze pospacerować, rozejrzeć się dookoła, odetchnąć świeżym powietrzem?!

Ale szczerze mówiąc, w tej chwili morskie krajobrazy niezbyt mnie obchodziły. Zaleć w jakimś spokojnym miejscu, odpocząć w ciepłe i ciszy, z głową schowaną pod kołdrą... A najgorsze w tym wszystkim było to, że Len doskonale to rozumiał. Więc nawet nie miałam o co się na niego złościć, mimo że bardzo chciałam! Zresztą żądza walki i wywołana przez awanturę adrenalina szybko stopniały. Po ciele znowu zaczęła rozlewać się zdradliwa słabość. Nie zaryzykowałam sięgania po magiczne stymulatory – działały na mnie coraz słabiej i wołałam zapłacić za ich użycie teraz, gdy dług był jeszcze do zniesienia. Ale rozpląnięcie się w mrocznej malignie, leżąc na twardej koi, to nadal żadna przyjemność...

Kolejne dwa (a może trzy?) dni przeleżałam na koi w stanie niezdolności zarówno do walk magicznych, jak i cieszenia się innymi radościami życia. Chyba nawet majaczyłam, walczyłam z kimś, desperacko się kogoś łapałam, wołałam... Ale gdy w końcu doszłam do siebie, w kabinie nie było nikogo, chociaż mokra szmata na moim czole nadal nie zdążyła się nagrzać, a resztki ziołowego wywaru w kubku – wystygnąć. Oczywiście nie miałam zamiaru spokojnie leżeć i czekać, aż ktoś ponownie raczy się mną zainteresować. Odnowiłam zaklęcia (oprócz stymulatora, ale nic to, jakoś poradzę sobie bez niego!) i wyczołgałam się z łóżka, a następnie na pokład.

Nie miałam bladego pojęcia, w jaki sposób udało mi się wyczarować cokolwiek sensownego w czasie sztormu. W tej chwili nawet przy względnie spokojnym morzu musiałam desperacko uczepić się pierwszej napotkanej liny i poruszać wzdłuż niej. Oczywiście przyjaciele natychmiast mnie zauważyli, ale demonstracyjnie zignorowali, nie zbliżając się i milknąc, gdy do nich podeszłam. Niestety, jeśli mieli

zamiar w ten sposób zademonstrować mi ogólną dezaprobatę, to dosyć się przeliczyli. Chociażby dlatego, że wystarczyło, bym się zachwiała i wydała bolesny jęk, by mający pretensje osobnicy natychmiast zapominali o swoich konspiracyjnych machinacjach i rzucali się na pomoc, którą niezmiennie odtrącałam z wyrazem twarzy mówiącym „przecież-i-tak-wam-wszystko-jedno-czy-żyję-czy-umieram-w-straszliwych-męczarniach”. Kilka razy, gdy nie udawałam, nabrał się nawet Len. Tak że nie bardzo dało się ustalić, kto tu kogo bojkotował.

Doszłam do siebie w wyjątkowo odpowiedniej chwili. Po jakiejś półgodzinie załoga zaczęła pracować gmerać przy olinowaniu, co rusz spoglądając na pewną niepokaźną chmurkę na horyzoncie. Zdawała się nie ruszać z miejsca, ale powoli rosła i chyba nabierała zielonego koloru, a woda pod nią zabarwiała się na intensywny błękit. Lesk, zrozumiałam w końcu. Z lewej burty pojawiła się kolejna wyspa. Mimo prawie identycznej odległości mogłam w szczegółach dojrzeć na niej plażę, drzewa i domki. Chyba mieli tu taki sam jak w Dogewie zniekształcający „efekt brudnopisu”. Z uwagi na powagę chwili osądzający i osądzana zgodzili się na tymczasowe zawieszenie broni i zebrali na dziobie „Gołąbka”, z ciekawością i obawą przyglądając się wyczekiwanej ziemi.

Ze zdziwieniem zauważyłam, że żeglarze nie śpieszyli się z dobijaniem do brzegu, a nawet wręcz przeciwnie, zwijali żagle. Statek powoli zwalniał, aż w końcu zatrzymał się całkowicie.

– Kontrola graniczna – cicho wyjaśnił Rolar Orsanie, która miała identyczne pytanie. Z otulającej wyspę mgły wynurzyły się trzy mewy, które po spirali nabrały wysokości, po czym jakby ślizgając się z lodowej góry, zaczęły opadać w kierunku statku.

– To nie są mewy – nienaturalnie spokojnym tonem zaprzeczył władca Dogewy, rozpinając pas z pochwą i razem z gwórdem rzucając go Wałowi.

– A co?

Nad morzem zabrzmiał przenikliwy krzyk, przypominający jastrzębi. Orsana wzdrygnęła się i sięgnęła po łuk, ale Rolar złapał ją za nadgarstek.

– Tchaarschi. Wyspiarskiek’iardy.

Jasne plamki szybko się zbliżyły i zamieniły najpierw w ptaki, a potem w konie o długich skrzydłach, lwich ogonach i grzywach przylizanych przez wiatr.

– Białe prowadzi – szepnął Rolar.

– Widzę. – Len z zastygłym nieprzenikniętym wyrazem twarzy śledził ich lot. Ja i Orsana zamilkłyśmy, czując, że coś jest nie tak. Kapitan nerwowo wytarł spoczone dłonie o spodnie, a załoga próbowała udawać elementy ozagłowania. Śnieżnobiały koń dźwięcznie uderzył kopytami o deski, zamachał skrzydłami i zgrabnie złożył je na bokach. Nie miał na sobie siodła, tylko cienką uzdę ze splecionego z rzemieni warkocza. Jeździec miękko i bezdźwięcznie zeskoczył na pokład. Potrząsnął głową, odrzucając do tyłu mlecznobiałe włosy, na czole przyciśnięte złotym diademem z trójkątnym rubinem na środku.

Trochę dalej, zwinnie lawirując pomiędzy wantami, wylądowały wierzchowce o rudych skrzydłach i grzywach. Strażnicy – zrozumiałam, patrząc na nieprzeniknione twarze ich jeźdźców. Nie zsiadali, tylko powstrzymali wrywające się do przodu konie, a one zastygły jak posągi.

A białowłose już szedł w naszym kierunku – drapieżnym, sprężystym krokiem rysia zbliżającego się do siedzącego w pułapce zająca. Otwarcie i bez pośpiechu, świadom, że zdobycz już nigdzie nie ucieknie. Ntiwri oczy miał odpowiednie – bez śladu uczuć, przejrzyste zielone, jak morska woda. Lekka bryza rozwiewała jego luźną białą koszulę z podwiniętymi rękawami i otwartym kołnierzem.

Zatrzymał się dwa kroki przed Lenem, jakby nie zauważając całej reszty. Władca Dogewy i władca Lesku skrzyżowali spojrzenia, jak klingi.

– Arrakktur Tor ardWeist Shaeonell – paskudnie przeciągając słowa, rzucił białowłose. Wyglądał

na starszego od Lena, suchszego, o topornych rysach. – Reasstenkatar? Dikannt shere lerd?

– Sia-werden Tor ardLlael Virr'ta? – Len ledwo zauważalnie uklonił się, nie odrywając spojrzenia od twarzy kolegi. – Tesh derena, all'ka nerrs lekk.

– Lekk? – ironicznie sprecyzował białowłosa i w tejże chwili przed nosem Lena wystrzeżiło i otworzyło się ostrze o trzech płatkach. Ja i Orsana zareagowałyśmy piskiem, bo nawet nie dostrzegłyśmy, kiedy wiszący za plecami obcego gword przeniósł się do jego rąk. – Wenn ha ta, task, dakkara kassta!

– Sheitt. – Len nawet nie poruszył brwią.

– Ollettaka?

– Sheitt. – Władca Dogewy uparcie skrzyżował ręce na piersi.

– Darre-ta kor?

Len tylko wzruszył ramionami. Gdyby wampiry były magami, powietrze pomiędzy nimi musiałoby skrzyć.

Władca Lesku gwałtownie cofnął gword, równocześnie chowając ostrza. Przerzucił za plecy wyglądającą na niegroźną laskę. I już wskakując na konia, pogardliwie rzucił przez ramię, jakby splunął:

– V'aka ferr shain. Takk renny, Arrakktur! Wszystkie trzy wierzchowce równocześnie uniosły się w powietrze, zatoczyły krąg nad masztami, złapały wiatr i ruszyły w kierunku brzegu.

– Te, patrz, nawet nie zażądali cła za wjazd... – odezwał się kapitan. – Ogreń, Rudy, szybko do żagli! Zawijamy do przystani, póki strażnicy sobie nie przypomnieli! Szybko wyładujemy towar i do magazynów, potem nam ghyr udowodnią! Na pokładzie ponownie zaczęła się krzątanina. Gołabek” rozpostarł skrzydła żagli i ruszył z miejsca, szybko nabierając prędkości. Len w milczeniu odebrał od Wala swoją broń i zniknął w jednej z kabin. Ukradkiem otarłam pot z czoła, a bardziej bezpośrednio najemniczka wydała z siebie pełne ulgi „uff...” i oparła się plecami o maszt.

Czarnowłosa wampir popatrzył na nas z wyraźnym niezrozumieniem:

– Moje panny, co wam? Nie było żadnego niebezpieczeństwa... przynajmniej w tej chwili. Otwarty gword oznacza: „Jesteś moim wrogiem, ale teraz ku temu ani czas, ani miejsce”. Poza tym nie atakowałyby bezbronnego, to poniżej jego godności.

– A wcześniej nie mogłeś powiedzieć? – obruszyłam się. – Serce mi uciekło w pięty i prawie spadło do ładowni!

– Wprost pod nosem Warda? – mruknął Rolar. – Że niby nie zwracaj uwagi na tego typu, on tu zaraz poskacze dookoła nas, pomacha gwordem i się wyniesie?

– No tak. Teraz to już Ward – westchnęłam z pretensją. – Tylko mi nie mów, że to kolejny skutecznie porwany narzeczony twojej siostrzyczki! Wampir się lekko zawstydził:

– Przecież jestem doradcą, od czasu do czasu muszę obcować ze wszystkimi władcami. Arliss i Lesk są ze sobą w dobrych stosunkach, oni eksportują owoce morza, jakoby odławiane przez krasnoludy, a my...

– ... elfie sery – dokończyłam. – Pamiętam. O czym oni rozmawiali?

– Cóż, Ward zapytał... po co przyjechaliśmy. – Rolar zawahał się, a ja zrozumiałam, że władca Lesku użył nieco odmiennego sformułowania. – Len odparł, że bardzo przeprasza za to, iż musiał naruszyć granice Lesku, ale nie ma wyboru, ponieważ jest tu w bardzo ważnej sprawie. Dalej nastąpiła zwyczajowa wymiana uprzejmości...

– Niczego sobie uprzejmości! – sarkastycznie prychnęła Orsana. – Mało co Lenowi nosa nie udiabiał!

– Moim zdaniem, niezbyt ucieszył się na nasz widok – wsparłam przyjaciółkę.

– Oczywiście – potwierdził wampir, jak gdyby sprawa rozumiała się sama przez się. – Pomiedzy rodzinami Shaeonell i Virr'ta istnieje waśń rodowa, więc jeżeli któryś z nich pojawia się na cudzej

ziemi, jest automatycznie wyjmowany spod prawa. „Takk renny – powiedział Ward. – Pilnij pleców”.

– Co?! – Moje serce ponownie spróbowało uciec do ładowni. – I co teraz? Rolar wzruszył ramionami.

– Wojna wiele zmieniała. Po jej zakończeniu w Lesku pozostała tylko trójka jasnowłosych... a od jakiegoś czasu w ogóle tylko jeden, Ward. Moim zdaniem, i tak przelano więcej krwi, niż potrzeba, więc mało prawdopodobne...

– Mało prawdopodobne?! – przerwałam mu. – Przecież on tylko czeka, aż odwrócimy się plecami, powiedział to tak wyraźnie, że bardziej nie można!

– Wolho, nie gadaj bzdur. Nikt nie będzie nam zza rogu strzelał w plecy. W najgorszym razie Ward wyzwie Lena na pojedynek i jeśli będzie miał szczęście, gorąco nas przeprosi. Nawet postawi nagrobek na własny koszt i będzie co roku przysyłał wianki. Bo to przecież nie jakiś zwyczajny wróg, tylko waśń, i to jeszcze ostatni przedstawiciel rodu!

– A ty tak spokojnie o tym mówisz?! – oburzyłam się. – Myślałam, że Len jest twoim przyjacielem! Wampir uśmiechnął się.

– Obaj są moimi przyjaciółmi. I właśnie dlatego jestem tak spokojny. Wolho, doskonale znam obu. Len nie będzie go zaczepiał, a Ward nie jest głupi. Doskonale rozumie, że przeproszenie rozpaczających krewnych może przypaść w udziale również Lenowi, więc nie zaryzykuje losu swojej doliny. To rytualne zdanie, oznaczające tylko tyle, że nie znajdziemy w Lesku pomocy. Ale dał nam trzy dni na załatwienie swoich spraw i zabranie się stąd, bo w przeciwnym razie wyrzucą nas ze znacznie mniejszymi honorami... – Rolar w zamyśleniu podrapał się za uchem. – Zakładając, że nawet na początku nie były one jakies za szczególne... Z niepokojem spojrzeliśmy po sobie, rozumiejąc, że jakoś niezauważalnie udało nam się pogodzić.

– Oż ty niecnoto! – podsumowała sprawę Orsana. – I szo my teraz mamy z tobą robyty? Uśmiechnęłam się bez szczególnej skruchy.

– Ze sobą doskonale poradzę sobie sama. Lepiej opowiedzcie, co mnie ominęło?

– Wydaje mi się – nie bez sympatii prychnął Wal – że nas ominęło nie mniej. Opowiadaj, foczko! A tam zdecydujemy, czy cię wywalimy za burtę tak po prostu, czy najpierw pobujamy.

Sternik pewnie skierował statek wprost w przybrzeżną mgłę, ale gdy „Gołabek” prawie dotknął jej dziobem, opar zniknął, jakby kto starł go mokrą szmatą. Przed nami otworzyła się cicha zatoczka, z brzegów zarośnięta purpurowymi morskimi lotosami. W głębi znajdowała się niewielka przystań, obliczona na góra pół tuzina statków. Stały przy niej wszystkiego dwa żaglowce i z dziesięć łódek. „Czarnego Lisa” wśród nich nie zauważyliśmy.

– Może rozładował towar i stoi na redzie gdzieś za wyspą? – zasugerował Wal. – Jak tylko przycumujemy, zapytam znajomych strażników – obiecał Rolar. I natychmiast sceptycznie poprawił się: – O ile przycumujemy.

Wynik zgodnych działań sternika, kapitana i załogi najbardziej ze wszystkich rzeczy przypominał cumowanie „ze słuchu”. Ostatecznie statek mimo wszystko znalazł się w przeznaczonym dla niego miejscu i zabrzmiało długo wyczekiwane polecenie: „Cumy rzuć!”. Pomiędzy burtą a nadbrzeżem wylądował trap (wyglądający na doszczętnie przegniły, ale nikt nie odważył się wypowiedzieć tego na głos, aby nie zapeszyć). Jako pierwszy chwiejnym kroczkiem zbiegł po niej jedyny zauważony przeze mnie w ładowni szczur, który wydawał się szczerze żałować, że nie opuścił pokładu jeszcze w belorskim porcie. Rolar, nie ryzykując, z rozpędu przeskoczył na keję i po kolei podał rękę mnie i Orsanie. Wal na wszelki wypadek najpierw przerzucił miecz, a dopiero potem przeszedł sam.

Len chwilę zamarudził na statku, by zapłacić kapitanowi, a my kontynuowaliśmy rozmowę już na brzegu.

– A co, jeśli się pomyliliście i „Czarny Lis” nie płynął do Lesku? Ten rejon morza jest pełen wysp. Ludzkich, elfich i w ogóle niezamieszkałych. Dlaczego nie mogliby zmienić kursu?

– Mogli. Ale wątpię, by władca osobiście wylatywał na spotkanie każdego handlowego stateczka. – Jedna z rei z przeraźliwym skrzypieniem wykrzywiła się i spadła na pokład. Rolar popatrzył na to z filozoficznym spokojem i dodał: – A już tym bardziej do koryta ze szmatami. Dodajmy, że ani on, ani strażnicy nie mogli wyczuć innego władcy, tym bardziej z takiej odległości. Czyli ktoś poinformował go o naszym przybyciu.

– Chyba masz rację. Ale mało prawdopodobne, by Ward wyświadczył nam uprzejmość i wydał swojego informatora – westchnęłam. – Czy Lesk jest dużą doliną?

– Niewiele mniejszą od Dogewy. I jest tu wystarczająco dużo dobrych kryjówek, jeśli właśnie o to ci chodzi. Nawet dla człowieka, a już tym bardziej dla maga.

– Ale za to nie ma gdzie z wyspy uciec – zauważyła Orsana.

– Najpierw musimy się upewnić, że ten misdruk w ogóle tu wylądował – sceptycznie burknął troll, zgarniając miecz i zawieszając go na plecach. – List do naczelnej strzygi mógł przekazać równie dobrze przez posłańca albo w ogóle nietoperzem, jak...

– Wy! – zrozumiałam i dokończyłam zdanie za niego: – Oczywiście! A ja się zastanawiałam, jakim cudem udało wam się tak szybko zebrać w Opadyszczach... Złowróźbny trzask zmienił się w równie paskudny plusk, szczęśliwie już za plecami Lena. Wampir zerknął na pływające w wodzie odłamki trapu i wyraźnie się wzdrygnął.

– Idziemy – rzucił, mijając nas. Wyraz jego twarzy nie spodobał się nie tylko mnie, ponieważ rozmowa natychmiast się urwała i wszyscy posłusznie ruszyli śladem Lena – po szerokiej brukowanej drodze prowadzącej w górę. Od razu za przystanią zaczynało się miasto, a raczej typowa dla wampirzych dolin zbieranina domków, tonących w zieleni. Jesień jeszcze nie zdążyła dotknąć tutejszej trawy i liści, mimo że na jabłoniach nie został nawet jeden owoc, a jarzębiny pyszniły się czerwonymi gronami. Zadbane podwórka przyciągały spojrzenia rozłożystymi jaskrawymi kwiatami we wszystkich odcieniach czerwieni – od prawie czarnego do delikatnego różu, ścielącymi się po klombach lub zwisającymi ze stojących na parapetach donic. Rude dachówki i bielone ściany upodabniały domki do zabawek. Jednak nikt z nas nie miał nastroju do podziwiania tutejszej miłutkiej architektury.

– Ooo... – mruknął Rolar z rezygnacją.

Plan natychmiastowego odpytania strażników należało od razu skreślić, ponieważ byli do tego stopnia „w trakcie wypełniania obowiązków”, że z równie dobrym skutkiem mogliśmy próbować przyjaznej pogawędki z kamiennymi gargulcami przy wejściu do muzeum historii nienaturalnej. Nie, nie stali w oficjalnym szeregu wzdłuż drogi, ale równocześnie byli wszędzie – w zaułkach, w cieniu każdego budynku, wśród tłumu... zastygli w skupieniu, z drapieźnie otwartymi skrzydłami i trzymanymi w pogotowiu gwordami, nie spuszczać z nas oczu. Ni to warta honorowa, ni to... konwój po drodze na szafot.

Mieszkańcy Dogewy widzieli w Lenie jeśli nie Boga we własnej osobie, to przynajmniej któregoś z jego szczególnie ulubionych świętych i traktowali go z nabożnym szacunkiem, który u szczególnie wrażliwych panien zmieniał się w szczeniący zachwyt do wtóru głębokich westchnień.

W Lesku natomiast patrzyli na niego jak na trędowatego. Nawet mnie, wiedźmy, nigdy w życiu nie darzono taką nienawiścią i pogardą, wymieszaną z przerażeniem. Nawet Wal, napotkawszy jedno jedyne spojrzenie, potknął się i w trakcie dalszej drogi wołał patrzeć pod nogi.

A Len szedł. Z wysoko uniesioną głową i kompletnie nieobecny wyrazem twarzy, jak gdyby nie zauważając rozstępujących się przed nim wampirów. Bez słowa skupiliśmy się dookoła niego, instynktownie gotowi bronić go przed kamieniami i splunięciami, które miały w każdej chwili spaść

ze wszystkich stron. Ale nie mogliśmy osłonić go przed tą grobową ciszą. Ponieważ dla niego nie było tam żadnej ciszy. Lekko dotknęłam jego ręki, ale chyba nawet tego nie poczuł.

Miałam wrażenie, że ulica nigdy się nie skończy, i kiedy Len niespodziewanie skręcił do jednej z furtek, odruchowo ją minęłam. Wampir pewnym krokiem przeciął podwórko i zatrzymał się przed niemłodą wampirzycą, która w jakiś nieuchwytny sposób przypominała Krynę – oczywiście jeżeli moja stara znajoma wpadłaby na pomysł stanięcia w progu swojego domu z dumnie wyprostowanymi plecami i złożonymi na piersiach rękoma, gotowa raczej zginąć, niż wpuścić do środka bezczelnie spacerujących po jej ukochanej dolinie natrętów.

Ale Len nie próbował wdzierać się do środka. Zawahał się, po czym cicho, ale twardo rzucił:

– Tylko jeśli nie będę miał innego wyboru. Przez chwilę wampirzyca bez emocji badała jego twarz, a następnie pochyliła głowę i cofnęła się do środka:

– Władco, to wielki honor podejmować was w moim domu. Len na chwilę przymknął oczy, odetchnął, ponownie wziął się w garść i przestąpił próg.

– Dziękuję, Taiell'in.

O ile pamięć mnie nie zawodziła, to równie mocno pragnęłam zamknąć za sobą drzwi wyłącznie w trakcie odbywania praktyk z nekromancji. (Wspomniane drzwi były okute srebrem i prowadziły do poświęconego rodzinnego grobowca, a praktyki odbywały się na pokazowo niespokojnym cmentarzu. Mieszkające tam umarlaki chętnie demonstrowały adeptom mnogość swoich gatunków i możliwości. Takiej obfitości nie spodziewał się nawet wykładowca, który dotarł do drzwi grobowca jako pierwszy).

Od wewnątrz domek okazał się całkiem spory i przytulny. Znalazły się osobne pokoiki dla Lena, mnie i Orsany oraz Wała z Rolarem, jak również jadalnia, w której zasiedliśmy po urządzeniu się w nowym miejscu. Wszyscy prócz Lena. Rolar wsadził głowę do jego pokoju, by go ponaglić, ale natychmiast ze skrzepowaniem, cicho zamknął drzwi.

– No dobrze, niech odpoczywa, bo przez ostatnie trzy doby prawie nie spał.

– Dlaczego? – zająknęłam się i natychmiast z zawstydzeniem urwałam. Nie no, jakbym go o cokolwiek prosiła! Człowiek na złamanie karku (i nogi!) pędzi na ratunek, ostatkiem sił walczy z wichurą i jeszcze na końcu sam jest winny! Kolację zjedliśmy we czwórkę. Gospodyni nie dotrzymała nam towarzystwa – nakryła do stołu, uprzejmie życzyła smacznego i poszła do siebie. Po kulinarnych wyczynach koka z „Gołąbka” nawet gotowane ziemniaki wydawały się niebiańskim daniem, a Orsana prawie zalała się łzami na widok wędzonej słoniny. W końcu musiałam użyć telekinezy, by zdobyć kawałek tego smakołyku dla siebie, ponieważ przyjaciółka bezczelnie zagarnęła cały półmisek na swój kraniec stołu.

– No to wyjaśnijcie mi, w jaki sposób chcieliście walczyć z magiem, którego umiejętności bynajmniej nie ograniczają się do kradzieży słoniny? – spytałam, spieszenie pakując zdobycz do ust pod oburzonym spojrzeniem Winessanki.

– Nie my – niechętnie przyznał Rolar po dłuższej chwili milczenia. – Len. Większość zaklęć na niego nie działa, wystarczy podejść na długość miecza.

– I właśnie o to chodzi, bo pozostaje jeszcze ta „mniejszość”, w rodzaju już widzianej przez nas trąby morskiej! No dobrze, załóżmy, że jednak mu się poszczęści, ale po co zabrał ze sobą was?!

– Uczciwie mówiąc – Rolar ze skrzepowaniem spojrzał na Orsanę, a Wał odchylił się na oparcie krzesła i wyszczerzył w zadowolonym uśmiechu wszystkie zęby – on nas ze sobą nie zabierał. A nawet dokładnie na odwrót. Mamy na wypadek sukcesu obiecane takie przyjemności w życiu, że lepiej, byśmy sami poszli i się powiesili!

– W takim razie dlaczego...

– A ty? – przerwał mi wampir, nawet nie mrugnawszy okiem.

– Znaczy... w końcu jestem naczelną wiedźmą Dogewy... I to mój święty obowiązek za wypłaconą

za półtora roku pensję! – desperacko spróbowałam się wywinąć. – Nie wspominając o tym, że bakałarz magii praktycznej nie może stać z boku i patrzeć, jak po jego własnym kraju bezczelnie łązi banda drani, niepozwalająca spokojnie żyć uczciwym ludziom i wampirom!

– Mości bakałarz, pani spojrzysz na siebie w lustro – westchnął Rolar.

A ja jak ta idiotka posłuchałam. No tak... do pełni wizerunku brakowało mi tylko na wpół zbutwiałego całunu. Zresztą całkiem nieźle zastępowała go zniszczona kurtka, która przed zaledwie dwoma miesiącami była całkiem nowa. Ale to żaden powód, żeby mnie zakopywać!

– Drobiazg – burknęłam. – Jestem tylko trochę zmęczona.

– A poza tym masz lekko złamaną nogę i troszeńkę schudłaś, do tego stopnia, że można policzyć wszystkie kości – przytaknęła Orsana, a Wal z zabójczą uczciwością podsumował:

– Nie no, foczko, siedzimy w tej samej zdrybie tha-ju, przy czym w odróżnieniu od tej durnej strzygi doskonale wiedzieliśmy, gdzie leziemy!

– A tak w zasadzie to ktoś mi mówił, że za darmo to tylko strzygi walczą – odcięłam się. – A to jest sprawa kompletnie dobrowolna i w imię interesu społecznego! Skąd niby taki entuzjazm?

– Foczko... – Wal z politowaniem poklepał mnie po ramieniu. – Kompletnie dobrowolne sprawy, gdzie zwycięzca nie ma okazji do położenia na czymś łapy, po prostu się nie zdarzają! A strzyga może się stawiać, ile chce, ale w duchu jest tylko zadowolony, że za nim idziemy, nawet jeśli wyłącznie w ramach wsparcia moralnego. A potem będzie go można za to skasować!

Ponieważ dla trolli najemników pojęciem najbliższym słowa „charytatywnie” była zgoda na pracę bez zaliczki, z szacunkiem mruknęliśmy „oooo...”, a ja w zamieszaniu ukradłam kolejny plasterek słoniny.

– No cóż... – Orsana westchnęła i na wszelki wypadek zasłoniła półmisek rękoma. – Zdaje mi się, że okrim nas nikt tu nie zbyraetsa Lena specjalnie wspierać. I za szo oni na niego tacy cięci?

Rolar odruchowo wzruszył ramionami, bo odpowiedź znał doskonale. Drobiazg – burknęłam. – Jestem tylko trochę zmęczona.

– Najpewniej uznali, że Len przyjechał do Lesku w celu wyrównania rachunków z ich władcą. Przed wojną to się zdarzało i nawet było po cichu mile widziane, ale w tamtych czasach wynik pojedynku nie decydował o losie całej doliny. Wątpię, by w Dogewie powitano Warda bardziej przyjaźnie.

– A strażnicy sobie poszli! – zauważyłam z ulgą, przypadkowo spojrzawszy przez okno.

– Doskonale! – Rolar odsunął talerz i wstał od stołu. – W takim razie udam się na malutki spacer po wsi.

– Czy to nie jest przypadkiem niebezpieczne? – zaniepokoiła się Orsana, na chwilę odwracając uwagę od słoniny, skutkiem czego natychmiast utraciła kolejne parę kawałków, tym razem zawłaszczonych przez Wala.

– Nie. Jak tylko wpuszczono nas do jednego z domów, przestaliśmy być uważani za obcych. A przynajmniej takich, którzy wymagają ciągłego pilnowania. Winessanka złapała jego zamyślane spojrzenie „co by tu jeszcze na odchodnym...” i demonstracyjnie przestawiła półmisek na kolana.

– To mogli nas nie wpuścić? – zdziwiłam się.

– Oczywiście. – Rolar zniżył głos, oglądając się na zamknięte drzwi pokoju gospodyni.

– Szczerze mówiąc, byłem pewien, że nas nie wpuszczą. Ale Lenowi a jednak udało się znaleźć i namówić chyba jedyną litościwą mieszkankę Lesku. Nie mam zielonego pojęcia, jakim cudem zdołał zrobić to w środku tak... hm... nieprzychylnie nastawionego tłumu, nie łamiąc się ani nie tracąc rozsądku. Nie, jednak dobrze, że nie jestem władcą... a w młodości zazdrościłem siostrze, kretyn jeden!

– Ale co on jej takiego powiedział?

– Obiecał, że nie złapie za gword, o ile Ward sam go nie wyzwie. W zasadzie gospodarz ma prawo zrobić to w każdej chwili, jeśli uzna, że wróg nadużył jego gościnności. Ale jak już wspominałem, Ward

nie jest głupi i przez trzy dni jakoś znieśie naszą obecność.

– A czemu ona go nazwała władcą, i to jeszcze z takim szacunkiem? – przypomniała sobie Orsana. – Przecież ma własnego.

– Właściwie białowłosych od zarania dziejów nazywano władcami śmierci – odpowiedział Rolar już od drzwi. – I dopiero spomiędzy nich wybierano władców dolin. Ponieważ po wojnie wybór w najlepszym razie ograniczony jest do dwójki kandydatów, oba tytuły stały się praktycznie synonimami. Ale nic to, moje panny, my sobie idziemy, a wy się bez nas nie pobijcie przypadkiem! W ostatniej chwili do wampira dołączył Wal, który zdecydował, że chce rozprostować nogi, a przy okazji obejrzeć sobie Lesk, uważany za najładniejszą wampirzą dolinę. Ja mogłam tylko smętnie sapać ich śladem, wygodniej lokując nogę na drugim krześle. Kiedy ja i Orsana gadałyśmy o głupotach, przy okazji próbując przywrócić jej naturalny kolor (udało nam się uzyskać wyłącznie równomiernie niebieskawy, ale po chwili grzebania w pamięci pocieszyłam przyjaciółkę, że za dwa czy trzy tygodnie strzygowata barwa wyblaknie sama z siebie), zapadł zmierzch. Gospodyni jak nienatrzęty cień przemknęła przez jadalnię, rozpałała ogień w kominku i zabrała puste naczynia, zastępując je postawionym na środku stołu półmiskiem gorących pasztecików.

Apetyczny zapach i stukanie kubków w końcu wywabiły z pokoju Lena – zaspanego, rozczochranego i wyglądającego na jeszcze bardziej zmęczonego. Usiadł do stołu, na minutę zastygł, chowając twarz w dłoniach, po czym zdecydowanie potrząsnął głową, nalał sobie mleka z dzbanka, sięgnął po pasztecik i obrzucając mnie szybkim spojrzeniem, odezwał się:

– I bardzo proszę, żebyś nie milczała do mnie z taką urazą.

Zamilkłam z urazą jeszcze większą. Możliwe, że rozpoczęłoby to ożywioną dyskusję na tematy wysoce osobiste (czyli pożądaną awanturę), ale akurat wrócili nasi zwiadowcy.

– „Czarny Lis” w ogóle nie zawijał do przystani – wprost od progu zadziwił nas Rolar. – Ani nawet nie zbliżał się do brzegu, a w tej chwili nie ma tu ani jednego statku na redzie.

– I gdzie my go mamy teraz szukać? – spytała Orsana z rozczarowaniem. Doradca bezsilnie rozłożył ręce. Z wściekłością walnęłam pięścią w stół.

– Czyli przyplłynęliśmy tu na próżno?

– Zależy od punktu widzenia. – Len spokojnie dopił mleko, podniósł się i pod naszymi nic nierozumiejącymi spojrzeniami podszedł do drzwi, akurat w chwili gdy rozległo się krótkie i gwałtowne pukanie.

Wzdrygnęłam się, czując powiew wpuszczonego do pokoju wiatru. Stojący w progu strażnik nadmiernie oficjalnie opadł na jedno kolano i wyciągnął przed siebie zwój pergaminu, owinięty czarną wstęgą i zapieczętowany czarnym kawałkiem laku.

– Wraest tharn – sucho rzucił władca Dogewy.

Posłaniec wstał, ukłonił się i wciąż milcząc, zniknął w mroku. Len zamknął drzwi, ale wydawało się, że w naszym kierunku nadal wieje zimnem i gryzącym poczuciem kolejnego świństwa ze strony ostatecznie rozbestwionego losu. Nikt się nie poruszył, póki wampir po chwili wahania ze złowieszczą brzmącym chrzęstem nie złamał pieczęci, a potem kolejnej i szybko, jakby tylko dla formalności, przebiegł spojrzeniem treść listu. Mruknął coś ni to ironicznie, ni to twierdząco.

– Nu szo tam masz? – nie wytrzymała Orsana. Władca Dogewy powoli zmiął arkusz i rzucił go do kominka. Pergamin zapłonął gwałtownie, skręcił się i poczerniał. Ogień na moment oświetlił nieruchomą, jakby wykutą z granitu twarz wampira.

– Władca Lesku, Sia-werden tor Ordlpael Virr'ta, wyzwiał mnie na pojedynek. Dziś o północy, na broń rytualną.

– Nie możesz z nim walczyć!

– Rolarze, zabierz ją ode mnie. – Stojący przy oknie Len lewą ręką w skupieniu zaciągał sprzączki prawego naramiennika.

Z pozostałym ekwipunkiem już sobie poradził: czarny obcisły bezrękawnik z wycięciami na skrzydła, wąskie czarne spodnie i wysokie sznurowane buty. Włosy zaplótł w krótki warkocz, z którego po bokach uciekały kosmyki krótszej grzywki.

Gword czekał, w tej chwili niedbale oparty o ścianę.

Rolar zabrał mnie w dosłownym znaczeniu – złapał od strony pleców, przyciskając ręce do boków, przy akompaniamencie wściekłych wrzasków wyniósł z pokoju, ostrożnie postawił za progiem i zatrzasnął drzwi przed nosem. Uniosłam nogę do kopniaka, ale w samą porę przypomniałam sobie, że nie mam ich wiele na zbyciu i poświęcenie ostatniej w imię jakiegoś tam wampira nie jest opłacalne. No dobrze, poczekam na ganku, przecież nie wylecą przez komin!

Nie musiałam czekać długo, co najwyżej dziesięć minut. Jeżeli Len miał nadzieję, że znudzę się i sobie pójdę albo zeżre mnie jakiś źle wychowany kudłak, to czekało go okrutne rozczarowanie. Niestety, nawet nie poruszył brwią, mijając mnie jak puste miejsce.

– Wolho, może tu na nas poczekasz? – nieśmiało spytała Orsana. Spojrzałam na nią tak, że tylko westchnęła i zaproponowała mi rękę, którą demonstracyjnie zignorowałam.

Ostatecznie kondukt (język stawał mi kotkiem przy próbie nazwania tego smętnego pochodu w inny sposób) wyglądał następująco: na czele kroczył Len, który w czarnym ubraniu wydawał się trupioblady. Po bokach i krok z tyłu szli Rolar i Orsana. Za nimi z zarzuconym na ramię dwuręcznym mieczem niedbale tupał Wal, dłubiący drzazgą między zębami.

W pewnej odległości za nimi kuśtykałam ja, złośliwie odnotowując, że przyjaciele co rusz z niepokojem oglądają się do tyłu. Wszyscy poza Lenem. Zresztą nie wątpiłam, że jemu działałam na nerwy nie mniej skutecznie.

Ward chyba nie mógł się doczekać, by możliwie szybko zacząć i skończyć, w każdym razie już czekał na umówionym miejscu w towarzystwie dwójki strażników. Wyraz twarzy miał chmurny i niezadowolony, jak gdyby to nie on, tylko my wyciągnęliśmy go z łóżka i zmusiliśmy, by jak ten dureń krążył po malutkiej polance na środku lasu.

Ale władca Lesku nie skomentował naszego spóźnienia ani słowem, ledwo co zaszczyił przeciwnika skinieniem głowy, a następnie zdjął i niedbale rzucił swoją kurtkę na ręce jednego ze strażników. Drugi z szacunkiem podał mu gword. Len niósł swoją broń sam i tylko złapał ją obiema rękoma, ale nie śpieszył się z wypuszczaniem ostrza, czekając, aż Ward przyjmie pozycję bojową na przeciwległym krańcu polany.

Rytualny gword przypominał laskę długości dwóch arszynów z twardego, barwionego drewna czerwonego koloru, z metalowym okuciem pośrodku. Żadnych wzorków, wisiorków, grawerunku – wyłącznie wypolerowane przez dłonie drewno i robiąca wrażenie ilość zadrapań na okuciu. Ważył niewiele więcej niż zwykły miecz, ale zasady zakładały trzymanie go obiema rękoma w odległości dwóch piędzi od końców. Wewnątrz chowała się klinga – trzy dokładnie przyciśnięte do siebie ostrza, zrównoważone ciężką głowicą w kształcie wilczego pyska w przypadku Lena i orlej głowy u Warda. O ile w zwykłym gwordzie klinga wyskakiwała i rozchodziła się automatycznie, to tutaj walczący mógł sam regulować długość i stopień jej otwarcia, ograniczając się do klutej rany lub dosłownie patrosząc przeciwnika. Któregoś razu Len pokazał mi, jak to się robi, ale nawet ze zwykłym mieczem radziłam sobie nie najlepiej, więc tym bardziej brakowało mi umiejętności, żeby dobrze wyliczyć nachylenie,

szybkość i moment obrotowy gwotdu w chwili ciosu.

Polankę oświetlały tylko nadgryziony księżyc i mrowie stradeńskich gwiazd. Trawa pod nogami, krótka i miękka, wydawała się posadzona celowo, ale chyba już od dawna nikt jej nie ruszał, pozwalając, by splotła się w gęstą i grubą darni. Oprócz nas i strażników na polanie nie było nikogo. Pomyślałam, że mieszkańcy Lesku nie mieli nawet pojęcia, co działo się w dziewiczym zagajniku za miastem. Ale cóż, trzeba zwrócić Wardowi honor – nie skorzystał z tej przewagi. Bo próbuj tu walczyć z przeciwnikiem, którego wspiera wielotysięczny tłum, gotowy w razie jego porażki rozerwać zwycięzcę na strzępy! Rolar pociągnął mnie za rękaw, zmuszając do cofnięcia się w cień pod drzewami.

Ward w końcu dotarł na właściwe miejsce. Przesząpił z nogi na nogę, pochylił się, podciągnął cholewkę buta. Wyprostował się. Gword w jego prawym ręku wykonał wolny półobrót i z cichym plaśnięciem wylądował w drugiej dłoni. Wampir z namysłem spojrział na podrapane okucie i... bezgłośnie, w jednej chwili „przełał się” do pozycji bojowej. Len jak jego lustrzane odbicie powtórzył niewidoczny dla ludzkiego oka manewr.

Nagle poczułam się źle. Oczywiście wcześniej też rozumiałam, że bynajmniej nie szliśmy na spacer w celach rozrywkowych, ale jedno wiedzieć i coś zupełnie innego zobaczyć na własne oczy, że nikt z obecnych nie ma najmniejszego zamiaru żartować! Może powinnam zemdleć? Ale nie, z wampirami ten numer nie przejdzie... Tylko mnie wysmieją albo w ogóle w milczeniu odciągną za nogi gdzieś w krzaki, żebym nie przeszkadzała.

– Tekkst er? – ni to zapytał, ni to stwierdził władca Lesku.

– Wei'kk. – Len skinął głową.

Już miałam okazję widzieć, jak walczą wampiry... ale nie jasnowłose. Nie było żadnego sygnału ani markowanych ciosów, mających na celu wycucie przeciwnika – wyłącznie oszukańcza cisza „przed” i szaleńczy wicher „po”. Nie potrafiłam dostrzec, gdzie znajdował się Len, a gdzie Ward – po polanie miotał się, porykiwał i łopotał skrzydłami jeden kłębek czerni, połyskujący piorunami ostrzy.

Drzewa dookoła polany rosły dosyć rzadko, ale żaden z wampirów nie przecinał niewidocznej granicy nawet skrawkiem ubrania, jak gdyby pomiędzy walczącymi i widzami znajdowała się magiczna ściana. Miałam wrażenie, że jeśli wysunę za nią podniesioną z ziemi gałąź, natychmiast rozpadnie się ona na malutkie drzazgi. Napięcie rosło. Im dłużej to trwało, tym bardziej oczywiste stawało się, że zaraz nastąpi coś nieodwracalnego. I gdy z czyjegoś gwordu rozsypującym się łukiem wystrzeliły ciemne krople, jak gwiazdki osiadając na mojej kurtce, nie wytrzymałam.

Zmrużyłam oczy i runęłam w sam środek walki, malowniczo wyobrażając sobie własną osobę chowaną w zamkniętej trumnie.

Zatrzymali się natychmiast w tak niedbałych pozach, jak gdyby nadal nie zaczęli pojedynku. Obaj patrzyli na mnie jak szlachetne damy na karalucha, który podczas przyjęcia dyplomatycznego desantował z sufitu na środek talerza. Nie zrozumiałam nawet, kto kogo zranił.

– Arrakkur, tokkin wa shainn – znudzonym głosem poprosił Ward. Byłam tak wściekła, że nawet nie potrzebowałam tłumaczenia.

– Nie jestem jego narzeczoną! Ale jestem jego przyjaciółką i nie pozwolę...

– Przyjaciele nie pchają nosa w cudze sprawy – sarkastycznie przerwał mi władca Lesku – przynajmniej jeśli nie mają ochoty, by do końca życia nosić go w kieszeni. Sam dokonał wyboru i teraz dostanie za swoje. Dziecko, wynoś się z kręgu!

– Wolho, idź sobie!

Nie zaszczyliłam Lena nawet przelotnym spojrzeniem, a już tym bardziej nie miałam zamiaru słuchać Warda.

– Za ghyra! To z mojego powodu przyjechał do twojej parszywej doliny, mimo że ja również o nic

go nie prosiłam! I jeżeli masz tak wielką ochotę go zabić, to zacznij ode mnie!

Na beznamiętnej twarzy władcy Lesku po raz pierwszy pojawił się normalny ludzki wyraz. Znaczący się normalny wampirzy.

– Wyzwał mnie... – powiedział powoli, patrząc wprost w moje oczy. Wzdrygnęłam się, choć wiedziałam, że nie da rady przeczytać moich myśli, w końcu niejednokrotnie sprawdzony na Lenie magiczny blok wytrzymał dwadzieścia minut. – Twoim zdaniem powinienem być odmówić?

– Ja?! – zdumienie Lena, a równocześnie też nasze było tak szczere, że władca Lesku w końcu starł z twarzy swój sarkastyczny uśmiech i zmarszczył brwi. – Sia-werden, z całym szacunkiem, ale pana odcięta głowa jest mi absolutnie do niczego niepotrzebna!

Prychnęłam z pasją i splotłam ręce na piersi. Wzajemne wpatrywanie się wszystkich we wszystkich z oszołomieniem zajęło około pięciu minut. Szczególnie starała się Orsana.

– Pokażcie mi zwój – niespodziewanie ugodowo poprosił Ward, odwracając gword ostrzem do góry i opierając się na nim jak na włóczni.

– Spaliłem go – przyznał Len z zakłopotaniem. Władca Lesku skinął głową.

– Ja również. To tradycja. Rolar...? Arlissczyk z szacunkiem schylił głowę.

– Na własne oczy widziałem wyzwanie i posłańca.

– Ale teraz już nie będziecie walczyć, prawda? – spytałam żałośnie, czując, że zaraz się rozpłaczę. Władcy spojrzeli po sobie.

– T'ta melli karrst, Arrakktur – ironicznie rzekł Ward. Przeciągnął po zamkniętym ostrzu koniuszkami palców, a następnie demonstracyjnie dotknął nimi języka. – K'kan allaen.

– Shenn ta – z irytacją rzucił władca Dogewy, opuszczając gword i wychodząc z kręgu. Na to Ward tylko się uśmiechnął, ale nie sarkastycznie jak wcześniej, tylko jak gdyby ze współczuciem. Ale w mroku trudno było mieć co do tego całkowitą pewność. Władca Lesku zatrzasnął gword i bez oglądania się za siebie odszedł. Skrzydlata świta nadal bez słowa czy nawet jednego dźwięku udała się jego śladem. Len, nie zwracając uwagi ani na nich, ani na nas, tak samo szybkim krokiem ruszył z powrotem w kierunku domu. I coś podpowiadało nam, że nie należy go teraz ani wołać, ani doganiać.

– Kto zadał tamten cios? – szepnęłam w nadziei, że Rolar zobaczył więcej niż ja czy Orsana. Po chwili wahania wampir niechętnie przyznał:

– Ward. Jest znacznie starszy i... hm... bardziej doświadczony. A Len jeszcze nigdy nie miał okazji walczyć z jasnowłosym. Zresztą jak na pierwszy raz trzymał się wcale nieźle – spieszenie dodał wampir na widok naszych min.

– Ale nie miał nawet cienia szansy, prawda? – sprecyzowałam, czując, że robi mi się zimno. Arlissczyk milczał, dłubiąc czubkiem buta w ziemi.

– Dlaczego nie, przy jednym do pięciu postawiłbym na niego parę miedziaków – mruknął bardziej cyniczny troll. – No dobra, spadamy stąd, bo te komary już mnie na wylot przegryzły!

W końcu dotarło do nas, że stanie w mrocznym i mokrym lesie, gdy równie dobrze moglibyśmy rozmawiać po drodze, nie ma sensu.

– Przecież mówiłeś, że doskonale ich znasz! – nie wytrzymałam i zaczęłam wyrzucać Rolarowi. – Ale pojedynek prawie się odbył, a ty nawet nie ruszyłeś palcem, by w tym przeszkodzić!

– Widzisz, Wolho... – Wampir na wszelki wypadek odgrodził się ode mnie Walem i dopiero wtedy ze stłumionym chichotem dokończył: – Tak samo dobrze znam ciebie.

– Ssss... świetnie – tyle tylko udało mi się powiedzieć. Nie miałam energii, by obiegać trolla, i bez tego wlokłam się za przyjaciółmi resztkami sił, a raczej dumy.

– Ale za to teraz my znaemo, szo jakaś paskuda po Lesku wsi ż gojsae! – optymistycznie zauważyła Orsana. – Bo przecież wyzwanie nam przyniósł zowsim, nie nietoperz. Jakszo ce i nie sam czarodziej

czegoż wapięz, to na pewno wie, gdzie go szukały!

To znacznie poprawiło nam humory. Po ożywionej dyskusji uznaliśmy, że szukanie wampira po ciemku to głupi pomysł i należy poczekać do rana (akurat z tego powodu nikt specjalnie nie rozpaczał, wszystkim koszmarnie chciało się spać), a dopiero potem zaczynać aktywną działalność z zastosowaniem magii, telepatii i bacznej obserwacji – co czasami okazuje się najskuteczniejsze. Ostatecznie mieliśmy na podorzędziu specjalistów w każdej z tych trzech dziedzin.

Pogrążeni w rozmowie z przyjemnym zdziwieniem zauważyliśmy swoje miejsce postoję, prawie wpadając nosem na kłankę. Gdyby nie znany ze swojej praktyczności troll, przez kolejną bitę godzinę stalibyśmy na progu, aktywnie gestykułując do wtóru tworzonego planu.

Polana w kominku już się wypaliły, w środku było ciemno i cicho. Mimowolnie zniżyliśmy głosy i natychmiast zgodnie zaczęliśmy ziewać. Przyjaciele życzyli sobie dobrej nocy i rozeszli się po pokojach, a ja, czując się zbyt leniwie na utworzenie pulsaru, po omacku ruszyłam na poszukiwanie wiadra z wodą, które całkiem dźwięcznie znalazłam. Zachłannie napiłam się i obmyłam twarz, lecz zmęczenie, zamiast odstąpić, natarło z podwójną mocą i nawet musiałam przytrzymać się ściany, po czym pokuściłam w kierunku sypialni mojej i Orsany, mając szczery zamiar paść na łóżko w butach i niech tylko ktoś odważy się mnie ruszyć!

Ale zamiast tego z niewiadomego powodu uchyliłam drzwi do sąsiedniego pokoju. Len, nadal ubrany w czarny strój pojedynkowy, leżał na łóżku wprost na kołdrze, z rękoma pod głową i wzrokiem wbitym w sufit. Nieśmiało zakaszlałam.

– Mocno cię drasnął?

– Zadrapanie.

Łajdak, nawet głowy nie odwrócił!

No i dobrze, pomyślałam ze złością. Moja cierpliwość się skończyła! I z wściekłością zatrasnęłam drzwi... zostając w pokoju.

Ignorowanie agresywnie nastawionej wiedźmy na zamkniętej przestrzeni półtora na dwa sążnie okazało się znacznie trudniejsze. Len musiał przynajmniej na mnie zerknąć – po to, by w razie czego wiedzieć, w którym kierunku uciekać. W zasadzie mogłam ograniczyć się do myśli, ale chciałam usłyszeć przynajmniej jeden głos na swoje poparcie. Niechby nawet i własny. Tak więc nabrałam pełne płuca powietrza i z patetyczną łezką zaczęłam:

– Mości władco, muszę pana rozczarować. Czy pan sobie tego życzy czy nie, ale już tu jestem! – Niechcący chyba przesadziłam. Brzmiące w moim głosie histeryczne nutki przstraszyły mnie samą, a Len z przerażeniem poderwał się na łóżku, w końcu odwracając się do mnie twarzą. – A czy z nogą, czy bez nogi, to nie pańska sprawa, ponieważ sama decyduję, co i jak mam ro...

Natchniona przemowa obliczona była na jakieś pięć minut, ale przeklęta noga nie miała ochoty na wysłuchanie jej do końca i zawiodła w najmniej odpowiedniej chwili.

Gdy magia po raz kolejny odpędziła oślepiający ból, Len siedział na podłodze obok mnie.

– Wszystko w porządku – wycedziłam przez ściśnięte zęby. – Zapomniałam odnowić zaklęcie znieczulające...

Władca Dogewy milczał, uparcie patrząc w podłogę, jak gdyby posiadał również zdolność widzenia przez przedmioty, a w piwnicy stała kusząca butelka z pitnym miodem. Nie miałam pojęcia, o czym myślał, i z przestachem nieco spuściłam z tonu.

– No niech ci będzie, że nie chcesz się ze mną żenić... tyle jestem w stanie zrozumieć... – wypowiedzenie tego zdania okazało się niesamowicie trudne, lecz dalej poszło już znacznie łatwiej i pewniej. – Ale po kiego ghyra odmawiasz mi prawa bycia twoją przyjaciółką? Za co?!

Len w końcu podniósł głowę, a ja ze zdumieniem pojęłam, że nie tylko się nie gniewał, ale chyba był

bardziej zrozpaczony i zagubiony ode mnie.

– Wolho, chcę tego najbardziej w życiu. Od chwili gdy po raz pierwszy cię zobaczyłem. – Len złapał moje ręce w swoje, delikatnie pogłaskał blady, nieopalony pasek na moim serdecznym palcu i dotknął go wargami. Potem twardo spojrzął mi w oczy. – Ale wolę nie mieć żadnej żony, niż mieć martwą. Właściwie wolę mieć martwego siebie. Zaparło mi dech, ale jednak znalazłam w sobie dość sił, by zaprzeczyć.

– A nie przyszło ci przypadkiem do głowy, że mnie też nie zachwyca wizja martwego męża?! Oczywiście z okazji ślubu mogę zrobić z ciebie nawet całkiem żywiołowego zombie... – Tak wyraziście wyobraziłam sobie narzeczonego w welonie (w celu uniknięcia nieszczęśliwych wypadków wśród gości o słabych nerwach) i narzeczoną o kulach, że wampir nie wytrzymał i roześmiał się. – Ale, Len, martwię się o ciebie wcale nie mniej! Też wolałabym w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku przejechać się w białej sukni na trójce starszych z Kellą do kompletu, niż rozpaczliwie płakać nad świeżą mogiłą! Przy czym uprzednio musiałabym ją jeszcze wykopać, a potem przez całe życie pielić! Niedoczekanie twoje!

Na płkanie Len się nawet zgadzał i zaczął trenować tu i teraz. Wychodziło nie najgorzej, tylko zbyt optymistycznie.

– No i dobrze – podsumowałam uspokojona. – Nie mam zamiaru odstępować ci tego honoru, nawet nie liczyć! Więc albo rozwiązujemy problem szalonego czarodzieja razem, albo zabieram się za niego samodzielnie i niech ci będzie wstyd!

– No dobrze, poddaję się. – Len włożył jedną rękę pod moje kolana, a drugą złapał w poprzek pleców. – Trzymaj się!

– Co ty robisz?! – Nie zdążyłam się opamiętać, a on już stał prosto, jak gdyby nie czując mojej wagi.

– Mam zamiar zanieść cię do łóżka. Wolisz, żebym zaciągnął cię za nogi? – Udał, że chętnie zmieni uchwyt, a ja instynktownie złapałam go za szyję. – Mamy jutro wiele pracy, tak więc niech pani raczy dobrze się wyspać, mości wiedźmo naczelna! I jeśli jakimś cudem – ale w końcu na co jeszcze potrzebni nam są magowie? – wrócimy do Dogewy, to możesz liczyć na premię w wysokości połowy pensji!

– Dlaczego tylko połowy?! – ryknęłam, z wielkim trudem udając słuszny gniew. – A gdzie dodatek za nadgodziny? I chorobowe?

– Nie zapomnij również o delegacji! – prychnął wampir, opuszczając mnie na łóżko.

– Wyzyskiwacz!

– Naciągaczka!

– Skąpiradło!

– Wiedźma!

– Strzyga!!! Len?

– Tak? – tak samo gwałtownie i bez najmniejszego zdziwienia przełączył się na spokojny i uważny ton.

– Nie odchodź – poprosiłam cicho, przytrzymując go za rękaw. – Posiedź ze mną, przynajmniej póki nie zasnę...

– Nie pójdę. – Ostrożnie, by nie poruszyć mojej chorej nogi, Len ulokował się na brzeжку łóżka. I już po paru minutach w otulającej nas kruchej ciszy ledwie słyszalnie dodał: – Nigdy.

Chyba we śnie nieostrożnie się odwróciłam, ponieważ obudził mnie tępy ból goleni. Z nim poradziłam sobie szybko, znacznie trudniejsze okazało się zebranie do kupy kłębiących się w głowie myśli. Kolejny kwadrans przesiedziałam na łóżku, gapiąc się w zalane światłem księżycy okno, a potem nie wytrzymałam i zaczęłam zdecydowanie tarnosić leżącego obok wampira.

– Len... Leeen! No proszę, weź się obudź! Nie śpij! Mam do ciebie ważną sprawę!

– Jaką? – sennie mruknął wampir, niemrawo próbując schować się przede mną pod poduszką, ale

na wszelki wypadek zabrałam mu również kołdrę. Naprawdę czekała nas poważna rozmowa i chciałam zmniejszyć ilość czynników rozpraszających.

– Len, słuchaj... znaczy się... może jednak za mnie wyjdiesz? Tfu, ożenisz się?! Co?

– Niech ci będzie, wyjdę... – burknął władca Dogewy i odwrócił się do mnie plecami. W zamyśleniu gapiłam się na dwa złożone skrzydła, nie wiedząc, czy mam brać to stwierdzenie za oficjalną odpowiedź, czy próbę pozbycia się koszmaru nocnego w mojej osobie. Ale nagle Len wybuchnął stłumionym chichotem, a potem śmiechem na całe gardło, odwrócił się i złapał mnie w objęcia.

– Wolho, kocham cię! Oczywiście, że się z tobą ożenię! Jesteś wredną, złośliwą, upartą rudą wiedźmą i nie wyobrażam sobie, co bym bez ciebie zrobił. Nie odkocham się w tobie ani za pięćdziesiąt, ani za sto lat, nie obchodzi mnie, że masz podartą kurtkę, bo moja wygląda jeszcze gorzej. Pojedziemy razem do Jesionowego Grodu i najlepszego elfiego jubilera, wybierzemy ci nowy pierścionek, jakikolwiek zechcesz, nawet i do nosa, jak orkowie noszą. Będzie należał tylko do ciebie, a o naszym ślubie ułożą legendy, ponieważ nawet najbardziej zatwardziali i odporni na alkohol minstrele nie dadzą rady przypomnieć sobie szczegółów tygodniowego święta! Ale... tylko jeśli sama będziesz tego chciała. Umowa stoi?

Nie odpowiedziałam. Ponieważ była to chwila odpowiednia dla działań, a nie dla słów. Rozciągnęła się na godziny, lata, stulecia – albo po prostu zatrzymała czas i przestał on cokolwiek oznaczać, tak samo jak moje głupie obawy... Niepotrzebnie się przedtem martwiłam – kły zupełnie nie przeszkadzały! Ale pierwszym, co zrobię na stanowisku władczyni Dogewy, będzie wprowadzenie kary śmierci za pukanie do drzwi w nieodpowiedniej chwili!

Nawet nie podejrzewałam, że Len zna takie słowa. Pewnie przeczytał moje myśli. Potem wstał i podszedł do drzwi, a ja spieszenie naciągnęłam kołdrę po same pachy i nawet położyłam na niej ręce, by nikt przypadkiem nie zwątpił, że właśnie umieram, a Len z poświęceniem uprzyjemnia mi ostatnie godziny.

W progu stał pochmurny Rolar, zza którego ramienia wyglądała zmartwiona Orsana. W mroku na drugim planie majaczyła ciemna trollokształtna masa.

– Len, mamy problem – rzucił wampir.

– Nie wątpię – westchnął władca Dogewy, wpuszczając przyjaciół do pokoju. Na mój widok nie tylko się nie zdziwili, ale nawet nie przyszło im na myśl, by złożyć umierającej przyjaciółce wyrazy współczucia. Wal niedbale runął na łóżko w okolicy moich nóg, jakbym miała ich nieskończony zapas. Orsana zamknęła drzwi i zatrzasnęła okiennicę, uprzednio podejrzliwie wyjrzawszy przez okno. Takie przygotowania bardzo mi się nie spodobały i na wszelki wypadek wniosłam również swój wkład w postaci magicznej ochrony przed podsłuchem. Len skinął głową, zapraszając Rolara do rozpoczęcia rozmowy.

– W krzakach koło placu znaleziono martwego strażnika. Bez głowy, jak należy... – Arlissczyk urwał i ze skrzepowaniem poprawił się: – Czyli ostatecznie martwego. To posłaniec, który przyniósł ci zwój. Wiadomość faktycznie sprawiła, że zapomnieliśmy o wszystkim innym.

– Skąd wiesz?! – rzuciliśmy jednym głosem.

– Orsana usłyszała jakieś podejrzliwe hałasy na ulicy i nas obudziła. Poszliśmy na plac, obejrzeliliśmy ciało i ruszyliśmy w odwiedziny do Warda. Oczywiście zapewniając go ze wszystkimi możliwymi przysięgami, że to nie Len nas wysłał! – pośpiesznie wyjaśnił Rolar. Władca Dogewy mimo wszystko rzucił mu wściekle spojrzenie, a ja nagląco spytałam:

– I co?

– Najpierw zademonstrował nam tę samą minę obrażonego bazyliuszka, ale w końcu całkiem pokojowo sobie porozmawialiśmy i doszliśmy do wniosku, że ktoś w imieniu Warda polecił strażnikowi dostarczyć

Lenowi wezwanie, a gdy posłaniec poszedł zameldować o wykonaniu zadania, zwabił go w ustronne miejsce i zamordował.

– A w jaki sposób władca Lesku otrzymał swój zwój? – Len nie zdołał pohamować ciekawości.

– Jakiś wampir przekazał go jednemu z wartowników pilnujących domu narad i natychmiast sobie poszedł. W zasadzie takie rzeczy przekazuje się osobiście do rąk własnych – wyjaśnił Rolar na użytek mój i Orsany. – Ale Ward oczywiście pomyślał, że to byłem ja, i uznał, że po prostu nie miałem ochoty na zostanie „czarnym posłańcem”. Swoją drogą, wiadomość o przyjeździe Lena ktoś po prostu podrzucił na jego biurko i ochrona nadal gubi się w domysłach, jak temu tajemniczemu „życziwemu” udało się dostać do domu, pozostając kompletnie niezauważonym.

– Wlazł przez okno i po kłopotcie. – Troll wzruszył ramionami. – Patrzyłem, to wcale nie tak wysoko, podskoczył i się podciągnął.

– A co na to strażnicy? – Rolar z miejsca odrzucił pomysł. – Tam nawet mysz się nie przemknie!

– Trzeba pójść i zbadać miejsce przestępstwa! – zapaliłam się. – Może zostały tam magiczne ślady mordercy?!

– Wampira? – Len sceptycznie uniósł brwi, studząc mój entuzjazm. Rzeczywiście, wampira za pomocą magii nie wyśledzę za ghyra, a człowiekowi nie udałooby się złapać strażnika z zaskoczenia.

– Było tam dosyć zwykłych śladów – uspokoił mnie Rolar. – Ward postawił w stan pogotowia cały garnizon Lesku i podwoił patrole graniczne. Strażnicy już zaczęli przeczesywać dolinę, więc pozostaje nam tylko czekać, aż pułapka się zatrzaśnie.

– A co, jak zamiast myszki złapią do niej ogromnego, chytrego i wściekłego szczura? – zaniepokoiłam się. – Jakoś wątpię, by przytrzaśnięcie ogona uczyniło go bardziej skorym do rozmów!

– Jeżeli czarodziej jest gdzieś w Lesku, to faktycznie nie jest w najlepszym nastroju – wsparła mnie Orsana ironicznym tonem. – Dzięki Wolsze jego plan poszczucia na siebie wapiery upadł i widpowidno nie udało się zwalić morderstwa na zabitego w pojedynku władcę.

Wyprostowałam się dumnie, a Len zawstydził.

– Teraz paskudny czarownik na pewno rzuca się po swoim legowisku i zastanawia, jak by tu możliwie szybko nawiać z wyspy! – ciągnęła najemniczka. – A jeszcze są przecież strażnicy...

– Nie martwcie się, nie będą go atakowali samodzielnie. Po prostu wywęszą co i jak i doniosą władcy, a on nam.

Miałam dziwne podejrzenie, że słowa „wywęszą” Rolar użył w znaczeniu dosłownym. No cóż, na stadzie wilków można było polegać. Nawet przy poszukiwaniach wampirów i czarodziejów.

Len w zamyśleniu rozczochrał włosy tak, że złoty diadem spleźł mu na oczy i prawie spadł na podłogę. Wampir ledwo zdążył go złapać.

– Ciekawe, skąd ten drań wziął moją pieczęć?

– Każdą pieczęć można podrobić.

– Wolho, to klanowa pieczęć, a nie dogewska, którą ukradkiem tłuczysz orzechy. Oj, nie uciekaj spojrzeniem, wszystko wiem! Szczerze mówiąc, też mi się to zdarzało... Do rzeczy, przekazuje się ją z pokolenia na pokolenie i używa wyłącznie w sytuacjach takich jak ta. Więc zdobycie wzoru jest po prostu niemożliwe, bo jej obecność na liście oznacza, że należy go natychmiast spalić.

– Natychmiast? – sprecyzowałam złośliwie.

– Po przeczytaniu. Naczelna wiedźmo, bez złośliwości, proszę. Na zewnątrz stawia się na zwoju zwykłą pieczęć i bez złamania jej nie sposób dostać się do klanowej. Logicznie rzecz ujmując, tylko Ward mógł ją podrobić, ponieważ jako... hm... osoba rodowo zainteresowana doskonale zna moją pieczęć z opisów, a może nawet widział na wyzwaniu, które przysłało któremuś z jego krewnych.

– A może to być jakiś inny władca, który przynajmniej raz otrzymał taki list? – olśniło mnie. Len

drgnął, ale po chwili namysłu ostrożnie pokręcił głową.

– O ile mi wiadomo, przez ostatnie trzysta lat moja rodzina nie miała waśni z nikim oprócz Virr'ta.

– A co, jeśli chodzi o samych Virr'ta? – nie chciałam się poddać. – Przecież jego pieczęć również podrobiono!

– Nie mamy wspólnych wrogów. Ale kto powiedział – władca zmarszczył brwi – że ją również podrobiono?

– Pieczęć Warda jest na miejscu – wtrącił Rolar. – I nie była używana. Szczerze mówiąc, on sam ledwo ją znalazł, i to w stanie znacząco nadgryzionym przez myszy.

– Przecież mógł mieć zapasową.

– A ty masz? – sarkastycznie dociekał Arlissczyk.

Len już sam zrozumiał, że postępuje głupio, i przestał narzekać na swojego wroga. Jeszcze przez chwilę się naradzaliśmy, ale bez większych sukcesów. Nie mieliśmy możliwości, by pomóc strażnikom, więc pozostawało tylko czekać na ich meldunki. A siedzenie w tym celu w pięć osób na jednym łóżku było kompletnie pozbawione sensu.

Musiałam wyjść razem ze wszystkimi – bo oczywiście przyjaciele zatrzymali się w progu, czekając na mnie. Pociuszająca była wyłącznie świadomość, że teraz w każdej chwili mogłam wrócić.

Już pogodziłam się z myślą, że tej nocy normalnie nie pośpię, i położyłam się dosłownie na chwilę, by z przyjemnym zdziwieniem otworzyć oczy rano. Z jadalni dolatywały głosy, czasem powoli się podnoszące, a po chwili gwałtownie opadające do szeptu. Dokładnie tak jak wtedy, gdy ludzie nie chcą kogoś obudzić, ale sporadycznie o tym zapominają. Sennie mrużąc oczy wiedźma powitana została okrzykami, po czym towarzystwo z ulgą kontynuowało rozmowę pełnym głosem, mimo że jedno miejsce przy stole nadal było puste.

– A gdzie jest Len?

– Znowu poszedł na polanę dokarmiać komary. – Wal obgryzł kurzą kość, po czym celnie rzucił ją do kubła na śmieci i ze śmiechem dodał: – A jeśli ktoś będzie miał szczęście, to również wrony!

– Co?! – W pośpiechu zajrzałam do pustego pokoju. W rogu brakowało gworda.

– Po prostu trenują – uspokoił mnie Rolar. – Len poprosił Warda o udzielenie mu paru lekcji.

– A on się zgodził?!

– Oczywiście. – Wampir wepchnął do ust ogromną łyżkę sałatki, która ledwo zmieściła się pomiędzy kłami.

Westchnęłam. Nie rozumiałam nic a nic – uczyć wroga swoich własnych sztuczek? Rolar spojrział na moją minę, przeżuł i wyjaśnił:

– Wolho, tu nie chodzi o to, na ile dobrze władasz gwordem. Znacznie bardziej liczy się zwinność i szybkość, a im bardziej niebezpieczny jest twój przeciwnik, tym bardziej honorowa śmierć z jego ręki. Nie mówiąc już o zwycięstwie. Poza tym – wampir zniżył głos – niech lepiej wypuszczą parę teraz, to nie będą robić głupot po nocach. Bo jeśli patrzeć na etykietę, to wychodzi jakoś nieprzyzwoicie, spotkali się i nie zmierzyl! Więc dla zachowania czystego sumienia powinni przynajmniej tak to nadrobić.

– Ta wasza etykieta... – Machnęłam ręką, pozwalając Rolarowi samemu domyślić się, gdzie może ją sobie wsadzić. – Co słyhać?

– Chwilowo nic. Siedzimy jak na szpilkach, strażnikom pozostały do sprawdzenia tylko brzegi wyspy. Wszystko powinno się skończyć w ciągu godziny czy dwóch. Po chwili namysłu zaczęłam sobie robić kanapkę z wędzoną rybą. Musiałam znaleźć sobie coś do roboty, a potem może akurat się przyda.

Wrócił Len – ciężko dyszący, w koszuli mokrej od potu, jakby Ward przejechał na nim parę wiorst. Ale ku mojej ogromnej uldze jak najbardziej żywy.

– Chwilowo nic – odparł lakonicznie, zanim zdążyliśmy zadać chóralne pytanie. – O, dziękuję!

Otworzyłam usta, by wrzasnąć z oburzeniem, ale było za późno – Len już użył dzieła moich rąk zgodnie z przeznaczeniem, mruknął coś pochlebnego i zaczął z prychnieniem pluskać się nad stojącą w rogu kadzią. Musiałam z pretensją zamknąć usta i przygotować sobie drugą kanapkę – bo naprawdę poczułam się głodna. Niestety, za kolejnym podejściem nie miałam wiele więcej szczęścia – nie zdążyłam przeżuć nawet pierwszego kęsa, gdy drzwi ponownie otworzyły się bez uprzedzenia. Wyglądało na to, że Ward również dopiero zdążył doprowadzić się do porządku i zapinał koszulę już po drodze. Na jego twarzy brakowało jednak pewności co do tego, czy droga ta była właściwa. Całkowicie podzielaliśmy jego obawy i odpowiedzieliśmy ostrożnymi spojrzeniami. Na widok takiej solidarności wampir zaczął się cofać, ale w porę przypomniał sobie, że jest przecież władcą tej doliny, a więc również tego pokoju, po czym zdecydowanie przekroczył próg. Zresztą już pierwsze jego słowa sprawiły, że pogodziliśmy się z wzajemną obecnością.

– Przed chwilą dostałem raport od ostatniego strażnika. – Ward mściwie zrobił efektowną pauzę. Gdyby trwała jeszcze parę sekund, rzucilibyśmy się, by wytrząsnąć z niego informację ręcznie. – Mordercy nie ma w Lesku.

– Szco?!

– Niemożliwe!

– To gdzie się podział?!

Komentarz Wala nie nadawał się do tłumaczenia, mimo że nikt nie miał najmniejszych problemów z jego zrozumieniem.

– Sia-werden, czy to oznacza, że pańscy strażnicy pozwolili mu uciec? – chłodno skonstatował Len.

– Prawie – zaprzeczył władca Lesku znacząco, ponownie ściągając na siebie ogólną uwagę. – O świcie patrol graniczny wyczuł coś dziwnego, jak gdyby czyjaś obecność, zamazaną i nieokreśloną. Ale strażnicy nic nie dostrzegli. Na wszelki wypadek dokładnie przeczesał podejrzany odcinek, przesledzili źródło swojego niepokoju do morskiej granicy Lesku i już zamierzali lecieć z powrotem, kiedy nagle dosłownie wynurzył się z pustki jakieś trzydzieści wiorst od brzegu. Żagłowiec bez nazwy i flag rozpoznawczych. Chyba był zakotwiczony w porzuconej zatoce na drugim krańcu wyspy pod osłoną zaklęcia niewidzialności i dostrzegli go, gdy zaczął się poruszać.

– I co? Strażnicy zagonili go z powrotem do zatoki?!

– Nie, był zbyt daleko, prawie na horyzoncie a czas tej zmiany dobiegał końca, więc zawrócili w kierunku brzegu. Zmieniają się co trzy godziny – tchaarschi z jeźdźcami się męczą i nie mogą dłużej pozostawać w powietrzu. Dlatego patrolujemy mniej więcej dziesięć wiorst morza dookoła wyspy – strażnicy akurat mogą bez pośpiechu oblecieć swój odcinek i wrócić.

I dzięki Bogom, że go nie dogonili, uświadomiłam sobie poniewczasie. Schowanie pełnego statku z załogą nie tylko wizualnie, ale również przed zmysłami wampirów wymagało mocy przynajmniej arcymaga. Po strażnikach nie pozostałoby nawet strzępka!

To mi o czymś przypominało... natarczywie uniosło się z podświadomości, ale przy próbie skupienia rozproszyło i zanurkowało z powrotem.

Władca Lesku sucho kontynuował: – Mimo słabego wiatru statek poruszał się bardzo szybko. Zgodnie z naszymi szacunkami w tej chwili znajduje się jakieś pięćdziesiąt wiorst od Lesku. Tchaarschi lecą z prędkością około czterdziestu wiorst na godzinę, więc zanim dotrzemy do statku, on zdąży się oddalić na kolejne dwadzieścia albo trzydzieści, jak nie więcej. Szybko oceniłam perspektywy. Nie wyglądały specjalnie zachęcająco.

– Na drogę potrzebujemy dwie, może dwie i pół godziny, ale przecież musimy ich nie tylko dogonić, ale też znaleźć. Po pozbyciu się strażników statek bez problemu mógł zmienić kurs albo ponownie schować się pod osłoną niewidzialności! Ward odpowiedział mi bezpośrednim wymagającym

spojrzeniem.

– I właśnie po to jest mi potrzebna pomoc więdźmy. Przy ganku czekają najszybsze i najbardziej wytrzymałe konie. Tylko dla nas. Z założeniem, że albo odpoczniemy na pokładzie, albo... nie wrócimy.

– Korrki lein ta irra shainn? – zapytał Len z paskudnie zmrużonymi oczyma i wyzwaniem w głosie.

– To ona w końcu jest przyjacielem czy narzeczoną? – ironicznie sprecyzował Ward we wspólnym, demonstracyjnie puszczając mimo uszu pozostałą część zdania.

Ja i Len spojrzeliśmy po sobie i jednakowo sceptycznie się wykrzywiliśmy. Oczywiście nic dobrego z tego nie wyszło, przyjaciele, a nawet my sami skęciliśmy się ze śmiechu.

– Może nazwijmy to: przyjacielsko nastawiona narzeczona – podsumował Rolar.

– Rozumiem – spowaźniał Ward. – Miałem na myśli nas wszystkich. Wliczając... Arrakktura.

Władca Dogewy ukłonił się w milczeniu.

Mógł zabrać strażników, tak samo jak Len, pomyślałam z obawą. A zabiera obcych, w tym jednego zaprzysięgłego wroga. Dlaczego?!

Ale nie było czasu na pytania i kłótnie – Ward już wyszedł. Spiesznie złapaliśmy swoje rzeczy i ruszyliśmy za nim, w biegu kończąc przeżuwać śniadanie. Koło ganku z podkulonymi po psiemu nogami siedziała jaskraworuda tchaarshi. Koniuszki złożonych po bokach skrzydeł krzyżowały się nad jej karkiem z rozczochraną grzywą – krótką jak u Smółki, ale nie szczotkowatą, tylko jak gdyby złożoną z cienkich, delikatnych piórek, które nieprzerwanie trzepotały na ledwo wyczuwalnym wietrze. Nadawała jej pyskowi nieco zamyślony wyraz.

– To Dierrri. – Ward wskazał ją podbródkiem. Kobyłka spojrzała na władcę Lesku całkiem inteligentnie, a on spokojnie polecił mi:

– Wsiadaj!

– Co?! – Obie z tchaarshi spojrzałyśmy po sobie równie sceptycznie. Kobyłka była może ze trzy razy większa od kozy, a na dodatkę miała kozie beczelne skośne oczy i zwyczaj delikatnego ruszania ogonem.

– Nie martw się, nie zgnieciesz jej – uśmiechnął się Ward.

– A zgodzi się mnie wieźć?

– Tchaarshi są stadnymi zwierzętami. Przede wszystkim liczy się dla nich przewodnik stada. Za moim ogierem poleci dokądkolwiek i z kimkolwiek.

– Ale będę mogła przynajmniej nią kierować?

– Tak, póki będzie widziała białego. Ale jeśli nie jesteś wybraną przez nią panią, to nie uda ci się zabrać jej od stada.

Chciałam zapytać, gdzie są pozostałe wierzchowce, ale w tym momencie władca cicho gwizdnął i w następnej chwili śnieżnobiały koń wylądował niemalże na jego głowie, a po nim jeszcze czwórka. Len złapał za uzdę najbliższego – jasnoszarego, a pozostali dostali gniadosze w różnych odcieniach.

– Odchylacie się do tyłu – tchaarshi się zniża, pochylacie do przodu – podnosi. Co robić z wodzami, wiecie sami – krótko pouczył nas Ward.

W dotyku kobyłka okazała się koścista jak przesuszona ryba, a wzięwszy pod uwagę, jakim miejscem ją macałam, przez resztę tygodnia czekało mnie chodzenie na szeroko rozstawionych nogach. Nie miała giętkości Smółki i mimo że zachłannie oblizywała się w kierunku kanapki, nie próbowała niespodziewanym ruchem porwać jej z mojej ręki (co często zdarzało się jej koleżance). W przyływie litości oddałam jej ogryzek i słusznie zrobiłam: gdy tylko Ward wskoczył na konia, ten rozciągnął się w wysokim skoku i już nie dotknął ziemi. Pozostałe tchaarshi bez namysłu ruszyły za nim – poganiane przez krótki pisk desperacko uczeplonej końskiej szyi Orsany i soczyste komentarze Wala, który zdążył wsiąść na przeznaczony mu wierzchowca w ostatniej chwili, z pośpiechu tyłem naprzód.

Niepowtarzalne odczucia – wraz z mocnymi zamachami skrzydeł gwałtownymi rzutami unosisz się w powietrze, a żołądek nie nadąża za resztą ciała i niespecjalnie śpieszy się z doganianiem.

– Zanim się przyzwyczaisz, patrz tylko do przodu albo do góry! – Siwy rumak prawie dotknął mnie skrzydłem i ponownie uciekł w bok. Sądząc z zielonkawej twarzy Lena, wiedzę tę nabył metodą prób i błędów.

Tchaarshi osiągnęły zamierzoną wysokość i otworzyły skrzydła w powietrznym prądzie, pomagając mu rzadkimi płynnymi machnięciami. Wiatr wył jednostajnie, chłostał po twarzy i echem brzmiał w uszach. Z przyjemnym zdziwieniem odkryłam, że siedzenie stało się znacznie wygodniejsze – w locie ostre wypukłości końskiego kręgosłupa schowały się gdzieś w środku, a pomiędzy skrzydłami powstała wygodna wklęsłość.

Troll w końcu zdołał odwrócić się twarzą do przodu i w ramach zemsty tak ścisnął swoją bezczelną kobyłę kolanami, że bez słowa sprzeciwu uznała ona ciężką pańską nogę i przestała miotać się z boku na bok, rozbijając szereg.

Równym klinem lecieliśmy na zachód. Brzeg oddalał się w zastraszającym tempie, ale gdy ostatecznie zniknął z widoku, prędkość stała się znacznie łatwiejsza do zniesienia. Dookoła było tylko bezkresne morze z migotliwymi falami, więc mogłam równie spokojnie stać w miejscu, jak i poruszać się o sto wiorst na godzinę. Co prawda czułam się trochę nieswojo, wyprzedzając zdumione mewy, ale nowy sposób podróżowania zdecydowanie zaczął mi się podobać. Przyzwyczaiałam się (a przynajmniej tak mi się wydawało), wyprostowałam plecy i odważnie pociągnęłam wodze. Dierrri zerknęła na mnie koso fiołkowym okiem: „No dobra, jeśli faktycznie tego chcesz... ale potem nie mów, że cię nie uprzedzałam!” i tak ostro opadła na lewe skrzydło, że horyzont stanął pionowo.

Kobyła wypadła z klucza, dziesięć sążni niżej wyrównała lot i dopiero wtedy skręciła na lewo. Ale ja już nie miałam ochoty na nic – może tylko dostać do rąk niewielkie wiaderko. Z trudem stłumiłam tę niezbyt bohaterską potrzebę i złapałam za wodze ze znacznie większą ostrożnością. Kobyłka posłusznie opadła do samej wody, a potem (tego tylko brakowało, by z rozpędu zderzyć się z niewidocznym statkiem!) uniosła się na poprzednią wysokość.

Pozostałe tchaarshi szybko zniknęły z widoku – mojego, ale nie Dierrri. Coraz częściej odwracała się z niespokojnymi parsknięciami, ale na razie nadal słuchała uzdy. Uznałam, że nie będę znęcać się nad zwierzęciem, i wróciłam na poprzedni kurs, równoległe do pozostałych jeźdźców. Zgodnie z moimi szacunkami już minęliśmy granicę Lesku i chociaż było jeszcze nieco za wcześnie na wyglądanie statku, nie wytrzymałam i zrobiłam kilka zygzaków, badawczo obserwując morze. Z góry jak kania spadł biały koń. Dierrri rzuciła się z przestachem, ale natychmiast z ulgą zarżała i zatrzepotała skrzydłami w miejscu, wisząc pysk do pyska z wierzchowcem władcy Lesku.

– Panno wiedźmo, prosiłbym panią o niemęczenie konia przed czasem. – Ward ściągnął owinięte dookoła pięści wodze. – Jeszcze nawet nie dotarliśmy do miejsca, w którym zawrócili strażnicy. Poczułam lekkie zawstydzenie, ale natychmiast wskazałam palcem:

– W takim razie co to jest?!

Na horyzoncie akurat pojawił się statek, trzymasztowy żaglowiec kupiecki. Co prawda nie płynął z Lesku, lecz równoległe do niego, ku zachodniemu archipelagowi. Tchnęło wiatrem – po lewej zawisł szary, a nieco wyżej trójka gniadoszy. Ward osłonił oczy przed słońcem i próbował obejrzeć moje znalezisko.

– Nie, to nie on – rozczarował nas. – Sądząc z opisu strażników, tamten miał czysto białe żagle, a ten ma niebieski rysunek i inny galion, jednorożec zamiast lwa. Chociaż typ statku ten sam. Zresztą poczekajcie tutaj, podlecę bliżej i zapytam, czy nie widzieli naszego uciekiniera!

Biały rumak gwałtownie zanurkował do dołu i do przodu. Odprowadziliśmy go kawałek i zawiśliśmy

w powietrzu jakieś sto sążni od statku, który z takiej wysokości wydawał się zabawką. Tchaarshi usilnie pracowały skrzydłami, nie spuszczać oczu z przewodnika i parszając z trwogą. Mnie również coś niepokoiło. No dobrze, niech będzie, że płynie na archipelag... tylko skąd?! Po tamtej stronie nie było żadnych wysp, a to przecież nie statek rybacki ani nie spacerowy!

– Ward, stój! Nad statkiem z brzękiem i gwizdem uniosła się siwa chmurka strzał.

Zbyt późno zrozumieliśmy, że zamaskowanie statku było jeszcze łatwiejsze niż uczynienie go niewidzialnym.

Spiesznie uniosłam rękę. Strzały na chwilę zawisły w powietrzu, jak gdyby natrafiając na niewidoczną ścianę, po czym zgodnie odwróciły się ostrzami w dół i ruszyły w kierunku statku.

Wszystkie poza jedną.

Śnieżnobiały rumak kwiknął, jego prawe skrzydło załopotało chaotycznie. Koń przekoziółkował w powietrzu jak zestrzelony ptak, a jeźdźca wyrzuciło z siodła i cisnęło w bok.

Len bez namysłu posłał swojego siwosza w tak ostry wiraż, że tchaarshi złożył skrzydła i wpadł w korkociąg. Chyba strzelali z jednobełtowych kusz wojskowych, a nie łuków – zamiast drugiej salwy zobaczyliśmy tylko rzadkie pojedyncze strzały. Szybko się rozproszyliśmy, ale tak krzyworękich strzelców chyba szukali nie z jedną świecą, lecz z paroma. Zresztą niespecjalnie próbowali kogokolwiek trafić, raczej po prostu trzymać na odległość, póki...

Wydawało się, że statek wpływał w cień chmury – tyle że nie ciemniał, a raczej rozpływał się. Nie pozostała z niego nawet jedna trzecia, gdy opamiętałam się, z wrzaskiem potrząsnęłam wodzami i lotem nurkowym podążyłam w kierunku szybko znikającego pokładu. Koło ucha gwizdnęła mi strzała, ale tylko potrząsnęłam głową, jakbym odganiała natrętą muchę. Mocniej ścisnęłam kolana, uwolniłam ręce i bez specjalnego kombinowania uderzyłam rufę dwiema lancami kłębiącego się ognia. Miałam tyle szczęścia, że w pośpiechu uwolniłam zaklęcie o pięćdziesiąt sążni wcześniej, niż powinnam. Nie, czarodziej nie próbował go odbić. Jego własny czar rozkręcał się z taką mocą, że na wybranym kawałku przestrzeni po prostu nie starczyło miejsca na kolejny. Moje lance zostały zwyczajnie zgniecione i odrzucone – już nie w postaci ognia, tylko czystej mocy.

Scena w karczmie powtórzyła się według niemal identycznego scenariusza – z tym że tutaj nie było ścian.

Niebo i morze kilka razy zamieniły się miejscami, a gdy Dierrri w końcu wyrównała lot, na miejscu statku pozostał tylko mglisty ślad po zaklęciu. Jęknęłam z bezsilną wściekłością. Z rezerwy mocy pozostała mi mniej niż połowa, a temu draniowi nic się nie stało, pewnie nawet nie zauważył moich wysiłków!

A gdyby ci wydał oświadczenie, że zauważył i docenił, to poczułabyś się lepiej? – ze złością zbeształam sama siebie. Trzeba zastanowić się, co robić dalej, a nie załamywać ręce już po pierwszej porażce! Nie wątpiłam, że za kolejną wiorstę czy dwie statek ponownie zmieni kierunek, by nas ogłupić. I najpewniej zrobi się widzialny, ponieważ chowanie przed drugim magiem tak potężnego zaklęcia było jeszcze trudniejsze niż chowanie statku jako takiego. W tym miejscu echo mocy było zbyt silne i nie mogłam się skupić, ale wystarczyło odlecieć nieco na bok, by móc z łatwością określić, gdzie się podział – na tej samej zasadzie, na której widoczny jest pojedynczy łańcuszek śladów na śniegu za granicą wydeptanej polany. Niewidzialność to żadna tarcza, a ja również potrafiłam z niej korzystać, jak grom – czy raczej koń – z jasnego nieba spadając wprost na głowę czarownika. Ale nic z tego! Dierrri, nie zwracając uwagi na krzyki i ruchy wodzy, pokręciła pyskiem tam i z powrotem, podjęła decyzję i płynnie zniżyła się ku tańczącej na wodzie białej plamie. Na razie rozpostarte skrzydła trzymały konia na powierzchni, ale pióra szybko mokły i sklejały się. Gniade z przenikliwymi okrzykami krążyły obok, jak mewy dokoła zniszczonego gniazda, wyraźnie ignorując jeźdźców. Tyle dobrego, że nie próbowały

nas zrzucić.

Siwek hałaśliwie uderzał skrzydłami nad samą wodą, z wyraźnym trudem niosąc dwóch jeźdźców.

– Niepotrzebnie się pan martwił – rzucił Ward sucho. – Doskonale pływam. – Nie wątpię – zapewnił go Len z niewzruszonym spokojem, ciekawie spoglądając w dół.

Dokładnie w miejscu, gdzie władca Lesku mimo wszystko nie miał okazji zażyć kąpieli, prześlizgnął się czarny cień wielkości przynajmniej połowy żagłowca. Zatoczył szerokie koło dookoła desperacko rzucającego się konia, raz czy drugi pokazał nad wodą koniuszek płetwy w kształcie sierpa, po czym poczęstowany paroma pulsarami zrezygnował z pomysłu przekąski przed snem i majestatycznie zniknął w głębi. Widziałam, że Ward przygryzł wargę, ale nie skomentował zajścia. Tonący koń uniósł głowę i płaczkliwie zarżał. Pozostałe natychmiast odpowiedziały, schodząc jeszcze niżej.

– Niedługo wróci. – Rolar z niepokojem skinął głową w kierunku ciemnej plamy, która rozpełzała się dookoła rannego zwierzęcia. – Te stwory wyczuwają krew z odległości kilku wiorst.

Szary wierzchowiec Lena również nie wyglądał najlepiej i w oczach ciemniał od potu. Jako tako zdołałam podprowadzić Dierrę bliżej.

– Chodź do mnie!

Kobyłka nie była tym zachwycona, ale pokornie pozwoliła wampirovi przeskoczyć na swój grzbiet. Skrzydła zaczęły uderzać dwa razy częściej i głośniejsze. Położyłam dłoń na końskim karku, zakłębem wlewając w nią moc. Ruda parsknęła z wdzięcznością i postawiła uszy, ale nie było co mówić o dalszym pościgu. Po pierwsze w ten sposób i tak nie dotarlibyśmy daleko. Po drugie tchaarshi po prostu nie miały zamiaru nigdzie lecieć bez przewodnika.

– Kiedy tylko... – Ward spojrzął na białego i nie dokończył zdania. – Ruszą w kierunku brzegu. Nie powstrzymamy ich.

– Można spróbować zakłęcia.

Osobiście również nie byłam tym pomysłem zachwycona, więc zabrzmiał niezbyt przekonująco. Zwykłe konie dosyć łatwo poddawały się hipnozie, ale potem poruszały się jak ogłuszone, na sztywnych nogach i męczyły się dwa razy szybciej. Nie mogłam przewidzieć, w jaki sposób zakłęcie to podziała (i czy w ogóle podziała) na tchaarshi. Ale za to wiedziałam z całą pewnością, że mimo magicznego wsparcia Dierrę nie dociągnie do brzegu z podwójnym ciężarem. I jeżeli w ciągu godziny nie znajdziemy statku... Nieco poniewczasie zrozumiałam, że myślę prawie na głos, nie przejmując się ochroną przed telepatią. No co za kretynka!!! Przecież Len z jego samobójczą szlachetnością zaraz na pewno powie... On oczywiście powiedział: – A czy tamten się przypadkiem nie nada? Wampir spokojnie wskazał palcem czarną pod słońce sylwetkę trójmasztowca, płynącego wprost w naszym kierunku. Gdybyśmy nie byli tak pochłonięci rozważaniem smętnych perspektyw, zauważylibyśmy go już dawno. Chociaż przyznać trzeba, że płynął całkiem szybko i w ciągu dosłownie minut ujrzylibyśmy go w całej okazałości: drapieżnie zaostrzony dziób z podwodnym taranem, wzdłuż burt tarcze dla ochrony przed strzałami, po trzy balisty z każdej strony i rozdwojona jak język węża flaga z całkowicie jednoznacznym rysunkiem. Tchaarshi zmieniły pozycje, słońce mieliśmy teraz za plecami, ale statek wcale nie zrobił się przez to jaśniejszy. Jakieś dziesięć sążni od konia, który z przestachem zaczął bić zdrowym skrzydłem... zatrzymał się! Nie zwijając żagli, nie rzucając kotwicy, prawie w jednej chwili, jak karoca, gdy woźnica gwałtownie ściąga lejce.

– Podrzucić was? – z dobrodusznym uśmiechem zawołał człowiek stojący na dziobie. Kiedy ja próbowałam zapanować nad opadającą szczęką, Dierrę bez wahania przyjęła zaproszenie. Niziutko, resztkami sił przeleciała nad burzą, po czym wbiła pazury w pokład i natychmiast usiadła, zwieszając zmęczone skrzydła. Zeskoczyłam (a raczej spełzłam) z kobyły, z niewysłowioną ulgą czując pod nogami twardą powierzchnię.

– Mistrzu, a co pan tu robi? Arcymag z zadowoleniem pogłaskał się po brodzie.

– Cóż, mógłbym powiedzieć, że morskie powietrze ma na moje stare kości korzystny wpływ, ale szanowna naczelna wiedźma Dogewy już wcześniej traktowała podobne stwierdzenia dosyć sceptycznie.

Zza jego pleców ukazała się wysoka kobieta w obcisłym ciemnym ubraniu, obwieszona amuletami i ze sterzącą nad prawym ramieniem posrebrzaną rękojeścią miecza. Przez język krótko ściętych jasnych włosów prześwitywał biały ślad po oparzeniu – nieco powyżej lewego ucha i o szerokości przynajmniej trzech palców. Uświadomiłam sobie, że po raz pierwszy widzę ją bez peruki. A ona bynajmniej nie jest...

– Witam koleżankę – chłodno rzuciła Łysa Ban... Katissa.

Z zaskoczenia cofnęłam się, wpadając na Lena. Wampir uspokajająco objął mnie za ramiona.

– Czyli Konwent wysłał was oboje w pogoń za nami?!

– Nie za wami – spokojnie zaprzeczyła magiczka. Przeniosła spojrzenie na morze i skinęła głową w kierunku śladów po żaglowcu. – Za nimi.

– Ale skąd wy...

Mistrz uniósł rękę, prosząc, bym poczekała trochę z zadawaniem pytań, i podszedł do burty. Przeniesienie rannego ogiera na statek zajęło dyrektorowi Szkoły Magii co najwyżej minutę. Z boku mogło się wydawać, że w ogóle nie czaruje, tylko z namysłem obserwuje wierzchowca, który ze zdumieniem porusza nogami w powietrzu. Ale gdy tylko szczęśliwie tchaarshi wylądował na pokładzie, mistrz z tak samo spokojną uwagą spojrzał w kierunku żagli, które równie posłusznie wypełniły się wiatrem. Arcymag pozwolił sobie na zadowolone mruknięcie i dopiero wtedy uznał za stosowne wznowić rozmowę.

– Tak się złożyło, że od kilku tygodni Konwent bezskutecznie poszukuje złoczyńcy, który zabił i okaleczył kilkudziesięciu naszych braci. Jeśli wierzyć plotkom... – Arcymag spojrzał na mnie tak przenikliwie, że nawet jeszcze nie wiedząc, o co chodzi, zaczerwieniłam się i spuściłam oczy. – Pewna ruda wiedźma w jakiś sposób... – kolejne spojrzenie i jasnowłosa „sposób” ze skrępowaniem zakaszła nad moim ramieniem – odkryła jego miejsce pobytu i w dodatku uznała, że da radę załatwić sprawę sama. Oczywiście zamiar jak najbardziej chwalebny, ale niezbyt rozsądny: przecież wystarczyło wysłać krótką wiadomość do Starminu i miałyby do dyspozycji moc całego Konwentu. A tak będzie musiała liczyć na pomoc wyłącznie jednego starego maga, który gdyby nie jego koleżanka, nigdy by się nie dowiedział, gdzie ma szukać swojej nierozsądnej uczennicy.

Niespodziewanie nawet dla siebie samej chlipnęłam, zrobiłam krok do przodu i przytuliłam się do piersi starego maga, a on z szorstką czułością rozczochrał mi włosy. Jakbym była małą dziewczynką płaczącą przy szkolnej bramie. I jak gdyby nigdy nic spokojnym, nieco burkliwym tonem ciągnął:

– Na wieść o tym, że opuściliście port, wysialiśmy posłańców do najlepszych belorskich magów praktyków, ale na nich nie czekaliśmy. Niestety, nie udało nam się dostać na żaden statek płynący do Lesku, więc ostatecznie kupiliśmy rybacką łódkę z żaglem i po kolei wspomagaliśmy ją zaklęciami, aż ci tutaj mili panowie uprzejmie zgodzili się nas podwieźć.

Mili (czasem powierzchowność potrafi być naprawdę bardzo myląca!) panowie odpowiedzieli wymuszonymi uśmiechami. Wymuskany typek o elfich rysach twarzy i trollim nosie nieśmiało spróbował zamarkować koniuszkami palców jakiś powitalny gest.

Biały ogier niezgrabnie, za drugą próbą podniósł się na nogi i otrząsnął, doszczętnie nas ochlapując. Pozostałe tchaarshi jeden za drugim wylądowały na pokładzie, widocznie postanawiając znów słuchać swoich jeźdźców. Tylko humorzysta gniada Wala z wyłącznie jej samej zrozumiałego powodu zagnieździła się na rei środkowego masztu, kategorycznie odmawiając ruszenia się z miejsca, i ostatecznie najemnik musiał złazić stamtąd samodzielnie. Zresztą wystarczyło, że troll postawił stopę

na pokładzie, a kobyła rozprostowała skrzydła i zleciała na dół, z wyraźną złośliwością szczerząc wszystkie zęby.

– Ale skąd w takim razie wiecie o drugim statku? – W końcu wzięłam się w garść i przestałam tulić do mistrza, nadal niepewnie zerkając na Katisę. – Naczelnik portu nic o czarodzieju nie wiedział, czyli do Lesku płynęliście właśnie za nami!

– Tak, ale potem wyczuliśmy mocne magiczne zaburzenie, nabraliśmy podejrzeń i nieco zmieniliśmy kurs. Rozpoznanie zaklęcia maskującego nie jest trudne, a co można chować na środku morza, jak nie statek? Wątpię, by przemytników było stać na taki numer, a ich mag pokładowy potrafił go wykonać. Za to ukrywający się przed wściekłymi wampirami czarodziej obdarzony nadnaturalną mocą owszem.

– Logiczne – musiałam przyznać, mimo że gdzieś w głębi nadal tkwił robaczek wątpliwości. Jakos zbył gładko to wszystko arcymagowi wyszło. Jakby zawczasu ćwiczył.

Mistrz z godnością skinął głową, jak gdyby otrzymał ode mnie uroczyste zezwolenie na podjęcie dalszych działań, po czym odwrócił się do władcy Lesku.

– Mam nadzieję, że szanowny Sia-werden Tor ordl... lael... – mistrz zaciął się, a ja mogłam tylko szczerze mu współczuć. Na oficjalnych przyjęciach w Dogewie nadal czytałam pełne imię rodowe Lena z karteczki, a raz nawet potajemnie przypięłam ją na plecach władcy pomiędzy skrzydłami i tam zapomniałam... Sprawa wyszła na jaw dopiero pod koniec dnia – goście uprzejmie milczeli, a nawet ukradkiem korzystali. – Nie będzie miał nic przeciwko niewielkiej morskiej wycieczce przed powrotem do Lesku?

Ward już stał przy swoim wierzchowcu, tuląc do siebie jego łeb. Głaskał po mokrej grzywie i coś szeptał. Koń tak samo cichutko parskał, jak gdyby odpowiadał.

– Nie mam – odparł władca Lesku, nie odwracając się. – Wręcz przeciwnie. Niech tylko dogonię tego drania..

– Dogonimy – spokojnie obiecał mistrz, ponownie unosząc oczy do żagli. Faktycznie nie mieliśmy się o co martwić. Magia to magia, ale każdy statek ma swoje graniczne wartości szybkości i wytrzymałości, po których przekroczeniu żagle zostaną zerwane razem z masztami, a kadłub skruszy się jak skorupka jajka. „Długoręki” wydawał się stworzony dla pościgów i chętnie to demonstrował. Wąski i lekki zdawał się lecieć nad falami, zarażając nas swoim entuzjazmem. Czarna flaga z czaszką i skrzyżowanymi puszczelami na czubku masztu wyglądała jak najbardziej na miejscu. Rety, w sumie sama nie odmówiłabym posiedzenia na bukszprycie, z wrzaskami wymachując zardzewiałą szablą abordażową!

– Pewnie jeszcze ani jeden statek przed wami nie uciekł? – spytałam kapitana z mimowolnym zachwytem.

– Jak by to pani powiedzieć... – zaczerwienił się mile połechtany pirat. – Dogonić na pewno nikt nie dogonił.

Niespodziewanie Dierr szturchnęła mnie pyskiem w plecy. Zawstydziałam się, podeszłam do wierzchowca władcy Lesku, uważnie obejrzałam przestrelone skrzydło i zabrałam się do jego leczenia. Len podstępnie wykorzystał chwilę, by na boku zamienić słówko z mistrzem i Katissą. Niestety, nie mogłam przerwać zaklęcia w połowie, więc pozostawało mi wyłącznie niezadowolone zerkanie na nich znad ramienia. Ward w milczeniu pomagał mi, stalowym uchwytem trzymając skrzydło wyprostowane, kiedy wyciągałam grot, tamowałam krew i łączyłam brzegi rany. Koń pokornie znosił wszystkie zabiegi i tylko od czasu do czasu potrzasał pyskiem lub kopał pustkę.

W czasie gdy my zajmowaliśmy się wierzchowcem, magowie i Len zakończyli dyskusję i z niewinnymi minami rozeszli się do swoich spraw, wyraźnie nie mając zamiaru o niczym mnie informować. Przyjaciele, próbując ułatwić sobie ciężkie wyczekiwanie, również rozproszyli się po statku – Rolar i Orsana z gorejącymi oczyma badali jedną z balist, wymieniając krótkie zachwycone

komentarze, Wal z ożywieniem tłumaczył coś kapitanowi, który słuchał z prawdziwą ciekawością.

Zastanowiłam się chwilę, ale w końcu zebrałam się na odwagę i podeszłam do „koleżanki”, która w samotności opierała się o reling lewej burty.

– Yyy... panno Łabska?

– Słucham. – Katissa odwróciła się w moim kierunku z powolnym majestatem najedzonej, ale przez to wcale nie mniej niebezpiecznej harpii. Instynktownie cofnęłam się, ale jednak znalazłam w sobie siły, by zadać nurtujące mnie pytanie:

– Po co przyjechała pani do fortu?

Bakałarz przez chwilę świdrowała mnie swoim słynnym spojrzeniem, ale jednak raczyła odpowiedzieć.

– Jeden z pracujących tam magów praktyków powziął podejrzenia, że komuś udało się teleportować pomiędzy „pajęczynkami”, mając z niewiadomego źródła wiedzę o ich położeniu. Konwent wysłał mnie do fortu w celu sprawdzenia, a w razie konieczności również udzielenia wsparcia bojowego.

– A co było w liście do komendanta?

– Rozkaz zatrzymania mordercy i jego towarzyszy. I polecenie, by w razie możliwości skonsultował się... z koleżanką. I nie ma tu żadnych stołów, proszę się nie rozglądać. Zasłon też nie ma. Poczułam, że mimo chłodnego wiatru moje policzki robią się zdradziecko gorące.

– Coś jeszcze, panno Redna? – sarkastycznie spytała kobieta.

– A gdzie ma pani... znaczy się... – bąknęłam głupio, gapiąc się na jej głowę.

– Wiatr porwał – z nieprzeniknionym wyrazem twarzy odparła Katissa. – Zapomniałam rano przykleić.

Magiczka zerknęła na zszokowany wyraz mojej twarzy, niespodziewanie wybuchnęła śmiechem, pokręciła głową i przeniosła się na dziób statku, stając koło mistrza. Zresztą biała plamka, która właśnie pojawiła się na horyzoncie, była doskonale widoczna również stąd. Dokładnie tak jak podejrzewałam, „Czarny Lis” nie chował się pod zakłębieniem dłużej niż godzinę.

Magowie zamienili ze sobą parę słów, cofnęli się od burty, odwrócili twarzami do siebie i wyciągnęli ręce. Pozostali z zaciekawieniem podeszli bliżej. Pomiędzy suchymi, węzłowatymi dłońmi mistrza i delikatnymi, ze śladami manicure, ale równie zawodowo czułymi palcami Katissy tworzyła się kula, lśniąca wszystkimi kolorami tęczy. Natychmiast rozpoznałam zakłębienie przybliżenia. Oczywiście prościej byłoby skorzystać z lornetki, ale magia pozwalała nie tylko obejrzeć pokład przeciwnika, ale również zbadać ładownię. Tak potężni magowie mogliby przeliczyć wszystkie pokładowe szczury.

Zniekształcony przez kulę punkcik statku przeskoczył do przodu w takim powiększeniu, że dostrzegliśmy przebarwienia na deskach burty. Mistrz zmarszczył brwi i skorygował obraz. Po wypukłym brzegu sfery przemknął skraj żagla, potem wydatny biust figury dziobowej. Ani jednorożec, ani lew, tylko naga kobieta o powiewających lokach i przechodzących w ogon-falę nogach.

– „Wileja” – zdecydowanie rozpoznała Katissa. – Już od roku uważa się ją za zatopioną przez piratów.

– Nieprawda – wtrącił się kapitan, ale zebrani spojrzeli na niego tak, że w porywie rozsądku wrócił na mostek.

– A co w takim razie z „Czarnym Lisem”? – zdumiał się Rolar. – Kolejna iluzja? Przecież naczelnik portu miał na niego osobną teczkę!

– Iluzja? – Bakałarz sceptycznie pokręciła głową. – Nie, to niezbyt prawdopodobne. Mag w porcie natychmiast by ją wykrył. Zapewne wypłynęli z Belorii na prawdziwym statku handlowym, a po drodze przenieśli się na czekającą na otwartym morzu „Wileję”. Oczywiście jest, że nie mogła zawinać do portu. Myślę, że „Czarnego Lisa” już nikt nie znajdzie...

– Aha – z satysfakcją mruknął arcymag, przyciągając uwagę wszystkich zebranych. Obraz zachwiał się i wciągnął w głąb kuli, stając się płaski i bardzo wyraźny.

– Tak myślałem! – jednogłośnie, ale z różnymi intonacjami rzucili władcy. Len z kiepsko ukrywanym zadowoleniem, a Ward jak gdyby widok zranił go w samo serce, i to mocniej niż rytualna klinga.

Na pokładzie „Wilei”, jedną ręką trzymając się naciągniętej wanty, stał czarodziej, w skupieniu patrzący w dal. Obok niego, z rękoma złożonymi na piersi, jak gdyby nie zauważał ruchów pokładu, mężczyzna w nierzucającym się w oczy szarym ubraniu. Jego włosy były krótko obcięte zgodnie z najnowszą modą, a twarz całkiem przystojna, ale w porównaniu z nim nawet Lereena wyglądała na wzorzec miłości do bliźniego, a Ward wydawał się dobroduszny. Zresztą niektóre kobiety wołały właśnie taki typ mężczyzn – czarujących drani, zawsze kombinujących coś za ich plecami. Czarodziej zmrużył oczy i poruszył wargami. Jego towarzysz tylko uśmiechnął się w odpowiedzi. Paskudnie i z pogardą, na chwilę pokazując kły. Szarpnęłam niecierpliwie obu władców za rękawy:

– Znacie go?

– Osobiście nie miałem okazji – przyznał Len. – Ale za to miałem pewne podejrzenia. Tymczasem Ward...

– Po wojnie pozostało nas troje – powiedział powoli, jak gdyby z bólem wyrzucając z siebie zestarzały wstrętny brud, którego już nie potrafił ukryć. – Danira, Krosten i ja. Władczynie doliny i jej najbardziej zaufani doradcy. Byliśmy obecni na wszystkich obrządkach w świątyni... aż któregoś razu nie mogłem przyjść. I dla Daniry okazał się on ostatni. Doświadczona władczyni, która wielokrotnie zamykała krąg, z jakiegoś powodu nie zdążyła wyciągnąć sztyletu, a miesiąc wcześniej jej opiekun zniknął w tajemniczych okolicznościach. Na następnego władcę Lesku wybrano mnie. Prawie jednogłośnie, na ogólnym zgromadzeniu mieszkańców doliny. Krosten pociemniał jak chmura gradowa, w milczeniu odwrócił się i opuścił plac. I w tym momencie zacząłem podejrzewać... Nie, nic nie powiedziałem, tym bardziej że nie miałem żadnych dowodów... ale on pewnie sam zrozumiał, że już nie odzyska mojego zaufania, więc odpłynął z wyspy pierwszym statkiem, jaki mu się nawinął.

– Czyli to stąd miał pieczęcie klanowe – mruknął Len. – Waszą skopiował, a o naszej dobrze wiedział... Nie mówiąc o tym, że faktycznie nie miał najmniejszych problemów z dostaniem się do pokoju władcy.

– Jak również z wysłaniem do nas strażnika – dodał Rolar. – No cóż, teraz wszystko ostatecznie stanęło na swoich miejscach! On...

Nieoczekiwanie czarodziej zmienił kąt widzenia, jak gdyby patrząc wprost w moje oczy. Jego i tak niezbyt sympatyczna twarz zniekształciła się we wściekłym grymasie. Gwałtowny ruch ręką i w następnej chwili kula pękła jak bańka mydlana. Instynktownie cofnęliśmy się do tyłu, mimo że nic nie odczuliśmy, a lekki zapach ozonu natychmiast zmył wiatr.

– Mocny jest, zaraza – wyrwało się Katissie. Magiczka otarła twarz wierzchem dłoni i z niepokojem spojrzała na arcymaga. Ten nieznacznie pokręcił głową. Znalezienie i przerwanie zaklęcia obserwacji w zasadzie nie było skomplikowane – ale pod warunkiem, że robił to mag o poziom silniejszy. Tymczasem położenie na łopatkę arcymaga do pary z bakałarzem pierwszego stopnia udałoby się tylko... kiedyś...

– Już, dosyć tego! – wkurzyłam się, nie wytrzymując tak wyraźnie wiszących w powietrzu niedomówień. – Niech mi ktoś w miarę sensownie wyjaśni, dlaczego mam wrażenie, że już od miesiąca siedzę w samym środku jakiejś przedziwnej historii, ale ni cholery nie rozumiem, jaką rolę w niej odgrywam?!

Arcymag westchnął i spojrzał na Lena. Wampir zgodnie kiwnął głową, że niby dalej już nie ma co odkładać.

– Wolho, mylisz się tylko w jednej kwestii. Ta historia ciągnie się już od paru lat i twojej pierwszej wizyty w Dogewie... a gdybym miał być do końca precyzyjny, to rozpoczęła się na kilka miesięcy przed nią. Ale masz rację, nadszedł czas, by rozstawić wszystkie kropki w runach.

– W takim razie chyba powinnam usiąść – przerwałam mu i trzymając się masztu, ostrożnie ulokowałam na podłodze.

– Oczywiście – potwierdził mistrz, który wydawał się nieco zbity z pantałyku. – Takich wiadomości faktycznie lepiej słuchać na siedząco, bo...

– Nie, po prostu noga mnie boli, a mam zamiar nie tylko wyjaśnić wszystko do końca, ale też urządzić niektórym z tu obecnych głośną i paskudną awanturę. Więc powinnam oszczędzać siły.

– Nawet jeszcze nie wiesz, o czym mowa! – obruszył się Len.

– Ale za to znam ciebie – mrugnęłam do Rolara, który rozplątał się w mimowolnym uśmiechu. – Tak więc uważnie słucham was wszystkich! Co takiego szczególnego stało się trzy lata temu?

– Ataki na ludzi w okolicach Dogewy. A potem również w samej dolinie. Pamiętasz? Prychnęłam z sarkazmem. Takich rzeczy człowiek nie zapomina, nawet gdyby chciał!

– Przecież już wyjaśniliśmy, że wampiry nie miały z tym nic wspólnego! W Dogewie rządził się mag udający kudłaka, a w miastach jego najemnicy, którzy celowo robili za wampiry! Arcymag ze smutkiem zacisnął wargi.

– Niestety, nie wszystko jest takie proste. Chodzi o to, że „za wampiry” robiły... wampiry. Osobiście obejrzałam kilka trupów i uwierz mi, naprawdę potrafię odróżnić ślady po ugryzieniu od dwóch dziurek zrobionych przy użyciu igły. I właśnie to zmartwiło nas najbardziej. Zgadza się, Arrakktur mógł poręczyć za każdego ze swoich poddanych... ale przestępcy trafiają się nie tylko wśród ludzi.

– Tyle że nikomu nie przyjdzie do głowy, by na tej podstawie oskarżyć o krwiożerczość wszystkich ludzi naraz – dodał Len z goryczą. – Mimo że pijemy krew wyłącznie w skrajnych wypadkach i nie odczuwamy z tego powodu większej przyjemności niż wy.

– Mordercy gryźli swoje ofiary wyłącznie dla niepoznaki, już po śmierci. Krew ich nie interesowała – potwierdził mistrz.

Orsana mściwie zmrużyła oczy. Chyba Rolar właśnie stracił najlepszy temat do żartów, a Winessanka go zyskała.

– Ale po co im było oczernianie samych siebie, nawet za pieniądze? – nie uwierzyłam. Wal pogardliwie splunął na zgodę. Kodeks najemników może i miał co najwyżej dziesięć punktów, ale za to trzymali się go co do joty.

– A jeśli obiecano im coś innego? – mistrz zdecydowanie popychał mnie w kierunku właściwej myśli. – Znacznie bardziej cennego, ale niedającego się sprzedać ani kupić? Powiedzmy... życie? Przecież ani Arrakktur, ani Lereena nie zgodziliby się zamknąć kręgu dla przestępców wypędzonych z własnych dolin.

– Przecież tamtemu potworowi chodziło o wiedźmi krąg! – przypomniałam sobie. – Kiedy walczyliśmy przy fontannie, opowiadał o jakiejś ukrytej w nim mocy...

– Na początku nam również się tak wydawało. – Mistrz przerwał mi miękko, ale stanowczo. – Co prawda, Belorii pełno jest kręgów, ale „zamykać” je mogą wyłącznie wampiry i tylko dla wampirów. Człowiek może użyć kręgu co najwyżej po to, by zaczerpnąć z niego mocy albo przyzwać jakiegoś stwora. A w tym celu znacznie łatwiej byłoby ukraść potrzebny do przeprowadzenia obrządku komplet kamieni z królewskiego skarbcza i pojechać z nim gdzieś do lasu albo w góry. Dlaczego właśnie Dogewa?

– Hm... Może potrzebował tego konkretnego kręgu? Przecież działają na różne sposoby.

– Założmy. W zasadzie to właśnie założyliśmy i na chwilę odzyskaliśmy spokój. Do corocznego konkursu strzeleckiego w Starminie.

– Świrnięty nekromanta, który chciał odzyskać młodość... – do reszty się pogubiłam. Ale co on miał

do całej sprawy?! – Ale przecież potrzebował od Lena wyłącznie jednego! Znaczący się ofiary!

– On tak. Ale kto mógł wiedzieć i podpowiedzieć magowi, że turkus z królewskiego skarbcza był trzynastym kamieniem dogewskiego kręgu? Znowu wyłącznie wampir. I właśnie wtedy zaczęliśmy podejrzewać w całej tej historii podwójne dno. Ktoś uparcie próbował pozostać w cieniu i równocześnie pozbyć się Arraktura... a raczej władcy Dogewy. Po co? Najbardziej nasuwała się odpowiedź: „By potem zająć jego miejsce”.

Bo przecież innych kandydatów nie było. Więc nasz tajemniczy złoczyńca wymyślił plan zajęcia doliny przez pośrednika... którego potem można się było pozbyć, a w razie niepowodzenia zwalić wszystko na niego.

– Pitrima?

– Najpewniej, chociaż nie mamy żadnych dowodów – westchnął mistrz. – Nie mam pojęcia, w jaki sposób zdołali się dogadać, przecież były dyrektor Szkoły z całego serca nienawidził wampirów... ale za to fascynowała go nekromancja. Szczególnie jej zakazane obszary. Może obiecali mu azyl i szerokie pole do doświadczeń. Może po prostu złoto. Ale ostatecznie Arraktur zaczął za pośrednictwem telepoczty otrzymywać groźby, w których tajemniczy złoczyńca żądał, by on i jego poddani opuścili Dogewę.

– Ale po kiego grzyba była mu pusta dolina? – zdumiałam się. – Kim niby miał tam rządzić? Dziesiątką swoich sługusów?

– Oczywiście, że nie. Najpewniej nawet nie miał zamiaru ogłaszać się władcą doliny. Mieli to zrobić jej mieszkańcy. Oficjalnie i dobrowolnie.

– W życiu by na to nie poszli! – obruszyłam się.

– Nie? – Mag uśmiechnął się ze smutkiem. – Przez parę tygodni Dogewą rządziłby mag, który w powszechnej opinii był szaleńcem. A potem... jak myślisz, kogo posłuchają powracający do ukochanej doliny wampiry – tchórzliwego dzieciaka, który poddał ją bez walki, czy bohatera, który nie bał się wyzwąć okrutnego czarodzieja na pojedynek i oddał im Dogewę? A gdyby Arraktur na dobitkę zginął w „nieszczęśliwym wypadku”, sprawa stałaby się jeszcze prostsza – wampiry poszłyby na cokolwiek w imię tego, by w dolinie ponownie pojawił się władca. Jakikolwiek. A nasz złoczyńca ze swojej strony gotów był poświęcić w tym celu wszystko. W kolejnym jego planie kluczowa rola wyznaczona została dla Mael-ine-Kirren, centralnego skupiska belorskich rycerzy. Pod rządami nowego wielkiego mistrza zakon Świętego Fenduła jak najbardziej mógł ogłosić świętą krucjatę przeciwko „wstrętnemu bogu pomiotowi” – świątynie i tak nie darzą wampirów zbyt dużą sympatią z powodu ich drugiej postaci. O ile się nie mylę, w zwojach proroczych istnieje nawet osobna przypowieść o mrakobiesie w postaci wilka... czy to pogryzł kogoś ze świętych, czy to go skusił, nie pamiętam i nie ma to w tej chwili żadnego znaczenia. Najważniejsze, że znowu wtrąciłaś się ty i po mistrzowsku doprowadziłaś spisek do upadku.

– O tym również pan wie? – zdziwiłam się.

– Ja i wielki mistrz jesteśmy starymi przyjaciółmi – uśmiechnął się arcyomag. – W zasadzie to ja poradziłem mu, by się do ciebie zwrócił.

– Czyli czarodziej z Krucznych Szponów to kolejny pionek tego całego... Krostena, zgadza się?

– Krostean Tor ardNasht Peh’hov – odruchowo poprawił Ward. Mistrz skrzywił się.

– Gorzej. Jest jego...

– Opiekunem – dokończył Len. – Ja i Rolar zrozumieliśmy to jeszcze w karczmie w Opadyszczach.

Całą resztę doskonale mogłam dośpiewać sobie sama. To dlatego ten drań czarował tak kiepsko, rzadko, ale równocześnie potężnie! Najtrudniejsze było poprawne ukształtowanie zaklęcia, a poza tym miał do dyspozycji całą moc krwi władcy płynącej w jego żyłach.

– Ale przecież on jest człowiekiem!

– Półkrwi – poprawił mnie Rolar. – Bez kłów i skrzydeł, ale nie przeszkodziło mu to jak najbardziej poprawnie przejść transformacji w opiekuna.

– I wyciągnąć bełtów z kuszy jak zwykłych drzazg – przypomniałam sobie z irytacją. – Ale dlaczego w takim razie nie starł mnie na proszek jeszcze w zamku? Mając takie możliwości?

– Dlatego że... – Wampir zawahał się i uznał, że wyjaśni bardziej obrazowo. – Wolho, czy będąc opiekunką, naprawdę nie zauważyłaś, jak zwiększały się twoje zdolności magiczne w obecności władcy?

Szczerze mówiąc, cały okres opiekowania jakoś umknął mojej uwadze. No, dokładnie tak jak myślałam, na awanturę Len już zasłużył!

– Krosten nie odważył się wejść do zamku – ciągnął Rolar, niesłusznie uznając wyraz pełnej namysłu wściekłości na mojej twarzy za wynik zrozumienia. – Ale gdy nadeszła kolej telepatycznego ataku na Dogewę, na pewno był w pobliżu! Samodzielnie czarodziej nie dałby rady dokonać czegoś takiego, nawet będąc opiekunem.

– Czyli pozostali telepaci po prostu trafili pod zbyt aktywnie i szeroko machającą miotłę?

– Nie, akurat tutaj czarodziej wyliczył wszystko bardzo dokładnie – zaprzeczył mistrz. – Wyobraź sobie, że z lasu wyleci jedna strzała oraz ich chaotyczny grad. Udało nam się określić wyłącznie kierunek zaklęcia, ale nie jego dokładne źródło. Do „Wilei” pozostało nie więcej niż trzysta sążni. Przy burcie już nikogo nie było. Dziwne, że nie próbowali ponownie czarować... dziwne i bardzo podejrzane.

– Ale co przeszkodziło Krostenowi w zwykłym wyzwaniu Lena na pojedynek? Po co mu ta cała kołomyja z magami, opiekunami i Leskiem?!

– To wcale nie jest takie proste. Oprócz okazania głowy poprzedniego władcy Krosten powinien otrzymać poparcie Rady Starszych oraz naczelnej zielarki. Czy możesz sobie wyobrazić Kellę głosującą na mordercę Lena? I to jeszcze tak bezczelnego i bezlitosnego?! A nawet jeśli Rada dla dobra doliny zaciśnie zęby i wyrazi zgodę, to pozostaje pytanie, czy „obdarowana” dolina go przyjmie. Mimo że Arrakstur zapiera się rękoma i nogami, jest doskonałym władcą i Dogewa nie potrzebuje innego. Len z ironicznym uśmiechem pokręcił głową, ale widziałam, że jest mile połechtany.

– A co z Arlissem? – sprecyzowałam bez żadnych niecnymyśli. – Może i Lereena jest doskonałą władczynią, szczególnie po lekcji, jaką dostała w zeszłym roku, ale przecież również nie ma następcy. Rolar nawet nie próbował się obrazić.

– Nasza dolina znajduje się na granicy Belorii i Jesionowego Grodu, pomiędzy jeziorami i głuchymi lasami. Nie ma tam wielu ludzi, a elfy i rusałki mają do wampirów znacznie przyjaźniejszy stosunek i praktycznie nie dają się sprowokować. Zresztą Lereena w życiu nie ruszyłaby za przestępcą z wyciągniętym gwordem i w ogóle bez potrzeby nie wyściubia nosa z doliny. Nie, z Arlissem by mu nic nie wyszło. Chociaż... Nie, nawet on nie odważyłby się układać z udajcami.

– Czyli to właśnie tego baliście się, gdy byłam opiekunką? – spytałam głucho po chwili milczenia. – Wśród wampirów nie zdarzają się magowie, a magowie ludzcy są ograniczeni wielkością rezerwy i związani ze źródłami mocy. Ale jeśli połączymy zdolności z możliwościami...

– Baliśmy się – spokojnie przyznał arcymag. – O ciebie. Ponieważ nigdy w życiu nie przyszłoby ci do głowy użyć tej mocy w imię zła, a zło nie byłoby tym specjalnie zachwycone. A oprócz magii istnieją również sztylety, trucizny...

– I najemnicy! – prychnęłam, przypominając sobie niewinnie zamordowaną dynię. – Chyba w postaci naturalnej również mu się nie podobałam.

– Foczko, a czegoś ty chciała? – zarechotał troll. – Ot, bez żadnych złych zamiarów przypadkiem sobie tamtędy przechodziła. Żeby jednemu zabdrygowi zapaskudzić tyle mrocznych planów, to naprawdę się trzeba postarać! On pewnie uznał, że go prześladujesz i masz tam jakiś ślub z całowaniem strzygowych skarpet! No to zdecydował, że cię załatwi na wszelki wypadek.

– Coś późno o tym pomyślał – burknęłam. – Mógł zająć się sprawą od razu po Kruczych Szponach!

– Wtedy nie miał jeszcze na karku Konwentu i nie chciał wchodzić mu w drogę przed osiągnięciem pełnej mocy opiekuna. – Zimny głos Katissy spowodował, że mimowolnie się wzdrygnęłam. Mistrz ze swojej strony znacząco dodał:

– A poza tym zdarzyło się jeszcze coś, co wymusiło na nim przyśpieszenie wydarzeń.

– Czyli? – Moja głowa okazała się tak bardzo wypchana informacją, że zwyczajnie zabrakło w niej miejsca na własne myśli.

– Wolho, wasz ślub. A raczej jego spodziewany wynik. – Arcymag ograniczył się do taktownej aluzji.

– W sensie? – nadal nic nie rozumiałam. A już tym bardziej nie pojmowałam, dlaczego cała reszta wybuchnęła chichotem, a Len ze skrępowaniem gapił się w podłogę.

Mistrz zakasłał i już bez ogródek wyjaśnił:

– Dziedzic.

Chyba faktycznie miałam rację, że usiadłam.

– Ze co?! Mimo powagi chwili arcymag z całych sił starał się pohamować uśmiech.

– O ile się nie mylę, naczelna zielarka Dogewy podeszła do waszego jesiennego ślubu bardzo poważnie. Wszyscy bliżsi i dalsi znajomi ludzie i nieludzie otrzymali zaproszenia, a powiadomienia o ślubie rozklejone są chyba na wszystkich słupach, wliczając w to haniebny pręgierz na głównym placu w Starminie. Ja i Len identycznym ruchem i z jednakowym jękiem złapaliśmy się za głowy. Kella chyba faktycznie wykazała nadmiar inicjatywy!

– Oczywiście takie wydarzenie nie mogło draniowi umknąć – kontynuował mistrz. – Zrozumiał, że kolejny rok czy dwa oczekiwania na odpowiedni moment do przeprowadzenia nowego świństwa może zaowocować pojawieniem się konkurenta... albo konkurentki mającej wszelkie prawa do tronu Dogewy. I nie miał zamiaru do tego dopuścić.

– Zatrzymuje się – niespodziewanie powiedziała Orsana. Zebrani natychmiast zamilkli i zgodnie spojrzeli na szybko zbliżającą się „Wileję”. Chyba faktycznie stawała do dryfu: żagle pełzły do góry, falami tuląc się do rei, biały pas piany za rufą zrzędł i wkrótce zniknął.

„Długoreki” również zwolnił i przechylił się nieco na bok, opływając przeciwnika z lewej. Sternik tępo patrzył na koło sterowe, które kręciło się samo z siebie. Burty zetknęły się z cichym stuknięciem i zamarły jak sklezione.

– A co z awanturą? – złośliwie przypomniał Len, ale ja już nie miałam nastroju do żartów. On zresztą również i najpewniej powiedział to, by dodać mi odwagi.

– Oj, coś mi się to wszystko nie podoba... – burknęła Orsana, wyrażając zdanie ogółu. – Tikali-tikali i nagle takie radosne powitanie? Jak gdyby właśnie tak wszystko zaplanowane... szkoda że nie przez nas.

Wrogi pokład był niespodziewanie pusty. Żadnego załoganta ani przy olinowaniu, ani koło steru – tylko stojący na rufie czarodziej w towarzystwie pary znanych nam z Opadyszcz byczków i trzech nieznanomych (ale niewzbudzających chęci, by ich bliżej poznać) oraz swobodnie rozwalony w składanym fotelu władca. Wyraźnie nie miał najmniejszego zamiaru wstać na nasze powitanie.

Musiałam więc zacisnąć zęby i wspiąć się przez burzę, czując się jak złodziejka podczas wizyty w cudzym sadzie. Wampiry przeskoczyły przeszkodę, nawet nie zwalniając kroku. I ruszyły wprost w kierunku wrogów, wyprzedzając nas o kilka sążni. Krosten śledził ich ruchy z ciekawością drzemiącego w słońcu kota, którego stadko wróbli opacznie uznało za zdechłego. Ale gdy tylko ptaszki zbliżyły się na wyciągnięcie uzbrojonej w ostre pazury łapki...

– Arrakkturze, znieważylesz mnie – sztucznie i z patetycznym oburzeniem rzucił Krosten, kiedy odległość pomiędzy władcami zmniejszyła się. – Ścigałeś mnie jak jakiegoś bandytę i rzuciłeś cień na moje dobre imię, a zwykłe przeprosiny nie zdołają go wybielić! – Po czym z wyraźną satysfakcją

dokończył: – Chcę, by rozsądził nas lesset ghwoord shaell! Varsset tehhe-ra Doh' gheva.

Wampiry zatrzymały się, jakby wpadły na niewidoczną ścianę. Ward krótko zaklął. Wkurzony Rolar cisnął miecz na pokład. Len pogardliwie splunął pod nogi, co jak najbardziej mogło ująć za skinięcie na zgodę.

– Trzeba było gada załatwić, zanim otworzył japę! – chmurnie podsumował Wal.

Krosten w końcu raczył się podnieść, całkowicie spokojnie stanął plecami do nas, zamienił kilka słów ze swoimi towarzyszami i zniknął w kabinie. Rolar wyraźnie zgrzytnął kłami i zrobił krok do przodu, ale Len dotknął jego łokcia i pokręcił głową z dezaprobatą.

– Niech się udławi. Jeszcze nie wygrał. Arlissczyk opamiętał się, schylił i do wtóru pogardliwych śmieszków wrogiej ekipy podniósł swój miecz. Doskoczyłam do niego.

– Co się stało?

– Krosten wyzwał Lena na pojedynek. Jako pierwszy, więc ma prawo postawić dodatkowy warunek.

– Jaki?

– Zwycięzca otrzymuje Dogewę.

– Jakiego gh...

Len zdecydowanie złapał mnie za ramię i odwrócił w kierunku pozostałych, którzy już zebrali się w grupkę do narady. Zresztą przeciwnicy postąpili tak samo. Wydawało się, że nie oczekują nadchodzącego pojedynku z niecierpliwością i zachwytem, wyglądali też na znacznie mniej przejętych. A czasem nawet wyjątkowo paskudnie uśmiechali się, zerkając w naszym kierunku. Szczególnie przodował w tym czarodziej i cały czas korciło mnie, żeby podkraść się bliżej i sprawdzić, jakie świństwo przygotowują. Niestety, trzeba było również przygotować własne.

– Rolarze, przecież znasz władców wszystkich dolin. Powiedz mi, że ten typek po raz pierwszy widzi gword na oczy i po prostu chce godnie zakończyć żywot! – poprosiłam błagalnie. Wampir zakaszłał ze skrzepowaniem.

– Yyy... Naprawdę bym chciał, ale jakieś dwadzieścia lat temu uznawano go za najlepszego gwordzistę wszystkich dolin.

– A na ostatnim turnieju położył mnie na obie łopatki w ciągu piętnastu minut – odparł Ward chmurnie i dodał, słysząc wściekłe burczenie trolla: – I wątpię, by miał ochotę gdziekolwiek iść... a zwłaszcza w tamto miejsce.

– Jeżeli teraz zwycięży – zauważył Rolar z bezsilną złością – to otrzyma Dogewę w sposób jak najbardziej prawowity: znieważony wyzwał krzywdziciela na uświęcony pojedynek i wygrał.

– Ale najpierw będzie musiał wygrać również ze mną. – Władca Lesku znacząco wyciągnął gword zza pleców i stuknął nim o pokład jak Dziadek Mróz z bajki swoją laską. Śnieżynki nie spadły, ale wrażenie nadal było nie najgorsze.

– I w oparciu o co masz zamiar go wyzwać? – nieco sarkastycznie zapytał Len. – Krwawa zemsta za obiekt waśni rodowej?

– Coś wymyśle. Powiedzmy, oskarżę go o to, że pozbawił mnie przyjemności wykończenia cię osobiście.

– No tak, to jest poważna obraza – przytaknął młodszy wampir. Miałam wrażenie, że Ward z trudem powstrzymał się przed huknięciem go w ucho.

– Zresztą wymyślenie czegoś faktycznie nie jest trudne – spokojnie ciągnął władca Dogewy, patrząc na naszych przyjaciół, którzy wydawali się nieco skrzepowani. Rolar nawet starannie poszurał nóżką po pokładzie i zarobił za to spodziewanego szturchańca – ale już od Lena.

– Wiesz co, a może w ogóle nie będziecie z nim walczyć? – zaproponowałam smętnie i bez większej nadziei. – Aresztujemy ich w imieniu Konwentu i po kłopotcie. W odpowiedzi otrzymałam spojrzenia

pełne zrozumienia i współczucia, ale przez to wcale nie mniej twarde.

– Czarodzieja i najemników owszem, ale winę Krostena trzeba jeszcze udowodnić, a wyzwanie już zostało rzucone – westchnął Rolar. – I jeśli poprzednio przeciwnicy tylko czekali na powód do zakończenia pojedynku (Ward mruknął coś, ale nawet nie próbował zaprzeczać, a Len odpowiedział otwartym uśmiechem), to teraz jego przerwanie zaskutkuje tym, że jeden z nich całkowicie straci honor, a drugi znajdzie się na wolności i będzie mógł dalej robić nam świństwa z ukrycia.

– Sprawżne bezhonoru uczciwie się bić z ocim paskudztwem! – nie wytrzymała Orsana, która całkowicie podzielała moje zdanie. – A może jednak ich cihyseńko poszatkujemy jak kapustę i powiemy, że tak było. Kto się niby dowie?

– Ale Arrakstur wie – półgłosem rzucił Ward, a ja zrozumiałam, że wszystkie moje sprzeciwy nie mają sensu.

– Wolho, nic nie możesz z tym zrobić. – Mistrz ze współczuciem położył rękę na moim ramieniu. – Tym razem to naprawdę jest wyłącznie jego bitwa. I możemy pomóc mu, jedynie nie pozwalając, by opiekun i najemnicy Krostena wtrącili się do pojedynku... a oni nie dadzą takiej możliwości nam. Ze złością wywinęłam się i rzuciłam:

– To jeszcze zobaczymy, kto w niczym nie może pomóc!

– Odejdziemy na chwilę na bok – zdecydowanie stwierdził Len, złapał mnie za łokieć i zaciągnął do burty, daleko od obu grup. – Wolho, weź się w garść. Wszystko idzie zgodnie z planem.

Znacznie bardziej chciałam wziąć w garść jego, najlepiej w okolicach szyi. A następnie dobrze potrząsnąć.

– Jakim?!

– Od samego początku miałem zamiar go wyzwać. Co prawda na własnych warunkach, ale tutaj to już, jak wy, ludzie, mawiacie, „nie zawsze wampirowi dziewica”. To szczyt głupoty raz za razem obrywać trujące pędy, pozostawiając wypuszczający je korzeń pod ziemią. I dlatego ruszyłem w pogoń nie za czarodziejem, tylko za jego panem, mając zamiar wyzwać go na pojedynek, którego nie mógłby uniknąć, jakimkolwiek tchórzem i draniem by był.

– Dlaczego?

– My nazywamy to Lesset ghwoord shaell. – Len na chwilę zamyślił się, dobierając właściwe zdanie we wspólnym. – „Święte ostrze niebios”. Stary zwyczaj władców, gdy jeden z nich, uznając się za znieważonego, wyzywa swojego krzywdziciela na pojedynek, którego wynik nie jest kwestionowany i nie staje się powodem do krwawej zemsty.

– Chcesz powiedzieć... – Właściwie wiedziałam to od początku, ale dopiero teraz odważyłam się sprecyzować. – Na śmiertelny pojedynek?

– Niekoniecznie. Zasady nic na ten temat nie mówią. Można go oszczędzić. Można również dać nauczkę, by na przyszłość lepiej dobierał sobie wrogów. – Wampir celowo spokojnie wzruszył ramionami i zrozumiałam, że o każdej z tych możliwości można zapomnieć. – Ale w dowolnym wypadku ten, który odmówi albo przegra, uznany zostaje za niepodważalnie winnego przestępstwa albo fałszywych oskarżeń. Dlatego też nie można wycofać się ani złamać zasad. Walczący nie mają prawa używać innej broni prócz gwordów, a ich sekundanci przekraczać linii przed zakończeniem pojedynku. Czarować również nie mają prawa – spiesznie dodał wampir, czytając moje myśli, a może po prostu widząc wredny błysk w oku.

– Gdybyś powiedział mi o tym wcześniej, nie pozwoliłabym ci wyjechać nawet z Dogewy, nie wspominając o Lesku!

– I właśnie dlatego nie powiedziałem – uśmiechnął się Len niewesoło. – Wolho, jeżeli się wtrącis, przegram.

Bardzo proszę, nie rób tego albo wszystko, czego już dokonaliśmy i co przezwyciężyliśmy, będzie nic niewarte.

Skrzywiłam się i nic nie powiedziałam. On nie nalegał. W końcu przyznanie tego na głos było jeszcze trudniejsze niż zaakceptowanie.

– A co, jeśli wtrąca się oni? – Skinęłam głową w kierunku przeciwnika. – Len, dlaczego nie wzięłeś ze sobą choćby sześciu strażników? Czuliibyśmy się przynajmniej trochę spokojniej...

– Nie wtrąca się – rzucił z przekonaniem, a ja z zaskoczeniem dostrzegłam, że z całej wrogiej drużyny na pokładzie pozostali wyłącznie sam Krosten i jego opiekun. Pozostali zamknęli się w kabinach albo schowali w ładowni. Jeszcze dziwniejsze było to, że mistrz i Katissa również wrócili na „Długorękiego”. – Zgodnie ze wspomnianym już zwyczajem przy pojedynku mogą być obecne wyłącznie osoby osobiście zainteresowane triumfem sprawiedliwości. I właśnie dlatego ani ja, ani Ward, który o całej sprawie wiedział, nie zabraliśmy ze sobą strażników. Ale za to nasi... przyjaciele – z uczuciem wycedził Len – bezczelnie wykorzystali sytuację, udając się za mną pod pretekstem – lepszego naprawdę już nie mogli wymyślić! – poszczutych na nich w karczmie nietoperzy! Pewnie Rolar się wygadał...

– Czyli... oni są tak jakby po stronie Krostena? – wykrztusiłam.

– Dokładnie – potwierdził Len z nerwowym chichotem. – W końcu do niego osobistych pretensji nie mają, nawet ich palcem nie ruszył. Pomocnicy czarodzieja się nie liczą, tym bardziej że sami ich sprowokowali, bo w końcu nie ma żadnego prawa, które broniłoby kupowania odciętych głów rudowłosych wiedźm. Ale za to nietoperzami sterowałam osobiście i teraz cała ta trójka podobno pragnie otrzymać rekompensatę moralną w postaci malowniczego pocięcia mnie na kawałki! Najlepsze jest to, że nie ma się jak doczepić! Krew przelałam? Przelałam, uroczyście zademonstrowano mi parędziesiąt zadrapań i zapaskudzony kaftan karczmarza, za który Rolar zapłacił z własnej kieszeni, własnymi ciężko zarobionymi pieniędzmi. Fakt zniewagi miał miejsce? Miał! I to jaki! Zresztą mam wrażenie, że gdyby nie nietoperze, to wymyśliliby coś innego, tak samo durnego i zgodnego z prawem. Krosten w końcu wyszedł z kabiny, ubrany jak należy – w całości na czarno. Szepnął coś na ucho swojemu opiekunowi i bawiąc się gwórdem, powoli wyszedł na środek pokładu, bezczelnie szczerząc się wprost do mnie.

– Len... – W dole brzucha ponownie rozpląnęło się zimno, które uprzednio zaczęło się cofać. – A może niech mu będzie? Niech spada do psich mrakobiesów, przecież nawet jeśli odmówisz wzięcia udziału w tym pojedynku, wszyscy będą wiedzieli, że on jest draniem i mordercą, więc prędzej niż Dogewę zobaczy własne uszy!

– Jemu jest wszystko jedno. Jak nie Dogewa, to Lesk. Jak nie Lesk, to Arliss, Orikwa, Klatten, we wszystkich mają tylko jednego władcę. Jak nie dziś, to za dwadzieścia lat, kiedy wszyscy trochę zapomną o tej historii. Wolho, muszę powstrzymać go tu i teraz albo nie będę mógł spojrzeć w oczy uczciwym wampirom. Zresztą ludziom również. Uspokój się. Wszystko będzie dobrze. Słowo honoru... hm... niech będzie, że po prostu daję słowo.

– Jakie „dobrze”? – chlipnęłam, nie wytrzymując. – Jeśli nawet Ward się go boi...!

– Nie boi się – poprawił mnie Len twardo. – Tylko uważa za niebezpiecznego przeciwnika. Tak samo jak ja. Ale to nie znaczy, że pozwolimy, by dalej zatruwał nam życie!

– Aha, znacznie lepiej będzie, jeśli po prostu cię zabije! Wtedy faktycznie nie będzie miał czego zatruwać!

Lekki, prawie niewyczuwalny dotyk warg, po którym z oszałamiającą i przerażającą jasnością uświadomiłam sobie, że to może być moje ostatnie wspomnienie o Lenie. W następnej chwili zrobił krok do przodu i zamarł, jak czarna klinga ze złocistą głowicą z rozmachu wetknięta w pokład.

– Vesetta k or, Krostean.

– D’ha vesetta k oraell... shwett.

Len nawet się nie skrzywił, mimo że paskudnie uśmiechnięty przeciwnik zastąpił jego imię rodowe jakimś pogardliwym przezwiskiem typu „szczeniak”. Błyskawicznie wyszeptałam formułę i pstryknęłam palcami, ściągnając na siebie podejrzliwe spojrzenia wszystkich prócz czarodzieja. On tylko skrzywił się pogardliwie, ale nie zgłosił sprzeciwu. Zakłęcie przyspieszenia trudno było uznać za bojowe czy obronne, a teraz przynajmniej mogłam obserwować pojedynek na równi z wampirami. Niestety, tylko śledzić – nie pozwalało poruszać się trzykrotnie szybciej, więc w tym momencie sama sobie wydawałam się otumaniona czymś w rodzaju sławetnego „miodowego nasennika”.

Tym razem zdołałam dostrzec, jak wampiry skoczyły do przodu. Wszystko nadal działało się tak bardzo szybko. Gwordy starły się najpierw okuciami, potem ostrzami. Na razie przeciwnicy przymierzali się, badali siebie nawzajem, poruszając się po okręgu – chociaż dla ludzkiego oka musiało to wyglądać na wściekłą walkę. Wszystkie ataki wykonywał Krosten, Len wyłącznie parował. Pogardliwy uśmiech pierwszego paskudnie podkreślał skupioną uwagę drugiego. Pewny siebie wojownik stojący naprzeciw bezczelnego dzieciaka, który miał zamiar zastąpić prawdziwe mistrzostwo techniką. Tylko jeden prawdziwy cios...

Krosten wydawał się nie wierzyć własnym oczom, gdy dotknął rozciętego rękawa. Uśmiezek spełzał z jego twarzy, w miarę jak palce robiły się czerwone od krwi.

– We kenna, erse... – wyrzucił z siebie, do głębi duszy zszokowany takim bluźnierstwem. – Sha-rre kha, pasten!

I wtedy Len pokazał kły. Milcząc, w uśmiechniętym, ale przez to jeszcze bardziej złowieszczym wyszczerzu starego wilka, któremu znudziło się szczekanie skaczącego mu przed pyskiem psa.

Zabawa się skończyła. Krosten odpowiedział grymasem, pochylił się i znacznie bardziej ostrożnie zaczął obchodzić przeciwnika od lewej. Gwałtowny rzut i natychmiast podstawione okucie, które przyjęło cios. Po którym znowu nie nastąpiła kontra.

– Dobrze jest, nie ryzykuje, czeka na lepszy ino ment... – Rolar z napięciem wychylił się do przodu, a Drosana na wszelki wypadek przytrzymała go za kurtkę. – Ale drugi raz Krosten tego nie kupi.

Szybka seria ciosów, które zdawały się odbijać echem w moim brzuchu. Sypnęło skrami, ale przeciwnikowi znowu nie udało się przełamać obrony Lena. Miałam wrażenie, że Krosten się cofa, gdy niespodziewanie wykonał obrót i po szerokim łuku machnął gwordem łokieć nad ziemią, jednak musnął Lena jedynie w podeszwy. I natychmiast wykonał gwałtowny cios w górę i na ukos w nadziei, że skok wybił przeciwnika z rytmu. Niedoczekanie! Łatwiej byłoby trafić w pióro, które zawsze wyprzedza pałkę na podmuch wznieconego przez nią wiatru.

Len wylądował niezbyt ładnie, chwiejąc się. Natychmiast musiał wygiąć się do tyłu, przepuszczając przelatujące nad piersią ostrze, po czym odskoczył na bok, ledwo ratując zębra. Chyba Krosten poważnie się wkurzył, mimo że nie odbiło się to ani na jego twarzy, ani na działaniach. Wręcz na odwrót. Wypadki stały się rzadsze, ale bardziej niespodziewane i wymyślne. Przy najlepszych chęciach nie mogłam odróżnić prawdziwego ataku od pozorowanego. Szczęśliwie chwilowo Len radził sobie lepiej, ale naprawdę mógł liczyć wyłącznie na szczęście – od tamtego pierwszego ciosu w obronie Krostena nie pojawiła się nawet malutka dziurka. Gword zakręcił się „młynkiem”, zmieniając w drewnianą tarczę ze stalowym brzegiem, po czym gwałtownie, z kompletnie nieprzewidywalnej i niewygodnej pozycji ciął z taką mocą, że przeciwnik powinien rozpaść się na dwie połówki. Len wywinął się i sparował cios. – Moja blokada – mruknął Ward z zadowoleniem. Obaj walczący wydawali się tak zdumieni, że nawet wstrzymali pojedynek, wymieniając podejrzliwe i nienawistne spojrzenia. Przy okazji złapali oddech. Po paru sekundach wznowili walkę z podwójną zaciętością i napięciem. Krosten spychał Lena wzdłuż burty, a ten ledwo nadażał z parowaniem. Chyba skończyliby, obchodząc statek dookoła, po drodze ścinając trafiające pod gwordy elementy olinowania (środkowy żagiel już i tak wisiał pod jakimś

dziwnym kątem), kiedy nagle Len potknął się o „ogon” wystający ze sklarowanej liny i upadł na plecy. Krosten natychmiast wykorzystał okazję i zadał mu cios w pierś. Pierwszy błąd pociągnął za sobą drugi – w pośpiechu młodszy wampir byle jak podstawił gword i cios trafił w drewnianą część rękonożki, przerabując ją wpół. Kawalek z ostrzami odleciał gdzieś na bok, pozostała część Len jakimś cudem sparował kolejny cios, a ułamek sekundy potem rąbnął przedwcześnie triumfującego przeciwnika głowicą w kolano. Klinga Krostena zakreśliła na jego policzku czerwoną pręgę i aż do podstawy wbiła się w pokład.

Zgodnie jęknęliśmy, ale zanim Krosten zdołał odzyskać równowagę i wykonać kolejny zamach, Ward beznamytnie sięgnął po własny gword (takim ruchem sięga po sakiewkę solidny kupiec, który doczekał się swojej kolejki przy kramie ze słodyczami), wypuścił ostrze i... rzucił broń nisko nad deskami.

Żelazo szczęknięło o żelazo. Len okuciem powstrzymał wyprostowane ostrza przed samym swoim nosem, po czym z całego serca kopnął przeciwnika pomiędzy nogi, zmuszając go, by ten z sykiem zrobił krok do tyłu. Następnie z kocią gracją skoczył na nogi wprost z pozycji leżącej i „młynkiem” zakręcił cudzy gword w prawej ręce, oceniając jego długość i wagę. Ponownie przerzucił do lewej i następny atak powitał już w pełni przygotowany.

Krosten ryknął z wściekłości, ale wyglądało na to, że zasady pojedynku nie zabraniały łapania spadającej wprost w ręce broni ani kopania w dowolne miejsca. Próba poczęstowania przeciwnika bezpośrednim ciosem w głowę również się nie powiodła – Len bez oglądania się do tyłu lekko i zwinnie wskoczył na reling. Nawet się nie zachwiał, tylko machnął skrzydłami i już ich nie złożył. Chwilę później dołączył do niego Krosten.

Wampiry walczyły tak samo pewnie i zaciekle, stojąc na barierce o szerokości co najwyżej trzech palców. Atak – odskok, szczęk metalu, strzelające skry. Z burty poleciały szczątki drewna, jakby złapał za nią zębami jakiś morski potwór. Cios – blok, wstrętny zgrzyt i ponownie cios, cios, cios, prosty, pozorowany, z obrotu...

I w tym momencie fortuna uznała, że dosyć tego dobrego.

Zachłysnęłam się krzykiem, jakby to moją pierś przeszły potrójna klinga, ślizgając się po tylko trochę spóźnionym okuciu. Len zdążył jedynie wypuścić własny gword, oburącz złapać drzewce cudzego i z głośnym krzykiem pociągnąć go na siebie, tak by zakrwawione ostrza ze szczęknięciem otworzyły się już za jego plecami. Krosten rozluźnił palce i uchylił się, ale Len nie celował w gardło. Złapał wroga za kołnierz i gwałtownie szarpnął. Przeciwnik hałaśliwie uderzył skrzydłami, bez skutku próbując zachować równowagę, i szepieni ze sobą władcy spadli do wody.

Po sekundzie wahania zarówno przyjaciele, jak i wrogowie, którzy na mój wrzask wyskoczyli z kabiny, na wyścigi rzucili się do burty. Ward dotarł tam pierwszy, bez namysłu, z rozpędu przeskoczył ją, przekręcił się w powietrzu i prawie bez plusku zniknął pod powierzchnią.

Rolar ledwo zdążył złapać mnie za koszulę i pociągnąć do tyłu.

– Puść!!! – Chyba całkiem mocno i celnie trafiłam go obcasem, ponieważ głośno jęknął, ale chwytu nie rozluźnił.

Morze uspokoiło się, ale ponownie zawrzało jaskrawym szkarłatem, szybko rozpełzającym się w plamę, na środku której na chwilę pokazał się i ponownie zniknął pod wodą ostry klin czarnej płetwy. Bezsilnie zwisłam w garści Rolara. Wrogowie również zastygli, rozumiejąc, że także nie mają na co liczyć.

I w tym momencie usłyszeliśmy za plecami cichy, ale tak szczery i triumfujący śmiech, że po prostu nie sposób było nie odwrócić się w kierunku jego źródła.

Czarodziej stał na środku pokładu. Nie miał najmniejszego powodu, by śpieszyć się do burty. Ostatecznie i tak wiedział, kto wygrał.

On.

Nie potrafiłam sobie wyobrazić, na co liczył Krosten, przekazując temu draniowi swój rear. Pewnie miał zamiar zmienić opiekuna od razu po udanym zakończeniu całej akcji. Ale czarodziej nie próbował ukrywać swojej radości nawet dla zachowania pozorów. Dookoła jego patetycznie uniesionej ręki kłębiła się szaronie-bieska mgiełka magiczna, dokładnie taka sama jak nad źródłami mocy. Miejscami dawało się ją dojrzeć nawet gołym okiem.

Krew nieżyjącego władcy zgłaszała się po swoje. Ale nie wyglądało na to, by opiekun miał zamiar użyć jej zgodnie z przeznaczeniem.

Nad statkami zaczęły skupiać się chmury. Nie miały żadnego związku z mrocznymi efektami specjalnymi, bez których nie obejdzie się żaden szanujący się czarnoksiężnik... przynajmniej jeśli wierzyć tanim książkom. Ot, całkiem normalne zjawisko atmosferyczne wywołane gwałtownym wahaniem magicznego pola. Magowie wyczuli pismo nosem i nie marnowali czasu na powtórne pokonywanie burt, materializując się wprost na pokładzie „Wilei”. Katissa ze świstem wciągnęła powietrze, odwołując wszystkie zaklęcia użytkowe i skupiając się na nadchodzącej bitwie. Statki ze skrzypieniem rozchodziły się, zostawiając na burtach przeciwnika głębokie zadrapania. Piraci głupi nie byli, prawdziwie po mistrzowsku odwrócili „Długorękiego” i rzucili się do ucieczki.

Czarodziej powoli spojrział wprost w moje oczy. Morze, niebo, pokład i cały statek jakby przestały istnieć, zapadły się do innego wymiaru, leżącego gdzieś daleko i kompletnie nieistotnego. Pozostaliśmy tylko on i ja.

Katissa rzuciła się do przodu, ale odrzuciło ją i przetoczyło po pokładzie w deszczu ciemnoczerwonych kropli. Znieruchomiła na boku z nienaturalnie podwiniętą pod siebie ręką, łokciem do przodu. Oczy miała zamknięte, a z nosa cienkim strumyczkiem ciekła jej krew.

A przecież on nawet nie zaczął czarować. Po prostu odgonił ją jak muchę, nie odrywając ode mnie spojrzenia.

– Wolho, połączona tarcza, szybciej!

Nawet nie odwróciłam głowy. Nie próbowałam unieść rąk, splatając swoje zaklęcie z zaklęciem mistrza. Ponieważ zbyt dobrze rozumiałam, jak niewiele miało to sensu. Nie damy rady ani go powstrzymać, ani nawet spowolnić.

Poza tym i tak już nie żyłam. Pozostawało tylko, jak to lubił mawiać Wal, „rozluźnić się i czekać na przyjemności”.

Było to jak fala przypływu unosząca się nad przystanią na niebotyczną wysokość. Czysta moc, która wyrwała się na zewnątrz tak naturalnie jak krzyk i nie wymagała ani obliczeń, ani zaklęć. Niszczyła wszystko na swojej drodze – czy to maszt, czy wieżmę. Migocąca złotem kopuła tarczy rozleciała się w strzępy od samego dotknięcia, a za moimi plecami jęknął i chyba upadł arcymag.

Przyjemności...? No dobrze, dlaczego nie?! – pomyślałam z zimną wściekłością i zrobiłam najbardziej głupią, a zarazem bohaterską rzecz, jaką tylko mogłam. Wyciągnęłam miecz, który palił mi plecy nawet przez pochwę, i wystawiłam go przed sobą.

Fala magii zatrzymała się i nieco cofnęła, jak gdyby natrafiła na tamę, która niespodziewanie wyrosła w poprzek pokładu. Na deskach zaczęła gwałtownie czernieć i dymić krecha szerokości dłoni. Powietrze zmętniało jak dookoła ściany ognia, półprzezroczystą zasłoną dzieląc statek na dwie części. Żagle na tej granicy natychmiast czerniały, zwijały się i trzaskały na pół. W powietrzu krążyły opadające płyty popiołu.

Lśnienie rozlało się ze znaku na ostrze, rozświetlając jego krawędzie. Ze środka miecza wychodziła gwałtownie rozszerzająca się bliźniacza „fala”, tylko nie siwoniebieska, lecz bladobrzysta, jak światło księżyca. A w miejscu spotkania mocy działy się takie rzeczy, że najodważniejszy samobójca

zaczęłyby szukać spokojniejszego miejsca na zakończenie swojego żywota.

Granica krótkimi skokami poruszała się w jedną i w drugą stronę. Ciemna linia rozszerzyła się, a w obu relingach powstały spore dziury. Miecz cichutko brzęknął i zaczął się rozpadać. Zaczynając od koniuszka, srebrzystoszarymi okruchami, które wbrew wiatrowi osypywały się z obu stron ostrza, po rękojeści i trzymających ją rękach... Jak piasek w klepsydrze odliczający ostatnie chwile. Nawet wydawało mi się, że odróżniam jednostajny ledwo słyszalny szelest, mimo że w epicentrum tak skupionej mocy nawet uderzenie gromu przeszłoby kompletnie niezauważone.

Zasłona pełzła w moim kierunku, grożąc, że nawet nie tyle zabije mnie, co zetrze na pył razem z duszą, jakbym nigdy nie istniała.

Jedna trzecia ostrza. Jedna czwarta. Środek znaku...

Nie wytrzymałam i zacisnęłam powieki. W twarz tchnęło mi ani ciepłem, ani zimnem, ale czymś paskudnym i nienaturalnym. I raptem wszystko znikło – szelest, bezdźwięczna walka pożerających się nawzajem mocy, szept nieubłagalnie zbliżającego się mroku...

Pozostało tylko skrzypienie masztów, pluskanie fal o burtę i natarczywe wrzaski krążącej wysoko nad nami mewy.

Niezdecydowanie otworzyłam jedno oko, zdążyłam dostrzec wyciągniętą ze zdumienia twarz maga, który ze słusznym oburzeniem uświadomił sobie, że nadal byłam w pełni sił, podczas gdy on desperacko zbierał siły do nowego ataku, po czym usłyszałam głucho łupnięcie, najbardziej kojarzące się z uderzeniem głowicą miecza w tył głowy. Zgadłam. Wal z namysłem spojrział na osuwające mu się do stóp ciało, splunął i rzucił:

– A tak poza tym wiesz mi jeszcze trzy kładnie, wagurcu jeden!

Nieśmiało przeniosłam spojrzenie w dół. Granica pomiędzy całą częścią pokładu oraz zwęgloną i lekko dymiącą przebiegała równiutko przy czubkach moich butów. Rękojeść chrupnęła i jak piasek przesypała się pomiędzy gwałtownie zaciśniętymi palcami.

– Wiedziałeś... – szepnęłam w szoku. – Wiedziałeś od samego początku, gdy dawałeś mi swój przeklęty święty miecz... ale dlaczego nie mogłeś mnie uprzedzić? Albo zrobić przynajmniej aluzji?! Przecież wtedy Len mógłby...

W następnej chwili poczułam, że siedzę na pokładzie, nie mając pojęcia, jak i kiedy to się stało. Tępo obserwowałam, jak mistrz ze stękanem pomaga trupiobladej, ale sądząc po sypiących się z jej ust przekleństwach, jak najbardziej żywej Katissie stanąć na nogach. Lewą ręką magiczka przytrzymywała zranioną prawą, a łokciem próbowała otrzeć nadal płynącą z nosa krew.

Troll odwrócił się do pomocników czarodzieja i groźnie skierował na nich swój miecz. Niestety, z jakiegoś powodu nie mieli ochoty uprzyjemnić mu dnia i podjąć walki. Mistrz jedną ręką nadal przytrzymywał Katisę w talii, a drugą wyciągnął z fałd szaty i rzucił na pokład coś błyszczącego, węzowatego, co zwinnie namacało i owinęło nadgarstki nieprzytomnego czarodzieja.

Katissa coś powiedziała, a Wal pochylił się i bez zbędnych ceregieli zerwał z szyi leżącego złocisty kamień na łańcuszku. Z namysłem podrzucił go w rękę, wykonał szeroki zamach i wrzucił daleko w morze.

Rolar z Orsaną nadal krzatali się przy przeciwległej burcie i wydawali się zajęci czymś znacznie ważniejszym.

Czułam się wewnątrz kompletnie opustoszała, nie mogłam wstać, ani nawet się poruszyć i tylko patrzyłam jak Ward, prychnąwszy przez mokre kosmyki włosów, z wysiłkiem podciąga się do brzegu burty na lewej wolnej ręce, a Rolar spieszenie ściąga z jego ramienia i delikatnie kładzie na pokładzie bezwładne ciało.

Przez jedną przeraźliwą chwilę miałam wrażenie, że moje serce zatrzymało się i już nigdy nie uderzy,

rozbite na tysiąc odłamków, ale nagle Len drgnął, zaczął gwałtownie kasłać, a potem spróbował unieść się na rękach, błędząc po pokładzie dzikim spojrzeniem, póki mnie nie odnalazł.

Jesteś zbyt pewnym siebie, pozbawionym sumienia i mającym w nadmiarze szczęścia strzygoniem, pomyślałam, bezsilnie opierając się o burzę. I niepotrzebny mi żaden inny...

Paskudnik wykrzywił bezkrwiste wargi w złośliwym, pełnym satysfakcji uśmiešku, a potem jego oczy uciekły na tył głowy, a on sam ponownie stracił przytomność. Ward rzucił jakieś gwałtowne polecenie, podnosząc go i przekręcając, a w pośpiechu dążący na pomoc przyjaciele zasłonili oba wampiry przed moim wzrokiem.

Ale i tak wiedziałam, że to, co najstraszniejsze, było już za nami i teraz wszystko będzie bardzo, ale to bardzo dobrze. Tylko jeszcze...

– O nie, żadnego ślubu! – mruknęłam, patrząc w przejrzyste błękitne niebo. – Za nic w świecie! Bo inaczej ten paskudny wampir doprowadzi mnie do obłądu... jeśli jeszcze tego nie zrobił...

Nad moją głową załopotwały napinające się ocalałe żagle.

Statek zawracał w kierunku Lesku.

Epilog

Już mi niosą trumnę z welonem.

Nie dałeś słowa – to wytrwaj, A jak dałeś, to się żeń!

Mądrość ludowa.

Jeszcze? Jesteś pewna? – Tttak...

– No dobrze. – Kella gwałtownym pociągnięciem sprawiła, że gorset zwęził się o kolejne dwa palce.

– Tak dobrze?

Wyrzęziłam coś w tonie twierdzącym. Dół sukni mi się podobał, i to nawet bardzo – obfite naręcze spódnic z koronką wyszywaną perłami. Góra również była niczego sobie, ponieważ jej prawie nie było – suknia kończyła się pod pachami i w celu uniknięcia nieszczęśliwego wypadku trzymała się szyi na cieniutkim srebrnym sznureczku. Ale za to środek...

Kella spojrzała w lustro, które sumiennie odbijało niepokojącą barwę mojej twarzy, po czym spieszenie rozluźniła sznurówkę. W końcu udało mi się złapać oddech. O parapet oparła się niecierpliwie kręcąc się po podwórzu Orsana.

– Długo wy tam jeszcze? Musimy jeszcze zrobić fryzurę!

– Zdążycie. Do ceremonii jest ponad trzy godziny. Zatoczyłam oczami i cichutko jęknęłam. Tylko trzy godziny! Kella mściwie pociągnęła za sznurówki gorsetu, zmuszając mnie do przełknięcia kolejnej porcji lamentów na temat przedwcześnie zmarnowanego życia.

– A gdzie są Rolar z Oroenem? – spytała zielarka.

– Próbuja wsadzić Lena w czarny strój. On twierdzi, że wygląda w nim jak garbata strzyga.

– No to niech założy drugi, ten jasny!

– Ktoś na nim przypadkiem usiadł, jest cały pomięty!

– To biegnij do Kryny, ona jest teraz na polanie i nakrywa do stołów. Poproś, żeby wyprasowała!

– Dobrze. – Orsana znikła, a zamiast niej pojawiła się Welka. A raczej jakaś koszmarna miotła.

– I co powiesz?

– O czym? – nie zrozumiałam.

– O twoim bukiecie. Dokładnie taki, jak chciałaś: trzynaście róż i bardzo dużo paproci!

– Ale przecież nie miałam na myśli, że ma ich być więcej niż róż! A co to za smętna trzcina na środku?

Przecież prosiłam o bukiet, a nie kępkę z mokradeł!

– I to tak zawsze, człowiek się stara... – obraziła się Welka i znikła razem z wiechciem.

W zamyśle drużbowie i druhny mieli zapewniać wsparcie moralne odpowiednio narzeczonego i narzeczonej, ale w Dogewie panowało takie zamieszanie, że po prostu nie mogli wysiedzieć w miejscu, miotając się od jednego domu do drugiego i dodatkowo zagęszczając atmosferę. A ponieważ Kella bez namysłu wzięła na siebie rolę głównego organizatora imprezy, od rana nie dawano jej chwili spokoju. W ciągu kolejnych dziesięciu minut dowiedzieliśmy się, że już udekorowana Smółka cichaczem zniknęła za krzakami i zerwała z siebie (oraz zezarła) wszystkie wstęgi, których tylko zdołała osiągnąć (a sięgała wszędzie), więc czy Kella nie ma zapasowych wstęg, bo te zobaczymy w najlepszym razie jutro rano? Poza tym z zamkniętego na kłódkę składziku w tajemniczy sposób wyparowała beczka wina, ale za to skondensowało się tam trzech krasnoludów wyraźnie w stanie „po spożyciu”. A, i jeszcze tort ślubny nieco zapadł się po lewej stronie, więc czy należy dodać kremu, czy odwrócić go prawą do gości?

Na granicy złapali kolejnego podejrzanego osobnika z warkoczem czosnku, który twierdził, że to prezent dla narzeczonej, a narzeczonemu doręczy coś osobiście. Magowie się spóźniają, a smoki na odwrót, już przybyły, więc teraz z nudów ganiają po placu jakiegoś grubawego typka w rycerskiej zbroi, który próbując przypodobać się damom, rzucił, że zna dziewięć sposobów zabicia „takich gadów” gołymi rękoma i kolejne siedemnaście przy użyciu środków podręcznych. Na razie jednak nie przypomniał sobie nawet jednego, a teraz skąd można wziąć jeszcze kilka wazonów i kto ma klucze od komórki z wędlinami?

Potem pojawił się Kaiel i omdlewającym tonem zapytał Kelli, czy nie mogłaby zbadać pryszczę, który wyskoczył mu na nosie i podejrzenie przypomina morowy wrzód. Wampirzyca ryknęła. Na wszelki wypadek schowałam głowę w ramionach, ale zielarka ograniczyła się do rzucenia w kierunku chronicznego źródła infekcji szczotki, która akurat miała pecha trafić jej pod rękę. Pod oknem ponownie pojawiła się Orsana.

– Czy wy tam jeszcze długo?!

– Długo!!! – ryknęła Kella, która właśnie odkryła, iż ominęła jedną pętelkę, i zabrała się do rozsznurowywania gorsetu z takim poirytowaniem, że poczułam się jak samotna sosna podczas wichury. – Znaleźliście Krynę?

– Nie, ale pożyczylam od kogoś żelazko i sama uprasowałam! Nie pamiętam od kogo, więc po prostu zostawiłam je w widocznym miejscu.

– A co z narzeczonym?

– Jeśli mu wierzyć, to czuje się jak garbata strzyga w jasnym... Za ścianą wywiązała się niewielka bitwa o kontrolę nad oknem. Zwyciężył Wal.

– Foczko, ja tu przyniosłem prezent dla ciebie! Zabierz ode mnie to świństwo, bo mi wstyd w rękach trzymać!

Kella rzuciła roztargnione spojrzenie na gigantyczny kosz kwiatów, który we włochatych łapskach trolla faktycznie wyglądał cokolwiek nie na miejscu.

– Zanieś wprost na stół, tam akurat jest puste miejsce koło młodych. I powiedz dziewczynom, żeby nie śpieszyły się z rozstawianiem zakąsek. Zaraz skończę z naszą wiedźmą na wydaniu i sama przyjdę!

– A może jednak nie będziemy mnie nigdzie wydawać? – pisnęłam płacząco, wołając, by skończyli ze mną raz na zawsze. – Kheeee...

– Jeszcze mocniej? – złośliwie spytała zielarka.

– Nieee – wykrztusiłam z trudem, żegnając się z marzeniem o talii osy. Ale przecież musiałam jeszcze jakoś jeść!

W końcu zostałam zapakowana w gorset, a na niego założono suknię. Wyglądała jakoś inaczej niż podczas mierzenia przed dwoma dniami – pewnie dlatego, że okazała się wywinięta na drugą stronę. Druga próba również spaliła na panewce – ja ze zdumieniem patrzyłam na gigantyczną kokardę na środku brzucha, a Kella na moje łopatki, które efektownie wystawały z dekoltu. Czwartej próby chyba byśmy nie przeżyły, ale szczęśliwie za trzecią wszystko się zmieściło, zeszło, zapięło, wyprostowało i obciągnęło.

Orsana i Welka rzuciły się na mnie z pożądliwością ścierwojadów, które ledwo doczekały końca posiłku lwa. Na półeczce przed lustrem wylądowała kupa słoików z kosmetykami, spinek i sztucznych kwiatów, a ja dostałam do garści wykrochmalony welon z rozkazem trzymania go w stanie wyprostowanym, żeby się nie pogniótł. Wymiana katów wywołała we mnie kolejny atak aktywności jękowej:

– A przecież ja jestem jeszcze młoooda...

– Ty sze siądź przy okienku i popłacz sobie – ze śmiechem zasugerowała Orsana. – Obrządek przewiduje, a przy okazji odstraszyś część ciekawskich. Bez spoglądania do tyłu pstryknęłam palcami.

Okno zaciągnęło się białawą mgiełką, która była przezroczysta wyłącznie od wewnątrz. Gapie jęknęli z rozczarowaniem i poszli sobie. Przewiduje dzień przed ślubem, a nie dwie i pół godziny przed jego rozpoczęciem – zauważyła Welka, ciągnąc szczotką splątany lok na czubku mojej głowy z taką mocą, jak gdyby chciała wyrwać go sobie na pamiątkę.

– Już dwie?! Yyy....

– Dzień przed to ona się napłakała tak, że bywaj zdrów! Wszystkie wilki w Dogewie śpiewały do wtóru!

Dwie szczotki ciągnące w różnych kierunkach dostarczały niedających się opisać wrażeń, więc tylko zwinęłam się w kłębek i cicho popiskiwałam.

– Tak w zasadzie to ty zaproponowałaś, by „na ostatku” zaśpiewać „Gdybym ja wiedziała, jak zamężną źle...” Pod koniec płakała nawet Kryna!

– Biorąc pod uwagę, że przed „ostatkiem” była zdobyta przez ciebie nie wiadomo gdzie beczka „Złotego Winogronka”, nie zdziwię się, jeśli jutro połowa doliny wstąpi do jakiegoś zakonu.

Wieczór panieński, który zaczął się jak smętne odprowadzanie narzeczonej na tamten świat małżeński, po spożyciu wspomnianej beczki dosyć się ożywił i Orsana, a za nią my, zapragnęła sobie pośpiewać. Biorąc pod uwagę, że głos mieli wszyscy, ale słuch już niekoniecznie, wykonywane kompozycje wzbudzały żywe zainteresowanie sąsiadów, którzy co rusz podejmowali próby rozpędzenia sabatu. Ale gdy tylko któryś z nich „przyjacielsko” załomotał pięścią w drzwi, za nimi natychmiast rozlegało się chóralne: „Aaaaa!” drzwi otwierały się i zakłócacze porządku wciągali biedaka do środka, uroczyście obiecując, że rozejdą się, jak tylko wypije z nimi zdrowie „ot, cij garnej dziewczyny, jaka ostan-nu nic maje swoją niezależność!”. A następnie Dogewa zaczynała trząść się jeszcze intensywniej. Nie udało nam się zwabić do siebie całej doliny wyłącznie z jednego powodu – na jej przeciwnym krańcu rozbrzmiewały nie mniej rozzwierające duszę (i nie bardziej melodyjne) wrzaski w męskim wykonaniu... Ponownie spróbowałam przyciągnąć uwagę zebranych do mojego smutnego losu.

– Ja nie chcę zaaa mąż!

– A ty znowu swoje?! – krzyknęła Welka, waląc mnie szczotką po łbie, żebym przestała się wiercić. – Mamy powiedzieć strzydze, by się rozbierał?

– Neeee... – chlipnęłam.

Niech ten drań się również męczy! Bogowie, po co ja godziłam się na ten przeklęty ślub?! Przecież wszystko tak dobrze się zaczynało...

Wieści z pola weselnego napływały nieprzerwanym potokiem – na przemian wpadała do nas przebiegająca obok Kella, za każdym razem krytykując wynik wspólnej pracy moich przyjaciółek, oraz bezskutecznie poszukujące jej wampiry. Raz na chwilę pojawiła się również Kryna, w której domu miało miejsce bezczelne znęcanie się nad narzeczoną. Delikwent z czosnkiem okazał się Temarem i ponownie wpadł przy próbie zastąpienia cukrowych figurek na torcie identycznymi, ale w nieprzyzwoitych pozach. Wąlowi się nawet spodobały, więc gorąco nalegał na, jak się wyraził, bardziej realistyczną opcję. W odpowiedzi Kella wykazała się wspaniałą znajomością nie tylko alladaru, ale też rodzzonego języka trolla, ścinając go z nóg do tego stopnia, że nawet zgodził się pomóc starszym przy przesuwaniu stołów. Klucza od spiżarni ostatecznie nie znaleziono, ale jakiś chłopaczek wlaźł przez okienko i przekazywał kucharkom szynki i kiełbasy. Smoki pogodziły się z rycerzem i teraz zgodnie komentowały proces powtórnej dekoracji Smółki, ale nie kwapiły się z pomocą.

– A swoją drogą, kto zaprosił te trzy krasnoludy, które wypłyły za sześciu, i gdzie one się potem podziały? – spytała Welka.

– Ce nasze starinny ta najlepsze druzi... a przynajmniej tak zapewniali. Chyba Wolha obiecała, że teleportuje ich do domów.

Przypomniałam sobie o całej sprawie i aż się wzdrygnęłam. Nie no, ja to mam pecha do tego zaklęcia! A poza tym z jakiegoś powodu wydawało mi się, że krasnoludów było dziewięciu...

Ostatecznie nie udało mi się zdecydować z wyborem druhny, więc zwałam sprawę z jednej chorej głowy na dwie, pozwalając, by Welka i Orsana rozstrzygnęły kwestię pomiędzy sobą. Teraz okrutnie żałowałam podjętej decyzji – przyjaciółki bezczelnie poinformowały mnie, że będą pełnić ową zaszczytną misję po kolei, ale na razie nie udało mi się tych harpii rozłączyć. Rolar, będący druhem pana młodego, zaczął panikować i również znalazł sobie zastępcę. A raczej wynajął. Wal uroczyście obiecał, że w razie czego uspokoi nadaktywne panny w sposób tradycyjny, czyli kiścieniem.

– Przynajmniej wyszło oryginalnie – zdecydowały w końcu dziewczyny, cofając się na boki, by ocenić swoje rękodzieło z odległości.

Spojrzałam w lustro i pomyślałam, że chyba ślub mimo wszystko się nie odbędzie. Bo zaraz dostanę zawału – a jeśli nie ja, to Len.

– Brrr... – Potrzęsnałam głową i godna para dla garbatej strzygi, strzyga wolnoleżąca, zamieniła się w mawkę pospolitą. Przyjaciółki wydały zgodny wrzask protestu, ale szczęśliwie w tejże chwili w polu widzenia pojawiła się Kryna, która pogoniła moje egzekutorki do dekorowania drzwi i ganku, a sama uzbroiła się w szczotkę, lokówkę i w ciągu jakiejś godziny ułożyła moje włosy w malowniczy wodospad loków i warkoczyków. Na czubku umocowała wianek ze srebrnych elfich nieśmiertelników, a do niego doczepiła welon.

Teraz w ogóle bałam się poruszyć i nieruchomo trwałam przed lustrem, czując się straszliwie delikatna, nieważka i w jakiś sposób obca. Ale – co za koszmar! – te odczucia niesamowicie mi się podobały.

Przez drzwi prześlizgnęły się zagadkowo chichoczące przyjaciółki, które wydały z siebie zasłużony zestaw zachwyconych jęków i westchnień, po czym spróbowały ponownie dostać mnie w swoje ręce, ale zdecydowanie odmówiłam makijażu w wykonaniu Orsany, a już tym bardziej Welki (sądząc z zastraszającej ilości słoiczków, zielarka miała zamiar obsmarować mnie od stóp do głów). Ograniczyłam się do samodzielnego pomalowania rzęs i warg.

Wążek i Enka po nieudanej próbie zajrzenia przez okno nie zawahali się przeniknąć przez ścianę, by osobiście z uroczystozrozpaczonymi wyrazami twarzy wręczyć mi gigantyczny srebrny krzyż – „środek niezastąpiony przy awanturach domowych”.

– Przynajmniej nie wpadli na to, by przywlec dwumiejscową trumnę – westchnęłam, gdy oburzone przyjaciółki w końcu wyrzuciły paskudnie chichoczących impertynentów za drzwi.

– Ale w takim razie od kogo ona jest?! – szczerze zdziwiła się Welka. Wśród tymczasowo złożonych na podwórzu domu narad prezentów faktycznie stało coś, co w swej naiwności wzięłam za rozszerzającą się ku górze dębową szafę. Przy bliższej analizie dostrzegłam wijący się na boku napis „Na wspólnej drodze życia!”, po czym z drzeniem wyobraziłam sobie, jak ja i Len z wściekłym sapaniem wrywamy sobie zbyt wąski całun służący za kołdrę.

Szybko odwróciłam się od okna, ale dokładnie w tej samej chwili zabrzmiało stłumione: „Idą!” Orsany i w domu zaczęło się leszy wie co. Przyjaciółki z piskiem miotały się po pokoju, wpadając na siebie nawzajem, na mnie i elementy umeblowania, nabijając sobie sińce o te większe i zrzucając te mniejsze. Kryna ledwo zdążyła się ubrać oraz umalować i teraz dodawała ostatnie elementy do mojej fryzury. Ja zaś tęsknie i z narastającą paniką spoglądałam na boczne drzwi, gdzie z rękoma złożony mi na piersi i paskudnym uśmiechem na twarzy już stała Kella, w tajemniczy sposób sprawiając, że jej krótkie kły stały się bardziej niż zauważalne. Zdolności naczelnej zielarki Dogewy do niespodziewanego odnajdywania się w najmniej odpowiednim miejscu i najmniej odpowiednim czasie już dawno przeszły do legendy, ale na poczekaniu naprawdę nie mogłam przypomnieć sobie sytuacji, gdy kombinacja była

mniej odpowiednia niż teraz. Na dobitkę, o ile zwykle wyglądała po prostu pogrzebowo, o tyle wariant ślubno-pogrzebowy w komplecie z powiewającą szatą i wysoko upiętymi lokami mógł po zmroku doprowadzić jakiegoś biednego gościa do zawału albo (w przypadku mocniejszych nerwów) na czubek drzewa. Szkarłatne wargi i paznokcie tylko wzmacniały wrażenie.

Ostatecznie wszystko się jakoś ułożyło, panny obciągnęły suknie, przypudrowały noski, podniosły wszystko, co w międzyczasie wylądowało na podłodze (albo szybkimi kopniakami wpakowały pod stół i łóżko). Akcja przeniosła się do sieni. Orsana, jako ta najbardziej bojowa, wypchnięta została do drzwi wyjściowych, a mnie zagoniono do kąta za piecem, pozwalając obserwować wydarzenia przez szczelinę w zasłonach. Ktoś głośno i wyzywająco zapukał do drzwi.

– Oj, to któż tam tak stukaje? – spytała Winessanka z fałszywym zdumieniem.

– To ce ż my, wąpiersze! – odezwał się cieniutki paniński głosik w wykonaniu przedrzeźniającego męskiego. Reszta słów utonęła w rechocie i hałasie. Gdy wszystko nieco się uspokoiło, Rolar ciągnął już normalnym tonem: – Wieść niesie po Dogewie, że zakwitł podobno w tutejszym ogródku nieziemski kwiat... – Lulek! – chóralnie wyskandowali Temar, Ważek i Enka.

– ... i jeszcze że podobno słyszano tu śpiew cudownego ptaka... – Krrra!

– ... i widziano...

– Znaczy się, tego... – nad wszystko wybił się leniwy trolli bas. – My mamy kupca, a wy babę! Więc otwierajcie szybko, bo komu innemu ona i tak na ghyr niepotrzebna!

– Że co?! – obruszyła się Orsana, ale mimo wszystko otworzyła drzwi. – Zaraz my sobie popatrzymy, szo wy tam macie za kupca! Może jemu szkoda ślepego świniaka sprzedać, a tu taka cudowa diwczyna! Weźcie pokażcie swojgo kupca... taaak... a jak od tyłu? I niechaj skrzydłami pomachae, mabuć nakładane! Hm... nawet nie wiem... jakiś on ma zgryz podejrzany...

– Czyli my już możemy sobie iść? – nieudawanie ucieszył się ironiczny baryton, który odczułam w kościach. Następnie jego właściciel chyba spróbował nawiać, ale został ze śmiechem powstrzymany.

– Oś zaraz sprawdzimy, jaki ty jesteś kupiec! – z groźbą obiecała Orsana. – Wyciągaj sakiewkę!

Ponieważ zadawanie ironicznie uśmiechniętemu narzeczonemu zagadek miało się z celem, przyjaciółki uznały, że ograniczą się do okupu i konkursów. Narzeczona została natychmiast podzielona na „czułe spojrzenie” (yhym!), „łabędzi chód” (nie dałam rady powstrzymać śmiechu, od dzieciństwa chodziłam szerokim męskim krokiem, a w tej chwili nadal nieco kulałam) oraz „nieopisane piękno” (do tej części zastrzeżeń nie miałam), a drużny zaczęły po kolei sprzedawać ten wątpliwej jakości towar drużynie pana młodego. Ostatecznie udało im się wytargować sześć kładni, trzy srebrniki, czterdzieści osiem miedziaków, butelkę bimbru, szklankę soku pomidorowego, który zachwycony zabawą Rolar próbował sprzedać jako świeżo wysączoną („jeszcze ciepłutka!”) z jednego z gości krew („no coś ty, nie ma absolutnie nic przeciwko, leży sobie cichutko pod płotem, pewnie się zmęczył był!”), desperacko wydzierającego się kota w worku i – co oburzyło mnie szczególnie – jakiś wyjątkowo śmierdzący kwiatek na krzywej łodydze, na którego widok Welka natychmiast straciła jakiekolwiek zainteresowanie okupem i wspólnie z Kellą zagłębiła się w ożywionej dyskusji na temat tego fascynującego okazu flory oraz eliksirów na jego bazie, aż w końcu reszta przypomniała im o zasadniczej przyczynie trwającego spotkania.

W końcu strony dobiły targu i Orsana uroczyście wręczyła narzeczonemu mierzący pół wiadra garniec ze studzienną wodą.

– Co to?! – zapytał oszołomiony Rolar, mimo że wyciągnięta twarz Lena wyraźnie świadczyła, że nic dobrego.

– Klucz do serca panny młodej – chętnie wyjaśniła Welka, a cała kobieca część zebranych zaczęła głośno skandować:

– Pij do dna!!!

Pan młody rozpaczliwie zerknął na kompanów, którzy pouciekali spojrzeniami, a nawet tchórzliwie zrobili parę kroków do tyłu. Było już za późno na ucieczkę, więc po paru minutach nieco smutniejszy Len wyciągnął z garnka ogromny zardzewiały klucz, który sądząc z wściekłego okrzyku Kelli, należał do spiżarni z wędlinami.

Nadeszła uroczysta chwila. Wyciągnięto mnie zza pieca, ponownie poddano krytycznym oględzinom i popchnięto w kierunku usługiwie otwartych na całą szerokość drzwi.

Mamusiu...

Wydający radosne okrzyki na mój widok tłum wypełniał nie tylko nasze podwórko (obficie udekorowane kwiatami i wstęgami), ale też przylegającą ulicę aż po sam plac. Po bokach placu ulokowały się smoki, które od czasu do czasu ryczały i wypuszczały efektowne jęzory płomienia. Dwie dziesiątki muzyków naraz zagrały powitanie na wszelkich możliwych instrumentach, od krasnoludzkich werbli do elfich dud, którym radośnie wtórowały wilki.

Oceńłam sytuację i utknęłam w drzwiach, cichutko skamłając z przerażenia. Spróbowałam nawet zrobić krok do tyłu, ale Kella i Orsana czuwały, więc, niestety, nic z tego nie wyszło.

Publiczność i tak była całkiem ożywiona, więc z zachwytem przyjęła proces wypychania towaru do kupca, przy czym ja łapałam się futryny już obiema rękoma. Na moje spotkanie z nie mniejszym wysiłkiem prowadzono opierającego się Lena z kolejną wersją bukietu, któremu brakowało wyłącznie porządnego trzonka, by już całkiem wyglądał jak miotła.

Ale w tym momencie zobaczyliśmy siebie nawzajem i ze zdumienia naraz zaprzestaliśmy oporu. Jaka tam garbata strzyga! Przecież narzeczona całego świata walczyłyby na śmierć i życie o prawo posiadania takiego narzeczonego, a zwyciężczynie umarłaby ze szczęścia! O ile oczywiście jeszcze tydzień temu nie latałaby za nim po całym domu narad ze skonfiskowanym kolejnemu wiedźminowi osikowym kołkiem i krzykami: „Już ja ci zaraz pokażę, jak „w sekrecie” kłamać wolmeńskim posłom, że mam stopień bakałarza nekromancji!”. A jeszcze się wtedy zastanawiałam, czemu tak dziwnie na mnie zerkali przez cały wieczór?!

Nie wiem, o czym myślał Len, ale nie odrywając ode mnie lśniącego oczu, podszedł do ganku, opadł na jedno kolano, uroczyście i z wyraźną ulgą wręczył mi potworną miotłę, która na dokładkę okazała się koszmarnie kłująca. Następnie tak samo w milczeniu cofnął się i wskoczył na Wolta, a mnie podprowadzono Smółkę, która w pośpiechu kończyła przeżuwać drugi komplet ozdóbek. Na widok przebranej za narzeczoną pani biedna kobyłka zakrzuszyła się i spróbowała stanąć dęba, ale z Oroenem ten numer nie przeszedł. Zresztą gdy przemówiłam i Smółka zrozumiała, że faktycznie tkwię gdzieś w środku tego białego kosmaru, przerażenie na jej pysku ustąpiło miejsca wyczekującej złośliwości. Bardzo szybko zrozumiałam dlaczego. Nie ma to jak włożenie na konia w butach na obcasie, szerokiej sukni ślubnej i z bukietem zaciśniętym pod pachą! Liczba chętnych do popchnięcia mnie w górę z każdą próbą rosła w postępie arytmetycznym, a umierających ze śmiechu – geometrycznym. Wyglądało na to, że narzeczonego również świerzbiały ręce, ale zgodnie z obrządkiem nie mógł więcej podchodzić do mnie przed zaślubinami, więc chętnie przyłączył się do drugiej grupy.

– Powinnam była jechać wozem – burknęłam, gdy w końcu udało mi się wdrapać na siodło i spróbowałam wyplątać się z welonu, podczas gdy przyjaciółki spieszenie poprawiały zadartą od przodu i od tyłu suknię. Tyle dobrego, że nie musiałam martwić się o wodze, konie miały być prowadzone za uzdę. Wolta wzięła Kella, która rzuciła mi poirytowane spojrzenie. Naczelną zielarką przez cały tydzień dowodziła, że nie powinnam jechać na miejsce zaślubin konno. Ale mnie się wydawało, że tak będzie bardziej efektownie... Zresztą wrażenie na gościach faktycznie zrobiłam.

Tłum rozbił się na trzy grupy – większa udała się na miejsce zaślubin krótką drogą, wzdłuż siatki

brudnopisu (później okazało się, że bynajmniej nie wszyscy mieli o niej pojęcie i strażnicy do rana musieli wyprowadzać z dogewskich lasów błądzących gości), a dwie mniejsze, złożone z najbliższych przyjaciół, podążyły za jadącymi w różnych kierunkach młodymi. „Żebyście na odchodnym odetchnęli powietrzem wolności” – zdążył zażartować Rolar przed zajęciem swojego miejsca w zespole pana młodego.

Wbrew zimnej wiośnie i deszczowemu latu bere-sklet prezentował się wspaniale, był ciepły i suchy. Dzisiejszy dzień nie okazał się wyjątkiem. Po lesie na całego latały motyle, a chociaż pod końskimi kopytami już szeleściły opadające liście, drzewa dopiero zaczynały mierzyć złoto i miedź, które gubiły się we wszechobecnej zieleni.

Jasne plamki przenikających przez gałęzie słonecznych promieni tańczyły pośród liliowych wysepek zimowitów – delikatnych jesiennych kwiatów, podobnych do krokusów.

Idący z tyłu wymieniali szeptane komentarze i chichoty, ale mnie nikt nie zagadywał.

Że niby ostatnia chwila, by się rozmyślić, i nikt nie powinien jej zakłócać.

Uczciwie mówiąc, rozmyśliłam się już po trzech sążniach, ale najpierw musiałabym zleźć z tej kobyły! I dlaczego nie posłuchałam Kelli?! Teraz bym zebrała spódnice, przeskoczyła przez burtę wozu i tyle by mnie widzieli!

Na polanę ja i Len wjechaliśmy prawie równocześnie (ku radości Kryny – że to niby dobry znak). Goście już dawno byli na miejscu i zachłannie zerkali na nakryte stoły w jej lewej części. Na przeciwnym skraju wznosiła się opleciona bluszczem altanka, długa, otwarta, z niskimi barierkami i trzema wejściami – dwoma wąskimi bocznymi i jednym szerokim środkowym. Rzeźbiony dąb podpór, stopni, desek podestu i drewnianej koronki pod dachówkami szerniał pod wpływem czasu, wywołując pełny szacunku zachwyt i całkiem zrozumiałe obawy. Na środku stało żelazko – miejsce rzeczywiście było widoczne.

Orsana spłonęła rumieńcem, rzuciła się w kierunku altanki, złapała pechowy sprzęt i schowała za plecami.

Smólkę podprowadzono do lewego wejścia, a Wolta do prawego. Niestety, próba „zapomnienia” miotły na siodle zakończyła się niepowodzeniem i musiałam ciągnąć paskudztwo ze sobą, demonstrując kwaśny zachwyt nad jego wspaniałością. Jako pierwsza na pomost wlała Kella, która stanęła na środku i uroczyście uniosła ręce ku niebu, ściągając na siebie powszechną uwagę. Za plecami zielarki w rzędzie stali starsi. Do wtóru powolnej i łzawej muzyki ja pod rękę z Orsaną i Len z Rolarem wspięliśmy się po złowieszczo trzeszczących schodkach, po czym stanęliśmy trzy kroki od siebie. Po doprowadzeniu nas na miejsce przyjaciele uroczyście ukłonili się zielarce i uciekli.

Jeden ze starszych podał jej malutką płaską szkatułkę. Muzyka zamilkła i w ciszy wyraźnie rozległo się szcęknięcie otwieranej pokrywki. Wewnątrz na czarnym aksamicie leżały dwa srebrne pierścionki. Kella szerokim gestem zademonstrowała je gościom, po czym podsunęła nam.

Sięgnęłam do większego, ale Len mnie wyprzedził. Moja ręka zawisła nad szkatułką. W zagubieniu podniosłam oczy na zielarkę, ale ona wydawała się nie zauważać błędu władcy.

– Bierz już – pogoniła mnie.

Nie miałam wyboru. Z jeszcze większym niezrozumieniem wzięłam pozostały pierścionek. I co teraz, mam go sama sobie nałożyć na palec?! Moje pojęcie o obrządkach ślubnych wampirów było bardzo mgliste, ponieważ w końcu nie znalazłam czasu na przeczytanie podsuniętego mi przez Kellę i strasznie ciężkiego foliału sprzed dwóch wieków, pisanego w starowspólnym, a Len beztrudnie zapewnił mnie, że „nic specjalnego, prawie jak u ludzi, a przynajmniej z takim samym skutkiem”.

– Zaczynamy ceremonię! – Wampirzyca dźwięcznie zatrzasnęła szkatułkę. – Szanowni mieszkańcy Dogewy i honorowi goście doliny, zebraliśmy się tu dzisiaj... w celu cokolwiek oczywistym – szanowni

i honorowi chętnie odpowiedzieli śmieszkami – by zostać świadkami zaślubin władcy Dogewy Arrakktura T’or ardWeist Shaeonell oraz naczelnej wiedźmy Dogewy Wolny Rednej!

Tłum gwizdami i pojedynczymi okrzykami potwierdził, że zebrał się w tym właśnie celu i gotów jest przystąpić do swoich obowiązków. A następnie wstrzymał oddech i nad placem zawisła ciężka cisza.

Z niezrozumieniem zatoczyłam spojrzeniem dookoła. Ani pytań o to, czy zgadzam się dobrowolnie zejść do grobu, ani propozycji wymiany nagrobków, tfu, pierścionków ślubnych! Niemniej jednak wszyscy zachłannie patrzyli na mnie, wyraźnie czekając na jakieś działanie. Len z niewiadomego powodu trzymał ręce za plecami i z całych sił próbował pohamować uśmiech.

– I co? – spytałam z pretensją, nie wytrzymując napięcia.

– Poproś go o pierścionek – szepnął Rolar, który na prawach druzby stał przy samej altance.

– Że co?!

– Zgodnie z naszymi zwyczajami musicie przekonać siebie nawzajem, a przy okazji zebranych o konieczności waszych zaślubin. Jeżeli uda ci się go przekonać, odda pierścionek, który po rytualnym zdaniu założysz na jego palec. A potem on na twój. Zrobiło mi się zupełnie niedobrze. Jeszcze miałam go przekonywać?!

– Len – rozpoczęłam niepewnie – oddaj mi pierścionek!

Wampir wzniósł oczy do nieba i zaczął najspokojniej w świecie pogwizdywać, udając, że on tu w ogóle jest przypadkiem i tak tylko był w okolicy. W tłumie zabrzmiały śmiechy.

– Ale ja tak łaaadnie prooooszę...

Gwizd zmienił ton i wyraźnie rozróżniłam motyw „Żebym ja wiedziała...” Orsana histerycznie chlipnęła i spęzła po słupie altanki. Reszta zebranych również nie skarżyła się na kiepski nastrój. Rozeźlona wykonałam gwałtowny ruch, próbując zabrać pierścionek siłą, ale Len zwinnie uchylił się i nadal nie mówiąc słowa, ironicznie uniósł lewą brew.

– Uprzedzam, że potem nadejdzie twoja kolej prosić! – postraszyłam go złośliwie. Wampir drgnął, ale wytrzymał.

– Czyli to tak? W sumie sama niezbyt chciałam! – obraziłam się, odwróciłam tyłem i chmurnie skrzyżowałam ręce na piersi. I co ja mu teraz miałam powiedzieć? Że niby to tyle, zgadzam się schować miecz do spiżarni, uszatkwować się, prać jego skarpety i rano przynosić krew do łóżka?!

Potrząsnęłam głową i złapałam jego spojrzenie, niespodziewanie poważne, współczujące, pełne zrozumienia... I nagle uświadomiłam sobie, że guzik mnie obchodzi, czy on odda mi ten przeklęty pierścionek, czy nie. Ponieważ nawet jak nie odda, nadal zostanę z nim, a on ze mną i – kto by się przejmował jakąś tam śmiercią! – nawet małżeństwo nas nie rozłączy...

I wtedy Len zrobił krok do przodu, wyciągnął rękę i do mojej dłoni wpadło ciepłe srebrne kółko.

– Jest!!! – radośnie wrzasnął Rolar, a plac zadrżał od dzikiego wycia, wrzasku, pisku, gwizdu i tupotu.

– Cóż, połowa za nami – z wyraźną ulgą ogłosiła Kella, gdy zachwyty nieco ucichły, a wypuszczona przez Wążka petarda została z głośnymi przeprosinami wyjęta z dekoltu Lereeny. – Arrakktur? Len spojrzał na mnie, uśmiechnął się przenikliwie i zapytał:

– Wolho, czy oddasz mi swój pierścionek? Przecież wiesz, że tak. I tylko spróbuj go nie wziąć!

Przez kilka sekund patrzyłam na niego z namysłem, a następnie ku zachwyтови zebranych złośliwie zmrużyłam oczy i paskudnym głósikiem stwierdziłam:

– Niedoczekanie!

I wtedy się zaczęło... Len padał na kolana, zaklinał się, że nie tylko nie będzie przeszkadzał mi w pisaniu kolejnej dyserracji, ale też własnoręcznie nałapie dla niej „materiału pomocniczego” w najbliższym parowie. Że będzie sam chodził po krew, ale oczywiście lepiej byłoby korzystać ze środków podręcznych. Mało tego, w kwestii prania skarpet ufa wyłącznie Kelli. („Że co?!” –

wrzasnęła oburzona zielarka). Zmiękłam przy potrojeniu pensji i dodatku za ciężkie warunki pracy. Pierścionek powędrował w ręce Lena i Kella przeszła do oficjalnej części ceremonii, pełnym uczucia głosem zaczynając:

– Mam nadzieję, że dobrze przemyśleliście swoją decyzję i w przyszłości nie będziecie jej żałować, bo małżeństwo to nie tylko...

Przez kolejne dziesięć minut naczelną zielarkę ze smakiem rozpisywała czekające nas koszmary wspólnego życia, jak to „współdzielenie problemów, smutków i obowiązków”, a goście z przyjemnością podziwiali stopniowo smutniejące twarze zaślubianych. Lena chyba najbardziej przestraszyło wymaganie, by „nie ukrywać przed nią ani swoich czynów, ani myśli”, a ja ostatecznie się upewniłam, że nigdy nie zostanę godną „strażniczką ogniska domowego”. Bycie opiekunką władcy było łatwiejsze!

– Tak więc – w końcu uroczyście ogłosiła Kella tonem wyżej, by nadać pytaniu odpowiednią wagę – Wolho Redna, czy mimo wszystko zgadzasz się... Oczarowany tłum umilkł, łowiąc każde słowo, a ciemnowłosy rycerz w ostatnim rzędzie z ckliwym uśmiechem uniósł rękę i nakreślił w powietrzu znak świątynnego błogosławieństwa.

Kella urwała w pół słowa, bo narzeczona rzuciła się w jego stronę z tak krwiożerczym wyrazem twarzy, że nie wiadomo było, kto z młodych jest wampirem. I to bardzo głodnym.

Len w ostatniej chwili zdążył złapać mnie za kokardę, która na szczęście okazała się solidnie przyszyta.

– Wolho! – syknął błagalnie. – Nigdzie przed nami nie ucieknie, a w razie czego wiemy, gdzie jest zakopany!

Spojrzałam na wytrzeszczone oczy zebranych, opamiętałam się i wróciłam „do szeregu”. Nad placem zabrzmiało westchnienie pełne równocześnie ulgi i rozczarowania – chyba połowa gości do ostatniej chwili wątpiła w moje ślubne zdecydowanie i z tej okazji zawarła zakład z drugą połową. Zielarka odkaszlnęła i powtórzyła pytanie.

– Tak. – Z roztargnieniem machnęłam na nią ręką, dalej szukając spojrzeniem bezczelnego świętego.

– Arrakkturze, czy...

– Tak – spiesznie potwierdził Len, póki nie zwiałam ponownie. Kella z trudem powstrzymała westchnienie ulgi, obrzuciła nas zadowolonym spojrzeniem i wypowiedziała kulminacyjne zdanie:

– W takim razie władzą nadaną mi przez radę doliny ogłaszam was mężem i żoną! I na znak tego doniosłego wydarzenia proszę, byście na oczach wszystkich zebranych wymienili się obrączkami.

Trzęsły mi się ręce. Lenowi również, ale nie tak zauważalnie. Mimo to jakimś cudem udało nam się jednak wycelować i trafić – ni to pierścionkami w palce, ni to palcami w pierścionki. Ponownie zabrzmiała muzyka i Kella musiała bardzo się starać, by ją przekrzyczeć.

– Pan młody może teraz pocałować pannę młodą!

Skrepowani niezgrabnie ruszyliśmy ku sobie. W tłumie zabrzmiały zachwycone westchnienia, Kryna sięgnęła po chustkę do nosa.

W następnej chwili rozległ się głośny trzask i kluczowi uczestnicy uroczystości zniknęli z oczu zdumionych gości w obłoku kurzu. Muzyka urwała się desperackimi piskami i chrypieniem, przyjaciele rzucili się do pomostu, tworząc pierścień dookoła nierównej wyrwy.

– Hej, jesteście cali?

– Albo przynajmniej żywi?

– Przynajmniej ktoś?!

– Ghyr z nimi, najważniejsze, czy zdążył pocałować! Z dołu rozległo się moje niepewne:

– Chyba tak...

I stłumiony głos Lena:

– A jeśli szanowni starsi i naczelna zielarka w końcu raczą ze mnie zejść, to nawet dowiem się kogo!

– O Bogowie... – Kella złapała za jedną z tuzina usłużnie wyciągniętych rąk i wylazła na resztki estrady. Jej śladem wspólnym wysiłkiem wyciągnięto starszych. – Tej dwójki razem nie wytrzymały nawet dębowe deski! Len z uśmiechem przyciągnął do siebie nieco sfatygowaną narzeczoną.

– Dla pewności – wyjaśnił minutę później. Na górze rozległ się aplauz i łańcuszkiem przekazano całej reszcie zebranych radosną wiadomość o jednak zawartym małżeństwie.

Gdy wszyscy znaleźli się na wolności, otrząsnęli się z kurzu i pajęczyn, Kella w końcu udzieliła pozwolenia na siadanie przy stołach. Głodni goście nie dali się długo prosić. Mimo całkiem ciepłej i przyjaznej atmosfery ludzie usiedli z ludźmi, wampiry z wampirami, a krasnoludy z krasnoludami (co prawda po upływie dwóch godzin wszystkie rasy szczęśliwie się wymieszały i zaczęły zapewniać się nawzajem o miłości aż do grobowej deski). Cały stół zajęły trolle, z których zaproszony był tylko jeden Wal, ale nikt nie odważył się wyrzucić całej reszty. I rozpoczęło się świętowanie!

W życiu nie widziałam takiego przepychu i obfitości, ponieważ każda gospodyni w Dogewie uznała za punkt honoru przygotowanie z okazji ślubu ukochanego władcy czegoś szczególnego. Oczywiście nie wszystkie dania po krytycznym spróbowaniu przez Kellę trafiły na stół, ale na obrusie i tak ledwo starczyło miejsca na talerze, kwiaty oraz szeroki wybór napitków – od mocnego krasnoludzkiego bimbrowa, który wyciskał łzy nawet z oczu wampirów, poprzez ludzkie wina aż po ziołowe miody praktycznie niepijących elfów (co jakiś czas myliły butelki, a ponieważ odmawianie było nieuprzejme, niebawem dokoła panowała powszechna radość).

My nie mieliśmy okazji sensownie zjeść – już po drugiej łyżce sałatki usłyszałam złowieszczy trzask gorsetu i uznałam, że nie będę ryzykować, a Len nadał przeżywał klucz od spichlerza i pierwsze dwie godziny zostały nieco zepsute jego częstą nieobecnością. Poza tym co rusz odrywali nas znajomi, którzy gratulowali albo składali ironiczne kondolencje – przy czym im lepiej nas znali, tym bardziej szczerze współczuli. A oprócz tego rozbrzmiewały podłe okrzyki: „Gorzko!”.

Za każdym razem wychodziło nam coraz lepiej, stanowczo nabieraliśmy doświadczenia.

Pod przykryciem długiego obrusa co rusz podejmowano próby porwania pantofelka panny młodej, ale byłam nastawiona agresywnie i pragnący obuwia natychmiast nim obrywali. Wtedy dranie zmienili strategię. Po kolejnym zgodnym wrzasku o oburzająco gorzkim winie Len pozostał na krześle, patrząc na mnie chmurnie, ale równocześnie z poczuciem winy.

– Nie mogę wstać! – szepnął tragicznie w odpowiedzi na moje zdumione spojrzenie.

– Dlaczego?

– Bo jakiś drań właśnie zakosił mi but!

– A ty nie zauważyłaś?!

– Potrafię teraz myśleć wyłącznie o tobie – zabójczo uczciwie przyznał wampir, powodując, że zaczerwieniłam się po same uszy. Złodziej ujawnił się prawie natychmiast, co prawda bynajmniej nie ze skruchą.

– Wy tilki podywyteś, jaki garny czarownik! – Orsana wskoczyła na ławkę i radośnie potrząsnęła zdobyczą nad głową. Na jej zielonej sukni wyraźnie dostrzegłam odcisk mego pantofelka. Dokładnie taki sam znajdował się na kołnierzu Rolara. Uwaga już całkiem najedzonych gości chętnie przełączyła się na przyjaciółkę i jej trofeum bojowe.

– No to kto chce – dziewczyna z namysłem powąchała cholewkę, wywołując dziki wybuch rechotu przy stole (Len z oburzeniem syknął: „Nieprawda, jest całkowicie nowy!”) – osuszyć tę honorową czarokę za zdrowie młodych? Goście z szacunkiem ocenili wymiary „czarki” i pomiędzy trollami wywiązała się krótka potyczka. Zwyciężył Wal, który nie tyle wypił, ile wylał przynajmniej butlę zawartości do swojego bezdennego gardła. Len ze smutkiem dwoma palcami wziął ociekający winem but za koniuszek i postawił

przy stole koło bosej nogi. Niestety, natychmiast został on ukradziony ponownie, a następnie ruszył w podróż dookoła trollowego stołu. Kella zlitowała się i przyniosła panu młodemu nową parę obuwia. Po drodze naczelna zielarka z oburzeniem dokonała odkrycia, że stojący koło nas trolli kosz z kwiatami jest dyskretnie przewiązany czarną wstęgą z napisem „Od niepokieszanej wdowy”. Prawdopodobnie bezczelny najemnik po prostu zgarnął go z najbliższego cmentarza. Po krótkiej, ale wyrazistej (w sensie bogatej w wyrazy) wymianie zdań kosz zabrano gdzieś dalej.

Orsana nie poprzestała na okupie za „czarowika” i przy gorącym współudziale Welki zorganizowała jeszcze kilka wesołych konkursów – ku wielkiej radości widzów i skrępowaniu zebranych. Mnie i Lenowi oberwało się najbardziej, ponieważ państwo młodzi byli zbyt zauważalnymi postaciami, by nurkować pod stół, uprzedzając drapieżne spojrzenia przyjaciółek poszukujących ofiary do kolejnego numerku. Gdy ostatecznie zapadł zmrok, na stołach zapalono świece, a do drzew przymocowano jaskrawo płonące pochodnie. Tu i ówdzie połyskiwały również pulsary, mimo że żywy ogień był znacznie przytulniejszy. Muzycy, którzy od jakiegoś czasu udawali nienatrętne tło gdzieś z tyłu, otrząsnęli się i w ramach rozgrzewki zagrali belorską ludową pieśń „Oj, nóżki mnie niosą!”, a po niej szybki krasnoludzki taniec, do którego wciągnięto nawet starszych i Kellę. Sprawa zakończyła się absolutnie dzikim hopakiem winesskim, w którym wymagano wyłącznie, by człowiek możliwie szybko skakał i głośno wrzeszczał: „Hop, hop, ehehej!”.

Gdy nóżki odmówiły nie tylko noszenia, ale również trzymania, goście rozeszli się po polance i otaczającym ją lesie, ciesząc się świętem i w końcu pozostawiając młodych w spokoju. Muzycy przeszli z tanecznych melodii do smutnych, piękny paniński głos śpiewał pieśń o złotych smokach. Leżący obok siebie Lewark i Gerda mrużyli oczy z zachwytem i co jakiś czas nostalgicznie wzdychali.

Obok fonranny udekorowana splezającym na jedno ucho wiankiem Smółka wymieniała uprzejme prychnania z mantykorą. Tyska rozpoznała nas, wygięła grzbiet i z mruzeniem ruszyła do witania, prawie zwalając mnie z nóg. W okolicy nie dostrzegłam ani Kuźmy, ani mistrza zielarza, a rudy pysk z pędzlastymi uszami podejrzanie zalatywał wędzoną rybą.

Ward i Lereena prowadzili ożywioną dyskusję, zapomniawszy o niedopitych kielichach. Władczyni Arlissu była wyraźnie zaczerwieniona i, co absolutnie dla niej niezwykle, chichotała jak panienka. Władca Lesku pojawił się na ślubie kompletnie niespodziewanie dla nas JUŻ MI NIOSĄ TRUMNĘ Z WELONEM...

i chyba dla siebie również, mimo że po chwili wahania jednak wysłaliśmy mu zaproszenie. Oczywiście ze zwykłą pieczęcią. W Dogewie najpierw patrzono na Warda z obawą, tak samo jak na Lena w Lesku, ale gdy władcy wymienili przyjazne uściski dłoni, powitano Warda bardziej niż gościnnie. Poza tym wnioskuje z coraz bardziej gorącej rozmowy, zupełnie nie żałował on przyjazdu (czy raczej przylotu). W dwóch miejscach widziano Tiwala, a w trzech innych Fenduła (jeden z wypuszczonych z piwniczki z trunkami krasnoludów zaszczycony został widokiem obu naraz), który, drań jeden, w ogólnym zamieszaniu zdążył przeczytać kilka natchnionych kazań, nałożyć ręce na wszystkich przechodzących chorych (Kaiel na wszelki wypadek przeszedł dwa razy), zwerbować do dajnow jednego z magów i doprowadzić do łez rozpachy złodzieja, który przypadkiem trafił pomiędzy gości.

Aktywny święty na swoje szczęście nie napotkał mnie, mimo że pod koniec wesela na poszukiwania konkurenta ruszyła już przynajmniej połowa magów z mistrzem na czele.

O północy nadeszła pora krojenia ślubnego tortu i zebrani ponownie sobie o nas przypomnieli. Dostaliśmy do rąk ogromy nóż, a goście ustawili się w kolejce, trzymając w pogotowiu talerze. Zapanowała krótka konsternacja – na torcie ponownie stały zbereżne figurki. Temar wykonał pełen satysfakcji gest zaciśniętą pięścią i pośpiesznie wmieszał się w tłum.

Po otrzymaniu za każdy kawałek tortu gratulacji i prezentu (do końca pozostało zagadką, kto

„uszcześliwił” nas trumną) wyszłam na środek polany i z ogromną ulgą rzuciłam bukiet, mściwie celując w Welkę. Niestety, przeleciał nad jej głową i wpadł wprost w ręce Lereeny. Władczyni skrzywiła się, ale nie powiedziała ani słowa. Moja radość nie trwała długo, ponieważ nadszedł czas ostatniego, najważniejszego i najbardziej odpowiedzialnego elementu wesela.

Do odprowadzenia nas najkrótszą drogą do domu narad (w którego lewej połowie mieszkał władca Dogewy) zgłosiłaby się przynajmniej połowa gości. „By” – ponieważ nikt ich nie wołał, ale i tak radośnie ruszyli naszym śladem, nie mając ochoty przepuścić takiego widowiska.

Koło progu Len wywołał głośny aplauz, łapiąc mnie na ręce, wniósł do domu i celnie kopnął nogą, zatraskując drzwi. Postawiona na podłodze na paluszkach przekradłam się do okna, odsunęłam rąbek zasłonki i zadrżałam. Odprowadzający bynajmniej nie planowali się rozchodzić, tylko zasiedli wprost na trawce pod domem. Dookoła powoli spacerowała Kella, udając, że korzysta z uzdrawiającej mocy świeżego powietrza. Ważek, Temar i Enka nie odnieśli sukcesu, używając magicznych metod podsłuchu (w końcu spodziewając się czegoś w tym właśnie stylu, wczoraj przez bitą godzinę zaczarowywałam dom od działania wszystkiego, co mi przyszło na myśl, wliczając w to wampirze zmysły!), więc zwyczajnie przystawili uszy do drzwi i niecierpliwie czekali na rozpoczęcie nieuchronnej sceny łóżkowej. Co prawda nawet trolle nie potrafiłyby zacząć przy akompaniamencie dolatujących z zewnątrz wybuchów śmiechu i wrzasków poparcia (same trolle nie tylko popierały, ale też udzielały szczegółowych instrukcji).

Spojrzałam... posłuchałam... zerknęłam na Lena... na męskie i upajająco przystojne rysy twarzy, złociste włosy spadające na nagie ramiona, szeroką pierś i muskularny brzuch... Szczególną uwagę obdarzyłam powoli rozpinający się rzemień... Po czym zdecydowałam, że zaraz zawyję ile sił w płucach i zwieję pod łóżko, po czym ghyr mnie stamtąd wyciągnie!

– Rozbieraj się – zdecydowanie polecił mąż.

– Nnnie mogę... – Z rezygnacją zamknęłam oczy, mając na myśli zarówno niedostępność sznurówki, jak i nagły bezwład kończyn.

– Odwróć się.

Z kołaczącym sercem poczułam, jak palce Lena zwinnie przebiegły po pętelkach sukni, a następnie gorsetu. Obfite spódnice zaszeleściły koło twarzy i spoczęły na krześle. Poczułam się lekka, przemarznięta i przerażona, jak na pierwszym roboczym cmentarzu.

Żywa się nie dam.

W następnej chwili Len tak samo bezczelnie... narzucił na mnie koszulę. Z zaskoczenia zaplątałam się w rękawach i kołnierzu, a gdy udało mi się w końcu dopasować kończyny do właściwych otworów, wampir już zapinał swoją starą kurtkę. Kostium „garbatej strzygi” niedbale powiesił na oparciu łóżka.

– Co ty robisz? – spytałam w oszołomieniu.

Len nie odpowiedział, w skupieniu oglądając kamienie dokoła kominka. Zapukał w jeden, potem drugi... by w końcu całym ciężarem naprzec na prawą stronę, powodując, że z cichym zgrzytem palenisko obróciło się wokół własnej osi. Za wąskim, ciemnym przejściem dostrzegłam tylne podwórko.

– Co powiesz na niewielki spacer? – Puścił do mnie oczko.

– Zobaczą nas z ulicy... – zaprotestowałam nieśmiało, ale zrzuciłam z nóg pantofle i włąłam w spodnie.

Len posłał mi nicponiowaty uśmiech i boczkiem wkroczył do wejścia, natychmiast rozplływając się w nim jak ten wampir z legend w nocy. Ponieważ dotychczas nie miałam okazji zobaczyć takich sztuczek w wykonaniu żyjących przedstawicieli jego rasy, nie mogłam pozostawić owego fenomenu bez dokładniejszego zbadania. Podskakując na jednej nodze i próbując w trakcie zasznurować but na drugiej, śladem Lena weszłam do tunelu i...

Znalazłam się w głuchym lesie. Z poczuciem zagubienia pokręciłam głową, niezmiennie widząc przed sobą drzewa i krzaki, aż w końcu zrozumiałam, że najpewniej do tylnej ściany domu narad przylegał węzeł „efektu brudnopisu”, który natychmiast przeniósł nas wampir wie gdzie. Len litościwie poczekał, aż poradzę sobie ze sznurowadłem, i pewnym krokiem ruszył do przodu. Po ślubnym tumultie pochmurna leśna cisza wydawała się majestatyczna i tajemnicza. Liście szeleściły pod naszymi nogami, jak gdyby wymieniając szeptane komentarze z porzuconymi czubkami drzew.

– A gdzie idziemy? – nie wytrzymałam.

– Jak to gdzie? – bezbarwnym głosem zaczął Len, nie odwracając się w moim kierunku.

– Do lasu w celu zakończenia koszmarnego i krwawego rytuału pożerania naiwnej dziewczicy przez krwiożerczego wampira. Bo myślisz, że po co była ta cała historia? Rytuał sięga korzeniami czasów starożytnych, jest przeprowadzany co roku na jesieni, maskowany jako ślub, by nie szokować pozostałych ras... Roześmiałam się i szturchnęłam go w bok.

– Kłamiesz!

– ... tak między nami, to bardzo dobry zwyczaj – ciągnął Len, już sam krztusząc się ze śmiechu. – Władca doliny syty, tradycja zachowana, mieszkańcy sobie pohulali na ślubie i żadnych pretensji, sama się zgłosiła, a nawet prosiła ze łzami w oczach...

– Ja?!

Jak zwykle nie udało mi się dogonić głośno rechoczącego drania, ale uczciwie próbowałam, ile starczyło sił. Gdy uznał, że zagrożenie minęło, wrócił i oparł się plecami o pień tego samego drzewa, tylko od drugiej strony.

– A może zrobimy na odwrót? Bo naprawdę jestem głodna... – przyznałam smętnie.

– Ja też. Ale w odróżnieniu od ciebie wpadłem na to, by zgarnąć ze stołu pięto kiełbasy i chleb.

– Len! – Natychmiast odzyskałam wigor i z nadzieją spytałam: – Przecież mnie kochasz, prawda?

– Oczywiście. Ale tę oto wspaniałą kiełbasę... – zapytany zrobił słodkie oczka do wyciągniętego z kieszeni pakunku – stanowczo kocham bardziej. No dobrze, dobrze, podzielę się! Ale może jednak wyjdziemy na skraj lasu, już niedaleko. Poznałam okolicę, dopiero gdy dostrzegłam szeroką łąkę pod skarżą. Na środku, po kolana w nisko kłębiącej się mgłę, pasły się jednorożce. Nawet stąd słyszeliśmy, jak szczypią trawę i parskają. Len uprzejmie położył na ziemi swoją kurtkę, a ja wielkodusznie zostawiłam mu skrawek. Po krótkiej wymianie zdań podzieliliśmy chleb i kiełbasę względnie równo, a ja z westchnieniem ulgi w końcu zatopiłam zęby w czymś treściwym.

– A oni niechaj sobie sterczą pod drzwiami, ot co – burknęłam mściwie z pełnymi ustami. – Nawet jeśli Ence w końcu uda się złamać moją obronę...

– Yhy – złośliwie odezwał się Len. – Niedoczekanie ich!

– A skąd wiesz o tajemnym przejściu?

– Przeglądałem dokumenty, które zostały po przodkach, i trafiłem na plan domu. Chyba to przejście służyło niejednemu pokoleniu władców Dogewy. W każdym razie bardzo dobrze ucieka się nim przed natrętnymi gośćmi w rodzaju Kaiela.

– Czyli już z niego korzystałeś?

– Czasami – ze śmiechem przyznał wampir. – W przeciwnym razie starsi zrozumieliby, że coś tu nie gra.

– Czekaj no. – Uniosłam głowę. – Ale przecież „efekt brudnopisu” działa w obie strony! Chcesz powiedzieć, że ktokolwiek może tak samo łatwo wejść z lasu wprost do naszej sypialni?! Dobrze, jak będzie to parę komarów czy zajęcy, a co, jak dziki wiedźmin? I mam mu potem dowodzić, że wampir to tam leży, a ja tak tylko sobie wpadłam na chwilę?!

Len żartobliwie pogroził mi ogryzkiem kiełbasy.

– Nie martw się. Za kilka minut kominek wróci na miejsce i zamknie zarówno zwykłe przejście, jak i przestrzenne.

– A jak w takim razie wrócimy?

– Najprościej w świecie, dookoła. – Wampir filozoficznie wzruszył ramionami. – Mam nadzieję, że w międzyczasie wszyscy żartownisie sobie pójdą i spokojnie wejdziemy do domu przez tylne drzwi.

Na dłuższą chwilę zamilkliśmy, częściowo zatopieni w myślach, a częściowo w kiełbasie. Dwa jednorożce stanęły dęba i żartobliwie mierzyły się siłami, machając kopytami i krzyżując rogi. Światło gwiazd lśniło na ich sierści i prześwitywało przez powiewające ogony, tworząc wrażenie, że słabo fosforyzują. Nad łąką latały czarne trzepoczące sylwetki nietoperzy.

Wsadziłam do ust ostatni kawałek... i niespodziewanie uświadomiłam sobie, że w trakcie swojej pierwszej i pewnie jedynej nocy poślubnej siedzę na skraju urwiska, otulając się kurtką, karmię komary, zachłannie wraz ze skórką pochłaniam odebraną wampirowi w uczciwej walce kiełbasę, gadam z nim o różnych bzdurach, podziwiam nocną dolinę... i czuję się absolutnie szczęśliwa!

– I co? – zapytał Len delikatnie. – Źle ci po ślubie? Odpowiedziałam twardym prychnięciem i złożyłam ręce na piersi. Z nim było mi dobrze nawet po ślubie. Ale ghyr doczeka się, że to przyznam!!! ... a pierwszy ranek poślubny wyszedł nam jakoś tak sam z siebie...